AUTOR BESTSELLERÓW *DROGA* I *KRWAWY POŁUDNIK*

CORMAC McCARTHY

SUTTREE

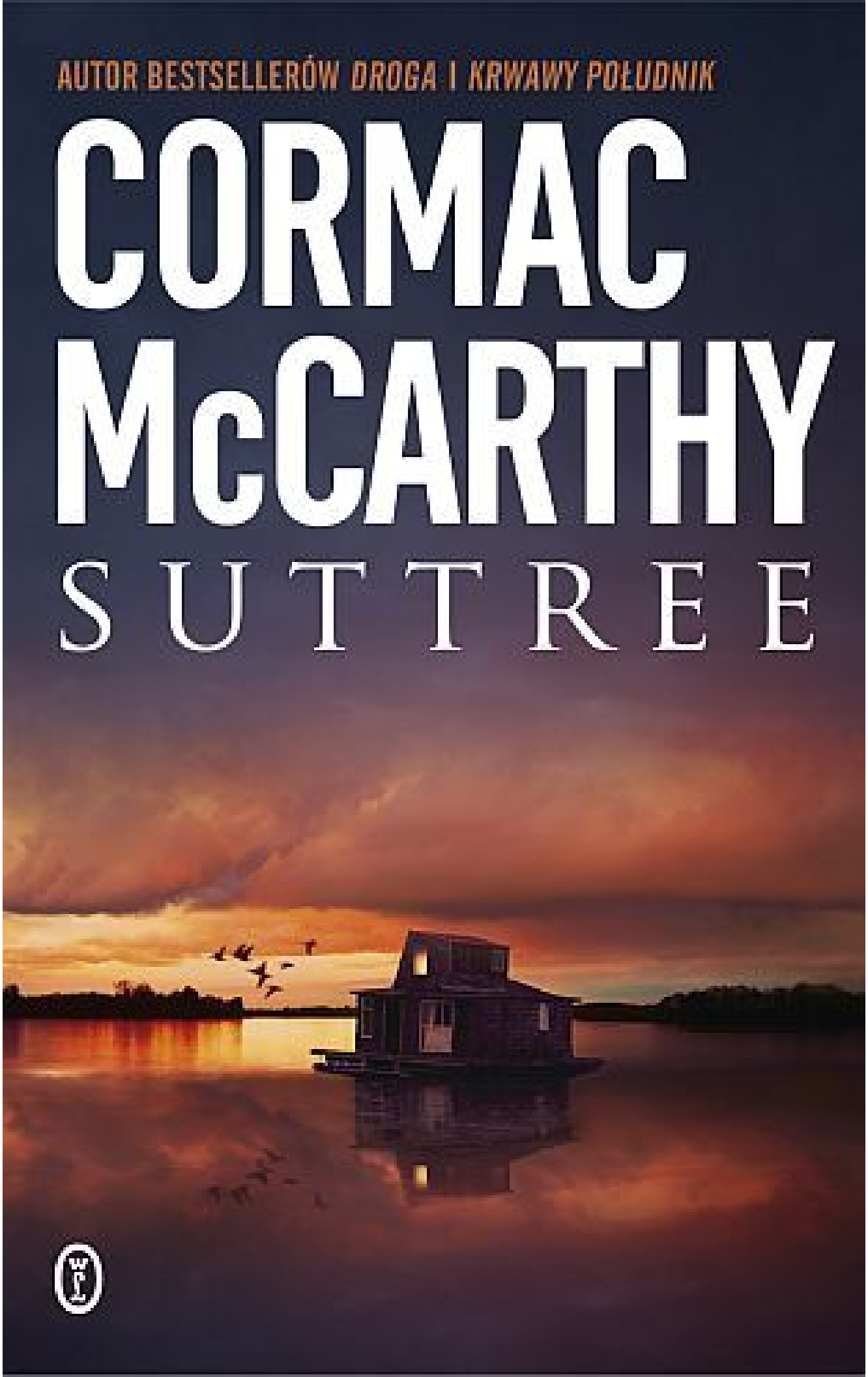

Cormac McCarthy

Suttree

(Suttree)

Przełożył Maciej Świerkocki

Drogi przyjacielu, teraz, w tej niewyraźnej, nie znającej zegara miejskiej godzinie, kiedy czarne jezdnie parują po przejeździe polewaczek, i teraz, gdy pijacy i bezdomni chronią się gromadnie pod ścianami domów w zaułkach albo na opuszczonych parcelach, i kiedy smukłe kocury z wyprężonymi grzbietami krążą po swoich ponurych rewirach, teraz, w tych czarnych od sadzy, ceglanych albo kamiennych korytarzach, gdzie cienie drucianych siatek układają się w gotycką harfę na piwnicznych drzwiach, nie postanie noga innego człowieka prócz ciebie.

Stare, nieprzeniknione przez słońce, deszcz i śnieg kamienne mury, osadzone w rozstępach skamieniałych kości, wapienne skarabeusze pofałdowane na dnie owego dawnego środziemnomorza. Smukłe, ciemne drzewa, tam, za żelaznym ogrodzeniem, gdzie umarli pilnują swojej małej metropolii. Dziwna marmurowa architektura, stela, obelisk, krzyż i niewielkie, wygładzone przez deszcz nagrobki, na których z biegiem lat zacierają się nazwiska. Ziemia pełna wyrobów producentów trumien, pokrytych kurzem szkieletów, zetlałego jedwabiu i trumiennych ubrań, splamionych wydzielinami gnijących ciał. Dalej w niebieskim świetle latami biegną w ciemność tory tramwajowe, zakrzywiające się w tombakowym zmierzchu niczym kogucie ostrogi. Stal powoli oddaje nagromadzone za dnia ciepło – wyczuwasz je nawet przez podeszwy butów. Mijasz magazyny z falistej blachy, idziesz krótkimi, piaszczystymi uliczkami, gdzie zepsute auta stoją markotne na piedestałach z pustaków. Przez gąszcz sumaka, szkarłatki i zwiędłego kapryfolium wychodzisz na pofałdowany, gliniasty nasyp kolejowy. Szare pnącza na tej północnej półkuli są zwinięte w lewo; ta sama siła, która je wykręca, kształtuje też muszlę trąbika. Spod żużlu i cegieł wykiełkowały chwasty.

Gdzieś w pobliżu w samotnym zatraceniu ryknęła w nocne niebo koparka parowa. Tu przejdź na drugą stronę. Tam gdzie krzyżownice i tory na podkładach, a lokomotywy pokasłują niczym lwy w mroku stacji rozrządowej. Do mroczniejszego miasta, mijasz oślepione kamieniami latarnie, dymiące, pochyłe chaty, porcelanowe psy i stare, pomalowane opony, w których rosną brudne kwiaty. Idziesz po porozdzieranych dziurami chodnikach, widzisz powolny kataklizm zaniedbania, zwieszające się półkolami druty, biegnące pod gwiazdami od słupa do słupa, obwieszone sznurkami od latawców i poobtłukiwanymi butelkami, przypominającymi krawaty, albo dziecięcymi zabawkami. Obozowisko potępieńców. W tej dzielnicy mogą się nawet czaić ociekający ropą trędowaci bez dzwoneczków na szyjach. Ponad upałem i nieprawdopodobnym widokiem miasta na tle nieba wszedł mosiężny księżyc, przed którym chmury uciekają jak rozwodniony atrament.

Budynki, którymi ostemplowana jest noc, przypominają fortecę, broniącą wstępu do leżącego dalej zapomnianego świata, podobnie jak zapomniane zostało ich pierwotne przeznaczenie. Wieśniacy wędrują tutaj wiele mil, a potem w oblepionych błotem butach przesiadują całymi dniami na rynku jak niemowy. Tego miasta nie zbudowano według żadnego znanego wzorca, dlatego jego skundlona architektura obejmuje całą historię dzieł ludzkich rąk w krótkim streszczeniu opowieści o aberracji, chorobie i szaleństwie. W dolinie rzeki, do której spływa życiodajna woda z całej okolicy, rozpoczął się właśnie karnawał cieni.

Fabryczne mury ze starych, ciemnych cegieł, zarośnięte tory bocznicy kolejowej i ohydny niebieski rynsztok, w którego nurcie kołyszą się czarne włókienka bezimiennych nieczystości. W zardzewiałych framugach okiennych gdzieniegdzie tkwią wśród szyb kawałki blachy. W

kloszu latami, tam gdzie przeszył go kamień, widać dziurę w kształcie księżyca, przez którą na spotkanie nie kończącej się spirali ciągnących ku górze owadów wciąż pada słaby deszczyk takich samych owadzich form, spalonych i bez życia.

Tutaj, u ujścia strumienia, pola sięgają rzeki. Muł tworzy deltę, wyłaniając się spośród bogatych aluwialnych złóż zakonserwowanych kości i straszliwego śmietniska – kupy desek, kondomów, obierków, starych puszek,

słoików i zepsutych urządzeń domowego użytku, które pochodząc z gnojowiska równin, stanowią drogowskazy w tych pozbawionych szlaków dolinach, opanowanych przez dementia praecox.

To świat poza wszelką fantazją, złośliwy, realny i jedyny w swoim rodzaju; przepalone żarówki niczym obdarte ze skóry polipy, półprzezroczyste, w kolorze nagiej czaszki, sterczą ślepo nad ziemią, tu i ówdzie widać widmowe oka oleju maszynowego, a od czasu do czasu wyrzucone na brzeg cuchnące ludzkie embriony, rozdęte niczym gardziele piskląt, o szeroko otwartych, niewidzących oczach, niebieskawych albo matowoszarych. Dalej w ciemności rzeka sączy się leniwie ku morzom południowym, spływając w dół pośród zbombardowanej

deszczem

kukurydzy,

skromnych

zbiorów

i

uprawianych na rzecznym ile ogrodów tutejszych gospodarzy, przez cały czas ścierając się przy brzegach na kropelki drobniutkie niczym mączka kostna, rzeka wyładowana przeszłością jak pociąg, ze snami i marzeniami rozproszonymi gdzieś w wodzie, gdzie nigdy nic nie ginie.

Pływające domy, barki, na których mieszkają ludzie, kołyszą się na cumach. Odpływowy muł przybrzeżny, żeberkowany, a zarazem gładki, wygląda jak zapadły bok jakiegoś olbrzymiego, powalonego zwierzęcia, dalej zaś ląd rozciąga się na południe i w stronę gór. Myśliwi i drwale, nie zdejmując butów, kładli się tu niegdyś spać wokół tysięcy dogasających ognisk, a potem ruszali dalej, nasi starsi teutońscy przodkowie o oczach rozpalonych wizjonerskim blaskiem potężnej pazerności, napływający kolejnymi falami okrutników i szaleńców o głowach pełnych bezskojarzeniowych analogii do całej ludzkiej przeszłości, szczupli Aryjczycy ze swoją unieważnioną już dziś semicką książeczką, wciąż na nowo odgrywający zawarte w niej dramaty i

parabole, bezmyślni, bladzi i udręczeni pragnieniem, które mogłoby uśmierzyć jedynie ponowne pogrążenie się świata w pierwotnych ciemnościach.

Znaleźliśmy się w osobnym świecie w świecie. Th, na tej obcej ziemi,

wśród

wydzielających

trujące

wyziewy

ścieków

i

płodozmianowych nieużytków, które uczciwi obywatele oglądają ze swoich przedziałów albo samochodów, snują marzenia istoty prowadzące zupełnie inne życie. Ludzie zdeformowani, czarnoskórzy albo obłąkani, w ucieczce przed wszelkim porządkiem, obcy w każdym kraju.

Noc jest spokojna niczym obóz przed bitwą. Nieznane stworzenie szykuje się do ataku, ale nie wiadomo, czy nadejdzie z lasu, czy raczej od morza. Mularze otoczyli miasto murami, bramy są zamknięte, ale spójrz tylko, bestia jest już w środku – czy zgadniesz, jaką ma postać? Gdzie jest przetrzymywana i jakie ma oblicze? Czy jest to tkacz, zakrwawione czółenko, wystrzelone przez dziurę czasową, czy grępiarz, który wyrywa ludzi z drzemki świata? A może to raczej jakiś myśliwy z psami? Albo woźnica, którego wóz śmierci ciągną szkielety koni i który na każdej ulicy oznajmia głośnym okrzykiem, jakim rzemiosłem się para? Drogi przyjacielu, nie będziemy się nad nim zastanawiać, bo właśnie takie stworzenia go tu zaprosiły.

Reszta naprawdę jest milczeniem. Zaczął padać deszcz. Lekki letni deszczyk, widzisz, jak zacina z ukosa w światłach miasta. Rzeka spoczywa w kielichu ciszy i spokoju. Stąd, z mostu, świat w dole wydaje się darem

prostoty. Ciekawy, tylko tyle. Niżej w grotach upadłego światła sunie po bruku z kamienia na kamień kot, przypominający plamę płynnej czerni, jakby przyszytą do własnego gwałtownie odwróconego odbicia na ciemnej od deszczu ulicy i znikającą po chwili jako kot i kontrkot pośród spękanych murów. Daleko w dole rzeki widać słabą letnią błyskawicę. Nad zachodnim światem podnosi się kurtyna. Drobny deszczyk

sadzy,

martwych

żuków i kosteczek niewiadomego

pochodzenia. Publiczność siedzi w pajęczynie kurzu. W pustych oczodołach jednego z aktorów śpią pająki, a nad sceną jak mucha wisi to, co pozostało z powieszonego błazna: wahadło z kościotrupa w pstrokatym kostiumie. Po deskach tu i ówdzie przemykają czworonożne cienie. Przetrwają tylko prymitywniejsze, brutalniejsze formy życia.

1

Patrzy w dół, na wodę, gdzie poranne słońce tworzyło świetlne koła i diademy, wyglądające jak wachlarze, które więziły każdą gałązkę i każde ziarnko piasku, a tam, gdzie wirowały i kłębiły się plamki, długie płatki i klingi słoneczne sunęły w dal w mulistej wodzie niczym stroboskopowe światła. Ręka przesuwa się po okrężnicy i po chwili mężczyzna kładzie się wszerz łodzi, czubek jednego z jego trampków co chwila zanurza się w rzece, tworząc na jej powierzchni dołeczki jak na uśmiechniętej buzi, bo łódź się lekko kołysze, dryfując pod mostem i powoli mijając ubłocone podpory. Pod wysokimi, chłodnymi łukami i ciemnymi basztami przęseł sklepienia, gdzie gaworzą gołębie, a głuche uderzenia ich skrzydeł odbijają się echem burzliwych oklasków.

Spogląda w górę na katedralne krypty o skamieniałych sękach i okrągłych zdobieniach z pseudomorficznych kryształów na szarym betonie, dryfuje dalej, ukośny cień mostu daje złudzenie straszliwego pędu, tak pożądane na starych fotografiach z rajdów samochodowych, na których unieruchomione koła automobili wydają się same wyrywać do przodu, i sprawia, że rzeka wydaje się nieco węższa. Cienie sklepienia formują się nad łodzią, obejmują wyciągniętą w niej postać i odchodzą.

Z podbródkiem wciśniętym w zgiętą w łokciu rękę leniwie obserwował, co dzieje się na powierzchni, obracające się powoli plamy nieczystości, szare grudki bezimiennych brudów i żółte prezerwatywy, wyłaniające się w leniwym wirze z ciemności niczym olbrzymia motylica wątrobowa albo tasiemiec. Twarz patrzącego sunęła obok łodzi, przekrzywione w brudnej wodzie sepiowe oblicze o uciekających na boki oczach i rozcieńczonej minie. Po rzece ospale przewijały się wałeczki drobnych fal, jak gdyby na głębinie coś się poruszyło, a w oleistych widmach pękały pęcherzyki powietrza.

Za mostem lekko dźwignął się na nogi, wziął wiosła i zaczął

wiosłować na południowy brzeg. Tam zawrócił skif, zamaszyście zamiatając sterem kępę wierzb, przeszedł na rufę i sięgnął po zanurzony w wodzie ciężki sznur, przywiązany do żelaznego pachołka, wbitego w muł na brzegu. Przeciągnął linkę przez dulkę na pawęży, po czym znów wypłynął na otwartą wodę, wiosłując powoli, a w dulce przesuwał się mokry i gładki sznur, który po chwili znów zanurzył się w wodzie.

Kiedy mężczyzna był już jakieś trzydzieści stóp od brzegu, w sznur po wynurzeniu zaplątał się pierwszy dropper, wyciągnął więc rękę i odrzucił go. Płynął dalej, ustawiając łódź nieco pod prąd, a haczyki kolejno przesuwały się w dulce, niosąc wymoczone, poszarpane na strzępy kawałki mięsa. Kiedy poczuł ciężar pierwszej ryby, wsunął

ociekające wodą wiosła do łodzi, chwycił sznur i wciągnął go na pokład rękami. Z wody wyłonił się duży karp, błyskając szorstką kolczugą łusek na matowobrązowym boku. Mężczyzna przyklęknął na jedno kolano, wciągnął rybę na pokład, odciął ją, przywiązał nowy haczyk z kawałkiem przynęty, wyrzucił sznur z powrotem za burtę i popłynął

dalej, teraz wiosłując tylko jednym wiosłem, podczas gdy karp rzucał się ciężko na drewnianym dnie łodzi.

Kiedy przepłynął już całą długość sznura, znalazł się przy drugim brzegu rzeki. Założył nową przynętę na ostatni haczyk i puścił ciężką linkę, patrząc, jak opada w mulistej wodzie i błyszczącej chmurze plamek słonecznego światła z jakby połamanej korony, w której przez chwilę zapalił się ostatni, blady kawałek nieświeżego mięsa. Wciągnął

wiosła do łodzi i rozłożył się wygodnie na ławeczce, żeby się poopalać.

Łódź zakołysała się lekko, wpływając w rzeczny prąd. Rozpiął koszulę do pasa, osłaniając ręką oczy. Słyszał nieustannie gadającą pod nim cicho rzekę, poczciwą, ciężką, o pomarszczonej facjacie. Płynąca woda kryła wozy i armaty o wbitych w muliste dno, rdzewiejących biegunach, kutry rybackie, tak skorodowane, że nabierające konsystencji kleju, słynne jesiotry o rogatych, pięciokątnych korpusach, miedziane, jasne jak klenie karpie oraz zębacze z bladymi, krągłymi brzuchami, a także gęste błocko,

usiane odłamkami szkła, ośćmi, zardzewiałymi puszkami i szczątkami ceramicznych naczyń, pokrytych siateczką czarnych jak muł

rys. Po drugiej stronie rzeki wznosiły się szare, nierówno oszlifowane wapienne urwiska, udekorowane trawą w wąskich zielonych szczelinach. Tam gdzie zwieszały się nad wodą, rzucały chłodny cień, a jej powierzchnia pozostawała spokojna i ciemna, chociaż niczym biała gwiazdka odbijał się w niej kształt siewki, krążącej w wynoszących ją w górę prądach powietrznych na skraju klifu. Pod łodzią przepłynął

wyniosły i nieustępliwy zębacz, który nawet wcisnął swój szeroki pysk w przegrodę.

Mijając ujście strumienia, mężczyzna podniósł rękę i zaczął

powoli machać do wystrojonych w kwieciste sukienki i czepki starych Murzynek, które obracały się na brzegu, przypominając kołysany wiatrem ogród, wymachiwały laskami, chaotycznie wyrzucały w górę ramiona, a wtedy ich krzykliwe, barbarzyńskie stroje wydymały się na wietrze. Wznoszące się za nimi miasto miało zmęczony, sterany wygląd, sprawiało wrażenie wykutego w dymie i ciemności na tle jasnobłękitnego nieba. Brudny brzeg rzeki ciągnął się zygzakiem, połyskując w gorącym słońcu, a ciszy tego samotnego, letniego przedpołudnia nie mącił żaden odgłos.

Pod estakadą kolejową zajął się drugim sznurem. Woda była ciepła i odznaczała się ziarnistym połyskiem, jak grafit. Gdy skończył, było południe, a wtedy wstał i przez chwilę przyglądał się połowowi. Potem wrócił w górę rzeki, wolno wiosłując, podczas gdy ryby szamotały się w wąskiej szarej zęzie na dnie łodzi, z ospałym zdumieniem badając oślizgłe deski swoimi płetwami piersiowymi i wyginając w słońcu już wyblakłe, bezkrwiste, blade grzbiety. Mosiężne dulki skrzypiały w łożyskach, a rzeczna woda zsuwała się z burt dziobowych niechętnie, lepko, i ciągnęła się za łodzią śladem torowym niczym bruzda orna na bagnisku.

Wypłynął z cieni urwiska, minął siedzibę firmy handlującej piaskiem i żwirem, a potem nieciekawe, puste grunty, dokąd wiodły szyny na podkładach z pustaków i gdzie na ślepych torach rdzewiały wagony towarowe, i minął też magazyny zbudowane z arkuszy galwanizowanej

blachy falistej, wyrwanej kiedyś w postaci rudy z ceglastej ziemi, najeżonej romboidalnymi i esowatymi skałami wapiennymi, które przypominały wielkie, wypłukane przez wodę kości, upstrzone cętkami błota. Był już w drodze powrotnej, na środku rzeki, kiedy zobaczył dwie jednostki ratunkowe na tle nadbrzeża. Trałowały w kanale, czemu przypatrywała się z brzegu niewielka grupka gapiów.

Dwie białe łodzie otoczone mgiełką powstałej od gorąca nieostrości, powolny niebieski strumień spalin z rur wydechowych i słaby terkot silników, którym chyba udzielał się spokój rzeki. Zawrócił i powiosłował ku wejściu do kanału. Łodzie ustawiły się obok siebie, a na jednej z nich wyłączono silniki. Ratownicy nosili czapeczki żeglarskie i wykonywali swoje obowiązki z poważnymi minami. Kiedy rybak przepływał obok nich, właśnie wnosili na pokład martwego człowieka.

Był zupełnie sztywny i można by go wziąć za sklepowy manekin, gdyby nie jego twarz. Wydawała się miękka i napuchnięta, z szaleńczym uśmiechem z boku, bo w policzku tkwił hak od bosaka. W ten sposób wyciągnęli topielca: zaczepiając hak o kości policzkowe. Blada, bezkrwawa rana. Zdawał się drętwo protestować, miał wykręconą głowę. Ratownicy zanieśli go na pokład łodzi, gdzie leżał w przemoczonym garniturze z samodziału i skarpetkach w kolorze cytrynowym, spoglądając zezem na ratowników. Z hakiem wbitym w twarz wyglądał niczym potworny homunkulus wodny, którego wyłowiono przypadkowo, lecz światło bożego dnia uśmierciło go szybciej niż poławiacze.

Rybak przepłynął obok i wciągnął łódź na brzeg nieco powyżej miejsca, gdzie stali gapie. Przygniótł cumę kamieniem i poszedł

popatrzeć. Łódź ratunkowa dobijała do nadbrzeża, a jeden z ratowników klęczał nad zwłokami, próbując wyciągnąć hak. Ludzie przyglądali się z brzegu pracy spoconego ratownika. W końcu zaparł się nogą o głowę martwego mężczyzny i obiema rękami wyciągnął hak wraz ze strzępem zbielałego od wody ciała.

Zanieśli go na brzeg na płóciennych noszach i położyli w trawie, skąd z uśmiechem wpatrywał się w słońce oczami pozbawionymi życia.

W gęstym powietrzu krążył już zwarty rój bzyczących much. Ratownicy przykryli zwłoki szorstkim szarym kocem, spod którego wystawały nogi.

Rybak zbierał się już do odejścia, kiedy ktoś z zebranych chwycił

go za łokieć. Hej, Suttree.

Odwrócił się. Hej, Joe, odpowiedział. Widziałeś, jak to się stało?

Nie. Podobno skoczył wczoraj. Znaleźli jego buty na moście.

Stali, przyglądając się martwemu mężczyźnie. Ratownicy zwijali cumy i zajmowali się takielunkiem. Gapie napierali zewsząd jak żałobnicy, a rybak i jego znajomy zostali zepchnięci i zmuszeni do przejścia obok zwłok, jakby w hołdzie zmarłemu. Topielec leżał w żółtych skarpetkach, po kocu chodziły muchy, a w trawie było widać wyciągniętą na bok rękę. Nosił zegarek na wewnętrznej stronie przegubu, co się zdarzało i zdarza. Kiedy Suttree mijał martwego mężczyznę, z nieokreślonym uczuciem zauważył, że zegarek wciąż chodzi.

Kiepski sposób na zejście z tego świata, powiedział Joe.

Chodźmy.

Szli wzdłuż torów. Suttree potarł pulsujący delikatnie mięsień na swojej zamyślonej twarzy.

W którą stronę idziesz?, spytał Joe.

Tutaj. Mam łódź.

Znaczy, ciągle łowisz?

Taa.

Dlaczego się tym zająłeś?

Nie wiem, odpowiedział Suttree. Kiedyś wydawało mi się, że to dobry pomysł.

Bywasz w mieście?

Czasami.

Wpadnij kiedy wieczorem do Corner, to wypijemy piwo.

W końcu się tam wybiorę.

Łowiłżeś dzisiaj?

Taa. Trochę.

Joe mierzył go spojrzeniem. Posłuchaj, rzekł. Mógłbyś zamieszkać u Millera. Brother mi powiedział, że potrzebują kogoś, kto nosi spodnie.

Suttree popatrzył pod nogi, uśmiechnął się, otarł usta wierzchem dłoni i podniósł wzrok. No tak, odparł. Ja chyba na razie będę się trzymał rzeki.

No to przyjdź kiedy wieczorem.

Przyjdę.

Obaj podnieśli ręce na pożegnanie, a Suttree patrzył, jak chłopak idzie najpierw wzdłuż torów, a potem przez pole w stronę drogi. Suttree zszedł do łodzi, wciągnął cumę, rzucił ją na dno i zepchnął łódź na wodę. Martwy mężczyzna wciąż leżał na brzegu pod kocem, ale gapie zaczęli się rozchodzić. Suttree powiosłował przez rzekę.

Skręcił pod mostem na brzeg, wciągnął wiosła na pokład i siedział, przyglądając się rybom. Wybrał błękitnego zębacza i podniósł go za skrzela, wciskając kciuk w jego miękką żółtą gardziel. Ryba wyprężyła się i znieruchomiała. Woda skapywała z wioseł do rzeki. Suttree wstał, przywiązał łódź do palika i wspiął się z wysiłkiem po śliskim, nie porośniętym trawą brzegu pod sklepienie, tam gdzie most schodził nad ląd. Ciemna jaskinia pod betonowym łukiem, stosy kamieni wokół

wejścia. Na wielkim głazie ktoś żółtymi literami chlasnął napis „Wstęp wzbroniony”. W kamiennym kręgu na cuchnącej, nie znającej słońca glinie paliło się ognisko, przed którym siedział po turecku jakiś starzec.

Podniósł oczy na Suttree’ego i zapatrzył się z powrotem w ogień.

Przyniosłem ci zębacza, powiedział Suttree.

Starzec zamamrotał coś i machnął ręką, a kiedy Suttree położył

rybę na ziemi, spojrzał na nią spod przymrużonych powiek i zaczął

grzebać w popiołach.

Siednij, powiedział.

Suttree kucnął.

Starzec przyglądał się cienkim płomieniom. W górze ze stłumionym łoskotem przetaczały się powoli pojazdy. Ziemniaki w ognisku pokrywały się bąblami, a ich zwęglone mundurki pękały z cichym sykiem, jaki mogłyby wydawać maleńkie żyjątka, umierające na rozżarzonych węglach. Starzec nadziewał kartofle na pogrzebacz i wyciągnął pierwszego, drugiego i trzeciego jak czarne dymiące kamienie, po czym ułożył je w zardzewiałym kołpaku samochodowym.

Weźże pyrę, powiedział.

Suttree podniósł dłoń. Milczał, bo wiedział, że starzec powtórzy zaproszenie trzykrotnie, a on będzie zmuszony podzielić swoją odmowną odpowiedź na części. Tymczasem stary człowiek przechylił

parującą blaszaną puszkę i zajrzał do środka. W zaczerpniętej z rzeki wodzie gotowała się garść fasoli. Podniósł chore oczy i łypnął na Suttree’ego spod belki swojego wysuniętego czoła, ozdobionego dwiema kępkami włosów. Teraz sobie ciebie przypominam, powiedział.

Pamiętam, jak żeś był jeszcze tylko małym chłopcem. Suttree wątpił, by tamten go pamiętał, ale skinął głową. Starzec chodził kiedyś po domach i użyczał głosu lalkom albo misiom.

Dalejże, weź pyrę, powtórzył stary.

Dzięki, odparł Suttree. Już jadłem.

Z sypkiego jądra ziemniaka, którego starzec przełamał w rękach, buchnęła świeża para. Suttree spojrzał na rzekę.

Lubię obiad na gorąco, ty nie?, spytał starzec.

Suttree skinął głową. W słońcu ciepłego popołudnia drżały zwieszające się lukami ku ziemi liście i gałązki sumaka, a pod żebrowaniem sklepienia skrzeczały i gruchały gołębie. Ocieniony kawałek ziemi, na której siedział, wydzielał stęchłą woń krypty.

Nie widziałeś, jak ten człowiek skoczył do rzeki, co?, zapytał

Suttree.

Starzec pokręcił przecząco głową. Stary szmaciarz, jego wychudzone nogi drżały.

Widziałżem, jak trałowały, powiedział. Znaleźli go?

Tak.

Czemu skoczył?

O tym chyba nikomu nie powiedział.

Ja tam bym tego nie zrobił. A ty?

Mam nadzieję, że nie. Chodziłeś rano do miasta?

Nie, w życiu. Za marnie się czuję.

Co ci jest?

Boże, nie wiem. Gadają, że śmierć przychodzi nocą jak złodziej, tylko gdzie ima jest? Rzucę się jej na szyję.

No, tylko nie skacz z mostu.

Zaś za nic bym tego nie zrobił.

Wydaje mi się, że samobójcy najczęściej skaczą w upały.

Przyjdzie gorsza pogoda, odparł szmaciarz. Nielitościwa.

Powiadam ci.

A ta dziewczyna przyszła się z tobą zobaczyć?

Nikogo zaś u mnie nie było.

Starzec wyjadał fasolę z puszki mosiężną łyżką.

Porozmawiam z nią jeszcze raz, powiedział Suttree.

No. Chciałbym, cobyś se wziął pyrę.

Suttree wstał.

Muszę już iść, powiedział.

Nie spiesz się tak.

Muszę iść.

Przyjdź jeszcze.

Dobrze.

Zerwał się lekki wiatr, więc w drodze powrotnej przez rzekę Suttree zaparł się nogami o belki rufowe i mocno pociągał wiosłami. Do łodzi przez nieszczelne deski dostało się już tyle wody, że cały poranny połów pływał nad lekko wybrzuszonym, łuszczącym się z farby dnem, a ryby zderzały się ze sobą bezgłośnie. Ze szpar wystawały poszarpane pakuły, falujące w brudnej wodzie wśród kawałków przynęty i papierów, wiosła wznosiły się i opadały, a spod jednego połatanego pióra z nieustannym pluskiem ściekała rzeczna woda. Na dnie było jej tyle, że łódź dygotała pod przelewającym się niczym rtęć ciężarem i stawiała opór. Suttree skręcił w górę rzeki i

płynął dalej. Murzyni w kolorowych, odświętnych ubraniach łowili ryby z brzegu całymi rodzinami, ponuro przyglądając się przepływającemu w pobliżu Suttree'emu. Na trawie stały kubełki i kosze z obiadem, a na kocach, obciążonych w rogach kamieniami, żeby nie porwał ich wiatr, leżały ciemnoskóre dzieci, jak na wystawie.

Gdy dotarł do swojego pływającego domu na barce, podciągnął

wiosła wyżej, a łódź zwolniła, zatrzymała się i osunęła ciężko na przybite gwoździami do burty stare opony. Wskoczył na pokład z cumą w ręku i przywiązał łódź, która podskakiwała na wodzie i przesuwała się ociężale na boki, bo wciąż przybywało w niej wody. Ryby pływały leniwie. Suttree przeciągnął się, podrapał w plecy i spojrzał w słońce.

Było już bardzo gorąco. Ruszył naprzód, otworzył drzwi i wszedł do domku. Deski w środku wydawały się wypaczone od upału, a z belek pod blaszanym dachem ściekały kropelki smoły.

Przeszedł przez całą izbę i wyciągnął się na koi. Zamknął oczy.

Wpadająca przez okienko lekka bryza zmierzwiła mu włosy. Pływający dom drżał nieznacznie na rzece, a jeden ze stalowych bębnów pod jego dnem jęknął melancholijnie, rozszerzając się od gorąca. Odpoczynek dla oczu. W tę cichą, oszałamiającą niedzielę. Serce w jego piersi tłoczy krew, płynącą wyznaczoną jej trasą. Zycie na maleńkich przestrzeniach, w wąskich szparkach. W liściach, w tętnie ropuchy. Łagodna wojna komórkowa w kropli wody. To dekstrokardia, powiedział z uśmiechem lekarz. Ma pan serce we właściwym miejscu, z prawej strony.

Pokurczony od słońca i deszczu, bez miłości. Skóra naciągnięta i popękana jak przejrzały owoc.

Przewrócił się ciężko na bok i przyłożył jedno oko do szczeliny w zbitej z nieheblowanych desek ścianie domku. Na zewnątrz płynęła rzeka. Cloaca Maxima. Śmierć przez utonięcie, tykanie zegarka martwego mężczyzny. Stary zegar w blaszanej obudowie stojący na stole u dziadka walił jak młot w kuźni. Pochyliłem się, żeby się pożegnać, w żółtym pokoiku pachniało liliami i kadzidłem. Wyciągnął

szyję, bo chciał mi coś powiedzieć. Nie słyszałem co. Wyrzęził moje imię, a jego uścisk zadawał kłam wycieńczeniu. Zapadnięta, wyniszczona twarz. Umarli chętnie zabraliby ze sobą żywych, gdyby tylko mogli, odsunąłem się. Usiadłem w zarośniętym bluszczem ogrodzie, pilnowanym przez oślizgłe jaszczurki, przemykające co chwila tu i ówdzie. Zające w klatce, blade jak duchy w cieniu pod ścianą powozowni. Kamienie chodnikowe w ogrodzie różanym, tarasowe, trawiaste zbocze nad rzeką, zapach bukszpanu, mchu, pleśni i starych cegieł w cieniu spiżarnio-chłodni. Kamienie pod liśćmi rukwi wodnej oblepione w czystym nurcie przez małże. Salamandra nakrapiana jak pstrąg. Pochylam się, żeby wessać do ust zimną, pachnącą mchem wodę.

Patrzy na mnie pomarszczona twarz dziecka, wodnisty izomer, drżący w kręgach na powierzchni.

W ostatnim liście mój ojciec napisał, że światem rządzą ci, którzy są gotowi wziąć odpowiedzialność za władzę nad nim. Jeżeli myślisz, że nie żyjesz, mogę ci powiedzieć, gdzie szukać życia. W sądach, w biznesie, w rządzie. Na ulicach nic się nie dzieje. To jedynie nieme przedstawienie, w którym występują bezradni i słabi.

Nie zachowałem ani jednego słowa z uprzykrzonych, wstrętnych ust ludzi starszych ani z zapleśniałych książek. We śnie spacerowałem nad ciemnym jeziorem z dziadkiem, a jego słowa przesycone były niepewnością. Widziałem, jak ze zmarłych opada cały fałsz.

Rozmawialiśmy swobodnie, a ja w duchu czułem się skromnie zaszczycony, spacerując z dziadkiem w głębi tego świata, w którym był

takim samym człowiekiem jak inni. Z węższego końca przecinki w jesiennym lesie obserwował, jak odchodzę do świata jawy, czuwania.

Jeśli nasi zmarli krewni zostaną uznani za świętych, to słusznie możemy się do nich modlić. Tak powiada Kościół, matka nasza. Nie mówi jednak, czy będą nam odpowiadać we śnie czy na jawie. Ani w jakim języku mogłyby się wypowiadać poronione dzieci. Częstszy gość.

Milczący. Szkielet niemowlęcia, cieniutkie, plamiste kosteczki, na których bruzdowanych fasetach widać resztki nieświeżego mięsa i strzępy szat pogrzebowych. Kości, które wypełniłyby najwyżej pudełko po butach, i bulwiasta czaszka. Na prawej skroni kasztanowatej barwy ślad w kształcie półksiężyca.

Suttree odwrócił się i leżał, patrząc w sufit, delikatnie dotykając opuszkami palców bliźniaczego śladu na swojej lewej skroni. Prawo drugiego syna. Lustrzane odbicie. Ordynarna kalka. Leży w Woodlawn, cokolwiek zostało tam jeszcze z tego dziecka, z którym dzieliłeś brzuch matki. Nie umiał mówić i nie widział, i teraz też nie mówi ani nie widzi.

Być może w jego czaszce jest teraz woda morska. Urodził się martwy i bezrozumny albo ze złośliwym guzem o straszliwym kształcie. Ale nie, bo byliśmy identyczni co do jednego włoska. To ja udałem się jego śladem na świat, ja. Poród pośladkowy. Tyłem do przodu, co często zdarza się u wielorybów i nietoperzy, zwierząt przystosowanych do życia w innym środowisku niż człowiek, których nic nie ciągnie do ziemi. No i modliłem się kiedyś za jego duszę. Wierząc, że ten upiorny cyrk ponownie zebrał się gdzie indziej już na zawsze. On w czyśćcowej otchłani pozbawionych Chrystusa, ale sprawiedliwych, ja w piekle na ziemi.

Przez cienkie i pełne nieszczelności ścianki słychać szamoczące się w tonącej łódce ryby. Znak wiary. Dwunasty dom niebios.

Odźwierny w zachodnim kościele. Święty Piotr, patron rybaków. A świętego Fiakriusza wzywają ludzie cierpiący na hemoroidy. Zasłonił

oczy ręką. Powiedział, że w innej epoce mógłby być rybakiem łowiącym ludzi, ale dzisiaj wystarczająco trudnym zadaniem wydają mu się ryby.

Zanim się obudził, nastał późny wieczór. Nie ruszał się, leżąc na szorstkim wojskowym kocu, i patrzył na koziołkujące i zapalające się na suficie liżące go plamy światła. Domek przechylił się nieznacznie, a Suttree poczuł czyjeś kroki na trapie i basowy łomot beczek. Nie, to nie złudzenie. Przez szpary w ścianie zobaczył idącego po trapie mężczyznę. Nieśmiałe pukanie, potem jeszcze raz.

Proszę, powiedział.

Buddy?

Odwrócił głowę. W drzwiach stał jego wuj. Suttree przeniósł

wzrok z powrotem na sufit, zamrugał powiekami, usiadł i opuścił nogi na podłogę. Wejdź, John, powiedział.

Wuj wszedł i rozejrzał się z wahaniem. Przystanął na środku kabiny, jakby zatrzymany w kadrze mglistego światła, zawisłego między oknem a jego przekrzywionym odbiciem na przeciwległej ścianie.

Przeraźliwie jasno oświetlona twarz bez wyrazu, wodniste, półprzymknięte oczy i obwisłe wahadła skórnych fałd na policzkach.

Nieznacznie poruszał rękami, przywołując na usta drewniany uśmiech.

Hej, chłopcze, powiedział.

Suttree siedział wpatrzony w swoje buty. Splótł ręce, rozłożył je i uniósł wzrok. Siadaj, powiedział.

Wuj rozejrzał się, odsunął jedyne krzesło i ostrożnie usiadł. No, odezwał się. Jak się masz, Buddy?

Jak widzisz. A ty?

Dobrze. Dobrze. Jak tam ci leci?

W porządku. Jak mnie znalazłeś?

Spotkałem Johna Clancy'ego w Eagles. Powiedział, że mieszkasz na wodzie czy coś w tym guście, to zacząłem szukać tu nad rzeką i znalazłem.

Uśmiechał się niepewnie. Suttree popatrzył na niego.

Powiedziałeś im, gdzie mieszkam?

Przestał się uśmiechać. Nie, nie, odrzekł. Nie. To twoja sprawa.

W porządku.

Od kiedy tu siedzisz?

Suttree chłodno obserwował pobłażliwe rozbawienie, na jakie silił

się wuj. Od kiedy wyszedłem, powiedział.

No, nic o tym nie słyszeliśmy. Dawno to było?

Co to znaczy: my?

Ja nie słyszałem. To znaczy nie byłem pewien, czy już wyszedłeś, czy nie.

Wyszedłem w styczniu.

Dobrze, dobrze. To co, wynajmujesz to czy jak?

Kupiłem.

No to dobrze. Wuj znowu się rozglądał. Nieźle. Kuchenka i w ogóle.

Co u ciebie, John?

Nie mogę narzekać. Wiesz.

Suttree

obserwował

go.

Wuj

wyglądał

jak

aktor

ucharakteryzowany na kogoś starszego od siebie. Miał siwe pasemka we włosach i twarz przypominającą glinianą maskę, pękniętą w lokajskim uśmiechu.

Dobrze wyglądasz, rzekł Suttree. Kącik jego ust wykrzywił

nerwowy tik.

No dzięki, dzięki. Próbuję dbać o formę. Cholerna wątroba nie jest w najlepszym stanie. Położył sobie otwartą dłoń na brzuchu i spojrzał w górę, na sufit, a potem za okno, gdzie cienie robiły się dłuższe, bo zbliżał się wieczór. W zimie miałem operację. Pewnie nie wiedziałeś.

Nie.

Oczywiście już z tego wychodzę.

W gorącej, niewielkiej izdebce Suttree wyczuwał zapach wuja, skisły odór nieświeżego ubrania pomieszany ze słabą wonią whisky.

Wokół gościa słodkie opary śmierci. Z tyłu w podświetlonej od zewnątrz zachodniej ścianie sęki w deskach świeciły krwawym, rozżarzonym blaskiem, niby oczy obserwujących wuja diabłów.

Zaproponowałbym ci coś do picia, ale nic nie mam.

Wuj uniósł otwartą dłoń.

Nie, nie, odpowiedział. Ja dziękuję, nie.

Wuj opuścił brew, patrząc na Suttree'ego. Widziałem twoją matkę.

Suttree nie odpowiedział. Wuj wyciągał papierosy. Podsunął mu paczkę. Papierosa?, zapytał.

Nie, dzięki.

Wuj potrząsnął paczką. Częstuj się.

Nie palę.

Kiedyś paliłeś.

Rzuciłem.

Wuj zapalił i wydmuchnął niebieski dym cienkim, żmijowym strumieniem w stronę okna. Dym zwinął się i rozpłynął w żółtym świetle. Wuj się uśmiechnął. Chciałbym dostawać dolara za każdym razem, kiedy rzucam palenie, powiedział. W każdym razie wszyscy mają się dobrze. Pomyślałem sobie, że powinienem ci o tym powiedzieć.

Nie sądziłem, że się z nimi widujesz.

Spotkałem twoją matkę w mieście.

Już mówiłeś.

No tak... Ale oczywiście nieczęsto tam bywam. Poszedłem na Boże Narodzenie. Wiesz. Zostawili dla mnie wiadomość w Eagles, żebym kiedyś wpadł, i nie wiem. Żebym wpadł kiedyś na obiad. Wiesz.

Nie chciałem do nich jeździć.

Nie mam o to do ciebie pretensji.

Wuj nieznacznie przesunął się na krześle. No, właściwie nie chodzi o to, że nie mogę się z nimi dogadać. Ja tylko...

Ty nie cierpisz ich, a oni ciebie.

Przez twarz wuja przemknął dziwny uśmieszek. No, rzekł. Ja chyba nie posunąłbym się aż tak daleko, żeby to powiedzieć. Chociaż oczywiście oni nigdy nic dla mnie nie zrobili.

Wiem coś o tym, odpowiedział ironicznie Suttree.

Pewnie tak, odparł wuj, kiwając głową. Zaciągnął się głęboko i zamyślił. Chyba jesteśmy do siebie trochę podobni, co, chłopcze?

On uważa, że tak.

Szkoda, że nie znałeś mojego ojca. Był wspaniałym człowiekiem.

Wuj niepewnie przyglądał się swoim dłoniom. Tak, powiedział.

Wspaniałym.

Pamiętam go.

Umarł, jak byłeś mały.

Wiem.

Wuj znowu się sztachnął. Musisz wpaść któregoś wieczoru do Eagles, powiedział. Mógłbym cię wprowadzić. W sobotę jest potańcówka i czasami przychodzą tam fajne babki. Aż byś się zdziwił.

Pewnie tak.

Suttree oparł się o ścianę z gołych desek. Kabinę wypełniał już niebieski zmierzch. Zerknął za okno, za którym latały lelczyki i stadko płochliwych jerzyków, ćwierkających nad rzeką.

Zabawny z ciebie gościu, Buddy. Nie wyobrażam sobie, żeby znalazł się na świecie ktoś tak diametralnie różny od twojego brata jak ty.

Od którego?

Co?

Pytałem, od którego.

Co od którego?

Od którego brata.

Wuj zachichotał nerwowo. Przecież masz tylko jednego. Carla.

Nie mogli dać jakoś na imię temu drugiemu?

Jakiemu drugiemu? O czym ty mówisz, do cholery jasnej?

O tym, który urodził się martwy.

Kto ci to powiedział?

Ja to pamiętam.

Kto ci powiedział?

Ty.

Nigdy w życiu. Kiedy?

Wiele lat temu. Byłeś wtedy pijany.

Nigdy w życiu nic takiego ci nie powiedziałem.

No dobrze. Nie powiedziałeś.

A co to za różnica?

Nie wiem. Zastanawiam się po prostu, dlaczego trzymaliście to w tajemnicy. Na co umarł?

Urodził się martwy.

Wiem o tym.

Nie wiem dlaczego. Po prostu nie żył i tyle. Obaj byliście wcześniakami. Przysięgasz, że to ja ci o tym powiedziałem?

Nieważne.

Nie powiesz im nic, dobrze?

Dobrze. Po prostu trochę sobie o tym myślałem. Na przykład co w takiej sytuacji mówi lekarz. Bo przecież trzeba zabrać ich obu do domu, tylko że jednego w torbie albo w pudełeczku. Ale pewnie mają ludzi, którzy się tym zajmują.

Tylko nic im nie mów.

Suttree pochylił się, wpatrzony w swoje tandetne, rozlatujące się buty, które leżały na krzyż na podłodze. Boże, John, nie bój się. Nie powiem.

Okej.

Nie mów im, że mnie widziałeś.

Okej. Zgoda. Umowa stoi.

Tak jest, John. Stoi.

I tak się z nimi nie widuję.

Już mówiłeś.

Wuj znów przesunął się na krześle i długim żółtym palcem szarpnął kołnierzyk koszuli. Mógł mi pomóc, wiesz.

Nigdy go o nic nie prosiłem. Naprawdę nigdy, na Boga. Mógł mi pomóc.

No ale nie pomógł, powiedział Suttree.

Wuj skinął głową, wbijając wzrok w podłogę. Wiesz, my naprawdę jesteśmy do siebie bardzo podobni, powiedział.

Nie wydaje się mi.

Pod pewnymi względami.

Nie, odpowiedział Suttree. Nie jesteśmy podobni.

Wiesz, chodzi mi o to... Wuj machnął ręką.

To jego teza. Ale ja nie jestem taki jak ty.

No, wiesz o co mi chodzi.

Doskonale. Ale nie jestem taki jak ty. Nie jestem taki jak on. Nie jestem też taki jak Carl. Jestem sobą. Nie mówcie mi, do kogo jestem podobny.

No zaraz, posłuchaj, Buddy, nie ma powodu...

A ja uważam, że jest. Ciebie też nie chcę tu widzieć. Wiem, że oni cię nie lubią, że on cię nie lubi. Niczego nie mam ci za złe. To nie twoja wina. Ja nic nie mogę zrobić.

Wuj spojrzał na Suttree'ego spod przymrużonych powiek. Nie masz powodu, żeby tak na mnie wsiadać, odpowiedział. Ja przynajmniej nigdy nie siedziałem w więzieniu, do jasnej cholery.

Suttree się uśmiechnął. W domu pracy przymusowej, John. To trochę co innego. Ale jestem, kim jestem. Nie chodzę i nie rozpowiadam na lewo i prawo, że leżałem w sanatorium dla gruźlików.

I co z tego? Nie twierdzę, że jestem abstynentem, jeżeli do tego pijesz.

Jesteś alkoholikiem?

Nie. Dlaczego się uśmiechasz? Nie jestem alkoholikiem, do jasnej cholery.

Zawsze nazywał cię pijusem. Ale to może nie jest tak obraźliwe jak alkoholik.

Guzik mnie obchodzi, co o mnie mówi. Niech go...

No, ulżyj sobie.

Wuj popatrzył na niego podejrzliwie, po czym pstryknięciem posłał maleńki niedopałek za drzwi. No tak, powiedział. On przecie nie wie wszystkiego.

Posłuchaj, odezwał się Suttree, pochylając się naprzód. Kiedy mężczyzna żeni się z kobietą z niższych sfer, jego dzieci też będą stać niżej od niego. O ile on w ogóle tak myśli. Może gdybyś nie był

pijakiem, spojrzałby na mnie inaczej. Ale w tej sytuacji ja budziłem zawsze wątpliwości. Spodziewano się, że nie wyrośnie ze mnie nic dobrego, a mój dziadek mawiał, że krew z krwi, kość z kości. To było jego ulubione powiedzenie. Na co się patrzysz? Patrz na mnie.

Nie wiem, o czym mówisz.

Owszem, wiesz. Mówię o tym, że mój ojciec mną gardzi, bo jestem z tobą spokrewniony. Nie sądzisz, że to prawda?

Nie wiem, czemu próbujesz mnie obarczyć winą za swoje kłopoty.

Ty i te twoje idiotyczne teorie.

Suttree wyciągnął nieznacznie rękę, bo wuj siedział tuż obok, i uspokoił jego rozedrgane, zwieszone dłonie. Nie mam ci niczego za złe, odezwał się. Chcę ci tylko powiedzieć, jacy bywają ludzie.

Wiem, jacy są ludzie. Powinienem wiedzieć.

Niby skąd? Przecież ty uważasz, że mój ojciec i jego rodzina to inna rasa człowieka. Możesz się śmiać z ich pretensji, ale nigdy nie kwestionujesz ich prawa do prowadzenia takiego życia, jakie prowadzą.

On wkłada spodnie dokładnie tak samo jak ja.

Gówno prawda, John. Wcale w to nie wierzysz.

Powiedziałem, co powiedziałem, nie?

A jak sądzisz, co on myśli o swojej żonie?

Żyją zgodnie.

Żyją zgodnie.

Tak.

John, ona jest gospodynią domową. A on w grancie rzeczy nie wierzy nawet w jej dobroć. Nie zauważyłeś, że dostrzega w niej te same żałosne cechy, które widzi w tobie? Nawet jej najbardziej niewinny gest może mu cię przypominać.

Nie mów, że jestem żałosny, powiedział wuj.

On pewnie uważa, że nie skończyła w burdelu tylko dzięki jego łaskawej pomocy.

Uważaj, chłopcze, mówisz o mojej siostrze.

To moja matka, płaczliwy pijanico.

W ciasnej kabinie zapadła nagła cisza. Wuj wstał, cały się trzęsąc.

Mieli rację, powiedział niskim głosem. Dobrze mi mówili. Mają rację co do ciebie. Jesteś okrutny. Podły i okrutny.

Suttree siedział z głową wspartą na rękach, a wuj ostrożnie skierował się ku drzwiom. Jego cień padł na Suttree'ego, który podniósł

głowę.

Może to jak daltonizm, odpowiedział. Kobiety są tylko jego nosicielami. Bo ty jesteś daltonistą, prawda?

Przynajmniej nie jestem wariatem.

Nie, odparł Suttree. Nie jesteś.

Zmrużone oczy wuja zdawały się łagodnieć. Niech Bóg ma cię w swojej opiece, powiedział. Odwrócił się, wyszedł na trap i ruszył po jego drewnianych deskach na brzeg. Gdy Suttree wstał i podszedł do drzwi, wuj w resztkach dziennego światła podążał już przez pola w stronę ciemniejącego miasta.

John, zawołał.

Wuj się obejrzał. Ale ten starzec wydawał się tak pogrążony we własnym świecie, że Suttree tylko podniósł rękę. Wuj skinął mu głową jak człowiek, który rozumie, o co chodzi, i poszedł dalej.

W kabinie zrobiło się prawie zupełnie ciemno, Suttree przespacerował się po niewielkim pokładzie, kopniakiem postawił stołek na nogi i usiadł, opierając się plecami o ścianę domku i kładąc nogi na relingu. Znad rzeki ciągnęła bryza, niosąca słaby zapach oleju maszynowego i ryb. Z żółtych baraków za bocznicą dobiegały nocne odgłosy i śmiech, a rzeka wsparta na drugim brzegu wysokim urwiskiem rozwijała się przed nim, posykując w ciemności u jego stóp jak piasek przesypujący się w klepsydrze, wiatr na pustyni, powolny odgłos rozkładu. Wcisnął kłykcie w oczy i oparł głowę na deskach. Były jeszcze ciepłe od słońca niczym słaby oddech na karku. Po drugiej stronie światła tartaku kładły się na czarnej wodzie, jakby poćwiartowane w perspektywicznym skrócie, a w dole rzeki, na moście, od brzegu do brzegu, ciągnął się łańcuch bliźniaczych lampek, które skrzypiały cicho pod łagodnymi uderzeniami wiatru. Zegar na wieży ratusza wybił wpół do którejś. Samotny dzwon w mieście. Świetlik tam.

I tam. Suttree wstał, splunął do rzeki, zszedł na ląd po trapie i ruszył

przez pole na drogę.

Szedł Fhmt Street, wdychając chłodne wieczorne powietrze, a przed nim rozciągało się zachodnie niebo o głębokiej cyjankowej barwie, na którym pojawiały się latające ślepo i kurczowo nietoperze, jak zarodniki na szkiełku laboratoryjnym. W ciemności wisiała stęchła woń gotowanych warzyw, a od domu do domu prowadziła go nić muzyki z radia. Mijał podwórka i wysypane żużlem ogrody, śmierdzące kałem gnieżdżących się w nich ptaków, ciemne groty wśród chat, gdzie narastała i cichła muzyka, i niezbyt jasno oświetlone okna, gdzie z popękanych i pożółkłych papierowych abażurów opadały wirujące cienie. Mijał śmierdzące drewniane nory, w których płakały dzieci, a tchórzliwe, na wpół wyleniałe psy podwórzowe ujadały, skradając się pod ścianami.

Wszedł na wzgórze, zmierzając na kraniec miasta. Drzwi do murzyńskiego zboru były otwarte. W środku łagodnie oświetlona sala.

Pastor, wyglądający jak kos z bajki, w garniturze i okularach w złotej drucianej oprawie. Suttree opuścił to parne i duszne piekło przy dźwiękach muzyki gospel. Chrapliwe głosy, ciemne szyje, przechylone i pokryte sieciami nabrzmiałych żył niczym spuchnięte końskie boki.

Przyglądał się im czasem w letnie wieczory, blady poganin siedzący na krawężniku przed domem modlitwy. Pewnego deszczowego wieczoru usłyszał tu nawet odbierane przez plomby w swoich zębach wiadomości i cichą muzykę. Umocnił się w spokoju, drążącym jego umysł, bo nawet fałszywa zapowiedź świata duchowego jest lepsza niż żadna.

Na górę po stromej kładce, rowkowanej dla lepszej przyczepności, wolna droga dla karaluchów. Zapukać do zamkniętych na zasuwę drzwi, pochylając się naprzód. Za zasłonką brązowe, gryzoniowate zęby Jimmy'ego Smitha. W zbutwiałej tkaninie jest dziura, którą przez lata prawdopodobnie wypalił jego oddech. Idzie długim korytarzem, oświetlonym jedną żółtozieloną żarówką, zwieszającą się z sufitu na drucie. Kapcie szurającego nogami Smitha chrypią na linoleum. Na końcu korytarza skręca, przytrzymuje drzwi. Obwisła żółta skóra na jego ramionach i piersi jest tak słabo ukrwiona i tak pomarszczona, że wydaje się pozszywany z kawałków i resztek ludzkich ciał, pokryty przecinającymi się szwami i starannie wciśnięty w pajęczynę swojej niemal nieważkiej, obrzydliwie utytłanej szarej koszulki. W małej kuchni siedzi przy stole dwóch mężczyzn i pije whisky. Trzeci opiera się o brudną lodówkę. Otwarte drzwi wychodzą na ganek, niewielki, wąski portyk z szarych desek, wiszący w ciemności nad rzeką. Obecność gości zdradzają unoszące się i opadające papierosy. Słychać śmiechy, do kuchni zagląda opuchnięta kurwa i zaraz wychodzi.

Czego się napijesz, Sut?

Piwa.

Mężczyzna opierający się o lodówkę nieznacznie przesuwa się na bok.

Co powiesz, Bud?, mówi.

Hej, Junior.

Jimmy Smith otwiera puszkę piwa i podaje ją Suttree'emu. Ten płaci, a właściciel wyciąga resztę ze swoich paskudnych spodni, odlicza monety na otwartą dłoń Suttree'ego i odchodzi, powłócząc nogami.

Kto jest na zapleczu?

Kupa pijaków, jak to na zapleczu. I Brother.

Suttree wlał do gardła łyk piwa. Było zimne i smaczne. No dobrze, powiedział. To pójdę i z nim pogadam.

Skinął głową obu mężczyznom przy stole, minął ich, wyszedł na korytarz i wkroczył do ogromnego, starego salonu o wysokich, rozsuwanych drzwiach, które już dawno temu unieruchomiła zaschnięta w szynach farba. Przy stole siedziało pięciu klientów i żaden nie podniósł wzroku, kiedy Suttree wszedł. Poza tym pokój był pusty, jeżeli nie liczyć zasłoniętego arkuszem blachy białego marmurowego kominka oraz wysokiego, kasetonowego, rokokowego sufitu, zdobionego sztukaterią w kształcie zwojów pergaminu i kropelkami lutu wokół

lampy gazowej, w której teraz paliła się żarówka.

Pokerzyści,

otoczeni

w

tym

obłąkanym

ascetyzmie

pozostałościami dawnej świetności, również przypominali cienie z dawnych czasów albo nieokrzesanych oszustów, udających aktorów na scenie. Pili, zgłaszali stawki i mruczeli pod nosem z jakby elektryczną ulotnością, starcy w zarękawkach, ocaleni z jakiejś poplamionej, sepiowej fotografii, spędzający czas na grze w karty, nieświadomi swojego zbliżającego się, już mgliście zapowiedzianego losu. Suttree przeszedł przez cały pokój.

We frontowym pomieszczeniu stała na stosach cegieł tylko stara kanapa, nic poza tym. Z tyłu sterczała chwiejna sprężyna, na której zwojach tkwiła puszka po piwie, a na pozbawionym nap głębokim siedzisku w mysim kolorze siedział szereg moczymordów.

Hej, Suttree, zawołali.

Do diabła, powiedział J-Bone, wyłaniając się z wnętrzności kanapy i obejmując Suttree'ego ramieniem. To mój stary kumpel, powiedział.

Gdzie whisky? Dajcie mu łyka tego cholernego, porąbanego świństwa.

Jak leci, Jim?

Staram się przelecieć każdą, która się nawinie, no co ty, nie wiesz?

Gdzie ta whisky? Masz. Napij się, Bud.

Co to jest?

Stare Czasy. Najlepsza kochanieńka gorzałka na świecie. Napijże się, Sut.

Suttree podniósł flaszkę pod światło. W oleistej cieczy kłębiły się maleńkie gałązki, osad i paprochy. Potrząsnął butelką, a wtedy z żółtego dna wzbił się w górę jakby słup dymu.

Niech to nagły szlag trafi, powiedział Suttree.

Najlepsza kochanieńka gorzałka na świecie, powtórzył śpiewnie J-Bone. Napij się, Bud.

Suttree zerwał sznurek i lak, powąchał zawartość butelki, zadrżał i się napił.

J-Bone objął pijącego.

Patrzcie, jak pije kochany Suttree, zawołał.

Suttree zacisnął powieki najmocniej, jak tylko mógł, i wyciągnął

rękę z butelką, żeby ktoś ją od niego wziął.

Cholera jasna. Co to za gówno?

Stare Czasy, krzyknął J-Bone. Najlepsza kochanieńka gorzałka na świecie. Pijesz, a jutro rano w ogóle nic nie poczujesz.

I nie tylko jutro.

Uuu, Boże, daj ją tutaj. Cześć, Stare Czasy, chodźcie do swojego kochanego tatusia.

Nalej mi trochę do kubka, rozcieńczę ją coca-colą.

Nie da rady, Bud.

Dlaczego nie?

Jużeśmy próbowali. Taka mieszanka przeżera dno.

Uważaj, Suttree. Nie rozlej whisky na buty.

Hej, Bobbyjohn.

Kiedy wychodzi Callahan?, zapytał Bobbyjohn.

Nie wiem. W tym miesiącu. Widziałeś może Bucketa?

Bucket, znaczy się, wyjechał do Burlington. Już tutaj nie przychodzi.

Chodź siednąć z nami, Sut.

J-Bone wziął go pod ramię i poprowadził na miejsce.

Siednij, Bud. Siednij.

Suttree przysiadł na oparciu kanapy i popijał piwo. Poklepał

J-Bone'a po plecach. Głosy wydawały się cichnąć. Machnięciem dłoni i z uśmiechem odmówił przyjęcia butelki whisky. W wysokim, ogołoconym pokoju z popękanym, pokrytym smugami sadzy tynkiem, pod którym rysowały się kształty desek, w towarzystwie ludzi skazanych na zagładę. Gdzie życie pulsowało nieprzyzwoitą płodnością.

Wśród unoszących się swobodnie głosów, śmiechu i odoru skisłego piwa powoli sączyła się niedzielna samotność.

Nieprawda, Suttree?

Co?

Że pod całym miastem pełno jest jaskini.

Prawda.

A cożesz tam w nich jest?

Ślepy śluz. Jako w górze, tak i na dole. Suttree wzruszy!

ramionami. Nic nie wiem na ten temat, dodał. To po prostu jaskinie.

Podobno jest jedna, co normalnie biegnie prosto pod rzeką.

To ta, co wychodzi spod ziemi w Chilhowee Park. Pono w czasie wojny secesyjnej chowali tam różne rzeczy.

Ciekawe, co tam teraz jest.

Ja gówno o tym wiem. Spytajże Suttree'ego.

Myślisz, Sut, że można się jeszcze dostać do tych jaskini z wojny secesyjnej?

Nie wiem. Zawsze słyszałem, że jest taka, co biegnie pod rzeką, ale nigdy, żeby ktoś do niej zszedł.

Mogą tam normalnie leżeć jakie pamiątki wojenne.

A oto jedna z nich, odezwał się J-Bone. Co powiesz, Nigger?

Suttree spojrzał w stronę drzwi, skąd przyglądał im się okularnik o ziemistej cerze. Nico, odpowiedział. Siemacie, chłopaki. Co pijeta?

Jim powiada, że to Stare Czasy.

Napijże się, Nig.

Mężczyzna podszedł po whisky, szurając nogami. Skinął

wszystkim głową, a jego oczka poruszały się gwałtownie za okularami.

Chwycił flaszkę i pił, aż zagrała mu obwisła grdyka. Kiedy odstawił

butelkę, miał zamknięte oczy, a jego twarz przypominała wykrzywioną maskę.

Uuuf! Nigger posłał łatwopalny chuch w kierunku swoich uśmiechniętych i obserwujących go przyjaciół. Co to jest, Panie Boże?

Stare Czasy, Nig, zawołał J-Bone.

Raczej stare groby.

Słodki Jezu, wiem, że normalnie robią tą wódę we wannie, ale to pędzili chyba w kiblu. Okularnik przyglądał się butelce i potrząsnął nią.

Przez płyn koloru przydymionej benzyny wzbijały się na powierzchnię bąbelki powietrza wielkości grubego śrutu.

Ale można się tym upić, powiedział J-Bone.

Nig pokręcił głową, odetchnął, pociągnął kolejny łyk i oddał mu butelkę, boleśnie wykrzywiając twarz. Kiedy odzyskał głos, rzekł: Chłopacy, już parę razy walczyłem z ohydną whisky, ale tego właściwie nie da się pić i jestem brudnym czarnuchem, jak nie mam racji.

J-Bone machnął butelką w stronę drzwi, gdzie z szerokim uśmiechem stanął Junior.

Nie chcesz się napić, bracie?

Junior pokręcił głową.

Posuńcie się, chłopcy, niech stary Nigger sobie klapnie.

Tutaj, Nig, tu siednij. Posuń się jeszcze, Bearhunter.

Boże, chłopaki, jaki żem skonany. Nigger zdjął okulary i otarł

załzawione oczy.

Co porabiasz, Nig?

Próbowałżem zebrać trochę grosza na Bobby'ego. Odwrócił się i podniósł wzrok na Suttree'ego. Czy ja cię nie znam?, zapytał.

Wypiliśmy kiedyś razem parę piw.

Tak mi się właśnie zdawało, że skądeś cię pamiętam. Znałżeś Bobby'ego?

Widziałem go raz czy dwa.

Nigger potrząsnął głową z namysłem.

Wychowałżem czterech chłopaków i niech mnie szlag trafi, jak wszyscy oprócz Ralpha nie siedzą we więźniu. Oczywista wszyscy trafilimy do Jordonii. Raz zapakowały mnie tu do domu pracy, ale żem uciekł. Strażnikiem był tam wtedy stary Blackburn, znał mnie, ale w ogóle się do

mnie nie odzywał. Byliście kiedy w Jordonii? Clarence gada, że dzisiaj to nic takiego. Ale kiedy ja żem siedział, chłopaki, było tam gorzej niż źle. Choć oczywista nie posyłali tam człowieka za śpiewanie w chórze. Siedziałżem trzy lata za kradzieże. Chciałem, coby dały mnie do TSI, gdzie uczą zawodu, ale trzeba było być leniuchem, coby się tam dostać, a ja żem podobno nie był leniwy. Miałem osiemnaście lat, jakem wyszedł z tego pudła w Jordonii, a było to w dziewięćset szesnastym. Żałuję, ale nie rozumiem moich chłopaków.

Drogo mnie kosztowali. Wydałżem osiemnaście tysięcy dolarów, coby ich wydostać. Ich dziadek nigdy nie popadł w żadne kłopoty i dożył

osiemdziesięciu siedmiu lat. Pił, i owszem, tako jak ja. Ale nigdy nie weszedł w konflikt z prawem.

Napijże się, Sut.

Butelkę przejął Nigger.

Znasz Jima? Wspaniały chłopak. Nie myśl zaś, że nie. Chciałbym, coby w McAnally Flats było więcej takich jak on. Znałem jego ojczulka.

Był niższy niż Junior, co tam stoi. Chwileczkę. Uff. Niech to szlag trafi, co to za whisky. Nic nigdy nikomu nie wziął, znaczy Irish Long.

Pamiętam, przyszedł raz sobie do Woolen Mili Corners, jak to nazywali.

Wiesz, gdzie to jest, Jim. Tam, gdzie ta kafejka dla robotników.

Przyszedł w niedzielę rano i szukał jakiegoś faceta, a dookoła kręciła się banda takich bydlaków pod szopą, co to tam kiedyś stała, wy, chłopcy, nie możecie już jej pamiętać, żłopali łychę i byli kumplami tamtego, a Irish Long podeszedł do nich i spytał się, gdzie on jest. Nie chcieli mu powiedzieć, ale żaden z tych bydlaków się nie zapytał, czego Long od niego chce. Potrafił wybatożyć człowieka na śmierć, jak mu kto podpadł. Ale w McAnally nie było lepszego człeka, takie miał dobre serce. Rozdawał wszystko, co miał. Jakby chciał, to byłby bogaty. Miał

nawet parę sklepów. A ludziom brakowało forsy, nie mieli na jedzenie.

Wy, chłopcy, nie pamiętacie kryzysu. Więc Long gadał, coby se brali, co im potrzeba, i tyle. Mąkę i pyry. Mliko dla dzieciaków. Nigdy nikomu nie odmawiał, taki był Irish Long. Mieszkają dzisiaj w tym mieście w wielkich domach ludzie, co to jak nic pomarliby z głodu, gdyby nie on, chociaż nie stać ich na to, coby się do tego przyznać.

Lepiej weź się napij, Sut, bo Nigger wszystko wypije.

Dajcie pić Bearhunterowi, odpowiedział Suttree.

A może tak dalibyście pić Bobbyjohnowi, odezwał się Bobbyjohn.

Ten to się napije, powiedział Nigger. Nie myślcie, że nie.

I ja też, wtrącił J-Bone.

I ja, niech mnie cholera, powiedział Nigger.

Jimmy Smith chodził po pokoju niczym olbrzymi, tresowany kret, zbierając puste puszki. Wyszedł, powłócząc nogami i mrużąc oczka. W

progu stanął Kenneth Hazelwood, przyglądając się zebranym z sardonicznym uśmiechem.

Chodź no tu, Worm, zawołał J-Bone. I napijże się dobrej whisky.

Hazelwood wszedł z uśmiechem do środka i wziął butelkę.

Przechylił ją, powąchał i oddał.

O mało żem nie wykorkował, jakem wypił ostatnim razem to gówno. Śmierdziałem cały na wylot. Leżałem przez cały dzień we wannie z gorącą wodą, wyszłem, wytarłem się i ciągle było mnie czuć.

Musiałem spalić ubranie. Rzygałem żółcią, miałem sraczkę, trzęsionkę i paraliż. Nawet teraz źle się czuję, wystarczy, że o tym pomyślę.

Do diabła, Worm, to niezła łycha.

Ja pasuję.

Worm obszczekuje moją whisky, Bud.

Lepiej ją odstaw, bo padniesz. Któregoś ranka znajdziesz swoją wątrobę w skarpecie.

Ale J-Bone odwrócił się z radosnym okrzykiem. Stare Czasy, zawołał. Jak ktoś je pije, to mu wątroba gnije.

Hazelwood uśmiechnął się szeroko i odwrócił do Suttree'ego.

Nie możesz się nim coś lepiej opiekować?, zapytał.

Suttree pokręcił głową.

Ja i Katherine jedziemy do Trocadero. Chodź z nami.

Powinienem wracać do domu, Kenneth.

Chodź, pojedź z nami. Odwieziemy cię z powrotem.

Pamiętam, jak ostatnio wybrałem się z wami na przejażdżkę. Przez was wdaliśmy się w trzy bójki, wyważyliście kopniakami drzwi jakiejś kobiecie i trafiliście do pudła. Wiałem przez podwórka, mało nie zawisłem na sznurze do bielizny, goniło mnie stado psów, wszędzie dookoła reflektory i gliny, i w końcu spędziłem noc w rurze z blachy falistej razem z jakimś kotem.

Worm się uśmiechnął.

No chodź, powiedział. Wypijemy drinka i zobaczymy, co się tam dzieje, no nie.

Nie mogę, Kenneth. Zresztą nie mam ani grosza.

Ja żem cię nie pytał, czy masz forsę.

Hej, Worm, widziałeś naszego kochanego Crumblissa dzisiaj rano w gazecie?

A co on znowu nabroił?

Znaleźli go dziś koło szóstej rano pode drzewem na wielkim polu lucerny. Wjechał w jedyne drzewo, co rosło na tym polu. Podobnież jak przyjechali gliniarze i otworzyli drzwi, Crumbliss wypadł z auta i leżał

bez ruchu na ziemi. Potem zaraz podniósł wzrok, zobaczył niebieskie mundury, wyskoczył, zaczął wrzeszczeć i powiedział: Gdzie jest ten facet, co to go wynająłem, coby mnie odwiózł do domu?

Suttree wstał z szerokim uśmiechem.

Nie uciekaj, Sut.

Muszę już iść.

Dokąd?

Muszę coś zjeść. Do zobaczenia wam wszystkim.

Jimmy Smith podszedł, żeby odprowadzić Suttree'ego do drzwi długim korytarzem, kret i jego gość, otwarcie drzwi z siatką przeciwowadzią i wyjście przez nie w noc.

Jest pochmurno, będzie padać, a światła miasta obmywają zaciągnięte niebo i leżą w kałużach na mokrych czarnych ulicach. Na Locust Street oddala się polewaczka, pozostawiając za sobą ulicznych lokajów w podartych płaszczach nieprzemakalnych, którzy machają miotłami w zalanych wodą ściekach, a powietrze jest gęste od woni mokrych chodników. Nieliczne odgłosy rozbrzmiewają echem w nocnej pustce niczym w amforze, a miasto spoczywa w spokoju, objęte nim jak nakazem. Budynki pochylają się nad ciemnymi, wyciszonymi korytarzami ulic, w których kolejne minuty odmierzane są krokami stróżów. Dalej czarne, pozamykane na kłódki sklepy. Wystawa drobiarza, na której na wpół oskubane koguciki drzemią w nieustannym błękicie brzasku. Zegary i dzwony biją samotnie w

zadumanym, pogrążonym w głębokim śnie mieście. Na Market Street wybebeszone, rdzewiejące ciężarówki w kałużach sflaczałych opon na asfalcie.

Zniknęły kwiaty i owoce, a w kratkach ściekowych nie zalegają dekoracje zwiędłych warzyw. W rozproszonym świetle latarni ucho białej ceramicznej filiżanki zwinięte niczym śpiący ślimak.

W recepcjach obskurnych hoteli portierzy i boye hotelowi przysypiają na krzesłach i kanapach, a ich ciemne, uśpione twarze osuwają się po wytartym pluszu koloru czerwonego wina. W pokojach leżą pijani żołnierze, którzy wrócili do domu, z rozrzuconymi ramionami na pomiętych kołdrach wyglądają jak ludzie poddani bezbolesnemu ukrzyżowaniu, i kurwy także już śpią. Drobne rybki tropikalne ruszają gwałtownie i nieruchomieją w zielonych niczym mech głębinach akwarium w oknie gabinetu okulisty. Ryś na dwóch łapach wydaje się wydawać woskowe warknięcie. Ze szwów w skórze jego brzucha sypią się smużki trocin, a szklane oczy zwierzaka są wybałuszone z bólu. Ciemna tawerna, wylot alejki, gdzie zieją kubły na śmieci i gdzie we śnie zatrzymał mnie kiedyś człowiek, którego wziąłem za mojego ojca, ciemna postać na tle skrytej w cieniu ściany z cegieł.

Chciałem go wyminąć, ale powstrzymał mnie ręką. Szukałem cię, powiedział. Wiatr był zimny, jak zazwyczaj we śnie, a ja się spieszyłem.

Chciałem się wycofać, zostawić za sobą zarówno jego, jak i ten kościsty uścisk. Nóż, który tamten człowiek trzymał w ręku, przecinał blade światło latarni jak chudego tasergala, a odgłos naszych kroków rozbrzmiewał w pustce ulic do wtóru echa rozproszonych tłumów.

Jednak to nie mój ojciec, lecz mój syn zaczepił mnie tak bez żadnych złych intencji.

Sygnalizacja świetlna na Gay Street jest wyłączona. Szyny tramwajowe połyskują w swoich łożach, a ulicą z przeciągłym szmerem opon przejeżdża spóźniony samochód. Pod długimi arkadami stacji autobusowej kroki rozbrzmiewają echem jak śmiech. Suttree maszeruje w ciemności w stronę swojego maszerującego w ciemności odbicia w szklanych drzwiach

dworca. Jego sobowtór wyłania się po drugiej stronie życia niczym autoskopowa halucynacja, Suttree i anty-Suttree, ręka wyciągnięta w stronę ręki. Drzwi ustąpiły i wszedł do poczekalni.

Kształty postaci śpiących na drewnianych ławkach jak brudna bielizna do prania. W męskiej toalecie opierał się o ścianę podstarzały pederasta.

Suttree umył ręce, wyszedł, minął automaty do gier zręcznościowych i podszedł do baru. Usiadł na stołku i zaczął

przeglądać jadłospis. Kelnerka stała, postukując ołówkiem o bloczek rachunkowy, który trzymała w ręku.

Suttree podniósł wzrok. Kanapkę z serem z grilla i kawę.

Zapisała. Patrzył.

Wyrwała kartkę z bloczku, położyła ją zamówieniem na dół na marmurowej ladzie i poszła. Przyglądał się zarysowi jej bielizny pod cienkim białym fartuchem. Na zapleczu kafejki w stukocie parujących naczyń pracował młody Murzyn. Suttree przetarł oczy.

Kelnerka wróciła z kawą i postawiła ją przed nim z cichym brzękiem, a wtedy napój wylał się na spodek nad brzegiem różowego plastikowego kubka. Suttree wlał kawę z powrotem i zaczął pić.

Cierpkość spalonych skarpet. Kelnerka wróciła z serwetką i łyżeczką.

Wokół jej pulchnego palca zaciskał się mocno pierścionek ze złocistymi kwiatami pomarańczy. Suttree znów pociągnął łyk kawy. Po kilku minutach kelnerka przyniosła kanapkę. Na moment podniósł do nosa pierwszy kawałek pieczywa i poczuł aromat chleba tostowego, masła i rozpuszczonego sera. Odgryzł ogromny kęs, wessał do ust nadziany na wykałaczkę korniszon i zamknął oczy, jedząc.

Kiedy skończył, wyciągnął z kieszeni ćwierćdolarówkę, położył ją na ladzie i wstał. Kelnerka przyglądała się mu zza urny ekspresu do kawy.

Chce pan jeszcze kawy?, zapytała.

Nie, dziękuję.

Zapraszamy ponownie, powiedziała.

Suttree pchnął drzwi ramieniem, trzymając jedną rękę w kieszeni, a drugą dłubiąc w zębach wykałaczką. Z pobliskiej ławki podniosła się jakaś postać, przypatrując się mu kaprawymi oczami, po czym opadła z powrotem.

Szedł wzdłuż Gay Street, przystając przed wystawami, luksusowe towary pod szkłem. Ulicą powoli przejechał policyjny radiowóz. Suttree ruszył dalej, kątem oka obserwując przyglądających się mu policjantów.

Minął Woodruff's, Clark & Jones i kina. Na rogach ulic nie było już gazeciarzy i szeleszczących na wietrze śmieci. Dotarł do granicy miasta, wszedł na most, oparł się rękami o chłodny żelazny reling i spojrzał na płynącą w dole rzekę. Światła mostu drżały w czarnej, wirującej wodzie niczym spętani łańcuchami, płonący błagalnicy, a nad brzegiem, nad popielatymi łąkami turzycy snuła się szara mgła, buszująca już pośród zabudowań. Splótł ręce na relingu. Przed nim słabo oświetlone nieużytki, usiane prymitywnymi, bezplanowo porozstawianymi drewnianymi domkami. Chałupy opalane chrustem, ogrody ruty.

Pstrokacizna dachów, opadających ukośnie pod bladobłękitnymi stożkami świateł latarni, gdzie mdlącymi spiralami wzbijają się w górę ćmy. Poletka kukurydzy, krzywe granice bruzd ornych w martwych przestrzeniach, ukształtowanych przez ciasnotę i niedostatek, podobnie jak życie mrocznych i zgorzkniałych oraczy, którzy z całej wielkiej spiżarni ziemi mają dla siebie jedynie te skromne zbiory.

Zaczął kropić drobny deszcz, którego chłód poczuł na ręce. W dole rzeki powrotne prądy przybrzeżne wzbudzały w ramie światła falę za falą, przypominającą srebrzysty skrzek albo ikrę. Spaść przez ciemność w mrok. Szamotać się w tych mętnych, fekalnych głębinach, gdzie jest góra, gdzie dół. Aż brunatne ścieki dostaną się do płuc i dziwne światełka ruszą w drogę ostatnimi korytarzykami mózgu niczym mikroskopijni strażnicy, sprawdzający, czy przed adwentem wiecznej nocy panują spokój i cisza.

Ratuszowy zegar wybił drugą. Suttree podniósł głowę. Widać oświetloną tarczę wiszącą nad miastem, ale brak choćby cienia, który wskazywałby na istnienie wieży. Staroświecki zegar zawieszony w próżni jak dziwny, hieroglificzny księżyc. Suttree wytarł deszcz z twarzy. W pływającym domu Abednego Jonesa zgasło przydymione żółte światło w oknie. Poniżej widział też zarys swojego domu, do którego musi wrócić. Wysoko nad ziemią w dole rzeki zadrżała bezgłośnie błyskawica i znikła. Odległe, oświetlone na brzegach chmury. Żółtozielone światło. Czy za kulisami świata kryją się smoki?

Deszcz padał coraz mocniej, wokół Suttree'ego i do rzeki. Zacinający deszcz, pochyły w świetle latami na tle tarczy zegara. Nielitościwa pogoda, powiada starzec. Może i tak. Otulcie mnie w słońce, deszcze i śniegi ziemi, a stanę się jeszcze twardszy, bardziej nielitościwy. Krople deszczu będą się odbijać od mojej twarzy jak kamienie.

2

Wyszedł z podwórka na tyłach domu, klucząc wśród porzuconych, zepsutych i bezużytecznych przedmiotów, murszejących w słońcu późnego lata. Stare opony, cegły i potłuczone słoje. Zardzewiały karmnik dla kurczaków. Zmarszczył nos, czując unoszący się w powietrzu ostry zapach wody z mydlinami, i rzucił niesionym w ręce kamieniem w uwiązaną kozę. Zwierzę podniosło łeb znad trawy, przyjrzało mu się dziwnymi, kozimi oczami i opuściło łeb, żeby się dalej paść. Okrążył dom i wszedł na ganek, gdzie dygotała i bulgotała zielono-biała pralka, nad którą stała młoda kobieta z pokrytą mydlinami kijanką w zaciśniętych rękach, jak gdyby wyzywając pierwszą nieposłuszną sztukę bielizny, by wynurzyła się z jasnoniebieskiej, pozbawionej piany wody, w której miesiło się pranie z całego tygodnia.

Witaj, powiedział.

Poruszyła się, spomiędzy gąbczastych zmarszczek kijanki pod naciskiem rąk praczki woda ściekała do czarnego bajora pod jej nogami.

Nie spojrzała w jego stronę i nie odpowiedziała.

Nie było tu starego Orville'a, co?

Położyła kijankę na pralce, a urządzenie w rytm jej drgań zaczęło tworzyć zlewające się ze sobą, zamazane obrazy i powoli zsuwać się na bok. Otarła czoło rąbkiem fartucha.

Nie, odparła. Nie było.

Popatrzył w stronę otwartych drzwi domu.

Czego ona znowu chce?, zapytał.

A ciebie co to obchodzi?

Ino się pytam.

Nie odpowiedziała. Wsparł nogę na ganku i splunął, spoglądając w dal nad martwym, gliniastym podwórzem, ale nie patrząc na nic.

Kijanka spadła na deski i kobieta pochyliła się, podniosła ją i zaczęła ugniatać ubrania, a jej rozkołysane piersi podskakiwały wraz z każdym ruchem ramion. Niebieska, pełna grudek mydła woda spływała z ganku, tworząc kałużę szarego paskudztwa. Nie poruszył się, kiedy na niego spojrzała. Odrzuciła włosy i zgięła ramię, by zetrzeć pot z górnej wargi. Wydęła usta i zdmuchnęła włosy, które opadały jej na oczy.

Może byś mi tak powyrywał trochę chwastów z pomidorów, jak nie masz nic innego do roboty, powiedziała.

Usiadł odwrócony przodem w stronę podwórka. Wsunął palec do ucha i zaczął w nim wiercić, a kobieta znowu pochyliła się nad pralką.

Po chwili z głębi domu ponownie rozległo się piskliwe wołanie.

Kobieta znieruchomiała i spojrzała na niego. Zobacz, czego ona chce, dobrze?

Splunął. Ja tam jej stróżem nie jestem, odpowiedział.

Wyjęła z wody zbielałe, pomarszczone ręce i wytarła je w sukienkę. W porządku, mamo, zawołała. Chwileczkę.

Kiedy wróciła na ganek, wisiał na zgiętych w łokciach ramionach na płocie z drucianej siatki, biegnącym wzdłuż uliczki, na którą wychodził ich dom, i rozmawiał z jakimś chłopakiem, z którym po chwili gdzieś poszedł. Wrócił na kolację, znowu wyszedł i tym razem nie było go aż do zapadnięcia zmierzchu. TUŻ przed północą usłyszała, że wychodzi raz jeszcze.

Nasłuchiwał pod jej drzwiami, a potem przeszedł do salonu, gdzie usiadł na rozkładanej kanapie bez poręczy i włożył buty. Po chwili wyszedł w ciepłą sierpniową noc, gęstą i soczystą. Drzwi zamknęły się z cichym zawodzeniem sprężyny spowalniacza, a on ruszył ścieżką do furtki i

wyszedł na ulicę. Na rogatkach przez cienkie podeszwy butów wyczuł ciepło, które słońce oddało nawierzchni za dnia, i czuł jej piżmowy zapach, nieco przypominający środek dezynfekcyjny. Potem ruszył truchcikiem w górę ulicy.

Biegł samotny w świetle księżyca po głęboko uśpionej okolicy, poruszając się bezszelestnie w butach na miękkich, wytartych podeszwach, mijając martwe domy i ciemną ziemię wśród woni dojrzałych, wilgotnych owoców, tchnących swoim aromatem na polach, i krzyków ptaków, skrytych w wieżach olbrzymich drzew. Droga prowadziła pod górę, wychodziła z lasu i biegła dalej przez pola, gdzie zwolnił i zaczął iść. Trzymał ręce wsunięte w kieszenie na biodrach, pracując łokciami, jakby to były skrzydła. Skręcił w piaszczystą drogę w prawo, sunąc cicho jak pies, wciągając w nozdrza odurzający zapach trawy i kurzu oraz pyłu, który rosa osadziła na ziemi.

Przeszedł przez tory kolejowe i zanurzył się w zaroślach po drugiej stronie, po drodze wycierając nos rękawem i rozglądając się wokół, minął wysoką skarpę porośniętą kapryfolium, a potem ruszył przez spłacheć trzciny i w końcu znalazł się na skraju pola, gdzie stare ślady jego stóp wycisnęły w glinie widoczną w ciemności bruzdę, a jego nie rzucająca cienia postać rysowała się niewyraźnie na tle kęp sumaka i sasafrasu. W głębi widział w zupełnym mroku odcinający się na tle rozgwieżdżonego nieba dom, nad którym górowała nienaturalnie potężna stodoła. Szedł wzdłuż bruzd w zoranej z trudem ziemi, pomiędzy szpalerami kukurydzy o kolbach jasnobrązowych niczym muszle, obijających się o jego ramiona dorodnymi ziarnami, aż dotarł na otwarte pole, na którym rosły arbuzy.

Nie zajmowały więcej niż ćwierć akra, długi, graniczący z polem kukurydzy czarny prostokąt, na którym w skąpym świetle gwiazd późnego lata widział pękate, ciężkie owoce, śpiące na wyraźnie pooddzielanych grządkach. Wytężył słuch. W oddali ujadał pies, ale w jego czułych uszach rozbrzmiewał jedynie nieustanny odgłos latających chaotycznie komarów. Ukląkł na żyznej, parującej ziemi, a jego nozdrza wypełnił winny zapach popękanych arbuzów. Zakraść się do ich leża i dotykać ich ciepłych, dojrzałych kształtów, scyzoryk otwarty. Podniósł

jeden arbuz, odwracając go jasnojadeitowym brzuchem do góry.

Wciągnął sobie owoc między kolana i zatopił w niego ostrze od dołu.

Zsunął z barków ramiączka ogrodniczków. Jego blade nogi zgięte w kolanach w kałuży drelichu.

Kiedy rozległo się nawoływanie lelka, przyłożył ucho do ziemi, zwracając się w tamtą stronę, i usłyszał także pociąg. Po nieboskłonie spadała długim łukiem umierająca gwiazda. Podniósł głowę i spojrzał w kierunku domu. Nic się nie poruszało. Pociąg nadjechał, a jego gwizd, przywodzący na myśl harpie, unosił się jeszcze jękliwie przez chwilę w samotnej letniej nocy. Koła stukały na szynach i poczuł, jak drży ziemia, usłyszał zmienny szum wagonów na przejeździe, zasapane tchnienie parowozu, grzechot, szczęk, łoskot kół, klekotanie złączek, a potem ostatni przeciągły odgłos składu toczącego się w dół zbocza w dal, niski jęk, niosący się nad uśpioną ziemią i stopniowo milknący, a w końcu ostatnie stuknięcie kół wagonu brekowego i ciszę. Wstał, poprawił

ubranie i ruszył z powrotem skrajem kukurydzianego pola do lasu, na drogę, po czym skierował się w stronę domu.

Ciężkie buty z cholewami na ścieżce pozostawionych przez niego śladów. Podchodzi, odwraca się, zawraca. Trąca nogą zaszpuntowane, leżące na słońcu arbuzy. Wokół rozlewa się powolny strumień czarnych mrówek. Żółto-czarna osa.

Tego wieczoru znowu tam poszedł. Siedzący na skraju pola na śliwie daktylowej przedrzeźniacz zagwizdał, każąc mu zawrócić, ale nie chciał go słuchać. Minął szeregi kukurydzy i wkroczył na ciemne pole arbuzów, cały zesztywniały z nieskrywanej chuci. Tylko raz zerknął w kierunku nieoświetlonego domu, po czym opadł na kolana na żyzną, ilastą czerwoną ziemię, której pożądliwość mogłoby zaspokoić jedynie wino.

Gdy światło reflektora przecięło pole, leżał na brzuchu na arbuzie, z opuszczonymi do kolan spodniami. Snop światła przesunął się obok, zatrzymał i zawrócił, nieruchomiejąc na jego alabastrowych pośladkach, majaczących w ciemności niczym księżyc. Wyprostował się, blady i nieważki jak ponure telluryczne widmo, stanął nad zgwałconym owocem, straszliwie machając rękami, i rzucił się do ucieczki przez pole, szamocząc

się wściekle w fałdach starych, śmierdzących drelichowych spodni, w które zaplątały się mu nogi.

Stój, zawołał ktoś.

Nie miał zamiaru usłuchać takiego wezwania. Wokół chrzęściły suche paprocie, porastające pola na obrzeżach. Przebiegł trzcinowisko coraz mniejszymi kroczkami, pełnym wdzięku skokiem pokonał

kapryfolium na skarpie i błysnął na drodze w reflektorach samochodu, który wyjechał właśnie zza zakrętu. Hamującym autem zarzuciło na żwirowej nawierzchni. Jakaś oszalała postać, podciągająca w biegu spodnie, wypadła na drogę jak bomba z ciemnej ściany letniej zieleni. W

oddali gwizdnął pociąg, żeby przejechać krzyżówkę.

Wśród grządek krążyły dwie pary ciężkich butów.

Normalnie nie uwierzysz.

Znając cię jako urodzonego kłamcę, pewnikiem nie.

Ktoś dyma moje arbuzy.

Co?

Powiedziałem, że ktoś...

Nie. Nie. Do diabła, nie. Niech cię diabli, ty naprawdę masz coś z głową.

Mówię ci...

Nie chcę tego słuchać.

Patrzaj się tu...

I tutaj...

Szli skrajem pola arbuzów. Mężczyzna zatrzymał się i trącił jeden nogą. W wyciekłym soku kłębiły się osy. Los niektórych owoców już dawno był przesądzony, leżały miękkie od zgnilizny, marszcząc się na drodze do nieuchronnej zagłady.

Wygląda, że gadasz prawdę, co nie?

Powiadam ci, żem go widział. Nie wiedziałem, co tu się wyprawia, do cholery, kiedy spuścił spodnie. Nawet jak jużem zmiarkował, co kombinuje, nie mogłem w to uwierzyć. Ale tutaj leżą moje owoce.

Co chcesz zrobić?

Nie wiem, do cholery. Jest już krzynkę za późno, żeby zrobić cokolwiek. Gość wydymał prawie całe poletko. Nie mogę skumać, czemu nie wystarczył mu jeden arbuz. Albo kilka.

No, facet pewnie się uważa za wielkiego kochanka. Coś jak marynarz w burdelu.

A ja myślę, że bał się, że jakaś osa mogłaby go dziabnąć w czubek fiuta. I tu widzi mi się, że się wykazał rozsądkiem.

Kto to był, po prostu młodziak i już?

Czy młodziak, to nie wiem, alem już dawno nie widział tak żwawego gościa.

No. Pewnikiem już się nie wróci.

Nie wiem. Facet tak szybki jak on nie musi się bać iść, gdzie przyjdzie mu ochota. Coby coś ukraść czy co.

A jak jednak wróci?

To go złapię.

I co wtedy?

No. Nie wiem. Teraz jak o tym myślę, byłoby to dosyć krępujące.

Ja to bym go wziął zapędził do roboty.

Pewnikiem powinienem tak zrobić. Ale nie wiem.

Myślałeś, żeby zawiadomić szeryfa?

A co niby miałbym mu powiedzieć?

Szli wolno skrajem pola.

To normalnie najdziwaczniejsza historia, z jaką żem się spotkał, do najjaśniejszej cholery. A ty? Co tak suszysz zęby? Śmiszne to to nie jest.

Znaczy się ta historia. Jak dla mnie to nic śmisznego.

Stracił ją z oczu, kiedy przesunęła się w cień wędzarni. Słyszał

głuche odgłosy uderzeń motyki wśród przywiędłych kwiatów na podwórku, gdy kobieta z łagodną cierpliwością posuwała się przed siebie w ogródku, który tam założyła. W cieniu nad motyką, pochylona i wysmukła jak jej narzędzie pracy. Uderzenia i brzęki cienistego ostrza, wbijającego się w kamienistą ziemię. Albo wychodziła z chłodni, taszcząc pomarszczone drewniane wiaderko, spomiędzy którego listewek tryskały cienkie strużki wody, i zostawiała za sobą wilgotną, wydeptaną ścieżkę, wiodącą na grządki i z powrotem. Siedział na ganku ze skrzyżowanymi w kostkach nogami i wiązał węzełki na łodyżkach chwastów.

W końcu spadł deszcz. Któregoś dnia padało przez całe popołudnie, o zmierzchu spalona trawa stała już w wodzie, ale padało jeszcze w nocy. Przestało dopiero, kiedy wyszedł z domu. Zaczęło się przejaśniać, ale nie zawrócił.

Długo czekał na skraju pola, obserwując dom i nasłuchując. Z

kukurydzianej ciemności widzieli, jak się zbliża, szczupły, wręcz kościsty, śliniący się nocny cień pośród karmionych księżycowym światłem

winorośli, sunący nad ocienioną, niebieską letnią ziemią pełną bruzd. Pierwszy mężczyzna złapał drugiego za ramię.

To on.

Mam nadzieję. Nawet nie chcę myśleć, że mogłoby być ich dwóch.

Na polu przed nimi, nagle, niczym zjawa, pojawiła się para gołych, bladych nóg, wydobytych z ciemności błyskiem jak białe flanelowe kalesony.

Poświeć no na niego.

Zaś jeszcze nie pokrył arbuza.

Poświeć na niego.

Stał na środku poletka w opuszczonych do kostek spodniach, zwrócony twarzą w ich stronę, mrugając powiekami.

Stój no, koleżko. Nie ruszaj się.

Ale on się poruszył. Obiema rękami podciągnął spodnie na piersi i odwrócił się do ucieczki. Znowu zawołał do niego ten sam głos.

Trzymał ramiączka ogrodniczków w zaciśniętej ręce i biegł na skraj pola. Dalej w ciemności dwukrotnie zawył pociąg. A teraz błagaj Boga o litość, rozpustniku. Coś nienaturalnego. Zgięty palec, ślepy kąt, jakiś cień. Gładka, zatkana, naoliwiona rura, wymierzona w sąd i grzech.

Rozbryzg płomienia i po wszystkim. Gdybym mógł zawrócić ten rozproszony ołów.

Leżał na ziemi z nogami zaplątanymi w spodnie i krzyczał

przeraźliwie, o Boże, o Boże. Mężczyzna, który trzymał dymiącą jeszcze strzelbę, stał nad nim niczym udręczony ptak. Przestraszyła go krew, sącząca się w szarym świetle księżyca z delikatnego, pomarszczonego ciała. Kurde, powiedział. O kurde. Przyklęknął, odrzucając strzelbę. Podniósł ją

drugi mężczyzna i stanął obok. Cichaj już, powiedział. Niech to szlag. Cichaj.

Bijące z domu światła obrysowują ich wszystkich i żałosny, żywy obraz, jaki tworzą. Chłopak tarza się po żyznej, wilgotnej ziemi, krzycząc przeraźliwie, a mężczyzna powtarza, żeby był cicho, przyklęka, nie dotyka go.

3

Zastępca szeryfa otworzył drzwi wozu, Harrogate wysiadł i razem weszli do betonowego gmachu. Pierwszy zastępca podał papiery Harrogate'a jakiemuś mężczyźnie w okienku, który przejrzał je i podpisał. Harrogate stał w holu.

Harrogate, powiedział mężczyzna.

Tak, psze pana.

Tamten przyjrzał mu się od stóp do głów. Niech mnie kule biją, od razu widać, żeś ofiara losu, powiedział. Podejdź no do tamtych drzwi.

Harrogate ruszył korytarzem w kierunku żelaznej, okratowanej furty. Drugi zastępca szeryfa wyszedł z bocznych drzwi z kubkiem kawy w ręce. Wcisnął kciuk za pasek od spodni, podmuchał na kawę i pociągnął łyk. Nie spojrzał na Harrogate'a.

Po chwili w holu pojawił się jakiś mężczyzna z wielkim pękiem kluczy na mosiężnym kółku. Otworzył żelazną furtę i pokazał

Harrogate'owi gestem, żeby wszedł. Zamknął drzwi, przekręcił klucz w zamku, odwrócił się i ruszył w górę po betonowych schodach. Siedziało na nich dwóch mężczyzn w pasiastych spodniach i bluzach, paląc papierosy. Przysunęli się do ściany, żeby przepuścić mężczyznę z kluczami. Harrogate zaczął wspinać się na schody, kiedy jeden z palących odezwał się do niego.

Lepiej tam nie leź, jak on ci nie kazał.

Harrogate wrócił na dół.

Mężczyzna z kluczami wrócił z jakimś młodym Murzynem, też w pasiaku, otworzył drzwi dużej celi i wszyscy weszli do środka. Murzyn spojrzał na Harrogate'a, pokręcił głową i podszedł do drzwi w głębi pomieszczenia. W

ścianie było okienko, przez które Harrogate widział, jak Murzyn szpera w stosach leżących na półce ubrań.

Zrzuć no te łachy i weź prysznic, tam, powiedział mężczyzna z kluczami.

Harrogate rozejrzał się wokół. Na środku celi zobaczył ceramiczny brodzik, nad którym ciągnął się szereg cieknących kranów, umocowanych na rurze. W obu kątach wznosiły się przed nim betonowe ściany, mniej więcej na wysokości jego głowy. Za pierwszą znajdowały się trzy toalety, za drugą dwa prysznice. Kiedy przyglądał się prysznicom, trzepnął go w kark suchy ręcznik, który spadł na podłogę.

Lepiej weź no się pospiesz, powiedział mężczyzna z kluczami.

Harrogate podniósł ręcznik, owinął go sobie na szyi, rozpiął koszulę, zdjął ją jak skórkę z owocu i położył na stojącej pod ścianą ławce.

Potem rozpiął spodnie, opuścił je, wysunął z nich nogi i położył

ogrodniczki na koszuli. Przypominał sprawionego kurczaka, skórę miał

pomarszczoną od postrzału, a ranki wciąż były czerwone i wyglądały na świeże. Podniósł najpierw jedną, a potem drugą nogę, zzuwając buty, ale nie rozwiązując sznurowadeł. Betonowa podłoga była zimna. Podszedł

bliżej pryszniców i zaczął się przypatrywać ich kurkom i sitkom.

Drugi raz nie powtórzę, powiedział mężczyzna.

Nie wiem jak, powiedział Harrogate.

Czarnoskóry chłopak w okienku się odwrócił.

Na słowa Harrogate'a mężczyzna podniósł wzrok, jak można było sądzić, z autentycznym zainteresowaniem. Nie wiesz, jak co?, zapytał.

Jak obsłużyć prysznic.

Co ty, kurwa, żarty sobie stroisz?

Nie, proszę pana.

Chcesz mi powiedzieć, żeś nigdy nie brał prysznica?

Nigdy wcześniej nawet żem go nie widział.

Mężczyzna odwrócił się w stronę drzwi i holu. Hej, George?

Taa.

Chodź no tu na chwilę.

Do celi zajrzał drugi mężczyzna. O co chodzi?, spytał.

Powiedz mu, co żeś powiedział przed chwilą.

Nigdy wcześniej nawet żem go nie widział?

Czego nie widział?

Prysznica. On nie wie, jak wziąć prysznic.

Drugi mężczyzna uważnie przyjrzał się Harrogate'owi. A wie, gdzie ostatnio srał?

Wątpię.

Było to w więzieniu okręgowym, odpowiedział Harrogate.

Zdaje mi się, że trafił ci się dowcipniś.

A mnie się zdaje, że trafił mi się idiota. Widzisz te pokrętła tam?

Te tutaj?

Te tam. Trzeba je przekręcić, to wtedy woda poleci z tego sitka.

Harrogate wszedł do kabiny i odkręcił kurki. Wziął kostkę używanego mydła z półeczki w ścianie, namydlił się i znów pokręcił

kurkami, po czym wszedł pod prysznic, uważając, żeby nie zmoczyć głowy. Kiedy skończył, zakręcił wodę, sięgnął po ręcznik, który powiesił na szczycie betonowego przepierzenia, wytarł się i podszedł do ławki, gdzie zostawił ubranie. Wsunął już jedną nogę w nogawkę spodni, kiedy odezwał się Murzyn.

Czekaj no, koleżko.

Harrogate znieruchomiał, stojąc na jednej nodze.

Przynieś no tutaj te ciuchy.

Harrogate wziął ubranie i podszedł z nim do okienka. Murzyn wziął ubranie i ostrożnie, dwoma palcami, powiesił je na wieszaku.

Mężczyzna z kluczami krzątał się w magazynku.

Wisi tam, na gwoździu, powiedział Murzyn.

Harrogate usiadł nago na ławce. Mężczyzna wyszedł z magazynku z rozpylaczem na długiej rączce. Harrogate wstał.

Podnieś ręce.

Spełnił polecenie, a wtedy mężczyzna nacisnął spust i spryskał mu pachę.

Sio, powiedział Harrogate. A to na co?

Na robale, odpowiedział strażnik. Odwróć się.

Nie mam żadnych robali.

Na razie, odparł mężczyzna. Spryskał Harrogate'a pod drugą pachą, a potem porządnie zrosił jego rzadkie włosy łonowe. Będziesz miał też mendy, powiedział. Gdy skończył, cofnął się, a Harrogate stał z uniesionymi rękami niczym ofiara napadu rabunkowego.

Niech mnie diabli, jesteś ledwo opierzony, powiedział strażnik. Ile masz lat?

Osiemnaście, odrzekł Harrogate.

Osiemnaście.

Tak, psze pana.

To ledwo żeś się do nas załapał, co?

Pewnie tak.

A to co?

TU żem dostał postrzał.

Mężczyzna przeniósł wzrok z chudego tułowia Harrogate'a na jego twarz. Postrzał, co?, zapytał. Podał rozpylacz przez okienko Murzynowi, który odwiesił go za swoimi plecami, po czym podsunął Harrogate'owi złożony komplet pasiastych drelichów.

Harrogate rozłożył je i wbił w nie wzrok. Przytrzymując koszulę zębami, roztrzepał spodnie i zaczął je wkładać na nogi.

Nie maszże żadnej bielizny?, spytał strażnik.

Nie.

Mężczyzna pokręcił głową. Harrogate stał na jednej nodze. Musiał

na niej podskoczyć, żeby utrzymać równowagę.

No dalej, powiedział strażnik. Jak nie masz, to nie masz.

Harrogate ubrał się i stał boso na betonowej podłodze. Spodnie spływały na nią, zakrywając mu stopy, a czubki palców u rąk ledwo wystawały z rękawów bluzy. Spojrzał na Murzyna w okienku.

Nie patrz tak na mnie, powiedział Murzyn. Mniejszych już zaś nie ma.

Podwiń sobie rękawy i nogawki. Będzie ci wygodnie.

Harrogate podwinął rękawy dwa razy. Ubranie było czyste i szorstkie. Czy chodzę w swoich butach?, spytał.

Chodzisz w swoich butach.

Najmłodszy więzień ruszył naprzód, włożył buty i poczłapał z powrotem do okienka. Strażnik spojrzał na niego ze smutkiem i podał

mu koc.

Chodźmy, powiedział.

Harrogate wyszedł za nim na schody, wlokąc się obok niego i lekko utykając. Na piętrze skręcili w korytarz, mijali olbrzymie klatki, przypominające celę, z której właśnie wyszli. Na końcu korytarza siedział przy stoliku jakiś mężczyzna i czytał kolorowe czasopismo.

Wstał z uśmiechem, po czym odłożył magazyn otwartą stroną do dołu.

Strażnik przeglądał klucze. Tego tu to chyba nie powinni byli przyjmować, co, Ed? Jak myślisz?

Ed spojrzał na Harrogate'a i uśmiechnął się.

Klucznik otworzył żelazne drzwi i Harrogate sam wszedł do betonowej celi, pomalowanej na kolor zielonego groszku. Minął

umywalkę, nad którą z kranów jak z ust zwieszały się niewielkie torebeczki po tytoniu. Przez żelazne, zakratowane okienka wpadało do środka blade zimowe światło. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem i na korytarzu zabrzmiały oddalające się kroki strażnika.

Niosąc w rękach koc, Harrogate mijał kolejne rzędy piętrowych łóżek, umieszczonych po cztery jedno nad drugim. Wszystkie były pomalowane na zielono. Na niektórych leżały workowate materace, na innych nie było nic poza nagimi, żelaznymi prętami, które zastępowały sprężyny. Harrogate szedł przejściem między łóżkami, rozglądając się na prawo i lewo. Na pryczach leżało bez ruchu kilka postaci. Kiedy dotarł do ściany, stanął na

palcach i wyjrzał przez okienko. Łańcuch wzgórz. Nagie zimowe drzewa. Zawrócił i pociągnął jednego ze śpiących za nogę. Hej, powiedział.

Mężczyzna na pryczy otworzył jedno oko i spojrzał na Harrogate'a. Czego, kurwa, chcesz?, zapytał.

Gdzie ja mam spać?

Mężczyzna stęknął i zamknął oczy. Harrogate czekał, aż tamten znowu je otworzy, ale nie zrobił tego, po chwili więc znów szarpnął go za nogę.

Hej, powtórzył.

Mężczyzna nie otworzył oczu. Powiedział: Jeżeli się ode mnie nie odpierdolisz, nakopię ci do dupy.

Chciałem się tylko zapytać, gdzie mam spać.

Gdzie sobie chcesz, ty skretyniały skurwielu, a teraz spieprzaj stąd.

Harrogate błąkał się w przejściu. Na niektórych pryczach leżały nie tylko poduszki, ale i koce. Wybrał łóżko nakryte jedynie prześcieradłem, wspiął się na górę, rozłożył swój koc i usiadł na środku.

Siedział tak przez chwilę, po czym znów zlazł na dół, podszedł do krat i wyjrzał. Jakiś mężczyzna, ubrany identycznie jak on, cofał się korytarzem, ciągnąc za sobą kubeł na kółkach, który przesuwał, trzymając w ręku mop, zanurzony w pływającej w środku czarnej pianie.

Trzymał papierosa w kąciku ust i zerknął na Harrogate'a, gdy ten przechodził obok. Mężczyzna nie miał przyjaznej miny. Naprzeciwko wyglądał ze swojej klatki inny więzień. Harrogate przypatrywał mu się przez chwilę, a potem pomachał do niego w nieco szaleńczym geście.

Witam, powiedział.

Jasne, odrzekł więzień.

Harrogate odwrócił się, zagłębił w swoją celę, wspiął na łóżko i leżał, gapiąc się w sufit. Betonowe belki, pomalowane na zielono. Kilka poczerniałych żarówek, wkręconych w gołe oprawki. W celi zrobiło się ciemno, bo wczesny zimowy zmierzch już zamykał dzień. Zasnął.

Kiedy się obudził, na zewnątrz było ciemno, a żarówki pod sufitem wypełniały pomieszczenie żółtozielonym, siarkowym światłem. Usiadł.

Mężczyźni wchodzili do celi gęsiego z jakby hamowaną gwałtownością, ale nie przepychali się, tylko zapalali albo skręcali papierosy, a rozmawiać zaczęli dopiero, kiedy znaleźli się w środku. Wymiana kąśliwych uwag i zawoalowanych impertynencji stawała się coraz głośniejsza. Jeden z mężczyzn wypatrzył Harrogate'a, siedzącego na swojej pryczy jak wiewiórka ziemna, i pokazał go palcem.

Patrzajcie, świeża krew.

Przechodzili w szeregu obok jego łóżka. Na końcu szli, drobiąc, mężczyźni z przymocowanymi do kostek ciężarkami, które przypominały ostrze kilofa. Drzwi zatrzasnęły się z brzdękiem, zadzwoniły klucze. Prycze pod Harrogate'em zajmowali dwaj mężczyźni. Pierwszy położył się na wznak i na moment zamknął oczy, ale zaraz usiadł, zrzucił buty, położył się z powrotem i znowu zamknął

oczy. Drugi stał z głową zwieszoną kilka cali nad kolanem Harrogate'a i zaczął opróżniać kieszenie, w których miał różne rzeczy. Kikut ołówka, tekturowe zapałki, otwieracz do puszek. Płaski czarny kamień. Mieszek z tytoniem. Zauważył, że Harrogate przygląda się mu, i podniósł na niego oczy. Hej, powiedział.

Hej, odrzekł Harrogate.

Nie sikasz do łóżka, co?

Nie, proszę pana.

Palisz?

Trochę żem popalał. Zanim mnie wsadziły do więzienia, bo tam nie mogłem dostać tytuniu.

Masz.

Mężczyzna rzucił mieszek na koc Harrogate'a, który natychmiast otworzył torebkę, wyciągnął bibułkę z kieszonki pod naklejką i zaczął

sobie skręcać papierosa.

Każdy dostaje tu taką raz na tydzień, powiedział mężczyzna.

A kiedy dostanę swoją?

W przyszłym tygodniu.

Nie masz pan może zapałków?

Proszę.

Harrogate zapalił, zaciągnął się głęboko, zdmuchnął zapałkę i wsunął ją za mankiet.

Weź je.

Harrogate schował zapałki do kieszeni.

Ile masz lat?

Osiemnaście.

Osiemnaście?

Tak, psze pana.

To ledwo się tu załapałeś, co?

Ciągle mi to powtarzają.

Jak się nazywasz?

Gene Harrogate.

Harrogate, powiedział mężczyzna. Opierał się jednym łokciem o wyższą pryczę i obejmował palcami swój podbródek, przyglądając się nowemu więźniowi z pewną rezerwą. No tak, powiedział. Ja nazywam się Suttree.

Witam, panie Suttree.

Po prostu Suttree. Za co siedzisz?

Za kradzież arbuzów.

Gówno prawda. Za co siedzisz.

Przyłapały mnie na poletku arbuzów.

Co, kradłeś arbuzy traktorem z przyczepą? Nie posyła się ludzi do domu pracy przymusowej za kradzież paru arbuzów. Co jeszcze zmalowałeś?

Harrogate ćmił swojego papierosa i patrzył na zielone ściany.

No, powiedział. Poszczeliły mnie.

Postrzelili cię?

Taa.

Gdzie? Taa, wiem. Na polu arbuzów. Ale gdzie dostałeś.

Tak właściwie to wszędzie.

Dostałeś ze strzelby?

Taa.

Za kradzież arbuzów?

Taa.

Suttree usiadł na niższej pryczy, podniósł nogę i zaczął sobie rozmasowywać kostkę. Po chwili spojrzał w górę. Harrogate leżał na brzuchu, patrząc na niego znad krawędzi łóżka.

Pokaż, gdzie cię trafili, powiedział Suttree.

Harrogate ukląkł na łóżku i podciągnął bluzę. Z boku na jego bladym ciele widać było małe fiołkoworóżowe zagłębienia, przypominające blizny po ospie.

Mam też takie rany na całej nodze. Jeszcze nie mogę normalnie chodzić.

Suttree popatrzył chłopakowi w jasne oczy. Malowały się w nich jakby zwierzęca świadomość i zalążki dobrej woli. No, odezwał się Suttree. Świat staje się coraz brutalniejszy, co?

Jejku, myślałżem, że już po mnie.

No to masz szczęście, że żyjesz.

Tak mi mówili w szpitalu.

Suttree rozparł się wygodnie na swojej pryczy.

Jaki skurwysyn strzeliłby do człowieka za kradzież paru arbuzów?

Nie wiem. Przyszedł zaś do szpitala i przyniósł mi lody. Właściwie to nie mam do niego pretensji. Sam pedział, że żałuje, że to zrobił.

Ale to mu nie przeszkodziło wnieść oskarżenia, co?

Pewnikiem jak już zobaczył, że mnie poszczelił, nie mógł się wycofać.

Po tych słowach Suttree spojrzał znów na chłopca, którego twarz pozostała jednak łagodna i szczera. Chciał się dowiedzieć, o której podają kolację.

O piątej. Czyli powinna być za parę minut.

Dobrze karmią?

Będziesz miał dość czasu, żeby się przyzwyczaić. Z jakiego paragrafu siedzisz?

Tysiąc sto dwadzieścia dziewięć.

Dobry stary paragraf tysiąc sto dwadzieścia dziewięć.

W szpitalu to dobrze karmią, jak rany. Nigdy żem nie jadł lepiej.

Nie mogłeś stamtąd uciec?

Nie miałżem żadnego ubrania. Przemyśliwałem o tym, ale normalnie nie miałem co włożyć na grzbiet ani żadnego sposobu, coby zdobyć jakie ciuchy. Wolałem już trafić tutaj, niż dać się złapać w tej głupiej koszuli nocnej, co to ją każą tam nosić. Ty byś nie wolał?

Nie.

No. Ale to ty.

To ja.

Harrogate spojrzał na niego z góry, Suttree miał jednak zamknięte oczy, chłopak przewrócił się więc z powrotem na plecy i znów zapatrzył

w sufit. Ktoś wypisał na nim parę swoich myśli, choć w ostrym świetle żarówek nie można ich było odczytać. Po chwili usłyszał gdzieś dzwonek. Strażnik podszedł do drzwi, otworzył je, a kiedy Harrogate usiadł, zauważył, że więźniowie szykują się już do wyjścia, zeskoczył

zatem z pryczy i zaczął się szykować razem z nimi.

Zeszli na dół po betonowych schodach, skręcili w jakieś drzwi i weszli do jadalni, gdzie przez całą szerokość biegły wielkie piknikowe stoły. Były zbite z dębowych desek podłogowych, a ławy zostały do nich przyśrubowane. Na końcu jadalni więźniowie skręcili do kuchni, gdzie każdy dostał blaszany talerz i dużą łyżkę. Następnie podchodzili gęsiego do

bufetu, przy którym pomocnicy kuchenni, ubrani w pasiaki podobnie jak więźniowie, nakładali na talerze dymiące porcje łaciatej fasoli, kapustę, kartofle i gorące pajdy kukurydzianego chleba.

Harrogate wsunął do talerza kciuk, na który uśmiechnięty Murzyn nałożył mu chochlą gorącą kapustę. Auć, powiedział Harrogate. Wziął

talerz w drugą rękę i wsunął kciuk do ust. Podszedł strażnik i popatrzył

na niego z góry. To ty żeś krzyknął?, zapytał.

Tak, psze pana.

Jeszcze raz cię usłyszę i nie dostaniesz kolacji.

Tak, psze pana.

Stojący najbliżej więźniowie mieli ściągnięte twarze, jakby z bólu, i półprzymknięte z hamowanej wesołości oczy. Harrogate ruszył za innymi dalej, do takiej samej jadalni jak ta, przez którą przechodzili wcześniej. Ławy wokół stołów zaczynały się wypełniać więźniami.

Harrogate wypatrzył wśród nich Suttree'ego, usiadł obok i zaczął

pracować łyżką. W wielkiej sali słychać było tylko brzęk i skrobanie, bez jednego słowa. Stół naprzeciwko zajęli czarni więźniowie i Harrogate obserwował ich uważnie spod łuków swoich brwi, pochylony nisko nad talerzem, a łyżka, którą mocno ściskał w garści niczym rydel, wznosiła się i sztywno opadała.

Kiedy grupa Harrogate'a skończyła posiłek, strażnik obszedł stół, stanął u jego szczytu i zastukał w blat, a wówczas wszyscy wstali i wyszli gęsiego przez kuchnię, zeskrobując resztki do wystawionego w tym celu kubła, odstawiając talerze na stół i wrzucając łyżki do wiadra.

Następnie wciąż gęsiego przemaszerowali przez pierwszą jadalnię, częściowo zajętą przez innych jedzących więźniów, wyszli na korytarz, ruszyli schodami na górę i wrócili do celi.

Zaś nie było mięsa, powiedział Harrogate.

To prawda, odrzekł Suttree.

A dają je czasem?

Nie wiem.

Jadłżeś tu kiedy mięso?

Masz na myśli coś innego niż boczek na śniadanie?

Taa. Coś inne niż boczek.

Nie.

Harrogate oparł się o pryczę. Po chwili zapytał: Długo tu jesteś?

Jakieś pięć miesięcy.

Niech to piekło pochłonie, powiedział Harrogate.

Było ciemno, kiedy wstali rano i poszli gęsiego do kuchni po talerze i łyżki, a nawet gdy wyszli potem na dziedziniec, pokryty rosą i spowity jakby ziarnistą mgłą. Harrogate stał z podwiniętymi po dwakroć rękawami i nogawkami i patrzył, jak więźniowie wsiadają do ciężarówek. Szukał wzrokiem Suttree'ego, ale zanim go wypatrzył, ten siedział już w ciężarówce, a strażnicy zamknęli za nim drzwi. Niektóre wozy wyjeżdżały z dziedzińca. Podszedł strażnik i spojrzał na Harrogate'a, ale musiał się pochylić, opierając ręce na kolanach, żeby mu spojrzeć w twarz. Coś ty za jeden, do cholery?

Harrogate.

Strażnik skinął głową, jak gdyby usłyszał prawidłową odpowiedź.

Dostałeś śniadanie?

Jak najbardziej.

Jesteś gotów do roboty czy nie?

Chyba tak.

No to mamy tam dla ciebie ciężarówkę, która cię do niej zawiezie, oczywiście jeżeli pan pozwoli.

Tą tutaj?

Taa. Nie masz nic naprzeciwko, prawda?

Harrogate uśmiechnął się szeroko. Kurczę, powiedział. Przecie po to tu jestem. Mogę robić wszystko, co tam trzeba.

To strasznie się z tego cieszymy. Chcemy, coby wszyscy byli zadowoleni.

Kurczę, rzucił Harrogate przez ramię, idąc ociężale w stronę czekającego wozu. Ze mną nietrudno się dogadać.

Gdy doszedł do ciężarówki i jedną ręką oparł się na platformie, żeby się podciągnąć, strażnik wymierzył mu z tyłu kopniaka, po którym Harrogate wleciał do środka przez otwarte drzwi i upadł pomiędzy butami i półbutami innych więźniów. Patrzyli na niego z poniekąd obłąkanymi uśmieszkami, a ktoś w samą porę wciągnął go dalej za kołnierz, bo inaczej strażnik przytrzasnąłby mu nogę drzwiami. Jakiś rudzielec nachylił się nad nim i powiedział: Właźże, idioto. Jak wkurzysz tego skurwysyna z samego rana, to sam osobiście skopię ci dupę.

Nie wiedziałem, do której ciężarówki mam wsiąść.

No, żadna by nie była niewłaściwa. Siednij tu. Ten sukinsyn prowadzi jak pijany Indianin, co to jedzie po następną flaszkę.

Ciężarówka zakaszlała kłębkami białych spalin i chwiejnie ruszyli we mgle w dół wzgórza, krętą drogą, prowadzącą z domu pracy przymusowej na szosę, był chłodny październikowy poranek, a tylne światła innych ciężarówek wyglądały na drodze jak oczy. Więźniowie siedzieli w rzędach naprzeciwko siebie, podskakując i kiwając się na boki, niektórzy próbowali spać. Harrogate przykucnął na ławce, wsuwając ręce pod swoje chude nogi,

i wbił wzrok w podłogę. Nikt z nikim nie rozmawiał. Ciężarówka nabierała szybkości, a opony śpiewały na czarnej nawierzchni. Na pierwszych światłach na skraju drogi jakaś dziewczyna czekała na autobus. Napierając kolanami i łokciami, więźniowie zbili się w gromadkę przy obitych drucianą siatką drzwiach, a dziewczyna odwróciła się w stronę pustych parceli i pływających dalej we mgle domów. Od wschodu nad okolicą kładło się słabe światło.

Harrogate obserwował dwa ptaki, które wyleciały z bezbarwnego nieba, przysiadły na drucie, przyjrzały się ciężarówce i poderwały z powrotem do lotu. Ruszyli w dalszą drogę, a w oczach kierowcy samochodu, który nadjechał z tyłu, pojawił się niepokój na widok łotrów w pasiakach.

Było już całkiem jasno, kiedy przejechali północną część okręgu i stanęli na poboczu drogi, na którym wzdłuż żyły czerwonego mułu leżały rury kanalizacyjne i gdzie więźniowie z pierwszej ciężarówki zeszli tymczasem do rowów i zaczęli machać kilofami. Słońce wstało i ogrzewało ich, kiedy stali, czekając na narzędzia i rozkazy. Jakiś mężczyzna podał Harrogate'owi kilof, cofnął się, przyjrzał krytycznie chłopakowi i zabrał mu narzędzie. Drogą przejechało kilka samochodów z przyklejonymi do szyb pasażerami. Ludzie jadący do pracy w mieście wyglądali na pobocze z kompletną obojętnością. Więźniowie kręcili się w kółko i kłębili, aż wreszcie wszyscy dostali narzędzia i Harrogate został sam. Zbierał się do wejścia do wykopu z gołymi rękami, kiedy zawołał go strażnik.

Zaczekaj tu chwilę, powiedział.

Strażnik odszedł i wrócił z innym mężczyzną, który obrzucił

Harrogate'a podejrzliwym spojrzeniem.

Ile masz lat, synu?

Ciągle osiemnaście, odparł Harrogate. Miał z przodu czarny ząb i obcmokiwał go nerwowo.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Młodszy wzruszył ramionami. Nie wiem, powiedział.

No to niech to cholera. Zabierz go z powrotem i niech go weźmie Coatney. iy. Wracaj z panem Williamsem. Słyszysz?

Tak, psze pana.

Wsiądź do tej półciężarówki i zaczekaj, powiedział drugi mężczyzna.

Harrogate skinął głową, pokuśtykał drogą do samochodu, wgramolił się na platformę i siedział na niej w swoich za dużych łachach, przyglądając się mężczyznom w wykopie. Widział, jak jego nowy znajomy wyrzuca ziemię ponad krawędź dołu, a Suttree raz spojrzał na niego, siedzącego samotnie na platformie, ale nie skinął mu głową i nie wykonał żadnego gestu. Po chwili podszedł strażnik. Kiwnął

na Harrogate'a i otworzył drzwi wozu.

Właź z przodu, powiedział.

Harrogate zszedł z boku z półciężarówki, otworzył drzwi i wsiadł.

Z deski rozdzielczej na kablu zwisał radiotelefon, a na stojaku pod tylną szybą stała strzelba pompowa. Strażnik uruchomił silnik, spojrzał na Harrogate'a i odsunął się od niego, kręcąc głową.

Kiedy Suttree wrócił wieczorem do celi, najmłodszego więźnia w niej nie było. Zobaczył go dopiero na kolacji. Siedział na wpół

zasłonięty chwiejącymi się stosami naczyń, palił skręta i z obrzydzeniem wydmuchiwał przez nos cienkie strużki dymu. Tego wieczoru przeniesiono go do celi kuchennej. Gdy wrócił po swój koc, Suttree leżał

na pryczy bez butów. Skarpetki miał uwalane czerwoną glinką.

Zgadnij, co się stało.

Co.

Kazały mi, kurwa, zmywać naczynia.

Wiem. Widziałem cię.

Kurde, powiedział Harrogate.

Hej, do cholery, to nie najgorsza kiwka. Lepsze to niż machanie kilofem przez cały dzień.

Dla mnie nie. Wolałbym normalnie robić wszystko inne, tylko nie zmywać.

Jak przyjdą chłody, to przestaniesz narzekać.

Kurde.

Harrogate wziął koc na ręce. Ktoś z głębi celi zawołał Suttree'ego i spytał, czy skończył czytać gazetę.

Taa, odparł Suttree. Chodź, weź sobie.

Złóż ją i rzuć tutaj.

Suttree złożył gazetę, usiłując sobie przypomnieć, co powinien zrobić, żeby można ją było rzucić na dalszą odległość.

Niech to szlag, Suttree, nigdy nie byłżeś gazeciarzem?

Nie.

To pewnie żeś dostawał kieszonkowe.

Mężczyzna wstał z pryczy i podszedł.

Kiedyś umiałem zwijać gazety, ale zapomniałem, jak to się robi.

No już. Daj mi ją. Jebane wykształcone dupki. Studiuje taki, ale gazety zwinąć nie potrafi. I co ty na to, koleżko?

Mężczyzna stał obok pryczy. Był rudowłosy, piegowaty i szczerbaty jak dynia w Halloween. Mówił przez nos, zajmujący większą część jego oblicza.

Witam, panie Callahan, odezwał się Harrogate.

Suttree wystawił głowę spod pryczy. Panie Callahan?, powiedział.

Chyba słyszałeś. o rany, odrzekł Suttree i znów się położył.

Callahan uśmiechnął się szeroko, obnażając szczerbate zęby.

Pan Callahan wiele tu może, powiedział Suttree. Zapytaj, czy zechce coś dla ciebie zrobić.

Znaczy co?

Chłopak nie ma ochoty zasuwać w kuchni. Uważa, że zmywanie to dla niego poniżające zajęcie.

Niech cię piekło pochłonie, koleżko. Masz najlepszą robotę w tym pudle.

Nie podoba mi się, odpowiedział ponuro Harrogate. Każą mi robić z bandą starych kalekich pojebów i w ogóle nie wiem, co jest grane.

W dodatku w jadalni strażników, powiedział Callahan.

W jadalni strażników? Niech to szlag, rzucił Suttree.

Tak mu obiecali, powiedział Callahan. Ale widocznie chłopak nie lubi befsztyków i sosu. Ani szynki. Ani jajek co rano.

Kurde, powiedział Harrogate.

On mówi prawdę, rzekł Suttree.

Do diabła, Suttree, nie chcę być jakimś pieprzonym pomywaczem.

Muszę wstawać o czwartej rano.

Taa. My się tu wylegujemy do piątej trzydzieści.

Ale po południu możesz się opierdalać, powiedział Callahan.

No, a my nie kończymy roboty przed siódmą.

No to jak nie chcesz pracować w jadalni strażników, poproś, żeby cię dali z powrotem na ciężarówki.

A jak powiedzą nie?

To ty powiedz tak. i co wtedy? Pewnie mi spuszczą wpierdol.

Nie spuszczą. Czy spuszczą, Red?

E tam. Wsadzą cię do piwnicy. Chyba że naprawdę zaczniesz podskakiwać. Wtedy dostaniesz kabarynę.

No, to tam właśnie mnie wsadzą. A co to jest?

Betonowa cela, będzie gdzieś ze cztery stopy kwadratowe.

Byłeś tam kiedy, Suttree?

Nie. Ale rozmawiasz z człowiekiem, który był.

Za co tam pana wsadziły, panie Callahan?

Ach, spoliczkowałem takiego jednego cholernego strażniczka.

Tak go spoliczkował, że wybił mu dysk szyjny, powiedział Suttree.

Niech to szlag, zauważył Harrogate. Kiedy to było?

Kiedy to było, Red? Dwa lata temu?

Coś koło tego.

Niech to piekło pochłonie, znaczy jak długo pan tu siedzi, panie Callahan?

Tamto to była inna sprawa, powiedział Suttree. Bo Red co tylko wyjdzie, to zaraz go znów wsadzają.

Dostajesz do jedzenia tylko chleb i wodę, powiedział Callahan.

Znaczy w kabarynie.

Myślę, że bardziej spodoba ci się w jadalni strażników niż tam.

Normalnie nie zmywam więcej żadnych cholernych naczyń.

No, powiedział Suttree. To ty.

To ja, odparł Harrogate.

Moim zdaniem masz nierówno pod kopułą, powiedział Callahan.

Może. Ale jedno wam powiem. Jak kiedyś stąd wyjdę, to zaś już nigdy nie wrócę.

Zdaje mi się, że słyszałem kiedyś, jak Bromo mówił coś takiego.

Kto to jest Bromo?

Taki staruch. Siedzi w tym pudle z przerwami od tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego.

Ale siedział już wcześniej, powiedział Callahan. W innym domu pracy, zanim zbudowali ten.

No, powiedział Harrogate. To on.

Suttree uśmiechnął się szeroko. To on, powtórzył.

Zbrodnie księżycowego gwałciciela arbuzów ciągnęły się za nim, jak to zbrodnie. Prawda o jego czynach weszła przez drzwi i w ciemności ruszyła po schodach na górę. Rankiem więźniowie spojrzeli na swojego półgłówka w nowym świetle. Z rękami zanurzonymi po łokcie w wodzie z płynem do naczyń, spowity w chmurze pary, Harrogate przyglądał się osadzonym, jak defilują gęsiego przez kuchnię z talerzami sucharów i sosu, kiwając głowami i gestykulując.

Uśmiechnął się w odpowiedzi. Zobaczyli go potem jeszcze raz, wieczorem, zagubionego w swoim poplamionym, bezkształtnym pasiaku. Sprawiał takie wrażenie, jakby przez cały dzień nie ruszył się z miejsca, a stosy naczyń w ogóle się nie zmniejszyły. Po kolacji odesłano go do dawnej celi, do której wrócił, ściskając przed sobą koc.

No, powiedział Suttree, wróciłeś?

Ano.

Co się stało.

Powiedziałżem im, że mam ich, kurwa, dosyć. Jak chcą pomywacza, niech znajdą zaś kogo innego, bo ja pomywaczem nie jestem.

Co powiedzieli.

Spytali się mnie, czy chcę być korytarzowym. Powiedzieli, że można zarobić parę dolarów, sprzedając kawę.

Parę dolarów na rok.

Tak żem właśnie pomyślał. I powiedziałem im, że żadnym pieprzonym korytarzowym nie będę.

I co?

Nico. Po prostu przysłały mnie tutaj.

Harrogate stał przed nimi, a na jego szczurzej mordce pojawił się szyderczy uśmiech samozadowolenia. Suttree pokręcił głową.

Oto i on, zawołał Callahan.

Arbuzowy człowiek. To byli chyba dynie, co?

Dynie? Boże wszechmogący.

Taa, powiedział śpiewnie Callahan. Jak już stąd wyjdziemy, to otworzymy zaś skrzyżowanie owocarni z burdelem.

Harrogate uśmiechnął się niespokojnie.

Callahan roztaczał przed więźniami wizję swojego zamtuza.

Arbuzy w czarnych peniuarach.

Uważaj, coby czarnuchy się o tym nie dowiedziały.

Mogliby cię zlinczować.

Rozważano też udział innych owoców. Melon pedał. A trzeba by im było stawiać drinki?

Najgorzej, że nad kutasem latają chmary komarów.

Muszek owocowych.

Kradłeś arbuzy, co?, powiedział Suttree.

Harrogate uśmiechnął się niepewnie. Chciały mnie wsadzić za znę... Za znękanie...

Za znęcanie się nad zwierzętami?

Taa. Ale mój papuga powiedział, że arbuz to nie zwierzę. Mądry był z niego sukinsyn.

O rany, rzekł Suttree.

Rankiem pojechał z więźniami ciężarówką. Wstał o nieprzyzwoitym chłodzie, wokół słaby smród niemytych, zaspanych mężczyzn. Krzątali się w matowym, żółtym świetle żarówek, potykali o swoje leżące na podłodze ubrania i rzeczy. Ciepło kuchni i zapach kawy.

Kucharze i pomywacze, ludzie starzy albo upośledzeni, kręcili się wokół

pieca z kubkami gorącej kawy w rękach. Harrogate chłodno skinął

głową dawnym współpracownikom, starając się nie dotykać kciukami talerza.

W długie jesienne dni poruszali się wszyscy jak we śnie. Patrzyli w niebo, wypatrując deszczu. Kiedy wreszcie przyszedł, padał całymi dniami. Siadywali w grupkach i patrzyli, jak rosi opustoszały plac, gdzie stało wesołe miasteczko. Błotne kałuże, ciemne trociny, mokre, zdeptane gazety i skrawki papieru. Malowane, płócienne ściany pałacu strachów, nagie szkielety kolejek i karuzeli na tle szarego, nagiego nieba.

Smutna, gorzka pora roku. Pustka w sercu i gotycka samotność.

Suttree śnił dawne sny o wesołym miasteczku, w którym młode dziewczyny z kwiatami we włosach i o szeroko otwartych, dziecięcych oczach oglądały występujących wysoko w świetle reflektorów akrobatów w kostiumach z cekinami. Wizje niewypowiedzianej urody z utraconego świata, budzące bolesne pragnienie. Po południu przyszli mechanicy, zdemontowali przypominającą pająka karuzelę i załadowali ją na przyczepę. Kiedy więźniowie, powłócząc nogami, przeczesywali teren i napełniali swoje jutowe worki pustymi butelkami oraz innymi śmieciami, robotnicy ukradkiem wsuwali im w dłonie paczki papierosów. Suttree też dostał jedną i oddał ją pewnemu starcowi z wolem, który przyjął dar bez słowa. Był ulicznym lumpem, pijał wodę po goleniu, paliwo do piecyków i różne płyny czyszczące. Suttree patrzył, jak obdarowany wlecze się dalej, zerkając gniewnie na świat spod rozczochranych, krzaczastych brwi. Jego wąskie, pomarszczone usta poruszały się nieznacznie, kiedy mówił do siebie. Każdy papierek i każdą butelkę podnosił z pozorną troską, rozglądając się wokół, jak gdyby chciał sprawdzić, kto je tutaj zostawił. Suttree nigdy nie słyszał, żeby to sędziwe dziecko smutku odezwało się głośno. W drodze powrotnej do domu pracy starzec przycupnął na platformie ciężarówki na ławeczce naprzeciwko niego, rozpychając się i kiwając głową. Gdy zauważył, że Suttree go obserwuje, spuścił wzrok i zaczął mówić sam do siebie z jakimś potajemnym okrucieństwem.

W niedziele przyjeżdżała z Knoxville kaznodziejka, która odprawiała nabożeństwo w kaplicy na dole. Betonowe tabernakulum, małe drewniane

podium. Więźniowie biorący udział w nabożeństwie sprawiali wrażenie niemal otępiałych od tego słowa Bożego, które słyszeli z ust nienaturalnie uśmiechniętej niewiasty. Półleżeli na drewnianych, składanych krzesełkach, a głowy opadały im na boki.

Kaznodziejka nie zwracała na nich uwagi, jakby ich tam nie było.

Opowiadała im stare historie z czasów biblijnych, które różniły się od swoich wersji źródłowych tak znacznie, jak gdyby od tamtej pory ludzie przekazywali je sobie z ust do ust. Po południu przyjeżdżali goście w odwiedziny. Sceny rodzinne, matki, ojcowie, żony i anonimowi krewni zasiadali przy długich stołach w jadalni. Na korytarzu i schodach wywoływano nazwiska więźniów, których następnie strażnik wypuszczał z celi. Wracali obładowani słodyczami, owocami i papierosami. Do Suttree'ego nikt nigdy nie przychodził. Do Harrogate'a też nie. Przyjaciele Callahana z McAnally Flats przynosili mu brązowe jabłka i worki nadgniłych pomarańczy. Callahan obierał je, wkrawał do kubełka po smalcu, zalewał wodą, dodawał trochę drożdży z kuchni, nakrywał ściereczką i wstawiał pod łóżko. Po kilku dniach powstawało wino pomarańczowe na drożdżach, a on przecedzał je i zapraszał

przyjaciół na kubeczek. Nazywali ten napój sangrią, przez całą noc bulgotał im potem w brzuchach i podchodził do gardeł. Callahan upijał

się trochę i dobrodusznie rozglądał wtedy wokół w poszukiwaniu czegoś albo kogoś, kogo warto byłoby sponiewierać.

Wrócił Byrd Slusser, krocząc ciężko między łóżkami z kocem w ręku i ostrzem kilofa u nogi. Kiedy więźniowie przyszli wieczorem z pracy, spał i nie wstał na kolację.

Spokojnymi wieczorami przed zgaszeniem świateł Harrogate siedział na pryczy i pracował nad swoją obrączką więzienną. Wyrabiało się je ze srebrnych monet, a Harrogate uprosił strażnika, żeby wyborował mu otwór w pieniążku i całymi godzinami skuwał jego krawędzie przyniesioną z jadalni łyżką. Po pewnym czasie brzegi zaokrąglały się, a moneta zaczynała przypominać do złudzenia obrączkę ślubną. Harrogate walił właśnie łyżką w swój pieniążek, kiedy Slusser obrócił się na pryczy, podniósł nogę, żeby

przesunąć ostry koniec nasadki kilofa na bok, i odkrył źródło hałasu. Najmłodszy więzień siedział w kucki na pryczy naprzeciwko, pochylony nad monetą, w którą rytmicznie uderzał. Przypominał drobnego, przygarbionego, starego latacza obuwia, którego ledwo było widać w za dużym na niego ubraniu.

Hej, powiedział Slusser.

Harrogate spojrzał łagodnie w dół. Witam, odparł.

Przestań, kurwa, stukać.

Zmierzył Harrogate'a groźnym spojrzeniem i przewrócił się na bok.

Harrogate siedział z monetą w jednej i łyżką w drugiej ręce.

Popatrzył na Slussera i z wahaniem uderzył w krawędź pieniążka. Stuk.

Ściągnął koc z brzegu pryczy i nakrył nim ręce wsunięte między kolana, żeby stłumić hałas. Stuk, stuk, stuk. Spojrzał znów na Slussera. Ten leżał dalej bez ruchu. Stuk, stuk, stuk.

Slusser podniósł się z pryczy powoli, jak ktoś, komu się nudzi.

Obszedł łóżko i wyciągnął rękę do Harrogate'a.

Daj mi to, powiedział.

Harrogate przycisnął koc do piersi.

Ty mały cwelu, lepiej kopsnij tę pieprzoną łyżkę, bo cię stamtąd wyciągnę.

Suttree, który zapadał w sen na niższej pryczy, poczuł ucisk w żołądku. Powiedział: Zostaw go w spokoju, Byrd.

Prześladowca chłopaka natychmiast stracił zainteresowanie ofiarą i ze schizoidalną skwapliwością przeniósł wzrok na Suttree'ego. No tak, odparł. Nie wiedziałem, że jest twój.

On nie jest niczyj.

To śmieć.

Nie sądzę.

Może sam jesteś śmieciem.

A może ty za często walisz konia, odpowiedział Suttree, na którego czole zalśniły kropelki potu.

Slusser wyciągnął rękę, chwycił go za bluzę na piersiach i pociągnął w górę. Suttree złapał napastnika za rękę i stanął na podłodze.

Puść to, Byrd, powiedział.

Byrd przekręcił bluzę w zaciśniętej pięści. W celi zapanowała absolutna cisza. Suttree zobaczył swoje dwa bliźniacze odbicia w zimnych brązowych oczach Slussera i ten widok mu się nie spodobał.

Zamachnął się, żeby uderzyć napastnika w twarz, ale w tej samej chwili dostał pięścią w głowę, nieco z boku, i usłyszał szum morza. Zamachnął

się jeszcze raz. Jego bluza pękła z głośnym trzaskiem, którego jednak nie słyszał. Naparł naprzód z pochyloną głową i odbił się od pryczy.

Kiedy podniósł wzrok, Slussera nie było widać. Kilku więźniów stało między nim a wyjściem na korytarz, a wokół rozbrzmiewały stęknięcia i mięsiste uderzenia pięści. Na wysokości ramion mężczyzn, przyglądających się bójce, mignęła mu uśmiechnięta twarz Callahana.

Suttree rozpychał się łokciami wśród gapiów. Walczący wpadli na łóżka, a potem bójka przeniosła się pod ścianę i w głąb celi. Slusser stał

na płask ze względu na nasadkę kilofa u kostki i przeklinał, a Callahan się uśmiechał. Spychał Slussera wzdłuż ściany w wąski kąt za pryczami.

Odwracając się, Slusser zawadził o coś nasadką, a Callahan zrobił krok naprzód i huknął go z boku w głowę. Slusser zamachnął się na oślep, po

czym spróbował kopnąć Callahana nogą obciążoną ostrzem kilofa. Trafił

w betonową krostę w kształcie gwiazdki na ścianie i przewrócił oczami z bólu, wciąż usiłował jednak dosięgnąć przeciwnika kopniakiem, kiedy z rozmachem otworzyły się żelazne drzwi i do celi wpadło dwóch strażników z pałkami.

Jako pierwszy oberwał chłopak ze wsi, z Brown's Mountain, nazywał się Leithal King. Usiadł na podłodze, trzymając się obiema rękami za głowę. Niech to szlag, powiedział.

Callahan odskoczył, unosząc ręce w górę. On dostał szału, powiedział.

Slusser odwrócił się. Wyglądał jak obłąkany. Miał szalony wzrok, a niebieska opuchlizna na skroni nadawała jego twarzy asymetryczny wyraz. Więźniowie rozstąpili się i cofnęli. Na wpół przykucnięty Slusser zwrócił się w stronę strażników, którzy opadli go, bijąc pałkami.

Rozległo się łup, łup, łup, Slusser leżał na podłodze i było widać już tylko nasadkę kilofa, a strażnicy, na klęczkach przypominający cieśli na dachu, bili go dalej.

Kiedy podnieśli Slussera, zwisał bezwładnie, krwawił z ust i uszu, a jego twarz wyglądała jak widziana przez zmatowiałe albo spękane szkło. Leithal wstał z podłogi, a Blackburn wskazał go pałką i powiedział: Ty. Weź go. Callahan, skurwysynu. Podtrzymaj go z drugiej strony.

Ja żem nic nie zrobił, rzekł Leithal, niepewnie podchodząc bliżej.

Callahan zarzucił już sobie ramię Slussera na szyję i podźwignął

go. Piegowatą pięścią wytarł z ust strużkę krwi, po czym odwrócił się do współwięźniów, krzywiąc twarz w kurczowym grymasie idiotycznego triumfu, co wywołało wśród nich tyle szerokich uśmiechów, że drugi strażnik odwrócił się przy drzwiach.

Co ty wyprawiasz, do cholery, Callahan?

Normalnie tylko podtrzymuję człowieka. Gdzie zaś go chcecie?

Wyszli z celi w ślad za strażnikami. Blackburn zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz. Ruszyli korytarzem, a potem po schodach. Nasadka u nogi Slussera wlokła się po podłodze, ale w końcu drugi strażnik przepuścił ich przodem i podniósł żelastwo. Szli tak dalej, wlokąc Slussera do kabaryny z jedną nogą w powietrzu niczym kontuzjowanego łyżwiarza.

Strażnik wrócił z Leithalem i Callahanem. Kiedy otworzył drzwi celi, Callahan chciał wejść do środka.

Zaczekaj, Callahan, odezwał się strażnik.

Callahan zaczekał.

Strażnik zamknął drzwi za Leithalem, przekręcił klucz i gestem polecił Callahanowi iść za nim. Więźniowie słyszeli protesty Reda.

Niech to piekło pochłonie, za co? Ja żem nic nie zrobił, do cholery.

Niech to piekło pochłonie.

Suttree wrócił na pryczę, dotykając spuchniętego ucha opuszkami palców. Harrogate wciąż siedział w kucki na swoim łóżku z łyżką w ręce.

Dokąd prowadzą pana Callahana?, spytał.

Do piwnicy. Blackburn wie, że Callahan łże jak pies.

Jak długo będą go tam trzymać?

Nie wiem. Może z tydzień.

Niech to szlag, powiedział Harrogate. Narobilimy niezłego burdelu, co?

Suttree spojrzał na niego. Gene, powiedział.

Co?

Nic. Po prostu Gene.

Taa. No...

Lepiej się módl, żeby zamknęli Slussera w kabarynie.

A ty?

Mnie już uderzył.

No. Będzie dobrze, o ile wypuszczą najpierw pana Callahana.

Suttree spojrzał na niego. Harrogate nie budził ciepłych uczuć.

Adenoidalny leptosomatyk, siedzący w kucki nad jego łóżkiem jak zasuszone ptaszysko, o ostrych niczym brzytwy łopatkach, wystających przez cienką tkaninę pasiastej bluzy. Chytry zboczeniec o szczurzej mordce, skazany za botaniczną perwersję. Który po wyjściu na wolność z pewnością popełni jeszcze jakieś gorsze przestępstwo. Można się o to założyć. A jednocześnie jest w nim coś przezroczystego, jakaś delikatność. Kiedy Harrogate spojrzał w odpowiedzi na Suttree'ego z tym swoim nieomal bezrozumnym spokojem, jego naga twarz zniknęła nagle w ciemności.

Niektórzy więźniowie, niezadowoleni z tego, że zgasło światło, zaczęli krzyczeć, ale strażnik kazał im być cicho.

Niech to piekło pochłonie, nie ma jeszcze ósmej.

Cicho tam!

Więźniowie rozbierali się po ciemku. Światło, które wpadało z korytarza, czyniło z tej czynności przedstawienie kukiełkowe. Suttree usiadł na pryczy, ściągnął ubranie, położył je w nogach łóżka i wślizgnął

się pod koc w bieliźnie. W celi zapadła cisza. Szelesty. Światło z latarni ulicznych wchodziło przez okna jak zimny, niebieski zimowy księżyc, którego nigdy nie ubywa. Odpływał w sen. Słyszał koła ciężarówki na drodze pół mili stąd. Słyszał dobiegające z korytarza skrzypienie nogi krzesła, na którym strażnik właśnie zmienił pozycję. Słyszał... Wychylił

się z pryczy. Niech mnie szlag trafi, powiedział. Harrogate?

Taa. Chrapliwy szept w ciemności.

Przestaniesz stukać, do jasnej cholery?

Na chwilę zapadła cisza. Okej, odpowiedział Harrogate.

Kiedy następnego wieczoru wrócili z pracy, Harrogate przywiózł

ze sobą dwa małe słoiki, które znalazł przy drodze. Suttree widział, jak schodzi z pryczy po zgaszeniu świateł. Odniósł wrażenie, że chłopak rozpłynął się w powietrzu gdzieś tuż nad ziemią. Kiedy znów się pojawił, siedział na podłodze w nogach łóżka Suttree'ego, po czym zabrzmiał blaszany stukot o beton i brzęk szkła.

Co ty, kurwa, robisz?, szepnął Suttree.

Ćśś, odparł Harrogate.

Suttree usłyszał plusk przelewanej cieczy.

Uff, odezwał się głos w ciemności.

Suttree poczuł w nozdrzach ostrą woń fermentacji.

Harrogate.

Taa.

Co ty tam kombinujesz?

Ćśś. Masz.

Z półmroku wyłoniła się ręka, podająca mu szklankę. Suttree usiadł, wziął ją, powąchał i spróbował napoju. Ciężkie, kwaskowate wino niewiadomego pochodzenia. Skąd to masz?, zapytał.

Ćśś. To sangria pana Callahana, co to ją nastawił. Myślisz, że jest już dobra?

Jakby była dobra, toby ją wypił.

Tak właśnie sobie myślałem.

Lepiej ją zostaw, niech jeszcze nabierze mocy, to wypijemy ją w sobotę wieczorem.

Myślisz, że nam po niej pourywa łby?

Suttree myślał, że pourywa im po niej łby.

Leżeli w ciemności.

Hej, Sut.

Co?

Co będziesz robił, jak wyjdziesz?

Nie wiem.

A co żeś robił, zanim cię wsadzili?

Nic. Leżałem pijany.

Wokół na przemian narastało i cichło pochrapywanie śpiących współwięźniów.

Hej, Sut.

Idź spać, Gene.

Rano spadł rzęsisty deszcz i nie poszli do pracy. Siedzieli w małych grupkach w słabo oświetlonej celi i grali w karty. Na sali było zimno, niektórzy więźniowie okryli się więc kocami. Wyglądali jak internowani uchodźcy.

Po południu jakiś kulawy więzień przyniósł kanapki z kuchni.

Cienkie plasterki cheddara na cienkich kromkach białego chleba.

Więźniowie kupowali od korytarzowego kawę w pudełkach od zapałek, po pięć centów, a on zalewał im ją zaraz wrzątkiem. Harrogate obudził

się z głębokiego snu i zeskoczył na podłogę, żeby zjeść lunch. Popijał

kanapkę czystą wodą, siedząc w kucki na pryczy z ustami pełnymi jedzenia. W całym okręgu padał zimny, szary zimowy deszcz. Wraz z zapadnięciem zmroku miał się zmienić w śnieg.

Skończył kanapki i znowu zabrał się za wykuwanie obrączki, gdy jego twarz zmieniła się pod wpływem jakiegoś nowego pomysłu.

Odłożył robotę na bok, zlazł na podłogę i wpełzł pod pryczę Suttree'ego.

Potem wyczołgał się stamtąd i znowu wszedł na łóżko, gdzie na nowo zaczął stukać. Ale po chwili znów wszedł pod pryczę Suttree'ego.

Pod wieczór kilku więźniów przyjrzało mu się uważniej, nie wiedząc, co się dzieje, bo najmłodszy z osadzonych, siedzący na swojej pryczy, zahukał nagle kilka razy jak szympans, po czym zamilkł.

Kiedy odezwał się gong na obiad, wyszli wszyscy oprócz Harrogate'a. Suttree, który przerwał grę w karty, potrząsnął go za ramię, przechodząc obok.

Hej, mistrzu. Chodźmy.

Harrogate podniósł głowę. Miał jedno oko zamknięte i pomarszczoną twarz z tej strony, z której wciskał ją w koc.

Eeeeee?, powiedział.

Chodźmy na kolację.

Harrogate zwiesił nogi nad krawędzią łóżka i wypadł z niego na betonową podłogę twarzą w dół.

Suttree już się odwrócił do drzwi, kiedy usłyszał odgłos upadku.

Obejrzał się i zobaczył, jak Harrogate gramoli się z podłogi. Zawrócił i pomógł mu wstać. Kurwa mać, co się z tobą dzieje?

Hhh, hhh, odpowiedział Harrogate.

Cholera, powiedział Suttree. Lepiej zostań. Dasz radę wrócić na pryczę?

Harrogate odepchnął go i spojrzał jednym okiem na drzwi celi.

Jesić, jesić, powiedział.

Ty pojebańcu. Nawet nie możesz iść.

Harrogate ruszył po nierównej podłodze, chwiejąc się potężnie.

Pozostali więźniowie tłoczyli się przy drzwiach, wychodzili dwójkami i wchodzili na schody. Niektórzy się oglądali.

Patrzajcie, kto idzie.

Co mu się stało?

Wygląda na to, że ma jedną nogę dłuższą od drugiej.

Harrogate wpadł na ostatni zestaw prycz i zatoczył się.

Niech mnie szlag trafi, jeżeli ten wsiarz nie jest zalany w trupa.

Oczka ma jak dziury w śniegu po szczynach.

Harrogate'em zarzuciło w ich stronę niczym zepsutym androidem.

Jeden z więźniów chwycił go za rękaw.

Idziesz na obiad, Wsiarzu?

Jak skurwysyn, odpowiedział Wsiarz.

Otoczyli go w kolejce, podtrzymując na nogach i zasłaniając przed strażnikami. Pomocnik kucharza, który nakładał Harrogate'owi jedzenie na talerz, spojrzał mu w twarz zapewne tylko dlatego, że jako jedyna pojawiła się tak nisko. Masz pietra, rzekł.

A jak, odparł Harrogate, z powagą mrugając okiem.

Ruszyli do jadalni. Harrogate stanął w rozkroku nad ławką, stracił

równowagę i cofnął się. Podniósł nogę, żeby spróbować raz jeszcze.

Jakiś więzień chwycił go za kończynę, pociągnął w dół, złapał jego przechylony talerz i posadził Harrogate'a na ławce obok siebie.

Hi, hi, powiedział Harrogate.

Ktoś kopnął go pod stołem. Harrogate rozejrzał się po twarzach siedzących najbliżej, szukając winowajcy. Murzyni wchodzący gęsiego za stół naprzeciwko zwąchali już chyba, co się święci, strzelali więc oczami i szczerzyli się w uśmiechach.

Harrogate nabrał porcję łaciatej fasoli na łyżkę i podniósł ją do ust.

Kilka ziaren spadło mu na kolana. Zaczął ich szukać i zbierać fasolę łyżką. Przyglądało mu się kilku strażników. Z trudem siedział na ławce.

Kiwał się na boki. Strażnik o nazwisku Wilson, stojący u szczytu stołu, podszedł bliżej, by bliżej przyjrzeć się Harrogate'owi. Ten wyczuł, że ktoś nad nim stoi, i odwrócił głowę, jednocześnie osuwając się na siedzącego obok więźnia. Wilson zajrzał Harrogate'owi w twarz, która właśnie nieco pozieleniała. Harrogate znów zajął się jedzeniem, jedną ręką trzymając się krawędzi stołu.

Ten człowiek jest pijany, zauważył Wilson.

Ktoś siedzący dalej przy stole powiedział: Poważnie?, i przez jadalnię przeszedł chichot. Wilson potoczył wokół gniewnym spojrzeniem. No dobra, odezwał się. Spokój. Ty. Wstawaj.

Harrogate odłożył łyżkę, znowu przytrzymał się stołu i wstał, ponieważ jednak ławka nie chciała się odsunąć, pozostał w pozycji kucznej. W końcu stracił równowagę i usiadł z powrotem. Następnie odwrócił się i spróbował przełożyć nad ławką nogę, ciągnąc ją za nogawkę, z łokciem w talerzu.

Brzęk i skrobanie łyżek ustało teraz na dobre. Słychać było jedynie Harrogate'a, walczącego ze stołem o wolność. Wilson pochylał się nad najmłodszym więźniem niczym uzdrowiciel nad paraplegikiem. W

końcu Harrogate stanął okrakiem nad ławką, z rękawa ściekało mu piure z kukurydzy.

Edobrze, powiedział.

Co?, spytał groźnie Wilson.

Wsiarz przymknął oczy, beknął i podniósł powieki. Niedobrze, powiedział. Próbował dźwignąć drugą nogę. Siedzący obok więzień podniósł na niego wzrok i odchylił się na bok. Harrogate zachwiał się, wyciągnął gwałtownie szyję jak kurczak i zwymiotował Wilsonowi na buty.

Więźniowie siedzący obok Harrogate'a zerwali się na nogi, a Wilson wyciągnął pałkę. Patrzył na swoje buty. Nie wierzył własnym oczom. Na twarzy Harrogate'a pojawił się wyraz przerażenia. Trzymał

się stołu i rozglądał dookoła dzikim wzrokiem, w gardle wzbierały mu wymiociny. Dostrzegł swój talerz. Pochylił się nad nim. Zwymiotował

na stół.

Ty wstrętny, mały skurwysynu, wrzasnął Wilson, wierzgając nogami, żeby strząsnąć rzygowiny z butów. Więźniowie siedzący naprzeciwko Harrogate'a wstali od stołu i przyglądali się wsiarzowi z przerażeniem. Harrogate popatrywał na nich załzawionymi oczami i udało mu się przywołać na twarz mikroskopijny, czamozębny uśmieszek, zanim znów puścił pawia.

Nie widzieli go przez dziesięć dni. Pojawił się dopiero jedenastego poranka, kiedy sunęli gęsiego przez kuchnię z talerzami w rękach; uśmiechał się bojaźliwie i polewał im suchary sosem. Za nim w kłębach pary, z papierosem w ustach siedział na kiblu Red Callahan. Nikt nie pytał, gdzie jest Slusser.

Tego wieczoru, kiedy wrócili z pracy, Harrogate chyba brał

właśnie prysznic w celi kuchennej, bo gdy mijali go w drodze do swoich cel, dwójkami, w milczeniu, emanując aurą chłodu, który ze sobą przynieśli, wsiarz nagle pojawił się nago za kratami. Miał wychudzoną twarz, mocno zaciskał ręce na prętach i przypominał obdartą ze skóry małpę szerokonosą.

Sut, zawołał cicho. Hej, Sut.

Suttree usłyszał swoje nazwisko. Gdy znalazł się na wysokości najmłodszego więźnia, wyszedł z szeregu. Kiedy upiorny rzygacz uderzy po raz kolejny?, zapytał. Co ty tu, kurwa, robisz z gołą dupą?

Posłuchaj, Sut, ten jebany Wilson uwziął się na mnie. Muszę się stąd wydostać.

Skąd?

Stąd. Z tego pudła.

Znaczy, że chcesz uciec?

Taa.

Suttree pokręcił głową. To szaleństwo, Gene, rzekł.

Musisz mi pomóc.

Suttree wrócił do szeregu na końcu. Jesteś stuknięty, Gene, powiedział.

Zobaczył Harrogate'a ponownie tydzień później, w czwartek, kiedy wyznaczono go do nadzorowania rozdawnictwa darów żywnościowych dla

ubogich. Potrzebujący o kaprawych oczach, pociągając nosami, wlekli się w łachmanach, pokazywali przy biurku dokumenty i szli dalej, tam gdzie więźniowie wyładowywali z palet worki z mąką kukurydzianą albo wsypywali szufelkami suszoną fasolę do toreb na zakupy. Suttree próbował patrzeć im w oczy, ale bardzo niewielu podnosiło wzrok. Brali swoją jałmużnę i szli dalej. Stare, pokraczne kobiety w cienkich letnich sukienkach, w skarpetkach zsuniętych na blade, nagie kostki i w butach porozpruwanych z boków nożami, żeby ulżyć stopom. Miały ściągnięte usta, wyglądające jak szwy, a górne wargi poplamione tabaką. Suttree'emu wydawały się niemal nierzeczywiste niczym wodewilowe żebraczki, przebrane do występu. W południe, w przerwie na lunch, Suttree i Harrogate stanęli w szeregu razem. Usiedli po turecku między współwięźniami i paletami z fasolą, po czym rozpakowali swoje kanapki.

Co dostaliśmy?

Mortadela.

Ktoś może ma ze serem?

Ze serem ni ma.

Sut.

Taa.

Ćśś. Wiesz, gdzie jesteśmy?

Gdzie jesteśmy?

Idzie mi o to, gdzie jest miasto?

Harrogate mówił głośnym, chrapliwym szeptem, plując okruszkami chleba.

Suttree wyciągnął kciuk do tyłu, ponad swoim ramieniem. Tamój, odpowiedział.

Harrogate wskazał kciukiem w dół i się rozejrzał. No to myślę sobie, coby zrobić tak...

Gene.

Taa.

Jeżeli stąd uciekniesz, skończysz jak Slusser.

Z nasadką kilofa u nogi? O to ci chodzi?

Chodzi mi o to, że już przez cale życie będziesz siedział w różnych zakładach karnych.

Jest tylko jedna sprawa.

Mianowicie.

One mnie nie złapią.

Dokąd pójdziesz?

Pójdę do Knoxville.

Knoxville.

Do diabła, tak.

Dlaczego uważasz, że cię nie znajdą w Knoxville?

Niech to piekło pochłonie, Sut. W takim wielkim mieście jak Knoxville? Nigdy człowieka nie znajdą. Zaś nawet nie wiadomo, gdzie zacząć szukać.

Suttree popatrzył na Harrogate'a i pokręcił głową.

Jak daleko będzie stąd do miasta, jak myślisz?, spytał Harrogate.

Sześć albo osiem mil. Posłuchaj, jeżeli już musisz uciekać, dlaczego nie poczekasz i nie spróbujesz dać nogi któregoś wieczoru z warsztatów okręgowych?

Czemu stamtąd?

Do diabła, tam jesteś praktycznie w mieście. Poza tym byłoby już ciemno. Albo prawie, cholera.

Harrogate przestał jeść i wbił wzrok w swój but. Po chwili znów zaczął poruszać szczękami. Może masz rację, powiedział.

Suttree rozpakowywał drugą kanapkę. W zasadzie to chyba jednak niewielka różnica, odezwał się.

Jak to?

Bo i tak cię złapią za tę chudą dupę.

Normalnie nie ma takiej możliwości.

A co chcesz zrobić z ubraniem? Jak myślisz, co ludzie powiedzą, widząc cię włóczącego się w takim stroju?

Najsampierw postaram się o jakie ciuchy.

Suttree pokręcił głową.

Do diabła, Sut. Potrafię się ukrywać.

Gene.

Taa.

Wyglądasz podejrzanie. Zawsze będziesz wyglądał podejrzanie.

Harrogate spojrzał w ziemię. Przestał poruszać szczękami. Nie, nie będę, odparł.

Zrobiło się zimniej i nie wyszli do pracy. Wilson zapędził

Harrogate'a do malowania zastępujących listwy czarnych pasów wzdłuż ścian nad podłogą. Cały dom cuchnął, podobnie jak wsiarz, gdy przyszedł wieczorem umazany czarną farbą na twarzy niczym partyzant.

Pewnego wieczoru Suttree zapytał go: Nie masz żadnej rodziny?

Światła były zgaszone. Kilku więźniów przewracało się w ciemnościach na drugi bok. A ty?, odpowiedział mu cichy głos nad głową.

Przyszło Boże Narodzenie i niektórzy żonaci osadzeni dostali przepustki urlopowe, by mogli spędzić święta z rodzinami. Kilku zostało zwolnionych. Slusser wrócił z izolatki, wciąż z nasadką od kilofa na nodze. Wszedł do celi z kocem w ręku i przeszedł między łóżkami, nie odzywając się do nikogo.

W świetlicy na dole stała choinka z lampkami, a w pierwszy dzień świąt więźniowie dostali na obiad nadziewanego indyka z sosem i najróżniejszymi dodatkami. Pijany Callahan smażył w kuchni placki ze starych, słodkich kartofli i marchewek. Zwolnieni z izby wytrzeźwień alkoholicy wałęsali się wszędzie, wariując z pragnienia. Zapanowała atmosfera ostrożnej radości, jak podczas Bożego Narodzenia w arktycznej stacji badawczej.

Następnego dnia była niedziela. Suttree grał w pokera, kiedy wywołano jego nazwisko. Nie przerwał gry.

O ciebie chodzi, Suttree.

Złożył karty. Zerknął w stronę drzwi i wstał ciężko, podając karty Harrogate'owi. Tylko nie przegraj wszystkich moich pieniędzy, powiedział.

Strażnik otworzył drzwi, a Suttree wyszedł i zbiegł na dół po schodach.

Jadalnia była pełna bliskich, którzy przyjechali w odwiedziny do więźniów.

Ogromne

kosze

z

owocami.

Wieśniacy,

jedni

zdezorientowani, drudzy zapłakani. Starcy, którzy może kiedyś sami tu siedzieli.

Tam, powiedział Blackburn.

Siedziała przy stole na końcu korytarza. Cicho, w najlepszym ubraniu. Suttree odwrócił się, żeby odejść, ale Blackburn złapał go za rękaw i pociągnął w drugą stronę. Posadź tam swoje dupsko.

Ruszył wzdłuż stołu. Trzymała torebkę na kolanach i patrzyła w dół. Miała na głowie kapelusz, w którym chodziła zwykle do kościoła.

Suttree usiadł na ławce przy stole naprzeciwko, a ona spojrzała na niego.

Wyglądała staro, nie pamiętał, by kiedyś tak wyglądała. Miała obwisłą, pomarszczoną skórę na szyi i wole pod brodą. Bledsze oczy.

Cześć, mamo, powiedział.

Jej podbródek pofałdował się i zaczął trząść. Buddy, rzekła.

Buddy...

Ale syn, do którego się zwracała, był jakby nieobecny. Patrzył z obojętnością, jak matka splata dłonie na stole. Potem usłyszał swój głos, odległy, niosący się w górze. Nie zaczynaj płakać, proszę, powiedział.

Spójrzcie na tę rękę, która wykarmiła węża. Jej smukłe, kościste palce, przypominające połączone piszczałki. Na skórze cysty i plamki.

Żyłki mlecznoniebieskie i spuchnięte. Gruby złoty pierścionek, wysadzany brylantami. Który napełnił jej dziecinne serce męką uczucia, kiedy mnie nie było jeszcze na świecie. Oto udręka śmiertelności.

Zawiedzione nadzieje, wystygła miłość. Matka pogrążona w żalu. Tak przeminęło wszystko, przed czym mnie ostrzegano.

Suttree zaczął płakać i nie mógł się uspokoić. Ludzie patrzyli.

Wstał. Sala zakołysała mu się przed oczami.

Buddy, powiedziała matka. Buddy...

Nie mogę, odpowiedział. Dławiła go paląca sól. Zachwiał się i odszedł. Blackburn chciał zatrzymać go przy drzwiach, ale odsunął się, kiedy zobaczył jego twarz. Suttree wyszarpnął rękę z jego uścisku, wyszedł przez żelazne drzwi i wrócił na górę.

Kilka dni później został zwolniony na polecenie sędziego Kelly'ego. Dzień przedtem, rankiem, odkomenderowany do pracy wsiarz zbiegł, a kiedy Suttree przyszedł z magazynu w ubraniu, w którym trafił do pudła siedem miesięcy wcześniej, strażnicy prowadzili korytarzem Harrogate'a, postukującego o podłogę nasadką od kilofa.

Suttree i Harrogate wymienili w przelocie spojrzenia, ale to, co chcieli powiedzieć, nie dało się wyrazić słowami. Suttree'ego odwieziono do miasta tym samym samochodem, którym jeździł do pracy. Padał śnieg, ale drogi były czarne.

4

Obudził się po południu, w ciężkim upale pełni lata. Słońce biło w blaszany dach nad jego głową, wzbijając kwaśną woń starego drewna kabiny. Słyszał wycie pił, dochodzące z tartaku po drugiej stronie rzeki, i urywane kwiczenie świń, trafiających pod rękę rzeźnika w ubojni.

Odwrócił się twarzą do ściany i otworzył jedno oko. Przez szparę w rozeschniętych deskach obserwował powolny, brązowy przypływ rzeki.

Po chwili dźwignął się z trudem na nogi, mrużąc oczy pod wpływem mglistych płatów słońca, przecinających gorący półmrok. Stanął

niepewnie na chwiejnych nogach na podłodze, w spodniach, w których spał, po czym podreptał do drzwi i wyszedł boso na zewnątrz, drapiąc się po nagim brzuchu i patrząc pod nogi w poszukiwaniu zapomnianych haczyków na ryby na deskach barki. Przystanął przy relingu. Oparł się o niego łokciami i spojrzał na rzekę. Łódka zanurzyła się aż po okrężnicę i spoczywała w ciszy, szarpana nurtem. Suttree wsparł nogę na barierce i przyjrzał się palcom swojej stopy. W rozgrzanym letnim powietrzu zewsząd dochodziło go brzęczenie maszyn samotnego przemysłu miasta. Przymknął oczy i przeciągnął się. W górę rzeki płynęła pogłębiarka, której rury, pompy i wyciąg spoczywały na platformie.

Patrzył na płynący statek. Mężczyzna, który stał na pokładzie pilota, pomachał do niego, a on odwzajemnił powitanie.

Suttree wziął przewieszoną przez reling linę i zaczął przyciągać łódkę wzdłuż boku swojego pływającego domu. Skif chybotał się i zanurzał. Rzucił linę na brzeg, zszedł na dół po trapie, wyciągnął ją z błota, owinął wokół kostek u nóg i wciągnął łódź na brzeg. Złapał kółko na dziobie, zebrał wszystkie siły i dźwignął skif, aż błoto trysnęło mu spomiędzy palców. Podciągnął przód łodzi i patrzył, jak woda z ciężkim chlupotem przelewa się ponad pawężą do rzeki. Rufa uniosła się i zaraz opadła. Suttree wciągnął skif wyżej i przechylił go na bok. Uwięzione w środku ryby

kłębiły się i rzucały. Ostrożnie przechylał łódź dalej, ryby osuwały się na krawędź burty i opadały z powrotem. Kiedy postawił

łódkę prosto, leżały z otwartymi pyszczkami na deskach, w słońcu, które wysuszało je w oczach.

Chwycił się za boczne kieszenie, szukał czegoś. Wstał, poszedł do swojej chatki i wrócił z dużym nożem o składanym ostrzu. Sięgnął na dno łodzi i za dolną szczękę wyciągnął zębacza. Ryba drżała lekko i podwijała ogon. Suttree odwrócił ją, zatopił ostrze w jej gardle, po czym rozpruł mokry, bladoniebieski brzuch jednym precyzyjnym cięciem, po którym żywe wnętrzności ryby spłynęły mu po ręce w kipieli ciemnej krwi. Chwycił je, wyrwał i wyrzucił, mokra, przypominająca robaka masa wiła się w jasnym słońcu, po czym spadła na spokojną powierzchnię rzeki z lekkim pluskiem i niemal natychmiast została wessana w głąb. Suttree odłożył oczyszczoną i wypatroszoną rybę na bok i sięgnął po następną. W sumie było ich siedem. Już po kilku minutach leżały gotowe w cieniu pod ławeczką na łódce. Odciął

haczyki, które zachował, zmył z rąk krew i śluz, wymył nóż, złożył

ostrze i wrócił do domu na barce.

Kiedy znów z niego wyszedł, miał na sobie swobodnie rozpiętą koszulę i ręcznik przewieszony przez ramię, a w ręku małą lakierowaną miskę i skórzany pokrowiec z przyborami do golenia. Zszedł po trapie i ruszył przez łąkę w stronę magazynu, wciąż boso, stąpał więc ostrożnie, wszedł na szyny kolejowe, zrobił trzy niepewne kroki po rozgrzanej stali i zaraz zeskoczył z powrotem na ziemię. Wykonał krótki taniec oparzonych stóp i poszedł dalej torami po żużlu i niewygładzonych podkładach. Wokół leżały stare opony, porzucone zbiorniki na wodę, rdzewiejące w chwastach, pozbawione denek wiadra i popękane betonowe płyty. Gdy zszedł z torów, skręcił za magazyn, którego nowa, jasno galwanizowana blacha zdawała się wirować w strasznym upale, czarny cień Suttree'ego giął się na falistej, jakby gniewnie łypiącej na niego powierzchni niczym figurka z krepy w teatrzyku cieni. Na drugim końcu magazynu znalazł mosiężny kranik. Poniżej, w spękanej, czerwonej glinie, utworzyło się zagłębienie, którego

środek stanowiło ciemne, ochrowe oczko, tam gdzie kapała woda. Suttree ukląkł, wyjął

swoje przybory, powiesił lusterko na gwoździu, postawił miskę pod kranem i odkręcił wodę. Mrużąc oczy, przyjrzał się swojemu zarostowi, leniwie sprawdzając temperaturę wody jednym palcem. Był upał, zrobiła się więc gorąca, a Suttree nabrał mydło na otwartą dłoń, posmarował

policzki, zmoczył pędzel i starannie namydlił twarz. Potem otworzył

brzytwę, ostrzył ją przez chwilę o krawędź pokrowca i zaczął się golić, naciągając skórę palcami.

Kiedy skończył, wylał wodę w eksplozji kropelek i mgiełki pary pod rozpaloną ścianą magazynu, gdzie na moment utworzyła się tęcza.

Ponownie napełnił miskę, zdjął koszulę, ochlapał się wodą, namydlił, spłukał i wytarł ręcznikiem. Schował brzytwę i umył zęby, kucając w surowej glinie i rozglądając się wokół. Nad brzegiem rzeki zawisła gorąca cisza. Nad brudnymi, krzywymi chatami z nieheblowanych desek, nad nagimi, pokrytymi gruzem parcelami i łąkami turzycy w kolorze drutu, nad pełnymi kraterów nieużytkami zlepieńców i nad torami. Cisza panowała też pośród rozpalonych blaszanych kolosów i dalej, nad kamieniami, paprociami i mułem, wyznaczającym granice rzeki. Jakieś zwierzątko przypominające mysz, chociaż bez ogona, wyszło z chwastów poniżej, przebiegło po otwartym terenie niczym nakręcana zabawka i zniknęło mu z oczu pod ścianą magazynu. Splunął

i wypłukał usta. Czarnoskóra czarownica, znana jako Mother She, szła po Front Street do sklepu, wątła, zgarbiona postać w czarnej krezie, z laską w ręku, rozpaczliwie wlokła się w spiekocie. Suttree wstał, zabrał

swoje rzeczy i ruszył w drogę powrotną wyschniętym, glinianym kanałem ściekowym, biegnącym wzdłuż magazynu, a potem poszedł

dalej po torach i przez łąkę.

W pobliżu domku na barce zauważył długiego szarego kota, z trudem ciągnącego w chaszcze niemal dorównującą mu wielkością rybę.

Zaczął krzyczeć i machać na niego rękami, po czym zgarnął z ziemi kamień i rzucił nim w kocura. Puścił się biegiem przez rżysko, utykając i ostrożnie przebierając bosymi stopami. Kiedy był już blisko, wygłodzony kot nastroszył się, gotów bronić zdobyczy, parskał i zjeżył

sierść na wygiętym w pałąk grzbiecie. Nie wypuścił ryby z pyska.

Suttree rzucił w niego kamieniem. Kot położył uszy płasko na łbie, a jego ogon co chwila przebiegało drżenie. Suttree znów rzucił w niego kamieniem, który tym razem odbił się od wystających żeber zwierzaka.

W końcu kocur wypuścił rybę i odpowiedział wyciem, ale nie ruszył się z miejsca, wsparty na kościstych łapach.

A niech cię szlag trafi, powiedział Suttree. Przez chwilę miotał się wokół, aż wreszcie znalazł wielką grudę zaschniętego mułu, podszedł

bliżej i rozkruszył go nad kotem, który wrzasnął i odskoczył w bok, potrząsając łbem. Suttree odzyskał rybę, obejrzał ją dokładnie i opłukał

w rzece. Potem zabrał pozostałe ryby, włożył je do miski, która dygotała mu w rękach pod tym ciężarem, i wrócił do domku. Kot tymczasem był

już z powrotem w łodzi, szukał.

Słońce świeciło pełną mocą prosto w blaszany dach i upał w domku na barce stał się nie do wytrzymania. Suttree schował przybory do golenia, z komódki z płyty paździerzowej wyciągnął czystą koszulę i spodnie, ubrał się, wziął buty, skarpetki i ręcznik i wyszedł na pokład.

Siedział z nogami w wodzie, wyglądając przez poręcze relingu. Jakiś starzec płynął na pych łódką przy brzegu w pobliżu mostu. Stał

niepewnie, prowokując los, w dłoniach dzierżył długi bosak. Kolega po fachu w tej kloacznej krainie, uprawiający rzemiosło, które sam sobie wybrał. Nazywał się Maggeson, Suttree się uśmiechnął, widząc go przy

robocie, posuwającego się powoli z głową osłoniętą frędzlami wielkiego, wystrzępionego ronda płóciennego kapelusza.

Wytarł nogi, włożył skarpetki i buty i uczesał się. W domku zawinął ryby w gazetę, przewiązał je sznurkiem i sięgnął po stojącą w kąciku puszkę z naftą. W drzwiach obejrzał się, żeby sprawdzić, czy niczego nie zapomniał, a potem wyszedł.

Szedł ulicą tak długo, aż znalazł kawałek płaskiego gruntu na skraju chodnika, poniżej kęp zielska. Zatrzymał się, polał naftą rozgrzany asfalt, schował puszkę w trawie, żeby uchronić ją przed wścibskimi oczami, i poszedł dalej.

Drobne czekoladowe dzieci kiwały mu głowami albo podnosiły bladobrązowe dłonie, ponuro, bardzo ponuro. Cześć. Witam. Wyszedł

na brzeg i ruszył ze swoimi rybami w stronę miasta.

Kiedy zaczynał życie na rzece, znalazł skrót, wiodący przez stare ogrody na nadbrzeżnej skarpie, krętą ścieżkę wysypaną żwirem, która skręcała za starymi domami o poczerniałych płotach i leciwych gankach, gdzie zardzewiałe zwoje zasłon przeciw owadom opadały z przegniłych ścian. Ale przechodząc pod jednym wysokim oknem, zawsze słyszał

stłumiony pomruk obelg i posępnych przekleństw, dlatego nie chodził

już najkrótszą drogą, tylko dłuższą, po ulicach. Miotający obelgi mężczyzna obrał sobie jednak nowe stanowisko w innym oknie, albowiem dom, który dzielił ze swoimi skłonnościami, był tak wielki, że jego lokator mógł wyglądać na przechodzącego nieopodal rybaka z innego pomieszczenia. Ostatnimi laty został zmuszony do prowadzenia siedzącego trybu życia, co okazało się trudne do zniesienia dla kogoś, kto przywykł do codziennego wychodzenia na dwór na chwiejnych nogach i oblewania nieznajomych przechodniów witriolem. Wciąż pilnie trzyma wartę. Starzec, którego twarz widać czasem niewyraźnie w górnych rogach okien.

Market Street w poniedziałkowy ranek w Knoxville, w stanie Tennessee. W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym.

Suttree z zawiniątkiem z rybami mija szeregi porzuconych ciężarówek, wyładowanych produktami rolnymi i kwiatami, cuchnący zapach wiejskiego targowiska, w powietrzu unosi się woń płodów ziemi, każąca się spodziewać lekkiego gnicia i rozkładu. Chodnik zdobią pariasi, a ślepi śpiewacy, organiści i psalmiści z harmonijkami ustnymi włóczą się w górę i w dół ulicy. Suttree mija sklepy żelazne, rzeźnicze i małe sklepiki z tytoniem. W gorącym popołudniowym powietrzu rozchodzi się silny zapach ciepłej strawy niczym świeżego zacieru. Siedzący jak kury na grzędzie, milczący handlarze przyglądają się przechodniom ze swoich wozów, a kwiaciarki w czepkach przypominają zakapturzone gnomy o górnych wargach spuchniętych od tabaki i jakby drewnianych dłoniach, które trzymają złożone na okrytych fartuchami kolanach.

Wkroczył między straganiarzy, żebraków i szalonych ulicznych kaznodziei, którzy przemawiali do straconego świata z animuszem nieznanym osobom przy zdrowych zmysłach. Suttree podziwiał ich rozpalony wzrok i biblie z kartkami o pozaginanych rogach, boskich szczekaczy, którzy idą w świat na podobieństwo starodawnych proroków. Często przystawał na obrzeżach tłumu, nasłuchując jakiejś zabłąkanej wiadomości z marginesu społecznego.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, podnosząc nogi nad zapchanym zgniłymi warzywami rynsztokiem. Kiedy wychodził zza ciężarówek, zagrodziło mu drogę zwiędłe, plamiste ramię żebraczki, zakończone kurczowo zaciśniętymi szponami, drgającymi na wysokości jego piersi.

Suttree prześlizgnął się obok niej. Poczuł stęchłą, zakonną woń jej ubrania i zapach tkwiącego w nim zwiędłego ciała. Oczy starej jałmużniczki odpłynęły na bok w mgiełce goryczy, ale Suttree nie miał

nic, tylko ryby.

Wszedł w cień hali targowej, której cegły koloru zaschniętej krwi wznosiły się wariacko w upalny dzień wieżyczkami i kopułkami, jedna na drugiej, w obłąkanych zrostach, bez precedensu i analogii w annałach architektury. Gołębie podskakiwały i muskały piórka na wysokich barbakanach albo srały z poczerniałych parapetów. Suttree pchnął szare drzwi na dole.

Szedł po chłodnych płytkach, a trociny i wióry tłumiły jego kroki.

Obok na wózku pełnym ścinków skóry przejechał jak na hulajnodze jakiś zniewieściały mężczyzna. W mroku pod sufitem obracały się powoli wielkie wentylatory, a klienci przepychali się na dole z koszykami w rękach, wpatrując się ze zdumieniem w obfitość, w której się poruszali, nieśmiałe kobiety w kraciastych podomkach, dziurawych pod pachami, ciągnęły za sobą małe, umorusane dzieci w tenisówkach.

Wszyscy kłębili się, kręcili i powłóczyli nogami. Suttree zabłąkał się wśród straganów, na których babuleńki sprzedawały kwiaty, jagody albo jajka. Przy ladach barowych siedzieli w rzędach zgarbieni, leciwi farmerzy. Lazaret pełen artykułów spożywczych, roślin i ułomnych indywiduów. Na co drugiej twarzy widać było wole, kurczowy grymas albo jakieś guzy i narośle. Czarne, zepsute zęby, oczy kaprawe i puste.

Zimni, skarlali ludzie w otoczeniu papierowych rożków pełnych kwiatów, handlarze ezoterycznych towarów, takich jak dziwne mazidła, stojące w szeregu w słoiczkach, albo eliksiry warzone nocą pod księżycem. Mijał stosy skrzyń, pełnych kurczaków i tłustych zajęcy o rubinowych oczach. Osełki masła w lodzie i równe rzędy brunatnych albo alabastrowych jaj. Sprzedawcy na straganach rzeźniczych wygarniali muchy ze skrwawionych trocin. Rzeźnicy ostrzyli noże, a gdzieś na tacy Suttree zobaczył sparzony różowy łeb cielaka. Wyżej w okrutnej rzeźni widniały wielkie topory, piły do kości i półtusze wołowe, obok wiszących na hakach szynek, powleczonych warstewką niebieskiej pleśni. Na stoisku rybnym w półmroku niewyraźnie rysowały się zimne szare kształty w korytkach z kruszonym lodem.

Suttree minął chłodne, szklane wystawy pełne rybnego dobra i wszedł na zaplecze.

Dzień dobry, panie Hirner.

Witam cię, Suttree, odparł starzec. Co masz?

Dwa ładne zębacze i parę karpi. Suttree rozwinął papier i położył

ryby na drewnianym klocu. Pan TUrner wcisnął kciuk w jednego z zębaczy, do którego przylgnęły kawałki gazety. Obmacał rybę, po czym wziął oba zębacze i położył je na wadze.

Powiedzmy, siedem funtów.

W porządku. A karpie?

Pan Turner przyjrzał się krytycznie matowym kształtom, pokrytym pancernymi łuskami. No, jednego może mógłbym wziąć, rzekł.

No.

Sprzedawca ryb zdjął zębacze i wybrał małego karpia. Patrzyli obaj, jak przechyla się wskazówka wagi. Stary handlarz zmiął fartuch w rękach.

Dwa i pół, powiedział.

Okej.

Turner skinął głową, podszedł do kasy i otworzył ją przy akompaniamencie dzwonka. Wrócił z jednodolarowym banknotem i czterema centami, które wręczył Suttree'emu.

Kiedy przyniesiesz mi te małe zębacze z kanału?

Suttree wsunął złożonego dolara do kieszeni i zawinął pozostałe ryby w gazetę. Wzruszył ramionami. Nie wiem, odparł. Jak tylko będę mógł.

T\irner przyglądał się mu. Wiatrowe kuranty podzwaniały z cicha, brzęk szklanych ozdób, łagodnie kołysanych nad ich głowami przez wentylatory.

Ludzie ciągle mnie o nie pytają.

No. Może później w tym tygodniu. Muszę się po nie wybrać na French Broad. Taki upał to niedobra pogoda.

No to przynieś mi parę sztuk jak najszybciej, jak tylko będziesz mógł.

W porządku.

Suttree wsunął pozostałe ryby pod pachę i skinął głową.

Pan Turner znów wytarł ręce. Zapraszam ponownie.

Suttree przemierzył całą halę targową i wyszedł przez wahadłowe drzwi na Wall Avenue. Niewidomy Murzyn brzdąkał na gitarze o metalowym rezonatorze i złamanym gryfie, grając na jakąś starą bluesową nutę. Suttree wrzucił cztery centy do blaszanego kubka, przyklejonego taśmą do pudła instrumentu.

Pokaż im, jak się gra, Walter, powiedział.

Hej, Sut, odrzekł muzyk.

Suttree przeszedł przez ulicę na wysokości sklepu Mosera, żeby przyjrzeć się butom w oknie wystawy. Na chodniku siedział inwalida o ziemistej karnacji. Na jego wychudzonych, zgiętych kolanach leżał

kapelusz pełen ołówków. Kaleka głowę miał opuszczoną nisko na piersi, jakby chciał przeczytać napis na kartce zawieszonej na szyi. JESTEM

BIEDNYM CHŁOPCEM. Jego kędzierzawe siwe włosy wieńczyła tiara ciemnych okularów, zsuniętych na czoło jak gogle. Suttree ruszył dalej.

Minął pełną kupujących Gay Street, znalazł się w długim, chłodnym tunelu arkad dworca autobusowego i wszedł do środka.

W jaskini stęchłego dymu papierosowego i nudy nosowy głos wywoływał przez megafon nazwy miast leżących na południu Stanów Zjednoczonych. Suttree poprawił pod pachą paczkę z rybami, wkroczył

w drzwi w przeciwległej ścianie poczekalni, zszedł po betonowych schodach na stanowiska bezczynnych autobusów i znalazł się na State Street. Minął remizę strażacką, której więźniowie siedzieli na przechylonych trzcinowych krzesłach pod ocienioną ścianą, i ruszył w dół Vine Avenue, przechodząc obok sklepów z używanymi meblami pośród grupek Murzynów, a potem wszedł na Central, gdzie z ciemnych sklepów

dobiegały na chodnik odgłosy głośnego i szemranego handlu i gdzie wałęsały się stada pokiereszowanych psów. Przepychał się na targowisku między ciemnoskórymi klientami, cuchnącymi potem i łatwopalnym oddechem amatorami nielegalnie pędzonej kukurydzianej whisky, wokół połyskiwały szerokie białe zęby, rozbrzmiewał śmiech i widać było wybałuszone oczy. Za półkami z artykułami spożywczymi stał długi szpaler piwoszy, przypominający estakadę. Jakaś grubo okutana staruszka zamruczała mu coś do ucha w przelocie. Suttree oparł

się o ladę z mięsem i czekał.

Znad kontuaru, między stojakami z paczkowanymi parówkami i skórkami wieprzowymi, spojrzały na niego oczy czarnoskórego mężczyzny o dziobatej twarzy.

Mam cztery świeże karpiowate, powiedział Suttree.

Zobaczy się.

Podał sprzedawcy bezwładny pakunek. Ciemnoskóry rzeźnik rozwinął go, obejrzał ryby i położył je na skrwawionej szali wagi.

Czterynaście funtów, powiedział.

W porządku.

Czemu zaś nigdy nie przyniesiesz zębacza?

Spróbuję ci coś skołować.

Ludzie cięgiem pytają: Gdzie masz zębacze? A tu ni ma i tyła.

Może mi się uda coś dla ciebie skołować.

Dolar dwanaście.

Suttree wyciągnął rękę po pieniądze.

Wyszedł na rozpaloną jak piec ulicę z banknotami głęboko w kieszeni i ruszył przed siebie, pogwizdując. Poszedł przez Vine na Gay Street i dalej, wzdłuż wystaw lombardów. Produkty tysiąca rzemiosł.

Konsultując się ze swoim odbiciem w szybie, przyglądał się nożom na wystawie. Proszę wejść, proszę wejść. Stojący w drzwiach pulchny sprzedawca w koszuli z krótkim rękawem. Suttree ruszył dalej. Było już późne popołudnie i ruch ślimaczył się w upale, tramwaje przejeżdżały obok ze stukotem kół, ciągnąc za sobą niewyraźne iskry, sypiące się z góry, z przewodów elektrycznych.

Krążył między półkami tanich sklepików, popatrując na młode sprzedawczynie. Wszedł przez drzwi obrotowe do pachnącego i klimatyzowanego sanktuarium Millera. Chłodne bogactwo dostępne dla najbiedniejszych. Ruchomymi schodami na drugie piętro. Holt stał z rękami założonymi na plecach jak pracownik firmy pogrzebowej na pogrzebie. Za paskiem miał łyżkę do butów, a na ustach uśmieszek.

Dzisiaj go nie było.

Dzięki, powiedział Suttree.

Zjechał schodami na dół i wyszedł znów na ulicę.

Jake zwany Trójkątem stał z rękami w kieszeni fartucha i odliczał

pieniądze. Spluwał obficie ciemnobrązową śliną w stronę stalowej spluwaczki i podszedł do stołu, z którego łuz ktoś wyciągał bile i przy którym jeden z graczy stukał kijem o podłogę. Jake zawołał przez ramię: Właśnie wyszedł, z Boneyardem. Chyba poszli coś zjeść. Jim jest pijany.

Zauważył ich na tyłach Sanitary Lunch, wszystkich trzech, J-Bone'a, Boneyarda i Hogheada, niewyraźne postaci, gestykulujące za zamglonym szkłem. Wszedł do środka.

Grek Jimmy nadziewał płaty mięsa na widelec, wyciągał je ze swoich dyszących trójnożnych kociołków i nakładał na masywne białe talerze. Wyrównywał sałatki kciukiem i wycierał krople sosu rąbkiem fartucha.

Suttree czekał przy bufecie. Wentylatory wiszące pod wytłaczanym blaszanym sufitem pracowały w wirze dymu i pary.

Grek mrugał do niego.

Dwa hamburgery i mleko czekoladowe, powiedział Suttree.

Jimmy kiwnął głową i nabazgrał zamówienie w notesie, a Suttree ruszył w głąb kafejki.

Oto kochany Suttree.

Chodź tu i usiądź, Sut.

Posuń się, Hoghead.

Suttree zmierzył ich wzrokiem. Co tam porabiacie?

Ja próbuję dojść do siebie, odpowiedział J-Bone.

A jak się czujesz?

Czuję, że muszę się napić.

Suttree spojrzał na Hogheada, na którego piegowatej twarzy wykwitł na wpół obłąkany, szeroki uśmiech. Przyglądał się im kolejno.

Wszyscy byli pijani.

Wy skurwysyny, w ogóle nie spaliście.

Stare Czasy, zawołał J-Bone.

J-Bone jest stuknięty, powiedział Hoghead.

Boneyard strzelał swoimi czarnymi oczami to na jednego, to na drugiego z nich.

Grek postawił na stole szklankę wody, karton mleka i pustą szklankę.

Daj nam jeszcze jedną colę, Jimmy, powiedział J-Bone.

Grek kiwnął głową, zbierając naczynia.

Suttree łyknął wody, przelał resztę do pustej szklanki, otworzył

mleko, wlał je do zimnej szklanki po wodzie i zaczął popijać. J-Bone szukał czegoś niezdarnie pod siedzeniem. Kiedy wrócił Grek, J-Bone wyprostował się i odchrząknął głośno. Jimmy postawił na stole talerz z dwoma hamburgerami, coca-colę i szklankę pełną lodu, po czym poczłapał z powrotem za ladę. Suttree podniósł wierzchy kanapek i posypał je w środku solą i pieprzem. Mięso było przyprawione i obtoczone w mące, a wieńczyły je kopczyki sałatki coleslaw.

J-Bone wyciągnął spod ławki flaszkę i nalewał whisky do szklanki z lodem, trzymając ją na kolanach i rozglądając się chytrze dookoła.

Wysunął nieco butelkę z pomarszczonej od potu papierowej torebki, sprawdził, ile zostało, a potem wsunął flaszkę z powrotem.

Właśnie pijemy te pyszności, Sut. Masz. Napij się trochę.

Suttree pokręcił głową z ustami pełnymi hamburgera.

No, bierz.

Nie, dzięki.

J-Bone popatrzył na niego szalonym wzrokiem. Przechylił się nieco na bok, jakby chciał podnieść nogę, i oczy rozbiegły mu się na wszystkie strony. Jadalnię rozdarło potężne pierdnięcie, zatrzymując stłumiony popołudniowy brzęk sztućców i stukot kubków, zaskakując bywalców i wyciszając kafejkę swoim warkotem. Boneyard natychmiast wstał i zajął stołek przy ladzie, gwałtownie oglądając się za siebie. Grek stojący przy podgrzewaczu do potraw zatoczył się w tył, przykładając rękę do czoła. Duszącego się Hogheada zarzuciło w przejściu, na twarzy miał maskę udręki, a jakaś dama w sąsiednim boksie wstała, spojrzała na nich z góry z pobladłą twarzą i ruszyła do kasy.

Hii, zagruchał śpiewnie J-Bone w złożone dłonie.

Niech to szlag trafi, powiedział Suttree, wstając z talerzem i szklanką.

Zrobiłeś sobie krzywdę, Jim?, zawołał Boneyard nad grzbietem swojej dłoni.

Uff, powiedział Hoghead, siadając przy kontuarze. Widzi mi się, że coś wpełzło ci do brzucha i zdechło.

Grek spoglądał gniewnie w głąb kafejki. J-Bone, samotny w boksie, zmarszczył twarz. Po chwili wygramolił się i stanął w przejściu.

Bożęciu, powiedział. Chyba normalnie sam nie mogę tego znieść.

Odejdź stąd.

Próbuję jeść, Jim.

Boże, rzekł J-Bone. Chyba normalnie prześmierdły mi tym włosy.

Wychodzimy, powiedział Boneyard.

Suttree popatrzył po szeroko uśmiechniętych twarzach. Jedną chwilę, dajcie mi skończyć.

W Huddle było chłodno i ciemno, drzwi szeroko otwarte. Zeszli w dół stromą uliczką i wkroczyli do środka dwójkami.

Tylko nie wnoście mi tu swojej whisky, powiedział pan Hatmaker, wskazując palcem.

J-Bone odwrócił się, wyszedł, wyciągnął niemal pustą butelkę spod koszuli, opróżnił ją i rzucił na drugą stronę ulicy, gdzie eksplodowała na ścianie hotelu. W oknach pojawiło się parę twarzy, J-Bone pomachał im i wszedł z powrotem do Huddle.

Światło padało na mahoniowy bar przez otwarte drzwi. Stojący wentylator kołysał się w swojej klatce, a ogromne bzyczące muchy fruwały tam i z

powrotem pod rurami na suficie. W najbliższym boksie siedziało w niedbałych pozach parę kurew, a skośna, ciemna, przydymiona palisada światła wsuwała się do wnętrza pomiędzy zakurzonymi żaluzjami. W kącie baru nad kuflem piwa siedział ślepy Richard, w jego wąskich ustach tlił się wilgotny, króciutki niedopałek, a za przymrużonymi powiekami przesuwały się zgaszone oczy.

Zaciekawiony, kto przyszedł, Richard przechylił głowę w bok. J-Bone huknął go w plecy.

Co powiesz, Richard.

Ślepiec obnażył w półmroku wilgotne, zielone zęby. Hej, Jim.

Szukałżem cię.

J-Bone uszczypnął go w smutny, spierzchnięty policzek. Ty cwany łotrze, no to żeś mnie znalazł, odpowiedział.

Suttree postukał go w łokieć. Chcesz bombę? Niech pan nam poda trzy, panie Hatmaker.

Przy stoliku w głębi przyglądała się im melancholijnie grupka gości nieokreślonej płci. Podpierali się na łokciach, a dłonie zwieszały się im ze sterczących w górę nadgarstków jak złamane lilie. Poruszyli się niespokojnie i osunęli z powrotem na krzesła z ogromnym znużeniem. Suttree odwrócił wzrok od ich rozpalonych oczu. Pan Hatmaker nalewał piwo do zmrożonych kufli. Suttree podał dalej pierwszy z nich, usiany spływającymi kropelkami wody i zwieńczony masą gęstej piany. Nos Richarda drgnął.

Jak się masz, Richard?

Richard uśmiechnął się i pogładził fasety swojego pustego kufla.

Odpowiedział, że co najwyżej przyzwoicie.

No, niech pan nam da jeszcze jeden, powiedział Suttree. Panie Hatmaker.

Patrzcie, jak kochany Suttree stawia, rzekł Hoghead.

Chcesz coca-colę?

A po co? Jim wypił przecie całą whisky, nie?

Zapytaj go.

Masz, Richard, to dla ciebie.

Patrzajcie, powiedział Jim.

Co?

Patrzajcie, kto jest na powietrzu.

Odwrócili się. W drzwiach stał uśmiechnięty Billy Ray Callahan.

Hej, Hatmaker, powiedział.

Siwowłosy czcigodny pan Hatmaker podniósł głowę.

Worm ma zakaz wstępu?

Właściciel baru skinął zimno głową.

A może byś go jednak przyjął z powrotem, co?

Pan Hatmaker postawił ostatni wielki kufel na ladzie, wytarł ręce i wziął pieniądze. Stał, spoglądając na drzwi i ważąc banknot w dłoni. W

porządku, powiedział. Możesz mu powiedzieć, że nie ma już zakazu.

A Cabbage i Bearhunter?

O ile wiem, to oni zakazu nie mieli.

Wchodźcie, dupki.

Weszli, uśmiechając się szeroko i mrużąc oczy w półmroku.

Łeb Rudy jak chuj psa z budy, zaśpiewał J-Bone.

Callahan walnął go w brzuch grzbietem dłoni. Hej, Jim, rzekł. Jak tam twój wacek? Rozejrzał się wokół. Kurwy nerwowo podniosły wzrok, a Callahan obdarzył je kolejno szczerbatym uśmiechem. Witam panie, powiedział. Kucnął nieznacznie, żeby spojrzeć w głąb sali. Hej, zawołał. Cioty wróciły. Żartobliwie uderzył Worma w ramię i wskazał

grupkę gości przy stoliku. Zaczęli patrzeć po sobie z teatralnym wzburzeniem, składając na piersi swoje przypominające różdżki ręce.

Jednoczesny ruch ich bladych, smukłych kończyn przypominał w półmroku taniec białych czapli. Callahan wyciągnął rękę. Witajcie, cioty, powiedział.

Suttree stał oparty o bar i przyglądał się tej scenie jakby z rozbawieniem. Kiedy Callahan go zobaczył, zakrył twarz zgiętym w łokciu ramieniem. Pieprzony kochany Suttree, powiedział.

Jak to jest znów chodzić po ulicach?

Od chodzenia chce się pić. Masz coś?

Niech pan nam da jeszcze jedną bombę piwa, panie Hatmaker.

Callahan wyciągnął rękę i mocno huknął ślepego Richarda w plecy. Papieros niewidomego wypadł mu z ust i zgasł w piwie. Co powiesz, Richard, stary druhu!, wrzasnął Callahan.

Ślepiec wstał, pokasłując, i przyłożył palec do ucha. Niech to szlag trafi, Red, nie jestem głuchy. Richard szukał po omacku papierosa na ladzie długimi pożółkłymi palcami.

Gdzie się podziała moja fajka, Jim?

Red ją ma, Richard.

Dawaj moją fajkę, Red.

Suttree podał kufel piwa z baru Callahanowi, który od razu wysączył prawie połowę, beknął i rozejrzał się wokoło. Ktoś wrzucił

monetę do szafy grającej i na plastikowej listwie zaczęły migać pastelowe światełka. Bearhunter i Cabbage zainicjowali lekki, improwizowany taniec. Boneyard patrzył na nich, jego antracytowe oczy lśniły.

Powiedz mu, żeby mi oddał papierosa, Jim.

Do baru podeszła olbrzymia dziwka, by napełnić puste kufle.

Stanęła przy Suttree'em i rzuciła mu z ukosa spojrzenie pełne świńskiej sprośności.

Uważaj, Suttree, zawołał Cabbage.

TWój kumpel miał wyjść razem z nami, powiedział Red.

Harrogate?

Taa. Nie mogli mu znaleźć ubrania. Gada, że jedzie szukać szczęścia do wielkiego miasta.

Jest walnięty jak kiblowy szczur o ścianę.

To stare, wielkie babsko ma na ciebie chrapkę, zawołał Cabbage, przyciskając guziki w szafie grającej.

Kurwa wyszczerzyła zęby w uśmiechu i zaniosła pełne kufle do swojego stolika.

J-Bone zwrócił się do sali, wyciągając ręce. No dobra. Kto ma fajkę Richarda?

Richard pociągnął go za rękaw. Już dość, Jim. Daj spokój.

Za cholerę. Nikt stąd nie wyjdzie.

Callahan pochylił się i zawołał do szczupłej kobiety siedzącej między dziwkami. Hej, Ethel. Jak tam twoja dziurka?

Ktoś mi powiedział, że jesteś teraz rybakiem, odezwał się Bearhunter.

Żebyś wiedział, jak cholera, odparł Cabbage. Łowi grube ryby.

Szczam na ciebie, Cabbage.

Cabbage podniósł rękę do ust. Ten kochany Suttree, zawołał. Wie, gdzie znaleźć dobrą dziurkę.

Posłuchajcie, jak nawija stary, dobry Cabbage, powiedział J-Bone.

Cabbage wykręcił się od zarzutu naruszenia moralności, za które go dupnęli, powiedział Red. Złapali go z jedną dziewczyną w zaparkowanym samochodzie, gołych jak święci tureccy, ale nasz Cabbage zeżarł dowód przestępstwa.

Ożeż kurde, powiedział Richard. Kto zgasił skórkowanego peta w moim skórkowanym piwie?

Kto to zrobił?, zawołał J-Bone.

Jakiś drobny człowieczek o sowim obliczu próbował uruchomić kręgielnię. Stawiam na tego konia, rzekł Boneyard, podnosząc rękę J-Bone'a.

Jestem za bardzo pijany. Kto zgasił peta w piwie Richarda, jak Richard nie patrzył?

Bill, gramy w jednej drużynie, powiedział Worm.

A to jest mój koń, rzekł Red, obejmując chude ramiona Richarda.

Gdzie się podziewa Ethel? Ona zagra. Weź ją.

Ethel stała przy końcu lady z pustym kuflem. Pstryknęła palcami i wskazała kciukiem swoje krocze. Weź to, powiedziała.

Suttree przyjrzał się jej uważnie. Kościste, pokryte smugami sadzy ramiona Ethel były obnażone aż po barki, a na jednym widniała śliniąca się, czarnogranatowa pantera. Dojrzał też ogon pawia, wieniec ze słowem Wanda i dopiskiem Niech Spoczywa w Pokoju 1942. Przechylił

głowę, przyglądając się niebieskim napisom na jej nogach, gdy Ethel odwróciła się z piwem w ręku. Podciągnęła spódnicę powyżej pasa i wysunęła nogę do przodu. Na jej podbrzuszu ogar ścigał królika: zwierzęta biegły w kierunku krocza dziewczyny. Powiedziała: Jak się nagapisz do syta, to rozdziaw gębę.

Okrzyki podziwu pijących. Hoghead pochylony, żeby się lepiej przyjrzeć. Zaczekaj chwilę, powiedział.

Ale Ethel opuściła już spódnicę z pogardliwą miną i kołysząc się w biodrach, przeszła obok z piwem w dłoni.

Mówiłem wam, jaki jest Suttree, zawołał Cabbage. Tylko by szukał dziurek.

Pokaż nam dziurkę, Ethel.

Niech któryś z was pokaże, że potrafi postawić piwo, wy drący mordy jebańcy.

Postaw jej piwo, Worm.

Pierdolić ją. Ma piwo.

Bombę, panie Hatmaker.

Kto gra, niech podniesie dupsko.

O co gramy?

Nie podniecaj się tak.

Kto ma moje piwo? Hej, Red?

Zapadł zmrok późnego lata i w tawernie zapaliły się światła, lampki piwne i plastikowe zegary, przedstawiające wiejskie scenki rodzajowe. Suttree znalazł się wśród zwycięzców gry w kręgle, którzy ruszyli przed siebie wielkim, starym buickiem.

Stali na jałowym biegu, w zaułku pod żółtą latarnią, na wysokości ściany z zachodzących na siebie desek, gdzie nagi do pasa mężczyzna wzniósł na widok kręglarzy pintową butelkę w papierowej torbie.

Odwiedzali inne bary, gdzie wśród dymu, hałasu i muzyki noc stawała się coraz gwałtowniejsza. W B&J zauroczyła Suttree'ego jakaś dojrzała, młoda, czarnowłosa dziewczyna, która wypisywała obsceniczny poemat na parkiecie, jej pełne, blade uda lśniły w przyciemnionym świetle, kiedy wirowała.

Wstał, żeby zatańczyć, zrobił dwa kroki w bok i usiadł z powrotem.

Zaczęły ogarniać go mdłości.

Patrzył w dół, w blaszane koryto, pełne mokrych, kolorowych wymiocin. Miedziana rura płakała zaskorupiałym mchem. Na muszli klozetowej siedział śpiący mężczyzna z rękoma zwieszonymi między kolanami. Muszla była pozbawiona deski i śpiący osunął się do połowy w jej poplamiony, ceramiczny pysk.

Hej, powiedział Suttree. Szarpnął mężczyznę za ramię.

Nieznajomy z irytacją pokręcił głową. Spomiędzy jego ud koloru smalcu bił ohydny smród.

Hej tam.

Mężczyzna otworzył załzawione czerwone oko i spojrzał przed siebie.

Wymiotować, powiedział Suttree.

Popatrzyli po sobie gniewnie.

Taa, odparł mężczyzna. Wymiotować.

Suttree stał na szeroko rozstawionych nogach, chwiejąc się nieznacznie, i położył rękę na ramieniu nieznajomego, który spojrzał na niego spod przymrużonych powiek. Czy ja cię znam?

Suttree się odwrócił. Weszło dwóch innych mężczyzn, którzy stanęli nad korytem. Zatoczył się w kąt i zwymiotował. Mężczyźni obserwowali go.

Przemieszczali się powoli zapleśniałym, starym samochodem przez ciemne rewiry McAnally Flats, śpiewając sprośne piosenki i przekazując sobie butelkę z rąk do rąk.

Obudź się, Sut, i weź walnij lufę.

Co jest z kochanym Suttree'em.

Nic mu nie jest, powiedział J-Bone.

Machnął ręką, pokazując im, żeby się odsunęli, dla ochłody wciskając głowę, w której mu się kręciło, w szybkę wywietrznika.

Widzi mi się, że się upił.

Napij się trochę, to wytrzeźwiejesz. Hej, Bud.

Suttree stęknął i jedną ręką odpędził natręta.

Przed drzwiami West Inn powstrzymała ich głowa kręcąca się w lewo i w prawo. Suttree zwisał bezwładnie między przyjaciółmi.

Nie wprowadzajcie go tutaj.

Callahan przecisnął się bliżej drzwi.

Nie wiedziałem, że to ty, Red. No to wprowadźcie go i posadźcie w tamtym boksie.

Kilku muzykantów wygrywało na skrzypcach i gitarze skoczną wiejską melodię, a parkiet zajął jakiś pijak, który zaczął tańczyć walca niczym

niedźwiedź na jarmarku. Miał oderwaną podeszwę w jednym bucie, jego krokom towarzyszyło więc nieco arytmiczne plaskanie.

Wykonując śmiały piruet, szeroko uśmiechnięty pijus o nieprzytomnych oczach za bardzo się przechylił, zatoczył w bok i wpadł na stół, przy którym siedziało paru biesiadników. Zerwali się jak przepiórki pod gradem przewróconych butelek i kufli, wycierając przemoczone na udach spodnie. Jeden z nich chwycił pijanicę za kołnierz, ale zauważył, że Callahan uśmiecha się do niego, i rozluźnił chwyt.

Hałas wyrwał z odurzenia Suttree'ego, który podniósł wzrok. Jego przyjaciele pili przy barze. Suttree wychynął z boksu i chwiejnie przemieścił się na środek parkietu, tocząc dookoła szalonym wzrokiem.

Dokąd idziesz, Sut?

Odwrócił się. Zobaczyć, kto to powiedział. Obskurne, upstrzone odchodami karaluchów ściany wirowały niczym ohydna karuzela. Dwaj siedzący przy stoliku złodzieje obserwowali go jak koty.

J-Bone chwycił go pod ramię. Dokąd idziesz, Bud?

Wymiotować. Chorula bidula.

Słaniając się na nogach, ruszyli w stronę toalety, czyli szopy na tyłach budynku, pustej, jeżeli nie liczyć muszli klozetowej.

Nieprzezroczysta, pokryta dymnym nalotem żarówka, wyglądająca jak wkręcona w sufit oberżyna. Labirynt skorodowanych rur i przewodów.

Ściany były obite starymi reklamami papierosów i kartonami ze śmietnika, a z podłogi ciemnymi plamami w kształcie płomieni wznosił

się w górę odór moczu jak knot. Suttree stał, wpatrując się w muszlę. Z

ceramicznego pojemnika zwisała broda zeschłego czarnego gówna, a w środku, jakby w rytm lubieżnego oddechu, unosiła się i opadała kulka zużytego papieru toaletowego. J-Bone obejmował przyjaciela w pasie i

trzymał rękę na jego czole. Do nosa Suttree'ego napłynęła fala gorącej, grudkowatej żółci.

Pospaceruj z nim trochę.

Chodź, Sut.

Rozejrzał się. Szli w stronę pogrążonej w półmroku chałupy.

Gdzieś pod nim pałętały się jego nogi.

Pierdolić to, powiedział.

Kochanemu Sutowi nic nie jest.

Jestem dupkiem, powiedział do ściany. Odwrócił się w poszukiwaniu twarzy. Jestem dupkiem, J-Bone. Obok przepłynęła fotografia jakiejś murzyńskiej rodziny w obrzędowych strojach niewiadomego pochodzenia. Podniósł rękę i pogładził pożółkłe niteczki tapety.

Wchodził na salę. Nadzwyczaj statecznie. Powodów do niepokoju brak. W zadymionym wnętrzu przyglądały mu się ciemne twarze.

Trzeba każdej kiwnąć głową. Wydać się przymilnym.

Głosy stawały się coraz donośniejsze. Piskliwy, przypominający gdakanie śmiech Hogheada.

Masz, Sut.

Spojrzał w dół. Trzymał słoik po galaretce, pełen jasnej whisky.

Podniósł go do ust i pociągnął łyk.

Lubię naszego kochanego Suttree'ego jak diabli, odezwał się John Clancy.

Siedział na sękatej poręczy wyścielanego krzesła. Dyskutowano o czymś. Chuda jak szczapa Murzynka pochyliła się, żeby na niego spojrzeć. Strasznie pijany, powiedziała.

Suttree w milczeniu podniósł swoje naczynie na znak, że się z nią zgadza, ale już jej nie było.

Ktoś wstał z krzesła. Widocznie opierał się o tę osobę, bo teraz wpadł w czeluść opuszczonego przez nią miejsca i oblał się whisky.

Leżał z twarzą wciśniętą w śmierdzącą tapicerkę.

Mruczał coś do stęchłych sprężyn.

Ktoś mu pomagał. Powstał ze snu, wrzeszczała na niego czyjaś zduszona wściekłością twarz. Zarzuciło go w stronę drzwi. Na korytarzu zawrócił i ruszył na tył domu, obijając się o ściany. Z boazerii wyłoniła się jakaś Murzynka, która szła wprost na niego. Oboje robili uniki.

Minęła go. Wpadł na jakąś komodę, odbił się od niej i poszedł dalej. W

głębi korytarza przedarł się przez zasłonkę i znalazł w niewielkim pokoju. Gdzieś przed nim, w ciemności, do wtóru rytmicznych postękiwań, rozmnażali się ludzie. Wycofał się.

Pociągnął za klamkę. Jego gardło nie wytrzymało, a ohydne alkohole w żołądku, wezbrane, się przelały. Próbował złapać wymiociny w dłonie.

Boże, powiedział. Wycierał się w zasłonkę. Znalazł jakieś drzwi, wszedł i upadł w chłodnej ciemności. Stało tu łóżko, pod które próbował

się wczołgać. Chodziło o to, żeby nikt go nie znalazł, dopóki nie dojdzie do siebie.

Popadł w stupor i zwidywały mu się jakieś zamieszki. Gdzieś z brzękiem pękła wielka szyba w oknie. Wydawało się mu, że słyszy strzały z pistoletów. Próbował się zbudzić, ale bezskutecznie. Przylgnął

policzkiem do podłogi w nowym miejscu, gdzie było chłodniej, i znowu zasnął.

Przyśniła mu się spowiedź i rozgrzeszenie. Klęczał na zimnym bruku przed wejściem do prezbiterium, rzucając za siebie drżący cień w świetle świec

wotywnych koloru wina. Pochylał się we łzach, aż wreszcie dotknął czołem kamieni.

Kiedy się obudził, otaczał go jakiś fetor. Poczuł na języku bezsmakową tarkę osadu wymiocin. Między nim a zakurzoną żarówką, płonącą na suficie, ciemne twarze pochylonych ludzi. Hej, chłopie, hej, chłopie, powtarzał czyjś głos. Poczuł, że ktoś szarpie go to w jedną, to w drugą stronę. Zamknął oczy. Musi jakoś przetrwać ten sztorm.

Ja się nie zgadzam. Zabierajta go stąd.

Ktoś wsunął mu ręce pod pachy i gwałtownie poderwał go na nogi.

Spojrzał w dół. Czarne ręce trzymały go za piersi. Ab?, powiedział. Ab?

Pochyliła się, żeby mu spojrzeć w twarz. Matowe, zamglone oczy, zasnute krwawą pajęczyną. Gdzie twoje kumple? Ha?

Zaś nic sensownego z niego nie wyciągniesz.

Widział swoje pięty, kiedy go powlekli przez ogród wyblakłego linoleum.

Jak dorwę tego głupiego, małego, białego matkojebcę, z którym ten gość tu przyszedł, to mu popieszczę dupę strzelbą, kurwa.

Dokąd idziemy?

Co on gada?

Możesz iść? Hej, chłopie.

Gówno może. Zabieraj go stąd, ale już.

Ten biały matkojebca normalnie zarzygał wszystko naobkoło.

Nogi obijały mu się bezwładnie na schodach. Zamknął oczy. Szli wśród popiołów i piasku, a na obcasach jego butów zbierały się wałeczki śmieci. Nad zwróconymi ku górze czubkami nóg Suttree'ego oddalał się ciemny świat, w skąpym świetle latarni wybuchały błękitem kształty krzywych

chałup. Po jego prawej ręce powoli przesuwał się rdzewiejący wrak samochodu. Ciemne obrazy rozlewały się w tej letniej nocy jak namalowane rozrzedzonym tuszem stare dżonki, pochylające się na tle papierowego nieba, rorschachowi lodziarze płynący w milczeniu na pych po wybrukowanym księżycem morzu. Leżał w mroku z głową na zapleśniałej tapicerce starego fotela samochodowego, pośród skrzyń towarowych, zniszczonych butów i oszalałych od słońca gumowych zabawek. Po piersi spływało mu coś ciepłego. Podniósł rękę.

Krwawię. Wykrwawię się na śmierć.

Jego twarz i piersi objął ciepły chlupot. Gwałtownie odwrócił

głowę w drugą stronę, machając ręką. Był cały mokry i cuchnął.

Otworzył oczy. Czarna ręka chowała giętkiego węża, zapięła guziki, odwróciła się. Olbrzymia postać potoczyła się po niebie w kierunku fiołkoworóżowego i niebieskozielonego świtu latarni ulicznych.

Osuwa się głowa pijaka, niechaj się zamienię w słodką nicość.

Śniło mi się, że śniło mi się, że chciałem naprawić podeszwy w tych butach. Stary, przygarbiony szewc podniósł wzrok znad kopyta i szlifierki, oczy miał przyćmione, przypominające szparki. Nie te, mój chłopcze, te podeszwy już się do niczego nie nadają. Ale ja nie mam innych. Starzec pokręcił głową. Musisz o nich zapomnieć i znaleźć nowe.

Suttree jęknął. Lokomotywa przetaczała wagony na odległym torowisku, ciągnąc je teleskopowo, złączka za złączką, coraz głośniej, aż zabrzmiał żelazny grzmot, który wstrząsnął oknami w całej dzielnicy McAnally Flats. Do wtóru głośnym fanfarom z ciemności tej półkuli wyłoniły się nieciekawe postaci o zezowatym spojrzeniu i bladozielonych zębach i zastygły nieruchomo. Opadła kurtyna, rozwijając się w erupcji kurzu, owadzich pancerzyków i zeschłych mysich odchodów. Amorficzne grudy strachu przybierały postać nocnych cieni, wiedźm, krasnoludków albo trolli morskich, zielonych i parujących, i wychodziły z ukrycia w zwojach jego zatrutego mózgu, z czarnymi świecami i monotonnym śpiewem na ustach.

Uśmiechnął się na widok tych znajomych. Nie przerażenie, tylko jego homologiczne odpowiedniki. Niosły martwe dziecko na szklanych marach.

Złowieszcze cięcie, czy ziarnami mych oczu ujrzałem przed sobą na świecie jego chude, niebieskie ciałko bez życia? Kto przychodzi w snach, czasami jest w nich wielkości dorosłego człowieka, i dlaczego?

Czy cienie muszą jeść? Ponieważ widziałem swój podwojony i powiększony obraz w przydymionych szkłach okularów ślepca, jestem, jestem.

Z nastaniem gorącego letniego świtu zerwał się wiatr. Odwrócił

opuchniętą głowę i podciągnął kolana. Bryza zakołysała dziecięcym szałasem z trzciny, stojącym nieopodal.

Jestem myszą, przycupniętą w kępce trawy. Ale słyszę, jak mechaniczna kosa zbliża się ze świstem i hurkotem.

Kiedy się ocknął, poczuł pieczenie pod powiekami, podrażnionymi palącym i stojącym już wysoko słońcem, po czym spojrzał na łagodne jasnoniebieskie niebo, poprzecinane drutami elektrycznymi. Ze starego, opalanego drewnem pieca kuchennego przyglądał mu się duży cytrynowy kocur. Suttree odwrócił głowę, żeby go lepiej zobaczyć, a zwierzak rozciągnął się na ściance piecyka niczym gorące toffi, skoczył

głową w dół i bez jednego dźwięku zniknął w ziemi. Suttree leżał w pozie zastygłej niemocy, z dłońmi po bokach, zwróconymi wnętrzem ku niebu, a smrodem, psującym powietrze, był sam. Zamknął oczy i jęknął.

Gorący wiatr powiał nad nagim pustkowiem spieczonego zielska i gruzu jak kłąb bitewnego dymu. W górze na drucie przysiadło równiuteńko kilka szpaków, jeden obok drugiego, tworząc obraz łukowato opadającego sznura z supłami. Kląskanie, haczykowate skrzydła. Spod swoich wachlarzowatych ogonów ptaki wyciskały ohydne żółte odchody. Usiadł powoli, osłaniając ręką oczy. Szpaki odleciały. Jego ubranie jakby poskrzypywało piskliwie, sypały się z niego okruchy zaschniętych wymiocin.

Z trudem dźwignął się na kolana, wpatrując się w ubitą czarną ziemię między swoimi rękami, usłaną popiołami i kawałkami rozbitych naczyń. Z czoła spływał mu pot i skapywał z policzków. O Boże, powiedział. Podniósł opuchnięte oczy na pustkowie, na którym klęczał, na wyglądające jak sztuczne, zrobione z drutu pokrzywy i turzycę koloru żelaza na cuchnących polach, na surowy krajobraz, gdzie spośród stosów śmieci i żużlu wyłaniały się poniekąd znajome kształty. Gdzie podwórka dusiły się od chwastów i rozbitego szkła, a stare, kredowe łajno przechodzących tędy psów wiodło ku przyćmionemu brzegowi kamiennoszarych chat i wybebeszonych kadłubów samochodowych.

Przyjrzał się sobie, był oblepiony paskudztwem, kieszenie miał

wywrócone na drugą stronę. Spróbował przełknąć ślinę, ale gardło ścisnęło mu się z bólu. Podniósł się chwiejnie, kręciło mu się w głowie, stał na tym apokaliptycznym ugorze niby jakiś biblijny relikt w świecie, którego nikt nie chciał.

Wytoczył się z obozowiska lumpów z głową ukrytą w dłoniach i ruszył ścieżką w stronę ulicy, obserwowany przez dwóch czarnoskórych chłopców o głowach przypominających karabinowe kule. Zza rozcapierzonych palców dosięgło ich szalone oko.

Hej, chłopcy.

Popatrzyli po sobie.

Którędy do miasta?

Czmychnęli na bosych, bezszelestnych stopach, wzbijając liliowy kurz. Przetarł oczy i popatrzył za nimi. W migotliwym upale ich postaci rozwiewały się szaleńczo, aż wreszcie widział w nich już tylko dwóch małych, powykręcanych gimnastyków, wiszących na drutach w rozedrganej mgiełce. Suttree nie ruszył się z miejsca. Odwrócił się powoli. Żeby wybrać jakiś punkt orientacyjny. Coś znajomego w tym ogrodzie żałości. Potem potoczył się w dół wąską, piaszczystą uliczką jak najprawdziwszy włóczęga.

Wkrótce przekonał się, że jest to dzielnica zamieszkana przez ludzi ślepych i głuchych. Ciemne postaci na podwórkach, na ogrodowych krzesłach. Rozparte i bujające się w cieniu ganków. Kiedy Suttree je mijał, stare murzyńskie damy w kwiecistych sukniach beznamiętnie przyglądały się odległym kształtom na firmamencie. Tylko kilkoro samotnych dzieciaków o szeroko otwartych oczach i hebanowych buziach obserwowało przemarsz tej bladej ofiary niegodziwości.

Na końcu ulicy ziemia osuwała się w jakby długą gardziel, zapchaną labiryntem chat i kojców, bezimiennymi konstrukcjami z papy i blachy, schronieniami zbudowanymi ni mniej, ni więcej tylko z tektury, i rozchwierutanymi, krzywymi wychodkami z płyty pilśniowej, które aż wirowały od much. Całe kwartały ruder, gdzie nie przebiegała żadna ulica, tylko ścieżki wydeptane przez kozy i wąskie dróżki wysypane czarnym piaskiem, po których wałęsały się dzieci i szarobure psy. Zawrócił, wlokąc się w upale, a żołądek podchodził mu do gardła.

Zabłąkał się w wąski zaułek, opadł na czworaki i zaczął wymiotować.

Nic z niego nie wypływało, tylko rzadka, zielonkawa żółć, a potem już w ogóle nic, szarpały nim suche i wściekłe skurcze żołądka, a kiedy ustały, był cały zlany potem, rozdygotany i osłabiony. Spojrzał w górę.

Wzrok zamgliły mu łzy. Z altanki w żywopłocie przyglądała się Suttree'emu mała murzyńska dziewczynka z kolorowymi wstążkami w wełnistych włosach. Posapywała przez nos i z każdym oddechem z jednej jego dziurki wysuwał się, a potem chował do niej kremowy glut żółtej wydzieliny. Suttree skinął małej głową, wstał i znowu wyszedł

chwiejnie na ulicę.

Zaryzykował spojrzenie przez szparkę oka i rozchylone palce wprost we wrzące słońce. Wisiało dokładnie nad jego głową. Ruszył

przez otwarte podwórka, stąpając ostrożnie w butach na cienkich podeszwach między ostrymi kręgami szkła z rozbitych słoików i pośród najeżonych gwoździami listewek. Od czasu do czasu przystawał, żeby odpocząć, pochylał się naprzód, wspierając dłonie na kolanach, albo

przykucał na jednej nodze i trzymał się za głowę. Miał kompletnie przepoconą koszulę, która straszliwie śmierdziała. Po jakimś czasie znalazł się na innej ulicy i szedł przed siebie, dopóki nie ujrzał w oddali nasypu, którym mogły biec tory kolejowe. Szedł znów przez podwórka i uliczki i przechodził przez płoty, starając się nie stracić celu z oczu.

Przeszedł przez szereg podwórek, gdzie stały poobijane puszki z pomyjami, brzęczały chmury muszek owocówek, kołysane wiatrem, a psy ociężale ustępowały mu z drogi. Gruba Murzynka stanęła w drzwiach ustępu, podciągając reformy. Odwrócił wzrok. Kobieta wykrzyczała czyjeś imię. Suttree szedł dalej. Wołał za nim jakiś mężczyzna, ale Suttree nie obejrzał się.

Szedł szybkim krokiem uliczką, minął szpaler magazynów i w końcu zobaczył budki na targowisku przy Dale Avenue, a dalej tory na rampie linii kolejowej L&N, zbiegające się na stacji rozrządowej.

Przeszedł przez tory, wdrapał się na nasyp z drugiej strony i wyszedł na Grand Avenue. Dwóch chłopców rzucało kamieniami w ustawione w szeregu butelki w wykopie kolejowym. Kirus na odwyk, zawołał jeden z nich.

Spierdalaj, powiedział Suttree.

Ogarnęła go fala mdłości i zatrzymał się, żeby odpocząć na starym murze wsporczym. Pod ręką zobaczył niewyraźne odbitki trylobitów, wapienne kamee wymarłych skorupiaków i delikatnych paproci morskich. Widniały w kordonach szczelin kamiennych pancerzy, na których wieszano kiedyś żywe ryby. Potoczył się dalej.

Przystanął na środku ulicy przed wysokim, szkieletowym domem na Grand. Niepomalowane deski wydzielały niebieskawe opary. Zawołał

do kobiety siedzącej na ganku. Pochyliła się naprzód, wytężając wzrok.

Jest Jimmy?

Nie. Nie wrócił od wczoraj. Kto pyta?

Cornelius Suttree.

Boże, bądź miłościw, nie wiedziałam, kto to. Nie, nie ma go, Corneliusie. Nie wiem, gdzie się podziewa.

No tak. Dziękuję pani.

Wpadnijże nas odwiedzić.

Wpadnę. Pomachał jej ręką. Zza rogu wyjeżdżał policyjny radiowóz.

Minęli go. Zanim doszedł do końca ulicy, zawrócili, podjechali z tyłu i zatrzymali się przy nim.

Dokąd to, chłopcze?

Do domu, odpowiedział.

Gdzie mieszkasz?

Dalej, przy Front Avenue.

Mięsista twarz, przyglądające mu się oczka. TWarz się odwróciła.

Rozmawiali między sobą. Ten pierwszy znów zwrócił się do Suttree'ego. Co ci się stało?

Nic, odparł. Nic mi nie jest.

Widzi mi się, żeś kapkę pijany, co?

Nie, proszę pana.

Gdzieś był?

Spojrzał na swoje zaskorupiałe buty i zaczerpnął tchu.

Odwiedzałem znajomych. Po prostu wracam do domu.

A co to jest to z przodu?

Spuścił oczy. Kiedy znów podniósł głowę, wbił wzrok ponad dachem radiowozu w ponury szpaler starych domów o rozszczepionych, obluzowanych deskach i zasłoniętych tekturą oknach. Kilka poczerniałych drzew usychało w skwarze, ale w tym mrocznym czyśćcu śpiewał drozd. Drozd śpiewak. Gówniarius musicus. Liryczny gównoptak.

Polałem się czymś, powiedział.

Śmierdzisz, jakby cię kto unurzał w gównie.

Popękanym chodnikiem szło dwóch chłopców. Na widok radiowozu zawrócili.

Otworzyły się drzwi i ten mięsisty wysiadł.

Chyba lepiej wsiądź, powiedział.

Nie pakuj tu tego śmierdziela. Wezwij sukę.

No dobrze. A ty stój i nie ruszaj się.

Nigdzie się nie wybieram.

Co racja, to racja, bo nigdzie nie pójdziesz.

Suttree w rozmarzeniu wsłuchiwał się w trzeszczenie krótkofalówki.

Policyjna suka zjechała z Western i Forest, zatrzymała się przed radiowozem i wysiadło z niej dwóch policjantów. Otworzyli drzwi, a Suttree ruszył w ich stronę.

Ojej, jaki przyjemny kwiatuszek, powiedział jeden z nich.

Na ławce pod ścianą w suce siedział jakiś pijak. Suttree zajął

miejsce naprzeciwko. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Pijak pochylił się naprzód. Cześć, kolego, powiedział. Masz fajkę? Suttree zamknął oczy i

wsparł głowę o ścianę furgonu.

W areszcie stanął przed małym okienkiem, gdzie poproszono go, żeby opróżnił kieszenie. Zdobył się na słaby uśmiech.

Funkcjonariusz u jego boku szturchnął go pałką. Wszystko z kieszeni, chłopcze.

Suttree podciągnął zaskorupiałą koszulę. Wywrócone na lewą stronę kieszenie jego spodni zwisały niczym skarpety.

Masz jakiś dowód tożsamości?

Nie, proszę pana.

A to dlaczego?

Zostałem okradziony.

Jak się nazywasz?

Jerome Johnson.

Policjant pisał. Mieliśmy już z tobą problemy, co nie, Johnson?

Nie, proszę pana.

Policjant podniósł wzrok. Już ci wierzę. Zabierz mu pasek i te tam sznurówki.

Poprowadzili go korytarzem do celi.

Otworzyli drzwi dużej klatki, wszedł, a wtedy zamknęli za nim drzwi. Ktoś spał w kącie z głową w kałuży skwaśniałego moczu. Nie było żadnych ławek ani niczego, na czym by można usiąść. Dookoła pod ścianami celi biegł betonowy ściek. Suttree zatrząsł się w ataku migreny.

Usiadł na podłodze. Była chłodna. Po chwili ukląkł i przytknął do niej czoło.

Najwidoczniej zasnął. Usłyszał klawisza, stukającego w kraty i wywołującego czyjeś nazwisko. Kiedy przechodził obok, Suttree go zagadnął.

Możesz mi tu wezwać kogoś od kaucji?

Jak się nazywasz?

Johnson.

Jak długo kiblujesz?

Nie wiem. Spałem.

I tak trzeba tu spędzić co najmniej sześć godzin.

Wiem. Pomyślałem sobie, że może mógłbyś sprawdzić, jak długo tu jestem.

Klawisz nie odpowiedział, czy sprawdzi, czy nie.

Po pewnym czasie Suttree wyciągnął się na podłodze i znów zasnął. Budził się od czasu do czasu, żeby zmienić pozycję, kiedy ocierał się jakąś kością o beton. Zanim pojawił się facet od kaucji, zapadł wieczór.

Drobny, wytworny człowieczek w butach z siateczką. Spojrzał na obrzydliwą enigmę, siedzącą przed nim w klatce. Ty jesteś Johnson?, zapytał.

Tak.

Chcesz wyjść za kaucją?

Tak. Nie mam pieniędzy. Będziesz musiał zadzwonić.

Okej. Do kogo? Wyciągnął notes i ołówek.

Suttree podał mu numer.

W porządku, powiedział tamten. Zaczekaj tu.

Jasne, odrzekł Suttree. Słuchaj.

Co?

Powiedz, że chodzi o Suttree'ego. Ale niech pytają o Johnsona.

Jak tak, to możesz mieć poważne kłopoty.

Jak nie, to też mogę mieć poważne kłopoty.

Okej. Jak brzmiało to nazwisko?

Suttree.

Facet od kaucji pokręcił głową, zapisując nowe nazwisko. Jesteście naprawdę niemożliwi, powiedział.

Wrócił po kilku minutach. Nie ma go w chałupie, rzekł.

Powiedziała ci, kiedy może wrócić?

Nie.

Która godzina?

Koło siódmej. Odgarnął mankiet. Dziesięć po.

Niech to szlag.

Nie znasz nikogo innego?

Nie. Posłuchaj, spróbuj jeszcze za godzinę, co? Na pewno dobrze zapisałeś numer?

Dwa jeden pięć zero pięć. Zgadza się?

Tak jest.

A jak się ten facet nazywa?

Jim.

To wiem. Chodzi mi o nazwisko.

Jim Long.

Człowiek od kaucji zerknął na niego dziwnie. Jim Long?, zapytał.

Tak.

Ma brata o imieniu Junior?

To on.

Facet od kaucji spojrzał na niego z ukosa.

O co chodzi?, spytał Suttree.

Kurde.

Co się stało?

A niech to piekło pochłonie, powiedział facet od kaucji. Obaj siedzą tuż za tobą, pod ósemką. Są tu od rana i też nie mogą sobie załatwić kaucji.

Teraz z jeszcze większym zainteresowaniem patrzył na Suttree'ego, którego twarz zmarszczyła się i przybrała dziwny wyraz. Z

jego ust wydarł się koński rechot, a oczy rozbiegły mu się na wszystkie strony.

Masz nasrane we łbie, powiedział facet od kaucji.

Suttree usiadł na betonowej podłodze i złapał się za brzuch.

Siedział tak, drżąc i podtrzymując brzuch obiema rękami. Naprawdę masz nierówno pod sufitem, co?, rzekł facet od kaucji.

Później Suttree wołał swoich przyjaciół przez kraty, ale nie odpowiadali. Jakiś głos zapytał, dlaczego się, kurwa, nie zamknie.

Jeszcze później zapaliły się światła pod sufitem na korytarzu.

Mężczyzna w kącie nie ruszał się, a Suttree nie chciał na niego patrzeć, żeby sprawdzić, czy tamten żyje. Położył się znów na podłodze i zapadł

w niespokojny sen, z którego co chwila się budził. Śniły mu się całe rzeki lodowatej wody, wlewające się w jego wyschnięte gardło.

O niewiadomej godzinie zbudziły go jakieś hałasy. Jedną dłoń do połowy miał wsuniętą w usta. Podniósłszy wzrok, zobaczył jakiegoś mężczyznę, który pochylił się i chlusnął na niego wodą z kubła przez kraty. Suttree podniósł się na kolana, prychając.

Kubeł stanął z brzękiem na podłodze. Mężczyzna przyjrzał się Suttree'emu w klatce. Jego współtowarzysz z celi stał w kącie. Gdy Suttree spojrzał na niego, powiedział: Jak nie stulisz mordy i nie przestaniesz się drzeć, to wcisnę ci fiuta do kieszonki od zegarka.

Zamknął oczy. Szara, kapiąca z niego woda cuchnęła sodą kaustyczną. We śnie przy ciemnej drodze zobaczył sokoła przybitego do drzwi stodoły. Zagrażał mu jednak nie ptak, lecz obdarty ze skóry człowiek z rozpłatanym mostkiem niczym kawał schłodzonej wołowiny, miał obraną ze skóry czaszkę, niebieską, bulwiastą i świecącą bladym światłem, czarne groty zamiast oczu, odcięty język i zakrwawione, szeroko otwarte usta. Wędrowiec przygryzł palce, ale płakał nie tylko przez ten koszmar. Za obdartym ze skóry człowiekiem majaczył

niewyraźnie w półmroku blady zarys innej postaci, albowiem jej chirurdzy chodzą po tym świecie jak, nie przymierzając, ty i ja.

5

Przeczesał zarośla i znalazł odpowiednią puszkę, zanim wyszedł

na drogę. Nafta rozmiękczyła płat asfaltu nawierzchni, a on przyklęknął

i zaczął go wydłubywać starym nożem kuchennym, ciągnące się nitki lepkiej smoły, aż wreszcie miał jej tyle, ile potrzebował.

Kiedy przyszedł Daddy Watson, łódka leżała już na brzegu do góry dnem, a Suttree cierpliwie uszczelniał jej łączenia.

No, to jeszcze żyjesz, powiedział starzec.

Suttree podniósł wzrok, mrużąc oczy w słońcu. Wytarł nos o przedramię, siedząc z puszką smoły w jednej ręce i nożem w drugiej.

Cześć, Daddy, powiedział.

Myślałżem, że już po tobie.

Jeszcze nie. Dlaczego?

Nie widywałem cię. Gdzieżeś bywał?

Suttree nałożył w spoinę cuchnącą czarną maź i wcisnął ją głęboko. W więzieniu, powiedział.

Hej?

Powiedziałem, że byłem w więzieniu.

Byłeś? Za co?

Wpadłem w złe towarzystwo. Co cię tu sprowadza?

Starzec zsunął pasiastą inżynierską czapkę z czoła i poprawił ją.

Właśnie idę do miasta. Pomyślałem sobie, że jak jestem tak blisko, to wpadnę sprawdzić, co się z tobą dzieje. Podejrzewałżem, że już po tobie.

Jeszcze się trzymam. Co słychać na kolei?

Normalnie strasznie, na boga.

Suttree czekał, by Daddy rozwinął temat, ale wyglądało na to, że nic takiego nie nastąpi. Podniósł wzrok. Starzec kołysał się na piętach, wbiwszy wzrok w Suttree'ego.

W czym problem, Daddy?

Ano w robocie na kolei, synu. Widzi mi się, że rzecz jest w jej charakterze. Wyciągnął ogromny kolejarski czasomierz, sprawdził, która godzina, i schował zegarek z powrotem.

Jak tam poczciwa siedemdziesiątka ósemka?

Na miłość boską jest stara i wysłużona jak ja, ale wierna jak pies.

Wartałoby dać jej złoty zegarek na łańcuszku.

Pochylił się naprzód, zaglądając przez ramię Suttree'emu, który dalej uszczelniał kadłub.

Wiesz, odezwał się. Chciałbym cię prosić, żebyś zaglądnął do mnie z tym na stację. Dach w moim wagonie przecieka i trzeba by coś z nim zrobić.

Suttree pochylił się naprzód, unikając jego wzroku. Co przecieka?, krzyknął z oczami na wpół przymkniętymi z uciechy.

Mówię, że dach. We wagonie.

Suttree pokręcił głową. Podniósł wzrok na starca. No, powiedział.

Jak mi coś zostanie, to przyniosę.

Starzec wyprostował się. To ładnie z twojej strony, a ja będę uważał, żeś mi oddał przysługę. Znów sięgnął po zegarek.

Najlepiej już pójdę do miasta, bo nie zdążę i zamkną mi sklep.

Która godzina, Daddy?

Czwarta dziewiętnaście.

No. Wpadnij jeszcze, jak będziesz mógł zostać dłużej.

Tak zrobię, odparł kolejarz. I nie zapomnij dać mi trochę tej smoły, jak ci trochę zostanie.

Okej.

Pomyślałżem, że już po tobie, bom cię nie widział na rzece.

Nie.

No.

Patrzył, jak starzec w kombinezonie idzie sztywno i chwiejnie przez parujące pola. Kiedy dotarł na tory, odwrócił się i podniósł rękę na pożegnanie. Suttree uniósł głowę i wrócił do swojej roboty.

Kiedy uszczelnił spód skifu, postawił puszkę ze smołą obok, odwrócił łódź i zepchnął ją z mulistego brzegu do rzeki. Wziął linę, wyszedł na galerię swojego domku na wodzie i przywiązał łódkę do relingu. Chwycił wiosła, oparte o ścianę, i spuścił je do łodzi.

Przewieszony przez reling patrzył, jak zaschnięty muł na jej dnie ciemnieje wzdłuż spoin, które powinny się zamknąć, kiedy deski napęcznieją w wodzie. Kiedy tak stał, w dole rzeki na estakadę wjechał

towarowy siedemnasta zero zero. Przemknął po wysokiej konstrukcji z czarnej stalowej plecionki niczym ogromna stonoga, plując kłębami dymu z komina parowozu, za którym klekotały wagony koloru sadzy, a po ich hałaśliwym przejeździe w okolicy zapanował dziwny spokój.

Wyciągnął z rzeki butelkę oranżady na długim sznurku, otworzył

ją, usiadł z nogami wspartymi na relingu i zaczął popijać chłodny napój.

Na pokładzie innej barki mieszkalnej w górze rzeki pojawiła się jakaś Murzynka, wyrzuciła za burtę dwie grzechoczące torby ze śmieciami i wróciła do środka. Suttree oparł głowę o rozgrzane deski i przyglądał się płynącej wodzie. Cień mostu kładł się już długą, skośną, rozlewającą się krechą w górze rzeki, a gołębie wlatujące pod jego betonową podstawę pozostawiały na powierzchni przed Suttree'em kształty łyżew, unosząc się na nietoperzowych skrzydłach znad wody, żeby żerować w nadciągającym zmierzchu. Zamknął i otworzył oczy. Siewki wzdłuż brzegu szarpały się jak ptaki na drucikach na strzelnicy w wesołym miasteczku. Niżej rura odprowadzająca strugi mydlanych grudek i niebieskich ścieków. Zmierzch pogłębił się. Jerzyki znikały nad cynowoołowianym obliczem rzeki, lecąc w kierunku miasta. Nocne sokoły nurkowały i kołowały na swoich cienkich skrzydłach, a obok zatrzepotał nietoperz, zatoczył krąg i wrócił.

W domu Suttree zapalił lampę i wyregulował knot. Tą samą zapałką zapalił palniki małej kuchenki naftowej, dwie rozety bladoniebieskich zębów w półmroku. Postawił na ogniu patelnię z fasolą, żeby się podgrzała, wziął rynkę i wkroił do niej cebulę.

Rozpakował hamburgera. Małe ćmy przelatywały nad wylotem szklanego klosza lampy i wirując z opalonymi skrzydełkami w powietrzu, spadały do gorącego tłuszczu. Wyciągał je ząbkami mosiężnego widelca, którym mieszał warzywa, i strząsał truchełka na ścianę. Gdy wszystko było gotowe, zsunął jedzenie z patelni na talerz, przeniósł wraz z lampą na stolik pod oknem, postawił wszystko na ceracie, usiadł i zaczął niespiesznie jeść. W górze rzeki płynęła barka i Suttree przyglądał się przez popękane szkło, jak światło jej reflektora nurkuje w dół i migocze w poszukiwaniu przesmyków pod mostem, długi biały stożek, śmigający na boki szybkimi, szerokimi ruchami, snop światła gnał w górę rzeki nad drzewami z niewiarygodną prędkością, przelatując nad wodą niczym kometa. Białe, oślepiające światło zalało kabinę i przesunęło się dalej. Suttree przymknął oczy. Ciemny kształt rozkołysanej barki był coraz bliżej. Patrzył, jak jej czerwone światła odsuwają się w mrok. Domek zaczął się swobodnie bujać na wzbudzonych przez barkę falach, puste beczki zamamrotały pod podłogą, a łódka

przesuwała się na wodzie bokiem i obijała w ciemnej nocy o burtę. Suttree wytarł talerz do czysta kawałkiem chleba i rozparł

się wygodnie. Zaczął przypatrywać się uważnie rozmaitym ćmom, przyklejonym do szyby, opierając łokcie na parapecie, a brodę na grzbiecie dłoni. Błagalnice światła. Oto jedna, ubarwiona na wielkanocnoróżowy kolor po bokach białego kosmatego brzuszka i na krawędziach skrzydeł. Oczy czarne, trójkątne, jak otwory w złodziejskiej kominiarce. Kosmata, zasuszona mordka, wcale podobna do małpiej, a na łebku zmierzwione wiatrem gronostajowe czako.

Suttree pochylił się, żeby ją lepiej zobaczyć. Czego chcesz?

Kiedy przepłynął kołowiec River Queen, Suttree leżał w łóżku i zapadał w sen. Słyszał za oknem odgłos z wysiłkiem mieszącego wodę koła. Jak gdyby statek przedzierał się przez płynne błoto. Na pokładzie zabawa i śpiew. W głosach pobrzmiewał akustyczny spokój wody, a stary rufowy kołowiec parł w górę rzeki, wioząc mocne alkohole i eleganckie damy, łagodne światła nad zielonym rypsem stołów do blackjacka, barman wycierający szklanki, muzycy z dancebandu opierający się o reling w przerwach między kolejnymi występami, aż wreszcie głosy ucichły w oddali, a ostatnie, coraz wyższe echa zastąpił

cichy szmer wiatru.

6

Gdziesik tu będzie dobrze, powiedział Harrogate, wskazując leniwie ręką przez otwarte okno ciężarówki.

Szofer zerknął na bok i wyciągnął szyję. Musisz podać jakiś adres, kutafonie.

Może być targowisko Smoky Mountain?

To żaden adres. Musi być gdzieś, gdzie mieszkają ludzie.

Harrogate rozejrzał się wokół, prostując się na fotelu obok kierowcy jak dziecko. A ten kościół tam?, spytał.

Kościół?

Taa.

No, nie wiem.

A co, nie chodzi się tu do kościoła?

Szofer przekręcił kierownicę, zjechał gwałtownie na lewo i stanął

przed kościołem. Dobra, powiedział. Zabieraj dupę z wozu.

Harrogate zeskoczył na ziemię, wyciągnął rękę i zatrzasnął drzwi.

Dzięki, zawołał, machając do szofera, który nie patrzył na niego.

Odjechał, i ciężarówka zniknęła na ulicy, gdzie panował już popołudniowy ruch.

Przebijał się przez dżunglę kudzu, powoju japońskiego, zwisającego nad urwiskami nad rzeką, aż wreszcie znalazł ścieżkę, a raczej żleb z czerwonej gliny, biegnący w dół zbocza. Szedł nim wśród bujnych zarośli jadowitego

sumaka, mijając ogromne, mumiowate kształty zduszonych powojami drzew, porośnięte kapryfolium skarpy, oprószone ochrą, i znalazł się w niewielkim popielatym lasku, gdzie rosły sumaki czarne i szkarłatka, spasione na wodzie ściekowej, a grona ich owoców połyskiwały trującymi kuleczkami granatowohebanowej barwy.

Ścieżka zawróciła i wyszła na nasyp nad opuszczoną bocznicą kolejową. Harrogate zszedł na tory i maszerował dalej. Stare, mroczne torowisko biegło wśród zielska, zardzewiałe szyny wyginały się nad przegniłymi podkładami i ciemnym żużlem. Posuwał się naprzód z trudem, ale radośnie, w swoim roboczym ubraniu, a cienkie podeszwy jego butów przylegały do szyn, jakby je obejmując. Poniżej płynęła naburmuszona, nieprzezroczysta rzeka, zmieniając kształt w zależności od dziwnych form wapiennych skał wystających z brzegów. W końcu natknął się na dwóch śliskich od krwi rybaków, oprawiających ryby pod starym murem wsporczym, trzymali sporego karpia, jeden ściskał go za łeb, drugi za ogon. Powitał ich uśmiechem dziwnie ubrany człowiek, wyłaniający się z zarośli. Ich uwalane posoką ręce znieruchomiały na moment, kiedy mu się przyglądali, a ryba wyginała się i drżała.

Witam, powiedział.

Tamci dwaj przez chwilę patrzyli po sobie, a potem spojrzeli na niego. Z ryby kapała krew. Leżała, jasnocynobrowa, w ząbkowanych kielichach liści. Jeden z rybaków kiwnął na Harrogate'a ociekającymi krwią szponami. Hej, chłopcze. Chodź no.

Czego chcesz?

Chodź no tu na chwilę.

Muszę iść dalej. Harrogate przesuwał się boczkiem nad podkładami.

Weź chodź no tu na chwilę.

Odsunął się od nich bokiem jeszcze dalej i rzucił do ucieczki.

Obserwowali go bez wyrazu, dopóki nie zniknął im z oczu w zaroślach, a potem znów zajęli się rybą.

Pół mili dalej na torach zobaczył skład stojący na bocznicy, starą, czarną żelazną lokomotywę z wyblakłymi, pozłacanymi napisami i drewniane wagony, spokojnie butwiejące na słońcu. Nici pnączy snuły się w powybijanych oknach matowobrązowych, leciwych wagonów o nitowanych rąbkach i zrębnicach, łączonych na zakładki, jak w machinach przeznaczonych do nurkowania w morzu. Ruszył między zakurzonymi, zielonymi, brokatowymi fotelami, wyżartymi przez robactwo. Ptak zerwał się do lotu. Harrogate zszedł po żelaznych schodkach na ziemię. Odezwał się jakiś głos: No dobra, młodzieńcze, wyłaźże z tych wagonów.

Harrogate odwrócił się i ujrzał idącego ku niemu po torach kolejarza w roboczym kombinezonie, starca w pasiastej czapeczce i z dyndającą mu u pasa ciężką, mosiężną dewizką od zegarka.

Wsiarz skierował się w inną stronę, szukając drogi ucieczki, ale mężczyzna, trzymający w ręku kanister z długim dzióbkiem, zatrzymał

się i pochylił nad skorodowaną ciężarówką. Kręcił głową i mruczał coś pod nosem. Ze zwiniętej gazety skapywał stary, czarny olej silnikowy.

Wyprostował się i zerknął na wyciągnięty z kieszonki na piersiach zegarek wielkości zegara ściennego. A gdzie dziś twoje kumple?, spytał.

Harrogate rozejrzał się, bo nie był pewien, czy starzec się zwraca do niego. Ze skazanego na zagładę dachu wagonu przyglądał mu się w rozmarzeniu kot, wygrzewający na ciepłej papie brzuch pełen gołębich jaj.

Jestem tylko ja, powiedział Harrogate.

Starzec spojrzał na niego spod przymrużonych powiek. TWój ojczulek nie robi przypadkiem na kolei, co?

Nie.

Bom myślał, że może cię znam.

Jestem tu nowy.

To cię nie znam.

Nazywam się Gene Harrogate, powiedział Harrogate, postępując naprzód. Ale starzec pokręcił głową, machnął ręką, nakazując mu odejść, i zaczął się gramolić między łącznikami wagonów. Znam już wszystkich, których chcę znać, powiedział.

A nie znasz przypadkiem Suttree'ego, co?, zawołał za nim Harrogate, ale starzec nie odpowiedział.

Harrogate ruszył dalej wzdłuż torów, pod starym stalowym mostem, wyszedł z cienia urwiska i minął tartak i rzeźnię. Gęsta woń smoły sosnowej i nawozu. Bocznica kończyła się na stacji rozrządowej i Harrogate ruszył przez łąkę, na której w oddali majaczyło kilka zaniedbanych baraków obozowych i zarośnięte morze zniszczonych samochodów, wyrzuconych na brzeg wzgórza. Wyszedł na wąską dróżkę i po chwili dotarł do zaimprowizowanej furtki, zrobionej ze starego żelaznego łóżka, obrośniętej powojami i okrążonej przez wiszące w powietrzu kolibry, wyglądające niczym latawce na sznurkach. Na podwórzu leżał jakiś człowiek w zatłuszczonych ogrodniczkach, z głową wspartą na oponie.

Hej, powiedział Harrogate.

Mężczyzna jak szalony poderwał się na nogi i rozejrzał wokół.

Szukam ci ja Suttree'ego.

Zamknięte, odparł mężczyzna. Wstał i poszedł przez podwórko ku pokrytemu papą barakowi, obwieszonemu deklami od felg, przy czym każdy dekiel był inny. Pod ścianą leżały zderzaki, z kranu rozpłatanego palnikiem kapała woda do zbiornika paliwa. Dalej w cuchnących i parujących krzakach przycupnęły wraki samochodów, a wszędzie na tym bujnym śmietnisku kwitły kwiaty i krzewy.

Rozejrzyj się, jak chcesz, zawołał mężczyzna. Nie zawracaj mi głowy. I nie podprowadź niczego. Zniknął w baraku, a Harrogate pchnął

furtkę i wszedł na podwórko. Furtka była obciążona wiszącymi na łańcuchu przekładniami i zamknęła się za nim delikatnie. Powietrze pachniało humusem, a Harrogate czuł także zapach kwiatów.

Wśród śmieci rosły dziki bieluń, korzenioczepne trąbki i dzwonki okrągłolistne. Krzaki smukłych, wiotkich, rozłożystych róż, obsypanych więdnącymi kwiatami, które rozsypywały się przy dotknięciu.

Lawendowe i różowe floksy pod krzywą ścianą z pustaków, tojeści i orliki wśród żelaznych wnętrzności samochodów, leżących tu i ówdzie na trawie. Harrogate podszedł do baraku i zajrzał przez otwarte drzwi.

Mężczyzna leżał wyciągnięty na fotelu samochodowym.

Hej, powiedział Harrogate.

Mężczyzna podniósł rękę, którą zasłaniał twarz. Czego ty w ogóle chcesz, na Boga?, zapytał.

Harrogate rozglądał się w półmroku małej chatki, zawalonej wszystkim, co udało się uratować z wypadków drogowych. Ze stojącego na podłodze radia samochodowego dobiegała cicha muzyka country.

Stosy opon wznosiły się w szeregach, a wszędzie stały akumulatory, wydzielające suchą białą pianę.

Szukam ci ja naszego kochanego Suttree’ego, powiedział.

T\i go ni ma.

A gdzie mógłbym go znaleźć, jak miarkujesz?

W Pajęczynowie.

Gdzie to będzie?

U pająka w dupie.

Złomiarz znów zasłonił sobie ręką oczy. Harrogate przyglądał się mu. W baraku było niewiarygodnie gorąco i zalatywało smołą.

Przypatrzył się uważnie niesamowitej kolekcji części samochodowych.

Jesteś złomiarzem?

Czego ci trzeba?

Niczego.

Czym handlujesz?

Niczym.

No to kup coś albo przedaj.

Myślałem, że zamknięte.

Właśnie żem otworzył. Pewnie masz kupę kradzionych dekli.

Nie mam.

Gdzie one są?

Nie mam żadnych dekli. Dopiero co wyszłem z domu pracy za kradzież arbuzów.

Arbuzów nie kupuję.

Harrogate przestąpił z nogi na nogę. Jego ubranie nawet się nie zmarszczyło. Mieszkasz tu?, spytał.

Mmm.

Fajnie. Pewnie można sobie urządzić takie mieszkanko za frajer albo prawie, co?

Palce u stóp mężczyzny, wskazujące sufit, rozsunęły się i zacisnęły w geście znamionującym brak zainteresowania.

Jejku, chciałbym mieć gdzie mieszkać.

Mężczyzna leżał bez ruchu.

Hej, powiedział Harrogate.

Mężczyzna stęknął, przewrócił się na bok, sięgnął pod fotel, wyciągnął spod niego kwartę jasnej whisky i usiadł na tyle prosto, żeby wlać napój w gardło. Harrogate przyglądał się. Mężczyzna zręcznie zamknął dwuczłonowy kapsel, położył opróżnioną do połowy flaszkę obok siebie, wciskając ją pod żebra, i znowu popadł w spokojne milczenie.

Hej, powiedział Harrogate.

Mężczyzna rozkleił jedno oko. Chłopcze, co jest z tobą?

Nic. Wszystko w porządku.

Chcesz robotę?

A co miałbym robić?

Co robić, co robić, zwrócił się mężczyzna do sufitu.

O jaką robotę chodzi?

Mężczyzna usiadł i opuścił nogi na glinianą podłogę, podtrzymując flaszkę na zgiętej w łokciu ręce. Pokręcił spoconą głową.

Po chwili podniósł wzrok na Harrogate'a. Nie mam czasu zadawać się z żałosnymi palantami, co im się nie chce robić.

Będę robić.

Okej. Widzisz zaś tego forda rocznik czterdziesty ósmy, co stoi przodem do nas? Kabrioleta?

Nie wiem. Jest ich tam cała kupa.

Ten wygląda jak nowy. Muszę wyciągnąć z niego tapicerkę, zanim ją szlag trafi. Fotele, dywaniki, panele drzwiowe. I trzeba mi je wyczyścić.

Ile płacisz?

A ile chcesz?

Harrogate spojrzał w ziemię. Czarna breja pełna drobnych opiłków, układających się w zatłuszczoną mozaikę. Chcę dwa dolary, powiedział.

Dam ci jednego.

Półtora.

Stoi. W tym pudle, tam, masz klucze i śrubsztaka. Fotele odkręca się od spodu. Dinksy we drzwiach i korbkach do szyb są mocowane na sprężynach, trzeba je wcisnąć i wybić sworznie gwoździem. Oparcia od foteli się odkręca. Jak już wyciągniesz wszystko, to mam kawałek mydła, a po drugiej stronie domu jest kran.

Okej.

Mężczyzna odstawił flaszkę, podniósł się i podszedł do drzwi.

Wskazał samochód. Zgniotło go w harmonijkę do połowy. Przynieś też osłony przeciwsłoneczne, powiedział.

Co mu się stało?

Walnął czołowo w półciężarówę. Stanęła mu wskazówka szybkościomierza. Zobaczysz.

Harrogate przyjrzał się samochodowi z niejakim podziwem. Ilu nim jechało?

Czterech albo pięciu. Paru chłopaków. Jednego znaleźli na polu ze dwa dni później.

Zabili się?

Złomiarz popatrzył na Harrogate’a. Że niby jak?, spytał.

Czy się zabili.

A skąd. Zdaje się, że jeden miał ino obtarte kolano, to wszystko.

Jejku, nie kapuję, jak mogli się nie zabić.

Złomiarz pokręcił ze znużeniem głową i wrócił do baraku.

Harrogate wziął skrzynkę narzędziową i wyszedł do samochodu.

Pociągnął pogięte drzwi i zaczął przy nich majstrować. Obszedł auto, ale w drzwiach z drugiej strony brakowało klamki.

Hej, powiedział, stając znów w progu baraku.

Co znowu?

Nie mogę się dostać do środka. Drzwi są zablokowane.

Może będziesz musiał je wyważyć. Wleź przez dach, weź jeden z tych tam lewarków i klocki. I przestań zawracać mi głowę.

Wyszedł z powrotem, mały terminator u złomiarza, wdrapał się na maskę i wszedł do auta między kabłąkami, rozporkami i strzępami płótna. Unosiła się tu przenikliwa woń skóry, pleśni i czegoś jeszcze.

Przednia szyba była wybita, a na ostrych zębach resztek szkła, tkwiącego w rowkach okiennych, osadzone były głęboko jakieś zasuszone grudki i kawałeczki tkaniny. Tapicerka była czerwona, a kleksy zaschniętej na niej krwi miały kolor nasyconego burgunda. Oparł

się nogami o drzwi, kopnął je porządnie i się otworzyły. Z kolumny kierownicy zwisał kawałek materiału, jakby utkanego z kuleczek.

Wysiadł i schylił się, żeby odszukać łebki śrub pod fotelami. Było widać, że na wykładzinę padał deszcz i że porasta ją delikatne futerko jasnoniebieskiej pleśni. Leżało na niej coś małego, grubego i wilgotnego, z przypominającym pępowinę ogonkiem. Coś jakby ślimak.

Podniósł go. Spomiędzy kciuka i palca wskazującego spoglądało na niego ludzkie oko.

Ostrożnie odłożył je z powrotem na miejsce i rozejrzał się wokół.

Na podwórzu było gorąco i bardzo cicho. Wyciągnął rękę, znowu podniósł oko, przypatrywał mu się przez chwilę, odłożył je z powrotem, wstał z kolan i poszedł do bramy, trzymając rękę wyciągniętą przed siebie, a potem ruszył dalej, drogą w stronę rzeki.

Kiedy już starannie umył dłoń, usiadł w kucki i przemyślał

wszystko, skierował się z powrotem na most. Niżej biegła ścieżka, trzymająca się blisko brzegu rzeki i wijąca między korzeniami wzdłuż poczerniałych kamienistych półek. Nad wodą wisiały kruche maty zdeptanej roślinności. Harrogate po drodze uważnie przyglądał się pejzażowi miasta po drugiej stronie.

W cieniu pod mostem ciągnął się bezsłoneczny pas nagiej, czerwonej, jakby zwarzonej ziemi. Zardzewiałe puszki po przynętach, splątane pasma nylonowej żyłki wędkarskiej wśród kamieni. Wyszedł z zarośli i ruszył w górę, mijając palenisko szmaciarza, cuchnące stęchlizną odymionych kamieni, i przystanął, żeby przyjrzeć się bliżej ciemności pod betonowym łukiem. Kiedy zza pomalowanego kamienia wyłonił się obszarpany troll, Harrogate skinął mu przyjaźnie głową.

Witam, powiedział.

Szmaciarz popatrzył na niego spode łba.

To miejsce pod mostem będzie zaś chyba zajęte, co nie?

Stary pustelnik nie odpowiedział, ale Harrogate'owi najwyraźniej to nie przeszkadzało. Podszedł bliżej, przyglądając się wszystkiemu.

Jejku, powiedział. Naprawdę fest się tutaj urządziłeś, co?

Szmaciarz nieznacznie podniósł głowę niczym zaniepokojony ptak w gnieździe.

Założę się, że na tym pięknym łóżku można się dobrze wyspać, powiedział Harrogate, wyciągając palec.

Lepiej uważaj, odezwał się czyjś głos z wysokich łuków mostowych. Ten stary jest straszny jak jadowity wąż.

Harrogate wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, kto to powiedział.

Tłuste ptaki łupkowego koloru kląskały i gruchały wyżej wśród betonowych wsporników. Kto tam?, zawołał, a jego głos powrócił

dziwnym, pustym echem.

Lepiej uciekaj. Podobno ma pistolet.

Harrogate spojrzał na szmaciarza, który zamachał rękami i obnażył

zęby. Harrogate znów spojrzał w górę. Hej, zawołał.

Nie było odpowiedzi. Gdzie on jest?, zapytał Harrogate. Ale szmaciarz wymamrotał coś tylko i zniknął mu z oczu.

Harrogate podszedł bliżej i wpatrzył się w półmrok. Starzec siedział na pękniętym fotelu w głębi swojej prymitywnej kwatery.

Dookoła na cuchnącej polepie stały stare, zniszczone meble i leżał

dziurawy dywan o orientalnej urodzie i sznurkowej osnowie, wyzierającej spod jakby ząbkowanych minaretów, były tu też lampy naftowe, kradzione lampy budowlane oraz popękane gipsowe figurki, stojące w półmroku jak duchy, a także gliniane garnki i skrzynie pełne butelek i różnych rupieci,

kopczyki skarbów w postaci najrozmaitszych odpadów, tandety i bubli, a wreszcie potężne wiązki gazet i stosy szmat.

Łóżko szmaciarz miał stare i ozdobne, z koroną i kwiatonem z lanego mosiądzu.

Nie umisz zaś czytać, chłopcze?, zapiszczał grobowym głosem starzec ze swego legowiska.

Nie za dobrze.

Na tej tabliczce, tam, pisze, że wstęp wzbroniony.

Wielki Boże, bez zaproszenia bym nie wszedł. Ładnieś się tu urządził, nie ma co.

Szmaciarz chrząknął. Trzymał nogi podwinięte na fotelu, na którym jego chude, gładkie golenie lśniły niczym nagie, skrzyżowane kości.

Nikt ci tu nie wadzi?

Czasami przylezie jaki jeden albo drugi idiota, odparł szmaciarz.

Długo tu mieszkasz?

Gdzieś tyle, odpowiedział starzec, odmierzając na oko odcinek czasu między swoimi otwartymi, wyciągniętymi w przód dłońmi.

Harrogate uśmiechnął się szeroko i podjął wyzwanie. Wiesz, jaka jest różnica między muchami ze spożywczaka i muchami ze sklepu żelaznego?

Oczy szmaciarza stały się jeszcze zimniejsze.

Taka, że muchy ze spożywczaka rżną się na ogórach, a muchy ze sklepu żelaznego moczą ogóry na piłach. Harrogate nagle zgiął się w pół, klepnął w udo i zaskrzeczał jak postrzelony ptak.

Chłopcze, a może byś tak poszedł, skąd żeś przyszedł albo dokąd żeś szedł, i dał mi, kurwa, zasrany święty spokój?

Kurde, ja żem tylko przystanął się przywitać. Nic nie chciałem.

Starzec zamknął oczy.

Ej, posłuchaj. Mieszka tam kto pod mostem po drugiej stronie?

Starzec spojrzał w tamtym kierunku. Na drugim brzegu rzeki w długim tunelu łuków leżało odległe lustrzane odbicie jego domostwa. A weź idź i zobacz, odpowiedział.

Byłbym fiutem, jakbym zaś nie poszedł, powiedział Harrogate. O

ile nie jest zaklepane, będziemy sąsiadami.

Pomachał starcowi i zaczął obchodzić most. Dogadamy się, zawołał. Ja się zaś z każdym dogadam.

Było popołudnie, kiedy dotarł na drugi brzeg, do miasta, i zszedł

stromą ścieżką pod most, spuszczając się przez dżunglę niewielkich glediczii, gęsto porośniętych długimi kolcami, i płosząc czerniawe szpaki, które odlatywały z wrzaskiem nad rzekę, krążyły nad nią i wracały. Wyszedł na nagą, gliniastą łachę pod mostem. Bawiły się tam w chłodzie małe murzyńskie dzieci. Niżej biegła czarna, wąska uliczka.

Jedno z dzieci zauważyło Harrogate'a, a potem wszystkie podniosły głowy, trzy łagodne, ciemne twarzyczki i uważne oczy.

Witam, powiedział.

Siedziały w kucki bez ruchu. Małe ciężarówki o drewnianych budach i wozy osobowe stały na ulicach wysypanych tłuczniem. Dalej dom z brązowych desek, księżycowe podwórko, glina i miał węglowy, w cieniu kilka przycupniętych, żałosnych kurczaków. Jakiś Murzyn odpoczywał, leżąc jak długi i kołysząc się na desce, zwisającej na łańcuchach spod sufitu ganku, a w bezwietrznym upale na sznurku suszyło się spłowiałe pranie.

Co zaś porabiacie?

Odezwał się najstarszy dzieciak. My żeśmy nic nie zrobili.

Wszyscy tam mieszkacie?

Dzieci pokiwały z powagą głowami.

Harrogate rozejrzał się wokół. Myślał, że przynajmniej nie będzie musiał mieć czarnuchów za sąsiadów. Zszedł z brzegu niżej, na drogę, i ruszył w dół rzeki, mijając szeregi chat. Droga była dziurawa i wyboista, dalej pokrywał ją piach i wyschłe błoto, a potem się skończyła. Wśród zarośli poobwieszanych papierowymi śmieciami snuła się już tylko wąziutka ścieżyna. Harrogate ruszył nią przed siebie.

Ścieżka przecinała spalone słońcem parcele i ugory i biegła pod wysoką estakadą, łączącą oba brzegi. Śmietnisko włóczęgów pośród starych kamiennych fundamentów, gdzie szare kości spoczywały obok zardzewiałych puszek i stosów szkła z rozbitych słojów i butelek. Krąg poczerniałych cegieł i wygasłe ognisko. Harrogate kręcił się tu i tam, dźgając znalezione przedmioty patykiem. Kawałki spalonej folii połyskiwały w słońcu błękitem i żółcią. Wydłubywał zwęglone resztki z szarego jak popiół mułu. Stopione szkło, które zastygło w ślimacznicy sprężyny od łóżka niczym szklista poczwarka albo trąbik w muszli z mórz południowych. Przetarł sprężynę rękawem i zabrał ją ze sobą.

Przez usłany śmieciami i odpadkami parujący namuł na niewielkie wzniesienie nasypu kolejowego i dalej, w stronę rzeki.

Równolegle do torów, przekraczających w tym miejscu strumień, siedział szereg czarnoskórych rybaków, których nogi zwisały nad sączącymi się ściekami. Patrzyli na spławiki, kołyszące się poniżej w ujściu strumienia, i nie odwrócili się, żeby zobaczyć, jak Harrogate chwiejnie podąża wzdłuż szyn, unosząc głowę ponad siarkowym smrodem zepsutego powietrza, wzbijającego się spomiędzy podkładów.

Zaś dobrze wam idzie, biorą?, spytał śpiewnie.

Jeden z Murzynów ze zbolałą miną podniósł na niego wzrok, ale zaraz znowu się odwrócił. Harrogate stał, przyglądając się im przez chwilę, i

ruszył dalej, kiwając się na nogach w upale. Słońce przypominało otwór szpuntowy, prowadzący do jeszcze większego niż ono samo piekła. Na wzgórzu wyżej zobaczył mury uniwersytetu i kilka ładnych domów między drzewami. W końcu wyszedł na nadrzeczną uliczkę. Jego trampki z mlaskaniem odrywały się od gorącego asfaltu.

Jakiś pies półtruchtem wycofał się boczkiem na jego widok, zmierzając w dół ulicy, w stronę cienia w krzakach bzu przy jednej z miejscowych chat, wyglądających na łatwopalne. Harrogate przyjrzał się dalszemu pejzażowi. Zagon szarej kukurydzy nad rzeką, sztywnej i kruchej.

Ponury, wiejski widok, który ostatecznie kazał mu zawrócić z powrotem do miasta.

Przez większą część popołudnia błąkał się po co smutniejszych dzielnicach Knoxville, węsząc w zaułkach, zaglądając do starych piwnic, za brudne zabudowania albo w piekielne, ociekające wilgocią wykopy, powstałe w ramach robót publicznych. Z szeroko otwartymi oczami, w swojej prowizorycznej kreacji przywodził na myśl małego apostatę całej rasy ludzkiej, zatrzymywał się pod murem, żeby przeczytać to, co udało mu się odcyfrować z napisów wykonanych pylistą kredą, harmonogramy anonimowych stowarzyszeń, terminy umówionych spotkań albo informacje natury osobistej dotyczące zwyczajów tutejszych kobiet. Pod ścianą, w słonecznym korytarzu, w brązowej, zielonej i kryształowej ruinie leżał szereg ukamienowanych butelek, a jeden stożkowaty odłamek żółtego szkła wystawał pionowo z chodnika niczym płomień. Dalej u wylotu alejki pogięte śmietniki o zardzewiałych krawędziach i przechylonych, szeroko rozwartych szczękach, przez które w dzień i w nocy wchodzą i wychodzą umorusane psy. Żelazna poręcz schodów, bezkształtna od ptasich odchodów niby przedmiot wyciągnięty z dna morza i kwiatki pod murem wzniesionym z poszczerbionego kamienia.

Przystanął nad kupą śmieci w jakimś kącie, gdzie wił się otruty warfaryną szczur. Zwierzątko do głębi przejęte problemem w swoim brzuchu. Pewnie zjadłeś coś, co ci zaszkodziło. Harrogate przykucnął i patrzył z ciekawością. Łagodnie szturchnął szczura znalezionym prętem od zasłony. Z progu obserwowała go jakaś nieruchoma, chuda i niechlujna dziewczyna. Prymitywna lalka w łachmanach, wielkie, zapadłe w ciemność, ropiejące

oczy w jej ptasim łebku. Harrogate podniósł wzrok i zauważył, że na niego patrzy, a wtedy jej ręce zaczęły się niespokojnie skręcać, przez chwilę szarpiąc oderwany rąbek sukni, po czym głowa dziewczyny odchyliła się nagle, zobaczył pokryty sznurowatymi żyłami szpon, trzymający ją za włosy, została pociągnięta do tyłu i zniknęła w otwartych drzwiach. Znów spojrzał w dół na szczura. Zataczał powolne kręgi tylną łapką, jakby w takt muzyki.

Zapewne poczuł jakieś zimne tchnienie, bo nagle zadrżał i z wolna wyciągnął łapy, aż wreszcie znieruchomiały. Harrogate dźgnął go prętem, szczur jednak tylko zakołysał się pod skórą. Na jego szary, smukły pyszczek wybiegały pchły.

Wstał, trącił zwierzaka nogą i ruszył dalej zaułkiem. Przeszedł na drugą stronę asfaltowej ulicy, usłanej kapslami i kawałkami blachy, bezładne mozaiki z metalu krytego czarną emalią i nieprawdopodobny wąż, jego karbowany rdzeń kręgowy wypolerowany przez pojazdy i częściowo zwinięty w blady, kościsty znak, którego znaczenia nie potrafił odgadnąć. Nad głową misy porozbijanych kamieniami latarni.

W drzwiach stała jakaś wychudła, kulawa murzyńska flądra. Cześć gołąbku, jak tam, trzepiesz kapucyna? Ścigał go radosny, donośny śmiech i błysk złotego zęba, nieprzyzwoita Psia Gwiazda w obleśnej gębie mistrzyni seksu oralnego.

Poszedł tam, gdzie apatyczni Murzyni siedzieli w kucki albo drzemali w drzwiach, na werandach albo rogach ulic, prawie na jezdni.

Starcy jak posągi o palcach splecionych i zaciśniętych na rączkach lasek między kolanami. W garniturach, które, jak by się wydawało, dawno już odeszły do lamusa, dziurkowanych, dwukolorowych butach i skarpetkach zrolowanych sprośnie wokół chudych, czarnych kostek.

Zaczepiła go jakaś rozmamrotana, hebanowa pokraka, z jej wystającej dolnej wargi ściekała przezroczysta ślina. Muchy przecinały powietrze niczym komety. Szedł dalej. Odwrócone oczy. Ciemne matrony w oknach na piętrze w gorącym, dusznym dezabilu, pochylone czekoladowe

piersi.

Kochankowie

o

zmierzchu.

Pomocniczy

apostołowie nadchodzącej nocy. Przywędrował z ulic zamieszkanych przez białych na ulice czarnych, a nigdzie nie spotkał pośrednich, szarych ludzi.

Nadpełzł długi, niebieski letni zmierzch i cienie wzniosły się wysoko nad zachodnimi fasadami budynków, gdy Harrogate podążał w górę Gay Street. Mijał wystawy niczym zagubiony kłusownik, strzelając wokół oczami i klapiąc podeszwami podartych trampek jak klaun. Pod sklepem Locketta stanął, żeby podziwiać zakurzone, szarlatańskie rekwizyty, pudełeczka z proszkiem wywołującym kichanie, cygara powleczone kordytem i wytłaczaną puszkę z tuszem. Przyczepione do nich wywieszki reklamowe tak poblakły od słońca, że nie dało się z nich nic odczytać. Warczący porcelanowy pies z wygiętym grzbietem.

Harrogate pełen podziwu na widok takich przedmiotów. Cofnął się trochę, żeby sprawdzić nazwisko właściciela, i ruszył dalej. Przeszedł

pod szyldem Comer’s Sport Center, nad głową strome schody i stłumiony stukot bil. No i masz, powiedział. Nie do wiary.

Skręcił w Union Avenue, minął Roxie Theatre, Webfoot Watts i Skinny Green, gdzie na afiszu widniał damski zespół rewiowy. Podszedł

zobaczyć ceny biletów. Dziewczyna spojrzała na niego ze swojej szklanej klatki jak kocica. Uśmiechnął się i wycofał. Na Walnut Street przechodził obok sklepów żelaznych, piwiarni i walących się sklepów drobiarskich. Pomknął w górę Wall Avenue i wszedł na Market Square.

Jego drobna twarz w oknach Gold Sun Cafe, gdzie goście wymazywali do czysta kolacyjne talerze i gdzie wyglądające na niedoświadczone kelnerki

chodziły tam i z powrotem w poplamionych białych fartuchach.

Dalej na Market Street pod baldachimami siedzieli wieśniacy na krzesłach o trzcinowych siedziskach, na odwróconych do góry nogami skrzynkach po brzoskwiniach albo przycupnięci na szaroołowianych zderzakach starych fordów, wyposażonych w prymitywne, zbite z desek platformy. Ludzie rozkładali towar, sklepy były zamknięte. Kilka spłowiałych, opuszczonych korbą markiz. Dwaj najemni robotnicy portowi podnieśli z chodnika żebraka i wsadzili go do ciężarówki.

Harrogate ruszył dalej. Starzec siedzący przed koszykiem pełnym rzep psyknął na niego i poruszył głową w nadziei na klienta, bo w jego zmęczonych oczach Harrogate nie wyglądał gorzej niż inni przechodnie.

A Harrogate przepatrywał rynsztoki, szukając tego, co spadło z ciężarówek i nadawałoby się do zjedzenia. Gdy dotarł na koniec ulicy, miał niewielki bukiet postrzępionej zieleniny i poobijanego pomidora.

Wszedł do hali targowej, umył warzywa pod kranem z wodą pitną, opatrzonym napisem Dla białych, i zjadł je, wałęsając się po ogromnej hali, pełnej aromatycznych zapachów mięsa, warzyw, owoców i trocin.

Kilku handlarzy wciąż siedziało w swoich boksach, stare kobiety o twarzach niby z wyprawionej na biało skóry i farmerzy o pofałdowanych karkach. Sprzedawca miodu w nieskazitelnie niebieskiej koszuli siedział w milczeniu, a przed nim na niskim stoliku stały w ordynku słoiki z nalepkami, skierowanymi w stronę przejścia dla klientów. Harrogate przeszedł obok, zajadając sałatę. Minął długą, szklaną trumnę, gdzie z tac solonego lodu popatrywało kilka chudych ryb o zimnych, złocistych oczach. W górze, w powolnym powiewie wentylatora, pobrzękiwały dzwonki. Pchnął ciężkie drzwi na końcu hali, pokryte stuletnią warstwą ciemnoszarej farby, i wkroczył w letni wieczór. Stanął, wycierając ręce w swoje ubranie na brzuchu, a jego wzrok przyciągało zagadkowe popiskiwanie neonów po drugiej stronie ciemności i ćwierkot lelków w powietrzu, w wysokim półcieniu świateł

miasta. Minął go zamiatacz ulic, turkocząc swoim wózkiem. Harrogate przeszedł na drugą stronę ulicy i zagłębił się w zaułek. Rodzina śmieciarzy

ładowała rozpłaszczone kartonowe pudła do dziecięcego wózka, a dzieci o ziemistej, szczurzej cerze rozpierzchły się wokół

cuchnących puszek na śmieci właśnie jak szczury. Wszyscy milczeli.

Przewiązali złożone pudła witką, niepewny, chwiejny ładunek, który mężczyzna podtrzymał jedną ręką, a kobieta zaczęła ciągnąć, podczas gdy dzieci podejmowały wypady do śmietników i pod drzwi piwnic, przez cały czas mając Harrogate'a na oku.

Zaułkami i ciemnymi uliczkami dotarł w okolice świateł Henley Street, gdzie wcześniej zauważył trawnik pod kościołem. Znalazł

zaciszny kącik pośród zadbanych kęp floksów i bukszpanów i zwinął się w kłębek jak pies. Miał w kieszeni parę znalezionych drobiazgów, wyjął

je, ułożył na skraju mierzwy i położył się z powrotem w trawie.

Wyczuwał na plecach drżenie, w jakie wprawiały ziemię przejeżdżające ulicą ciężarówki. Przesunął biodra. Złożył ręce pod głową. Musi wesprzeć na czymś stopy, żeby ulżyć swoim ptasim kostkom, na których ciążą wielkie buciska. Po chwili zsunął trampki i znów się położył. Żółte światło czepiało się jego powiek. Patrzył, jak owady wznoszą się i kołują. Żerujący nietoperz przeciął stożek światła i zaczął wsysać owady, które się rozproszyły. Powoli zwierały znów szyki. Po chwili dwa nietoperze. Kluczyły i pożerały spokojne żyjątka, lecące na spopielenie w słupie światła. Harrogate dziwował się, że nie wpadają na siebie.

Usiadł w zaroślach na długo, zanim zaczęło na dobre świtać, czekając, aż przyjdzie dzień, w który będzie mógł wyruszyć dalej, obserwował połyskliwe światła samochodów, wyłaniających się z mgły na moście i mijających Harrogate'a w drodze do miasta. Szary świt tworzył zwidy. To, co Harrogate wziął za podobnego do siebie biedaka, rozłożonego niżej na trawie, okazało się gazetą, którą wiatr wcisnął w krzak. Wstał, przeciągnął się i ruszył przez trawnik na ulicę, a potem na targ, gdzie właśnie zaczynał się handel najróżniejszymi wiejskimi towarami.

Lawirował między rdzewię jącymi ciężarówkami i furmankami przy krawężniku, aż nadarzyła się okazja, błyskawicznie wysunął chudą rękę, chwycił brzoskwinię z koszyka i schował ją głęboko do przypominającej rękaw powietrzny, zwisającej bezwładnie kieszeni spodni. Zanim zmiarkował, co się dzieje, jakaś starsza pani złapała go za kołnierz i zaczęła bić po głowie warząchwią. Krzyczała mu w twarz, bryzgając na niego śliną pełną tabaki. Kurde, powiedział Harrogate, próbując się wyrwać. Rozległ się przeciągły odgłos rozdzieranej tkaniny.

Przestań. Drzesz mi koszulę, niech to szlag trafi.

Brzdęk, brzdęk, brzdęk, chochla waliła go w kościstą głowę.

Oddawaj to, wrzasnęła kobieta.

Niech to piekło pochłonie. Masz. Gwałtownie wyciągnął do niej rękę z brzoskwinią, a staruszka natychmiast puściła Harrogate'a, wzięła owoc, poczłapała z powrotem do ciężarówki i włożyła go znów do koszyka.

Pomacał się po głowie. Cała w guzach. Kurwa mać, powiedział.

Nie zależało mi aż tak bardzo na tej pieprzonej brzoskwini. Beznogi żebrak na desce z kółkami, przypominający upiorne, wypchane zwierzę, obudził się i zaczął z niego śmiać. Spierdalaj, powiedział Harrogate.

Żebrak wystrzelił naprzód na swojej deskorolce, chwycił Harrogate^ za nogę i ugryzł go.

Kurde!, krzyknął przeraźliwie Harrogate. Usiłował się wyrwać, ale żebrak zacisnął zęby na jego łydce. Tańczyli i obracali się wokół, a Harrogate ciągnął go za włosy na czubku głowy. Żebrak potrząsnął nią i szarpnął w ostatniej próbie wyrwania kawałka ciała z nogi Harrogate'a, po czym puścił go, wycofał się swobodnie na miejsce pod ścianą i sięgnął po swoje ołówki. Harrogate ruszył w dół ulicy, kulejąc i trzymając się za nogę. Stuknięte skurwysyny, powiedział, kuśtykając między kupującymi. Miał niemal łzy w oczach.

Przeszedł przez halę targową i znalazł się po drugiej stronie placu.

Coś go ciągnęło za but. Schylił się, żeby zobaczyć, co to jest. Guma do żucia. Usiadł na krawężniku i zeskrobał ją patykiem, którego koniec zwieńczył różowy glut...

Minął ślepca, stojącego przed Bower's, i obserwował tłum. Nikt nie odwzajemniał jego spojrzenia. Wrócił lekko skulony i szturchnął

prętem pudełko po cygarach, leżące na kolanach niewidomego. Ślepiec podniósł głowę, zakrył pudełko ręką i rozejrzał się. Idący ulicą Harrogate przechylił patyk. Na jego czubku tkwiła przyklejona dziecięciocentówka. Odwrócił się energicznie i ruszył z powrotem.

Ślepiec siedział czujnie. Bladoniebieskie, zapadnięte, pomarszczone i porośnięte pleśnią winogrona w jego oczodołach. Harrogate wykonał

szermierczy wypad i złowił pięciocentówkę.

Ej, ty lachociągu, zawołał ślepiec.

Spierdalaj, odpowiedział Harrogate, zmykając zwinnie w podskokach.

Wszedł do Gold Sun, zamówił kawę i pączki i usiadł przy bufecie, otoczony porannymi zapachami smażonych kiełbasek i jajek. Podwinął

nogawkę i przyjrzał się ranie. Nierówne zęby żebraka odcisnęły się dwoma małymi sierpami, granatowe sińce, kropelki krwi. Zmoczył

papierową serwetkę w szklance z wodą i przemył swoje dziwaczne stygmaty. Skurwysyn, mruknął. Wypił kawę i podsunął kubek, żeby dostać dolewkę.

Wróciwszy na ulicę, pogładził się po niezbyt wydatnym brzuchu i ruszył do Comer's. W górę po schodach. Z podestu obserwował go drobny, zgięty wpół człowieczek. Który znał wszystkich gliniarzy w mieście, mundurowych i cywilów. Harrogate pchnął zielone drzwi ze zbrojonymi drucianą siatką szybami i wszedł do środka. Ku jego zdumieniu było prawie pusto. Jakiś młody blondyn przy drugim stole ćwiczył uderzenie, polegające na trzykrotnym odbiciu bili od bandy.

Stojak niemal dotykał stołów z tyłu sali. Jakiś cudak ze zwisającym nad fartuchem brzuszyskiem i ustami pełnymi tytoniu. Ze szklanego klosza na wysokości łokcia Harrogate'a zwieszała się taśma telegraficzna, a na ławkach we frontowej części sali siedziało kilku starców, patrzących, jak na ulicy w dole zaczyna się dzień.

Harrogate podszedł do kontuaru, za którym liczył pieniądze człowiek z daszkiem przeciwsłonecznym na czole. Znasz Suttree'ego?, zapytał Harrogate.

Co?, odpowiedział mężczyzna.

Suttree.

Spytaj Jake'a. Skinieniem głowy wskazał na tył sali i znowu zaczął

liczyć. Harrogate, kiwając się jak kaczka, ruszył przejściem między stołami, kije stały pod ścianami na stojakach niczym broń w starej zbrojowni. Hej, odezwał się blondyn.

Co?

Chcesz zagrać w dziewiątkę?

Nie umiem grać.

Rotacja?

Nigdy żem nie grał w bilarda.

Blondyn przypatrywał mu się przez chwilę, nieznacznymi, obrotowymi ruchami smarując kredą czubek kija. Pochylił się, żeby uderzyć.

Znasz Suttree'ego?

Uderzył. Bila potoczyła się naprzód, okrążyła ustawione w trójkącie pozostałe kule, odbijając się od bandy do bandy, po czym wróciła i wpadła do kieszeni w górnym rogu. Harrogate czekał, aż bilardzista mu odpowie,

ale ten wyciągnął bilę z łuzy, ustawił ją na stole, pochylił się znów z kijem w ręku i nie podniósł wzroku. Harrogate podszedł bliżej.

Jesteś Jake?, spytał.

A jak.

Znasz Suttree'ego?

Jake odwrócił się i spojrzał na Harrogate'a z góry. Splunął do stalowej spluwaczki stojącej na podłodze i otarł usta grzbietem dłoni.

Taa, odpowiedział. Znam.

Wiesz, gdzie się podziewa?

Co chcesz za te portki?

Harrogate spuścił wzrok. Nie mam innych, odparł.

No. Nie ma go tu.

Ciekaw jestem, czy może wiesz, gdzie jest.

Pewnikiem w domu.

No, a gdzie on mieszka?

Na rzece. Zdaje się, że w jednym z takich domków na wodzie.

Domek na wodzie?

A jak. Jake schylił się, a w kieszeni jego fartucha zabrzęczały drobne. Zaczął zbierać kurz, zgarniając go w stronę narożnej łuzy.

Harrogate odwrócił się do wyjścia.

A ta koszula?

Co koszula?

Chcesz się zamienić?

Niech to piekło pochłonie, powiedział Harrogate. Twoja byłaby dla mnie jak kapota.

Jake wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wpadnij jeszcze kiedy, koleżko.

Na dole, na Gay Street, Harrogate stanął na moście, oparł się o barierkę i omiótł wzrokiem nadbrzeże. Są i pieprzone domki na wodzie, powiedział.

Gdy schodził stromą, krętą ścieżką za wysokimi, drewnianymi domami, wydawało mu się, że słyszy czyjś głos. Przechylił głowę na bok, żeby zobaczyć kto to. W oknie, wysoko na ścianie z zachodzących na siebie, oblepionych sadzą desek, przy której stała drabina, przewiesiła się przez parapet jakaś istota. Rozwalona z wyciągniętymi ramionami niczym zepsuta marionetka na rozgrzanej oblicówce, łuszczącej się w słońcu z farby. Ha, zawołał nieznajomy. Nasienie Cerbera, bliskiego krewniaka diabła.

Harrogate zgrzytnął zębami.

Długi paluch skierował się w dół. Dziecko ciemności z plemienia biesa, posłuchaj mnie.

Kurde, powiedział Harrogate.

Postać w oknie uniosła się, aby przemówić do jakichś innych słuchaczy.

Wejrzyjcie na niego! Czyż on was nie obraża? Czyż taka nikczemność nie cuchnie aż pod niebiosa?

Jadowity kaznodzieja, którego koźle oczy pałały, wyprostował się, zgiął sztywno ręce w łokciach i wycelował kościsty paluch w ziemię.

Giń!, wrzasnął. Umrzyj straszną śmiercią, niech ci się otworzą bebechy, oby czarna krew bulgotała w twoim dolnym oku i niechaj Bóg zbawi twoją duszę, amen.

Kurde flak, powiedział Harrogate, czmychając ścieżką niżej i osłaniając głowę ręką. Obejrzał się, kiedy zszedł na ulicę. Mężczyzna przeniósł się do innego okna, żeby lepiej widzieć chłopaka pod swoim domem, i teraz pochylał się z twarzą wciśniętą w szybę, jego matowe, trupiożółtawe ciało rozpłaszczyło się na szkle, a jedno oko w dotkniętej wytrzeszczem twarzy, zniekształconej nienawiścią, wyglądało jak zamurowane. Harrogate ruszył dalej. Wielki Boże wszechmogący, powiedział.

Ruszył Front Street koło walącego się sklepu, przed którym stali w nonszalanckich pozach Murzyni, śledząc zbliżającego się Harrogate'a pełnym zwątpienia wzrokiem, a potem wybrał psią ścieżkę, prowadzącą przez szare pola ku mieszkalnym barkom, i wyszedł na tory w swoich cudacznych spodniach, pokrytych ciemnymi jak sadza smugami, pozostawionymi przez chaszcze, w których brodził. Powietrze gorące i duszne, woń popiołów i kreozotu, a także obszary cięższych zapachów ropy i ryb, odsuwające się w czymś w rodzaju mgiełki dalej wzdłuż rzeki.

Wdrapał się na zbity z desek pokład pierwszej barki i zapukał do drzwi. W wodzie poniżej kręcił się powoli niewielki wir śmieci i pustych butelek. Kiedy drzwi się otworzyły, ujrzał czarne jak węgiel oblicze kobiety, w której jednym oczodole tkwiła agatowa kulka. Czego chce?, zapytała.

Myślałem, że może tu mieszka Suttree, ale coś chyba nie.

Nie, odpowiedziała.

A nie wiesz może, gdzie on mieszka, co?

Kogo szukasz?

Suttree'ego.

Czego od niego chcesz.

To mój stary kumpel.

Obrzuciła go wzrokiem od stóp do głów. Z takim jak ty nie będzie się zadawał, powiedziała.

Kurde, odparł Harrogate. Suttree i ja znamy się kupę czasu.

7

Suttree wstał z pierwszym brzaskiem, żeby zacząć połów. Szary kształt miasta, wyłaniający się z mgły, mewa w górze rzeki, blady, obcy ptak na śródlądowych akwenach. Na moście światła samochodów sunęły w oparach jak świece.

Kiedy wypłynął, Maggeson był już na wodzie, stojąc na swojej łodzi niczym jakiś współczesny Charon i sunąc we mgle. Długim kijem wyciągał na pokład kondomy i wrzucał je do wiadra z wodą i mydłem.

Suttree znieruchomiał, żeby na niego popatrzeć, ale starzec przepłynął

obok, nie podniósł wzroku, stał z jakby lubieżną czujnością, uważny i milczący ze względu na krótkie prądy przybrzeżne.

Suttree wiosłował w bezsłonecznym piekle wirujących mgieł, przez misy zimnych, sączących się oparów. Mostowe nadbrzeże zamajaczyło i zgasło. W dole rzeki pogłębiarka. Przy relingu paliło dwóch mężczyzn, wyłonili się z mgły jakby nią obszyci i zniknęli z powrotem, ich głosy dochodzące ponad nierównym terkotem silnika.

Czerwone światło sterówki stało się wodnistoblade i zgasło. Wiosłował

powoli, czekając, aż mgła się podniesie.

Kiedy wyciągnął liny, okazało się, że niektóre ryby były śnięte.

Odciął linki i patrzył, jak zsuwają się i toną. Wschodzące słońce osuszyło go i ogrzało.

Wrócił przed południem, usiadł na relingu i sprawił złowione ryby.

Przyszedł kot należący do Aba, przycupnął niczym sowa i obserwował

Suttree'ego. Suttree dał mu rybi łeb, a kot, ziewając, obnażył swoje ostre jak brzytwa kły, wziął dar delikatnie i zaczął się wycofywać wzdłuż relingu. Suttree ściągnął skórę z dwóch zębaczy, zawinął je w gazetę, umył nóż i ręce w rzece i wstał.

Idąc w górę rzeki, minął dwóch wędkujących chłopców.

Hej, chłopaki, powiedział.

Zwrócili na niego wielkie oczy.

Dobrze wam idzie?

Ee tam.

Ich spławiki spoczywały spokojnie w brudnej pianie. W oleistych okach wydobywały się na powierzchnię szerokie bąbelki gazu. Fiolety, róże i żółcienie widma spływały i przewalały się w martwym prądzie.

Lubicie łowić ryby?

Nie musim.

To dobrze, powiedział Suttree.

U Aba w domu podał jej ryby przez próg, a ona pokazała mu gestem, żeby wszedł do pokoju. Gęsty odór skisłego piwa i dymu.

Złożyła gazetę z powrotem, stare wiadomości powtórzone w lustrzanym odbiciu na bladym, karbowanym rybim ciele. Wcisnęła czarny palec w mięso.

Gdzie stary?, spytał Suttree.

Tam siedzi. Wejdź.

W najdalszym kącie siedziała olbrzymia, niewyraźna w półmroku postać.

Wejdź, Młody.

Hej.

Siednij. Stara, przynieś mu piwo.

Nic nie chcę.

Daj mu redtopa.

Poczłapała w podartych kapciach dalej, za zasłonkę. Na chwilę pokazało się obrzydliwe słońce. W całym domku, na stole, podłodze i tekturowych reklamach piwa kładły się teraz małe hieroglify świetlne, które dostały się do środka przez szpary albo dziury po sękach.

Kiedy wróciła, pochyliła się nad Suttree'em i postawiła ze stukotem mokrą butelkę na kamiennym stoliku. Skinął jej głową, podniósł flaszkę i zaczął pić. Murzyn, który zmaterializował się teraz w półmroku, wydawał się wypełniać połowę pokoju. Skąd ty jesteś, Młody, powiedział.

Właśnie stąd. Z Knoxville.

Z Knoxville, odpowiedział Ab. Z kochanego miasta Knoxville.

Krzątała się w drugim pokoju. Po chwili wyszła znowu zza zasłony i usiadła na krześle, wspierając nogi wyżej. Natychmiast zasnęła, otwierając niewidzące oko jak drzemiący kot, z otwartymi ustami. Z kapci wystawały jej palce stóp, przypominające stadka ciemnych myszy. Na szerokiej twarzy dwa przecinające się koła, magiczny krąg albo blizna wiedźmy, półksiężycowate fałdy skóry niczym kapłańskie piętno jakiejś królowej z epoki kamienia łupanego.

Krętek obrączkowy. Odczytaj z niego, dlaczego on się przewraca na ulicach. Inna Jena, inny czas.

Suttree siedział w gorącej, małej sali z nagrobkowymi stolikami i popijał piwo. Z butelki wciąż ściekała woda. Stojący w kącie stół do pokera został wytarty, a lampa napełniona. Wszędzie łaziły muchy.

Weźnij jeszcze jedno piwo, Młody.

Suttree przechylił butelkę i osuszył ją. Muszę iść, powiedział.

Murzyn przetarł oczy ogromną ręką. Spisane na niej opowieści o dniach i nocach, blizny, zęby, ucho naderwane w jakiejś dawnej bójce, które przylegało ropuszym guzem z boku do jego ogolonej głowy.

Wpadnijże zaś jeszcze, powiedział.

Wczesnym popołudniem w mieście, sprzedawszy ryby, Suttree zjadł gulasz wołowy w Granny and Hazel's. Spacerował po ulicach, samotna postać. Na Jackson Avenue zobaczył Maggesona w wyświechtanym białym garniturze i słomianym kapeluszu. Król kondomów, rozmazane oczka za wypukłymi szkłami okularów.

Ktoś go zawołał i Suttree się odwrócił. Z zaułka wychodziła właśnie drobna, sprężysta figurka Henry'ego Hogheada, zapowiedziana przez wzlatujące w smutek, słusznie zaniepokojone gołębie, niewrażliwe na przyjazną nonszalancję Hogheada. Wsunął pogniecioną koszulę za spodnie cięciem otwartej dłoni i posłał Suttree'emu krzywy uśmiech.

Kiedy żeś wyszedł?

We wtorek. Brother i Junior wyszli ze mną.

Hoghead wyszczerzył zęby w uśmiechu. Kochany Junior, gliniarze przyprowadzili go jednego wieczoru i oddali pani Long, był prawie kompletnie narąbany i napytał sobie jakiej biedy, nie pamiętam, o co chodziło, a pani Long, mówi, powiedziała glinom: Nie wiem, co z nim jest. Mój najstarszy, Jimmy, nigdy mi nie sprawia żadnych kłopotów.

Następnego wieczoru przyprowadzają Jima.

Suttree uśmiechnął się. Słyszałem, że przedwczoraj starucha do ciebie strzelała.

Stara czarnucha, wariatka. Zrobiła zaś ze cztery dziury w ścianie.

Zestrzeliła obrazek. Schowałem się za kanapą, w niej też przestrzeliła dziurę, a John Clancy gadał, że spod tej kanapy wylazł szczur wielki jak

kot, wystraszył się i zesrał. John leżał na podłodze i powiedział, że ten szczur normalnie po nim przebiegł.

A coś ty tam w ogóle robił?

Aa, zaś nic nie trzeba robić, coby wkurzyć bandę stukniętych czarnuchów.

Wiesz, jak cię nazwała?

Jak?

Głupim białym matkojebcą.

Hoghead uśmiechnął się szeroko. Pisali raz o mnie w gazecie, o każdym blondynie piszą jasnowłosy, no i napisali o mnie, że się odetłem sędziemu, takiemu gówniarzowi, I napisali: powiedział jabłkowłosy młodzieniec.

Suttree wyszczerzył zęby w uśmiechu. Dokąd idziesz?

Tu niedaleko, z paroma dziwkami. Weź chodź ze mną.

Spasuję.

No, ja muszę lecieć. Trzymaj się z dala od pudła, słyszysz?

Słyszę, odpowiedział Suttree.

Kiedy przekroczył próg sklepu Howarda Clevingera na Front Street, jakaś starucha grzebała w koszyku z kapustą, jakby coś w nim zgubiła. Oceanfrog Frazer stał przy drzwiach obitych siatką przeciwowadzią. Poklepał Suttree'ego po żebrach. Jak leci, kochanie.

Hej, odpowiedział Suttree.

Razem przecisnęli się przez drzwi. Na chłodziarce do napojów siedziała błazeńsko wystrojona, czarnoskóra, androgyniczna postać.

Purpurowa koszula z bufiastymi rękawami, pasiaste spodnie w kolorze fuksji i ufarbowane domowym sposobem na ten sam kolor tenisówki.

Złoty, skórzany pas motocyklowy wokół osiej talii. Kapelusz, który wyszedł spod ręki zakokainowanej modystki. Cześć, skarbie, powiedział

Suttree.

Cześć, John.

Trippin Through The Dew, powiedział Oceanfrog.

Cześć, kochanie.

Hej, Frog, zawołał jakiś Murzyn z głębi sklepu.

Czego?

Chodź tu, kochanie. Musimy pogadać.

Nie mam czasu się z tobą pitolić.

Suttree szukał czegoś między bochenkami chleba.

Oceanfrog wziął karton mleka z chłodziarki, otworzył go i zaczął

pić.

Hej, Gatemouth.

Taa, kochanie.

Słyszałżeś, jak go przyskrzyniła stara BL?

Nie, człowieku, co się stało?

Przyszła normalnie w niedzielę, przyskrzyniła go w łóżku z taką jedną starą babą i zaczęła go walić po łbie butem. No to ta stara baba usiadła na łóżku kompletnie goła i wrzasła na nią, powiedziała: Pokaż mu, kochanie, a potem: Sama żem raz miała takiego skurwysyna za męża.

Z ust kolorowej lalki, przycupniętej na wysokości łokcia Oceanfroga, wyrwało się piskliwe rżenie. Umalowane oczy uciekły jej na bok, a czarne, ospałe ręce zaczęły wykonywać takie ruchy, jakby się drapała po łokciach. Oceanfrog, wyglądasz jak łach, powiedziała lalka.

Stary BL jest stuknięty, odezwał się Gatemouth.

Suttree uśmiechnął się, stojąc pod tylną ścianą wśród rdzewiejących pojemników z żywnością. Przeszedł za krzesłem, na którym siedział zwalisty, przypominający wieprza Gatemouth. Cześć, skarbie, powiedział Gatemouth. Co w trawie piszczy?

Cześć, odpowiedział Suttree, przesuwając się w stronę lady z mięsem.

Wywiązała się dyskusja na temat godowych zwyczajów oposów.

Do sklepu wszedł młody Murzyn o imieniu Jabbo.

Cześć, skarbie, zawołał Gatemouth.

Gate City, powiedział Jabbo. Ani to miasto, ani miasteczko.

Spojrzał gniewnie na Trippin Through The Dew. Może byś tak zabrał

swoją pedalską dupę z lodówy.

Ooch, rzekł odmieniec, ześlizgując się na podłogę niczym neonowy węgorz.

Gatemouth gada, że opos nie ma rozdwojonego wacka, obwieścił

Oceanfrog na cały sklep.

Nic takiego żem nie powiedział, odparł Gatemouth. Tylko że nie dyma samicy w nos.

To po co mu rozdwojony wacek?

Bo to jest torbaczowiec, matkojebco.

Oceanfrog zaśmiał się gardłowo. Lśniące niczym płyta nagrobna zęby, koraloworóżowe dziąsła. Ja pierdykam, powiedział. Kompletnie żeś ześwirował przez tych kretynów.

Spytaj się Suttree'ego.

Ja nie wiem, odrzekł Suttree.

On po prostu nie chce, coby cała rzeka się dowiedziała, jaki z ciebie pierdolony kretyn, powiedział Oceanfrog. Przechylił karton i pociągnął długi łyk, wlewając sobie mleko w ciemne gardło.

Co to za jakiś stuknięty matkojebca w tamtym domu, co to się drze na wszystkich?, spytał Jabbo.

Gdzie, skarbie?, zaniepokoiła się królowa Front Street. Jabbo nie zwrócił na niego uwagi. T\i, wyżej, powiedział, wskazując palcem.

Stuknięty matkojebca wrzeszczy takie pojebane rzeczy, co ich normalnie nigdy nie słyszałem.

To tylko stary, stuknięty pastor, powiedział Gatemouth. Drze się cały czas: Czyście skąpane we krwi.

Gada jak pojebany.

Rozwalę mu łeb, jak się ode mnie nie odpieprzy.

Wrzeszczy na wszystkich.

Ja to nie wszyscy.

Jest kaleką.

Kaleką to dopiero będzie.

Muszą wynosić jego gówna i w ogóle.

On sam się wykastrował, powiedział Trippin Through The Dew.

Co zrobił?

Wykastrował się. Brzytwą. Normalnie obciął sobie jaja, złotko, tak słyszałem.

To za mało, coby zostać kaleką.

Trochę musiało boleć, powiedział Oceanfrog.

Był już normalnie kaleką, zanim to zrobił.

Urżnę mu łeb, jak nie przestanie wydzierać na mnie mordy, powiedział Jabbo.

Suttree schylił się pod długą spiralą pełnego martwych much lepu, zwieszającego się z sufitu, i podszedł do lady ze swoimi zakupami.

Co jeszcze?, spytał Howard.

To wszystko.

Howard skrobał ołówkiem na kawałku papieru.

Czterdzieści dwa centy.

Suttree wygrzebał monety z dżinsów.

Gdzie idziesz, Sut?

Do domu.

Jasne. Akurat. Skoczysz tu gdzie w bok i zakisisz ogóra.

Suttree uśmiechnął się szeroko.

Kochany Suttree, powiedział Oceanfrog. Nic nie potrafi udawać.

Może byś mi tak kogoś podsunął?

Kurde. No to żeś trafił w dychę.

Jego nie interesują czarne facetki. Nie, Suttree?

Suttree spojrzał na Jabbo, ale nie odpowiedział.

Howard wrzucił ostatnie zakupy do torby, którą przesunął w stronę Suttree'ego, a ten wziął ją pod pachę i skinął głową ciemnoskórym obibokom. Na razie, powiedział.

Trzymaj się, powiedział Oceanfrog.

Osiatkowane drzwi zamknęły się z klapnięciem.

Ooch, jaki on ładniutki, powiedział Trippin Through The Dew.

Po kolacji zgasił lampę, siedział w ciemności i przyglądał się światłom na drugim brzegu, które stały w drżącej rzece i przypominały długie różdżki. Od Aba Jonesa dochodziły nad czarną wodą śmiechy, przypominające głosy duchów, starych, martwych rewelersów, snujących nocą wspomnienia. Po chwili wstał, wyszedł i ruszył

nadrzeczną ścieżką do drzwi.

Usiadł w kącie i popijał piwo. Oceanfrog trzymał bank dla właściciela w spokojnym pokerku, Ab spał w drugim pokoju. Suttree słyszał, jak oddycha w ciemności, kiedy przechodził koło jego sypialni w drodze do kabiny za podartą plastikową zasłoną prysznicową, wtedy przystanął, na poły wstrzymując oddech, deski w cuchnącym półmroku jak spryskane zielonkawą fosforescencją, złowrogą pleśnią, która lśniła słabo. Uryna spływała przez galwanizowaną rurę ściekową do dziury w kącie i dalej do rzeki. Jakaś niewielka, wilgotna i blada jaszczurka siedziała na gołym ćwieku, Suttree obsikał ją, a ona, wijąc się, uciekła przez szparę w ścianie. Zapiął spodnie i napluł do rury ściekowej.

Uznając żywotność bakterii, które mogłyby ustawić się w szeregu i skakać niczym łososie w górę i pod prąd, otarł usta, wybrał czysty kawałek ściany i znowu splunął.

Siedział z głową opartą o deski i błądził myślami. Wyżej ćmy przelatywały nad wylotem lampy, tkwiącej w żelaznej ślimacznicy kinkietu, kształt płomienia niezmienny na odbłyśniku, przypominającym okrągłą formę do pieczenia. Czarne grudy na suficie. Gdzie wojują cienie owadów. Odbicie szklanego klosza niczym drżącego jajka, dzielącej się zygoty. Olbrzymich zarodników, stykających się grzbietami i odrywających się od siebie. Zbaczających ku swym osobnym losom w ślepej, molekularnej schizmie. Skoro komórka może być lewoskrętna, to czy nie może mieć wolnej woli? I to też pokrętnej?

W innym kącie pokoju Fred Cash recytował poezję. Suttree usłyszał koniec Signifyin Monkey, a potem balladę o Jake'u Koniobijcy, oszuście bilardowym, który własnym fiutem utorował sobie drogę na północ, do Duluth. Wstał i kupił jeszcze jedno piwo. Doli w kapciach zebrała butelki i poczłapała w milczeniu przez dym i półmrok. Suttree jedną ręką wymacał niewyraźne nazwiska pod kamiennym blatem.

Uratowane od słońca i deszczu. Całe rodziny eksmitowane z grobów w dole rzeki po spiętrzeniu wód. Hidżry na wyżej położone tereny, wozy pełne poobijanych garnków, materacy, małych dzieci. Ojciec powozi, z tyłu biegnie pies. Do zatylnika wozu przywiązane butwiejące skrzynie ubrudzone ziemią, w której spoczywają kości przodków. Na toczonych przez korniki deskach wypisane kredą nazwiska i daty. Ze szpar między deskami sypie się suchy pył, kiedy wóz podskakuje na wybojach...

Karty zaszeptały przy stole, zastukały flaszki. Pod podłogą stłumione dudnienie przetaczanej beczki. Doli kołysała się i zachrapała na swoim fotelu z kotem na kolanach, a za małym oknem domek na barce w cieniu świateł miasta płynął mrocznie po rzece wśród zmatowiałych gwiazd.

Łagodna obsesja na punkcie własnej wyjątkowości zakłócała wszystkie jego sny. Widział swojego brata w powijakach, z wyciągniętymi rękami, czuł zapach mirry i lilii. Ale kiedy o szemrzącej południowej godzinie przewracał się na łóżku z boku na bok, zawołał go głos Gene'a Harrogate^. Ręka Harrogate'a wyciągnięta w błagalnym geście nad tylnym zderzakiem ciężarówki, twarz niczym wafel wciśnięta w drucianą siatkę, wołanie.

Suttree usiadł jak pijany. Włosy lepiły mu się do głowy, a po policzkach ściekały paciorki potu.

Hej, Sut.

Chwileczkę.

Wciągnął spodnie, podszedł chwiejnie do drzwi i zamaszyście je otworzył. W progu stał w swoim roboczym ubraniu Harrogate z szaleńczym błyskiem w oku, rozjarzona chuda twarz, wątła, drżąca zjawa, niemal nierealna w skwarze dnia.

Siemasz, Sut?

Oparł się o framugę, osłaniając ręką oczy. Boże, powiedział.

Spałeś czy jak?

Suttree o krok cofnął się w cień. Nie oderwał ręki od twarzy.

Kiedy wyszedłeś?

Harrogate wszedł do środka z typowym dlań wiejskim szacunkiem, rozglądając się wokół. Już jakiś czas temu nazad.

Jak mnie znalazłeś?

Rozpytywałem się. Najpierw poszłem do tej młodej. Mieszkają tam czarnuchy. Ona mi powiedziała, gdzieżeś jest. Rozejrzał się po niewielkiej kabinie. Tamci też leżeli w łóżku, powiedział. Jejku.

Zaczekaj chwilę, odezwał się Suttree.

Co?

Obrócił Harrogate'a do okiennego światła. Co ty masz na sobie?, spytał.

Harrogate zaszurał nogami i pomachał rękami. Aa, powiedział.

Normalnie stare ciuchy.

Wystroili cię w nie w domu pracy?

Taa. Zgubili to ubranie, com je dostał w szpitalu. Nie wyglądam śmiesznie, co?

Nie. Wyglądasz dziwacznie. Przyciągnął go bliżej. Co to jest?

Harrogate podniósł ręce. Nie wiem, odparł.

Suttree obracał go w koło. Dobry Boże, powiedział.

Koszula zrobiona była z olbrzymich pasiastych kalesonów, szyja Harrogate'a wystawała przez rozerwany w szwie rozporek, a jego patykowate ramiona wisiały w szerokich nogawkach.

Jaki rozmiar nosisz?

Znaczy się czego?

W ogóle. Zacznijmy od koszuli.

Mały noszę.

Mały.

Taa.

Zdejmuj to paskudztwo.

Ściągnął koszulę niczym skórkę z owocu i został w za dużych portkach, jakie noszą cukiernicy, o mankietach podwiniętych niemal po kolana.

Dlaczego, do cholery, nie obciąłeś nogawic?

Harrogate rozstawił nogi i spojrzał w dół. Może jeszcze żem nie przestał rosnąć, powiedział.

Zdejmuj to.

Opuścił spodnie na podłogę i został nago, jeśli nie liczyć butów.

Suttree podniósł spodnie, oberżnął nogawki swoim nożem rybackim, ze stopę albo więcej, a potem przeszukał komodę i znalazł jakąś koszulę.

Buty mam swoje, powiedział Harrogate.

Suttree spojrzał w dół na jego olbrzymie trampki. To pewnie ci stopy urosną jeszcze o jakieś cztery albo pięć cali, powiedział.

Nie cierpię za ciasnych butów, odparł Harrogate.

Masz, przymierz tę koszulę. I wywróć portki na drugą stronę, żeby nie było widać pasów.

Okej.

Kiedy się ubrał, wyglądał mniej jak klaun, a bardziej jak uchodźca.

Suttree pokręcił głową.

Postrzelili mnie w podeszwę buta, powiedział Harrogate. Podniósł

jedną nogę.

Gene, powiedział Suttree. Co zamierzasz?

Nie wiem. Chyba se znajdę jaki kąt na mieście.

Dlaczego nie wrócisz do domu?

Nie wracam na tą wiochę. W mieście mi się podoba.

Mógłbyś tu zawsze przyjeżdżać, kiedy tylko miałbyś na to ochotę.

Ee tam. Do diabła, Sut, ja teraz jestem mieszczuch.

Gdzie będziesz mieszkał?

No. Myślałżem, że może ty znasz jakie miejsce.

Tak myślałeś.

Ten stary pierdziel uwił se galante gniazdko pod mostem. Tam nikt nigdy by człowieka nie znalazł.

To może wprowadziłbyś się pod most na drugim brzegu?

Oglądałżem to miejsce, ale wychodzi na drogę i nie ma spokoju.

Poza tym niedaleko mieszkają czarnuchy.

Ach tak, powiedział Suttree. Czarnuchy.

Nie znasz jeszcze czego?

A może pod wiaduktem? Byłeś tam?

Gdzie to jest?

Stąd go dobrze widać. Widzisz?

Harrogate spojrzał w kierunku, który wskazywał palec Suttree'ego, i wyjrzał przez otwarte drzwi na miasto, gdzie nad First Creek stała okrakiem mała replika mostu na rzece.

Miarkujesz, że nie jest zajęte?

Nie wiem. Może jest tam aż ciasno od ludzisków. Czemu nie pójdziesz zobaczyć?

Harrogate wstał z łóżka, na którym siedział. Niecierpliwił się, chciał już iść. Niech to piekło pochłonie, powiedział. Galancie bym się urządził, jakby nie było zajęte, co nie? Wiesz, przecie to w centrumie i w ogóle.

No pewnie, odparł Suttree.

Wiadukt przerzucony był nad zarośniętą niczym dżungla gardzielą, pełną gruzu i złomu. Stało tam też parę kontenerów, zamieszkanych przez murzyńskich włóczęgów, a na tym marniejącym pustkowiu wiła się wśród octowatego i jadowitego sumaka nitka ciemnych, trędowatych wód First Creek. Miejsca, gdzie dotarła wysoka woda, znaczyły plamy oleju i ścieków oraz kondomy, dyndające na gałęziach niczym zabłąkane pijawki. Harrogate szedł przez tę zapuszczoną, bajkową krainę w kierunku ostatnich betonowych łuków wiaduktu, tam gdzie wchodziły w ziemię. Wkroczył pod nie ostrożnie, strzelając wokół

oczami. Nikogo nie było. Ziemia okazała się chłodna, naga i sucha. Tu parę kości. Odłamki szkła. Kilka samotnych psich kup. Dwa pogięte i zmaltretowane parkometry, oblepione pecynami betonu wokół swoich korzeni.

Jejku, szepnął Harrogate.

Zauważył przypominającą bunkier betonową klitkę, pełną rur i przewodów, gdzie można było trzymać różne rzeczy, a że wokół rosły gęsto chaszcze, trudno byłoby znaleźć bardziej odludne miejsce.

Harrogate przykucnął, objął się rękami pod kolana i zaczął uważnie rozglądać. Obserwował gołębie, latające tam i z powrotem pod wysokimi łukami, i przyglądał się labiryntowi chat po drugiej stronie nasypu kolejowego, jakby wiszących w jarzmie eterycznych brygad podartego, poszarzałego prania. Ciemne, niemal pionowe ogrody widoczne wśród blaszanych albo krytych papą dachów i ogromnych sieci japońskiego powoju kudzu na uschłych drzewach.

Z nadejściem wieczoru Harrogate zgromadził już parę skrzyń, zestawił je, tworząc coś w rodzaju ściany magazynowej, zbudował

palenisko ze starych cegieł i wypatrzył kilka innych przedmiotów, które mu były potrzebne, ale które mógł zdobyć dopiero po zapadnięciu zmroku. Wtedy ruszył do miasta i powyciągał ze śmietników puszki, mające mu posłużyć jako garnki. Przywłaszczył sobie materac z kanapy, stojącej na czyimś ganku. I wszystkie lampy o okrągłych, czerwonych kloszach, które wyciągnął z wykopu, gdzie prowadzono roboty wodociągowe.

Długo siedział jeszcze przy ogniu, kiedy ugotował i zjadł już warzywa, zwędzone z ogródków na drugim brzegu strumienia. Jego mała jaskinia świeciła piekielnym, czerwonym światłem lamp budowlanych, a Harrogate położył się na materacu, podrapał i zaczął

dłubać w zębach długim, żółtym paznokciem.

Kiedy następnego popołudnia Suttree odwiedził go w drodze na targowisko, mieszczuch właśnie wrócił. Szerokim gestem zaprosił

gościa do środka. Jak ci się widzi, Sut?

Suttree rozejrzał się, kręcąc głową.

Mnie się zaś podoba, bo jest tu kupa miejsca. A tobie?

Lepiej pozbądź się tych parkometrów, powiedział Suttree.

Taa. Wezmę zaciągnę je wieczorem do strumienia.

Co tu jest? Suttree zajrzał do betonowej klitki.

Nie wiem. Ale to galanty schowek na różne rzeczy, nie?

W górze, pod sklepieniem wiaduktu, rozległy się głuchy trzask i gwałtowne trzepotanie skrzydeł.

Jasny gwint, powiedział Harrogate, klepiąc się po udzie.

Z góry niezdarnie zleciał z łopotem gołąb, który wylądował na ziemi, chwiejąc się i podskakując. Na szyi miał zaciśniętą pułapkę na szczury.

To już będzie trzeci, powiedział Harrogate, biegnąc, by złapać ptaka.

Suttree śledził go wzrokiem. Harrogate zdjął pułapkę, wspiął się na sklepione podwozie wiaduktu i znów ją nastawił. Potem jedną ręką przysypał pułapkę garścią ziarna. Jejku, powiedział grobowym głosem.

Te skurwisyny są naprawdę głupie.

Co chcesz z nimi zrobić?

Dwa mam już tam w garnku, duszą się z pyrami i nie tylko, ale jak tak dalej pójdzie, zacznę je przedawać.

Komu?

Harrogate zeskoczył na dół, spod jego trampek uniosły się pióropusze kurzu. Otarł spodnie rękami. Czarnuchom, powiedział.

Kurde, one wszystko kupią.

No tak, powiedział Suttree. Zamierzałem cię zapytać, czy nie chcesz trochę ryby, ale na jakiś czas masz chyba dość jedzenia.

Cholera, weź zjedz ze mną dzisiaj kolację. Starczy dla dwóch.

Suttree spojrzał na bezwładnego, puchatego ptaka i jego różowe łapki. Dzięki, odpowiedział, ale raczej nie. Skinął głową, wskazując materac Harrogate'a. Nie powinieneś kłaść materaca bezpośrednio na ziemi, powiedział.

Właśnie żem chciał z tobą o tym pogadać. Mam oko na parę sprężyn tu niedaleko nad strumieniem, ale sam ich nie dostanę.

Suttree wcisnął swoje ryby pod pachę. Wpadnę później, powiedział. Muszę iść do miasta.

A ja muszę wykombinować też coś, coby mi tu psy nie włazili.

No tak.

Jak zajrzysz następną razą, wszystko już będzie galancie wyrychtowane.

Okej.

Jak się mieszka w centrumie, można znaleźć prawie wszystko, co człowiekowi potrzeba.

Nie zapomnij o tych parkometrach.

Taa. Okej.

Suttree po raz ostatni rozejrzał się wokół, pokręcił głową i wyszedł przez chaszcze w świat.

8

W ciepłe niedzielne przedpołudnie wyprawił się w dół rzeki, na przemian wiosłując i płynąc z prądem. Nie sprawdzał swoich linek połowowych. Przepłynął pod mostem i skręcił w cień urwistych brzegów, krople spadały z ociekających wodą wioseł do ciemnej rzeki jak kamienie do studni. Minął ostatni most i opłynął zakole wśród spokojnej roli, wysokie pola, nachylone na zboczach, i żyzna, zorana ziemia w płatach czarnych fałd w otoczeniu zieleniących się lasów niewielkich sadów uprawnych, obrazki obfitości z ilustrowanych bajek, naklejone na znane mu pustkowie, rzeka niczym olbrzymia przywra wywijała się z miasta coraz niżej, ciężko wzbierając trującymi wyziewami na wysokości pięknych domów na północnym brzegu. Od czasu do czasu Suttree odpoczywał, wspierając się na wiosłach, by z tego nowego punktu obserwacyjnego oglądać dawne sceny z dzieciństwa, ogrody, które znał teraz albo kiedyś.

Przyjrzał się wnętrzu wyspy, wąskiemu strumieniowi wody, który napędzał niegdyś lekki młyn starego Holendra i pod którym spoczywały dziś omszałe ruiny budowli, betonowe słupy, łożyska ślizgowe i rdzewiejące osie. Trzymał się płycizny. Muł podnosił się i zalewał

trzciny, a niewielkie ławice umęczonych złotośledzi koloru mosiądzu pobłyskiwały, uciekając w ciemność. Wsparł się na ociekających wodą wiosłach, obserwując przybrzeżne orlice. Małe żółwie malowane spadały z pniaka do wody jeden za drugim niczym odliczane przez kogoś monety.

Pogrzebane w Suttree'em dziecko wędrowało tędy pewnego lata w towarzystwie starego łowcy żółwi, poruszającego się w trzcinach jak kot i pokazującego ręką, że trzeba być cicho. Najpierw wycelował palec, a potem długi żelazny karabin o kolbie z drewna jabłoni. Strzelba krzyknęła nad rzeką, a echo przypłynęło z powrotem w szarym dymie siarki i koksowego pyłu. Kula przypłaszczyła się na wodzie, odbiła od niej i urwała cały łeb żółwiowi w kłębach mózgowej papki i drobinek kości.

Pomarszczona, pusta skóra zwisała zwierzęciu z szyi jak rozerwana skarpeta. Myśliwy podniósł żółwia za ogon i położył na błotnistym brzegu. W tylnej części karbowanej skorupy zwieszał się jakiś zielony grzyb. Nieciekawe, niedostępne stworzenie jak ze snu, wyciekająca z niego ciemna krew.

Czy one w ogóle toną?

Łowca żółwi nabił karabin, sięgając do pożółkłego rogu, i wsunął

nową kulę do lufy. Zaryglował zamek, opierając broń na zgiętej w łokciu ręce.

Jedne tak, insze nie. A tera cichaj, zara będzie następny.

Co pan z nimi robi?

Na zupę przedaję. Albo na co inszego. Chłopiec przyglądał się martwej powierzchni wody. Można je jeść z kluskami, jak kto ma chęć.

To siedem rodzajów mięsa w jednym.

A co jedzą żółwie?

Paluchy u nóg ludzisków, co nie uważają, jak brodzą. Widzisz zaś tego młodego?

Gdzie?

Tam pode wierzbami.

Tam?

Nie pokazywuj palicem, spłoszysz go.

Pan pokazywał.

Ino że tamten miał zamknięte oczy. Cichaj.

Otworzył oczy. Z kępy turzycy wzbiły się drozdy, krzycząc piskliwie. Chwycił znów wiosła, spłynął przesmykiem na główną odnogę, łódź pozostawiała za sobą kleisty ślad na rzece, a uderzenia wioseł rozbrzmiewały mlaskaniem w niemrawych wirach. Odbił w kierunku południowego brzegu, żeby ściąć zakole, i przez linię cienia wpłynął w chłodniejszy wiatr. Strome, żebrowane wapienne klify wznosiły się pionowo i były usiane jaskiniami, skąd małe ptaszki o rozdwojonych ogonach wyruszały w niebo, sięgające błękitem bez jednego pyłku aż samego słońca.

Tu, na dole, rzeka zaczynała się rozszerzać w rozlewisko.

Piaszczyste ławice, pokryte otworami i szczelinami, przypominającymi przetchlinki i wyglądającymi jak wielkie połcie zaatakowanej przez motylicę wątroby, i kolonia kikutów pni niczym wyrzucone na brzeg kałamarnice, wysychające w słońcu na szary kolor. Martwy brzeg, którym spokojnie wędrowały sztywno wyprostowane wrony, mrugając oczami, połyskliwe jak czarne, szklane ptaki, kroczące od jednego do drugiego kawałka osiadłej na mieliźnie padliny. Suttree wciągnął wiosła na pokład, dał się znieść wodzie na brzeg i stał, kołysząc się i łapiąc równowagę, kiedy dziób łodzi zazgrzytał o szlam. Z łatwością wyszedł

na brzeg z liną w ręku i przywiązał łódź do korzenia na półsztyk.

Przeszedł przez wysoką trawę i ruszył w górę zbocza, podpierając się rękami w świeżej darni, aż wreszcie wyszedł na grań i odwrócił się, żeby popatrzeć na rzekę i leżące dalej miasto, obrzucić ponurym spojrzeniem ten urozmaicony świat, szachownicę ziemi ornej, domy, pochyloną pod dziwnym kątem niewielką metropolię na tle zieleni, kwitnące wzgórza i płaski łuk rzeki, przypominający kręty okop zasypany matowym żużlem, wyjąwszy miejsca, gdzie jej powierzchnię żłobił wiatr i gdzie nieznacznie połyskiwała w słońcu. Ruszył granią nad urwiskami przez targane wiatrem trawy, podchodząc ptaszki, które podrywały się i zawisały na nieruchomych skrzydłach nad przepaścią.

Na polu w kłębach pyłu pracował wyglądający jak zabawka traktor.

Wyspę na dole otaczał pierścień mułu. Suttree strącił łupek do rzeki.

Obracał się, błysnął, zniknął. Zszedł na dół gęsto porośniętym trawą wąwozem i pomaszerował dalej, wydeptując ciernisty, wiklinowy bród, porośnięty czarnymi jagodami, przeszedł pod ścianą wzgórza, mijając przylądek zajęty przez stary dwór, relikt wielkiego imperium, który stał

łuszczący się, obdarty i gnijący w zagajniku powyżej rzeki i dumał nad przemijającym światem, przyglądając mu się nieruchomymi, powybijanymi kamieniami otworami okiennymi.

Przemierzał dalej wysoką, pagórkowatą krainę nad rzeką. Dwie mewy ciągnęły swoje blade kształty w cienistym spokoju pod urwiskiem, a daleko w dole rzeki zobaczył wzbijającego się bardzo wysoko rybołowa, który zawisł nad odległymi burzowymi chmurami, a słońce odbiło się czystą bielą od jego brzucha i skrzydeł od spodu.

Widywał, jak rybołowy składają skrzydła i spadają na dół niczym kamienie, i został, żeby obserwować ptaka, dopóki nie zniknął.

Ścieżka, którą szedł, wiła się pośród wzgórz w trawie i jeżynach, po czym biegła na przełaj ku niższym brzegom rzeki. Skręciła na długą, ilastą ławicę, weszła w las. Kiedy znów trafił na rzekę, znalazł się nad martwym, wezbranym rozlewiskiem pełnym zatoczek i bagien, gdzie szlam i piana pokrywały unoszące się na powierzchni słoje i butelki i gdzie z kołyszących się powoli śmieci wyglądały żarówki niczym wielkie, puste oczy. Szedł wąską ścieżką, mijając rybaków, staruszki, mężczyzn i chłopców. Cynkowane wiaderka na drobnicę wisiały przywiązane do kołków nad samą wodą, a w cieniu stały piknikowe koszyki. Jakaś dziewczynka przykucnęła, zadarłszy spódnicę, i przyglądała się, jak między jej ochlapanymi łydkami ciurka mocz, spływający dalej po twardej glinie. Starcy z powagą pozdrawiali przechodzącego obok Suttree'ego skinieniem głowy. Witam. Witam.

Dobrze idzie, biorą?

Szedł mulistą plażą, pełną kamyków, oblepionych muszelkami, usłaną pajęczymi motkami cienkiej, nylonowej żyłki wędkarskiej, splątanych haczyków, wysuszonych rybek na przynętę i drobnych rybich kręgosłupów, zmiażdżonych wśród skał. Czubkami butów wydłubywał

puszki z ich odlewniczych form w ile, gdzie w słonecznych męczarniach cicho zwijały się i prężyły ślimaki. Ścieżka wznosiła się pod ścianą z purpurowego piaskowca nad zatoką, a na płyciznach w dole Suttree widział długie, opancerzone belony, dryfujące wśród trzcin w chwili jakby elektrycznego wypoczynku. Przelatywały nad nimi cienie ptaków, ale ryby się nie poruszały. Suttree oparł się o ścianę kruchej skały i obserwował je. Jedna belona płynęła powoli, marszcząc powierzchnię wody, zdążając między wierzby. Światło odbite od jej matowego boku wyglądało niczym spalony mosiądz. Pozostałe trzy leżały w wodzie jak psy, ciężkie kształty prymitywnej drapieżności, pławiące się w słońcu.

Suttree ruszył dalej. U wylotu zatoczki leżał zwinięty w kłębek, śpiący w wysuszonych resztkach jakiejś łodzi, rozdęty heterodon płaskonosy o pysku przypominającym świński ryj.

Ścieżka prowadziła na równię, gdzie stał autobus obozu biblijnego, a ludzie brnęli w wodzie kompletnie ubrani. Suttree zszedł po trawiastym zboczu między widzów i usiadł. Pastor w koszuli, bez marynarki, stał po pas w wodzie i trzymał jakąś młodą dziewczynę za nos. Skończył swoją melorecytację, pociągnął dziewczynę do tyłu, zanurzył ją w rzece, przez chwilę przytrzymał, po czym wyciągnął z powrotem. Zawstydzona dziewczyna ociekała wodą i przetarła oczy.

Pastor uśmiechnął się szeroko. Suttree przysunął się bliżej, żeby lepiej widzieć. Jakiś starzec pozdrowił go skinieniem głowy.

Witam.

Witam.

Dziewczyna nie miała nic pod cienką, przemoczoną sukienką, która przylgnęła lubieżnie do jej zziębniętych piersi, brzucha i ud.

Zbawionyś?, spytał starzec.

Suttree przyjrzał się mu, a on odwzajemnił spojrzenie nieprzejrzystymi, dymnymi oczami.

Nie, odrzekł.

Starzec odkręcił słój ciemnobrązowej brei, który trzymał na kolanach, splunął do niego, zakręcił słój i otarł usta. Gadasz, że nie?

Nie, odpowiedział Suttree. Obserwował dziewczynę, która gramoliła się z powrotem na brzeg.

Starzec trącił siedzącego obok leciwego mężczyznę. Jest tu jeden niezbawiony. Sam tak mówi.

Drugi starzec spojrzał na Suttree'ego ponad ramieniem sąsiada.

Ten?

Tak jest.

Chrzczony?

Chrzczonyś?

Skropili mi tylko głowę.

Gada, że skropili mu tylko głowę.

To na nic. Chrzest się nie przyjmie, jak się cały nie zanurzysz.

Samo kropienie nic nie daje, koleżko.

Pierwszy starzec trącił Suttree'ego, On ci dobrze radzi, odezwał

się. Sam jest świeckim pastorem.

Kropidlarze, powiedział z obrzydzeniem świecki pastor. Wolałbym żyć tak dalej i normalnie być zaś poganinem. Odwrócił się. Miał na sobie miękkie, niebieskie ogrodniczki i był bardzo schludny. Pierwszy starzec ponownie przyjrzał się Suttree'emu. Suttree patrzył na pastora w rzece.

Powiedz mu, coby zeszedł na dół do wody, jak chce być zbawiony, powiedział drugi starzec. Przyłożył jedną rękę do ust, a mięśnie twarzy zagrały mu pod skórą.

Nie starczy, że wnijdziesz do wody, cobyś był zbawiony, odezwał

się pierwszy. Trza cię jeszcze uratować, znaczy zbawić.

Suttree obejrzał się i popatrzył na niego. Można zdjąć buty?, spytał.

Drugi starzec nachylił się, żeby go lepiej zobaczyć. Chrystus nie miał butów, powiedział.

Pierwszy machnął ręką, nakazując milczenie. Zwrócił się do Suttree'ego. Butów moczyć nie trza, powiedział. Człek może pokutować obuty albo na boso. Chrystusowi zajedno.

Co myślisz o papieżu i całym tym bałaganie?, spytał Suttree.

Zaś z całych sił staram się w ogólności o tym nie myśleć, powiedział starzec. Wyrzucił nagle rękę w górę w tak gwałtownym pozdrowieniu, że ludzie odsunęli się od niego.

To Rosy, córka mojego bratanka. Skończyła właśnie cztyrnaście roków i jest zbawiona jako się należy. Takie rzeczy skłaniają człeka do myślenia o wyrokach boskich, co nie? Wiele liczysz sobie wiosen, synu?

Sporo, odrzekł Suttree.

No, nie frasuj się. Ja miałem siedemdziesiąt i sześć, nim żem ujrzał

światło Pana i odnalazł drogę.

A ile masz teraz?

Siedemdziesiąt i sześć. Strasznie dużo żem chlał.

I mnie się zdarzało.

Starzec zerknął na Suttree’ego raz jeszcze. Suttree rozejrzał się, a potem nachylił do jego ucha. Nie masz przypadkiem gdzieś schowanego łyczka, co?

Starzec przewrócił oczami w jakby obwiedzionych szwami oczodołach. O Boże, nie, powiedział. Ja żem to całkiem rzucił. Boże, nie mógłbym mieć nic takiego.

No tak, powiedział Suttree.

Odsunął się trochę i odwrócił, żeby obserwować ceremonię. Córka bratanka starca uśmiechała się do ludzi na brzegu. Niektórzy machali.

Drugi starzec nachylił się bliżej i szturchnął Suttree’ego grubym paluchem. Jazda, powiedział. Właź do wody.

Jej kolej, powiedział Suttree, wskazując dziewczynę.

To córa mojego bratanka, powiedział starzec, machając w kierunku wody, w której się zanurzyła.

Dwie kobiety siedzące przed nimi na trawie odwracały się, rzucając spojrzenia na rozmówców. Suttree uśmiechnął się w odpowiedzi. Dalej na brzegu ludzie rozpakowywali kanapki i otwierali napoje chłodzące. Na ziemi leżała rozwalona otyła kobieta, a jej obwisłego, ogromnego cyca uwiesiło się dziecko.

Powiedz mu, coby przyszedł dzisiaj na spotkanie, odezwał się drugi mężczyzna.

Przyjdź dzisiaj na spotkanie, powiedział pierwszy.

Dokąd?

Namiot ewangeliczny kapkę dalej, tam, przy szosie. Nie widziałżeś go?

Nie.

Boże, przecie jest wielki. Przyjdźże na spotkanie. Zaprosili wielebnego Billy'ego Byingtona i będą też Sunrise Singers.

Naprawdę?

A jakże. Ci, co można ich posłuchać na WNOX.

Kobiety odwracały się, popatrując na nich spode łba.

Starzec odkręcił słój, znów do niego splunął i pochylił się.

Przyjdźże wieczorem, powiedział. Doszły mnie słuchy, że może przyjedzie May Maude. Ta, co to śpiewa po staremu, z nutów.

Do wody jak lunatyk wchodził właśnie jakiś mężczyzna. Ręce miał

wyciągnięte przed siebie, na wpół przymknięte oczy i w kółko podśpiewywał coś niezrozumiale. Pastor zrobił krok w jego stronę, bo mężczyzna szedł bardzo niepewnie, i uśmiechnął się z czymś w rodzaju pełnej powagi łagodności. Przyjaciele na brzegu zdawali się kołysać razem z nim. Nowy kandydat zamachał rękami, szeroko otwierając wystraszone oczy. Pastor rzucił się naprzód, wyciągając ręce.

Mężczyzna wyprostował się i skoczył, mocząc połę marynarki, próbując chwycić pastora, a potem nagle przewrócił się na bok z przeciągłym jękiem. Gapie na brzegu zesztywnieli. Ręce mężczyzny wirowały wściekle w powietrzu, a później błagalnik zniknął im z oczu niczym pijany dyrygent.

Suttree pokręcił głową. Starzec posłał mu krzywy uśmieszek, kąciki ust miał sklejone czarną śliną.

Pastor jedną ręką błogosławił zmąconą wodę, a drugą po omacku szukał w niej mężczyzny.

Suttree zachichotał. Obie kobiety wstały jednocześnie i odeszły dalej na trawę. Mężczyzna, który im towarzyszył, ale mimo to dobrze się bawił, odwrócił się i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Chłopaki, powiedział, ten chrzest pewnikiem się przyjmie, o ile go nie zabije.

Pastor wyciągnął za kołnierz mężczyznę, który prychał, zataczał

się i sprawiał wrażenie na wpół obłąkanego. Chrzciciel przytrzymał go, położył mu rękę na czole i zaintonował modlitwę na okazję chrztu.

Suttree wstał i otrzepał spodnie z trawy.

Toż chyba się jeszcze nie zbierasz, co?, spytał starzec.

Owszem, jak cholera, odpowiedział Suttree.

Lepiej wnijdź do tej rzeki, tam właśnie lepiej wnijdź, powiedział

ten w ogrodniczkach. Ale Suttree rzekę już dobrze znał i odwrócił się plecami do tych fałszywców, i poszedł dalej.

Powędrował ścieżką w górę rzeki, sunąc miarowo w słońcu, przeszedł bagno po kładce z drewna przyniesionego przez wodę i obszedł rozlewisko wpadającego do rzeki z lewej strony, mniejszego dopływu. Była to dzika rzeka, która zieleniała coraz bardziej, im dłużej szedł jej brzegiem, aż wreszcie przybrała kolor mętnego jadeitu.

Przysiadł, żeby odpocząć na brudnym pniu, i patrzył, jak płynie. Wśród pałek wąskolistnych pływały węże wodne, a ptak zwany bąkiem trzymał

straż na jednej nodze. Na drugim brzegu pojawił się pies z wywieszonym z gorąca jęzorem, truchtając apatycznie, co oznaczało, że ma jeszcze przed sobą męczącą drogę. Suttree gwizdnął na niego, pies spojrzał w jego stronę i pobiegł dalej. Podążając w górę rzeki, roztrącał

łodygi trzcin bagiennych, spośród których wypływały niewidoczne gniazdujące tam ryby.

Suttree wstał. Bąk odleciał. Suttree szedł dalej, aż dotarł do wiejskiej drogi. W marszu było mu gorąco, toteż nie spieszył się. Po pewnym czasie przystanął przed niewielkim domem.

Wszedł na ganek i zapukał do drzwi. Na werandzie stały świeżo pomalowane skrzynki z kwiatami, przebijającymi się właśnie przez ilastą

glebę, w której rosły, a wokół okapu wisiały w powietrzu osy.

Drzwi się otworzyły i wyjrzała z nich drobna, starsza kobiecina. Tak, powiedziała.

Dzień dobry, ciociu Martho.

Pchnęła drzwi z siatką przeciwowadzią. Boże bądź miłościw, powiedziała. Buddy? Ależ tak, Buddy.

Jak się masz?

O boże, odpowiedziała. Była maleńka i wątła, a ręka, którą do niego wyciągnęła, drżała niczym ptak. Wejdź, powiedziała.

Gdzie Clayton?

Śpi. Zjadł wielki obiad i śpi. O mój boże, ale się ucieszy.

Weszli w chłodny półmrok pokoju, a Martha wzięła Suttree'ego pod rękę, jak ślepca albo jak ślepiec. Poczuł aromatyczną woń niedzielnego południowego posiłku. Nie spuszczała z niego oczu.

Jadłżeś?, spytała.

Jadłem późne śniadanie.

Weszli do kuchni, gdzie na stole ciągle stały naczynia. Dalej ciągnęła się oszklona weranda, zastawiona bujnie rosnącymi roślinami, a ciepłe słońce padało przez szybę na podłogę i stół.

Siednij, Buddy, powiedziała, przebierając wyciągniętymi do niego rączkami lalki. Zaraz podgrzeję ci obiad.

Nie rób sobie kłopotu, ciociu. Wstąpiłem tylko na chwilę.

Żaden kłopot. Siednij tylko. Chcesz szklankę mleka?

Tak, poproszę, z największą przyjemnością.

Zaraz naszykuję też mrożoną herbatę. Boże, myślałam o tobie dzisiaj przez cały ranek.

Suttree wyciągnął nogi pod stołem. Przyniosła butelkę mleka z lodówki i wysoką szklankę, którą napełniała, idąc i nie przestając mówić.

Porządkowałam różne starocie, zaczęłam przeglądać stare albumy i zdjęcia i pomyślałam o tobie.

Odstawił na wpół opróżnioną szklankę na stół, sapnął i otarł czoło wierzchem dłoni. Martha znowu napełniła szklankę. Chciałabym, cobyś częściej nas odwiedzał, Buddy. Czemu chcesz być taki okrutny?

Gdzie są te zdjęcia?

Tutaj. Chcesz obejrzeć?

Jeżeli są pod ręką. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Skąd, leżą tutaj.

Wypił mleko do końca i wyjrzał na kwiaty i słońce. Martha przyniosła dwa stare, oprawne w skórę albumy fotograficzne i niebieskie pudełko po butach. Położyła wszystko na stole, po czym odsunęła pudełko na bok, żeby zrobić miejsce, i otworzyła pierwszy album. Dalej, przejrzyj je sobie, a ja podgrzeję ten obiad.

Wziął ją za rękę. Była szczupła, drobnokoścista i chłodna. Nie mógłbym nic przełknąć, powiedział.

Szkoda.

Rozejrzał się wokół. Daj mi tylko kawałek tego ciasta.

Lepiej zjedz coś konkretnego.

Nie.

Podniosła pękniętą szklaną pokrywę, odkroiła ciężki kawał

spoczywającego pod nią ciasta czekoladowego, położyła go na talerzyku i postawiła przed nim.

Pochylał się nad albumem, stając oko w oko z członkami swojej rodziny. Kto to jest?, zapytał.

Oparła dłoń na jego ramieniu i też przyjrzała się fotografii. Boże, powiedziała, mus mi wziąć okulary, nic nie widzę.

Jakaś sędziwa kobieta leży z rozkrzyżowanymi nogami na łóżku, wychudłe ręce po bokach, twarz jak uwędzona. Jest łysa, jeśli nie liczyć paru pasemek włosów z lewej i prawej strony, leżących naprzeciwko siebie na poduszce jak długie, blade rożki.

Wróciła z okularami i pochyliła się nad zdjęciem. To ciocia Liz zaraz przed śmiercią. Prawie całkiem jej się wyłysiało. A ten tutaj to Roy, jak był malutki.

Ferrotyp odchodzący od rogów stronicy. Kruszynka w marynarskim ubranku, diabelska karykatura minionych dzieciństw, ohydny komiksowy kadr.

Powolne dłonie starej kobiety wybrały luźny pakiet wyblakłych, brązowych zdjęć, okulary zsuwają się jej z nosa, kiedy kiwa głową, rozpoznając postaci na fotografiach. Musi wsunąć okulary z powrotem, palcem, tasując te kartoniki, papierki i blaszki z obrazkami. Wyglądają jak nadpalone, wysuszone w przewodzie kominowym. Patrzą z nich ponure, nieprzytomne oczy. Dzieci na zdjęciach sprawiają złowrogie wrażenie niczym owoce zakazanych związków.

Kto to jest?

To wuj Carter. Przystojniak, co nie?

A ten chłopczyk tutaj?

To John.

Nachylił się bliżej, żeby zobaczyć, czy coś zostało z tej twarzy w twarzy, którą znał.

Musiało być zrobione gdzieś koło dziewięćset dziesiątego.

Boże, pewno tak. Nie wiem. A to Helen.

Od jak dawna wujek Carter nie żyje?

Spojrzała wysoko na przeciwległą ścianę kuchni, jak gdyby się spodziewała, że tam zapisana jest odpowiedź. Umarł w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym. Zgadnij, kto to jest, powiedziała, pokazując palcem.

Spojrzał na ciemnooką dziewczynę. Było to bardzo stare zdjęcie.

Gdy popatrzył na ciocię Marthę, zasłaniała jedną ręką usta i przyglądała się fotografii bojaźliwym, tęsknym wzrokiem. Suttree powiedział: To ty, ciociu.

Szturchnęła go w ramię. A kysz, powiedziała. Skądżeś wiedział, że ja?

Bo ta dziewczyna jest do ciebie podobna.

Akurat, odparła. Powoli pokręciła głową. Po prostu uwielbiałam tę sukienkę. Patrzaj się tu. To EC.

Ładnie mu w kapeluszu, zauważył Suttree.

Boże, powiedziała ze śmiechem. Pamiętasz ją?

Pewnie, odrzekł.

To babcia Cameronowa. Miała dziewięćdziesiąt dwa lata, jak umarła.

To jest stryj Milo.

Był marynarzem na statku handlowym, wiesz.

Suttree skinął głową. Pamiętam stryja Milo. Zwrotnik Koziorożca, pewnej mglistej nocy u gaszonych wapnem wybrzeży Chile zginęli wszyscy marynarze na barce pełnej ptasiego guana. Ich dusze powierzono słonemu miłosierdziu morza.

Będzie trzynasty rok, jak nie wrócił do domu.

Obce gwiazdy nocami, tam, na dole. Zupełnie inna astronomia.

Mensa, Mucha, Kameleon. Południowe konstelacje, całkowicie nieznane mieszkańcom północy. Marszczą się, bledną w zimnych, czarnych wodach. Gdy on, kołysząc się w swoim zardzewiałym koszu, opada na dno morza, przebijając dryfującą na powierzchni plamę guana. Która rodzina nie ma marynarza w swoim drzewie genealogicznym? Głupca, zbrodniarza. Rybaka.

Kto to jest, ciociu?

Nie wiesz? Jak to?

Chwycił wyblakłe zdjęcie i uważnie przyjrzał się dziewczynce.

Wpatrywała się w pustkę ze słabym, niepewnym uśmiechem, zezując na jedno oko.

To chyba nie mama, co?

Ale oczywiście, że tak.

Przewrócił stronę. Nie jest do siebie podobna, powiedział.

Staruszka odwróciła stronę z powrotem i przyjrzała się zdjęciu. No tak, powiedziała. Nie wyszła tu za dobrze. Była o wiele ładniejsza. A to Carol Beth.

Ile miała lat, jak umarła?

Dziewiętnaście. Boże, jakie to było smutne.

A tu pies. Też już nie żyje.

A tu dom, gdzie mieszkali umarli. Zniknął, przepadł i zniknął.

Jak się nazywał ten pies?

Pochyliła się nad fotografią. Nie pomnę, odrzekła. Mieli kiedyś jednego, co go nazwali John L. Sullivan, bo był najbardziej bojowym maleństwem, jakie żeś w życiu widział.

My mieliśmy psa, który się nazywał Jose Iturbi. Bo bez przerwy sikał.

Och, Buddy, powiedziała, dając mu klapsa w rękę. Ja bym się wstydziła.

Suttree przewrócił stronę, uśmiechając się szeroko. Na fotografie osypywały się z wolna kawałki wstążek i kosmyki włosów. Wyciągnęła rękę, chcąc je przesunąć, żeby nie przeszkadzały. Ukazał się jakiś starzec, tuląc w ramionach dziecko. Trzymał je w sztywno wyprostowanych rękach, jakby składał ofiarę, stare koronki i zwoje powijaków wokół łysej główki i twarzyczki o zmrużonych oczach.

To ty, odezwała się po chwili milczenia.

To ja, odpowiedział.

Spod kołderki z kapturem wwiercały się w niego zimne oczy.

Dziedzicznie niezadowoleni.

Boże, był z ciebie taki aniołek, że twoja matka chciała mieć samych chłopców.

Suttree poczuł kurcz w plecach, a wzdłuż kręgosłupa przebiegł go długi, zimny dreszcz. Podniósł wzrok na staruszkę. Wpatrywała się w fotografię przez okulary w cienkiej, drucianej oprawie, z wymuszonym spokojem, typowym dla starych ludzi, którzy jedynie pamiętają i nic więcej. Zrobię tej herbaty, powiedziała.

Wziął kawałek ciasta, wgryzł się w niego i przewrócił stronę.

Stary, stęchły album o pokrytych rudymi plamami, kruszących się kartkach wydawał się tchnąć niemiłą wonią krypty, jedna po drugiej odsłaniając martwe twarze o słabym, pozbawionym miłości spojrzeniu, skierowanym na kręcący się świat, maski niepewności przed zimnym, szklanym okiem aparatu fotograficznego, twarze wzdragające się przed celuloidową nieśmiertelnością albo po prostu oszołomione i zramolałe wskutek błyskawicznego upływu czasu. Starzy krewni po kądzieli wypluci przez wir, chudzi, popękani, niewyraźni i trochę niepotrzebni.

Pejzaże, stare tła, też niepotrzebne, powtarzające się niezmiennie, jak gdyby zamieszkiwały inny świat niż ci oschli pielgrzymi, wyrzuceni na ich brzeg. Ślepy mozół w meszku powierzchni ziemi, obliczony na mrugnięcie oka pomiędzy stawaniem się i końcem. Jestem, jestem.

Artefakt wcześniejszych plemion.

Kiedyś ktoś ciekawski i ze skłonnością do studiów nad ludźmi na łożu śmierci przypomniał nam tego starca, siedzącego w poplamionej pościeli, w zastałym zapachu śmierci, z rozrzuconymi rękami i w zgorzkniałości, zwracającego się do swoich dawno zmarłych krewnych w gorączkowej apostrofie inwektyw, jak to miał w zwyczaju.

Pielęgniarka przysięgała, że mu odpowiadali. Słuchał, nie był idiotą ogarniętym słowotokiem. Pozdrówcie go łagodnie, człowieka, którego wyhodowany na dnie serca gniew wyniszczył bardziej niż czas. Suttree wspomniał błękitne kałuże jego martwych oczu. Przechodził wraz ze swoimi siostrami gęsiego wzdłuż starego, wysokiego łóżka. Posadzili go, żeby mógł lepiej widzieć. Woskowa, nieprzyzwoicie pomarszczona twarz. Na zdjęciu wiekowy dziadek siedział w pożółkłej pościeli jak szczur z książek z obrazkami dla dzieci, binokle, mycka i ślepe oczy za szkłami. I zdjęcia. Dawne pikniki, portrety rodzinne, kobiety w czepkach i z kwiatami, uzbrojeni mężczyźni w butach o wysokich cholewach. Patriota przepasany biegnącym przez ramię pasem jak Sam Browne i w sztylpach, jeden z tych wielu bezimiennych mężczyzn, którzy wrócili do domu w drewnianych skrzyniach na zimowe perony kolejowe. Przewożą go wzdłuż szeregów kopcących ciężarówek.

Konosamenty łopoczące na przejmującym wietrze. Tlitaj. I tutaj. Nie mogliśmy uwierzyć, że jest w środku. Było zimno i sucho, nasze buty łkały na śniegu przez całą drogę do domu. Nawet najmniejszy z nas wystrojony na czarno, jak mali mnisi w żałobie, wyląg sępów, kuśtykających w sztywnych, czarnych butach, z butwiejącymi śpiewnikami w rękach i wzrokiem wbitym w ziemię. Ktoś, komu trzeba podziękować za kopanie w takiej zmarzniętej ziemi. Zmęczona, stara pieśń, płynąca ze starego psałterza. Wieko stukocze, zamyka się głucho.

Skrzypi lina, stos kwiatów zostaje powoli wessany pod ziemię. Jakiś żołnierz podał Mamuśce złożoną flagę, ale nie mogła nawet na nią patrzeć. Delikatnie odepchnęła ją ręką, maska rozpaczy Gorgony za czarną rękawiczką. Grzechot ziemi, sypiącej się z łopaty, ten szloch i te lamenty o cichym, zimowym zmierzchu. Kiedy odwróciliśmy się, by odejść, za murem rozbłysły niebieskie latarnie uliczne.

Wróciła z herbatą, z pełną, wysoką wazą, zapchaną kostkami lodu i skręconymi w spiralki półplasterkami cytryny. Suttree wsypał cukier.

To też Elizabeth, powiedziała staruszka. Starszych zdjęć pewnikiem już nie ma.

Ledwo widoczna gwiezdna zmiana między twarzą oszalałej wiedźmy a tą młodą dziewczyną, obroty planet wokół ich eterycznych osi. Podobieństwa zaginionych dusz prześladują nas z brązowych ze starości chromolitografii i ferrotypów. Biała skóra głowy i suche, siwe włosy, matriarchalne ciało chude i wysuszone na kruchym szkielecie, gorzka, szara niczym popiół odpłata wśród jedwabiu i lilii w świetle świec w zimnym holu, czarne, lakierowane mary na kozłach, przykryte krepą. Nie mogłem się zmusić do płaczu. Moje siostry płakały.

A to wujek Will. Może go nie pamiętasz. Był taki jak ja, nawet jak tylko głowę odwracał, to nigdy by zrobić co złego. Ciotka sztywno, demonstracyjnie odwróciła głowę.

Tak.

Był ślusarzem. Każden jeden miał zawód.

Jeden był pijakiem, drugi kanciarzem.

Suttree znalazł barwioną fotografię przedstawiającą obitą atłasem trumnę w otoczeniu kwiatów. W trumnie martwe otyłe dziecko, krzykliwie umalowane, o jasnoczerwonych policzkach. Nigdy nie spyta czyje. Zamknął okładkę tej książki z obrazkami dla dotkniętych nieszczęściem. Podniósł się delikatny, żółty kurz. Odłóż tych sztywnoszczękich naczelnych i annały ich losów, najeżonych nieszczęściami i ostateczną ciemnością. Jakie bóstwo w królestwie demencji, jaki wściekły bóg, zrodzony z parujących wścieklizną płatów mózgowych mógłby zbudować przechowalnię dla dusz tak biednych, jak biedne jest to ciało. To ckliwe tabernakulum, zwinięte niczym robak.

Co powiesz, chłopcze?

Suttree się odwrócił. W drzwiach stał Clayton, drapiąc się po brzuchu i uśmiechając szeroko.

Hej, powiedział Suttree.

Uścisnęli sobie dłonie i Clayton poklepał go po plecach.

Matka, wiesz przecie, że lepiej nie wpuszczać tego wariata do kuchni. Wyżre nas z domu i majątku.

Cichajże, Clayton.

Po co go zanudzasz tymi starymi zdjęciami? Napijesz się, Buddy?

Co ty, założę się, że Buddy w ogóle nie pije, prawda, Buddy?

No pewno, powiedział Clayton. Buddy nawet nie wziąłby alkoholu do ust.

Suttree wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Boże, a ja żem wychowała paru takich, co biorą, powiedziała staruszka. Nie wiem, skąd to mają.

Od Aba Franklina, odpowiedział Clayton, uśmiechając się szeroko i nalewając piwo nad zlewem.

Idzie mi o to, po kim oni mają takie skłonności.

Clayton wskazał albumy butelką. Przyjrzyj się kilku tym tam starym, twardym skurwysynom i powiedz mi, czy twoim zdaniem który z nich kiedy pił.

Ależ Clayton, odparła staruszka.

Na pewno się nie napijesz, Bud?

Nie, dzięki.

Odłóż te stare, zapleśniałe zdjęcia i chodź tu, za dom.

Suttree odsunął krzesło, wstał i wyszedł za Claytonem przez oszkloną werandę do ogródka, na chwilę przykładając do czoła szklankę z zimną herbatą. Clayton uśmiechnął się do niego.

Lepiej walnij sobie klina, Bud.

Nie, dobrze się czuję.

Clayton usiadł na leżaku i wyciągnął bose nogi w trawie. Niech mnie diabli, jeżeli nie nawaliłem się wczoraj jak stodoła, powiedział.

Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to jeden facet, co to się pytał, czy nie miał kapelusza.

Suttree podał mu zwinięty banknot.

Co to jest?

Masz. Dwudziestka, którą ci byłem winien.

Do diabła, nie trzeba.

Nie. Masz.

Do diabła, nie potrzebuję.

Bierz. Suttree podsunął mu pieniądze.

Na pewno ci się nie przyda?

Nie. Wielkie dzięki.

Clayton wziął banknot i wcisnął go do kieszonki koszuli. No tak, powiedział. W tym hotelu z oknami w szkocką kratę mają wysokie ceny, co?

Suttree pociągnął spory łyk mrożonej herbaty. Była doprawiona miętą. Z przyjemnością poczuł dotyk szorstkich listków na wardze i ich aromatyczny zapach. Owszem, odparł.

Ciągle łowisz ryby?

Tak.

Chcesz jaką posadę?

Nie.

Clayton potrząsnął kostkami lodu w szklance. Zabawny z ciebie skurwysyn, powiedział.

Suttree stał, patrząc nad polami za domem w stronę gór. Podniósł

szklankę do ust i opróżnił ją.

Siednij, powiedział Clayton, poklepując poręcz drugiego leżaka.

Suttree wsparł jedną nogę na siedzisku, a łokieć na kolanie.

Chłodna bryza poruszyła powoje w donicach zawieszonych pod poprzeczną belką.

Widzi mi się, że idzie na chmury i deszcz, powiedział Clayton.

Tak pisali w gazecie.

Jakżeś się tu dostał?

Po prostu przyszedłem.

Skąd? Chyba nie z miasta, co?

No, znad rzeki. Nie miałem nic innego do roboty.

Odwiozę cię wieczorem, jak tylko będziesz chciał.

Nie trzeba, powiedział Suttree.

Ciocia Martha wróciła z kuchni z dzbankiem świeżej herbaty.

Zostaniesz i zjesz z nami kolację, prawda?

Powinienem już wracać.

Staruszka napełniła jego pustą szklankę. Ależ Buddy, powiedziała.

Zostań i zjedz z nami.

Dziękuję, ale lepiej nie.

Do diabła, po prostu zostań. Nie masz nic do roboty.

Ciotka nachyliła się i napełniła opróżnioną do połowy szklankę Claytona, który siedział, wpatrując się w naczynie. Niech to szlag, powiedział. Odrzucił szklankę na trawę.

Ależ Clayton.

Clayton wstał i wszedł do domu, mrucząc coś pod nosem.

Buddy, bardzo bym chciała, cobyś z nami zjadł.

Miło mi, ciociu, ale muszę wracać.

Przyniosę ci jeszcze ciasta.

Nie, dziękuję. Naprawdę.

Nie sięgała mu wyżej niż do ramienia. Musiał się prawie schylić, żeby jej dotknąć.

Clayton zawołał od drzwi: Na pewno byś się nie napił?

Suttree pokręcił głową.

Clayton wyszedł z drinkiem i jedną ręką w kieszeni spodni. Stali w cieniu, we troje. Suttree opróżnił szklankę i podał ją staruszce. Muszę iść, powiedział.

Weszli za nim do kuchni i dalej w głąb domu. Ciotka wzięłaby go pod łokieć, ale miała zajęte ręce. Pospiesznie odstawiła szklankę i dzbanek na stół i dogoniła siostrzeńca. Suttree odwrócił się i ze zdziwieniem stwierdził, że staruszka mówi o pogodzie. Zgódź się, coby Clayton cię odwiózł. Wieczorem przyjdzie burza, na długo nim wrócisz do miasta.

Nie rozpuszczę się, odparł.

Otworzył drzwi i wyszedł. Clayton spojrzał na niego ponad głową ciotki.

Trzymaj się, Bud.

Buddy, odwiedzaj nas, słyszysz?

Ruszył ścieżką na drogę. Odwrócił się i uniósł rękę. Staruszka pomachała mu nieśmiało, samymi palcami, a Clayton podniósł szklankę.

Zrobiło się znacznie chłodniej i zrywał się wiatr. Na drodze wzbijały się kłęby pyłu, wirujące jak dym, a niebo na zachodzie obwiedzione było plamistą masą burzowych chmur.

Gdy dotarł do szosy, wielkimi kroplami zaczynał już padać deszcz.

Wydawały pluszczące odgłosy, rozpryskując się na asfalcie. Widział

ulewę, idącą nad polami, na których gięły się i ponuro pochylały zaskoczone kwiaty. Wsunął ręce do kieszeni, oklapł i upodobniwszy się do wieśniaka, ruszył skrajem czarnej szosy na spotkanie deszczu.

Nie uszedł daleko, kiedy obok zatrzymał się stary hudson, stał, dygocząc, kopcąc i pomrukując, a kierowca pochylił się i opuścił szybę na tyle, żeby było słychać, co mówi.

Wskakuj, kolego.

Jestem cały mokry, nie chciałbym ci zamoczyć samochodu.

Mojemu staruszkowi nic już nie zaszkodzi.

Suttree wsiadł i odjechali. Patrzył, jak parująca, zielona okolica staje się nieostra za ścianą tańczącej na masce wody.

Jejku, niezłe burzysko przyszło, co?, powiedział mężczyzna.

Oj tak.

Mężczyzna wyciągał szyję nad kierownicą, by lepiej widzieć drogę. Skinieniem głowy wskazał deskę rozdzielczą, w której świeciło się radio. Posłuchaj tego, powiedział.

Suttree nastawił ucha. Stłumiony głos opowiadał jakąś historię.

No i zeszedł stamtąd i się spytał: Widziałżeś jakie deszczowe chmury na niebie?, a on odpowiedział: Ani, ani. A ten na to: To lepiej idź na górę i popatrzaj raz jeszcze, no i tamten poszedł, moi drodzy, i zeszedł z powrotem na dół, i ten pierwszy znów się spytał: widziałżeś jakie ślady deszczowych chmur, a drugi im odrzekł, że nie, nie widział

ani śladu, a pierwszy na to: No to lepiej idź na tę górę raz jeszcze, i ten drugi poszedł, wszedł na szczyt, wrócił się wartko, a tamten się znowu zapytał: A teraz jest tam jaka deszczowa chmura?, i ten drugi odpowiedział,

że tak: Będzie jedna wielkości mniej więcej twojego kapelusza, a pierwszy mu na to: No to chłopcze, lepiej znijdźże z góry, bo się zbiera na deszcz.

Kierowca uśmiechnął się. Ma gadane, co.

Suttree skinął głową.

Lubię słuchać starego J Basila. Ciągle powtarza: Nieprawdaż, pani Muli. Ciepłym, głębokim głosem. A ona odpowiada: Tak, panie Muli. A ty go lubisz słuchać?

Jest w porządku, odpowiedział Suttree.

W wietrznym, zacinającym deszczu przebiegały przez drogę jakieś ptaszki. Gdy podjeżdżali w górę stromym zboczem, stanęły wycieraczki i deszcz zabębnił o szybę niby młotkiem. Suttree nic nie widział za oknem. Usłyszał grzmot, przetaczający się nad opłakiwanymi deszczem górami, głośniejszy niż radio, szmer układu wydechowego oraz zaworów.

Wjechali na szczyt i szyba została oczyszczona powolnym, półkolistym ruchem. Wzięli zakręt, Suttree wysunął palec. Hi wysiadam, powiedział.

Mężczyzna spojrzał we wskazane miejsce. Gdzie?, spytał.

TUtaj. Gdziekolwiek przy tej drodze.

Nie jedziesz do miasta?

Nie. Tylko tutaj.

Kierowca rozejrzał się wokół i spojrzał na Suttree'ego. TU nic nie ma, powiedział.

Gdziekolwiek przy tej drodze, powtórzył Suttree. TUtaj wysiadam.

Kierowca zjechał w wysypaną żwirem zatoczkę i stanął.

Przyglądał się Suttree'emu, który wysiadł w ulewnym deszczu.

Strasznie dziękuję, powiedział.

Proszę, odparł mężczyzna.

Suttree zatrzasnął z hukiem drzwi i cofnął się. Samochód wyjechał

na szosę. Przez ociekającą strużkami wody szybę zobaczył, że mężczyzna znowu odwraca ku niemu głowę, jakby chciał go unieruchomić wzrokiem.

Suttree ruszył w deszczu i błękitnych spalinach na drugą stronę, po czym zszedł z nasypu na pola. Wędrował na przełaj pośród łagodnych wzgórz, a czasami pastwisk, przez zagajnik ciemnych cedrów, pod którymi ziemia była niemal sucha, a potem długim, wąskim wapiennym jarem, którego południowych ścian czepiały się małe, płaskie kaktusy i gdzie deszcz zacinał ponuro nad skalnymi półkami i cofał się przed Suttree'em kurniawą.

Wyszedł na skraj urwiska i ruszył pod górę, w kierunku domu.

Przedarł się przez chaszcze na niemal całkowicie już zarośnięty chodnik z ułożonych w jodełkę kostek brukowych. Minął popękane wazy, ozdobione betonową florą, szerokie schody, wysokie, kanelowane kolumny, z których łuszczyła się farba. Ogromna, potężna fasada zdawała się przed nim ustępować.

Kiedy wszedł do foyer, z prawej strony, z balkonu nad główną salą recepcyjną zeskoczyli trzej młodzi chłopcy, wylądowali bezszelestnie na zakurzonej podłodze jak przerażone nietoperze i pierzchnęli przez okno w przeciwległej ścianie.

Na podłodze leżał rozbity żyrandol. Okrążył go i wszedł na schody po lewej, wijące się z wolna ku mrocznym, wyższym komnatom, i trzymał się ściany, ponieważ nie licząc pojedynczych, ostrych szpikulców, balustrada zniknęła. Na górze stała jedna nietknięta tralka, ozdobiona kwiatonem i samotna jak rokokowy słupek do wiązania koni.

Ociekając wodą, włóczył się po wysokich pokojach, gdzie odpadał

tynk, paczyła się boazeria, a tapeta zwisała wielkimi płatami, przypominającymi liście paproci. Niewielkie kupki ludzkich odchodów, pokryte strzępami zapaskudzonej gazety. Z okna na piętrze zobaczył, jak tamci trzej chłopcy idą w deszczu granią wzgórza. Pośród zeschłego, pokruszonego kitu leżały na podłodze okruchy rozbitych szyb. Pod oknem omszały dziedziniec, na którym w suchej fontannie rozpadały się stare delfiny z betonu, a ciemne, ręcznie wypalane kostki, z których ułożono chodniki, oblepione były przez mchy i porosty. Po murach ogrodu piął się czarny bluszcz, z którego popatrywały drobne, nieme ptaszki. Na drugiej stronie rzeki ujrzał deszczowy, siwy pejzaż i przejeżdżające bulwarem samochody, zamknięte w innym czasie, którego straszna wizja popchnęła go do podjęcia owego samotnego aktu poznawczego.

Wyłonił się z wąskiej, tylnej klatki schodowej i wolnym krokiem ruszył korytarzem po nadwerężonym przez deszcz i słońce parkiecie, minął wielkie drzwi z litego wiśniowego drewna, popękane, pokryte długimi, cienkimi szparami, ogołocone z klamek i innych elementów metalowych. Wszedł do pokoju ozdobionego wysokim gipsowym fryzem i liściastą sztukaterią. Zapadnięty, zagrzybiały sufit, obwisłe kasetony. Odwrócił się, niepotrzebna postać w tych ruinach. Ślepe gipsowe cherubiny przyglądały mu się z wysokich kątów pokoju.

Halo, zawołał. Głos, który wędrował z pokoju do pokoju i wrócił.

Bogowie i ojcowie, co się tutaj stało, zacni przyjaciele, gdzie jest miłosierdzie?

Pewnego wiosennego ranka mierzyli czas swobodnego, niemal płynnego biegu konia na torze wyścigowym. Buchający kurz, raptownie migające pęciny, na prostej, w skrócie perspektywicznym, koń kołysał

się na nogach, przebiegł obok, wysmukły, podobny do ptaka, dyszał

chrapliwie, jego skośny mostek unosił się i opadał, a mięśnie grały i splatały się pod czarną, spoconą skórą, naprężając się z mechaniczną precyzją, z podłużnego pyska zwisał mu płat piany, potem zwierzę zniknęło w stłumionym tętencie kopyt, podstarzały sędzia zsunął kciuk z przycisku stopera, który trzymał w ręku, włożył go do kieszonki kamizelki i nie

patrząc na nic, ani na dziecko, ani na konia, odnosząc się do prostego porównania dwóch rodzajów ruchu, powiedział z elokwencją, do której miał skłonności, że właśnie widzieli coś, czego czas nie pokona.

Chodziło mu o to, że byli świadkami czegoś, co warto zapamiętać, ale młody apostata, stojący u jego boku przy barierce, zaczynał się już brzydzić powolnego biegu życia. Widział zarys czaszki pod skórą starca.

Słyszał piasek w klepsydrze. Żywoty kończące się jak coś ohydnego, nocne odchody z rury ściekowej, kapiące miarowo w ciemności. Stoper zakończył bieg, koń zakończył bieg, i kto tutaj komu mierzył czas?

Poszedł dalej korytarzem w stronę jadalni. Farba na płycinach starych drzwi wariacka i pożółkła jak stara porcelana. Przeminęło tutaj coś więcej niż czas. W tej sali bankietowej. Miejsce dawnych heraldycznych uczt. Suttree milcząco rozpoznaje poniekąd znakomitych zmarłych. Siedzi ich liczne grono. Ozdoba stołu to tłuściutki młody dziczek. Z rozkrojonego mięsa wystają białe, parujące kości samca.

Oczy patrzą. Złorzeczenia na spóźnionych i zaczynamy. Szaleni pieczeniarze w zbrojnym ataku ponad półmiskami, szczęk stali, brudne, zaślinione mordy, oczy strzelają na boki. Psy podwórzowe i umierający z głodu żebracy walczą o resztki na słomie. Na stole nie ma nic więcej, tylko mięso i woda. Nie słychać ludzkiej mowy. Poza stłumionym harmidrem stołowym dobiega jeszcze słabe echo innego rodzaju łowów.

Daleka pogoń, krzyki, granie rogów i ogary, skomlące boleśnie z niecierpliwości. Stolnik podnosi wzrok. Na polach morwowej barwy następna sfora ogłasza ujadaniem osaczenie jelenia. Tarcza spada z hukiem na podłogę, pod krokwie wzbijają się trzy białe ptaki i przysiadają na nich niepewnie. Stolnik wyciera palce we własne włosy, a kiedy wstaje, oznacza to koniec uczty. Na zewnątrz zapada ciemność, a szczekanie psów w oddali jest jak kuranty, które wybijają siódmą i ustają. Czekają, aż przyjdzie nosiwoda, ale jego nie ma, ciągle nie ma.

Suttree wyszedł przez kuchnię i zdewastowany ogród na starą drogę. Potępiony potomek skazanych na zagładę saksońskich klanów, wymyślony z deszczowego dnia. Stara farba na starej tabliczce niewyraźnie wzbraniała

mu wstępu. Tę tabliczkę widocznie ktoś odwrócił, bo teraz napis odnosił się do świata zewnętrznego. Mimo to poszedł dalej. Powiedział, że tylko tędy przechodzi.

9

Wieczorem słyszał nad głową gulgoczące nieczystości, spływające rurami pod brzuchem mostu. Szum opon. Słabe światło z ulicy padało poza ciemną palisadę sumaka i czarnych jagód. Pogładził się po brzuchu i beknął w swojej szarówkowej samotności, zmniejszywszy płomień w stojącej pod ręką lampie, tak że maleńki ogieniek palił się w szklanym kloszu czarnorubinowym światłem. Na kolację zjadł całego kurczaka, ugotowanego w kubełku po smalcu, bo jest wszak łowcą ptaków, który jak dym zakradł się na ciemne poletka ogrodów nad First Creek, nieznana nocna istota, obwieszona martwymi kurami, sunąca ku oświetlonym księżycowym blaskiem miazmatom, bielącym wylot doliny, ku poszarpanym drzewom, które wydawały się tchnąć chłodem, aby przekroczyć w końcu ten mały, wstrętny dopływ po przerzuconych nad nim drzwiczkach od ciężarówki i wspiąć się szybko na drugim brzegu w stronę łuków wiaduktu.

Przyszedł Suttree, codziennie nowe cuda. Siedzieli na kradzionych leżakach i patrzyli, jak z góry opada gołąb, zatrzymuje się w powietrzu, macha skrzydłami, odchyla łebek do tyłu, jednocześnie próbując dosięgnąć pręta różowymi łapkami, a potem niczym zstępująca z nieba boska Gołębica staje w niebieskich płomieniach. Rozległ się gorący chrzęst palonych piór i zwęglony gołąb spadł na ziemię na grzbiet w kłębach śmierdzącego dymu.

Gene, powiedział Suttree.

Galante, co?

Gene.

Taa.

Do czego podłączyłeś ten pręt?

Harrogate wskazał palcem. Do tych tam drutów elektrycznych.

Wiesz, co żem zrobił, wziąłem trochę miedzianego druta, podłączyłem go, obwiązałem nim kamień i cisłem...

Gene.

Taa.

Jak myślisz, do jasnej cholery, co się stanie, jeżeli tego pręta dotknie jakiś człowiek?

Harrogate nawet nie wstał, żeby zabrać ptaka. Siedział w kucki na leżaku, obejmując kolana rękami, wdychał dymny odór swoich łachów, podniósł wzrok na pręt, a potem na Suttree'ego. No tak, powiedział.

Pewnie go kopnie i walnie na dupę.

Zabije go.

Harrogate zrobił lekko zaciekawioną minę. Myślisz?, zapytał.

Innego dnia świnie. Całe stadko czerwonych prosiaczków, które uciekły z jakiegoś chlewa na zboczu, przebiegły przez polankę wśród poczerniałych powojów i ruszyły dalej, w dół strumienia, ku rzece.

Harrogate obserwował je, a potem nagle usiadł wyprostowany jak struna, rozglądając się wokół.

Jak czarnuchy przyuważą, że zżerasz ich świnie, dobiorą ci się do dupy, powiedział Suttree.

Najsampierw muszą mnie złapać.

Wstał i zaczął schodzić ze wzgórza na drogę, w kierunku obozowiska włóczęgów nad strumieniem, gdzie zniknęły prosięta. Po drodze przyglądał się zagrodom, rozrzuconym wyżej na zboczu wśród drzew, eklektycznym konstrukcjom zbitym z reklam tabaki, desek i fragmentów płotów, wiszącym krzywo na wyłysiałym, zrytym przez deszcze zboczu. Nie zauważył nikogo, kto szukałby świnek. Kiedy wszedł na ścieżkę biegnącą wzdłuż strumienia, tu i ówdzie dojrzał na spłachciach czarnego błota ich

ślady, przypominające nieco trójkątne tropy małych saren. Mijając kolekcję starych bojlerów, spłoszył

zwierzęta, które przeniknęły przez ścianę powojów z piskliwym, chrapliwym chrząkaniem. Upatrzył sobie jednego prosiaka i zanurkował

za nim. Zwierzak przecisnął się przez powojowe kłęby, przebiegł po stosie porozbijanych słojów po konfiturach i zniknął mu z oczu, kwicząc boleśnie. Harrogate wydostał się na małą polankę. Wpadł na akację i krwawił z kilku zadrapań. Słyszał oddalające się prosięta.

Gdy wyszły na brzeg, na cypel, zatrzymały się, żeby powęszyć.

Ruszyły w dół rzeki mniej więcej w tej samej chwili, kiedy Harrogate wyłonił się z zarośli, a wtedy najpierw przystanęły, po czym zawróciły wzdłuż strumienia. Miały zwieszone ryjki i białe oczy. Zeszły gęsiego żlebem na brzeg, zbiły się w stadko, marszcząc nosy na wodę, i znów zawróciły. Harrogate osaczał je niczym cichy, chudy pająk. Ponownie zaniepokojone, zmieniły kierunek ucieczki, sapnęły i skierowały się na cypel.

Patrzaj no na te świnie, tatko.

Z wysokiej trawy wstał jakiś siedzący w niej mężczyzna, położył

rękę na swoim kapeluszu i się odwrócił. Świnki uciekały niczym przepiórki. Minęły Harrogate'a, niektóre z lewej, inne z prawej strony, kwicząc przeraźliwie, a on rozejrzał się i w końcu rzucił za nimi, by wylądować z jękiem na ziemi jak długi.

Gdy znów się na nie natknął, pożywiały się w kępie kapryfolium, ryjąc w czarnej ziemi i z tłumioną świńską radością pożerając dżdżownice, larwy oraz korzonki. Harrogate przypatrywał się prosiakom przez pnącza, podziwiał ich tłustość i lekko się ślinił. Zdecydował się na sprint, bo świnie są zbyt czujne, by można je podejść ukradkiem. Ruszył

na wprost przez kapryfolium, mając oko na jedną i tylko jedną świnkę.

Zwierzęta zakwiczały i popędziły przez krzaki, a jego prosiak okazał się najchyższy w stadzie. Zniknęły w jednej chwili. Stał oparty o drzewo, trzymał rękę na piersi, dyszał. Odwrócił się. Zza jego pleców dochodziło stłumione, przeciągłe piszczenie. Wrócił po własnych śladach na zrytej polance. Idąc za tym odgłosem, znalazł jedną świnkę z łbem w kuble.

Kiedy podszedł bliżej, zaczęła uciekać. Wpadła na drzewo, impet przewrócił ją na grzbiet i leżała, kwicząc. Podbiegł do niej i chwycił ją za tylną nogę. Wierzgnęła, zdzierając mu z ręki kopytkiem długi pas skóry. Znowu wypuścił ją z rąk, próbując wcisnąć skórę na miejsce i zasłonić skaleczenie. Niech to szlag trafi, powiedział. Świnka pobiegła dalej w krzaki.

Słyszał, jak się tłucze, brzęk wiadra, pisk prosiaka. Zanurkował za nim. Świnka wbiegła prosto do strumienia, trzepała się w brudnej wodzie, kwicząc bulgotliwie wniebogłosy. W końcu Harrogate złapał

jakiś kij i przyszpilił nim prosię, przytrzymując jego tylne ratki drugą ręką. Zaczął okładać zwierzę po łbie, którego niewielki fragment wystawał nad brzeg kubła, odbił uchwyt, wgiął wiadro, na karku świnki wystąpiły krwawe podbiegnięcia i rozległo się straszliwe kwiczenie, aż nagle kij się złamał i Harrogate go odrzucił. Świnka szarpnęła się z całych sił, naskoczył więc na nią całym ciężarem ciała, żeby ją przytrzymać. Ja pierdzielę, powiedział.

Wstał, trzymając prosię wpół, poczuł z boku na policzku wiadro i cały spłynął krwią na piersiach, przyciskając ofiarę, która wierzgała i srała pod siebie. Marsz w górę strumienia na szeroko rozstawionych i niepewnych nogach, ale po pewnym czasie trzeba się zatrzymać i odpocząć. On i świnka przysiedli w gęstwinie kudzu, spokojnie zbierając siły niczym dwaj wycieńczeni zboczeńcy. Ilekroć świnka zaczynała się wiercić, Harrogate krzyczał w wiadro, żeby przestała. Miał

już zmęczone ręce, a ta, z której zwierzę zdarło mu skórę, bolała. Z

trudem dźwignął się raz jeszcze ze świnką na rękach i dotarł aż do bojlerowego ogrodu, gdy jego wzrok padł na kawałek rury, który leżał

na ziemi nagi i do niczego nieumocowany. Podniósł go i zważył w dłoni, świnka zwisała bezwładnie z wysuniętymi tylnymi raciczkami.

Położył prosię na ziemi, ukląkł na nim tak, żeby wygodnie złapać je za tylne nogi, a potem podniósł rurkę i zamachnął się z całych sił. Z wiadra trysnęła krew. Świnka kwiknęła przeraźliwie, szarpnęła się potężnie i zaczęła biegać w kółko bokiem, powłócząc nogami w czarnych liściach i śmieciach. Harrogate wziął kolejny zamach. Wiadro pękło i spadło, a na Harrogate'a łypnęło oszalałe ze strachu świńskie oko. Z łba zwierzęcia sączyło się coś białego, jedno ucho zwisało na wpół oberwane. Jeszcze raz uderzył prosię w łeb i wybił mu oko. Zwierzę ani na chwilę nie przestawało kwiczeć. Zdychaj, niech cię szlag, zasapał Harrogate, wymachując rurką. Świnka przygarbiła się i zesztywniała. Walnął ją jeszcze raz, mózg rozbryznął się po ziemi. Prosię wyciągnęło nogi, zadrżało i dało za wygraną.

Stał nad swoją ofiarą, dysząc ciężko i przeklinając. Odrzucił rurkę, podniósł zwierzę za tylne racice i zarzucił sobie na ramię, zakrwawiony łeb prosiaka podskakiwał, a z pękniętej czaszki wylewał się z boku miękki, wilgotny mózg. Z trudem zaniósł świnkę na skraj drogi, złożył

ją w zapylonych krzakach i odpoczął. Zanim przeszedł na drugą stronę, upewnił się, że w pobliżu nikogo nie ma. Dziwny huncwot, ciągnący martwą świnię. Ślady krwi. Gałązki i drobne kamyki, przyschnięte do glutów mózgu. Przeciągnął prosię ścieżką pod wiadukt, położył je na chłodnej ziemi, usiadł i wbił w nie wzrok.

Naostrzył o niewielki kamień skradziony ze sklepu scyzoryk, przykląkł przy martwej śwince, wziął ją za nogę, przez chwilę trzymał, a potem puścił. Usiadł w kucki i dwa albo trzy razy wbił nóż w ziemię.

Potem podniósł nogę wieprzka i pchnął go w brzuch. Wtedy przyszło mu do głowy coś innego, złapał świńskie ucho, szarpnął łeb prosiaka w tył i podciął zwierzęciu gardło. Krew chlusnęła na ziemię, spływając strużkami.

Rozpłatał zaraz ofiarę i wyciągnął wnętrzności, miał ich pełne garście, nigdy tylu nie widział. Co z nimi zrobić. Zaciągnął je ścieżką niżej, rzucił w

krzaki i wrócił. Nie miał możliwości opalenia świni, postanowił więc obedrzeć ją ze skóry.

Kiedy pojawił się właściciel zwierzaka, znalazł wychudzonego i pokrytego krwią białego chłopca, który stał na tym, co pozostało z cudzej własności, piłując świnkę nożem, ciągnąc za skórę i klnąc.

Brudne, rozpłatane prosię przypominało coś, co wykopano ze zbyt płytkiego grobu.

Właścicielem był nieco pijany, kontemplacyjny z natury Murzyn, który przystanął, oparł się o podpory, pociągnął łyk z półpintowej flaszki, wsunął ją z powrotem do kieszeni na biodrze, otarł usta i zaczął

pochmurnie obserwować ów spektakl gorączkowej zagłady.

Ahhg, powiedział Harrogate, kiedy go zobaczył.

Właściciel skinął głową.

Mmm-hmm, odpowiedział.

Witam.

Murzyn odwrócił głowę, splunął i przyjrzał się Harrogate'owi jednym, trochę zamglonym okiem. Nie widziałżeś przypadkiem zbłąkanego wieprzka, co?

Czego?

Małej kochanej świnki. Młodej, bardzo młodej.

Harrogate zaśmiał się nerwowo. Świnki?, spytał piskliwym głosem.

Świnki.

No, mam tu jedną świnkę. Wskazał ją nożem. Murzyn wyciągnął

szyję, żeby lepiej widzieć. Och, odezwał się. Coś mi się wydawało, że tam ktoś leży.

Ktoś?

Tak. Mówisz, że to Świnia?

Tak, odparł Harrogate. To jest Świnia.

Nie miałbyś nic naprzeciwko, żebym ją sobie obejrzał, co?

Nie. Nie, nie. Pokazał gestem. Proszę.

Murzyn podszedł bliżej, schylił się i przyjrzał zmasakrowanej głowie zwierzaka. Złapał go za czubek ucha i lekko obrócił. Ta Świnia nie żyje, powiedział.

Tak, psze pana.

Przysięgam, że wygląda prawie jak jedna taka, co tom ją miał u siebie.

Ta sobie ino jakby tu biegała.

A jakieżeś miał plany co do niej, jeżeli można zapytać?

No. Kombinowałem mniej więcej, coby ją zjeść.

Aaahaa.

Znaczy się chciałeś powiedzieć, że była twoja?

O wiele się nie mylę.

No, psiakostka, jak ona jest twoja, to normalnie weź ją sobie.

Właściciel prosiaka po raz pierwszy rozejrzał się po małym obozowisku. Mieszkasz tu?, spytał.

Tak, psze pana.

Nocami widuję tu światło.

Zwykle świecę lampę.

Pewnikiem zimno tu. W zimę.

No, w zimę jeszcze mnie tutaj nie było.

Rozumiem.

Mówisz, że zaś mieszkasz tam na wzgórzu?

Tak. TU stąd zaraz widać moją chatę.

Jejku, podoba mi się tutaj, a tobie? Wiesz, jest blisko do miasta i w ogóle. I nikt nie zawraca człowiekowi kontrafałdy.

Murzyn popatrzył na Harrogate'a, a potem na świniaka. Jejku, powiedział. Jak myślisz, co ja mam zrobić z tą tutaj masakrą?

Nie wiem, odrzekł szybko Harrogate zdenerwowanym głosem.

No to lepiej cosik wymyśl.

Jak ty byś nie chciał, to ja ją mogę wziąć.

Wziąć?

Tak, psze pana.

A dasz ty mi rekompensatę za tę tutaj świnię?

Co miałbym ci dać?

Miałbyś mi zapłacić.

Miałbym ci zapłacić.

Teraz żeś skumał.

Harrogate stał jeszcze w rozkroku nad martwym zwierzęciem, ale po chwili już nie, wytarł zakrwawione ręce o boki nogawek swoich spodni i spojrzał na właściciela. Ile?, spytał.

Dychę dolców.

Dychę dolców?

Dostałbym ci ja za nią każdego centa z tej sumy.

Nie mam dziesięciu dolarów.

Toć chyba będziesz musiał to odpracować.

Odpracować?

Praca. W ten sposób zarabia na chleb większość ludzisków na świecie. Takich, co to nie myszkują obcym po świniarniach.

A jak nie?

Dam cię do sądu.

Och.

Możesz zacząć od rana.

A z tym to co mam zrobić?

Właściciel prosiaka przedzierał się już przez chaszcze. Odwrócił

głowę, spojrzał na Harrogate'a i świnkę. A, możesz z nią zrobić, co chcesz, powiedział. Jest twoja.

Jak cię znajdę?

Pytaj się o Rufusa Wileya. Znajdziesz mnie.

Ile dostanę na godzinę? Coby to odpracować? Harrogate właściwie krzyczał w dzielącą ich już pustkę, chociaż Rufus nie oddalił się jeszcze nawet na trzydzieści stóp.

Pięćdziesiąt centów na godzinę.

Zgodzę się za siedemdziesiąt pięć, krzyknął Harrogate.

Ale Rufus nawet nie odpowiedział.

Przez całą noc w ciemności miauczały koty w rui, krążyły wokół i prychały. Z krzaków wyłaniały się wychudzone psy z podwiniętymi ogonami, o zmarszczonych mordach i jasnoczerwonych w świetle lamp drogowych kłach. Kręciły się dalej w mroku, gdzie leżały świńskie flaki, kłapały i płynęły lekko jak rekiny.

Leżał przy dogasającym ogniu w skradającej się rosie i słuchał, jak warczą i rozdzierają zdobycz, aż nastała bliska świtu godzina, kiedy spadłe im niczym z nieba wnętrzności zostały rozdzielone i pożarte, ale nawet najbezczelniejszy kundys nie ośmielił się zaryzykować spotkania z czerwonym piekłem lamp, otaczających powieszoną świnkę Harrogate'a. Wszyscy awanturnicy jeden po drugim osuwali się w ciszę i teraz dochodziła go tylko piskliwa kocia skarga, z daleka, po chwili z jeszcze dalszej odległości, ze wzgórza za strumieniem.

Kiedy Harrogate szedł ścieżynką do świniarni, taszcząc przed sobą w obu rękach wiadro pomyj, wszystkie prosiaki były już w niej z powrotem i powitały go kwiczeniem i parskaniem, cisnąc się wzdłuż ogrodzenia i poruszając bladymi, młotkowatymi ryjami w okach drucianej siatki. Obejrzał się w stronę domu, po czym wymierzył

najbliższej śwince solidnego kopniaka w łeb.

Wylał grudkowatą, cuchnącą zawartość do koryta z nieheblowanych desek i cofnął się. Świnie pochrząkiwały, przepychały się i siorbały pomyje, a Harrogate pokręcił głową. W sąsiedniej zagrodzie spała w błocie maciora.

Przesunął się wzdłuż ogrodzenia i pochylił, żeby się jej przyjrzeć.

Po różowej i niemal bezwłosej świńskiej skórze wędrowały pasiaste wszy wielkości jaszczurek. Wziął bryłkę węgla i rzucił, a ona odbiła się z głuchym odgłosem od pękatego jak beczka zadu maciory. Zwierzę zastrzygło uszami, podniosło się i zaczęło węszyć. Bryłka leżała tuż pod przednią racicą świni i kiedy znalazła węgiel, zaczęła go jeść, miażdżąc z głośnym chrupaniem. Z pyska zwierzęcia spływała czarna ślina.

Skończywszy, maciora podniosła wzrok na Harrogate'a, żeby sprawdzić, czy nie ma więcej węgla. Harrogate wydął wargi i splunął jej między oczy, ale ona jakby tego nie zauważyła. Nieźle jesteś popieprzona, powiedział. Maciora uniosła ryj, węsząc, a Harrogate odwrócił się i wszedł z powrotem do domu.

Nie odstawiajże tu wiadra, powiedziała kobieta. To nie chlew.

Harrogate posłał jej złe spojrzenie i znów wyszedł.

Kiedy obiad?, zapytał z twarzą w siatce przeciw owadom, osłaniającej drzwi.

Jak będzie gotowy.

Kurde.

Co żeś powiedział?

Nico.

Zdaje mi się, że kazał ci narąbać drew?

Harrogate splunął i ruszył przez niewielkie, rozgrzebane podwórko do stosu drewna. Dreptały przed nim kurczaki, pstrokata banda liniejącego drobiu, małe, owrzodzone ptaki o łysych, wrzecionowatych kuprach, pierzchające przez błocko. Harrogate podniósł siekierę, używaną do dzielenia drewna na szczapy, i zaczął rozrąbywać na dwoje mrówki, wędrujące po sosnowym pniaku. Czarnuchy, powiedział.

Kurde.

Z drugiej strony całkiem dobrze tu jadał. Długo po tym, jak odpracował prosiaka, wciąż przychodził do Ryfusa, żeby coś przenosić, dźwigać albo w ostatnie ciepłe dni polegiwać w kryjówce w kapryfolium i czytać skradzione komiksy, jeżące włosy na głowie opowieści obrazkowe o chodzących zielonych trupach i zaślinionych wampirach.

Zaledwie dwa domy dalej mieszkała para młodych czarnych dziewczyn na wydaniu i Harrogate nocami czepiał się gałęzi za ich oknem w nadziei, że podejrzy, jak się rozbierają. Najczęściej jednak zsuwały tylko swoje bawełniane sukienki i kładły się do łóżka w halkach. Spróbował zwabić młodszą do kryjówki w kapryfolium, obiecując komiksy. Powiedziała: Przyjdziem z Marfą, zaraz jak się wróci.

Przyszły po kolacji, krygując się i chichocząc, i wyniosły mu wszystkie komiksy. Wizje pulchnych, młodych, czarnych jak noc cycków i długich nóg, ciemnych niczym zmierzch. Nastał już wrzesień, pora deszczów. Szare niebo nad miastem obmywane ciemniejszymi chmurami, pędzonymi przez wiatr, wyglądającymi jak wydzielina spiralnie ciągnąca się za mątwą w wodzie. Murzyni widzą w nocy ognisko chłopaka, a czasem miga im przed oczami jego chwiejna sylwetka, wciśnięta w wysoką nawę, wyolbrzymiona wśród łuków. W

nocy przestrzeń pod mostem wypełnia rubinowy blask jego jaskrawych lamp, jak w prezbiterium. Mosty w mieście zamieszkują teraz trolle, starzy brzuchomówcy i młodzi amatorzy arbuzów. Dym z ich ognisk wzbija się niewidoczny wśród sadzy i pyłu wielkiego przemysłu miejskiego.

Czasem wieczorami Suttree przynosił piwo, a wtedy siadywali pod wiaduktem i pili. Harrogate zadawał pytania dotyczące życia w mieście.

Upiłeś się kiedy tak, żeś pocałował czarnuchę?

Suttree obrzucił go wzrokiem. Harrogate przypatrywał mu się jednym okiem spod przymkniętej powieki, żeby skłonić go do powiedzenia prawdy. Bywałem o wiele bardziej pijany, odparł Suttree.

Najgorsze, co ja żem zrobił, to spaliłem dom starej pani Arwood.

Spaliłeś dom staruszce?

Chciałżem go sfajczyć razem z nią. Namówiły mnie. Miałem ino dziesięć lat.

Nie byłeś dość duży, żeby zdawać sobie sprawę, co robisz.

Taa. Cholera, nie, to kłamstwo. Wiedziałżem, a i tak żem to zrobił.

Całkiem się spalił?

Normalnie do fundamentów. Ostał się sam komin. Długo się fajczyło, zanim wyszła.

Nie wiedziałeś, że jest w środku?

Nie pomnę. Nie wiem, co żem myślał. Wyszła, poleciała do studni, wyciągła wiadro wody, oblała ścianę domu, a potem normalnie poszła na drogę. Nigdy żem nie dostał większego lania. Stary chciał mnie zabić.

TWój tata?

Taa. Wtedy jeszcze żył. Moja siostra powiedziała policajom, jak przyszły do domu, znaczy, jak przyszły jej powiedzieć, że leżę w szpitalu przez te arbuzy, to powiedziała im wtenczas, że się pakuję w kłopoty, bo żem nie miał ojca. Ale gówno tam, bo jak żem go miał, to też żem był nicpotem. Bez różnicy.

Nie było ci przykro? Chodzi mi o domek tej staruszki.

Przykro to mi było, że mnie złapały.

Suttree skinął głową i przechylił piwo. Przyszło mu do głowy, że, nie licząc owego arbuzowego wybryku, nigdy nie słyszał, by mieszczuch powiedział mu kiedykolwiek coś poza nagą prawdą.

W długie, wietrzne jesienne dni Harrogate przyłączał się do Murzynów i łowił z nimi karpie, uśmiechnięty i nieumiejętnie. Blade ramię machało

wśród ciemnych rąk z brzegu do Suttree'ego, który wypływał w chłodne poranki na połów.

Suttree zajęty zatykaniem gazetami szpar w deskach swojej łodzi.

Chłodniejsze dni wprawiały go w nastrój pełen zadumy. W nocy woń dymu węglowego. Stare czasy, martwe lata. Dla niego to gorzkie wspomnienia.

Trippin Through the Dew ma płaszcz z piżmoszczura, kupiony w sklepie ze starzyzną na Central Avenue i ufarbowany na purpurowo.

Ze wsi przyjechała Mother She z workami i słojami pełnymi sezonowych ziół. Jej małe podwórko pokrywają brązowe, zeschłe jajeczka szarańczy. Na drzewach szamoczą się małe ofiary, ropucha albo ryjówka wśród cierni, nadziana na jeden z nich przez dzierzbę, która śpiewa w pobliżu na drucie elektrycznym, poza tym znowu zaczęło padać.

A więzień za szybą z szyderczo zniekształcającego obrazy szkła wypatruje próżniaczych wędrowców na ścieżce poniżej, ściska wytarte poręcze dębowego fotela i życzy wszystkim jeszcze gorszego piekła.

Szmaciarz spieszył do domu, ciemność deptała mu po piętach.

Kiedy dotarł na koniec mostu, zapaliły się za nim światła i stary odwrócił się na chwilę, zanim dał nura pod ogrodzeniem i ruszył ku swoim pieleszom czerwoną gliniastą ścieżką. Siedząc w kucki przed ogniem, widział, jak na ciemniejącą rzekę wychodzą gwiazdy. Miętosił

kościste dłonie i patrzył na kształty, które przyjmował płomień wśród gałęzi, jakby można było z nich wyczytać jakiś znak. Mlaskał

bezzębnymi dziąsłami, pluł i gestykulował. Rankiem przepędził w zaułku rodzinę zbieraczy śmieci. Tam, w cieniach wysokich ścian, gdzie okna były zakratowane i gdzie na łańcuchach zwieszały się żelazne schody przeciwpożarowe. Napełnił ciemny, ceglany korytarz ulicy głosami postarzałymi, ale brzmiącymi władczo. Przegonił ich jak szczury. I wynocha stąd, wy. I nie wracajta.

Suttree wstał z kamienia, na którym siedział, rozprostował

zesztywniałe kolano. Starzec spojrzał na niego. Spod białek jego oczu połyskiwała czerwona obwódka ognia, który szalał w jego głowie. Jak wrócisz i znajdziesz mnie martwego, zaczął. Jak znajdziesz tu mojego trupa, to polej mnie naftą i podpal. Słyszysz?

Suttree odwrócił się w stronę rzeki i świateł, a potem znowu popatrzył na szmaciarza. Ty mnie przeżyjesz, powiedział.

Na pewno, że nie. Zrobisz to?

Suttree otarł usta.

Zapłacę ci.

Zapłacisz?

Ile byś chciał? Dam ci dolara.

Wielki Boże, nie chcę dolara.

To co byś chciał dostać?

Nie paliłbyś się. Suttree zaczął gestykulować. Nie paliłbyś się, gdyby cię oblać samą naftą. Zrobiłby się najwyżej wielki smród.

To na boga skombinuję benzynę. Załatwię pięć galonów i będę zaś ją tu trzymał przez cały czas.

Jakby kto zobaczył, wysłaliby wozy strażackie.

Gówno mnie obchodzi, kogo wyślą. Zrobisz to?

Dobrze.

I nie chcesz zaś dolara?

Nie.

To teraz cię trzymię za słowo.

Zrobię, co trzeba, powiedział Suttree.

Nie jestem żaden tam pogan. Nie słuchaj, co ludzie gadają.

Nie.

Zawsze sobie myślałem, że jest jaki Bóg.

Tak.

Ino ja żem nigdy go nie lubiał.

10

Był na Gay Street, kiedy J-Bone wyszedł z jakichś drzwi i wziął go pod rękę. Hej, Bud, zagaił.

Jak się masz?

Właśnie żem się wybierał z tobą zobaczyć. Chodź i napij się kawy.

Usiedli przy barze w Helm's. J-Bone postukiwał łyżeczką. Kiedy postawiono przed nimi kawę, zwrócił się do Suttree'ego. Telefonował

do mnie twój stary, powiedział. Chciał, żebyś zadzwonił do domu.

Ludziom w piekle zachciewa się wody z lodem.

Cholera, Bud, to może być coś ważnego.

Suttree nieufnie przytknął brzeg kubka do ust i podmuchał. Na przykład co?, zapytał.

No. Coś rodzinnego. Wiesz. Uważam, że powinieneś zadzwonić.

Suttree odstawił kubek. No dobrze, powiedział. Co to za sprawa?

Dlaczego do niego nie zadzwonisz.

Dlaczego mi nie powiesz.

Nie zadzwonisz?

Nie.

J-Bone wpatrywał się w łyżeczkę w swojej dłoni. Podmuchał na nią i pokręcił głową, jego zniekształcone odbicie w łyżeczce zaszło mgłą, a potem pojawiło się z powrotem. No, powiedział.

Kto umarł, Jim?

Nie podniósł na niego oczu. TWój chłopczyk, odpowiedział.

Suttree odstawił kubek i wyjrzał przez okno. Pod jego łokciem na marmurowym blacie widniała niewielka kałuża rozlanej śmietanki, wokół której rozsiadły się muchy i chłeptały jak kocury. Suttree wstał i wyszedł.

Gdy pociąg odjechał z dworca, było już ciemno. Próbował spać, głowa kołysała mu się na zapleśniałym podgłówku. Nie było już wagonu klubowego ani restauracyjnego. Żadnej obsługi. Chodził tylko stary Murzyn z cynową tacą kanapek i chłodziarką z napojami. Przeszedł

korytarzem pogrążonego w półmroku wagonu i zniknął za drzwiami w jego drugim końcu. Stukot kół i powiew chłodnego powietrza. Śpiący spali. Za oknami przemykała smutna i źle oświetlona peryferyjna dzielnica miasta. Płoty, zarośnięte chwastami podwórka, nagie jesienne pola odsuwały się w czerń pod gwiazdami. Jechali przez równinę w stronę Cumberlands, stary wagon kiwał się na szynach, a druty telegraficzne niestrudzenie zszywały noc za zimną szybą.

Budził się w górskich miasteczkach przez cały wczesny ranek, starzy ludzie na korytarzu taszczyli jakieś kosze, tupotały szepczące czarnoskóre rodziny ze śpiącymi dziećmi, skorodowane wagony rzęziły przy hamowaniu, a potem rozlegał się powolny, zmasowany chrobot i żelazo tarło o żelazo, gdy pociąg znowu ruszał. W nocy zrobiło się zimno, ale on był zesztywniały wskutek działania zupełnie innych sił.

Równonoc w sercu, zmiana na gorsze, brak szczęścia. Suttree ukrył

twarz w dłoniach. Dziecko ciemności, znajomy małych nieszczęść.

Kiedyś budził się z przerażeniem, zastając całe zgromadzenia nieproszonych gości przy swoim łóżku, proteuszowe postaci, polegujące w ciemnych kątach pokoju i przybierające najróżniejsze kształty, gibbony i gargulce, pająki niezwykłych rozmiarów, stworzenie przypominające nietoperza, sprytnie uwieszone w rogu pod sufitem, skąd niczym

szkieletowe kuranty dobiegało kłapanie i szczękanie jego świecących zębów.

Ocknął się o zimnym jesiennym świcie, pełznącym przez pola, i obserwował krajobraz za oknem. Lekki deszcz albo mgła, drobne paciorki wody na szybie rozwijały się w strużki. Przejechali nad strumieniem po starym wiadukcie, migały czarne, powleczone kreozotem podkłady. Na szarej wodzie dwóch chłopców na łódce, w bezruchu, wpatrzonych w mijające ich twarze jak w puszczony w górze film. Jeden podniósł rękę w uroczystym geście. Na horyzoncie dymiące kominy fabryczne, uszeregowane na szarej jałowej równinie. Gdzieś dalej do świeżo wykopanej mogiły padał zimny deszcz.

Pociąg kołysał się i dygotał. Zjechali w dół, dudniąc po długiej grobli wśród bagien i błot, parujących w niebieskawym świetle, jednonoga czapla biała, w wodzie raczej sina, znalazła ciemniejsze schronienie, sztywna niczym gipsowa ozdoba ogrodowa. Za nią wyniosły las, opadało właśnie parę liści. Suttree otarł oczy, wstał i ruszył do wyjścia między zalatującymi stęchlizną, pustymi siedzeniami.

Stał w łączniku między jednym wagonem i drugim, górna część drzwi była otwarta i do środka wpadał chłodny, poranny wiatr. Suttree opierał się na łokciach, a pociąg zakołysał się i zachwiał, kiedy wjeżdżali na dworzec. Staccato szeregu świateł w szarym fryzie na zewnątrz. W oknie wyżej jakiś człowiek w podkoszulku i ze zwisającymi szelkami. On i Suttree patrzyli na siebie przez krótką chwilę z niewielkiej odległości, aż tamten został nagle porwany w dal.

Mijali szare stalowe podpory mostu, mijali, mijali. W ukośnym, porannym świetle widział ocienione, okaleczone kształty skorup samochodów, przycupniętych w usychającym bluszczu wzdłuż długiej, nagiej, wąskiej drogi.

Na dworcu pochylił się, żeby zagadnąć drobnego mężczyznę w okienku. Błyszczący, niebieski uniform, odznaka w klapie. O dziesiątej, powiedział mężczyzna.

Suttree skinął głową. Jak rozumiem, nie ma tam chyba żadnego innego połączenia.

Człowieczek stemplował długie rolki biletów. Wysunął dolną wargę i pokręcił głową.

Dzięki.

Chyba że weźmie pan taksówkę. Ale to drogo kosztuje.

Dzięki, powtórzył Suttree.

Znalazł bar Krystal w pobliżu dworca autobusowego, zjadł

jajecznicę z grzankami i przejrzał gazetę, ale nie znalazł w niej nic ciekawego. O dziesiątej wsiadł w autobus, rozparł się wygodnie i zamknął oczy. Wyrzuty sumienia dławiły go jak wielka słona bryła żużlu.

Co ona powie?

Co powie jej matka?

Jej ojciec.

Suttree wstał i skręcił do drzwi, ale autobus już ruszył. Zawisł na jednej ręce, rozkołysany. Przez całą noc próbował zobaczyć w myślach twarz dziecka, ale bez powodzenia. Pamiętał tylko drobną rączkę w swojej dłoni, kiedy szli na karnawałowy jarmark, i przelotny obraz oczek elfa, urzeczonego szerokim światem i jego obrotami. Tam gdzie wieczorem wirował diabelski młyn, tańczyły umalowane dziewczęta i wzbijały się w powietrze podniebne race, które pękały, rozsiewając arlekinowe światło nad jarmarkiem i zwróconymi ku górze ludzkimi twarzami.

Przyglądali mu się z ganku, upozowani jak na jakimś starym, sepiowym ferrotypie, dłoń matki na ramieniu siedzącego patriarchy.

Patrzyła, jak Suttree z pustymi rękami i niby wypalonymi oczami zbliża się chodnikiem. Porzucona żona Suttree’ego.

Zeszła powoli ze schodów, osierocona madonna, drewniana pieta wiecznego poranka, tak odurzona rozpaczą, że w obecności tej powagi milkły ptaki, a ów wyrzutek, którego wzięła za syna światła we własnej osobie, płonął cały ze wstydu niczym pochodnia. Dotknęła go jak niewidoma. W głębi jej wzbierających łzami oczu kłębiły się zeschłe liście. Proszę, idź stąd, powiedziała.

Kiedy pogrzeb?

O trzeciej. Proszę cię, Buddy.

Nie będę...

Nie mów nic, proszę, nie mogę tego znieść.

Matka też zeszła już z ganku. Była ubrana na czarno i zbliżyła się do nich bezszelestnie jak dżuma, ukazała się jej wykrzywiona goryczą twarz, usta przypominające szczerbę po uderzeniu siekierą i oszalałe z nienawiści oczy. Próbowała coś powiedzieć, ale z jej ust wydobył się tylko na wpół zduszony krzyk. Dziewczyna została odrzucona na bok, a zdemenciała wiedźma rzuciła się na niego z pazurami, kopiąc i gulgocząc z wściekłości.

Dziewczyna usiłowała ją odciągnąć. Mamo, jęczała, mamo...

Starsza pani chwyciła zębami palec Suttree'ego i gryzła go jak wygłodniały wampir. Suttree złapał ją za gardło. Cała trójka osunęła się na ziemię. Poczuł dudniące uderzenia w podstawę czaszki. Stary zszedł

z ganku i bił go butem. Suttree próbował wstać. Dziewczyna krzyczała przeraźliwie. Przestańcie wszyscy! O Boże, przestańcie!

Wezwij policję, Leon, wrzasnęła starsza pani.]a go przytrzymam.

Postękując niczym niedźwiedź, Suttree wyprostował się chwiejnie pośrodku tego żałosnego widowiska. Stary odszedł. Dziewczyna ciągnęła starszą panią, która z wariacką siłą uczepiła się jednak nogi Suttree'ego, przez cały czas coś mamrocząc. Ty upiorna suko, powiedział, wymierzając jej z boku kopniaka w głowę, po którym padła jak długa. Wtedy skoczyła

na niego dziewczyna, niemal z taką Namą zaciekłością. Odepchnął ją i zrobił kilka niepewnych kroków na bok, żeby odzyskać oddech. Z domu wracał stary, nabijając w biegu strzelbę.

Suttree przeskoczył żywopłot. Przebiegł przez trawnik, przeskoczył

drugi żywopłot i puścił się wąską uliczką, mijając kurczaki, które stroszyły pióra i gdakały w cuchnącym kurniku, pokonał następne podwórko i znalazł się przed domem, gdzie na leżaku siedział jakiś człowiek, który podniósł wzrok znad kontemplowanej przez siebie nicości i uśmiechnął się dziwnie. Suttree skinął mu głową i ruszył przez podjazd na drogę. Obejrzał się, ale nikt go nie ścigał. Wyszedł na szosę, przycupnął na jej skraju, żeby odpocząć, a kiedy nadjechało jakieś auto, spróbował je zatrzymać, wystawiając kciuk.

Kilka minut później nadjechał inny samochód i ten stanął. Suttree wsiadł, powiedział dzień dobry. Mężczyzna spojrzał na niego raz czy dwa z niepokojem. Suttree przyjrzał się sobie. Miał rozerwaną koszulę z przodu i zakrwawioną lewą dłoń. Zapiął kurtkę na suwak i jechali w milczeniu.

Miasteczko na równinie. Był tu kiedyś, raz, ale niewiele pamiętał.

Ożywczy wiatr pędził liście po chodnikach, a małe szyldy sklepów i warsztatów kołysały się i skrzypiały w pełnym dymu powietrzu. Suttree wskazał krawężnik i mężczyzna zatrzymał wóz, żeby wypuścić autostopowicza. Jestem bardzo wdzięczny. Kierowca skinął głową.

Suttree zauważył, że kiedy odjeżdżał, przyjrzał się fotelowi, żeby sprawdzić, czy nie pozostały na nim ślady krwi.

Poszedł do salonu bilardowego, obmył się i obejrzał rękę. Cztery krwawe pręgi na podbródku. Wyskubał drobinki poszarpanej skóry z brzegów ran i przytknął do nich wilgotny papierowy ręcznik. Twarz, która przyglądała mu się w lustrze, była ziemista, a oczy zapadnięte.

Włożył kurtkę, podszedł do bufetu i zapytał, czy może zatelefonować.

Mężczyzna skinieniem głowy wskazał mu aparat. Książka telefoniczna wisiała na łańcuchu. Otworzył ją na końcu, znalazł dwa zakłady pogrzebowe, wykręcił numer do pierwszego z nich i zaczął rozmowę z jakąś dziewczyną o łagodnym głosie.

Czy to wy zajmujecie się pogrzebem w rodzinie Suttreech?

Tak, psze pana. To będzie dzisiaj po południu, o trzeciej.

Suttree nie usłyszał tej odpowiedzi. Pogrzeb w rodzinie Suttreech, te jego własne słowa sprawiły, że odsunął słuchawkę od ucha.

Halo, powiedziała dziewczyna.

Tak, odrzekł Suttree. Gdzie się odbędzie pochówek?

Na cmentarzu McAmon.

Gdzie to jest?

Dziewczyna na chwilę umilkła. Potem odpowiedziała: Procesja udaje się bezpośrednio na cmentarz zaraz po nabożeństwie. Jeśli chce pan wziąć udział albo jeżeli...

Dziękuję, odparł Suttree. Proszę mi tylko wytłumaczyć, jak się tam dostać.

Włóczył się po mieście. Spokojny, słoneczny, jesienny dzień w środku Ameryki. Takiego przerażenia w sercu nie odczuwał od czasu, kiedy bał się ojca, popełniwszy jakieś dziecięce wykroczenie.

Zjadł kanapkę w drugstorze, a po południu wyruszył na cmentarz.

Wąską, wiejską drogą przez las, przy której liście leżały w żółtych stertach lub przetaczały się po ciemnym asfalcie. Szedł przez bitą godzinę, mijały go nieliczne samochody.

Wejście wyznaczały dwie kamienne kolumny, łańcuch był zdjęty i leżał zwinięty na trawie. Wędrował wysypaną żwirem ścieżką między nagrobkami, aż zobaczył zielony baldachim na wzgórzu. Na trawie siedzieli

dwaj mężczyźni i jedli lunch. Suttree skinął im głową, przechodząc obok. Pod baldachimem stały szeregi składanych krzeseł, a na przykrytym zielonym drelichem kopczyku leżały starannie ułożone kwiaty.

Nie miał siły zapytać, czy tutaj właśnie zostanie złożony jego umarły syn, i poszedł dalej. Jeżeli trwają przygotowania do jakichś innych pogrzebów, to je zauważy.

W starszej części cmentarza dostrzegł przechadzających się ludzi.

Starszy dżentelmen z laską, pod rękę z żoną. Nie widzieli go. Szli dalej wśród pochylonych kamieni nagrobnych i ostrej trawy, od strony lasu wiał w promieniach słońca zimny wiatr. Kamienny anioł w zniszczonych marmurowych szatach, spuszczony wzrok. Mrukliwe głosy dwojga staruszków snują się po tym samotnym placu, nad miejscem spoczynku umarłych. Mchy na kruszących się nagrobkach jak dziwne, zielone światło. Głosy się oddalają. Dalej łagodny trzask zarośli.

Widzi, jak tamci pochylają głowy, żeby odczytać jakiś niewyraźny napis, i przystaje przed starym grobowcem, który rozrastające się drzewo niemal rozłupało na pół. W środku nie ma nic. Żadnych kości, żadnych prochów. Umarli bez wątpienia pozostają poza śmiercią.

Śmierć to coś, co noszą przy sobie żywi. Stan strachu niczym jakiś niesamowity przedsmak gorzkiego wspomnienia. Ale umarli nic nie pamiętają, a nicość nie jest przekleństwem. Daleko jej do tego.

Usiadł między nakrapianymi słońcem nagrobkami. Śpiewał jakiś ptak. Opadały liście. Siedział z otwartymi rękami wspartymi wierzchem na trawie niczym marionetka po udarze, nie myśląc o niczym.

Późnym popołudniem krętą, leśną drogą nadjechał stary karawan, packard, na czele kilku innych samochodów, okrążył baldachim na wzgórzu i zaparkował z drugiej strony. Samochody zatrzymały się bezgłośnie i wysiedli z nich ludzie odziani w czerń. Stalowe drzwi zatrzaskiwały się cicho jedne po drugich. Żałobnicy ruszyli w stronę grobu. Czterech z nich wzięło z karawanu trumienkę i zaniosło do namiotu. Suttree wyłonił się zza wzgórza w samą porę, żeby ją jeszcze zobaczyć. Na jej wieko spadło parę

kwiatów. Wszedł na szczyt nad grobem i stanął jak sparaliżowany. Małe mary z kwietnymi ofiarami spoczęły na dwóch pasach, przeciągniętych w poprzek rozkopanego dołu. Pastor czekał w gotowości. Światło na polance, na której stali, zdawało się niesamowicie jasne, a zgromadzeni wyglądali tak, jakby płonęli. Suttree stał pod drzewem, lecz nikt go nie zauważył. Pastor zaczął swoje. Suttree nie słyszał ani słowa, dopóki nie padło jego nazwisko. Wtedy wszystko stało się oczywiste. Odwrócił się i oparł

głowę o drzewo, dusząc się z żalu, jakiego wcześniej nie zaznał.

Kiedy przestały płynąć słowa, kilka osób podeszło i złożyło po kwiatku, pasy zaczęły się opuszczać, a trumna z dzieckiem zniknęła w grobie. Grupka obcych ludzi powierza ziemi syna Suttree'ego. Matka krzyknęła i padła na ziemię, ale ktoś pomógł jej wstać i odprowadził

jęczącą kobietę. Stabat Mater Dolorosa. Pamiętasz jej włosy rano, zanim je spięła, czarne, bujne i okrutnie śliczne. Jak gdyby spała w nie kończącej się burzy. Suttree osunął się na kolana w trawie, zatykając uszy rękami.

Ktoś dotknął jego ramienia. Kiedy się odwrócił, nikogo nie było.

Ostatnie auto z kawalkady toczyło się wąskim podjazdem w stronę bramy i nie licząc dwóch kościelnych, przykucniętych w trawie na zboczu niczym szakale, Suttree został sam. Wstał i poszedł na grób.

Poszedł na grób, żeby wśród kwiatów, perfum nieobecnych już pań i w słabym, żelazistym zapachu ziemi przystanąć i spojrzeć na pełnowymiarową, mierzącą sześć stóp mogiłę, w której spoczywała niewielka skrzynka. Blade człowiecze dziecię, czyś zaznało ostatnich przedśmiertnych mąk? Czy ogarnęło cię przerażenie, czy wiedziałeś?

Czy poczułeś szpony, które cię zawłaszczyły? A kim jest ten dławiony goryczą głupiec, klęczący nad twoimi szczątkami? I co dziecko może wiedzieć o mroczności Bożych wyroków? Albo o ciele tak słabym, że będącym niewiele więcej niż snem.

Kiedy podniósł wzrok, ze zbocza wzgórza przyglądali mu się grabarze. Zawołał do nich, ale nie odpowiedzieli. Myśleli może, że oszalał z

rozpaczy. Że może zwraca się do swego Boga.

Wy dwaj. Hej.

Popatrzyli po sobie, po chwili wstali z wolna i zeszli na dół, powłócząc nogami w trawie niczym ordynariusze w jakiinś teutońskim dramacie. Suttree usiadł na jednym ze składanych krzeseł. Swobodnym ruchem wskazał grób. Możecie to już zasypać?

Znów popatrzyli po sobie, po czym jeden z nich skrzyżował ręce i spojrzał w dół. Orville przyjedzie traktorem, powiedział.

My mielimy ino poskładać krzesła i poustawiać je na kupie, dodał

drugi. Muszom tu jeszcze przyniść i złożyć tyn namiot.

Suttree wbił w nich wzrok. Grabarz ze skrzyżowanymi ramionami zaczął się kołysać na piętach w górę i w dół i rozglądać.

Orville'a i tamtych już ino patrzeć, odezwał się drugi.

Suttree wstał z krzesła i odciągnął drelichową zasłonę, okrywającą kopczyk ziemi. Kilka stojaków z kwiatami się przewróciło. Obok leżał

kilof i dwa szpadle, i Suttree wziął jeden z nich, wbił go w sypki piach, podniósł, po czym sypnął grudkami ziemi, które zagrzechotały o wieko trumienki.

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia po raz trzeci.

Mus nam wyciągnąć te pasy, powiedział pierwszy.

To lepiej je wyciągnijcie, rzekł Suttree, wymachując szpadlem pełnym ziemi.

No, to zaczekaj pan chwilę.

Niższy mężczyzna zszedł do grobu, żeby odczepić pasy, a drugi wyciągnął je na powierzchnię.

Chcesz pan może ten wieniec?, zapytał mężczyzna w grobie, prostując się, ale nad krawędź wystawała tylko jego głowa, którą pokręcił. Zaś się zabrudził, powiedział.

Wyłaź stamtąd, powiedział Suttree.

Mężczyzna wyszedł i się cofnął. Orville z tamtymi zaraz tutaj będą, powiedział.

Suttree nie odpowiedział. Pracował dalej, szuflując ziemię, a obaj grabarze obserwowali go. Po chwili zaczęli się krzątać, składać krzesła i ustawiać je w stosy wokół narożnego masztu baldachimu. Suttree znieruchomiał, zdjął kurtkę i znów pochylił się nad robotą.

Zanim zasypał grób do połowy, na cmentarz przez bramę wjechała ciężarówka, ciągnąca lawetę z umocowanym na niej łańcuchami traktorem. Był wyposażony z przodu w ładowarkę. Wjechali na wzgórze i zjechali z niego, stanęli obok namiotu. Kierowca ciężarówki spojrzał z góry na Suttree'ego, wspierając podbródek na ręce. Splunął, rozejrzał się po cmentarzu, otworzył drzwi i wysiadł. Myślałem, że będziecie to już mieli rozebrane, zawołał.

Suttree spojrzał w ich stronę. Tamci dwaj palili papierosy, uśmiechali się szeroko i szurali nogami. Potem wszyscy trzej popatrzyli na niego. Kopał dalej. Kierowca stojącego na lawecie traktora wysiadł, a potem już we czterech stanęli wokół, rozmawiając i paląc. Nie wiem, powiedział jeden z nich. Normalnie wyskoczył i złapał się za szpadel.

Pewnie był. Nie wiem. Nie, siedział se tu na zboczu.

Hej, zawołał jeden z nowo przybyłych.

Suttree podniósł wzrok.

Mamy tu traktor, żeby to zasypać, jakbyś chwilę zaczekał.

Suttree otarł czoło rękawem i pracował dalej. Mężczyźni zdeptali niedopałki w trawie, zaczęli rozwiązywać liny i wyciągać śledzie.

Ściągnęli baldachim i złożyli go na ziemi, Suttree pracował więc pod gołym niebem. Zdemontowali zbudowany z rurek szkielet, załadowali pręty, liny i baldachim na ciężarówkę, po czym zaczęli ładować złożone krzesła.

Wygląda na to, że w gruncie rzeczy można zostawić traktor na lawecie, powiedział jeden z mężczyzn.

Darnią zajmiemy się z rana?

Będziemy musieli. Już dobrze po fajrancie.

Siedzieli w trawie i przyglądali się Suttree'emu. Tymczasem zapadł pochmurny wieczór i zanim Suttree skończył, nadszedł drobny, zimny deszcz, padający powoli z południowego, jesiennego nieba.

Suttree sypnął ostatnim szpadlem ziemi na niewielką mogiłę, odrzucił

łopatę, wziął swoją kurtkę i odwrócił się, żeby odejść.

Możesz pan jechać z nami, jak pan chcesz, odezwał się jeden z mężczyzn.

Suttree podniósł wzrok. Mężczyźni siedzieli w kucki z tyłu ciężarówki, wpatrując się w mżawkę. Poszedł dalej.

Nim dotarł do bramy cmentarza, żwirowaną dróżką nadjechał

szary samochód ze złotym herbem na drzwiach i zatrzymał się obok Suttree'ego. Brzuchaty mężczyzna w gabardynowym brązowym uniformie obrzucił go wzrokiem.

Nazywasz się Suttree?

Suttree odparł, że tak.

Mężczyzna wysiadł. Jego biodra otaczał wytłaczany pas z kaburą, a mundur był starannie wyprasowany. Nieznajomy otworzył tylne drzwi wozu. Wsiadaj, powiedział.

Suttree wsiadł z tyłu i drzwi zatrzasnęły się za nim. Od przedniego siedzenia dzieliła go ciężka metalowa siatka. Jak gdyby tego samochodu używano do przewożenia wściekłych psów. W drzwiach nie było klamek ani korbek do otwierania okien. Kierowca zerknął na niego w lusterku wstecznym, a mężczyzna w gabardynowym uniformie patrzył

wprost przed siebie. Suttree oparł się wygodnie i przetarł ręką oczy.

Kiedy wjechali do miasta, przyglądali mu się ludzie z ulicy.

Stań tutaj, Pinky, powiedział nieznajomy.

Zatrzymali się przy krawężniku.

Idź sobie kupić colę.

Nie chce mi się pić.

Idź sobie kupić colę.

Kierowca obejrzał się na Suttree'ego, wysiadł i zamknął drzwi.

Szeryf wysunął rękę za oparcie fotela i przypatrywał się Suttree'emu przez siatkę. Potem wysiadł i otworzył tylne drzwi.

Chodź no tu, powiedział.

Suttree przesiadł się na przednie siedzenie. Szeryf obszedł auto i usiadł na fotelu kierowcy. Przyglądał się Suttree'emu przez całą minutę, po czym powiedział: Pozwól, że coś ci powiem.

Dobrze, rzekł Suttree.

Szeryf wyciągnął rękę i stuknął palcem wskazującym w kolano Suttree'ego. Ty, mój zacny kolego, jesteś skurwysynem w czternastokaratowej pozłocie. Na tym polega twój problem. A ponieważ to twój problem, niewiele osób żywi do ciebie sympatię i ma dla ciebie współczucie. A teraz oddam ci przysługę. Chociaż wiem, że nie powinienem tego robić. I w dodatku nie przysporzy mi to przyjaciół.

Odwiozę twoje śmierdzące dupsko na dworzec autobusowy i dam ci szansę, żebyś mógł stąd wyjechać.

Nie mam pieniędzy.

Ani przez chwilę nie sądziłem, że masz. Na początek zamierzam wyłożyć pięć dolarów gotówką z własnej kieszeni. Nie interesuje mnie, dokąd pojedziesz, ale dopilnuję, żebyś gdzieś za te pięć dolarów dojechał, i obaj będziemy mieli nadzieję, że nigdy tu nie wrócisz.

Chcesz może wiedzieć dlaczego?

Dlaczego co?

Dlaczego daję ci te pięć dolarów.

Nie.

Myślałem, że może interesuje cię finansowy aspekt tej sprawy.

Doszły mnie słuchy, że jesteś naprawdę inteligentny.

Nic mnie to nie obchodzi.

Inwestuję pięć dolarów w twoją nieobecność, ponieważ tak się składa, że człowiek, którego córce zniszczyłeś życie, jest moim znajomym, a w dodatku kimś, kogo nie tylko lubię, ale i szanuję. I chciałbym, żeby zaznał trochę spokoju ducha. Wiem, że mi za to nie podziękuje. Chciałby zobaczyć cię na szubienicy. Ale wiem też, że jest człowiekiem sprawiedliwym i kochającym pokój, i wiem, że w duchu będzie szczęśliwszy, jeżeli nie będzie musiał cię oglądać. Może nawet zapomni, że taki łajdak jak ty chodził kiedyś po tej ziemi, chociaż w to raczej wątpię.

A co ty z tego będziesz miał?

Zupełnie nic, kolego.

Powiedziałeś, że powinien mnie zainteresować finansowy aspekt tej sprawy.

Tak powiedziałem, ale w to nie wierzę. Zresztą co to za finanse.

Jedyne, co da się powiedzieć o przepierdoleniu pięciu dolców w ten sposób, to że człowiek przynajmniej nie złapie od tego trypra. Ani przez chwilę nie sądziłem, że mnie zrozumiesz.

Nikogo to nie obchodzi. To nie jest ważne.

I tu się mylisz, mój przyjacielu. Wszystko jest ważne. Jak człowiek żyje, to musi nadać swojemu życiu znaczenie. Bez względu na to, czy jest małomiasteczkowym szeryfem, czy prezydentem. Albo przegranym lumpem. To może nawet zrozumiesz pewnego dnia. Nie mówię, że na pewno. Może.

Szeryf odwrócił się na fotelu, sięgnął do kluczyka i przekręcił go.

Ale silnik ciągle pracował i rozrusznik wydał nagły, wściekły zgrzyt.

Szeryf mruknął coś do siebie, wrzucił bieg i ruszyli ulicą.

Dworzec autobusowy znajdował się na tyłach kafejki, a kiedy podjechali przed wejście, na stanowiskach stały dwa autobusy, pracujące na jałowym biegu. Szeryf przechylił się, wyciągnął portfel, wyjął pięć dolarów i podał pieniądze Suttree'emu.

Przypuszczam, że muszę je przyjąć, powiedział Suttree.

Całkiem słusznie.

Suttree wziął banknot i przyjrzał się mu.

A teraz, powiedział szeryf, chciałbym, żebyś wsiadł do autobusu, który najlepiej przypadnie ci do gustu, pojechał nim w dowolnym kierunku za te pięć dolarów jak najdalej i żebyś tu nigdy nie wracał.

Zrozumiałeś?

Zrozumiałem.

Suttree trzymał pieniądze w dłoni. Szeryf popatrzył na niego.

Dobrze się czujesz?, zapytał.

Tak, wszystko w porządku.

Dziwię się, że miałeś czelność tu przyjechać.

No. Ty się dziwisz.

Jedno ci powiem: otworzyłeś mi oczy. Mam dwie córki, starsza skończyła już czternaście lat, a ja wolałbym je zobaczyć w piekle, niż posłać na ten uniwersytet. Niech mnie szlag trafi, jak nie.

A ilu masz synów?

Żadnego. Słuchaj, Suttree, jeśli o to chodzi, to jest mi przykro. Ci ludzie naprawdę chcieli, żebym cię wsadził do więzienia.

Wiem.

No. Kup sobie bilet. I nie pokazuj mi się na ulicy. Siedź tu do odjazdu autobusu. Słyszysz?

Suttree otworzył drzwi i wysiadł. Spojrzał z góry na szeryfa, po czym zamknął drzwi.

Uważaj na siebie, powiedział szeryf.

Dobrze.

Szeryf pochylił się naprzód, żeby mu spojrzeć w twarz. Suttree odwrócił się i wszedł do kafejki.

Wysiadł z autobusu w Stanton, Tennessee, mając w kieszeni jeszcze trzy dolary. Była dziesiąta wieczorem. Znalazł postój taksówek, kupił od kierowcy pintę whisky, schował ją za koszulę, poszedł za miasto, stanął przy drodze i wystawił kciuk wśród mijających go świateł, próbując złapać

okazję. Nikt się nie zatrzymał. Godzinę później ruszył dalej przed siebie. Zrobiło się chłodno. Daleko na szosie zobaczył

jakieś światła przydrożnego motelu albo kafejki.

Napis głosił, że jest to bar dla kierowców ciężarówek, a na żwirowanym podjeździe stał jeden włączony ropniak. Suttree zajrzał do środka przez taflowe szkło. Zimna, wielka sala. Plastikowe stoliki. Dwaj chłopcy grający w bilard elektryczny. Kierowca siedział przy barze i pił

kawę. Suttree przeszukał kieszenie w poszukiwaniu dziesięciocentówki, ale nie miał ani jednej. Mimo to wszedł do środka.

Leciwa kelnerka czyściła ekspres do kawy mopem o krótkiej rączce. Ujrzawszy Suttree'ego, zeszła z krzesła, na którym stała, i powłócząc nogami, poczłapała za ladę. Suttree oparł się o bufet koło kierowcy, który zmierzył go wzrokiem.

To twoja maszyna?, spytał Suttree.

Kierowca odstawił kubek. Tak, odpowiedział. Moja.

Mógłbym się z tobą zabrać?

Dokąd jedziesz?

Do Knoxville.

Nie jadę do Knoxville.

A dokąd?

Nie do Knoxville.

Kierowca pochylił się i popijał kawę, a Suttree stał, patrząc na niego, po czym odwrócił się i wyszedł z kafejki. Ruszył szosą z powrotem w stronę miasta. Światła przygasły, a o tej nocnej godzinie miasto wydawało się leżeć dalej. W połowie drogi przystanął, otworzył

butelkę i napił się whisky.

Pierwszym budynkiem, do którego dotarł, był kościół. Na dziedzińcu stała niewielka, podświetlana szklana gablota, w środku białe litery na czarnej, plastikowej tablicy. Na słabo podświetlonych komunikatach kościelnych roiły się owady. Suttree zawrócił przez trawnik, poszedł na tyły kościoła, usiadł na ziemi i popijał whisky.

Wypiwszy trochę, zaczął płakać. Płakał coraz mocniej i mocniej, aż w końcu siedział, trzymając butelkę między nogami, i zawodził już na cały głos.

Wreszcie zasnął. Kiedy się obudził, leżał na trawie, patrząc w górę, w niebo. Bezchmurna, usiana gwiazdami noc. Słony smak żalu w gardle.

Zobaczył spadającą po niebie gwiazdę, jasny ognisty ślad, a potem nic.

Rozżarzone okruchy materii pędzące poprzez lodowaty eter.

Bezkształtne bryłki żelaznego żużlu.

Noc zrobiła się znacznie zimniejsza. Leżał, dygocząc na trawie, i bezskutecznie próbował zasnąć. Po chwili wstał, wziął whisky, podszedł

do tylnych drzwi kościoła, szarpnął je i otworzył.

Znalazł się w piwnicy. Pod jedną ze ścian stały stosy starych gazet i czasopism, wyciągnął się więc na nich i leżał. Potem usiadł, wziął

trochę gazet, żeby się nimi okryć, i położył się z powrotem. Później znów zaczął płakać, leżąc w ciemności kościelnych podziemi pod starymi gazetami.

Kiedy się obudził, południe było już blisko. Przejeżdżająca szosą ciężarówka zatrzęsła drzwiami piwnicy. Suttree usiadł w roztrzepotanych gazetach i rozejrzał się wokół. Przez wysokie okno wpadało światło. Na zewnątrz w trawie dziobał jakiś ptaszek. Suttree wstał i przeczesał włosy ręką. Czuł suchość w gardle i bolała go głowa.

Na podłodze stała reszta whisky, sięgnął więc po butelkę i podniósł ją do światła. Była pełna w jednej trzeciej, odkręcił zakrętkę, pociągnął łyk, zadrżał, otrząsnął się i napił raz jeszcze. Potem wyszedł.

Podróż przez ten stan zajęła mu cały dzień. Był nieogolony i źle wyglądał. Pod wieczór znalazł się na bezimiennym skrzyżowaniu dróg, wysoko, w górach Cumberland. Ćwierć mili dalej, w półmroku, stała jakaś podobna do niego postać, wędrowiec z podniesioną ręką, którego długie odbicie kładło się na czarnym asfalcie. Suttree nie przystanął.

Nieznajomy okazał się krzepkim młodzieńcem, który ustawił się przed wiejskim sklepikiem, żeby złapać okazję. Suttree minął go. Sklep był

zamknięty, okna zabite deskami, a spod betonowego fartucha, skąd wyrwano pompę benzynową, sterczały poskręcane rury.

Hej, odezwał się chłopak.

Hej, odparł Suttree.

Mieszkasz w tej okolicy?

Nie.

Nie maszże przypadkiem papierosa, co?

Chłopak szedł w jego stronę, przyglądając mu się z pełną chytrości siłą, której najwyraźniej nabywają włóczędzy. Nie, odparł Suttree.

Widziałżem, jak próbujesz złapać stopa. Gdzie jedziesz?

Do Knoxville.

Ja na Florydę. Mam siostrę w Fort Lauderdale. Odwrócił się i splunął. Był w koszuli z krótkim rękawem, a Suttree'eittu już zrobiło się zimno, choć miał na sobie kurtkę. Zapadł zmrok, widział więc chłopaka niewyraźnie. Na jednej ręce łańcuch tatuaży.

Pójdę trochę dalej, powiedział Suttree.

Chłopak zmienił ton. Słuchaj, powiedział. Może spróbujemy złapać coś razem. Będziemy mieli większe szanse.

Suttree obrzucił go wzrokiem. Nieznajomy był w dżinsach, włosy miał w nieładzie i wyglądał na niebezpiecznego łajdaka. Potężnie zbudowany chłopak o okrutnym wejrzeniu. Pójdę trochę dalej, odpowiedział Suttree. Będziesz mógł próbować zatrzymywać auta jako pierwszy.

Myślisz, że ktoś tu stanie po zmroku?

Nie wiem. Wiem tyle, co i ty.

Taa?

Skąd przyjechałeś?

Młodzieniec uciekł oczami. Z St. Louis, odpowiedział.

Z St. Louis, powtórzył Suttree. Byłem tam kiedyś przejazdem.

Utknęliśmy w parszywym miejscu, co?

Taa. Powodzenia.

Słuchaj. Daleko stąd do najbliższego miasta?

Nie wiem.

Suttree zaczął się oddalać. Słuchaj, zawołał znów młodzieniec.

Co?

Możesz mi dać ćwierć dolara?

Suttree pokręcił przecząco głową.

Młodzieniec ruszył w jego stronę. Daj spokój, człowieku, powiedział. Nie jadłżem już od dwóch dni, cholera. Do diabła, piętnaście centów. Cokolwiek.

Nie mam nawet dziesięciu, odpowiedział Suttree.

Zobaczymy.

Suttree przyglądał się mu bacznie. Chłopak stał na piętach i sprawiał wrażenie wygłodniałego. Co?, spytał Suttree.

Powiedziałem, że zobaczymy. Wywróć kieszenie, to się przekonamy.

Powiedziałem ci, że nic nie mam.

Młodzieniec przesunął się nieznacznie w lewo. Tak żeś powiedział, odrzekł. Ale sam chciałbym sprawdzić.

To twój problem, zauważył Suttree. Cofnął się i odwrócił, żeby odejść, a wtedy chłopak rzucił się na niego. Suttree uchylił się i obaj upadli na ziemię. Poczuł bijącą od tamtego woń skwaśniałego potu.

Młodzieniec usiłował go uderzyć, krótkie ciosy wielkich pięści. Suttree wcisnął twarz w jego pierś. Strach i mdłości. Młody przestał bić pięściami i próbował złapać go za gardło. Suttree przekręcił się na bok.

Wstali. Młody trzymał go za kurtkę. Suttree zamachnął się na niego.

Zwarli się, szurając nogami na żwirze w niemal zupełnych ciemnościach przed opuszczonym sklepem. Młodzieniec wyrwał się Suttree'emu, żeby go uderzyć, ale Suttree opadł na kolano, chwycił chłopaka za łydki i przewrócił go, aż przeciwnik gruchnął całym ciężarem na tyłek. Potem Suttree zaczął uciekać szosą. Buty młodego plaskały w pogoni za nim.

Smak krwi w ustach. Ale kroki ucichły, a kiedy Suttree się odwrócił, w ciemniejszej plamie mroku na skraju drogi zobaczył, że chłopak przykucnął, aby złapać powietrze.

Ty spietrany lachociągu, nadpłynął głos nad drogą.

Suttree położył rękę na sercu, które dudniło w poza tym cichej głuszy. Ruszył dalej drogą w ciemności.

11

Tuż po wschodzie słońca w chłodzie Front Street nadjeżdża generał, rozwalony na koźle swojego wozu z węglem, koń zwany Golgotą wisi między dyszlami i potyka się, zginając nogi w elastycznych kolanach i postukując kopytami, podczas gdy wśród rozklekotanych szprych pomrugują słabo jasne, wysłużone pierścienie.

W stojaku na bat jedzie wygięta laska. Jedna obręcz jest pęknięta i ponad bezsensownym gderaniem wozu słychać jej stukanie, stuk, stuk, z mechaniczną nieustępliwością odmierzające ruch, cel i upływ czasu.

Przystają z gwałtownym drżeniem, jakby zerwali się z uwięzi. Generał

długo zsiada z kozła, idzie na tył wozu, bierze poczerniały kosz i stawia go na ulicy. Zdejmuje klosz z lampy i zdmuchuje maleńki płomyk.

Wyładowuje węgiel bryłka po bryłce, aż wreszcie kosz jest pełen, a on dźwiga go boleśnie i taszczy w kierunku ciemnego domu, pochylony i pomrukujący do siebie w chłodnej mgle, wraca lżejszy, ale nie szybciej ani nie w lepszym humorze, tam gdzie stoi koń, śpiący w swoim zaprzęgu.

Toczą się powoli z łoskotem pustą ulicą, przejeżdżają pod mostem i ruszają przez przejmująco zimne pola w stronę rzeki. W siwym blasku świtu wydają się dryfować, zamknięci w oparach chłodu, aż wreszcie nad zimną, szarą pustką widać jedynie ramiona i zgarbione plecy generała, jego czapkę, jakby wieńczącą rękawy, i sukienny ochraniacz na końskim łbie, sunące niczym efemeryczne produkty polarnego snu.

Ooch węglu, zasię drew,

Drew chcę, jak mi

Się może uda przedać

Tera węgiel.

Było sześć stopni powyżej zera. Suttre zwlókł się z łóżka, włożył

płaszcz i sięgnął po spodnie, ale podłoga okazała się tak zimna, że wszedł z powrotem na posłanie, żeby się ubrać. Kucnął, wyciągnął spod łóżka skarpetki, otrzepał je z kurzu, włożył, wzuł buty i podszedł do drzwi. Wokół niego wirowała mgła. Stary czarny węglarz siedział na swoim wozie, a koń przesuwał się boczkiem i przytupywał.

Nie mógłbyś po prostu zostawić kosza i pojechać dalej?

Widzę, żeś nie zamarzł, odpowiedział generał, zsiadając.

Suttree wziął stojący obok drzwi kosz i zszedł po trapie. Rzeka między barką a brzegiem była zamarznięta, cienka śmietanka pomarszczonego lodu, przez którą spod uginającej się deski spadały do wody grudki ściętego lodem błota. Rzucił pusty koszyk na wóz i wziął

od starca pełny.

Mus mi dostać dzisiaj jaki piniądz, powiedział generał.

Ile?

Wisisz mi zaś osiemdziesiąt pięć centów.

Skąd wiesz?

Starzec klasnął w osłonięte rękawiczkami dłonie. Głowę miał

owiniętą szmatami. Na syćko prowadzę rachunki, powiedział. Jak ci się moje nie widzą, to se prowadź własne.

A gdzie je trzymasz?

Nieważne, gdzie je trzymię.

To ile weźmiesz?

Pfewnikiem syćko, co dostanę.

Suttree odstawił koszyk na zmarzniętą ziemię i sięgnął do kieszeni spodni. Miał trzydzieści pięć centów. Dał je staremu, który patrzył przez chwilę na pieniądze, skinął głową i pociągnął za ukryty pod ubraniem sznurek. Pojawiła się długa, szara skarpeta. Była wyposażona u góry w starą, mosiężną zapinkę od portmonetki, którą generał otworzył, wrzucił

monety do środka, opuścił skarpetę z powrotem na swoje miejsce i wdrapał się na kozioł.

Ruchajże się, śpiochu, powiedział.

Koń chwiejnie postąpił naprzód. Suttree patrzył, jak przejeżdżają przez pole, brodząc w bladych oparach, wygasła lampa zwisała z zatylnika na kabłąku, wóz przechylił się na torach, potem w drugą stronę, i zniknął mu z oczu. W górze rzeki zobaczył mglisty szmat zimnego niebieskiego światła, tam gdzie słońce wznosiło się ponad rzeczną mgłę, ale blasku dawało niewiele, a ciepła wcale. Wziął kosz z węglem, wciągnął z powrotem na trap i wszedł do domu. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zamknąć drzwi. Postawił koszyk przy piecu, wziął wiadro na węgiel i potrząsnął. Otworzył nogą zimne drzwi pieca i przechylił wiadro, grzechoczący węgiel wpadł do wnętrza, a w górę wzbił się suchy miał. Suttree zajrzał do żelaznej gardzieli, rozgrzebując pogrzebaczem żużel w piecowym brzuchu. Zgniótł gazetę, wrzucił ją zapaloną do środka i trzymał dłonie nad ulotnym ciepłem. Gazeta zwinęła się w umęczony płatek popiołu, który wzniósł się ku wylotowi pieca, zwęglona grawiura, widniały na niej szare informacje i równie szare oblicza. Suttree objął się ramionami i zaklął. W szczelinach śpiewał lodowaty wiatr. Przyniósł ze stołu lampę, zdjął klosz, odkręcił

mosiężny uchwyt, podtrzymujący knot, i wlał do pieca naftę. Uniósł się biały dym. Zapalił zapałkę, wrzucił ją do środka, ale nic się nie stało.

Chwycił kawałek gazety, podpalił ją i wcisnął do pieca. Buchnął wysoki płomień. Suttree zrobił parę sztywnych, tanecznych kroków i wyszedł za potrzebą.

Wzdłuż brzegu ciągnął się lód, łamliwe tafelki poprzekrzywiane i połamane na błocie i dalej, na całej odwodnionej i zmrożonej równinie, gdzie z mułu wyrastały delikatne, kryształowe kolumny i gdzie bieliły się lodowe

ogródki. Wyciągnął swój skurczony interes, długo sikał do rzeki parującym moczem, splunął, zapiął rozporek i wrócił do domu.

Zamknął kopniakiem drzwi i stanął przy piecu w postawie znamionującej ogromny, perswazyjny wysiłek. Zamrożony pustelnik.

Szczęki jak sparaliżowane. Rozglądnął się, wziął kubek i zajrzał do niego. Odwrócił naczynie do góry dnem i postukał, a wtedy ze środka wyślizgnęła się bursztynowa soczewka zamrożonej kawy, która tłukła się i klekotała w zlewie. Zdjął ze ściany patelnię, postawił ją na piecu i łyżką nałożył na nią skawalony szary tłuszcz. Ze skrzynki towarowej, która służyła mu jako spiżarnia, wybrał dwa jajka i spróbował zręcznie rozbić jedno z nich o brzeg patelni. Zadźwięczało niczym kamień.

Rzucił nim o ścianę, a jajko spadło na podłogę i potoczyło się pod pryczę jak obły kawałek drewna. Powiesił patelnię z powrotem na ścianie i wyjrzał przez okno. W rogach na szybie płożyły się paprocie szronu, a niżej płynęła ociężale rzeka niczym jakiś przerażający ściek wydostający się z bebechów ziemi. Zapiął płaszcz i wyszedł.

Wszystkie rośliny zostały zamrożone w maleńkich, lodowych pipetkach, zeschłe łuski gniazd nasiennych, łodygi łopianów, wszystko było osłonięte szybkami, piórkami i łupinkami lodu, którego pajęczyna oplatała stare liście i otaczała zmrożone, koloidalne drobinki piasku, sadzy albo grafitu. Brzegi rowów łączyły cienkie płachty lodu, a drzewa koloru żelaza, rosnące wzdłuż niegościnnego, zimowego i przejmująco zimnego nadbrzeża, pokryła siwizna szronu. Suttree powędrował przez kruche pola na drogę i ruszył w górę Front Street. Ze sklepu wyszło stadko czarnoskórych dzieciaków, ciągnących dziecięcy wózek pełen węgla, wiórów i trocin, znalezionych na bocznicy kolejowej, dzieci szły cicho, były skąpo ubrane i najwyraźniej nie zważały na zimno. Suttree tak szczękał zębami, że zaczął się nawet obawiać o swoje plomby.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, a wchodząc na ganek sklepu, spojrzał na ścienny termometr, wskazujący zero w skali Fahrenheita albo jego najbliższe okolice. Wszedł do środka i od razu udał się na zaplecze, nie odpowiadając na grzeczne, poranne pozdrowienie Howarda Clevingera.

Przy piecu sklepikarza na odwróconym do góry dnem koszyku siedziała w kucki stara czarnoskóra wdowa i wpatrywała się w ogień przez ząbkowaną szczelinę w gorącym żelazie. Zdawało się, że płacze, tak gęsto kapała ropa spod czerwonych powiek wokół jej oczodołów. Miała szpotawą stopę i nosiła buty uszyte z kawałków starego dywanu z wytartej niebieskiej wełny w kwieciste wzory. W milczącej, opatulonej szalem kobiecie było coś orientalnego. Zacierała dłonie, okryte wojskowymi mitenkami, i mamrotała pod nosem nie kończący się monolog. Suttree przystanął i przechylił głowę, żeby lepiej słyszeć, zastanawiając się, o czym rozprawia sędziwa wywłaszczona wdowa, ale ona wypowiadała się w jakimś obcym języku, a jedynym słowem, które zrozumiał, był Bóg.

Jabbo i Bungalow weszli z ulicy w otoczeniu odoru swych niemytych ciał, zimnej wełny i bimbru. Stanęli pod piecem, skinęli głowami i rozcapierzyli palce.

Zimno, no nie?

Przemarzłem do kości.

Potrza ci dobrego drinka, Suttree.

No to już, daj mu łyka, ważniaku.

Bungalow spojrzał pytająco na Jabbo.

No już. Suttree nie jest taki nadęty, coby się nie napić po czarnuchu. Nie, Suttree?

Starucha wstała z koszyka i cofnęła się pod ścianę.

Spasuję.

Gdzie ta butelka.

Bungalow podciągnął sweter i wyciągnął zza pasa pintową butelkę, częściowo wypełnioną przezroczystym płynem. Murzyni spojrzeli bojaźliwie w stronę właściciela sklepu. Jabbo wziął flaszkę, otworzył i podał Suttree'emu.

Masz, człowieku.

Nie mogę.

Napij się.

Nie.

Myślałem, żeś mówił, że nasz Suttree nie ma nic naprzeciwko, coby pić po Murzynie.

Przestałbyś pieprzyć, co.

Jabbo wił się nieznacznie niczym lekko zaniepokojony jadowity niemrawiec indyjski. Zwiesił dolną wargę z ponurą miną. Powoli potrząsał butelką. To dobra whisky, człowieku. Dla mnie i dla Bungalowa w porządku.

Powiedziałem, że nie chcę.

Jabbo wcisnął mu butelkę w pierś.

Suttree podniósł rękę i delikatnie odsunął flaszkę. Jedynym odgłosem w sklepie był zardzewiały chrzęst zasuwy w blaszanym kominie, kołyszącej się na wsysanym do środka wietrze.

Dzisiaj Święto Dziękczynienia, człowieku. Napij się trochę.

Butelka znów znalazła się na wysokości piersi Suttree'ego.

Lepiej zabierz mi tę flaszkę sprzed nosa, powiedział Suttree.

Prosisz czy rozkazujesz.

Powiedziałem, żebyś zabrał mi to sprzed nosa.

T\i nie Gay Street, matkojebco.

Wiem, na jakiej jestem ulicy. Powinieneś chyba odstawić prochy.

A może poczęstowałbyś Howarda?

On nie pije, odpowiedział Bungalow.

Zamknij się, Bungalow. No, panie Suttree, prosimy, jaśniepanie, napij się trochę z nami, biednymi, poczciwymi czarnuchami.

Do sklepu wszedł Oceanfrog Frazer. Zebrani przy piecu wyczuli jego obecność albo zimny przeciąg, który powiał z zewnątrz, albo zauważyli, że zasuwa komina trzepocze jakoś inaczej. Starucha przesunęła się w kąt, gdzie mamrotała między konserwami.

Przemarznięty Oceanfrog ruszył pod piec, ręce wyciągnięte w geście błogosławieństwa, swobodny uśmiech. Spojrzał na Murzynów, potem na Suttree'ego. Jabbo niepewnie trzymał butelkę.

Przyjaciele i sąsiedzi, powiedział Oceanfrog.

Nasz kochany Suttree nie chce się napić, powiedział Bungalow.

Zamknij się, Bungalow.

Oceanfrog się napije, powiedział Oceanfrog.

Jabbo spojrzał na flaszkę. Oceanfrog wziął ją delikatnie, podniósł i spojrzał pod światło, chociaż Howard Clevinger popatrywał właśnie na zaplecze. Butelka była w dwóch trzecich opróżniona. Oceanfrog przechylił ją. W górę wystrzeliły bąbelki, a we flaszce zagotowało się i zabulgotało potężnie, kiedy alkohol zaczął ściekać po szyjce. Czarne policzki R-azera wydęły się jak balony. Pochylił się i chlusnął długą, przypominającą siki strugą w otwarte drzwiczki pieca, z którego wyskoczył kłąb niebieskich płomieni. Bungalow się cofnął. Oceanfrog ze smutkiem przyjrzał się flaszce, a jego brwi ściągnęły się w małe, sowie kępki nad zimnymi oczami.

Okropna whisky, Jabbo, powiedział.

Znaczy się, że wy pijecie tam whisky?

Nikt tu nie ma żadnej whisky, Howard.

Nie chcę słyszeć, że ktoś pije whisky w moim sklepie.

Nikt z was nie powinien chlać tego cholernego świństwa, Jabbo.

Masz.

A na co mi to, matkojebco?

Oceanfrog ze wzruszeniem ramion wrzucił flaszkę do pieca i Bungalow znów się cofnął. W piecowych bebechach jeszcze raz doszło do syczącej rewolucji. Co powiesz, Suttree?, spytał Oceanfrog.

Niewiele. A jak u ciebie?

Pomalušku.

Kochający cioty matkojebca, powiedział Jabbo.

Chyba będę musiał wyrżnąć kogoś czarną piąchą w ten cholerny kościsty łeb, powiedział Oceanfrog. Nie spojrzał nawet na Jabbo.

Kurde, powiedział Jabbo. Podciągnął swoją kurtkę na ramionach i obrócił się w stronę drzwi. Bungalow popatrzył w ślad za nim. Iść czy zostać? Rozstawił nogi i wyciągnął ręce w stronę ciepła, zastanawiając się nad tym dylematem.

Co z nim?, spytał Suttree.

Myśli, że jest ostry. Ćpa prochy. A stary Bungalow nie idzie w to gówno. Prawda, Bunghole? iy dziuro w dupie.

Bungalow popatrzył nieśmiało w podłogę.

Nie, odpowiedział.

Wyglądasz, jakbyś dostał w łeb worem gówna, Bunghole.

Bungalow nie odpowiedział. Cofnął się, chcąc zwolnić miejsce dla staruchy, która znów podeszła do pieca, przyciągnęła sobie koszyk i

podwinęła spódnicę, żeby na nim usiąść. Kiedy poprawiała szal, Suttree spojrzał na nią, na gęsto posiwiały czubek jej małej głowy. Kilka wszy o szarych grzbietach wycofało się w cuchnącą wełnę.

Nie dorwałżeś dziś gdzie przypadkiem jakiego indyka, co, Bungalow?

Żałuję, ale nie.

Założę się, że Suttree coś złowił.

Jeszcze nie.

Kurde, powiedział Bungalow. Wiecie, że tak.

W ostateczności możemy zjeść u Bungalowa, powiedział Suttree.

Kurde. W moim domu nie ma nic do żarcia.

Oceanfrog odwrócił się, żeby ogrzać plecy. Suttree usłyszał krótki, zduszony szloch, a spuściwszy wzrok, zauważył, że starucha cicho płacze, wciskając swój kościsty kłykieć w nos.

Nasz kochany Suttree, powiedział Oceanfrog. Trzeba na niego uważać. To mistrz w zdobywaniu szmalu. Każ mu roztworzyć ten płaszcz, Bungalow, i sprawdź, czy nie ma pod nim indyka. Popatrzył na Suttree'ego, a potem na przypominający kształtem lalkę stos szczap u swoich stóp. Pochylił się. Hej, powiedział. Co z tobą, mateczko?

Kobieta pomrukiwała, mówiła do siebie i szlochała, i najwyraźniej nie zarejestrowała, że ktoś się do niej odezwał.

Hej, Howard, powiedział Oceanfrog. Kim jest ta stara kobieta?

Skąd mogę wiedzieć.

Skąd Howard może wiedzieć?, powtórzył Oceanfrog. Podszedł do skrzyni, podniósł wieko, poszperał w nim, wrócił z półpintową butelką mleka, schylił się i wcisnął ją staruszce w ręce. Kiedy Suttree wyszedł, ciągle ją trzymała i gadała do siebie, ale przestała już płakać.

Szedł w górę ulicy. Obok dwóch małych chłopców. Hej, chłopaki, zawołał.

Jak się nazywasz?, zapytał jeden z nich.

Suttree. A ty?

Nie było odpowiedzi. Drugi z chłopców rzekł: On się nazywa Randy. To mój brat.

Suttree zmierzył ich wzrokiem. Chłopców otaczał wieniec pary, a z ich nosów zwieszały się kapki smarków. Kto u was jest najstarszy?

Brat Randy'ego na chwilę wbił wzrok w ziemię. Allen, odpowiedział.

Suttree uśmiechnął się szeroko. A ilu jest was wszystkich?

Nie wiem.

Lepiej już chodź, powiedział Randy.

Do zobaczenia, odparł Suttree.

Obserwował ich. Szli w podskokach ulicą, jedno spojrzenie za siebie. Dzieci koloru popiołu, kuśtykające w półmroku. Przyszła zima, w tym mieście szara pora roku w kipieli splamionej sadzą mgły, wiszącej nad miastem niczym biblijna klątwa, ponure środowisko, w którym krajobraz wydaje się rozmyty jak Atlantyda na pozbawionym światła dnie oceanu, widziana niewyraźnie oczami węgorza. Bicie dzwonu na ratuszowej wieży jak ostrzeżenie przed mgłą na spowitym nią wybrzeżu.

W powietrzu woń spalenizny, złożona z zapachu węglowej sadzy i palonej kawy. Drobne ptaszki z trudem poruszają się w szklistym powietrzu.

Przeszedł na drugą stronę ulicy na szczycie wzgórza i ruszył przez oszronioną trawę w stronę poczty. Długi marmurowy korytarz i wyjście z drugiej strony. W górę tą uliczką. Wysokie ceglane ściany koloru mrożonej jodyny. Powolny początek ruchu ulicznego, zgrzyt i chrzęst tramwajów. Gazeciarze przytupujący na rogach ulic, palce pobrzękujące monetami w

poplamionych fartuchach. Na Market Street ustawiają się żebracy jak małe, niekształtne automaty z papierosami albo napojami.

Całe legiony kalek, ludzi dotkniętych niemotą i o powykręcanych kończynach rozwijają się kolumnami na ulicach w czyśćcowych oparach dymu i mgły. Światła aut wyglądały, jakby żłobiły tunele w gazie opatrunkowej. Gołębie gulgotały i gapiły się na ulicę z parapetów hali targowej, ich uskrzydlone postacie frunęły przez szarą mgiełkę. Suttree szedł, dygocząc, w kierunku rosistego neonu na wystawie ozdobionej namalowaną na szkle szynką.

Przyjrzał się śniadaniu przez szybę, gładząc znamię w kształcie lawendowego półksiężyca na swoim podbródku, z boku. Nie znał

nikogo siedzącego w środku, tylko ślepego Richarda, pochylonego nad kawą. Wzruszył ramionami, otulił ramiona płaszczem i wszedł do wnętrza.

Kilka głów się odwróciło. Starzy pierdziele, pochyleni nad swoimi kleikami. Stukot porcelanowych zębów. Stał w progu w całunie zimna, potem ruszył wzdłuż lady.

Richard, powiedział.

Siwa głowa przechyla się na zasuszonej szyi jak łebek ptaka i odwraca. Oczodoły pełne mydła.

Hej, Suttree. Jak się masz?

W porządku. A ty.

Poza tym, że zamarzłem, nie mogę narzekać. Ślepiec pozwolił

sobie na żarłaczowaty uśmiech, odsłaniający czarne zęby i resztki śniadania.

Masz jakąś forsę?

Uśmiech topnieje. Tak jest, odpowiadają szeroko otwarte, jałowe, pozbawione światła gałki oczne.

Co ci potrzeba, Sut?

Daj mi dziesięć centów.

Richard przeszukał szarą kieszeń. Masz.

Dzięki, Richard. Suttree przeszedł wzdłuż baru do wolnego stołka i zamówił kawę. Parujący kubek porannego środka przeczyszczającego.

Niezgrabny, biały wyszczerbiony kubek o piaskowym brzegu.

Pomrugują widma, oleiste kropelki nad nie nadającymi się do picia fusami. Napełnił kubek po brzegi, dolewając śmietanki. Za zasnutymi parą szybami kiwały się przechodzące ulicą postaci, okutane w palta.

Popijał kawę. Wszedł Ulysses. Starannie powiesił kapelusz, usiadł na stołku obok Suttree'ego, położył gazetę i wziął jadłospis do ręki. Ciągle szalejesz na rynku pracy, jak widzę, powiedział.

Dzieńdoberek, Ulyss.

Przyjmował tu kto rano do roboty?

Jeszcze nie. Zobaczmy, co w gazecie.

Ulysses rozdzielił ją i dał mu kilka stron. Suttree zamknął

jadłospis, odłożył go z powrotem na stojak i podniósł wzrok. Dwa sadzone z szynką i kawę, powiedział. Grek skinął głową. Suttree kciukiem podsunął kubek po dolewkę.

Krzynkę się ochłodziło, co nie?, spytał Ulysses.

Rozłożyli gazetę, każdy swoją część. Stuknęły dwa kubki z kawą, które im podano. Wymienili się śmietanką i cukrem, mieszając leniwie napój.

Jo Jo mówi, że temperatura spadła do sześciu powyżej zera, powiedział Suttree.

Mmm, odparł Ulysses.

Na szarym podłużnym półmisku zjawiły się jajka na szynce.

Suttree złożył gazetę i rzucił ją na ladę, pod rękę Ulyssesa.

Chcesz obejrzeć tę część?, spytał Ulysses.

Nie, dzięki. Muszę iść.

Nie spiesz się.

Suttree opróżnił swój kubek i wstał. Grek podniósł wzrok znad plastrów móżdżku, które przewracał na ruszcie. Suttree rzucił dziesięć centów na ladę i zapiął płaszcz.

Jak tam się ostatnio miewa J-Bone, spytał Ulysses.

Mniej więcej jak zwykle.

Nieczęsto już tu przychodzi.

Teraz pracuje.

Ulysses się uśmiechnął. Kolejna ofiara zatrudnienia, co?

Tylu dobrych chłopaków się zmarnowało przez pracę, powiedział

Suttree.

Poszedł Gay Street do niżej położonej dzielnicy miasta, w dół Hill Avenue, minął gmach Andrew Johnsona i Blount Mansion i znalazł się pod wiaduktem. Z ulicy prowadziły tu małe kamienne schodki. W

zimnej, glinianej norze nie było widać żadnych oznak życia.

Gene.

Zdławiony głos w jaskini. Suttree rozejrzał się. Po chwili zawołał

raz jeszcze. Stłumiona odpowiedź nadeszła z małej betonowej klitki, kryjącej izolowane rury i dziwne, szare włókna przewodów elektrycznych.

To ja, powiedział Suttree.

Zziębnięta twarz w drzwiczkach. Harrogate wyczołgał się i usiadł

w kucki na ziemi. Otoczył ramionami swoje skrzyżowane kościste nogi w drelichowych spodniach i spojrzał na Suttree'ego. Ciało Harrogate'a miało jasnoniebieski kolor.

No, powiedział Suttree.

Kurde, odpowiedział Harrogate.

Co się stało z twoim łóżkiem?

Harrogate pokazał gestem za siebie. Wciągiem materac do środka.

Takiej zimnicy jeszcze żem nie przeżył.

No to podnieś dupsko i chodźmy do miasta.

Jakiś czas temu nazad poszłem do hotelu. Podchodzi jakiś czarnuch, pyta się, czego chcę, i musiałżem wyjść.

Masz jakieś pieniądze?

Ani złamanego grosza.

No to już, chodźmy. Zamarzniesz tu.

Jużem zamarzł. Kurde.

Harrogate wstał, splunął, podniósł ramiona w drżącym geście rozpaczy i ruszył po zmarzniętej ziemi w stronę schodów. Pod wojskową kurtką, którą miał na sobie, rysowały się jego łopatki. Wspięli się wyżej, na ulicę, trzymając ręce w kieszeniach.

Jadłeś coś?

Harrogate pokręcił głową. Nie, kurde. Został się ze mnie ino cień.

No to trzeba spróbować wepchnąć ci trochę żarcia w tę wychudzoną kichę.

A ty masz jakie pieniądze?

Jeszcze nie.

Kurde, powiedział Harrogate.

Szli zimną, opustoszałą ulicą. Zerwał się przejmujący wiatr, na chodnikach podskakiwały kuleczki sadzy. Stare gazety wzbijały się i szeleściły w zaułku, dalej toczył się papierowy kubek. Dwie samotne postaci przemierzające wyludnione ulice przeklinały mróz, a na godzinie dziesiątej zza zamarzniętych, wstrętnych miazmatów, które spowiły miasto, z trudem przebijało się coś jakby słońce, liche i nie dające ani trochę ciepła.

Zajrzeli do Lane's Drugs.

Zamknięte.

Jest Święto Dziękczynienia.

Harrogate rozejrzał się wokół. No, cholera, powiedział.

Pójdziemy do Walgreeńs. Tam zawsze mają na obiad indyka.

Za szklaną fasadą wisiały duże plakaty. Dymiący talerz indyczego mięsa z nadzieniem, ziemniakami, groszkiem i żurawinami. Cena wynosiła pięćdziesiąt dziewięć centów.

Jak ci się podoba coś takiego?, spytał Suttree.

Harrogate pokręcił tylko głową.

Przeszli kolejno przez próg i Suttree podszedł do kasy. Spod lady wyłoniła się blondynka w okularach. Trzymała w rękach kartony papierosów,

którymi zapełniała półeczki. Hej, przystojniaku, powiedziała.

Cześć, Mary Lou.

Co porabiasz?

Przyszedłem coś zjeść.

Spojrzała za jego plecy i rozejrzała się. Dobrze, powiedziała.

Przyprowadziłem przyjaciela.

Dobrze, powtórzyła.

Suttree uśmiechnął się, wydął wargi jak do całusa, po czym on i Harrogate ruszyli wzdłuż kontuaru i usiedli na stołkach.

Dwa zestawy obiadowe z indykiem, powiedział Suttree.

Mary Lou zapisała zamówienie na zielonym kuponie. Obaj chcecie kawę?

Chcesz kawy, Gene?

Jak cholera.

Dwie kawy.

Popijali wodę ze stożkowatych, papierowych kubeczków, tkwiących w specjalnych stojakach.

Przestań się tak denerwować, Gene.

Taa, taa, jasne, jasne, powiedział Harrogate. Wpatrywał się w krzykliwie kolorowe afisze nad barem, przedstawiające lody z dodatkami i kilka rodzajów kanapek. Rozejrzał się i nachylił do Suttree'ego. Myślałem, żeś powiedział, że nie masz nic forsy, szepnął.

A ja myślałem, że powiedziałeś, że ty masz.

Ja stąd spierdalam.

Suttree chwycił go za rękaw. Żartowałem, powiedział.

Na pewno?

Na pewno.

Harrogate rozpiął kurtkę i rozglądał się już nieco spokojniej.

Dostali kawę.

Jak spałeś dzisiejszej nocy?

Harrogate wsypywał do kawy obfite porcje cukru. Gorzej jak gówno, odparł. A ty?

Suttree tylko pokręcił głową. Siedzący obok niego na stołku wyrostek o czaplich, dyndających nogach cuchnął niczym wędzone suspensorium. Nawet kelnerka dziwnie przewróciła oczami, przechodząc obok niego, chociaż sama nie pachniała jak różany ogród.

Patrzajcie no tylko, powiedział Harrogate.

Mary Lou postawiła przed każdym z nich biały półmisek. Plastry indyka i nadzienie pływające w gęstym sosie, parujące piure ziemniaczane, groszek, solidna porcja żurawin i gorące bułeczki z wiórkami śmietankowego masła. Harrogate zrobił wielkie oczy.

Chcecie zaś jeszcze kawy?

Tak, psze pani.

Harrogate napchał sobie do ust tyle jedzenia, że oczy wyszły mu z orbit.

Powoli, Gene. Nie znajdziesz żadnej nagrody na dnie talerza.

Harrogate skinął głową, pochylił się nad półmiskiem i otoczył go jedną ręką, celując w okolice swojej dolnej szczęki widelcem, z którego spadało

jedzenie. Nikt nie rozmawiał. Dalej przy ladzie siedział jakiś facet i czytał gazetę. Kelnerka krzątała się, ściągając brudne obrusy z blatów z nierdzewnej stali. Suttree chłonął tę śmiertelnie nudną scenę i jadł. Zamówiłby dokładkę, gdyby się nie bał, że zwróci na siebie uwagę.

Oblicze Harrogate'a, kiedy napełnił już brzuch, przybrało przymilny wyraz, a jego oczy zaczęły strzelać na boki. Wypili więcej kawy. Harrogate pochylił się ku Suttree'emu.

Słuchaj, Sut. Poproszę o rachunek, przejdziemy pode tamtą ścianę i poprzeglądamy czasopisma, a jak zmiarkujemy, że droga wolna, to się stąd wymkniemy.

Nie trzeba.

Do diabła, oszczędzaj forsę. Może nam się przydać. Słuchaj, oni tu nie są za czujni.

Suttree pokręcił głową. Obserwują cię, powiedział.

Jak to obserwują?

Wyglądasz podejrzanie.

Tak wyglądam? A ty?

Wystarczy, że na mnie spojrzą, i od razu wiedzą, że jestem w porządku.

Ach, ty zasrańcu.

Suttree śmiał się z ustami pełnymi kawy.

Chodź, Suttree. Do diabła, możesz wyjść pierwszy, jak chcesz, a ja pójdę za tobą.

Suttree otarł podbródek i spojrzał z góry na wyrazistą i dziwnie pomarszczoną dziecinną buzię Harrogate'a, pogrążoną w ekstatycznym zachwycie nad drobnym oszustwem. Gene?

Taa?

Rozwalasz mnie.

Taa. No.

Stanęli na ulicy pod wiatr i dłubali w zębach.

Co będziesz robił?

Nie wiem. Marzł.

Nie znasz nikogo na wzgórzu, kogo mógłbyś niby odwiedzić czy coś?

Nie wiem. Może mógłbym zaś pójść do Rufusa.

W każdym razie gdzieś się zamelinuj. Ja pójdę zobaczyć, jak się miewa stary. Coś wykombinujemy.

Podług mnie to koniec świata.

Co?

Harrogate patrzył na chodnik. Powtórzył to, co powiedział.

Popatrz na mnie, odezwał się Suttree.

Harrogate podniósł wzrok. Smutna, ściągnięta z zimna twarz, upstrzona brudnymi smugami.

Mówisz poważnie?

No, a co ty zaś o tym myślisz?

Suttree się roześmiał.

To nie jest śmieszne, powiedział Harrogate.

Ty jesteś śmieszny, ty porąbany skurwysynu. Myślisz, że świat się skończy tylko dlatego, że jest ci zimno?

Nie tylko mnie. Wszędzie jest pic.

Nie przy piecu u Rufusa. A teraz spieprzaj do niego. Zobaczymy się później.

Na moście w górę rzeki powiał zimniejszy wiatr i Suttree pomykał

przed siebie chyłkiem jak garbus. Na drugim brzegu zlazł z zamarzniętego błotnistego brzegu i dał nura pod most. Ogniska nie było.

Ho!, zawołał.

Och, odpowiedziało echo spod mostowych łuków.

Wszedł głębiej i rozejrzał się wokół. Łóżko starca, jego wózek, stosy rupieci, śmieci i mebli. Wyżej, z nieszczelnych kielichowych łączeń rur ściekowych zwisały zmarznięte sople. Suttree odwrócił się, wszedł z powrotem na brzeg i w ulicę i znowu przekroczył most.

Powędrował przez Market Street na wzgórze, na Vine Avenue i dalej, do taniej noclegowni, pół dolara za noc, dom ze starych, poczerniałych cegieł i dwuspadowy, mansardowy dach, pokryty dachówkami w kształcie rybich łusek. Szukał dzwonka, ale z otworu zwisały jedynie druty, zastukał więc w szybki drzwiowe. Uginały się miękko i bezdźwięcznie w ołowianych oprawkach. Zapukał do drzwi.

Po chwili nacisnął klamkę. Drzwi okazały się otwarte, więc wszedł.

Zimny, wąski hol. Zamknął drzwi i zagłębił się w półmrok, wołając halo. Nikogo nie było widać. Przystanął przy ślimacznicy kwiatonu na poręczy schodów i podniósł wzrok na zimną, czarną czeluść schodów.

Nasłuchiwał. Odgłosy siąkania nosem. Ktoś splunął. Wrócił korytarzem i otworzył drzwi. Salon pełen bezdomnych. Wyglądało to na początki jakiegoś powstania geriatrycznego, kongregacja obdartusów na

rozchwianych krzesłach, wszyscy siedzieli wokół patentowego, żelaznego piecyka, starzy ludzie o ziemistej cerze przycupnięci wokół

źródła ciepła w poza tym nieumeblowanym pokoju, kiwający głowami, pomrukujący i spluwający pełnymi paprochów i krwi glutami na gorące żelazo, gdzie plwociny skwierczały i cuchnęły. Szmaciarz kulił się w kącie na starym kominku, niemal dokładnie za żelaznym piecem. Suttree zauważył, że wznosi swoje niewidzące na większą odległość oczy. Stary nie wiedział, kto przyszedł, dopóki Suttree nie zawołał go po imieniu.

Kto tam?, spytał, wyciągając szyję i patrząc ku górze.

Suttree.

Ach, rzekł szmaciarz.

Suttree uśmiechnął się. W pokoju wisiała ciepła woń brudu skrzyżowana z odorem uryny.

Co porabiasz?

Pleśnieję. A ty?

Marznę.

To dopiero początek. Ino patrzeć, jak rzeka całkiem zamarznie.

Lepiej ściągnij cumy, bo zaś lód ci je przetnie. I nigdy ich nie znajdziesz. Widziałem to parę razów. Załóż się.

Suttree kucnął i wyciągnął ręce do ognia. Z góry przyglądał mu się jakiś mężczyzna o fiołkoworóżowej, trupiej twarzy.

Kiedy tu przyszedłeś?, spytał Suttree.

Dwa dni temu nazad.

Suttree rozejrzał się. Fiołkoworóżowy patrzył w dziurę w podłodze. Z jego dolnej wargi zwisała drżąca nitka śliny, sięgająca mu niemal do pasa.

Długo zamierzasz tu zostać?

Szmaciarz wzruszył ramionami, przypominającymi skrzydła myszołowa. Jak długo potrzymie mróz. Nic o to nie dbam. Chciałbym ino umrzeć, lepiej bym na tym wyszedł.

Suttree puścił te słowa mimo uszu. Słyszał to już nieraz. Ilu ludzi tu mieszka?, spytał.

Szmaciarz zrobił szeroki gest ręką. Nie wiem. Pewnikiem te wszystkie, co tu są. Jak się nie mylę, to w tym domu ni ma inszego ciepłego miejsca.

Gdzie są pokoje, na górze?

No, na górze. Syćkie łóżka zajęte.

Fiołkoworóżowy przysłuchiwał się ich rozmowie. Łóżko Cecila nie, powiedział.

No tak. Cecila nie.

Kto to jest Cecil?

Po prostu stary Cecil. Umarł.

Och.

Ino że wcale nie w łóżku.

A gdzie?

Na mieście. Upił się za bardzo, coby tu wrócić, i widzi mi się, że zasłabł. Gadali, co mu się zamarzło. Ja tam nie wiem.

Zamarzło mu się, powiedział Fiołkoworóżowy. Staremu Cecilowi.

Cecilowi się zamarzło.

Stary Cecil zamarzł od stóp do głów

Więc był sztywniejszy niż drut

Choć filtrowany denaturat pił

I rozcieńczał płyn do mycia szyb

Suttree machnął ręką, dając do zrozumienia, że nie chce tego słuchać. Towarzystwo dyskutowało o Cecilu. Wszyscy byli zgodni, że dzień jego śmierci był zimny. A ten jest jeszcze zimniejszy. Zimniejszy niż dupa kopacza studni, powiedział ktoś, a ktoś inny dodał, że niż cycek czarownicy. Niż cipa siostry zakonnej, dorzucił ktoś trzeci. I to we Wielki Piątek.

Suttree pochylił się i dotknął ramienia starca. Płaszcz z dziurawymi na łokciach rękawami. Szmaciarz ocknął się z drżeniem i spojrzał na niego nieszczęsnym, czerwonym okiem.

Z kim trzeba tu rozmawiać w sprawie pokoju?

Nie ma zaś tego faceta.

Pokój kosztuje pięćdziesiąt centów, nie?

Za nockę tak. Można wynająć na tydzień, to wychodzi taniej. Dwa pięćdziesiąt. Jak masz. A co jest nie tak u ciebie w domu? Chyba cię nie wyrzuciły, co?

To miejsce nie dla mnie, dla kogoś.

To weź lepiej powiedz temu komuś, coby przyszedł. W taki ziąb.

Nie może być tak, żeby każdego dnia ktoś umierał.

Kiedy wraca ten gość od pokoi?

Skąd mam wiedzieć.

Mogę zajrzeć na górę?

Możesz zajrzeć, gdzie ci się zaś żywnie podoba, bo go nie ma.

Trzeba ci czegoś?

Wszystkiego.

Suttree wstał.

Przynieś co do żarcia, powiedział szmaciarz. I możesz tu sobie posiedzieć. Wskazał na górę szarą ręką, owiniętą kawałkiem skarpetki.

Na jedynej fajerce żelaznego pieca stała puszka po smalcu, a na niej przyciśnięta kamieniem okrągła forma do pieczenia, która uniosła się z jednej strony jak cienka żabia paszcza, beknęła kłębem pary i opadła z trzaskiem na miejsce.

Zobaczę, co da się zrobić, powiedział Suttree. Okrążył na wpół

zdemenciałych staruchów i przesyconych rumem ramoli i wszedł na schody.

Przez okno na końcu korytarza wpadało przyćmione światło.

Wszystkie drzwi zostały zdjęte z zawiasów i wyniesione. Suttree zajrzał

do starego buduaru, gdzie pod ścianami leżały materace. Wystrzępione, szare koce wojskowe. Pod oknem siedział w kucki jakiś wątły mężczyzna i się onanizował. Nie spuszczał oka z Suttree'ego i nie przestawał tarmosić swojego sflaczałego i wymiętoszonego kutasa. W

pokoju panowało śmiertelne zimno. Suttree odwrócił się i zszedł z powrotem po schodach.

Drzwi otworzyła pani Rufus.

Zimno, no nie?, powiedział Suttree.

Pokazała mu gestem, żeby wszedł.

Harrogate siedział przy piecu w otoczeniu zgrai Murzynów, z których wszyscy byli już pijani albo starali się upić. Kiedy Harrogate odwrócił się i podniósł głowę, Suttree zauważył, że nawet on, mieszczuch, chwieje się na nogach.

Jak, do cholery, udało ci się tak szybko schlać?, zapytał.

Normalnie, pijąc whisky. Napij się, Sut, do diabła. Daj mu pić, Cleo.

Kanciasty Murzyn o krzywych zębach wyciągnął kwarciany słój po piklach, do połowy wypełniony bimbrem. Suttree ruchem ręki pokazał, że nie chce.

Gdzie Rufus?

Nie ma go.

To widzę.

Mówiłam temu kretynowi, coby mu nie dawał tej whisky, odezwał

się zza jego pleców stłumiony pisk pani Rufus.

Nie lałżem mu jej w gardło, odpowiedział ciemny karzeł, siedzący przy drzwiach pieca.

Suttree się rozejrzał. No to chuj, powiedział.

Co to za koleś?, spytał śniady, piegowaty mieszaniec. Mała głowa pokryta kępkami miedzianych drucików.

On jest w porządku, człowieku, on jest w porządku, odpowiedział

Harrogate, który czuł się tutaj już zupełnie swobodnie.

Suttree odwrócił się i wyszedł. Zamknął drzwi za sobą i ruszył

małą, wysypaną żużlem ścieżką obok chlewa, w drucianą siatkę wcisnęła się para ryjów, usiłujących wyczuć jego zapach. Długie, przyklapnięte uszy,

blade oczy obserwujące go z królestwa zmrożonego błocka. Wyszedł na drogę i skierował się przez wiadukt w stronę miasta.

Padał leciuteńki deszczyk sadzy, a wokół niego nagle roztrzepotało się stadko małych ptaków, przemieszczających się ze słabym, zgrzytliwym odgłosem w mroźnym powietrzu. Suttree spojrzał w dół na wijący się niżej czarny strumień i szare tafle ząbkowanego lodu. Szedł dalej w stronę miasta, bezbarwnego świata owego zimowego popołudnia, tam gdzie wszystko ma ziarnisty wygląd jak na starych filmach, a budynki wznoszą się w profetyczną i poważną ciemność.

Ruszył w górę Central, zgarbiony, z rękami głęboko w kieszeniach. Niewidomy żebrak, przymulony z zimna, siedział na pustej tego świątecznego dnia ulicy, wyśpiewując kantyczki do wiecznej nocy i wyciągając swoje niepozorne, zmarznięte pazury po jałmużnę, która mogłaby mu do nich wpaść. Suttree odchrząknął i strzelił glutem flegmy, trafiając w zabite deskami okno wystawowe jakiegoś sklepu, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy. Po drodze jego wzrok padł na leżący w rynsztoku żeton tramwajowy. Schylił się, żeby go podnieść.

Niewielki, mosiężny krążek z wybitą literą K. Po drugiej stronie ulicy wskoczył w otwarte drzwi stojącego tramwaju, wrzucił żeton do szklanego pojemnika i wszedł głębiej do wagonu. Motorniczy patrzył na niego w lusterku. Suttree rozparł się na zimnym, skórzanym siedzeniu i wyjrzał na zewnątrz.

Nad sklepami zapalały się światła, tu i ówdzie neon, niespodziewane marne świecidełka na tle niebieskoszarego zmierzchu.

Bajkowe różności na wystawie lombardu. Drzwi stuknęły, zamknęły się z szelestem i tramwaj szarpnął do przodu. Blade kopuły świateł pod oknami, ciągnące się wzdłuż przejścia, stały się jeszcze bardziej woskowożółte. Siedzenia z przodu wagonu były puste, ale dwaj Murzyni stali niczym gibbony, uwiesiwszy się jedną ręką chromowanego uchwytu w górze, i kiwali się na boki, w miarę jak pojazd nabierał

prędkości. Suttree starł szron z szyby otwartą dłonią i przez powstały w ten sposób świetlik przyglądał się kilku postaciom oddalającym się od niego na

chodniku. Współmieszkańcy miasta, którym zawładnęła zima.

Przelotny obłoczek gorącego neonu zmył z szyby smutne oblicze Suttree'ego. Wsparł głowę na zimnym szkle, obserwując przechodniów, wlokących się od jednego do drugiego kręgu światła latarni, ciągnących za sobą wstęgi pary, pochylone postaci, zmierzające do domu.

Wyczuwał zapach starego, lakierowanego drewna ram okiennych i mosiężnych zapadek. Tramwaj zwolnił i znowu skoczył naprzód. Niżej przejeżdżały samochody, chrzęst opon na kostce brukowej. Znikały kolejne budynki. Jechali przez zmrożoną, błotnistą, księżycową równinę, usianą skamieniałymi śladami psich łap. Pod światłami billboardów rozciągały się niewielkie konstelacje miki.

Zwisające płytką krzywizną między słupami przewody elektryczne przesuwały się za oknem, a w brzuchu Suttree'ego niczym jajo podróżowała samotność.

Brzęk dzwonka. Archaiczny pojazd staje ze zgrzytem. Powłócząc nogami, ludzie wychodzą przez składane drzwi. Wilgotny, pneumatyczny syk, potem chrzęst i tramwaj znowu rusza. TWoja twarz wśród brązowych toreb. Starsza pani czeka, żeby przejść na drugą stronę ulicy. Mruga powiekami, kiedy obok przetaczają się na wpół puste kadry. Dalej w żółto oświetlonym oknie jakiegoś domu dwie twarze na zawsze znieruchomiałe naprzeciwko siebie w rodzinnej sprzeczce niczym gotowe do ataku zwierzęta. Szybki przejazd tego, kto petryfikuje te niewiniątka w kamienną historię.

Przejechali obok opustoszałego parku, centralna aleja, diabelski młyn sterczący jak wypalona armatura, czarny i zimny na tle odległych latarni. Tramwaj przechylił się głęboko pod ceglanym murem i ruszył, grzechocząc ulicą, na której za oknem w niebieskim, stroboskopowym świetle trzeszczącego pantografu migały wulgarne napisy, nabazgrane spłukaną przez deszcze kredą. Wtoczyli się do długiej zajezdni i zatrzymali, wygaszając światła.

Koniec trasy, kolego, zawołał motorniczy.

Wrócą z tobą do miasta, odparł Suttree.

No to będziesz musiał tu przyjść i wrzucić żeton do kasy.

Myślałem, że za jeden żeton można jeździć do woli.

Nie na tej linii.

Suttree wstał i ruszył przejściem między siedzeniami, przepatrując podłogę w poszukiwaniu przypadkowej monety albo żetonu wśród wypalonych zapałek i papierków po gumie do żucia. Posłuchaj, powiedział. Nie mógłbym po prostu z tobą wrócić?

Opłata jest ważna tylko w jedną stronę, odpowiedział motorniczy.

Nie mam drugiego żetonu.

Pięć za trzydzieści centów. Albo dziesięć centów jednorazowo za przejazd.

Nie mam pieniędzy.

No cóż, powiedział motorniczy. Wyciągnął rękę, wziął swoją małą skórzaną torbę i wstał. Przyjemnie by było na świecie, gdyby każdy mógł sobie tak po prostu jeździć i jeździć.

Zszedł po schodach, niosąc swoją torbę, i przeszedł przez gęsty, elektryczny półmrok zajezdni do dyspozytorni. Suttree wyszedł na ulicę.

Z ciemności jak sowy wyłoniło się i zaraz cofnęło kilka świateł

samochodowych. Stał pod latarnią z wyciągniętym kciukiem, próbując złapać okazję. W cienkim płaszczu przemarzał chwilami na wskroś.

Tramwaj wyłonił się z zajezdni, jakby przyciągany przez łagodny snop żółtego światła własnego reflektora czołowego, i zaturkotał obok.

Murzyni kiwali głowami w paskach swoich okien. Tramwaj dla lalek albo zlodowaciałych trupów.

Stojąc jedną nogą na jezdni, odprowadzał gniewnym wzrokiem motorniczego bez kasku, wagony o wysłużonych resorach pojękiwały i

bujały się w okowach złączy, na drutach elektrycznych trzasnęła pożegnalna niebieska gwiazda i tramwaj odjechał w noc. Suttree ścisnął

się za uda przez wytarte kieszenie i ruszył przed siebie po zarośniętym zielskiem chodniku. Światła Knoxville drżały w słabym półcieniu na zachodzie, jak drżą zapewne ruiny wielu starszych miast, oglądane z gór przez pasterzy, przez wlokące się górskimi drogami barbarzyńskie plemiona. Miał przed sobą wiele mil i trzymał wzrok wbity w ziemię, na przejmującym zimnie ogarnął go płaczliwy, mrukliwy nastrój, w samotnym świetle latarni.

12

Stary kolejarz rozpalił ogień w żelaznym piecyku i przyciągnął do niego stojące w poprzek łóżko, żeby się ogrzać. Suttree zasunął za sobą drzwi. Z tyłu na torach szare szczątki letniego zielska wyglądały na pomarszczone i bardzo stare.

Chodź, siednij przy ogniu, powiedział starzec. Nie wiedziałżem, że jest taki ziąb.

Wniosłem ci go do środka. Jak się masz?

Fatalnie, jak zawsze. A ty jak dajesz radę?

Mało nie zamarzłem. Pomyślałem sobie, że sprawdzę, czy jeszcze żyjesz.

Starzec zachichotał pod nosem. Ach, Boże, powiedział. Taki mrozik chyba mnie nie zabije, nie sądzę. Siednij.

Podniósł się nieco i chwiejnie odsunął na bok, jakby po to, żeby gość miał gdzie usiąść, a potem opadł z powrotem na to samo miejsce.

Suttree przysiadł na krawędzi łóżka. Dziwnie podobne do jego pryczy.

Szorstki, wojskowy koc. Starzec czytał jakąś pozbawioną okładki książkę, odłożył ją, zdjął okulary i uszczypnął się w grzbiet nosa. Pod ścianą stało niewielkie biurko, a na jego półeczkach leżały pożółkłe rozkłady jazdy, rachunki i luźne kartki. W dalszym kącie piętrzył się wielki stos starych gazet i czasopism. Starzec wyraźnie wodził

wzrokiem za spojrzeniem Suttree’ego. Nie chcem już gazet, powiedział.

A to dlaczego?

Zaś nigdy nie czytam w nich nic poza tym, że kogoś zamordowały albo zastrzeliły albo coś takiego. W życiu żem nie wiedział, że tyła jest zła na

świecie.

A kiedyś było inaczej?

Że jak?

Pytałem się, czy kiedyś było inaczej.

Nie. Widzi mi się, że nie.

No, to zawsze pisali o tym w gazetach, prawda?

Tak. Ale ja gazet już po prostu nie chcem i kropka. Starzeję się, to i nie chcem o tym słyszeć. Ludzie są dziwne. Nie chcom słuchać o tym, że wszystko jest bardzo ładnie. Nie, nie. Jak w gazetach nie pisze, że ktoś tam kogoś zamordował, to dla nich dzień stracony. Ja już nie chcem gazet. Wszystko jużem widział. Zawsze to samo. Oczywiście wypadki kolejowe. Klęska żywiołowa. Taki wypadek kolejowy, to daje do myślenia.

Widziałeś kiedyś wypadek kolejowy? o tak.

A który był najgorszy?

Taki, co żem go widział, czy taki, com o nim słyszał? i taki, i taki.

Nie wiem. W Letohatchie, w Alabamie widziałżem, jak urwał się kocioł, wybuchnął i całą lokomotywę, i wszystko wywaliło na wiadukt, ale wagony normalnie zostały się na torach. Pociąg stanął, coby nabrać wody, tylko że zanim nalali do pełna, poszło sklepienie skrzyni paleniskowej. To żem sam widział. Ale jedna taka lokomotywa wybuchła w parowozowni w San Antonio, w Teksasie, w tysiąc dziewięćset dwunastym, rozwaliła całą parowozownię i dużo różnych budynków oprócz tego. Kawałek kotła, co ważył tysiąc i sześćset funtów, znaleźli ćwierć mili od miejsca wybuchu. Inny, co miał prawie tysiąc funtów, roztrzaskał jakiemuś facetowi dom pół mili dalej. Byłem wtenczas młody, ale pamiętam, żem o tym czytał, jakby to było wczoraj.

Pisało o wszystkich stratach i uszkodzeniach. Widzi mi się, że było dwudziestu ośmiu zabitych i nie wiem, ilu takich, co to na całe życie zostali

się kalekami.

Suttree spojrzał na starca. Kawał żelastwa ważący tysiąc funtów przeleciał pół mili?, zapytał.

O tak. Jakby nie walnął w dom tego gościa, to może by leciał dalej.

Chciałbyś zobaczyć taki wypadek, Daddy?

Starzec spojrzał na Suttree'ego z niepokojem. Zobaczyć?, spytał.

Niby jak, skąd?

Rozumiem, odparł Suttree.

Oczywiście, zdarzali się o wiele gorsze wypadki. Raz kiedyś, będzie ze dziesięć lat temu nazad, wykoleiła się lokomotywa Pennsy w Filadelfii, pękła oś rdzennicy, parę wagonów wyrzuciło na most i w sumie zginęło osiemdziesiąt ludzi. Najgorsze katastrofy to takie harmonijki. Jeden wagon wbija się w drugi, wygarnia wszystkich z foteli i koniec końców robi z nich jedną wielką, szarą miazgę. Poza tym są oczywiście mosty i estakady. Pamiętam, jak kiedyś dwa pociągi wjechali na dwutorową estakadę w Kentucky, jechali w przeciwnych kierunkach, ale mniej więcej wtenczas, jak się zrównali, cała konstrukcja normalnie się zapadła i poleciała do rzeki. Estakada, lokomotywy, tendry, auta, ludziska. Wszystko. Chlup. W tamtych czasach estakady byli w większości drzewniane. Wagony też, stali w nich piecyki, coś takie, jak ten tu, i jak był wypadek, to się przewracali, stawali w ogniu i wszyscy we środku ginęli w płomieniach. Powiadam ci, w tamtych czasach trza się było dobrze zastanowić przed wejściem do pociągu.

Starzec wstał ciężko z łóżka, otworzył drzwiczki pieca, dorzucił

węgla z kubła i usiadł z powrotem. Wcisnął grzbiet kłykcia w nos. Na zewnątrz zrobiło się już prawie ciemno, a w okienku pod dachem pojawił się kot i miauknął.

Tędyk nie wnijdziesz, idioto, zawołał starzec. Podejdźże do drzwi, jak wszyscy.

Jak byłem młody, tom ci o nic nie dbał, ciągnął starzec. Zawsze i wszędy czułżem się swobodnie. Widziałżem kawał świata. Nigdy żem nie chciał jeździć byle gdzie.

Jak to się stało, że skończyłeś tutaj?

Jeszcze zaś nie skończyłem. Kiedyś sporo żem się włóczył.

Dawno, w latach trzydziestych. Nie było roboty, choćbyś nie wiem co umiał. Jednej nocy jechałem ci ja przez góry w Kolorado. Była pełnia zimy i okropnie zimno. Miałem ino krzynkę tytuniu, na jeden albo dwa skręty. Jechałem w takim starym wagonie, obitym listewkami, i latałem po nim jak pies, bo chciałżem znaleźć miejsce, gdzie by nie wiało.

Kucłem szybko w kącie, skręciłem fajkę, zapaliłem i rzuciłem zapałkę.

No, a na podłodze leżało coś jakby gałązki na rozpałkę i to się zajęło.

Skoczyłżem i zaczęłem zadeptywać ogień, ale od tego ino się szybciej paliło. Nie minęli dwie minuty, jak cały wagon stał w ogniu. Pobiegłem do drzwi, udało mi się je roztworzyć, a jechalimy akurat w górę zbocza, przez ośnieżone góry, we świetle księżyca, więc góry wyglądali normalnie na niebieskie, było śmiertelnie cicho i mijalimy akurat takie wielkie, stare czarne sosny. Wyskoczyłem, coby się ratować, wylądowałżem na zaśnieżonym nasypie, a to, co ci teraz rzeknę, wyda ci się dziwne, chociaż to święta prawda. Było to w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym i nawet jak dożyję setki, pewnikiem już nie zobaczę niczego tak ładnego, jak ten płonący pociąg, co to wjeżdżał pod górę i znikał za zakrętem, a potem płomienie, które rozświetlali śnieg, drzewa i noc.

13

Kiwali głowami i dygotali w zaparowanym samochodzie, a na zewnątrz krążył szary świt. Postękali, poruszyli się i spali dalej. W

pewnym momencie w nocy Sharpe obudził się zmarznięty, bez płaszcza, i wylazł pokręcić się trochę po ulicy, żeby pozbierać papiery i kawałki desek z połamanych skrzyń. J-Bone wyprostował się na przednim siedzeniu. Co to?, zapytał.

Która godzina, Jim?

Nie mam zegarka. Skąd ten dym?

Z tego ogniska, tu.

J-Bone podniósł się i obejrzał nad oparciem fotela. Sharpe rozpalił

na podłodze niewielkie ognisko i grzał nad nim ręce. Uważaj na nogę Cabbage'a, powiedział J-Bone.

Sharpe podciągnął swoje kościste kolano.

Hej, Cabbage, wyciągnij nogę z ognia.

Cabbage usiadł gwałtownie i osunął się z powrotem.

Chyba powinniśmy raczej rozwalić to okno, nie?, zaproponował

J-Bone.

Uśmiechnęli się do siebie szeroko poprzez dym i płomienie.

Zaraz mi dupa odmarznie. Jak myślisz, która godzina?

Nie wiem. O której robi się jasno?

Cholera wie. Jesteś pewien, że otwierają o piątej?

Taa. Od lat.

Sharpe wpatrywał się w niebieskoczarną noc, w potężne, wysokie budynki i kilka latarni ulicznych spowitych mgłą.

Sporo tego dymu, powiedział J-Bone.

Czy Suttree ma zegarek?

Nie. Nie wydaje mi się. Pochylił się, żeby zobaczyć. Suttree leżał

bezwładnie pod kierownicą z rękami splecionymi między kolanami.

Sharpe opuścił tylną szybę. Przez cały samochód przetaczały się kłęby czarnego dymu.

Cabbage podniósł się i spojrzał na Sharpe'a przepitymi, zaspanymi oczami. Co się dzieje?, zapytał.

Czekamy na to piwo, co będzie o piątej.

Samochód się, kurwa, pali.

Próbujemy się trochę ogrzać, Cabbage, odpowiedział J-Bone.

Cabbage przeniósł wzrok z jednego na drugiego. Jesteście stuknięci, skurwiele. Otworzył drzwi i wyszedł chwiejnie na ulicę.

J-Bone wysiadł z drugiej strony. Chodź, Sharpe. Przejdźmy się trochę, bo zamarzniemy.

Zobacz, czy nie ma tu gdzie trochę więcej chrustu.

Suttree obudził się i wyjrzał przez okno. Uliczką właśnie odjeżdżała śmieciarka. Usiadł. Był sam w samochodzie. Otworzył

schowek, pogmerał w nim i zamknął go z powrotem. Wsunął rękę pod fotel i zajrzał do tyłu. W poczerniałej skorupie spalonej gumy na podłodze tliły się resztki ogniska. Wyjrzał na ulicę. Trząsł się z zimna.

Wygramolił się sztywno z samochodu i zamknął drzwi. W

ciemności zaczynał się ruch na ulicach, otoczone bladymi całunami pary reflektorów przejeżdżających samochodów świdrowały mrok. Przed ich jakby kuśtykającymi światłami przeszedł pies. Suttree wepchnął ręce głęboko do kieszeni, przygarbił się i ruszył przez ulicę.

Siedzieli rzędem na stołkach za ociekającymi wodą oknami w Signal Cafe i raczyli się piwem. Przy bufecie siedział pochylony nad kawą stary gazeciarz. Suttree z impetem wszedł do środka, chuchając w dłonie, i zajął wolny stołek.

Ten cholerny Suttree jest jak budzik, co go nastawić na piątą, powiedział Sharpe.

Ze Sutem nie balimy się, że zaśpimy.

Daj mi redtopa, powiedział Suttree do barmana.

Dobrze żeś wypoczął, Sut?

Wy skurwiele, pozwolilibyście, żeby człowiek tam leżał i zamarzł

na śmierć.

Miałem po ciebie iść, Bud.

Opał nam się skończył.

Długo tu siedzicie?

To nasze pierwsze piwko. Do diabła, dopiero co otwarł.

Suttree złapał stojącą przed nim butelkę, napił się, wyprostował

ramiona i znów pociągnął łyk. Po drugiej stronie ulicy neonowy napis, który głosił kiedyś Earle Hotel, brzmiał teraz le Ho. Dwaj robotnicy z pudełkami z drugim śniadaniem pod pachą przytupywali, paląc papierosy na rogu ulicy. Suttree spojrzał na swoich towarzyszy. Ich butelki unosiły się i opadały niczym przeciwwagi. Już myślałem, że się nigdy nie doczekam tej piątej, powiedział J-Bone.

Przed dziewiątą wieczorem było ich dwunastu albo więcej, co do jednego dobre dusze z McAnally. Godzinę później siedzieli w gospodzie Indian Rock.

Lawirowali między stolikami, Billy Ray Callahan przystawał przy tych, od których odeszły dziewczyny, żeby zatańczyć, i zostawiły torebki wśród drinków. Opróżniał ich szklanki, wyciągał pieniądze z torebek i szedł dalej, uśmiechając się i pozdrawiając skinieniem głowy znajomych i nieznajomych, aż minął stolik, przy którym siedział jakiś młody wielkolud. Callahan uśmiechnął się do niego zachęcająco.

Co powiesz, wielkoludzie.

Wielkolud odwrócił wzrok.

Zsunęli stoliki, zamówili colę i powyciągali butelki z whisky.

Tancerze wirowali pod pochylającą się nad nimi chmurą dymu, a szybka muzyka country niczym uwertura wypunktowywała wiszącą w powietrzu zapowiedź przemocy i błyskotliwe odzywki, krążące w rozgrzanej sali. Suttree i J-Bone wyszli do męskiej toalety. Cabbage roztańczył się tymczasem na parkiecie, dziewczyna się śmiała. Siedzący przy sąsiednim stoliku Kenneth Tipton wyciągał rękę.

Musimy przelecieć te cipki, powiedział J-Bone.

Nie upijmy się za bardzo.

Kiedy wrócili, ich stolik zniknął. Z drinków pozostała kupa szkła i lodu na mokrej betonowej podłodze, a stolik leżał wciśnięty w kąt. Jedną z nóżek stolika Suttree zauważył w czyjejś dłoni. Wokół szybko zrobiło się pusto,

ludzie przemykali pod ścianami. Suttree zobaczył, jak Hoghead zakrada się na tyły falangi wojowników, cofa, uderza jakiegoś chłopaka w tył głowy za uchem i idzie dalej. Earl Solomon, przebierając nogami, wypadł tyłem z szeregu i wyrżnął o ścianę. Paul McCulley samotnie wymieniał ciosy z trzema chłopakami przed drzwiami damskiej toalety, które co chwila otwierały się i zamykały, gdy wyglądały zza nich kolejne dziewczyny.

Lepiej odciągnijmy ich kilku od Hulleya Babe'a, powiedział

J-Bone.

Ruszyli w głąb sali, ale nie uszli daleko, gdy ktoś wpadł na J-Bone'a. J-Bone odepchnął go, tamten odwrócił się, zamachnął i rzucili się na siebie. Suttree przedarł się do Paula, chwycił jednego z tamtych chłopaków za rękę, szarpnął najpierw w jedną, potem w drugą stronę i rzucił go na stolik, zastawiony opróżnionymi do połowy szklankami.

Chłopak wrzasnął coś do Suttree'ego, ale nie było go słychać w harmidrze bijatyki. Paul trafił jednego z dwóch pozostałych przeciwników, który upadł, wstał i odszedł na bok. Trzeci uderzył

Suttree'ego w głowę, z boku. Suttree przyjął pozycję bokserską, zrobił

unik, a chłopak zauważył, że atakuje go McCulley, i powiedział: Dwóch na jednego to się trzaskać nie będę.

Ach, ty spietrany skurwielu, powiedział McCulley. Jak ja byłem sam, to żeś nie miał nic naprzeciwko temu. Popchnął chłopaka na ścianę, ale ten się odwrócił i uciekł.

Łapaj tego małego jebańca, Red, zawołał McCulley.

Callahan stał z zakrwawioną głową w otoczeniu stosu leżących ciał i rozglądał się wokół. Wyciągnął rękę i niemal delikatnie złapał

chłopaka za ramię. Trach, powiedział. Suttree odwrócił głowę.

McCulley otoczył go ramieniem, przytulił, zaśmiał się i zaraz pociągnął

w wir walki.

Z kim my się, kurwa, bijemy?, zapytał Suttree.

A kogo to, kurwa, obchodzi? Jak ktoś nie jest z McAnally, to go w łeb.

I pochłania ich mroczna bijatyka, zadymiona sala to ziemia niczyja, pełna morderczo wyglądających pijaków o krwawiących oczach, którzy zataczają się i cuchną bimbrem. Szuranie nóg, głuche uderzenia pięści. Długi, nie kończący się chrzęst tłuczonego szkła i łamanych krzeseł, a wyżej rozbrzmiewający co jakiś czas świst butelek whisky, przelatujących przez salę niczym pociski artyleryjskie, eksplodujące na ścianach z drewnianych bali. Suttree'ego zalała ludzka fala. Podniósł się z trudem. W całym tym zamieszaniu znalazł

otoczonego na pozór nimbem spokoju Kennetha Tiptona, który trzymał

się za nadgarstek i na przemian zaciskał i otwierał palce. Rozpierdoliłem sobie łapę, powiedział. Potem uniósł go tłum.

Podłoga zrobiła się śliska od whisky i krwi. Ktoś podbił

Suttree'emu oko. Próbował znaleźć wzrokiem J-Bone'a, ale go nie widział. Zauważył przemykającego obok Callahana, który jedno oko miał połyskliwie niebieskie i uśmiechał się, jego zęby pokrywała krwawa maź. Ruchliwe, piegowate pięści Billy'ego Raya przenosiły ludzi do krainy snu. Suttree zauważył, że w czyjejś zaciśniętej dłoni ponad walczącymi unosi się butelka, a potem zobaczył, jak rozbija się na proszek na głowie kogoś, kogo nie znał.

Bójka przetoczyła się pod ścianę damskiej toalety, której konstrukcja jęknęła i zachwiała się niczym pijana. Suttree zobaczył, jak czyjaś głowa odskoczyła do tyłu, wybijając w ściennej płycinie miseczkowate wgłębienie. Ktoś w kącie zajmował się jakimś starszym facetem, chusteczkami do nosa próbując zatamować płynącą mu z ucha krew, a ów starszy facet miał ochotę przyłożyć swojemu pielęgniarzowi, byle tylko wrócić do walki. Odtrącił opatrującą go rękę, jego naderwane ucho zwisło bezwładnie. Pod ścianą bramkarz torował sobie drogę przez tłum niczym

żniwiarz, okładając gości drewnianą pałką. Gdy trafił na McCulleya, ten wyrżnął go solidnie w szczękę. Bramkarz zatoczył się do tyłu, potrząsnął głową i ruszył znów do ataku, wymachując pałką.

Kiedy trafił McCulleya w głowę, z boku, rozległ się ohydny odgłos.

McCulley znów się zamachnął i uderzył bramkarza w twarz. Polała się krew. Bramkarz cofnął się i oprzytomniał. Obaj szykowali się do zadania ciosu w tym samym momencie, kiedy pod McCulleyem ugięły się kolana i osunął się na podłogę pośród szkła i krwi. Bramkarz ruszył

dalej, kierując się w stronę Callahana. Z tyłu, za bramkarzem, posuwał

się jakiś mężczyzna, ciągnący za sobą polerkę podłogową.

Ciężka maszyna, zdołał ją podnieść jedynie z najwyższym trudem.

Kiedy uderzył nią bramkarza, ten jakby się zapadł pod ziemię.

Suttree próbował przedrzeć się do ściany, ale na wysokości jego oczu wysunęła się z boku ciężka obca ręka. Zakręcił się wokół własnej osi. Otaczali go sami nieznajomi. Nieopodal wyłonił się mężczyzna z polerką podłogową.

Maszyna z drżeniem wzniosła się nad tłumem. I nie opadła na żadną inną głowę, tylko na głowę Suttree'ego.

Poczuł, jak chrupnęły mu kręgi szyjne. Salę i wszystko, co się w niej znajdowało, zalała jasność jak w południe. Przewrócił oczami i popuścił w spodnie. Wyraźnie usłyszał, jak matka wymawia jego imię.

Kolana miał zablokowane w stawach, ręce dyndały mu bezwładnie, a oczy zalewała krew. Nic nie widział. Powiedział: Nie upadnij.

Zakołysał się. Zrobił mały krok, sztywno parując ciosy. Nie czekała go czerń nicości, tylko ohydna, uśmiechnięta wiedźma o bezzębnych dziąsłach, za ciemnym deszczem z latarniami na tle nocy nie było żadnej madonny pożądania ni matki wiecznej posługi z delikatnie

rozszczepionymi, przypudrowanymi piersiami i kruchymi, alabastrowymi obojczykami ponad puszystym aksamitem sukni.

Starucha zachwiała się, jakby z niego szydząc. Czy jest na świecie mężczyzna tak tchórzliwy, że nie wolałby chociaż raz upaść, zamiast się wiecznie chwiać?

Runął niczym zombi pośród zgiełku i młócki, krew odpłynęła mu z twarzy, a jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki, tak wielki był ukryty za nimi ból. Ktoś nadepnął mu na rękę, gdy czołgał się po podłodze.

Spróbował się podnieść, ale sala zamieniła się w tunel, którym leciał w dół. Nie wiedział, co mu się stało, a jego oczy wciąż zalewała krew.

Myślał, że został postrzelony, i powtarzał sobie, że rany da się wyleczyć, jeżeli nie przydarzy mu się już żadne nieszczęście, Boże kochany, wydostać się stąd na zawsze.

Dźwignął się przy rozkołysanej ścianie i wytężył wzrok. Cały ten rozgorączkowany dom wariatów przed nim wydawał się zwalniać tempo, a wszystkie wirujące twarze odpływały od niego w klasycznej paralaksie jak rozdwojeni wojownicy i ich mentorzy, w sali pełnej wrogich sobie, szalonych bliźniaków syjamskich. Achhhh, powiedział

Suttree. W drodze do drzwi zdał sobie sprawę w słabym przypływie bajkowego uczucia, znanego z dziecięcych fantazji, że twarz o szeroko otwartych oczach, którą zobaczył koło przewróconego do góry nogami stolika, należy do trupa. Ktoś idący za nim spostrzegł, co widział

Suttree. To straszne, kurwa, powiedział. Suttree krwawił z uszu i nie słyszał wyraźnie, ale pomyślał to samo. Szli dalej, potykając się niby potępieńcy na równinnych przedmieściach Gomory. Zanim dotarli do drzwi, ktoś uderzył go butelką w głowę.

Potem najwidoczniej wpadł jeszcze komuś w łapy, bo kiedy się ocknął w szpitalu, miał złamany palec, trzy pęknięte żebra, usta pełne obruszonych zębów i jeden wybity. Spróbował się poruszyć, ale ostre końce kości w jego piersi były jak nożyczki. Łomotało mu w głowie, widział wszystko jak

gdyby z ukosa, był lekko zdziwiony, że żyje, i niepewny, czy w ogóle warto żyć. Podniósł wzrok i poczuł, jak na czole pęka mu skorupa zakrzepłej krwi. Światła podnosiły się jedno po drugim i po chwili zrozumiał, że to żarówki pod sufitem korytarza i że rozlegające się co pewien czas skrzypienie wydaje kółko wózka, na którym go przewożono. Sala nagłych przypadków pełna była zakrwawionych ludzi. Lepcy od krwi bojownicy o zniekształconych głowach. Pilnowały ich wszystkich hordy policjantów. Suttree'ego powieziono dalej. Dźwigał swoje obolałe kości w ich cielesnym naczyniu. Tam, gdzie czeka w ciemności karawan. Może to mimo wszystko gniew Boga.

Jego przejazdowi przyglądały się kolejne szeregi przyjaciół, którzy machali do niego, przebierając palcami, i szeptali między sobą. Którzy rozprawiali o niedomaganiach duchowych i nocnych wiadomościach.

Jak się spytałeś o sklep aptekarza serca, myśleliśmy, że zwariowałeś.

Widzieliśmy, jak cię zabrali do wieży chirurga od mózgu, głęboko do podziemi, poniżej poziomu ulicy. Gdzie w rozprutych czaszkach śpiewały piły, a wilgotne opiłki kości wylatywały na ulicę przez wywietrznik. Dalej w niebieskim świetle księżyca ładowano na ciężarówkę ziemiste zwłoki kobiety. Samochód odjechał w mrok. Jej śladem pokuśtykali rogaci minstrele, pieski tańczące w arlekinowych strojach.

Noc jest zimna i robi się zimniejsza, ulicami sunie groźna mgła.

Trujące wyziewy pod nogami, widać, jak z otworów w pokrywach ściekowych wzbija się ohydne tchnienie. Przejeżdża polewaczka niczym nocna bestia, brzęczy jej okrągła szczotka. W czarnych jak noc studniach ulicznych powielają się lśniącymi rozetami latarnie, które się gną i suną w wodzie niczym fosforyzujące na nocnym morzu promienice. Zamiatacze pchają śmieci wzdłuż zalanych rynsztoków, ich żółte deszczowce błyszczą od wilgoci. Wskakują na ciężarówkę i jadą z uniesionymi miotłami, przypominając figurki z lakierowanego wosku, krasnale ogrodowe. Za zamkniętymi żaluzjami palą się nocne światła hotelu, a prążkowane desenie na zaparkowanych na ulicy samochodach nadają im wygląd niewielkich, zakotwiczonych łódek o kadłubach zszytych na zakładkę. Dalej na zimowych ulicach w deszczu sadzy pomyka jeszcze kilkoro szarych jak

popiół homunkulusów. Nad nimi miasto w kształcie kolosalnej masy retort i alembików, uszeregowanych na tle bezgwiezdnego nieba. Ty, niespokojnie śpiący, dożyjesz chwili, w której zobaczysz, jak z miasta twojego urodzenia nie pozostanie kamień na kamieniu.

Suttree słyszał jakichś ludzi dyskutujących na temat jego czaszki.

Gdyby tylko mógł zobaczyć sam siebie. Głowa ogolona do połowy, ziemista i odrętwiała od nowokainy. Stary lekarz z kleszczami mosquito i igłą zszył mu skórę na głowie. Suttree nadal w swoim ulicznym stroju, jeden rękaw odcięty, poplamiony i cuchnący krwią, piwem i gównem.

Pielęgniarka siedziała, trzymając łokieć na kolanach Suttree'ego, wyjmowała okruchy szkła szczypczykami i odkładała je na stalową tackę.

Obudził się w małym białym pokoju. Późny wieczór. Na ścianie krzywe ptasie cienie. Podniósł rękę i się rozejrzał. Na parapecie stroszyły pióra dwa gołębie. Widok na zachód, mroźne zimowe słońce.

W tle odgłosów z ulicy nieustannie dudniły przetaczające się powoli fale. Głowę miał owiniętą bandażami, bolała go ręka. Podniósł ją.

Opatrzony palec, spoczywający w aluminiowych łubkach. Ręka podzieliła się na dwoje, dwie dłonie obok siebie, obie poranione.

Zamrugał powiekami i dłonie zlały się z powrotem w jedną. Callahan, ty skurwielu, powiedział. Opadł i zasnął.

Kiedy znów się obudził, stwierdził, że nie znajduje się w izolatce, ale w długiej sali. Od jego łóżka odsunięto parawan, ujrzał więc wielu mężczyzn w łóżkach podobnych do tego, na którym sam leżał. Wieczór, pod sufitem paliły się żółte żarówki. Przez salę szła pielęgniarka, pchająca wózek i zbierająca tace po obiedzie. Musiał ciągle mrużyć oczy, żeby przedmioty zachowywały porządek i nie zlewały się z sobą.

Miał wrażenie, że jest w domu starców. Żelazne łóżka, zajęte przez wspartych na poduszkach, zgarbionych, pochrząkujących i łypiących na

siebie podejrzliwie jak paranoicy siwych osiemdziesięciolatków w koszulach nocnych.

Spróbował oprzeć się na łokciu, ale bolała go pierś. Był

zabandażowany aż po pachy i tu, na tej sali, wśród umierających, ujrzał

w wyobraźni szaty pogrzebowe. Starał się odzyskać ostrość widzenia.

Zobaczyć na sali choćby jednego człowieka, który wyglądał tak, jakby miał pożyć dłużej niż kilka dni. Oblał go zimny pot. Pomacał się po głowie. Śmiertelne uszkodzenia mózgu pod ręcznikami? Usiłował

przepowiedzieć sobie tabliczkę mnożenia, co przywołało erotyczne wspomnienia i sprawiło, że położył się z powrotem uśmiechnięty.

Zasnął, a we śnie znów zobaczył swoich przyjaciół, płynęli w dół rzeki po mętnych, powodziowych wodach, Hoghead, Harrogate, J-Bone, Bearhunter, Bucket, Boneyard, JD Davis i Earl Solomon, a wszyscy przyglądali się mu, jak stoi na brzegu. Obracali się powoli na swojej gumowej bizoniej łodzi, podskakującej łagodnie na szerokich, kleistych wodach, a ich stopy pozostawiały błonkowate, żółte ślady na dnie.

Ponuro przedryfowali obok. Oddalając się z bezświetlnego świtu, mijając bladą gwiazdę zaranną. Mroczniejsza mgła zamknęła ich postaci, zmierzające smutniejszą drogą przez metapsychiczne morza i dalej, przez Staw Acheronu. Pomachał im na pożegnanie, stojąc na rzecznej skale, ale nie odwzajemnili jego gestu.

Rankiem, o pierwszym brzasku dwaj starcy usiedli na łóżkach i zaczęli się ślinić. Przez salę przeszły dwie pielęgniarki z tacami ze śniadaniem. Ta, którą nazywano panną Aldrich, pochyliła się nad nim z uśmiechem i odeszła. Lakierowany identyfikator. Jej biały wykrochmalony fartuch trzeszczał jak blacha stalowa, a w butach na gumowych podeszwach pielęgniarka stąpała cicho niby myszka.

Zdjęli z niego zakrwawione ubranie, wykąpali go i położyli w czystej, szorstkiej pościeli. Panna Aldrich pomogła mu przejść długim korytarzem

między rzędami łóżek, z których z wściekłością przyglądali im się okupujący je starcy. Miękka pierś pielęgniarki dotykała jego łokcia, światło wpadało do środka przez zakratowane okna, wędrowali więc od jednej kraciastej wstęgi porannego słońca do drugiej. Stanął w betonowym pokoju, pomalowanym na biało, oddał kilka bolesnych kropli moczu do staroświeckiego urynału i wyszedł. Czekała na niego.

Zrobiłeś swoje?, spytała z uśmiechem.

Tylko troszeczkę.

Zaspokoiłeś dużą czy małą potrzebę?

Suttree nie mógł sobie przypomnieć, która potrzeba jest mała, a która duża. Siusiu, odpowiedział. Poczuł się głupi jak but.

Wzięła pacjenta za łokieć, żeby odprowadzić go z powrotem do łóżka.

Dam sobie radę sam, powiedział.

Wiem.

Och.

Nie wstydzisz się?

Czego?

Że się wdałeś w taką straszną bójkę. Nie przeglądałeś się w lustrze, co?

Suttree nie odpowiedział. Co jest nie w porządku z moją głową?, spytał.

Pękła.

Pękła?

Tak.

Jest źle?

Nie. No, dobrze nie jest. Pęknięta czaszka.

Ciągle widzę podwójnie.

To przejdzie. Chodź, tutaj.

Suttree usiłował położyć się do łóżka bezboleśnie. Kurde, powiedział. Usiadł ostrożnie. Ile żeber?

Trzy.

Kto jeszcze tutaj jest?

Masz na myśli swoich ujmujących przyjaciół?

Tak.

Nikt. Większość została opatrzona i zabrali ich do więzienia. Kilku uciekło, jak mi się wydaje. Jesteś gotów na śniadanie?

Chyba tak. A jestem?

Czemu nie.

Przyniosła mu tacę z miseczką owsianki, mleko i filiżankę cienkiej kawy.

To wszystko?, spytał.

Wszystko.

Wzruszyła mu poduszki, pomogła usiąść. Mydlany zapach jej włosów i piersi, która musnęła go na wysokości oczu.

Przypuszczam, że to szpital Knoxville General?, zapytał, wąchając owsiankę.

Pielęgniarka się uśmiechnęła. Więc nawet nie wiesz, gdzie jesteś.

A mylę się?

Dlaczego uważasz, że jesteś w Knoxville?

Przestań.

Dobrze. W St. Mary’s podają jajka w koszulkach. Ale najpierw trzeba zmówić paciorek.

Zasłoniła sobie ręką usta. Och, powiedziała. Nie jesteś katolikiem, co?

Pozbawiono mnie święceń. Ta owsianka jest jak mokry wkład z materaca.

Ale smakuje ci?

Najwyżej tak sobie. Słuchaj, co to za oddział? Wygląda mi na miejsce, gdzie się zamyka nieuleczalnie chorych, groźnych dla otoczenia.

Oddział jak oddział. Większość naszych pacjentów stanowią starsi ludzie.

Starsi? Tu nie ma nikogo poniżej dziewięćdziesiątki. Co tu się wyprawia, pakują starców na ten oddział, żeby tutaj umarli?

Tak.

Rozumiem.

Wszyscy są ubodzy. Niektórych przywozi się z domu opieki, jeżeli ich stan zdrowia za bardzo się pogarsza. To dla mnie niezłe doświadczenie życiowe.

Nie wątpię.

Wzbudziłeś tu sporą sensację.

Co, wśród pacjentów?

Nie, głuptasie. Wśród pielęgniarek.

Przyniosła mu poranną gazetę, ale nie był w stanie skupić wzroku na drukowanych literkach. Podniosła zagłówek starego, żelaznego łóżka, kręcąc się wokół, flirtując z nim i ładnie pachnąc. Z żartobliwym wyrazem

swojej szerokiej twarzy opowiadała mu o życiu w bursie pielęgniarskiej. Mieszkała w dawnej kostnicy z innymi uczącymi się zawodu pielęgniarkami. Musiały podstawiać cegły pod nóżki wszystkich łóżek, żeby się nie kiwały, bo betonowa podłoga opadała ku kanałom odpływowym. W porze kolacji przyprowadziła koleżankę, niską, przysadzistą pielęgniarkę, i kazała jej się nim zaopiekować.

Tylko pamiętaj, to ja go pierwsza wypatrzyłam, powiedziała.

Puściła oko do Suttree'ego. Zobaczymy się jutro.

Jednak z zapadnięciem zmroku dźwignął się na nogi i już go nie było. Pokuśtykał w koszuli nocnej między dwoma rzędami chrapiącej starszyzny i wyszedł przez drzwi na końcu sali. Niewielki przedsionek.

Przez szybę, zbrojoną drucianą siatką, mógł zajrzeć na korytarz, gdzie siedziała pielęgniarka z nocnej zmiany. Zawrócił przez salę ku drzwiom z drugiej strony. Kolejny korytarz, słabo oświetlony. Zauważył

umywalnię i szafę, w której wisiały w ordynku białe kitle i kurtki na kołkach nad wiadrami do zmywania i środkami czystości. Przebrał się szybko w pierwszy z brzegu strój i przejrzał w lustrze. Ranny peon.

Znalazł drzwi wychodzące na główny korytarz szpitala, ruszył w stronę światła przy wejściu i wyszedł w noc. Skierował się na Central Avenue i przeszedł na drugą stronę ulicy, do Corner Grill. Miał tak podwinięte palce w starych, czarnych, za ciasnych butach, również znalezionych w szafie, że ledwo szedł.

Dziwna zjawa, wchodząca do pogrążonej w półmroku małej tawerny w cichy sobotni wieczór. Big Frig wstał, żeby z wyszukaną troskliwością zaprowadzić go do boksu, i zarówno Frig, jak i bracia Clancy uznali Suttree'ego za jedynego ocalonego z powstania w domu wariatów, z ciasteczkowej rebelii, zanim się pochylili, by usłyszeć, przez co Suttree przeszedł.

Kupił w sklepie kwartę mleka i z butelką pod pachą ruszył w zimowym zmierzchu przez zaśmieconą krainę ławek nad rzekę i do domu. Zdążył

zasnąć, gdy ktoś zapukał do drzwi.

O co chodzi?

Nie wykitowałżeś tam, co?

Nie.

Nie widziałżem cię ostatnio, tom myślał, żeś wykitował.

Nic mi nie jest.

Leżał w ciemności, nasłuchując, jak zwariowany kolejarz dyszy za drzwiami. Starzec coś mruknął, ale Suttree nie zrozumiał.

Co?, krzyknął.

Starzec dmuchał nos.

Suttree wstał, poskrobał palcami po stole w poszukiwaniu zapałki, zapalił lampę i podszedł do drzwi w szortach i swetrze, w którym sypiał.

Witam, powiedział starzec.

Właź.

Jużżeś był w łóżku?

Nic się nie stało. Właź.

Starzec w swoim pasiastym kombinezonie wszedł sztywnym krokiem, rzucając cień, który podskakiwał i majaczył za nim niespokojnie. Zimno tu, powiedział.

Suttree postawił lampę na stole i podszedł do pieca, żeby rozgarnąć i podsycić ogień.

Co ci się stało w głowę?

Dostałem polerką podłogową.

No co ty?

Która godzina?

Nie słyszałeś, jak nadjeżdża?

Nie. Która godzina?

Kolejarz wyciągał dewizkę, rozglądając się po słabo oświetlonym domku.

Co kombinujesz?

Właśnie żem wracał do siebie. Pomyślałem, coby lepiej sprawdzić, co z tobą, bom cię nie widział i w ogóle. Pomyślałem, żeś zaś mi wykitował.

Ty i stary Hooper jesteście dokładnie tacy sami. Gadacie wyłącznie o śmierci. Co, pewnie siedzicie tak sobie razem i pocieszacie się nawzajem?

O nie. Widuję go zaś coraz rzadziej. Jak człowiek dożyje moich lat, to czasem myśli o śmierci. To całkiem normalne.

Co, śmierć czy myślenie o niej?

Że jak?

Zdaje się, że miałeś mi powiedzieć, która godzina.

Starzec przechylił trzymany w ręce zegarek w kierunku lampy. Nie widzę tu dobrze, powiedział.

Chcesz szklankę mleka?

Ja tego nie piję, dzięki.

Suttree nalał sobie pełny kubek, wypił i przyjrzał się starcowi.

Wydaje mnie się, że ósma czterdzieści sześć, powiedział starzec.

Suttree przetarł oczy.

Każdy człowiek musi kiedyś odejść.

Rzucił starcowi spojrzenie.

Powiedziałżem, że każdy człowiek musi kiedyś odejść. Jak się zestarzejesz, zaczniesz o tym myśleć. Ale z ciebie jeszcze młody gość.

Starzec zrobił gest ręką, trudno było powiedzieć, co znaczący.

Siedział na krześle przy stole, trzymając wciąż w dłoni zegarek.

Chcesz kawy?

Nie, nie. Właśnie wracam do siebie.

Suttree oparł się o ścianę i popijał mleko. Wyczuwał w szczelinach przeciąg jak zimne druciki. Kolejarz siedział, wydawał się urzeczony płomieniem lampy niczym ociężały kocur. Po chwili wzruszył

ramionami, westchnął i schował zegarek. Wstał i poprawił czapkę. No, powiedział. Jak mam przejść dziś przez rzekę, powinienem się zbierać.

Uważaj na siebie.

Rozejrzał się po małym domku. No, powiedział. W każdym bądź

razie się cieszę, żeś nie wykitował. Będę cię wypatrywał na rzece.

Okej.

Nie wstał z łóżka, a starzec podniósł rękę i wyszedł w noc. Kilka minut później Suttree usłyszał psy, rozszczekujące się przy Front Street, a jeszcze później, kiedy starł rosę z szyby i wyjrzał, zobaczył starca na moście, czy raczej dostrzegł jego ledwo widoczną postać, mącącą kręgi światła, powoli, jeden po drugim, aż wreszcie zagarnęła ją odleglejsza ciemność.

Rankiem zszedł znów nad rzekę, na połów. Chwilę przed nim przyszli tu też dwaj chłopcy z nadbrzeża poniżej Fifteenth Street. Gdy Suttree przechodził obok, wyciągali właśnie sznur mokrych żółtych karpi o odruchowo ssących, jakby gumowych pyszczkach. Jeden z chłopców zabezpieczył łódź starą kłódką rowerową i poszli w górę zbocza w tandetnych czarnych butach, zatrzymując się od czasu do czasu, by wyskubywać z nogawek zimowe pokrzywy. Suttree podniósł

rękę, a oni zaczęli kiwać głowami, potrząsając nimi niczym małe, narowiste konie, i ruszyli dalej przez tory.

Linki Suttree'ego wyłoniły się ciężkie od martwych ryb. Kolejno odcinał sztuczne muchy i patrzył, jak blade kształty migoczą, kołyszą się i toną, znikając mu z oczu. Przywiązał nowe haczyki z przynętą do głównego sznura i powiosłował pod prąd. Spojrzał na szare niebo, ale nie zmieniło się, a rzeka zawsze była taka sama.

14

Z nadejściem wiosny przez most przeszedł koźlarz, przysadzisty starzec w ogrodniczkach, z długimi siwymi włosami i z brodą. W

niedzielę rano, kiedy nikogo jeszcze nie było na nogach. Stukot rozszczepionych kopytek na betonie i kozy w samoróbczych uprzężach, ciągnące dwukółkę, wyładowaną starymi szyldami i drewnem na opał, na wierzchu porozdzierany brezent, rogate kozie łby i tablice z sentencjami biblijnymi, wszystko to klekotało na eliptycznych kołach niczym chimeryczny dziecięcy wóz zabawka. Wokół kożlarza i wozu krążyły też samopas kozy. Na tylnej ośce kołysała się lampa, a z platformy popatrywała drobna mordka, młoda kózka, jest bardzo zmęczona i musi jechać. Koźlarz kroczył dostojnie w swoich ciężkich buciorach i podniósł nos pod wiatr, wietrzył, wóz turkotał i brzęczał na żelaznych kołach, i wjechali do miasta.

Kozy uformowały tyralierę na trawniku przed pocztą na Main Street i zaczęły się paść, a koźlarz, kroczący na czele owego dziwnego cyrku, przyglądał im się po ojcowsku. Zagadnął go stróż prawa: Zabieraj te cholerne kozy z trawnika.

Koźlarz zlokalizował źródło głosu przymrużonymi oczami.

Ruszaj się, staruszku.

Te kozy czasami som uparte jak muły, odpowiedział koźlarz.

Jazda, powiedział policjant, wskazując palcem.

Te, Suzy. Zlazuj z tej trawy, ale już. To nie dla cię. Wszystkie zlazujcie, już.

Kozy pasły się dalej, ciche kozie dzwonki, przechylone kozie uszy.

Te kozy trzeba prowadzić na sznurku albo coś, jak chcesz przejść z nimi przez miasto.

Z nimi to zaś nic się nie da zrobić.

To nie jest miejsce dla bandy kóz, do cholery.

My ino tędy przechodzim, odpowiedział koźlarz.

Jedna z kóz oddała obfity stolec na chodnik. Suche, okrągłe bobki, które potoczyły się jak śrut. Koza weszła z wdziękiem na trawę, narastająca kozia niefrasobliwość, pomrugujące między nogami tłuste wymiona. Policjant spojrzał na koźlarza.

Tych kóz ma tu zaraz nie być.

Już idom.

To nie Sevierville ani żadna cholerna dziura, gdzie można sobie prowadzić stado kóz przez centrum, jak się komu podoba, i pozwalać im obsrywać wszystko dookoła.

Przechodził żem przez Sevierville, ale nigdy żem tamój nie nocował.

No to przechodźmy i tędy, ale tu nie nocujmy.

Chodź, skarbie, zwrócił się koźlarz do kozy, która spała w zaprzęgu na stojąco. Otworzyła jedno oko, pęknięty agat, pełen chytrej, koziej mądrości. Koźlarz poklepał ją po zadzie, pod skórą zwierzęcia rysowały się kości, na których można by powiesić kapelusz. Kłąb kurzu.

Koza ruszyła. Minęli policjanta, tocząc się spokojnie. Z wozu wciąż popatrywała kózka. Wołanie koźlarza. Uważajta. Cichutki stukot kozich kopyt w cichy niedzielny poranek, kozy, wóz i koźlarz podążają w półcieniu słońca, wóz uwięziony i skrzypiący na torach tramwajowych, aż wreszcie właściciel pochyla się, żeby go podnieść i uwolnić, koźlarz jest przysadzisty, w ręce dziwna czapka, całe to towarzystwo skręca i schodzi Market Street w kierunku rzeki, zbite w stadko, idące boczkiem w półkolu kozy ruszają, przystają i toczą się obok koźlarza w dół

stromego wzgórza, a on idzie zwrócony plecami do wozu, żeby kontrolować jego zjazd.

Suttree obudził się późnym rankiem w swoim domku zalanym słońcem, którego światło odbite od powierzchni lizało przeciwległą ścianę. Ciche beczenie kóz. Wstał i wyszedł na pokład w bokserkach, przeciągając się w szabatowe przedpołudnie, senny spokój. Na rzece nie było ruchu, a małe świetliki tartaku pomrugiwały w słońcu wypaczonymi szybami po drugiej stronie rzeki. Wsparł się o reling i rozejrzał. Łąka między torami a rzeką była pełna pasących się kóz, stała na niej dziwna, nieduża, kryta brezentem dwukółka, a w jasnym powietrzu wznosiła się nieruchomo pojedyncza, spiralna wieża dymu, sztywna i bezwietrzna.

Kozy, powiedział, drapiąc się po podbródku.

Spojrzał w górę rzeki, na tawernę Jonesa na barce, kopalnię marmuru, zakole rzeki, płynącej w kierunku Island Home. Pochylały się tam trzcinowiska, a ciemnoskórzy ludzie w ogrodniczkach i spłowiałych, kwiecistych koszulach łowili ryby. Spojrzał z powrotem na łąkę.

Naliczył aż dwa tuziny. Kózka przywiązana do koła wozu stała na tylnych nogach. Brodacz w ogrodniczkach podszedł na tył dwukółki, wyciągnął coś i znów zniknął. Suttree wszedł do domku i ubrał się.

Koźlarz miał na nosie druciane okularki i czytał jakiś ustęp z Biblii. Podniósł wzrok na nadchodzącego Suttree'ego. Wrócił do lektury, a Suttree kucnął przy ogniu i przypatrywał się mu, palec starca sunął po kartce, a jego wargi szeptały jakieś słowa. Po kilku minutach odłożył książkę na bok, zdjął binokle, złożył je i schował do kieszeni na piersiach. Podniósł głowę i spojrzał na Suttree'ego, nieznacznie mrużąc oko.

Dzieńdoberek, powiedział Suttree.

I tobie dobrego dnia życzę, odparł koźlarz. Nie jesteś chyba z policji, co?

Nie. Mieszkam na tej barce, tam.

Koźlarz skinął głową.

Suttree spojrzał na wóz. Duży niebieski napis na górze głosił: JEZUS ZAPŁAKAŁ

Ładny dzionek, co nie?, zagadnął koźlarz.

Owszem. Ile masz kóz?

Trzydzieści i cztery.

Trzydzieści i cztery.

Sally padła.

Och.

Nigdy nie była dość mocna.

Wydaje mi się, że bardzo lubisz kozy.

No, przywykłem do nich. Wędrujem razem już ze czternaście roków.

Ale skąd ich tyle wytrzasnąłeś?

Ja żem do tego ręki nie przykładał. Koza to koza. Miewałem ich więcej niż teraz. Tej wiosny urodziło się ino jedno koźlątko. Widzi mi się, że stary Billy, ten tam, robi się już za słaby na te numery.

Suttree rozejrzał się po łące i pasących się kozach. Trzej mali murzyńscy chłopcy zeszli ku nim z drogi i teraz stali niepewnie tuż za granicą obozowiska koźlarza, któremu przyglądali się szeroko otwartymi oczami.

Chodźcie bliżej, chłopcy, powiedział koźlarz.

Podeszli do wozu z przodu, gdzie uwiązany był wielki, stary kozioł. Otoczyli zwierzę, przyglądając się mu.

Można go dotknąć?, spytał jeden z nich.

No pewnie. Śmiało, pogłaszcz go po łbie.

Nie ugryzie?

Skąd. Podrap go po tym słodkim łbie. Lubi tak.

Jeden z chłopców z wahaniem wyciągnął rękę i zaczął pocierać koźli nos. Kozioł powąchał rękaw dzieciaka i zaczął skubać jego sweter.

On ci zjada sweter, Loftis.

Nie szkodzi.

Chłopak pogładził ogromne, ząbkowane rogi.

Dokąd idziesz z tymi kozami?

Drogą przed siebie, odpowiedział koźlarz.

A tak w ogóle to na co ci one?

Na nic, albo i prawie na nic. Na dobre świeże mleko. Najlepszy ser pod słońcem.

Masz jeszcze jakieś zwierzęta?, spytał Suttree. Psa albo coś?

Nie. Ino kozy. Widzi mi się, że jak człowiek zaczyna od kóz, to mniej czy więcej już się ich potem trzymie.

Pewnie tak, odpowiedział Suttree. Usiadł w kucki w trawie.

Ognisko koźlarza trzeszczało z cicha wśród kamieni. W łagodnym przedpołudniowym powietrzu nad rzeką pobrzękiwały kozie dzwonki.

Mówisz, że mieszkasz tu zaraz?, spytał koźlarz.

Tak.

Co to, mieszkasz sam?

Tak.

No, ma to kupę plusów. Nie byłeś kiedy żonaty?

Raz, odparł Suttree.

Ja żem miał trzy żony, i o trzy za dużo. Koźlarz zmrużył oczy i uszczypnął się w grzbiet nosa. Dobra księga powiada, że na każdego mężczyznę przypadnie siedem kobiet. Ale jak o mnie chodzi, to mogę oddać moje pozostałe cztery komu bądź, a ty?

Suttree się uśmiechnął i pokręcił głową, nie przytakując i nie zaprzeczając. Zaplatał pętelkę na łodyżce trawy. Jeden z Murzynków podszedł na tył wozu, gdzie uwiązany został młody kozioł, który stanął

dęba i szarpnął się na sznurku.

Ten jeszcze do ludzi nie nawykł, powiedział koźlarz.

A kiedy przywyknie?

Nie wiem. Pogadajcie z nim trochę. Podejdzie.

Chodź, kozo, powiedział chłopak.

Dwaj pozostali podeszli na skraj ogniska i przystanęli, przyglądając się siedzącym przy nim koźlarzowi i Suttree'emu. Koźlarz przyjrzał się krytycznie chłopcom. Jak się nazywasz?, spytał.

Lonnie.

Lonnie, przyda ci się trochę koziego mleka, cobyś mógł sobie zapchać te szpary między żebrami, jak myślisz? Nigdy żem takiego nie pił.

Uważaj na te łokcie, bo jeszcze kogo nimi zadźgasz. Kim jest twój kumpel, ten tam?

To nie mój kumpel, to mój brat.

Widzi mi się, że chyba za dużo nie gada.

Jak kogo nie zna, to zaś nic nie powie.

Znasz tego gościa tu? Koźlarz ruchem głowy wskazał Suttree’ego.

To rybak, odpowiedział brat Lonniego.

Zdaje się, żeś mówił, że on się nie odzywa.

Lonnie spojrzał na brata, a brat w ziemię.

To prawda?, spytał koźlarz, zwracając się do Suttree’ego. Jesteś rybakiem?

Suttree skinął głową.

Żyjesz zaś z tego, co?

Marnie.

To szlachetny fach. Na co się zasadzasz?

Na karpie, zębacze.

A co łowisz?

Suttree uśmiechnął się. Karpie i zębacze, odpowiedział. Od czasu do czasu trafi się jakaś scjena. Albo belona. Człowiek nie zawsze łowi to, na co się zasadza.

Nie.

Nie maszże dzisiaj jakiego zębacza, co?

Może złapię. Chcesz?

Nie chciałbym robić zachodu ino dla siebie.

Zobaczę, co da się zrobić. Dzisiaj wieczorem. Zwykle ciągnę ryby pod wieczór w niedzielę.

Koźlarz odwrócił się do niego. W szabat?

Rybom to bez różnicy.

Koźlarz pokręcił głową. Nie mogę rzec, cobym się z tym zgadzał.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Starzec zalatywał kozami i dymem drzewnym. Chłopcy posuwali się od jednej kozy do drugiej na łące nad rzeką.

Dlaczego Jezus zapłakał?, spytał Suttree.

Ej?

Suttree wskazał tablicę. Dlaczego Jezus zapłakał?

Nie znaszże pisma?

Trochę.

Zapłakał nad ludziskami, co to pracują w niedzielę.

Suttree uśmiechnął się.

Zapłakał nad Łazarzem, powiedział koźlarz. A chociaż tak nie pisze, mnie zaś się widzi, że Łazarz też mógłby zapłakać w odpowiedzi, jakby zobaczył, że się wrócił na ten padół łez, mimo że był już bezpieczny i martwy od czterech dni. Pewnikiem był w niebie. Jezus nie wyciągłby przecie człeka z piekła, nie? Ja to nie chciałbym trafić do nieba ino po to, coby mnie potem ściągli stamtąd na powrót, a ty?

Ja chyba też nie.

Załóż się, że zamiaruję o to spytać, jak go spotkam.

Kogo spytać?

Jezusa.

Zapytasz Jezusa o Łazarza?

Ajuści. A ty byś się nie spytał? O tak, zamiaruję mu zadać parę pytań. Pewnego dnia będę z nim gadał tak jak z tobą. Lepiej mi wtenczas mieć co do powiedzenia.

Suttree wstał, otrzepał spodnie na siedzeniu i spojrzał w dół rzeki.

No, powiedział. Przyniosę ci zębacza, jeśli jakiegoś złowię.

Nie trzeba mi dużego.

Nie. Nie będziesz miał nic naprzeciwko temu, że go złapię w niedzielę?

Ino mi o tym nie mów.

Dobrze.

Nie chciałbym zaś być współsprawcą złego czynu.

Nie. Idzie więcej twoich zwolenników.

Przez wyboiste podwórko w stronę obozowiska koźlarza zbliżała się grupka ludzi.

Nauczam o czwartej, powiedział koźlarz. O tej porze powinien tu już być spory tłum.

Nauczasz?

Co niedziela o czwartej, słota czy pogoda. Nauczam i tyła.

Żadnych uzdrowień, żadnych przepowiedni. Ludziska pytają mnie o drugie przyjście Chrystusa. Większość nie słyszała jeszcze o pierwszym.

Przyjdziesz zaś?

Suttree spojrzał na koźlarza. No, odpowiedział. Jakbym nie przyszedł, to nie krępuj się i zaczynajcie beze mnie.

Ruszył ścieżką w górę rzeki, w stronę domu Aba Jonesa. Trzej murzyńscy chłopcy złapali kozę za rogi i kręcili się z nią w kółko, a jeden próbował wdrapać się na jej grzbiet.

Drzwi otworzył biały wykolejeniec, zwany Smokehouse.

Przypomniał sobie mgliście, kim jest Suttree, przyglądając się mu półprzytomnymi od alkoholu oczami, i odsunął się na bok, żeby go wpuścić.

Jak tam, Tom, powiedział Suttree.

W porządku, odparł wykolejeniec.

Suttree wszedł do pogrążonego w półmroku pokoju, pełnego woni skisłego piwa i przypominającego woń uryny zapachu gotujących się na zapleczu flaków wieprzowych.

Wykolejeniec zamknął drzwi i pokuśtykał na swoich krzywych nogach pod ścianę, gdzie zostawił opartą miotłę.

Gdzie Ab?, spytał Suttree.

Ja żem go nie widział.

Gdzie Doli?

Z tyłu, znaczy się z tyłu za domem.

Co ci się stało w głowę?

A tobie?

Suttree uśmiechnął się i pogładził kępkę szczeciniastych włosów na potylicy. Wykolejeniec miał na głowie potężny opatrunek, z boku, z lewej strony.

Ja dostałem polerką do podłogi, powiedział Suttree.

Ja wpadłem pod autobus.

Znowu?

Smokehouse skinął głową, wbijając wzrok pod nogi i bezskutecznie próbując zamieść śmieci.

Nie boli?, spytał Suttree.

Trochę.

Trochę?

Najpierw żem się upił.

Och.

Zaś bym tego nie zrobił, jakbym się najpierw nie upił. Aż taki głupi nie jestem.

No, a jak ci się za każdym razem udaje nie zginąć po pijanemu?

Łatwo to nie jest. Tamten autobus przejechał mi wtenczas po nogach, bom się za bardzo schlał. Trzeba mieć głowę na karku.

Ile teraz dostaniesz?

Nie wiem. Ugody nie chcą. Może będę musiał poszukać innego papugi.

Co zrobisz z pieniędzmi, jeżeli je dostaniesz?

Smokehouse podniósł wzrok z podłogi. Wydawał się zdziwiony tym pytaniem. No, powiedział. Chyba się upiję.

Przynajmniej nie będę musiał wtedy zamiatać u czarnuchów.

Przez jakiś czas.

Wykolejeniec pchnął śmieci. Słońce nie świeci codziennie temu samemu psu w dupę, odpowiedział.

Obyś miał rację, odrzekł Suttree.

Sprawy się mają kiepsko, jak biały musi szukać roboty u czarnucha.

Przyszły ciężkie czasy na ten kraj, zgodził się Suttree.

Nie masz przypadkiem co wypić?

Suttree nie miał. Smokehouse znów zaczął zamiatać, kiedy gwałtownie odchyliła się zasłona i Doli w rozchełstanej podomce wyciągnęła rękę z półdolarówką.

Skocz mi kupić dwie paczki lucky strike'ów, powiedziała.

Smokehouse ostrożnie oparł miotłę o ścianę, wziął monetę, czapkę z oparcia krzesła, gdzie ją powiesił, i wyszedł, powłócząc nogami, jego umęczone ciało przypominało coś, co zostało najpierw poćwiartowane, a potem zszyte przez pijanych chirurgów, wystające łokcie, koślawo Wygięte stopy. Doli przyglądała się mu załzawionym okiem.

Dzieńdoberek, powiedziała.

Dzieńdoberek, odrzekł Suttree. Jak tam stary?

Nie wiem. Polegiwał na łóżku. Idź do niego.

Nie chcę mu przeszkadzać.

Nie kima. Idźże. Odchyliła zasłonę, żeby mógł przejść.

Suttree wszedł do jeszcze ciemniejszego pokoju, okno wychodzące na rzekę zasłaniała jakaś ciężka tkanina, ostry fetor bezimiennych woni.

Radio grało tak cicho, że ledwo było je słychać.

Koniec łóżka sięgał samych drzwi, a Jones leżał jak kłoda. Kto to?, spytał.

Suttree.

Młody. Wejdź.

Nie śpisz?

Nie. Ino odpoczywam. Zachodźże, śmiało.

Podniósł się lekko na posłaniu i Suttree usłyszał, jak łapie oddech.

Wpadłem tylko na chwilę.

Siednij. Gdzie twoje piwo?

Nie chciałem pić.

Hej, babo. Ab szukał czegoś wokół siebie po omacku w niemal całkowitych ciemnościach, w końcu znalazł butelkę, odkręcił ją, napił

się i odstawił. Otarł usta wierzchem dłoni. Hej, zawołał.

Zjawiła się przy zasłonie.

Przynieśże tu człowiekowi piwa. Siednij, Młody.

Suttree teraz widział go lepiej. Ab przesunął swój ogromny korpus i był najwyraźniej taki obolały, że rybak usiadł w nogach łóżka i spytał, co mu jest.

Nie gadaj jej nic.

Co się stało?

To samo gówno co zawsze. Nasi mili, niebiescy przyjaciele.

Cichaj.

Podeszła do zasłony i przez szparę wsunęła do pokoju butelkę piwa. Suttree wziął flaszkę, podziękował i Doli odeszła bez słowa.

Wsadzili cię do więzienia?

No. Wyszłem dzisiaj rano koło ósmej. Za kaucją. A ona pewnikiem myśli, żem się łajdaczył z dziwkami.

Suttree się uśmiechnął. A nie?

Poorana bliznami czarna twarz przybrała wyraz przygnębienia.

Nie, człowieku. Jestem już za stary na to gówno. Tylko jej o tym nie gadaj.

Nic ci nie jest?

Nic. Muszę chodzić w koszuli, coby nie widziała bandaży.

Kto cię opatrzył?

Ja sam.

Umiesz to robić?

Robiłżem to już parę razów wcześniej.

Domyślam się.

Czarnuch to ma ciekawe życie.

Sam jesteś sobie winien.

Może.

Suttree popijał piwo. W domku było bardzo cicho.

Nie podoba im się żaden czarnuch, co się zachowuje jak mężczyzna, powiedział Jones. Wyciągnął swoją butelkę, odkręcił i się napił.

Możesz wstać i chodzić.

No. Zaś nie leżę, ino odpoczywam.

Jak ci coś potrzeba, mogę załatwić. Jak potrzebujesz whisky.

Wiem, że byś to zrobił. Nic mi nie trza.

No tak.

Dobre masz serce, Młody. Dbajże o swoich.

Nie mam żadnych swoich.

Właśnie, że masz.

To gdzie oni są?

Jones otarł usta. Powiem ci cosik o ludziach, powiedział.

Niektórzy są gówno warci, bogaci czy biedni, nieważne, i ino tyła da się o nich powiedzieć. Ale nigdy żem jeszcze nie znał człowieka, co to miałby wszystko, a nie zapomniał, skąd przyszedł. Zaś nie wiem, dlaczego tak jest. Miałem kiedyś w tym mieście przyjaciela i żem się za nim wstawiał, jak się ożenił. Dawałem mu forsę, jak do mnie przychodził. Zabierałżem go dawniej na zapasy, jak był jeszcze dzieciakiem. Teraz jest duży i ważny. Cadillakiem jeździ. Nie zna mnie.

Nie chcę mieć nic do czynienia z kimś, co olewa przyjaciół.

Suttree siedział w nogach łóżka. Pociągnął łyk piwa i wziął butelkę w obie ręce.

Obserwujesz gościa, pazurami drapie się na szczyt. Myśli, że jak mu się uda, wszystko będzie dobrze. Ale nigdy się nie udaje. Nieważne, kim jesteś. Pewnego ranka patrzysz się i jesteś starcem. Nie masz swojemu bratu nic do powiedzenia. Nie wiesz ani trochu więcej niż na początku.

Suttree widział w półmroku wielkie, żylaste ręce, dłonie czarnego manekina, hebanowe kopyto, na którym rozciągnięto reklamę rękawicznika, nienaturalnie wielką rękawicę. Dłonie Aba poruszały się tak, jak gdyby w tylko sobie wiadomym celu próbowały ukształtować mrok.

Robiłem kiedyś na rzece. Na Cherokee. Potem na Hugh Martinie.

Na HC Murrym. Był na nim lepszy sklep niż tu w centrumie. Po pierwszej wojnie statki pocztowe nie mogły już handlować. Urodziłżem się w dziewięćset czternastym. Słyszało się te statki nocami, wyli jak potępieńcy. Stary Martin miał syrenę parową, od której ludziskom mogli pękać i pękali szyby w oknach. Poszłem na rzekę, jak miałem dwanaście roków. Ważyłem wtenczas sto funtów i ośmdziesiąt. Postrzelił mnie jeden biały, bom go uderzył batem. Nie miałem dość rozumu. Byłem wtenczas trochę starszy, skończyłem już pewnie czternaście. Głupi żem był jak gówno. Wróciłżem do domu, wydobrzałem i zanim żem go spotkał, coby go zabić, pokazało się, że ktoś już to zrobił. Urżnął mu łeb. Żaden mój przyjaciel. Zamknęli moje czarne dupsko w pudle. Bili mnie po głowie tymi swoimi cholernymi pałkami i w ogóle kiła.

Leżałem po ćmoku, nie dali mi nic do żarcia. To było zaś moje pierwsze spotkanie z gniewem na ścieżce zdrowia. Trwa to już czterdzieści lat i ni cholery nie znaczy. T\itejsze czarne bracia myślą, że to jest coś, wpierdzielić policjantom. Myślą, że to naprawdę coś. Gówno. Nic za to nie masz, ino rozbity łeb. Nic tym matkojebcom nie zrobisz. Ja to w ogóle bym się z nimi nie trzaskał, jakbym nad sobą panował.

Suttree pochylił się, żeby zobaczyć jego twarz. Jones zamrugał

powiekami, gałki oczne jak jajka w czarnej, gigantycznej czaszce.

Widocznie zrozumiał spojrzenie swojego jasnolicego przyjaciela, bo powiedział niemal do siebie: Taka jest prawda.

Jak żeś wtedy wyszedł?

Znaleźli jego głowę. Facet trzymał ją w pudełku od butów.

Odkręcał butelkę, żeby się napić. Jego oczy zamknęły się i powoli otworzyły w półmroku. Gość był hazardzistą i alfonsem. Nigdy nie pił

ani nie palił. Prowadził burdel na Front Street, dobrze znany w tamtych czasach. Jak przypływali statki, to wszystkie marynarze szli do niego.

Ulice pełne kurew i różnokolorowych pedziów. Złodziejów. Wypełzali jak karaluchy, jak kto cumował w porcie. Potem ten facet urżnął

tamtemu głowę i nosił ją przy sobie w pudełku od butów. Jednego wieczoru upił się na Central Avenue i zaczął wszystkim tą głowę pokazywać. Ludziska wylatywali z wrzaskiem na ulicę. Następnego dnia żem wyszedł.

Był wariatem?

Kto?

Ten morderca.

Nie wiem. Nie zabił go, coby okraść. Widzi mi się, że trochę był

stuknięty.

A ty byś go zabił?

Nie wiem. Widzi mi się, że tak, jakby się o to prosił.

Suttree pociągnął łyk piwa. Znów słyszał Smokehouse'a, tłukącego się w pokoju od frontu, brzęknęło szkło. Spojrzał na Jonesa.

Zabiłeś kiedyś człowieka?, zapytał.

Nienaumyślnie, odpowiedział Jones.

Było ciemno, kiedy wrócił z połowu. Nos łodzi ocierał się o tratwy dryfujących śmieci i mostki świateł brzegowych w czarnej rzece.

Muzyka radiowa z jakiejś chałupy na front Street niosła się wyraźnie nad nocnymi wodami. Trzaśnięcie drzwi. Widział światła u Aba Jonesa, a w dole rzeki ognisko w obozie koźlarza, zarys jego wozu i ciemne, kozie cienie, zmieniające kształt w sięgającym ich świetle. Wsunął

wiosła do łodzi, przybił do starych opon na burcie barki, wstał i zawiązał

cumę.

Miał sak, zrobiony z kątowników i drutu, zawieszony i zanurzony w rzece na lince. Wciągnął go, otworzył wieko, włożył ryby z łodzi do saka i opuścił go z powrotem do wody. Potem podniósł z dna małego zębacza, trzymając go za skrzela przelazł przez reling, zszedł na chodnik prowadzący do nadbrzeżnej ścieżki i ruszył w stronę obozowiska koźlarza.

Przy ognisku zebrało się parę osób. Kiedy Suttree podszedł bliżej, koźlarz odwrócił się, jak gdyby wyczuł jego obecność, uśmiechnął się i skinął głową.

Myślałem, żeś o mnie zapomniał.

Przyniosłem twoją rybę.

Zaś widzę.

Chyba nie jadłeś jeszcze kolacji, co?

Nie, nie. A ty?

Suttree wzruszył ramionami.

Jak chcesz zjeść ją ze mną, to zapraszam.

Nie przepadam za rybami.

Ta tutaj to ładny okaz.

Suttree podał mu rybę, a koźlarz wziął zębacza i wyciągnął ręce w stronę ogniska, by lepiej go obejrzeć.

Ile ci jestem winien?

Nie wiem, odrzekł Suttree. Jak chcesz, możemy się wymienić.

Wymienić, powiedział koźlarz. Nie wiem, na co mógłbym się wymienić. Nie mam nic, ino takie pocztówki, co to je przedaję.

Mogą być.

Pocztówki?

Jasne. Czemu nie?

Koźlarz spojrzał na Suttree'ego, po czym wstał i odwrócił się do wozu. Oczy gości przy ognisku śledziły ruchy starca. Pogrzebał w ortalionowej torbie i krzyknął do Suttree'ego: Ile chcesz?

Nie wiem. Ile ci za nie dają?

Dziesięć centów.

No to może sześć sztuk?

Koźlarz wrócił z wozu z pocztówkami. Ryba gięła się i drżała w blasku ogniska.

Weź te, powiedział.

Suttree wziął pocztówki. Były stare, ale koźlarz przy ognisku nie różnił się od koźlarza, który pozował do tych fotografii.

Okej, powiedział Suttree.

Nie trzeba zaś zaraz uciekać.

Dlaczego uważasz, że uciekam?

Nie wiem. Ale możesz zostać, proszę.

Lepiej już pójdę.

Koźlarz odprowadził go wzrokiem. Suttree brnął ciężko przez łąkę ze spuszczoną głową i oddalając się w świetle ogniska, przypominał

bezgłowego przybysza z zaświatów, któremu wzbronione jest ciepło ludzkiego zgromadzenia.

Słuchaj, zawołał koźlarz.

Suttree odwrócił się.

Wiesz, jakbyś tam trzymał u siebie kozę albo ze dwie, miałbyś dobre towarzystwo. Nigdy nie byłbyś sam.

Skąd wiesz, że jestem samotny?, spytał Suttree.

Koźlarz uśmiechnął się. Nie wiem, odpowiedział. Ale zaś się nie mylę.

Najpierw tę historię opowiada obibokom w sklepie Oceanfrog Frazer. Jak to jakiś wariat przyleciał z miasta i biegł przez stromo położone, puste działki nad rzeką. Frazer zobaczył go, gdy tamten pędził

w pijackim widzie, nie zważając na nic, przedarł się przez krzak wrzośca i pognał dalej przez brukowane podwórko, aż wreszcie wpadł na sznur do bielizny i się przewrócił.

Zamordował kogoś, powiedział Oceanfrog.

Upadły mężczyzna kwilił na ziemi jak dziecko, nawet nie przykładając ręki do gardła, choć sznur omal go nie zdekapitował.

Zaczął się gramolić na czworakach i zaraz znów puścił się biegiem.

Wpadł całym impetem na płot z drutu kolczastego na niższym krańcu parceli.

Jest stuknięty, powiedział Oceanfrog. Podszedł do drzwi i zawołał

go.

Mężczyzna odwrócił głowę. Miał podarte ubranie, strzępy jego koszuli powiewały z przodu niczym konfetti na wietrze, i był

zakrwawiony.

Co ty wyprawiasz?, krzyknął Oceanfrog.

Mężczyzna wrzasnął przeraźliwie. Wysoki, suchy gulgot, jaki wydaje kot w rui. Potem odwrócił się i zaczął uciekać dalej, przez płot, przez podwórko, roztrzaskał prymitywną bramę z żerdzi, przebiegł na drugą stronę drogi i zniknął na łąkach nad rzeką.

Na ulicach znaleziono kilka martwych albo zdychających nietoperzy. Włóczące się po mieście stada bezdomnych psów wywożono do komory gazowej. Harrogate zachowywał czujność, jakby obawiając się, że on będzie następny. Pewnego dnia u Suttree'ego powiedział, że widział nietoperza.

Martwego?

TU zaraz niedaleko.

Lepiej idź i weź go, powiedział Suttree. Jest wart dolara.

Co jest wart?

Dolara. Musisz go zanieść do Wydziału Zdrowia. Było o tym w gazecie.

Brandzlujesz mi uszy.

Nie, jest wart dolara.

Czemu ktoś chciałby dać dolca za zdechłego nietoperza?

Podobno mają wściekliznę. Piszą, żeby ich nie dotykać, tylko podnieść łopatką i włożyć do torby.

Harrogate był już w drzwiach.

Hej, Gene.

Taa.

Wiesz, dokąd go zanieść?

Nie, gdzie mam iść?

Do szpitala. Na Central.

Tka. Wiem, gdzie to jest. Tam mnie zabrali.

Suttree mówił prawdę. Prawny środek płatniczy dla celów publicznych i prywatnych. Harrogate rozmienił banknot w Comer's, rzucając go niedbałym, szerokim gestem na szklany kontuar. Zabrał

monety, zszedł na dół do Helm's, wymienił je na banknot, który potem znów rozmienił w Sanitary Lunch, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Przez głowę przelatywały mu już różne plany. Kupił mleko czekoladowe i wcisnął się na jeden z foteli teatralnych, stojących rzędem w Camer's, obserwował grę w numerki o dwa dolary, kombinował i popijał mleko.

Trutka na szczury, kurwa, powiedział, przebijając się szeroko otwartymi oczami przez dym i gwar ku przeciwległej ścianie.

Ludzie odwrócili się, żeby na niego popatrzeć. Cocky znieruchomiał przy stole, uderzając bilę, kij drżał w jego nieszczęsnych, sparaliżowanych rękach. Harrogate wstał, osuszył karton mleka, wrzucił

go do spluwaczki i wyszedł.

Sam przypominał szczura, bezszelestny między półkami w tanich sklepach. Pudełeczko śrutu wsunęło się między najniższe guziki jego koszuli i przylgnęło do ciała. Sprawy do załatwienia. Maska od forda, którą przytargał na nadbrzeżną ścieżkę, stanowiła przedtem ścianę kurnika. Często przystawał, żeby odpocząć. W nocy padało i przemoczył w krzakach całe ubranie.

Nad domkiem wisiały szkarłatne trąbki świerzbca, a wśród pokręconej stali rosły polne kwiaty, bo tłuste smary i popioły jakimś cudem okazały się żyzne i podwórko złomiarza było ogrodem, tym piękniejszym, że wyrastającym z marzeń. Harrogate przystanął przy płocie i oparł o niego maskę. Pchnął ciężką furtkę, płosząc kolibra spośród kwiatów przy wejściu. Z krytego papą dachu kapała wciąż woda, tworząc jasne kałuże i ukośniki

na szarych, parujących grzbietach aut, które wyrastały nad trawę i paprocie niczym pasące się woły.

Zapukał w otwarte drzwi. Trzcina w kącie chałupy zaszeleściła łagodnie na wietrze. Wszędzie było cicho, a cały ten osobliwy ogród nad rzeką pokrywały cętki słonecznego światła.

W czym mogę pomóc?, spytał złomiarz.

Harrogate cofnął się i spojrzał na niego. Pijany złomiarz przewiesił

się przez okienko.

Pamiętasz mnie, nie?, spytał Harrogate.

Nie.

No, posłuchaj. Trzeba mi maski samochodowej.

Chwileczkę.

Złomiarz pojawił się w drzwiach. Rozcapierzonymi palcami zaatakował oplatającą mu oczy pajęczynę.

Jakiej?

To ford.

Jakiś konkretny rocznik?

Nie wiem. Mam ją tutaj, jakbyś mi znalazł drugą taką samą.

Złomiarz splunął, spojrzał na Harrogate'a i mijając go, zszedł z werandy.

Gdzie ona jest? Stanął na podwórku, wspierając się pod boki i rozglądając przymrużonymi oczami.

O tam, oparta o płot.

Złomiarz podążył wzrokiem za jego wycelowanym palcem. Oby nie była za ciężka. Podszedł powolnym krokiem do płotu i spojrzał w dół. Pchnął maskę, która przewróciła się ze smutnym brzdękiem.

Złomiarz przyjrzał się jej i spojrzał na Harrogate'a. Do diabła, synu, powiedział. A co jest z nią nie tak?

Zaś mam nadzieję, że nic. Trzeba mi po prostu jeszcze jednej.

Złomiarz patrzył na niego przez kilka dłuższych chwil, po czym zawrócił przez swoje małe podwórko i wszedł do chałupy.

Kiedy Harrogate zajrzał do środka, złomiarz leżał na pryczy, zakrywając oczy ręką.

Hej, powiedział Harrogate.

Nie mam czasu się z tobą pierdzielić, wymamrotał złomiarz.

Słuchaj, odezwał się Harrogate. Potrzebuję dwie takie maski, coby zrobić łódź.

Złomiarz cofnął rękę z twarzy i spojrzał w sufit.

Chciałżem je zespawać, zasmołować szpary i zrobić sobie łódź.

Łódź?

Tak, psze pana.

Jak wy mnie znajdujecie, skurwysyny?

Jestem tu sam.

Wszystkie wy stuknięte skurwysyny. Chciałbym dorwać gościa, co was tu cięgiem podsyła.

Normalnie sam żem tu przyszedł.

Taa. Taa.

To nie masz takiej maski?

Mam rocznik czterdziesty szósty, taką samą, ino że chromowaną, możesz ją kupić za sześć dolarów, jak chcesz.

No, chciałem o tym z tobą pogadać.

Wyglądał jak olbrzymi żółw idący do rzeki, uginał się pod ciężarem zespawanych masek samochodowych, z których rufowa żłobiła ślad na rozgrzanej letnim słońcem ziemi. Nie znalazł innego sposobu, żeby zabrać jeszcze garniec smoły, przywiązał go więc do nogi w kostce i ciągnął za sobą.

Zawinął do portu nad fabryką opakowań, zsunął łódź po trawie, a potem z błotnistego brzegu. Przeciekająca do środka woda przypominała atrament, perlący się na zasmołowanym dnie. Schylił się i odwiązał gar ze smołą, wstawił go do łodzi, po czym sam ostrożnie wszedł na pokład.

Gdzieś z głuchym trzaskiem ugięła się stal. Trzymał się boków łódki i posuwał dalej na kolanach. Gdy rufa uniosła się z mułu, zaczął dryfować po rzece.

Ja pierdykam, powiedział Harrogate z ostrożnym entuzjazmem.

Ściągnął koszulę i wytarł nią wodę, żeby lepiej widzieć szpary.

Przepłynął koło fabryki opakowań, koło składu drewna.

Co to ma być?, zawołał jakiś gap z brzegu.

Łódź, odkrzyknął Harrogate.

Kiedy dotarł do mostu, siedział z wyciągniętymi nogami na jej środku, korzystał ze słońca i rozkoszował się rzeczną bryzą. Wpłynął w Goose Creek, wiosłując dłońmi. W górę małego dopływu, pod niskim mostem kolejowym, leżał na plecach, odpychając się jedną ręką od skały, nad jego głową gniazda os samotnic, a na wysokości twarzy Harrogate'a sunęły

jaszczurki w małych, przywierających do podłoża niby-bucikach. Dalej pod Scottish Pike i w górę rzeki, stał na dziobie swojej nowej łodzi, odpychając się od dna znalezionym kijem, zaokrąglony dziób ciął pomarszczoną, gęstą zupę, zalegającą przy brzegu.

Spędził noc pod łodzią, ustawioną do góry dnem jak kanu i podpartą na patykach, przy małym ognisku. Westalscy chłopcy przyszli w odwiedziny i pozazdrościć. Posłali jednego z młodszych po kurczaka z matczynego obejścia, potem oskubali go, upiekli na drucie, częstowali się ciepłą RC colą i mówili kłamstwa.

Wypłynął ze strumienia na rzekę następnego ranka, wiosłując deską i pękniętym wiosłem w dulce z psiego łańcucha. Niesamowita, brzęcząca zjawa, przebijająca się przez mgłę. Nie upłynął daleko, kiedy o mało nie staranowała go pogłębiarka z fabryki żwiru, dopiero co wysłana w dół rzeki. Wysoko nad wałem mgły przesunęła się twarz sternika, który nawet nie spojrzał na dół ze swojego pływającego pomostu. Harrogate wstał i podniósł pięść, ale pierwsza fala dziobowa omal nie wyrzuciła go na brzeg, usiadł więc szybko z powrotem na dnie łodzi i rzucił parę grubych przekleństw.

Wiosłował w górę rzeki, zwrócony plecami do wschodzącego słońca, wyobrażając sobie penthouse wśród łuków i przęseł mostu, pod którym przepływał, wciąganą drabinkę sznurową, swoją łódź

przywiązaną do słupa i konsternację zachwyconych obywateli miasta.

Przybił przy barce Suttree’ego i zastukał w podłogę, czyli w pokład.

Hej, Sut, zawołał.

Suttree podniósł się na łóżku i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył rękę, wynurzającą się z rzeki i czepiającą pokładu jego pływającego domu.

Przeturlał się na bok, podszedł w szortach do drzwi, wyszedł i przystanął, spoglądając na mieszczucha z góry.

Galanta, co?, powiedział Harrogate.

Umiesz pływać?

Jutro o tej porze będziesz gadał z bogaczem.

Albo z topielcem. Skąd ty to, do cholery, wytrzasnąłeś?

Zbudowałżem. Ja i ten stary pijak, Harvey.

Wielki Boże, powiedział Suttree.

Co o tym myślisz?

Myślę, że jesteś pierdolnięty.

Chcesz się przepłynąć?

Nie.

Chodźże, przewiozę cię.

Gene, nie wsiadłbym do tego czegoś nawet na lądzie.

No, to ja muszę już płynąć dalej.

Harrogate odepchnął się od brzegu i wziął ciągnące się po wodzie wiosła. Mam kupę roboty, powiedział.

Suttree patrzył, jak płynie w górę rzeki, mały, pozbawiony kila wehikuł, ślizgający się i podskakujący naprzód. Płynął całkiem nieźle.

Harrogate skręcił w First Creek, powiosłował pod wiaduktem kolejowym i dalej, aż wreszcie dotarł do cieśninki, którą tworzyły porzucone maszyny i piętrzące się wysoko stosy śmieci. Przywiązał łódź

do jakiegoś drzewka i podziwiając swoje dzieło, wspiął się tyłem na brzeg.

Próbował się zdrzemnąć, ale leżąc w upale pod ruchliwym wiaduktem, snuł takie fantazje o życiowym dostatku, że bezwiednie przebierał nogami w powietrzu. Późnym popołudniem był już na nogach, naciągnął nową,

czerwoną gumę w procy i wystrzelił kilka płaskich kamieni w druty elektryczne, aż uderzyły o siebie i w pączkującym spokoju wieczoru zaśpiewały wielkim głosem jak lira. Na czarnym zboczu zapiał oszołomiony kogut. Harrogate spojrzał na swój rynsztunek i ruszył w drogę.

Wyłonił się w ujściu strumienia, mijając zaciekawionych ciemnoskórych rybaków, wiosłował powoli i obserwował niebo. Płynął

pod prąd, mijając ostatnie chałupy i docierając aż do kopalni marmuru.

Podpływa z cichym, spokojnym, bezwietrznym wieczorem, odkłada wiosła na boki i bierze procę. Rozsuwa w palcach kawałek skóry. Sypie śrut. Poleciało jedno ziarnko. I tam. Lelek zawirował w powietrzu, zakrakał. Harrogate naciągnął gumę, tak że niemal dotknęła dna jego łodzi, i puścił. I znów. Na południowym brzegu między drzewami w letniej szacie pojawiły się tu i ówdzie światła domostw. Rozkwitły neonowe, nocne kształty miasta, ich podobizny odbijały się w wodzie jak wyblakłe wrzody. Na tle rozwodnionego nieba przelatywały, zmieniały kierunek i migotały nietoperze. Zapadła ciemność, ale to było wszystko. Dryfował pod mostem. Odłożył procę, sięgnął po wiosła i zawrócił.

Była gorąca noc, a należało wysilić mózgownicę. Leżał z rękami złożonymi na piersi. Za wyginającym się w łuk dziobem mostu fruwające świetliki wpadały w ciemność jak do ścieku, a wiatr niósł

odurzający zapach kapryfolium.

Siwowłosy, dobroduszny aptekarz wychylił się ze swojej wysokiej ambony nawet całkiem uprzejmie. W górze szumiały ogromne wentylatory, roznosząc woń panaceów i środków na przeczyszczenie. Za ladą stały szeregi szklanych balonów, gliniane pojemniki, słoje z matowego szkła i zatkane watą, chłodne fiolki pełne różnokolorowych pigułek. Podbródek Harrogate'a spoczywał na zimnej, kamiennej podporze, a jego oczy chłonęły tę alchemiczną scenę, która wydała mu się jakby odlegle znajoma, chociaż nie wiedział dlaczego.

W czym mogę panu pomóc?, spytał pracownik nauki, splatając dłonie.

Trzeba mi krzynkę strychniny, powiedział Harrogate.

Czego?

Strychniny. Wiesz pan, co to jest, nie?

Tak, odrzekł aptekarz.

Widzi mi się, że trzeba mi jej spory kubek.

Wypijesz na miejscu czy zapakować?

Ja pierdzielę, nie będę tego pić. To trucizna jak diabli.

Jest dla twojej babci.

Nie, odparł Harrogate, wyciągając nieufnie szyję. Babcia już nie żyje.

Aptekarz wyrwał kartkę z notesu i zastygł z ołówkiem w ręku.

Podaj mi tylko personalia osoby albo osób, które zamierzasz otruć, powiedział. Wymaga się od nas prowadzenia ewidencji.

Podejrzewając żart, Harrogate uśmiechnął się szeroko i niepewnie, Słuchaj pan, powiedział. Wiesz o tych tam nietoperzach?

O, w rzeczy samej.

No, to właśnie na to mi strychnina. Mogę panu powiedzieć, bo i tak nikt prócz mnie nie wykombinuje, co dalej.

W to nie wątpię, odparł aptekarz.

Nie wziąłem nic, w co mógłbym ją zaś zabrać. Dasz mi pan jaki słoik?

Ile masz lat?, spytał aptekarz.

Dwadzieścia jeden.

Na pewno nie.

To po co się pan pytasz?

Aptekarz zdjął okulary, zamknął oczy i ścisnął nos palcem wskazującym i kciukiem. Włożył binokle z powrotem i spojrzał na Harrogate'a, który stał wciąż w tym samym miejscu.

Nie mogę sprzedawać strychniny nieletnim, powiedział aptekarz.

Ani ludziom nie będącym w pełni władz umysłowych. To wbrew prawu.

No, powiedział Harrogate. Pan tu decydujesz.

Tak, rzekł aptekarz.

Harrogate wycofał się bladym, medycznym przejściem między szeregami stojących w ordynku puszek i słojów. Łopatki wentylatora krajały w górze antyseptyczne powietrze powoli i nieustannie. Pchnął

drzwi jedną ręką. Tryl dzwonka. Przez tłoczek wysunął się z mlaśnięciem smukły przycisk. Aptekarz ani drgnął.

Jesteś normalnie tylko starym pierdzielem, zawołał Harrogate i uciekł.

Suttree pokręcił głową, i tyle. Siedział w spodniach z podwiniętymi nogawkami, a jego bose nogi dyndały w rzece.

No zgódź się, Sut.

Gene.

Taa.

Nie pójdę do żadnej cholernej apteki i nie kupię strychniny. Ani dla ciebie, ani dla nikogo.

Do diabła, Sut, tobie by sprzedali. A jak ci powiem, po co mi ona, to się zgodzisz?

Nie.

Siedzieli, wpatrując się w dotykające powierzchni rzeki duże palce u stóp Suttree'ego.

Słuchaj, Sut...

Suttree zatkał uszy palcami.

Harrogate pochylił się niżej. Posłuchaj, powiedział.

Czekał na Stinky Point, jednym okiem oceniając położenie zachodzącego słońca, drugim wypatrując przyjaciela. Miał formę do pieczenia, a w niej wzdęty, pełen robaków kawałek wątroby wieprzowej, który kroił scyzorykiem na małe kawałki. Suttree wyłonił

się z chaszczy zgrzany i spocony, usiadł w kucki na brzegu i wyciągnął

z bocznej kieszeni dżinsów jakieś zawiniątko. Masz, ty stuknięty sukinsynu, powiedział.

Czarne, szczurze oczka Harrogate'a zaszkliły się radością.

Rozwiązał sznurek, wyjął szklaną fiolkę z papierka i przyjrzał się jej.

Blada naklejka z zieloną trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami. O

jasna ciasna, powiedział. Dzięki, Sut. Jestem ci normalnie wdzięczny jak cholera.

Wisisz mi dwa dolary.

Stary, takie pieniądze to teraz dla mnie nic. Będziesz je miał rano.

Suttree patrzył, jak Harrogate idzie przez chaszcze nad rzekę, gdzie unosiła się jego łódź przywiązana sznurem do pustaka. Odwrócił

się, uśmiechnął i zgrabnie wszedł na pokład, trzymając w jednej ręce fiolkę, a w drugiej blaszaną formę z wątrobą. Usiadł ostrożnie, postawił

przed sobą fiolkę i formę, pochylił się lekko naprzód i wyciągnął procę wielkości katapulty, sporządzoną z rozszczepionej gałęzi w kształcie litery Y. Odwiązał łódź, odbił od brzegu, ujął swoje prowizoryczne wiosła, powiosłował miękko na środek rzeki i dalej.

Suttree błazeństwa tego na wpół zidiociałego młodzika obserwował z łagodnym obrzydzeniem z pokładu swojego pływającego domu. Stojący na środku chybotliwego wehikułu Harrogate kilka razy skręcał to w jedną, to w drugą stronę. Był cichy wieczór i powierzchnia wody zrobiła się szklista. Suttree zaczął mruczeć coś do siebie. Nie mruczał długo, kiedy z nieba szaleńczym, ukośnym lotem zanurkował

nietoperz, spadł z pluskiem do rzeki, trzepotał się przez chwilę i znieruchomiał. Suttree wyprostował się na składanym krześle. Wszędzie dookoła z nieba zaczęły spadać nietoperze. Małe stworzenia o skórzastych skrzydłach, trzepoczące się w rzece. Harrogate wiosłował

pośród nich. Jeden runął z łagodnym brzękiem, przypominającym dzwon na nieszpory, na blaszany dach domu Suttree'ego. Drugi niedaleko, do wody. Leżąc w ciemnym nurcie, sprawiał żałosne wrażenie i wyglądał na oszołomionego.

Harrogate w swoim blaszanym korabiu wciągał nietoperze na pokład własnoręcznie skonstruowaną siatką. Spadł też lelczyk z wykręconymi skrzydłami. Jerzyk, jaskółka. Na pogrążający się w półmroku brzeg połamanych płotów i gruzu oraz rzadko rozsiane skupiska wychodkopodobnych chałup spadała nowa klątwa, plaga nietoperzy, małych bazyliszków o zadartych nosach, oczach wyposażonych w mongolskie fałdy, sterczących psich uszach pełnych sierści i pełnych męczarni brzuchach. W dymnoburgundowym zmierzchu marszczyły powierzchnię rzeki jak lemingi. Dwaj mali murzyńscy chłopcy wcisnęli znalezione nietoperze do półgalonowego słoja na pikle i zakręcili go, żeby je przechować, jak długo będzie trzeba.

Brązowy, włochaty stos na dnie łodzi Harrogate'a rósł, dziwny ładunek, wcielone diabełki o ostrych niczym brzytwy zębach, obnażonych w szatańskich uśmiechach. Kiedy zapadł zmrok, Harrogate zapełnił już pół

łodzi, przybił do brzegu w światłach hurtowni tuż poniżej ujścia strumienia i przycumował. Usiadł nad wodą, upajał się wieczornym spokojem, winnym zapachem kapryfolium w powietrzu i czekał, aż ostatnie osobniki z wciąż drgającego stosu nietoperzy zdechną. Gdy wyzionęły ducha, załadował je do worka i chwiejnym krokiem ruszył w górę wzdłuż brzegu, do domu.

Rankiem udał się z nimi w drogę. Lekkie serce i ogromna radość z fortuny, jaką mu przyniosą, czyniły ładunek lżejszym, a mimo to tu i ówdzie musiał odpoczywać na chodniku. Etapami, z trudem, skurczony, zgarbiony i z obłędem w oczach dotarł na Central Avenue.

Co masz w tym worku, synu?

Harrogate zerknął spod swojego brzemienia na pytającego, który rozpierał się w otwartym oknie zaparkowanego obok radiowozu.

Podrzucił ciężar nieco wyżej na ramiona. Nietoperze, odpowiedział.

Nietoperze.

Tak, psze pana.

Co, gacki?

Nie, takie małe. Nocki.

Twarz

policjanta

wyrażała

niezmiennie

pobłażliwe

zainteresowanie. Postaw worek na ziemi, synu, i zobaczymy, co tam właściwie niesiesz.

Harrogate zsunął wór z ramion, postawił go na chodniku i rozsunął

kciukami brzegi zawiązanego otworu. Rozszedł się piżmowy zapach.

Harrogate przechylił nieco worek w stronę stróżów prawa.

Funkcjonariusz odsunął kciukiem czapkę do tyłu i wyciągnął szyję, żeby zajrzeć do worka. Zapowiedź otchłani. Łaskawie przedstawiona w jutowym worku wizja samego dna piekła, usłanego kosmatymi potępieńcami, którzy przeraźliwie krzyczą bez słów i szczerzą zęby w stronę odległego i obojętnego miasta Boga. Policjant podniósł głowę, spojrzał na czekającego Harrogate'a, na jasne niebo nad Knoxville, a potem zwrócił się do kierowcy.

Wiesz, co on ma w tym worku?

Co?

Zdechłe nietoperze.

Zdechłe nietoperze.

Tak jest.

No.

Co myślisz?

Nie wiem. Zapytaj go, dokąd z nimi idzie.

Dokąd z nimi idziesz?

TU zaraz, do szpitala.

Policjant wsparł podbródek na ramieniu. Krew uciekła mu z twarzy. Wścieklizna, powiedział. Odwrócił się do kierowcy, powiedział

coś i odjechali. Harrogate zarzucił sobie nietoperze na ramię i znowu ruszył w drogę.

Wspiął się na marmurowe schody, powędrował między starymi kolumnami portyku i korytarzem do biurka. Witam, powiedział.

Pielęgniarka podniosła na niego wzrok.

Mam trochę więcej.

Czego?

Trochę więcej. Nietoperzy.

Nie wiem, o co ci chodzi.

Nietoperze. Mam ich cały zasr... cały worek.

Przyglądała się mu z lekkim niepokojem.

Patrzaj pani, powiedział Harrogate, pokazując palcem.

Wstała, wychyliła się i spojrzała w dół. Harrogate niezdarnie mocował się z workiem, usiłując zajrzeć dziewczynie w dekolt.

Przyłożyła rękę do obojczyka. Harrogate rozsupłał worek i pielęgniarka odskoczyła.

Kupa ich, co nie?

Zabierz to stąd, szepnęła.

A gdzie mam je zabrać?

Ale pielęgniarka w białych butach na gumowych podeszwach szła już korytarzem. Wróciła z jakimś mężczyzną w białym fartuchu. To on?, spytał mężczyzna.

Harrogate dotrzymał pola.

Pokaż mi, co tam masz.

Harrogate rozchylił worek.

Mężczyzna zbladł. Skinął na pielęgniarkę. Dzwoń do kliniki, powiedział. Powiedz im, że mamy tu prawie cały buszel martwych nietoperzy.

Zaczęła wykręcać numer.

Gdzie je znalazłeś?, spytał mężczyzna.

Normalnie, tu i tam, odpowiedział Harrogate.

Korytarzem zbliżała się jakaś kobieta. Mężczyzna podszedł do niej i odprowadził ją z powrotem do drzwi.

Doktor Hauser mówi, że mamy je im przekazać, powiedziała pielęgniarka, zakrywając dłonią słuchawkę.

Powiedz, że już jedziemy.

Pewnikiem nieczęsto dostajecie ich tyle naraz, powiedział

Harrogate.

Posadzili go w białym pokoiku i dali pudełko lodów waniliowych.

Z błogim zadowoleniem obserwował słońce na ścianach. Po chwili pielęgniarka przyniosła mu metalową tackę, a na niej gorący lunch.

Możecie to sobie potrącić z tego wszystkiego, co mi tam wisicie, powiedział Harrogate do pielęgniarki.

Gdy przyszło południe, zaczął się nudzić. Podszedł do drzwi i wyjrzał. Pusty korytarz. Posiedział jeszcze trochę. Zrobiło się cieplej.

Położył się na kafelkowej posadzce z rękami pod głową. Jego myśli błądziły wokół wystaw sklepowych. Widział, jak wchodzi po schodach Comer’s w wyprasowanym, gabardynowym garniturze i butach zapinanych na suwak, ze smukłym cygarem w ustach, posrebrzanym włoskim sprężynowcem o hebanowej rękojeści w kieszeni i udrapowaną na kancie

spodni złotą dewizką. Wszyscy go pozdrawiają. Wyciąga z kieszeni zwitek banknotów. Zszedł z powrotem na dół i wrócił na górę w innym stroju, we wciąganej przez głowę koszulce Feezel's.

Ciemnogranatowej.

W

jasnoszarych

spodniach

i

niebieskich

zamszowych butach. Pasek do kompletu. Otworzyły się drzwi. Usiadł.

Pan Harrogate.

Tak, psze pani.

Doktor Hauser chciałby się z panem widzieć.

Przeszli przez troje drzwi. Lekarz stał przy stole wśród buteleczek i słojów. Pielęgniarka zamknęła za nim drzwi. Harrogate stał z rękami zwisającymi luźno w kieszeniach przepastnych spodni. Lekarz odwrócił

się i spojrzał na niego surowo znad okularów.

Pan Harrogate?

Tak, psze pana.

Tak. Pozwoli pan ze mną na moment?

Harrogate wszedł za lekarzem do maleńkiego gabinetu. Biała klitka z luksferami na suficie. Wyżej od czasu do czasu przechodzili ludzie,

stłumione obcasy i promienie słońca. Zwisające spod sufitu rury pomalowane na biało. Przyjrzał się wszystkiemu uważnie.

To była spora kolekcja nietoperzy, odezwał się lekarz.

Jest ich czterdzieści i dwa.

Tak. Żaden nie był ani trochę wściekły. Zaciekawiło nas to. Nie znaleźliśmy na nich śladów ukąszeń.

Harrogate uśmiechnął się szeroko. Wiedziałem, że możecie podejrzewać, że ktoś je zaszczelił albo coś. Bo było ich tyła.

Tak. Zbadaliśmy jednego.

Mmhmm.

Strychnina.

Twarz Harrogate'a przebiegł dziwny, drobny skurcz. Co?, zapytał.

Jak to zrobiłeś?

Co?

Jak to zrobiłeś? Jak otrułeś czterdzieści dwa nietoperze. Żerują wyłącznie w locie.

Ja zaś nic o tym nie wiem. Byli już martwe. Słuchaj pan.

Przyniesłem tu raz jednego i nikt nic w ogóle nie gadał. Nigdy mi nie mówili, że jest jakaś taka najwyższa liczba, ile ich można nazbierać.

Panie Harrogate, miasto oferuje nagrodę za wszystkie martwe nietoperze znalezione na ulicach. Mamy problem z wścieklizną, który może się wymknąć spod kontroli. Dlatego wyznaczono tę nagrodę. Nie autoryzowaliśmy masowej rzezi nietoperzy.

Dostanę forsę czy nie?

W żadnym wypadku.

Kurde.

Przykro mi.

No.

Chciałbym się dowiedzieć, jak udało ci się je otruć.

Harrogate ssał swój czarny ząb na przedzie. A co mi pan za to dasz?, spytał.

Lekarz rozparł się na krześle i przyjrzał się mu uważnie jeszcze raz. No cóż, odpowiedział, wczuwając się w sytuację. A ile byś chciał?

Dwa dolary.

To za dużo. Dam dolara.

Niech będzie dolar i ćwierć.

W porządku.

I obiad, i lody.

Okej.

Zrobiłżem to z procy.

Z procy?

Tak, psze pana.

Lekarz spojrzał w sufit. Aha, powiedział. Rozumiem. Jak to? Więc zatruwałeś kawałeczki mięsa, a potem wystrzeliwałeś je w powietrze?

No. Te skurwisyny normalnie spadały bez przerwy.

Bardzo pomysłowe. Cholernie pomysłowe.

Ja wszystko potrafię wymyśleć.

Cóż, przykro mi, że twoje wysiłki nie zdały się na nic.

Może dolar i ćwierć to dla pana nic, ale dla mnie coś.

Kiedy Suttree go odwiedził, zastał skurczonego dżina pochylonego nad skrzynką po jabłkach i wytyczającego obgryzionym kikutem ołówka jakąś trasę na planie miasta, poniżej jego granic. Optymistyczna, czerwona scena w krwistym świetle lampy budowlanej. Na kroki Suttree'ego spod lampy ruszył się jasnorudy kot i wycofał w ciemność.

Harrogate podniósł wzrok, miał podwinięte nogi i pogodny uśmiech, diaboliczna postać, po której tam i z powrotem niczym zły znak przesuwał się cień ćmy.

Jak ci poszło?

Siednij, Sut. Na gówno się wszystko zdało.

Nie chcieli ci zapłacić?

Nie. Jedno zaś muszę im przyznać. Są cwane.

No.

Cieszę się, żeś przyszedł. Patrzaj się na tą mapę.

Suttree rzucił na nią okiem.

Widać, gdzie są wszystkie budynki i można zmierzyć drogę, tu, widzisz, na takiej skali?

Taa?

No, kurde. Rozumiesz, tam są jaskinie, wszystkie zaś puste i w ogóle.

No to co?

Boże, Sut, to jak na zamówienie. Normalnie same się o to proszą.

Suttree wstał. Gene, powiedział. Jesteś nienormalny.

Siednij, Sut. Patrzaj się. Ten cholerny brzeg jest tylko...

Nie chcę patrzeć. Nie chcę tego słuchać.

Harrogate przyglądał się, jak Suttree wychodzi z krwawego światła w mrok, ciemniejąc niczym księżyc.

Nie ma zaś innego wyjścia, Sut, zawołał Harrogate. Musisz mi pomóc.

Dalej w ciemności miasta przejeżdżały nocne samochody.

Sut?

Na usianym chałupami zboczu po drugiej stronie strumienia zaczął

ujadać pies łańcuchowy.

Musisz mi pomóc, zawołał Harrogate.

15

Na początku lata na rzece pojawił się nowy rybak. Suttree zobaczył go zgarbionego nad wiosłami w łodzi, zbudowanej z tego, co wyrzuciło morze, ze starych kufrów, z desek skrzyń o napisach wykonanych szablonem, z fragmentów mebli połączonych blaszanymi szyldami sklepowymi i z płóciennych szmat, gdzieniegdzie zachlapanych gryzmołami smoły. Ta sklecona z byle czego łódź

poruszała się w rzadkiej mgle, napędzana przez ponurego wioślarza, który nie patrzył na prawo ani na lewo.

Stojąc przy straganie Umiera, Suttree wpatrywał się w długie, szklane mary. Paciorki wody spływały z ciężkich, ukośnych szyb niklowymi i porcelanowymi gniazdami złączek. W środku, na słabo oświetlonym i lekko udekorowanym natką pietruszki łożu z kruszonego lodu spoczywał zębacz z dziewięciocalowym talerzem w pysku.

O jego szeroki żółty bok stała oparta karteczka. Głosiła: Złowiony w rzece Tennessee 9 czerwca 1952 roku. Waga 87 funtów.

Dzieńdoberek, Suttree, powiedział sprzedawca ryb.

Skąd to masz, do cholery?

Jakiś Indianin przyniósł dzisiaj rano. To jest ryba, co?

W życiu nie widziałem większego zębacza.

Był tu niedawno stary Bert Vincent i też powiedział, że osobiście większego zębacza nie widział.

Nie przypuszczam, żebyś dzisiejszego ranka potrzebował ryby.

Dzisiejszego ranka nie.

Suttree przeszedł przez halę targową i ruszył ze swoimi rybami do czarnuchowa.

Wieczorem patrzył, jak Indianin wiosłuje znowu na połów wzdłuż swojej jedynej linki pod wiaduktem kolejowym. I wraca. Wpłynął w niebieski cień pod urwiskiem i dryfując, zniknął z pola widzenia.

Osiemdziesiąt siedem funtów, mruknął Suttree.

Wypatrywał łodzi Indianina podczas porannego połowu w dole rzeki. Zauważył ją kołyszącą się swobodnie pod litą skałą na południowym brzegu. W pnączach na zboczu wisiały wszędzie śmieci, a cienka kreska uskoku zakręcała ostro i zawracała aż po wejście do jaskini sto stóp nad rzeką. Był tam rybak i patrzył. Suttree podniósł rękę.

Postać na skale odpowiedziała gestem. Suttree ostrożnie opuścił wiosła do wody i popłynął dalej.

Kiedy wrócił w górę rzeki, Indianin sprawiał rybę na kamieniu u stóp urwiska. Na widok Suttree'ego wstał, podniósł wzrok na jaskinię i wytarł dłonie o boki swoich dżinsów.

Suttree ostrożnie podprowadził łódź pod ścianę i wciągnął na pokład wiosło od strony brzegu. Między skałami leżała płytka zatoczka, z której dna przez mulistą wodę patrzyły w górę oczy niezliczonych rybich łbów, w smugi słońca, na martwym już dla nich świecie.

Zwinięte wnętrzności falowały w ciemnościach, a kilka pustych puszek odbijało światło. Witam, powiedział.

Hej, odrzekł Indianin.

Jak leci?

W porządku.

Widziałem tego błękitnego zębacza u Umiera. Nie mam pojęcia, jak go wciągnąłeś na łódź.

Taa, odparł Indianin.

Suttree omiótł wodę spojrzeniem i przeniósł wzrok wyżej, z powrotem na Indianina. Wysoki nieznajomy o ochrowej cerze, w rozpadających się wysokich butach, żałosnym odzieniu, o krzywych kolanach i rękawach niezałatanych, ale po prostu byle jak zacerowanych na łokciach. Nosił przypięte do koszuli porcelanowe oczy, połączone drucikiem, które kołysały się kiedyś w głowie lalki.

Mieszkam tam dalej, na rzece, powiedział Suttree. T\iż nad mostem, na tej pierwszej barce.

Indianin skinął głową. Widziałżem cię, powiedział. Jego własnoręcznie obcięte włosy w słońcu wydawały się niebieskie, a oczy czarne. Suttree nie wiedział, czy Indianin patrzy na niego, czy tylko w dół na jego buty.

Ja łowię zębacze tej wielkości. Suttree podniósł najmniejszą rybę na łodzi.

Chcesz przynętę?

Przynętę?

Pewnie.

A jaką masz?

Poczkaj, zaraz przyniosę.

Suttree przyglądał się mu, pracując jednym wiosłem, żeby nie zniósł go prąd. Indianin pomknął w górę zbocza jak kozica.

Kiedy wrócił, wręczył Suttree'emu słoik. Suttree wziął go, obejrzał, podniósł pod słońce, odkręcił wieczko i powąchał zawartość.

Niech to szlag, powiedział.

Indianin przykucnął na skale, żeby go lepiej widzieć, i teraz klepnął się w udo, i roześmiał.

Kurde, powiedział Suttree. Klapnął wieczkiem o słój, zakrywając pulpę w środku.

Nie wąchaj tego, powiedział z szerokim uśmiechem Indianin.

No, powiedz mi jedną rzecz. Suttree przechylił słój, trzymając go na długość ramienia. Utrzyma się na haczyku?

Pewnie.

No dobra. Dzięki. Może złapię takiego wielkiego skurczyknota.

Pewnie, powiedział Indianin.

Suttree postawił słoik na ławeczce i odepchnął łódź od skał. Dzięki raz jeszcze, powiedział. Wpadnij mnie odwiedzić.

Indianin wstał, włożył ręce do kieszeni i lekko uniósł podbródek.

Okej, powiedział.

Suttree nie widział go przez cały następny tydzień. Cudaczna łódź

zniknęła. Wypróbował przynętę, ale nie mógł znieść jej woni, duszącego smrodu wymiocin. Po założeniu przynęty na haczyki co chwila mył

ręce. Trzeciego ranka złapał dwa żółwie, pozwolił słojowi opaść na dno w ciemnobrązowej wodzie w ślad za ostatnią migotliwą muchą i wrócił

do swojej krojonej przynęty oraz kulek z ciasta.

W poniedziałek rano ktoś zapukał do drzwi, wyszedł więc w poranny świt i zobaczył Indianina. Był w tym samym ubraniu i w tych samych butach, co poprzednio. Oczny tandem przypięty wciąż do kieszonki. Hej, powiedział.

Wchodź śmiało, odrzekł Suttree.

Jakże ci poszło z tą przynętą?

Okej. Ciągle łapałem żółwie.

Hej. Żółwie. Jaszczurowate, hej?

Taa. Uważaj na głowę.

Indianin pochylił się, wszedł i odwrócił głowę.

Siadaj. Suttree swobodnym gestem wskazał pogrążone w półmroku wnętrze.

Są smaczne, powiedział Indianin. Nie ma lepszego mięsa.

Taa, no. Trudno się je sprawia.

Przynieś mi jednego. Pokażę, jak to zrobić.

Chcesz kawy?

Pewnie.

Zaraz będzie. No już, siadaj.

Indianin usiadł na pryczy i skrzyżował nogi.

Nie widziałem cię przez parę dni.

Nie.

Suttree nalał chochlą wodę z wiadra do dzbanka i zapalił ogień.

Odmierzył i wsypał kawę. Znałem kiedyś takiego starego gościa, który polował na żółwie w dole rzeki. Ale nigdy nie widzę mięsa na sprzedaż.

Taa, no. Ja je czasami przedaję.

Suttree postawił dzbanek na fajerce, zamknął wieczko i zwiększył

płomień. Zdjął z góry zapasowy kubek. W środku był zwinięty w kłębek martwy pająk, wyrzucił go więc do śmieci i wypłukał razem ze swoim kubkiem. Kiedy kawa zabulgotała, nalał do pełna, odwrócił się i podał

jedno naczynie Indianinowi.

Ten wziął je uroczyście i zaczął dmuchać. Od Indianina biła aromatyczna woń dymu drzewnego, tłuszczu i ryb. Rzadkie baczki na gładkiej skórze. Ramiona szczupłe, o smukłych mięśniach i błękitnych żyłach.

Nigdy tego nie jadłem, powiedział Suttree.

Czego?

Żółwia.

Wpadnijże kiedy do mnie, to ci go przyrządzę.

Okej, odpowiedział Suttree.

Indianin popijał kawę i czarnymi oczami przyglądał się mu uroczyście znad kubka.

Zamkli mnie do pudła, powiedział.

Kiedy?

W przeszłym tygodniu. Właśnie żem wyszedł.

Za co cię przymknęli?

Włóczęgostwo. Wiesz. Już raz mnie kiedyś złapali.

Jak wyszedłeś?

Pozwolili mi zamiatać. Pozwolili mi sprzątać, a potem mnie wypuścili. Wracam dzisiaj rano i nie ma mojej łodzi.

Gdzie ją zostawiłeś?

Właśnie tutaj. Widzi mi się, że zabrali ją jacyś chłopcy.

Szukałeś jej?

Taa.

Suttree zmierzył go wzrokiem. No, powiedział. To może wsiądziemy na moją łódź i spróbujemy znaleźć twoją.

Zapłacę ci.

Nie trzeba.

Wzuł buty i skarpetki. Te rzeczne szczury kradną wszystko, co nie jest przymocowane na amen.

Mogli ją zaś zatopić.

Zatonęłaby?

Jak włożyć dość dużo kamieni.

Suttree pokręcił głową.

Popłynęli w dół rzeki, Suttree wiosłował, a Indianin wybierał

wodę, i pochylali się ku sobie, każdy nad swoją robotą.

Mieli tam niezłego czarnucha, powiedział Indianin.

Znaczy gdzie?

W pudle. Mieli takiego wielkiego, ogromnego czarnucha. Bili się z nim po całym więzieniu. Wchodzili i walili go pałkami po łbie. Szybko dochodził do siebie i znowu zaczynał im bluzgać.

Suttree wstrzymał wiosła.

Nabił guza paru naszym klawiszom, powiedział Indianin.

Wyszedł?

Taa. Ktoś przyszedł wczoraj i zaś go wyciągnął.

Suttree powiosłował dalej.

Minęli ostatni most i ruszyli zakolem. Przepatrywali brzeg.

To nie ona, co?, spytał Suttree, wskazując palcem.

Indianin osłonił oczy. Nie, powiedział. To tylko jakieś śmieci.

Suttree przetarł oko o bark, jakby wzruszając ramionami, i zaczął

znów wiosłować.

Chcesz, żebym teraz ja trochę powiosłował?

Nie. Nie ma sprawy.

Znaleźli łódź na płyciźnie w pobliżu cypla wyspy. Suttree ostrożnie podpłynął i wciągnął wiosła na pokład. Indianin wstał.

Przedziurawiona?, spytał Suttree.

Nie. Zdaje mi się, że nie.

Muszą być ciągle na wyspie.

Indianin uważnie przyglądał się parującemu królestwu trzcin i wierzb. Po pasie iłu sunęła siewka niczym ptak na strzelnicy w wesołym miasteczku. Suttree wysiadł z liną i wciągnęli łódź na brzeg.

Przez chaszcze w głąb wyspy biegła wąska ścieżynka. Ruszyli nią ostrożnie. Wokół kołowały i krzyczały drozdy.

Weszli na polankę, gdzie zwęglony chrust i poczerniałe kamienie znaczyły ognisko. Kilka pustych puszek po fasoli. Obeszli polankę wokół.

Wygląda na to, że już dali drapaka, powiedział Suttree.

Taa.

Nie mogą być daleko.

Zostawmy ich w spokoju, powiedział Indianin.

Taa?

Pewnie.

Okej.

Zawrócili i kolejno opuścili polankę, Suttree za Indianinem. Z

czubków trzcin jak małe chińskie latawce podrywały się ważki.

Jak się nazywasz?, spytał Suttree.

Indianin odwrócił się i spojrzał na niego. Michael, odpowiedział.

Tak cię wołają?

Znowu się odwrócił. Nie, odparł. Wołają na mnie Tonto albo Wahoo, albo Wodzu. Ale nazywam się Michael.

A ja Suttree.

Indianin się uśmiechnął. Suttree pomyślał, że może przystanie i uściśnie mu dłoń, ale nie zrobił tego.

Wybrali wodę z dna i spuścili łódź na rzekę, a Suttree zepchnął ją na jasnobrązową powierzchnię. Indianin wziął wiosła i zawrócił w górę rzeki. Ile ci jestem winien?, spytał.

Nic.

No. To wpadnij do mnie, a ja ci sprawię tego żółwia.

Suttree podniósł rękę. Okej, powiedział. Uważaj na gliniarzy.

Indianin zanurzył wiosła w rzece i odpłynął.

Suttree wsiadł do łodzi, przeszedł na jej tył i odepchnął ją wiosłem od płycizny. Łaciata łódź Indianina szybko znalazła się na środku rzeki, światło pomrugiwało, odbijając się od wioseł w tych miejscach, gdzie były połamane i naprawione za pomocą spłaszczonych puszek po konserwach, przybitych do piór. Suttree ostrożnie wsunął wiosła do wody i popłynął w głąb wyspy. Szukał śladów obecności złodziei, zauważył nos piżmoszczura wśród wierzb i grupkę młodych czapli siwych, gapiących się ńa niego z puchowego gniazda w trzcinach, spiczaste dzioby, włókniste szyje, różowe ciała, pisklęcy puch i jakby pozbawione kości, podwinięte nogi. Podpłynął bliżej brzegu, by lepiej się im przyjrzeć. Takie dziwne, nitkowate stworzenia. Kiedy znalazł się naprzeciwko gniazda, tuż nad jego uchem świsnął kamień. Uchylił się i spojrzał w stronę paproci przy brzegu, ale zanim zebrał się w sobie, spomiędzy wierzb ze świstem wyleciał kolejny kamień, który trafił go w czoło, i Suttree upadł na wznak na dno łodzi. Niebo poczerwieniało, podniosło się wysoko i było poorane jak brzusiec wielkiego kciuka, a z tyłu na zębach Suttree poczuł drętwienie i mrowienie. Jedno wiosło wysunęło się z dulki i odpłynęło.

Niesiona prądem łódź przedryfowała obok pomostu i dalej, za kraniec wyspy. Suttree leżał na dnie łodzi jak długi, a oczy zalewała mu krew. Na tle nieba ukazała się gałąź jakiegoś drzewa. Podciągnął się, chwytając za krawędź burty. Czuł posmak żelaza w gardle i splunął do wody krwawą flegmą. Ukląkł, wychylając się za burtę, i obmył twarz, śliską od krzepnącej krwi, której strużki leżały teraz na wodzie.

Delikatnie dotknął jajowatej opuchlizny. Pulsowała cała głowa, bolały nawet oczy. Spojrzał w górę rzeki, w stronę wyspy, i morderczo zaklął.

Drugie wiosło dryfowało na rzece kilka jardów z przodu, popłynął więc ku niemu. Światło wciąż pomrugiwało na zmarszczkach powierzchni, z czoła leciała mu krew i odczuwał słabe mdłości. Odzyskał unoszące się na wodzie wiosło i powiosłował głównym korytem z powrotem w górę rzeki. Przepatrywał brzegi wyspy, nic jednak nie zauważył. Po pewnym czasie głowa przestała krwawić.

Drzwi u Aba otworzyła Doli, która przyjrzała się Suttree'emu od stóp do głów. Hę, powiedziała. Co to ci się stało?

Jakiś skurwysyn rzucił we mnie kamieniem.

Mmm, odpowiedziała, kręcąc głową. Wejdź.

Jak tam Ab?

Zamknęła drzwi za Suttree'em.

Suttree odwrócił się w pachnącym stęchlizną i zaciemnionym pokoju. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że już mu zupełnie odpierdzieliło?

Ja tam nic na niego nie mogę poradzić.

Gdzie on jest, na zapleczu?

Skinęła na niego jedną ręką, drugą odsłaniając zasłonę.

Początkowo nie widział go wyraźnie, ale stopniowo ukazały się na wpół

przymknięte i podpuchnięte oczy Murzyna, jego połyskliwa, wykrzywiona twarz. Ruchy złamanej szczęki sprawiały Abowi ból.

Powiedział: Hej, Młody.

Suttree słyszał w ciszy jego świszczący oddech. Cześć, Ab, powiedział. Jak się masz.

Dobrze. Ino ucinam sobie komara. Co ty tu robisz w samym środku dnia? Łowisz jakie ryby?

Tyle co nic. Był lekarz?

Zapadniętymi sprężynami wstrząsnął chrapliwy śmiech. Ab poruszył głową, jak gdyby szukał jakiegoś ciemniejszego miejsca, gdzie mógłby ją położyć na poduszce. A na co mi lekarz?

Myślę, że potrzebujesz pomocy.

Może i tak. Ale nie trza mnie szyć, pocieszać ani modlić się nade mną.

Co ci mogę dać?

Ach, nic mi nie trza, Młody.

Ktoś mi powiedział, że próbowałeś spuścić im wszystkim łomot w miejskim więzieniu.

Na tych buraków nie ma rady. Od czasu do czasu trza im dać krzynkę po łbach.

Pamiętam, że jak ostatnio przymknęli Byrda i Sama Slussera, to tygodniami widziało się w Knoxville kuśtykających po ulicach gliniarzy w bandażach i z podbitymi oczami.

Jones zachichotał.

To w tym tygodniu też pewnie zobaczymy paru takich.

Ach, odpowiedział Jones. Chcem tylko jednego z nich.

Kogo, Quinna?

Jones nie odpowiedział. A jak twój młodszy koleżka?, spytał. Nie utopił się jeszcze na tej swojej łódce, co?

Jeszcze nie.

Był tu przedwczoraj, próbował sprzedać mojej starej coś niby kaczki.

Kaczki?

Tak mówił. Mnie zaś tam wyglądały na zwyczajne gołębie.

Przyniósł je sprawione i w ogóle. On ma coś z głową, nie?

Jest kompletnie porąbany.

Jones znów zachichotał.

Idę do miasta. Chcesz, żebym ci coś przyniósł?

Ee tam.

Jesteś pewien, że wszystko z tobą w porządku?

Ab odwrócił zmaltretowaną głowę. Zrób coś dla mnie, Młody.

Powiedz tylko co.

Pójdź w moim imieniu do panny Mother. Powiedz, że mus mi się z nią zobaczyć.

A Doli nie pójdzie?

Doli nie chce, cobym się z nią w ogóle kontaktował. Ale jak sama przyńdzie, to jej nie wypędzi. Powiedz jej.

Co jeszcze?

To wszystko. Będę ci bardzo wdzięczny.

Okej. Trzymaj się, do zobaczenia.

Taa, odpowiedział Murzyn.

Przeszedł przez pola, ruszył Front Avenue i skręcił na stromą, wysypaną żużlem ścieżkę, mijając kurnik i śpiącego psa. Ścieżka prowadziła przez las grochodrzewów i wszędzie w słońcu wisiały ogromne strąki, plamiste i miejscami zasłonięte przez naniesione wiatrem papiery, tkwiące wśród poczerniałych wyższych gałęzi, namioty z gazet, szczątki połamanych, wyblakłych od deszczu latawców, wbitych na kolce drzew, i śmieci. Przeszedł nad wystającym do połowy nad ziemię żelaznym włazem kanalizacyjnym i zszedł niżej, do starej wapiennej niecki, którą wypełniono odpadami i zniwelowano jako wysypisko wiele lat temu. Teraz była tu

niewielka polanka, na której środku stała chałupa z surowego drewna. Suttree zszedł ścieżką na dół i wyłonił się spomiędzy ostatnich drzew. Powietrze przecięła dzierzba.

Kilka

krzykliwie

upierzonych

ptaków

przelotnych,

pochylających się na gałęziach, żeby go lepiej zobaczyć, jakieś nieznane mu, kolorowe ptaszyska o długich ogonach. Ich pióra leżały na ziemi na podwórku. Podszedł do drzwi i zapukał.

Otworzyły się, ukazując czarną jak węgiel karlicę we wdowiej sukni i małych binoklach w złotej drucianej oprawce na nosie. Miała zaledwie cztery stopy wzrostu, ręka na klamce na wysokości jej ucha, jak gdyby była dzieckiem albo tresowaną małpą, pełniącą rolę służącej.

Podniosła wzrok na Suttree'ego i powiedziała: No, coś mi się widzi, że nie przychodzisz dla siebie.

Nie, psze pani. Odwróciła głowę i przechyliła ją nieznacznie na bok. Powiedział: Przychodzę w imieniu Aba Jonesa. Chciał się zapytać, czy mogłaby go pani odwiedzić.

Wnijdź tutaj, odparła, robiąc krok do tyłu.

Wszedł z dziwnym poczuciem szacunku. Kiedy zamknęła za nimi drzwi, znaleźli się w niemal całkowitej ciemności. Poprowadziła go korytarzem i przez drzwi, w których wisiała zasłona. W oknach przypięte pinezkami do ram czarne portiery. Dostrzegł stół, parę krzeseł

i łóżeczko.

Siednij, powiedziała.

Usiadł przy stole i się rozejrzał. Wyszła z pokoju. Z półmroku zaczęły się wyłaniać dziwne przedmioty, jak postaci we śnie. Na stole stał zestaw różnych srebrnych flakonów, świeczników, miseczek i mis, owiniętych żółtym celofanem. Kominek, w którym na cegłach leżał

połamany ruszt i nad którym wisiało przekrzywione lustro. Na kominku lampa, flakon, marmurowy zegar. Coś, co wyglądało jak wypchany ptak. W półmroku znalazły też schronienie jakieś mniejsze przedmioty.

Elektryczny wiatraczek na stole kręcił się na boki, co chwila owiewając go cuchnącym powietrzem. Gołe ściany chałupy zostały oklejone kwiecistą tapetą, rozdartą w szparach łączeń przez wypaczone deski.

Wszędzie wisiały portrety Murzynów, dziwne grupy rodzinne, twarze patrzące poważnie z papierowej przeszłości. Wisiały w ciemności niczym galeria potępieńców.

Murzyni na zdjęciach mieli na sobie własnoręcznie szyte odzienie.

Usłyszał skrzypnięcie drzwi do piwnicy. Cięte kwiaty w niebieskim kubełku na węgiel, stojące w palenisku, poruszyły się i zadrżały.

Słyszał, jak wchodzi z zewnątrz. Dźwięk zasuwy i szuranie jej miękkich bucików. Weszła i zamknęła za sobą drzwi. Kiedy się zamykały, dostrzegł w ich świetle wieszak, na którym przeciąg huśtał

albo obracał odpustowe ptaszki na drucikach. Podeszła do niego, jedną ręką ujęła go za głowę, a w drugiej uniosła coś małego, dziwnego kształtem i zawiniętego w kawałek starej skarpety. Suttree odepchnął jej dłoń. Zaraz, powiedział. Co to jest?

Nie ruszaj się, odpowiedziała.

Poderwał się i cofnął. Jej ręka w jego dłoni przypominała cienką szczapę na opał.

Zaś nie cudownie być głupcem?, zapytała. To lód, chłopcze. A teraz siednij spokojnie.

Osunął się na krzesło, a ona przyłożyła mu zimny, mokry szmaciany węzełek do guza na czole i wzięła go za rękę swoją drobną dłonią, która mogłaby przywołać wspomnienie dotknięcia przez kraty łapy małpy albo udomowionego szopa. Naprowadziła jego rękę na lód, a on go przytrzymał. Z nosa ściekła mu strużka wody. Poczuł, jak głowa przyjemnie mu drętwieje.

Lepiej przynieś tego trochę dla Jonesa, powiedział.

Co mu jest?

W zeszłym tygodniu porządnie go zbili w więzieniu. Pfewnie dlatego chce się z tobą zobaczyć.

On nic o to nie dba. Chce ino pozabijać swoich wrogów, tego chce.

Pozabijać swoich wrogów? Suttree siedział z pochyloną głową, by skapywała z niej woda.

Mmhmm.

Jakich wrogów?

Kiedy stanęła koło krzesła, na którym siedział, mogła mu spojrzeć w oczy, nie podnosząc głowy. Spojrzała na niego. Twarz, na której malowało się wszystko i nic. Oblicze ukształtowane w zimnym, czarnym wosku. Zrobiła gest ręką, wysuwając ją i sugerując świat, rozciągający się za cienkimi ścianami z desek i lasem grochodrzewu, gest zarówno poważny, jak i wdzięczny, który wskazywał niezliczone armie nieugiętych białasów. To było wszystko. Przytknęła palec do ust, żeby poprawić swoją sztuczną szczękę.

Suttree wstał i powiedział, że musi już iść.

Odciągnęła zasłonę, a on wyszedł i ruszył do drzwi. Przystanął

przy nich, kładąc rękę na klamce. Co mam powiedzieć Jonesowi?, spytał.

Ja zaś tam chodzić nie mogę.

On naprawdę chce, żebyś przyszła.

Mmhmm.

Potrzebuje cię.

No przecie wiem.

To może mogę go przyprowadzić tutaj?

Wie, gdzie mieszkam.

No.

Otworzył drzwi. Oślepiło go białe słońce. Dziękuję za lód, powiedział.

Mmhmm.

Gdy dotarł na ulicę, lodu już nie było, przystanął więc u Howarda Clevingera, żeby wziąć jeszcze trochę. Podniósł zardzewiałą pokrywę chłodziarki z napojami i szukał ręką w zimnej wodzie kawałka lodu odpowiedniej wielkości, gładkie bryłki ślizgały się między szyjkami butelek wraz ze strzępkami papieru i płatków złuszczonej farby.

Gatemouth obserwował go z bujanego krzesła, a kiedy Suttree podniósł

się zza pokrywy i przyłożył sobie lód do czoła, Gatemouth wybuchnął

śmiechem, zarzęził, zakołysał się i pokręcił głową.

Ho, ho, powiedział Suttree.

Kto walnął cię w łeb, kochanie?

Suttree odchylił się do tyłu. Na kartonowym suficie wisiały przyszpilone papierki w dziwnych kształtach.

Z kim żeś darł kłaki, Sut?

Wpadłem na drzwi.

Hi, hi, zachichotał Gatemouth.

Gdzie się dziś podziewają wszyscy twoi przyjaciele z domu wariatów?

Na swobodzie, między ludziami.

To dobrze, powiedział Suttree. Przyłożył lód do głowy i wyszedł.

Kiedy przechodził przed ladą, Clevinger, rozwalony na krześle i ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, rozchylił jedno oko, a potem znów je zamknął. Suttree ruszył pod górę, do miasta.

Kiedy wrócił, było późne popołudnie. Usiadł na ganku i patrzył na płynącą rzekę. Przed zmrokiem wstał i poszedł do Aba Jonesa.

Dwóch białych piło piwo w kącie, a Doli smażyła hamburgery na małym palniku w kuchni. Przeszedł przez salę i odchylił zasłonę. Łóżko było puste. Jones stał nad pisuarem, opierając się jedną ręką o ścianę.

Miał na sobie bokserki koloru khaki i nawet w słabym świetle wychodzącego na rzekę okienka Suttree zobaczył takie galaktyki blizn, stare, zagojone rany i gładkie, sine ślady po szwach, że zaparło mu dech.

Jones wyglądał niczym jakiś mroczny potwór filmowy, pozszywany obojętną ręką z różnych fragmentów ludzkich ciał, znalezionych na cmentarzu. Suttree pozwolił zasłonie opaść.

Co powiedziała, Młody?

Żebyś ty przyszedł do niej.

Patrzył w podłogę, czekając na odpowiedź. Jones milczał.

Powiedziałem, że jej potrzebujesz, ale nie chciała nawet o tym słyszeć.

No.

Chcesz, żebym spróbował raz jeszcze?

Ee tam. Idźże, weź sobie piwo.

Myślisz, że dałbyś radę do niej pójść?

Pewnego dnia tam zajdę.

Suttree wrócił do frontowej sali.

Chcesz hamburgera?, zapytała Doli.

Suttree odparł, że chce.

Wziął piwo z chłodziarki, przeszedł w przeciwległy kąt i usiadł.

Tamci dwaj obserwowali go. Suttree pociągnął długi łyk z butelki i odstawił ją obok na marmurowy blat. Doli przyszła, szurając kapciami, postawiła przed nim gruby talerz z hamburgerem i piklami i wróciła.

Hej, odezwał się jeden z mężczyzn.

Suttree spojrzał na nich.

Jak to może być, że on dostaje pierwszy? Przyszedł po nas.

Doli podniosła wzrok znad sklejkowego kontuaru. Drżała jej powieka. Sprawiała wrażenie osoby straszliwie zmęczonej. On tu robi, odparła.

Spojrzeli na Suttree'ego. Podniósł hamburgera i odgryzł spory kawałek. Mięso było pieprzne. Aromatyczny tłuszcz i majonez skapywały na talerz.

Hej, koleś, pracujesz tutaj?

Suttree obrzucił ich wzrokiem. Wyglądali nieciekawie. To może przyniesiesz nam jeszcze dwa piwa, kolego. Wskazał Doli. Ją poproście.

Do diabła, ona powiedziała, że tu pracujesz. Nie obsługujesz stolików?

Kurde, chłopcze, może my dajemy duże napiwki, a ty nic o tym nie wiesz.

Suttree odstawił piwo i pochylił się na krześle. Coś wam powiem, wy błazeńskie chujki. Jak sprowokujecie tego wielkiego sukinsyna, żeby tu przyszedł tak zły, jak źle się czuje, to pozabija was na miejscu.

Spojrzeli na zaplecze, które wskazywał Suttree. Jeden zwrócił się do drugiego. On tam jest?, zapytał.

Skąd, kurde, mogę wiedzieć.

Myślałem, że siedzi w więzieniu.

Suttree spojrzał na Doli. Odwracała płaty mięsa, jej zafrasowana twarz lśniła od tłuszczu i pary.

Spotkamy się przed wejściem, matkojebco, powiedział facet przy stole.

Jasne, powiedział Suttree. Skończył hamburgera, osuszył butelkę piwa i wstał. Postawił talerz i butelkę na kontuarze i otarł usta rękawem.

Ile jestem winien?

Ty nic.

Dzięki, Doił.

Nie waż się sprowadzać tu tej wiedźmy.

Suttree uśmiechnął się szeroko. Nie chciała przyjść, powiedział.

Mmhmm. Doli wyszła z talerzami zza lady, a Suttree podszedł do drzwi. Nasłuchiwał, czy tamci dwaj mężczyźni odezwą się, ale milczeli.

Wgramolił się do łóżka, nie zapalając lampy, a wstał niedługo po brzasku i poszedł wyciągnąć linki połowowe.

Kiedy wracał w górę rzeki z rybami, zauważył łódź Indianina, przycumowaną do skał pod urwiskiem, a Indianin przywołał go z góry przenikliwym gwizdem.

Suttree pomachał.

Indianin osłonił usta rękami i krzyknął, żeby Suttree przybił do brzegu. Suttree zaczął pracować lewym wiosłem i wpłynął w cień skał.

Indianin przedzierał się ścieżką. Suttree odłożył wiosła i czekał.

Mam dla nas żółwia, powiedział Indianin. Schylił się, by spojrzeć na Suttree'ego. Co ci się stało?

Co?

Wskazał głowę Suttree'ego. Suttree delikatnie przyłożył palec do rany. Zrobili mi to wczoraj. TWoi kolesie.

Moi kolesie?

Kiedy wracałem, jak cię już zostawiłem, ktoś rzucił we mnie łupkiem.

Dobrego miał cela, do diabła.

Suttree podniósł wzrok, żeby zobaczyć, czy Indianin się uśmiecha, ale nie. Wyprostował się i zszedł ze skały. Chodź, powiedział. Pokażę ci twoją kolację.

Suttree wysiadł z liną w ręku i przywiązał łódź. Indianin podniósł

biegnącą wśród kamieni linkę i wciągał ją to jedną, to drugą ręką.

Niewyraźny, garbaty kształt podniósł się i opadł. Wszedł w granice cienia skalnej zatoczki i nurzał się powoli między falującymi rybimi pyskami. Suttree osłonił oczy przed słońcem. Kształt wzniósł się, ciągnięty za łeb,

cień koloru mchu stał się wyraźniejszy, pancerna, skórzasta głowa. Indianin zaparł się i wyciągnął ociekające wodą zwierzę z rzeki na skały, gdzie przysiadło, przyglądając się im i mrugając swoimi złowrogimi, świńskimi oczami. Było przywiązane za dolną szczękę kawałkiem drutu, który Indianin pociągnął. Żółw szarpnął

się i zasyczał wściekle, otwierając szeroko paszczę. Indianin wyciągnął

scyzoryk, otworzył go, naciągnął i naprężył sprośną szyję zwierzęcia, po czym szybkim ruchem ostrza ku górze odciął mu łeb. Suttree cofnął się odruchowo. Skalista głowa żółwia zwisała na drucie, a to, co pozostało między jego rozstawionymi przednimi łapami, przypominało suczą cipę, z której powolnymi skurczami wypływały strugi niemal czarnej krwi.

Spływała po kamieniach i skapywała do wody, a żółw powoli obrócił się na skale i ruszył w stronę rzeki.

Indianin odwiązał drut, wrzucił łeb do wody, chwycił żółwia za ogon i znacząc ziemię krwią, zamaszystym ruchem podał zwierzę Suttree'emu.

Suttree wyciągnął rękę, żeby wziąć żółwia za tylną łapę, ale kiedy jej dotknął, cofnęła się pod łuskowaty okap skorupy.

T\i, weź go za ogon.

Wyciągnął rękę nad ręką Indianina i złapał bezgłowe zwierzę.

Krew kapała i rozbryzgiwała się na kamieniach.

Jak myślisz, ile waży?

Nie wiem, odrzekł Suttree. Wielki jest, sukinsyn. Ze trzydzieści funtów?

Może być. Połóż go tutaj, oprawimy go.

Suttree położył żółwia na skale, a Indianin szukał czegoś wokół, aż wreszcie znalazł spory kamień.

Uważaj, powiedział.

Suttree cofnął się.

Indianin podniósł rękę i uderzył zwierzę kamieniem w grzbiet.

Skorupa pękła z pulpowatym trzaskiem.

Nigdy jeszcze nie widziałem, jak się sprawia żółwia, powiedział

Suttree. Indianin przyklęknął, odcinał połamane kawałki skorupy scyzorykiem i wrzucał je do rzeki. Oddzielił mięso od tarczy brzusznej zwierzęcia i oderwał kciukiem niewielkie wnętrzności. Łapy obdarł ze skóry. Kiedy podniósł zaciśniętą dłoń, zwisała z niej bezgłowa, wilgotna, szara embrionalna masa, ciemny, bezwładny, ociekający krwią atawizm.

To kupa mięsa, powiedział Indianin. Rozłożył je na skale, schylił

się i przecinając powietrze ze świstem ostrza, zanurzył nóż w rzece.

Jak się to przyrządza?, spytał Suttree.

Wkładasz go do garnka i gotujesz na wolnym ogniu. Dużo warzyw. Dużo cebuli. Dodaję też swoje składniki. Chodźże, pokażę ci.

Muszę popłynąć do miasta z tymi rybami. Jak długo się to gotuje.

Trzy, cztery godziny.

No to może wrócę wieczorem?

Okej.

Suttree spojrzał na przypominającego worek sprawionego żółwia, ociekającego krwią w ręce Indianina.

Tylko przyjdź na pewno, powiedział Indianin.

Przyjdę.

Odepchnął łódź i wziął wiosła. Indianin podniósł żółwia i zaczął

nim wymachiwać przed sobą jak kadzielnicą.

Kiedy Suttree wyszedł z hali targowej, zaczynało padać. Kupcy na ulicy rozwijali tyczkami daszki. Między ciężarówkami przemykali straganiarze, wsuwając towary głębiej na platformy, a jakiś obłąkany prorok, żywa reklama z biblijnymi tablicami z przodu i na plecach, przedreptał chwiejnie obok, pomrukując coś ponuro pod adresem niebios. Suttree ruszył uliczką i wszedł na schody na zapleczu Comer's.

Grupka głuchoniemych grała w snookera przy stole z tyłu, a kilku z nich podniosło ręce w geście pozdrowienia. Suttree odwzajemnił

powitanie, idąc do umywalki po papierowe ręczniki. Jeden niemowa zaczął gestykulować w jego stronę, rzeźbiąc zręczną dłonią słowa w zadymionym powietrzu. Suttree wycierał twarz. Myślał, że rozumie, o co chodzi, skinął więc głową i sam zaczął formować słowa palcami, pogubił się, wymazał je, zaczął od nowa. Głuchoniemi kiwali głowami, dodając mu otuchy. Uformował dla nich jakieś zdanie, a oni zaśmiali się chrapliwie, jak to głuchoniemi, i zaczęli szturchać się nawzajem łokciami. Suttree uśmiechnął się szeroko i podszedł do barowego kontuaru.

Jednoręki Eddie Taylor grał w bilard na pieniądze w bocznej sali z jakimś nieznajomym i właśnie wbił dwie bile. Suttree usiadł przy ladzie i obrócił stołek, żeby popatrzeć. Bile śmigały po suknie i z wściekłym łomotem wpadały do łuz, Taylor śmiał się, żartował, smarował kredą kij.

Pochylił się, uderzył. Bila odbiła się potężnie od przeciwległej bandy.

Łup.

Knoxville Bear, zawołał Harry the Horse w drodze do kasy.

Stud wycierał ladę pod ręką Suttree'ego. Co dla ciebie, Sut?, zapytał.

Daj mi mleko czekoladowe.

Buddy, chłopie, powiedział Jake.

Hej, Jake.

Jake splunął do spluwaczki z nierdzewnej stali i otarł usta. Nasz Bear potrafi zapędzić bile do łuz, co nie.

Owszem, powiedział Suttree.

Kiedy popijał mleko, mały dziwak Leonard zajął miejsce obok, pochylił się, żeby ocenić poziom rozgrywki na stole, i zaraz się cofnął.

Hej, Sut?

Hej, Leonard.

Co to, kurwa, znaczy andrzejak?

Andrzejak?

A-n-d-r-z-e-j-a-k.

Suttree spojrzał na Leonarda. Kto cię tak nazwał?

Ale co to znaczy?

No. Nie wiem. Andrzejak to... chyba bandyta.

Bandyta, tak?

Mniej więcej.

Taa. Okej.

Nigdy nie słyszałem tego słowa, tylko w tej popieprzonej gazecie.

Taa, no. Leonard rozejrzał się nerwowo wokół i wstał. Do zobaczenia, Sut.

Suttree patrzył, jak tamten idzie do drzwi i na schody. Stud, powiedział. Podaj mi gazetę.

Znalazł artykuł na drugiej stronie. Wczoraj wieczorem na River Queen, popularny w Knoxville statek wycieczkowy, wsiadło kilku andrzejaków,

prawdopodobnie z zamiarem dokonania rabunku, do czego jednak nie doszło. Uśmiechnął się, dopił mleko, położył dziesięć centów na ladzie i odsunął gazetę.

The Jellyroll Kid grał w snookera przy stole od frontu, a kiedy Suttree usiadł na jednym z przekrzywionych foteli teatralnych, chłopak przysunął się do niego boczkiem i opuścił złożone ręce, żeby pokazać Suttree'emu swoje bile. Miał jedynkę i dwunastkę. Suttree przyjrzał się im z pokerową twarzą. Grasz z niezłymi remiechami, co?, spytał.

To tylko dolar. Chłopak patrzył na stół. Rozbił bile w trójkącie i dwunastka zawisła na krawędzi łuzy w rogu. Flop ustawił na suknie pomocnika, wsunął w niego kij, suwał nim tam i z powrotem, po czym wycelował, prowadząc go łagodnie i przytrzymując pomocnika kikutem.

Wbił ósemkę do bocznej kieszeni, a biała bila potoczyła się z cmoknięciem wzdłuż bandy i leżących przy niej bil, wyrwała z nich jedynkę i stuknęła inną bilę, która dotknęła dwunastki. Dwunastka wpadła do łuzy.

Trafiony, powiedział Jellyroll, wyjmując bilę z kieszeni i wciskając ją pod bandę z przeciwnej strony stołu. Flop spojrzał na niego, nasmarował kij kredą, odłożył pomocnika, oparł kij o bandę, zaczął

suwać nim tam i z powrotem i wycelował. Jellyroll odwrócił się w głąb sali. Jerome Jernigan podniósł oczy w górę z obrzydzeniem. Flop wbił

jedynkę do łuzy.

Dubel, powiedział Jellyroll, rzucając bilę na stół.

Kurde, rzucił Jerome.

Trójkąt, odezwał się Jelly.

Jellyroll Kid, powiedział Jake, wyciągając bile z łuz i ustawiając je w trójkącie.

Jellyroll rzucił ćwierć dolara na stół, zebrał pieniądze od innych graczy, wsunął bile z powrotem do skórzanej tuby, potrząsnął nią i podał

Suttree’emu. Ten przechylił ją, pozwolił dwóm kulom wypaść na swoją dłoń i oddał tubę Flopowi.

To największy pieprzony szczęściarz na świecie, powiedział Flop.

Jellyroll rozbił bile na stole. Suttree odwrócił kule i spojrzał na nie.

Miał jedynkę i piętnastkę.

Gdzie mogę uderzać, Sut?

Suttree spojrzał na stół. Ósemka była zastawiona.

Możesz uderzać, gdzie chcesz.

Nawet nie chcę wiedzieć, co mam, powiedział Jellyroll. Wbił

piętnastkę w narożną kieszeń i posmarował czubek kija kredą.

Trafiony, powiedział Suttree, wstając i ustawiając piętnastkę pod bandą.

Jak tam wygląda ta czternastka, Sut?

To za trudne uderzenie, Jelly.

Jellyroll obszedł stół, wycelował w jedynkę i trącił ją bokiem.

Dubel, powiedział Suttree.

Pierdzielisz?, odparł Jelly, prostując się i uśmiechając szeroko.

Trójkąt, powiedział Jerome.

Flop pokręcił głową. Drugi z mężczyzn wstał, rzucił swoje bile na stół, wziął skórzaną tubę i wysypał bile na sukno. Niech sam sobie ciągnie bile, kurwa, powiedział.

Tak, odezwał się Jelly. Ani razu nie miałżem ósemki.

Jak to uprzejmie ze strony Jellyroll Kida, powiedział Jake, ustawiając bile w trójkącie.

Nieznajomy liczył bile, wsuwając je z powrotem do tuby. Jellyroll wyszczerzył zęby w uśmiechu i mrugnął do Suttree'ego. Kenneth Tipton mi gadał, że w zeszłym tygodniu grał tu w snookera z czterema licealistami. Ciągnął jako ostatni i kiedy przyszła na niego kolej, w tubie została tylko jedna bila. Podniósł ją i zapytał, czy może jedną od kogoś pożyczyć.

Suttree uśmiechnął się szeroko. Jimmy Long grał tu kiedyś na pieniądze z takim jednym oszustem, pykali przez jakąś godzinę, a w końcu ten oszust mówi: Zagrajmy jedną partię lewą ręką o dziesięć dolców. Kochany J-Bone się zgadza, a ten oszust okazał się mańkutem.

Jellyroll zaśmiał się, pochylił, rozbił bile i sięgnął po tubę. Suttree wstał.

Dokąd idziesz, Sut?

Muszę iść.

Kurde, nie idź jeszcze. Zaraz pójdziemy się napić piwa.

Do zobaczenia.

Jelly patrzył na swoje bile. Popijemy berbeluszki i pobrandzlujemy uszki, zawołał.

Suttree przeszedł przed kontuarem. Hej, Fred, powiedział.

Buddy, chłopie, odparł Fred.

Pchnął drzwi, skinął głową wartownikowi, stojącemu na czatach na szczycie schodów, i zszedł na dół, na ulicę.

Wieczorem przepłynął przez rzekę z sześcioma butelkami zimnego piwa pod ławką. Głęboki, chłodny cień urwiska leżał na południowym brzegu rzeki. Skręcił, podpłynął z boku do łaciatej łodzi Indianina, uwiązał łódź, wcisnął worek z piwami pod pachę i ruszył w górę zbocza.

Ścieżka wiła się wąsko i stromo, a pod szczytem wzniesienia wychodziła na naturalny taras w skale i prowadziła do jaskini.

Wydawało się, że Indianina nie ma. Na rozgrzanym kamieniu stał

kociołek, a płatki szarych popiołów, kiedy Suttree trącił je nogą, otworzyły się, odsłaniając pomarańczowe serce żarzącego się drewna.

Hej, Michael, zawołał.

Po kamienistej ziemi przebiegła jaszczurka i wślizgnęła się w zarośla.

Suttree patykiem uchylił pokrywę kociołka. Buchnęło spod niej wietrzne tchnienie aromatycznej pary. Gulasz dusił się łagodnie. Suttree pozwolił opaść pokrywce, podszedł do wylotu jaskini i zajrzał do środka. Czerwona gliniana polepa wijąca się wśród skał. Z prawej strony stół ze wspartej na kamieniach deski. Schylił się pod niskim, wapiennym progiem, wszedł i postawił piwo. W ostatnich promieniach światła dziennego dojrzał podnóżek starego, żelaznego łóżka. W jaskini było wilgotno, pachniało ziemią i dymem drzewnym. Wyszedł z powrotem na zewnątrz. Znowu zawołał, ale nie było odpowiedzi. Podszedł na skraj urwiska i spojrzał w dół. W wieczornym słońcu cicho spoczywało niewinne miasto. Im dalej, tym rzeka zwężała się coraz bardziej, tam gdzie leżały blade, mgliste szachownice pól, a woda była spokojna, prawie jak na tych zamglonych pejzażach, w których Audubon umieszczał swoje ptaki. Usiadł na postrzępionym leżaku i przyglądał się autom na moście niżej. Nie było słychać żadnego dźwięku, wyjąwszy odgłos ptaka, który składanką skrzeków i zawołań wyczarowywał

zakazane dżungle. Suttree zobaczył, jak ptak startuje z urwiska, trzepocze w powietrzu i wraca. Odchylił głowę. Obok poszybowała delikatna jasnozielona jętka. Zagubiona efemeryda, niewątpliwie zabłąkana tutaj z jakiegoś położonego wyżej sielankowego pastwiska. Z

gniazda w ścianie urwiska wyleciała słowikówka, zatrzepotała, pochwyciła jętkę i wróciła. Po chwili zaczęła znów śpiewać. Śpiewała gruch, uiiit, erk. Suttree wstał, wszedł do jaskini i wziął jedno piwo.

Wrócił na leżak, usiadł, przetarł otwór butelki fałdą skóry między kciukiem a palcem wskazującym, podniósł piwo, w milczeniu wzniósł

toast za leżące niżej miasto i wypił.

Było już prawie ciemno, kiedy Indianin wrócił. Zszedł ze zbocza nad jaskinią, zeskoczył na kamienistą ziemię i podszedł do Suttree'ego.

Hej, powiedział Suttree.

Siemasz?

W porządku. Weź sobie stamtąd piwo. Postawiłem je w środku na tym stole.

Ty też chcesz?

Tak.

Indianin przeszedł przez tarasik, podniósł pokrywkę z kociołka i pociągnął nosem. Jak tam jedzenie?

W porządku.

Zamieszał gulasz obranym z kory patykiem, opuścił z trzaskiem pokrywę i dorzucił drew do ognia. Wrócił z jaskini z piwami, podał

jedno Suttree'emu i usiadł po turecku na skraju urwiska. W dół rzeki płynął statek John Agee, jego łopatki sterowe miesiły brunatną wodę.

Pili piwo. Na drugim brzegu zaczynały się zapalać światła miasta.

Zamrugały latarnie na moście. Tajemnicze kształty neonowego gazu rozkwitły na ścianie nocy, a miasto z każdym kolejnym światełkiem wyciągało się dalej na równinie, na wieczornej ziemi, światła sięgały mroku nieba w barwnym półcieniu, a gwiazdy cofnęły się do swoich oprawek jak żarówki. Z kominów i piwnic wyleciały nietoperze, by trzepotać nad wodą niczym niekształtne, miotane wiatrem kupki popiołów, a powietrze po deszczu było czyste i świeże.

Nie jesteś z Knoxville, powiedział Suttree.

Nie.

Od kiedy tu mieszkasz?

Dopiero od tego lata.

Suttree wyjrzał na światła miasta. Co zrobisz zimą?

Nie wiem.

Odmrozisz tu sobie dupę.

Jak zimno tu bywa?

W tym roku temperatura spadła do zera.

Indianin odwrócił głowę, wsparł podbródek na swoim ramieniu, splunął i odwrócił się z powrotem, by obserwować rzekę.

Mało nie zamarzłem na tej barce. Chociaż mam piec i w ogóle.

Indianin skinął głową.

Co one znaczą?

Indianin opuścił wzrok. Dotknął oczu lalki. Te? Nie wiem.

Przynoszą szczęście.

Pewnie tak. Sądząc po tym zębaczu.

Ty zaś nie masz nic takiego?

Talizmanu na szczęście?

Taa.

Nie. Chyba nie.

Indianin wstał. Zaczekaj chwilę, powiedział. Dam ci coś.

Kiedy wrócił z jaskini, podał Suttree'emu rombek pożółkłej kości.

Suttree podniósł go i obejrzał. Z jednej strony widniała wyborowana dziurka, obrócił kość w dłoni, żeby zobaczyć, czy coś jest na niej wyryte, ale niczego nie znalazł. Kilka rys, cieniutkich jak włosy. Ząb?

Potarł wypolerowaną powierzchnię.

Co to jest?

Indianin wzruszył ramionami.

Skąd to masz?

Znalazłem.

Muszę to nosić na szyi czy mogę po prostu w kieszeni.

Możesz po prostu przy sobie, jeżeli chcesz.

Okej.

Nie zapomnij o nim.

Nie. Podniósł ząb wyżej.

Nie możesz go tak po prostu schować i o nim zapomnieć, powiedział Indianin. Opróżnił butelkę, wstał i przeszedł przez taras do ognia. Nałożył gulaszu do ciężkich, białych ceramicznych miseczek, wrócił i podał jedną Suttree'emu. Suttree wziął ją w obie ręce, przytrzymał prosto i zamieszał. Wyłowił łyżką kawałek mięsa i obracał

go w ustach, żeby przestygł. Zaczął gryźć. Mięso było soczyste i aromatyczne, niepowtarzalne w smaku.

Indianin przyniósł z jaskini jeszcze dwa piwa i zapalił lampę.

Odstawił butelki, postawił lampę na kamieniu, przykucnął jak posąg i zaczął pakować sobie gulasz do ust. Suttree patrzył, jak je, w pomarańczowym świetle ciemne oczy Indianina wydawały się mieć ekstatyczny wyraz, miarowo, jakby koliście poruszał szczękami i pulsowały mu żyły na skroniach. Poważny, milczący, uprzejmy. Był w prymitywnym i prymitywnie pocerowanym i połatanym ubraniu, nosił

nie tylko te dziwaczne oczy, ale i małe ołowiane medaliony z nazwami różnych gatunków whisky. Siedział poważny, nieodgadniony i dziwaczny. Wyciągnął rękę, wziął piwo i się napił. Zakołysał butelką i przyjrzał się pianie w brązowym szkle. Znalazłem je w jednej rybie, powiedział.

Te oczy?

Taa.

A to, co mi dałeś?

Leżało tam, w jaskini. Jak ci smakuje żółw?

Dobry jak cholera.

Indianin odstawił butelkę i wziął łyżkę. Długo mieszkasz na rzece?, spytał.

To mój drugi rok.

Indianin pokręcił głową. Nie zostaniesz tutaj.

Może nie.

Dlaczego żeś zaczął łowić?

Nie wiem. W pewnym sensie odziedziczyłem po kimś linkę połowową. Suttree sięgnął po swoje piwo i pociągnął łyk. Suche zarośla na skraju urwiska zagrzechotały i zasyczały na wietrze.

Co się stało z tym kimś?

Nie wiem, odparł Suttree. Powiedział tylko, żeby go nie szukać.

16

W Huddle nie było nikogo poza paroma kurwami i dziwacznym Leonardem, bladym i pryszczatym biernym homoseksualistą, który od czasu do czasu sprzedawał się za pieniądze. Siedzieli przy czarnym stoliku, pijąc piwo i dzieląc się sprośnymi, często powtarzanymi i tylko częściowo prawdziwymi opowieściami o frajerach i klientach. Kiedy Leonard zobaczył Suttree'ego przy barze, wstał i podszedł do niego.

Hej, Leonard, powiedział Suttree.

Słuchaj, Sut. Mus mi cię o coś zapytać.

Ja też mam do ciebie pytanie.

Rozejrzał się. Chodź no do tyłu, tam dalej, powiedział. Weź se piwo. Panie Hatmaker, daj pan tu jedną bombę.

Fajowo, powiedział Suttree. Gdzie ci się poszczęściło?

Wygrałżem trochę dziś rano od tego starego wariata, Larry'ego.

Tędy. Chodź no do tyłu, tam dalej.

Rozsiedli się w boksie, a Suttree położył nogi na stole, pociągnął

łyk piwa i rozparł się wygodnie. Leonard zrobił to samo. Po chwili Suttree zapytał: No?

No.

No, mów.

Najsampierw ty się zapytaj.

Znasz moje pytanie.

Nie, nie znam. O co chodzi.

Chciałbym usłyszeć prawdę. W gazecie pisali, że w końcu wyskoczyliście za burtę.

Kurwa jego mać, Sut. O czym ty gadasz?

O River Queen.

Leonard się rozejrzał. Niech to piekło pochłonie, szepnął

chrapliwie. To nie ja.

To dlaczego tak szepczesz?

Boże, ja tego nie zrobiłem. Niech mnie Bóg porazi...

Suttree chwycił go za podniesioną rękę. Nie kiedy siedzę tak blisko.

Leonard uśmiechnął się szeroko.

Naprawdę musieliście ratować się wpław?

Ja tam nic o tym nie wiem, Sut. Powtarzam ci.

Dobrze. O co mnie chciałeś zapytać.

No.

Śmiało.

Kurde, zaś nie wiem, od czego zacząć.

Zacznij od początku.

No, wiesz, że mój stary od dawna choruje.

Okej.

I wiesz, że stara pobiera taką rentę.

Jasne.

No, pobiera dużo na wszystkich. Rozumiesz, nie chciała pozwolić Sue, coby się wyprowadziła, że niby wtedy by jej tą rentę obcięły, i bierze też ubezpieczenie zdrowotne dla starego, a on w dodatku dostaje jeszcze zasiłek dla bezrobotnych, więc stara wyciąga niezłą forsę.

W porządku.

A gdyby stary umarł, dostawałaby góra połowę tego co teraz.

Suttree znów pociągnął ze swojego kufla i skinął głową.

No...

Mów dalej.

No, a on wziął i umarł.

Suttree podniósł wzrok. Przykro mi to słyszeć, powiedział. Kiedy?

Leonard przesunął zaciśniętą pięścią po czole i rozejrzał się niespokojnie. Właśnie o tym chciałem z tobą pogadać.

Okej. Śmiało.

No. Kurde.

Do diabła, Leonard, mów dalej.

No. On umarł, kapujesz?

Jak najbardziej.

A mama zaraz straci gdzieś z połowę dochodów.

No, ale nie będzie już na niego wydawać.

On zaś nic nie kosztował. Oszczędzała, coby sobie kupić parę potrzebnych rzeczy. Wzięła i kupiła żelazko parowe.

No, Leonard, jak umarł, to umarł. Nie możesz go trzymać w pokoju i udawać, że...

Palec Leonarda przesunął się po blacie przez ściekającą z zimnego kufla wodę. Nie podniósł wzroku.

Chodzi mi o to, że stary nie wytrzymie nadchodzących upałów.

Suttree uśmiechał się, jego uśmiech powoli zgasł. Leonard posłał mu dziwne, szybkie spojrzenie i wrócił do mazania palcem w kałuży.

Leonard.

Taa.

Kiedy on umarł?

No. Wyprostował się i uniósł ramiona. No, umarł...

Taa, już mówiłeś. Kiedy?

W grudniu.

Siedzieli w milczeniu, wpatrzeni w swoje kufle. Suttree przesunął

ręką po twarzy. Po chwili zapytał: Odzyskałeś w końcu jej lodówkę?

Ee tam. Kupiła se drugą.

A co zrobiłeś, dałeś ogłoszenie do gazety?

W sprawie starej lodówki?

W sprawie starej lodówki.

Ee tam. Niech to piekło pochłonie, Sut, nigdy żem nie chciał jej przedać. Taki jeden stary gość zaczepił mnie na ulicy i pyta się, czy nie znam kogoś, kto ma lodówkę do przedania. Powiedziałżem mu, że nie, ale wciąż żem o tym myślał, a potem zaczęłem pić z Hogheadem i z nimi, zbrakło nam whisky, a ja żem wiedział, gdzie ten stary mieszka i poszłem tam, a potem poszlimy do domu, bo stara była w robocie, i on zaproponował mi piętnaście dolarów za lodówkę, ja powiedziałem dwadzieścia, a on się zgodził. Zanim żem zmiarkował, co się dzieje, już ją spakował, wyniósł, załadował i zniknął. Nie zrobiłbym tego, jakbym nie był pijany.

Leonard?

Tak?

Co ty, kurwa, chcesz zrobić ze swoim starym?

Właśnie o tym chciałżem z tobą pogadać. Jakbyśmy go stamtąd wynieśli tak, coby nikt nie widział, moglibyśmy ciągle dostawać na niego forsę.

Masz nie po kolei w głowie.

Słuchaj, Sut. I tak jesteśmy w kropce. Wiesz, nawet jakbyśmy mieli tam normalnie pójść i powiedzieć, że umarł. Rozumiesz, niech to piekło pochłonie, tych facetów nie da się wyrolować. Ci goście to doktory. Tylko się spojrzą na niego i zaraz na pewno zmiarkują, że nie żyje od pół roku.

A jak tam, czuć coś?

Strasznie śmierdzi, kurwa.

Leonard zabrał pusty kufel Suttree'ego do baru i napełnił go ponownie. Kiedy wrócił, siedzieli w milczeniu, Leonard przyglądał się Suttree'emu. Suttree wzruszył ramionami. No, rzekł. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć na ten temat.

Leonard pochylił się naprzód. Słuchaj, odezwał się. Trzeba mi tylko kogoś, coby mi z nim pomógł. Mogę załatwić samochód...

Suttree podniósł na niego szare, zimne oczy. Nie, odparł.

Gdybyś się tylko zgodził pomóc mi go załadować, Sut. Do diabła, ty normalnie niczym nie ryzykujesz.

Suttree spojrzał nad stołem na tę szczerą twarzyczkę, jasne włosy, pryszcze i zbyt blisko osadzone oczy. Przez głowę przelatywały mu dziwne sceny ukradkowych nocnych wypraw i zmumifikowanych trupów w świetle latarki, stare wycinki z filmów grozy. Słuchaj, Leonard, powiedział.

Słucham.

Co myśli o tym wszystkim twoja matka? Rozumiesz, nie widzę jej idącej na taki wariacki szwindel.

Nie ma wyboru, co nie. Rozumiesz, tak się porobiło, że sprawa wymkła się spod kontroli, Sut. Zostawilimy go tam tylko, coby dociągnąć do końca tygodnia. Wiesz. Żebyśmy mogli brać na niego forsę przez cały tydzień? No i tydzień się skończył, a ja mówię do diabła, nic nie zaszkodzi, coby go tam zostawić jeszcze parę dni. Wiesz.

I wyciągnąć tę forsę. No. I tak już dalej poszło.

Chyba nie tędy droga?, rzekł Suttree.

To nie była niczyja wina, Sut. Po prostu sprawa wymkła się spod kontroli.

Suttree podniósł piwo, pociągnął łyk, odstawił kufel i spojrzał na Leonarda. Chyba nie robisz sobie ze mnie jaj?, zapytał.

Z czym?

Z tym wszystkim. Mówisz prawdę?

Niech to szlag, Sut. Myślisz, że żartowałbym na taki temat? Do diabła, nawet Lorina nie wie, że on nie żyje.

I jak myśli, że co się tam dzieje w drugiej sypialni?

Normalnie, że jest chory i że nie może go widywać. To wszystko.

Ile ona ma lat?

A ja wiem. Chyba sześć. W tym roku zaczyna szkołę. Może siedem. Słuchaj, Sut, możemy go wynieść, jak mała będzie w nocy spać.

Stara nam pomoże. Po prostu wyciągniemy go i włożymy do skrzyni.

Mam parę obręczy i łańcuchy, co ich możemy użyć.

O czym ty, kurwa, gadasz?

Parę starych obręczy i inne rupiecie. Coby go obciążyć.

Obciążyć?

Taa. Obciążymy tego starego jebańca tak, że nie wypłynie nawet sądnego dnia.

Gdzie, do cholery, chcesz się go pozbyć?

Leonard wyprostował się i rozejrzał. Musimy być trochę ciszej, szepnął.

Okej.

Wrzucimy go do pierdolonej rzeki, oczywiście. Masz jaki lepszy pomysł?

Naturalnie, że tak.

Okej. To posłuchajmy.

Zapomnij o tym swoim pieprzonym durnym planie i po prostu zadzwoń na policję czy coś w tym rodzaju i powiedz im, żeby przyjechali zabrać cuchnące dupsko twojego starego.

Leonard popatrzył na Suttree'ego. Pokręcił głową. Nie rozumiesz, powiedział.

Rozumiem, że nie będę się w to mieszał.

Słuchaj...

Weź sobie Harrogate’a do pomocy. Pomyleńcy powinni trzymać się razem.

On nie ma łodzi. Słuchaj, Sut...

Jak to nie ma, do cholery.

Chyba sobie jaja robisz. Moja noga nie postanie, kurwa, w takim czymś.

Suttree opróżnił kufel i wstał. Muszę iść, powiedział. Rób, co chcesz, ale na mnie nie licz.

W chłodne poranki wypływał na połów w towarzystwie słońca na mglistej rzece. Popołudniami chodził po mieście, ale raczej nie szukał

towarzystwa. Natknął się w centrum na Smokehouse’a, a stary wykolejeniec chwycił go i zaczął błagać o drobne. Suttree zasłaniał

kieszeń jedną ręką, a drugą sięgnął do niej, ale potem spojrzał na Smokehouse’a i powiedział nie. Odsunął się od starego kaleki, ten jednak uczepił się jego łokcia i pokuśtykał za nim na swoich pokręconych nogach jak załamany apostoł. Hej, zawołał Smokehouse, chociaż nie stał dalej niż stopę od niego.

A hej, odrzekł Suttree.

Niech to piekło pochłonie, dajże mi co. Dziesięć centów. Niech to szlag, Bud, masz chyba dziesięć centów, nie?

Mnie są bardziej potrzebne, odparł Suttree.

Na te słowa starzec się zatrzymał. Patrzył, jak Suttree idzie po Market Street. Zawołał do niego raz jeszcze, ale Suttree się nie odwrócił.

Tak jest, krzyknął wykolejeniec. To tak się traktuje starego inwalidę, co to nic nigdy nie robił, ino ci zawsze pomagał.

Suttree szedł Vine pośród czarnych żebraków, ale trzymał swoje srebrniki dla siebie, ile ich tam miał. Stara Murzynka w łachmanach wypłynęła na chodnik pod Humań Furniture Company niczym kawałek ciemnej, strasznej rośliny, wysuwając przed siebie wychudzoną nogę, jakby zapraszała przechodniów, żeby po niej deptali. Leżała niczym zwęglony konar drzewa. Każdego, kto się uśmiechnie słabo i odwraca, obrzuca mroczniejszymi przekleństwami umęczonego boga. Oczy ma przekrwione z przepicia, jej geografia pozostaje niezmienna. Podczas gdy wędrowcy podlegają kaprysom zmiennego losu i nie wiedzą, gdzie ich zastanie nowy dzień, ona zastygła w wieczności, niezłomna, paradygmat czarnej anatemy, wbity na pal chodnika miasta na podobieństwo średniowiecznego przestępcy.

Suttree przeszedł obok, w ostatnich dniach krążył po ulicach jak bezdomny pies. Stare widoki dziwnie nowe, miasto widziane oczami, z których spadły łuski. Powtarzalność miejskich obrazów zmyło je jakby i zniwelowało, a w martwych, aluwialnych, bardziej ponurych formach Suttree widział jasno i wyraźnie miasto swoich wspomnień niczym ducha, jak on sam, i on sam był tylko formą między ruinami, trącał

skamieniałe przedmioty niczym jakiś ciemny paleontrop pośród osadowych kości, gdzie nie pozostała ni jedna żywa dusza, by dać świadectwo temu, co minione. Jakiś elokwentny zgrywus pokazywał

gestem, że sodomizuje idącą po ulicy młodą Murzynkę, która odwróciła się do niego z rozpalonymi oczami, a wtedy on uciekł ze śmiechem.

Galeria próżniaków opierających się o kosze na śmieci i krawężniki pokazywała dziewczynę palcami, rechocząc. Pokaż tak swojej matce, zwróciła się do nich, w odpowiedzi czarny mim uczynił gest naśladujący masturbację, udawał, że obiema rękami trzyma wyimaginowanego fallusa wielkości latarni, a gapie wyli i klepali się po kolanach.

Suttree'emu wydali się niezwykle złowrodzy, a ich zachowanie uznał za opaczną alegorię złości i rozpaczy stadka niewyspowiadanych niegodziwców, wyjących przekleństwa u bram i wołających głośno o ulgę w słusznym cierpieniu do jakiegoś boga, którego trzeba przebłagać albo na odwyrtkę, albo pośrednio. Niektórzy znali Suttree'ego na tyle, żeby mu skinąć głową, I skinęli, ale ręka, którą podniósł, chcąc ich pozdrowić,

wydawała się uniesiona w geście przerażenia. Szedł dalej w zapadłym już zmroku. Noc zastała go w B&J z Bucketem i J-Bonem, i tańczył z jakąś młodą dziewczyną, która ocierała się o niego bezwstydnie. Czarnowłosa, zasnute brudnymi smugami nogi i pełne uda pod cienką sukienką, dziewczyna poruszała się z czymś w rodzaju lirycznej obsceniczności. Nie miała przedniego zęba i kiedy się uśmiechała, wsuwała w szparę czubek języka. Po zamknięciu knajpy ruszyli przez miasto na tylnym siedzeniu taksówki, on nakrył dłonią jej pierś, a ona wcisnęła mu język do ust. Rozsunął ręką jej wilgotne, nagie uda, mokre ciepło otaczało wszystko, co nakrył palcem w jedwabistej szczelinie krocza dziewczyny. Najpierw zabrał ją do Aba Jonesa.

Powiedział jej, że to miejsce, gdzie można pójść po godzinach. Na widok ciemnej barki Suttree'ego na wyludnionym nadbrzeżu wyskoczyła razem z nim z taksówki, jak jej kazał. Napili się w jakimś kącie, a potem Suttree zabrał dziewczynę do swojego domku, zapalił

lampę i przykręcił knot w kloszu.

Siedziała na łóżku w jasnoniebieskich reformach, a on wsunął jej język do ucha. Popijała piwo, lekko drżąc. Gorzki smak woskowiny i ciężar jej pulchnego, młodego cycka w ręku. Kiedy się położyła, przez chwilę widział nieciekawą twarz hipoplastycznej lalki i zupełnie puste spojrzenie, zanim jej głowę spowiła ciemność pod ścianą. Zasnął, wyciągnąwszy się obok.

Nie wiedział, jak długo spał, gdy gdzieś zapaliło się światło, a spoiny w ścianie domku rozbłysły niczym zasłona z paciorków.

Przemknęło mu przez głowę, że to smuga oświetlającego brzeg reflektora jakiejś barki, ale usłyszał silnik, pracujący tuż za jego drzwiami. Pomyślał, że to policja. Silnik przestał pracować, a światła ściemniały i zgasły. Usłyszał trzaśnięcie samochodowych drzwi. Usiadł

na łóżku.

Co się stało?, spytała dziewczyna.

Nie wiem.

Kroki na trapie, pukanie do drzwi.

Kto tam?, zapytał Suttree.

To ja.

Kto?

Ja. Leonard.

Matko Boska, odpowiedział Suttree.

Kto to?, spytała dziewczyna.

Suttree wstał z łóżka i zaczął szukać spodni. Włożył je, podszedł

do stołu i podkręcił knot w lampie. Dziewczyna usiadła na łóżku ze splecionymi na piersiach rękami. Kto to?, powtórzyła. Naciągała na siebie kołdrę.

Suttree otworzył drzwi. Leonard nie kłamał. Był to on we własnej osobie. Wielkie, szczere oczy. Mówił podekscytowanym szeptem. Mam go, powiedział.

Że co?

Mam go. Jest w bagażniku.

Suttree usiłował zamknąć drzwi.

Złamiesz mi nogę, do cholery, Sut.

To zabierz ją z drzwi, kurwa.

Słuchaj, Sut...

Powiedziałem nie, do jasnej cholery.

Już za późno, Sut. Jest tutaj, mówię ci.

Masz nie po kolei w głowie, Leonard. Słyszysz?

Zapłacę ci, Sut.

Idź stąd. Niech ci pomoże któryś z tych twoich pedalskich przyjaciół.

Tych matkojebców do niczego nie da się namówić. Słuchaj, stara kazała mi powiedzieć, że nigdy by ci tego nie zapomniała. Posłuchaj...

Powiedz mu, coby uważał, jak się wyraża, zawołała dziewczyna.

Bo może o tym nie wie, ale są tu damy.

Kto to, kurwa, jest?, zapytał Leonard.

Suttree oparł się bezsilnie o framugę. Lampa na stole za nim dymiła, odstąpił więc spod drzwi i wyregulował knot. Ty skurwysynu, powiedział.

Leonard wszedł, zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie.

Wydzielał dziwną woń. Uff, powiedział. Bałem się, że może nie będzie cię w domu.

Bóg mi świadkiem, że wolałbym nie być w domu, odparł Suttree.

Odsunął krzesło i ze znużeniem osunął się na stół.

Dlaczego żeś mi nie powiedział, że ktoś tu jest?, zapytał Leonard.

Uprzejmie skinął głową dziewczynie w łóżku. Witam, powiedział.

Może byś tak po prostu sobie poszedł, odezwał się Suttree.

Posłuchaj. Chodź na zewnątrz, cobyśmy mogli pogadać.

Nie.

Leonard zerknął ze zniecierpliwieniem na dziewczynę. Tu gadać nie możemy, szepnął chrapliwie.

Ja chcę do domu, powiedziała dziewczyna.

Suttree położył głowę na stole. Leonard pociągnął go za łokieć.

Sut?, powiedział. Hej, Sut.

Wstał, znalazł i włożył buty. Wciągnął koszulę.

Gdzie idziesz?, chciała wiedzieć dziewczyna.

Zaraz wracam.

Ja chcę do domu.

Zaczekaj chwileczkę, dobrze?

Zeszli po trapie i dalej w zarośla, gdzie Suttree usiadł. Była ciepła noc i miasto rysujące się za nimi w ciemności neonową geometrią wydawało się w pewnym sensie prawdziwsze niż za dnia. Światła po drugiej stronie rzeki stały odbite w wodzie niczym pochodnie, migocące niewytłumaczalnie tuż pod powierzchnią.

Leonard.

Taa, Sut.

Siadaj.

Usiadł. Lepiej zaczynajmy, powiedział Leonard.

Naprawdę przywiozłeś tu ojca w bagażniku tego samochodu?

Do diabła, Sut. Chyba nie myślisz, że żartowałbym z czegoś takiego, co?

Suttree smutno pokręcił głową. Wyrwał po omacku garść zielska i odrzucił je z powrotem na ziemię. Po chwili zapytał: Czyj to samochód?

Czyj?

Tak.

Nie wiem. Do diabła, Sut, co za różnica, czyj jest.

To kradzione auto.

No, kurde. Zaś nie będę go sprzedawał ani nic. Ja żem je ino pożyczył. Do diabła, Sut, właściciele dostaną samochód z powrotem.

Nie będzie żadnego smrodu wokół tego jebanego wozu.

Rozumiem.

Normalnie nie ma się o co martwić.

Nie. Oczywiście, że nie.

Siedzieli w milczeniu. Leonard poruszył się niespokojnie. Po chwili zapytał: Jesteś gotów?

Czy jestem gotów?

Taa.

Nie. Nie jestem.

Ale posłuchaj, Sut...

Kurwa mać, na pewno nie jestem gotów.

No, tylko że od tego nie przybywa nam czasu.

Nigdy nie będę gotów.

Nie możemy go zostawić w tym cholernym aucie. Wiesz o tym, Sut.

Ja mam o tym wiedzieć?

A co ci to szkodzi, do cholery.

Ty stuknięty skurwielu. Dlaczego ja?

Bo masz...

Łódź. Wiem. Matko Boska.

Niech to piekło pochłonie, Sut, najgorsze jużem zrobił. Zdobyłem samochód i te łańcuchy, i w ogóle. Uwiniemy się migiem.

Ale Suttree wstał z chaszczy. Tylko nie mów więcej ani słowa, powiedział. Po prostu siedź cicho.

A ona?

Wsiądź do samochodu i podjedź trochę powyżej tego drzewa. Tam jest pomost. Ja wezmę łódź.

Kiedy wszedł z powrotem do domku, dziewczyna była ubrana.

Chcę do domu, powiedziała, i mówię poważnie.

Suttree wziął lampę ze stołu. Możesz zaczekać albo będziesz musiała iść piechotą, odpowiedział. To wyłącznie twój wybór.

Nie wiem, gdzie jestem, odrzekła z rozdrażnieniem.

Nie wątpię, powiedział Suttree. Ale nie jesteś sama.

Nie zostawisz mnie po ciemku, zawołała. Suttree'ego już jednak nie było.

Wsiadł do łodzi, powiosłował pod pomost i ustawił się do niego bokiem. Kiedy podnieśli klapę bagażnika, buchnął ohydny smród.

Suttree zrobił krok do tyłu, niemal się dusząc. Wielki Boże, powiedział.

Okropne, co nie?

Okropne? Suttree spojrzał w gwiazdy. W życiu nie wąchałem tak straszliwego smrodu.

To najważniejszy powód, coby pozbyć się starego z domu.

Boże, jesteś chorym skurwysynem.

No, pomóż mi.

Chwileczkę.

Suttree ściągnął z grzbietu bawełniany podkoszulek i obwiązał

sobie nim nos i usta.

Okej, powiedział Leonard.

Ojciec Leonarda był zawinięty w pościel, w której umarł przed kilkoma miesiącami. Leonard wyciągał obręcze i zwój łańcuchów.

Chwycił ciało i z trudem wywlókł je do połowy z auta, nad zderzak.

Suttree trzymał lampę.

Weź go za nogi, Sut, ja będę ciągnął za ręce.

Jak go tam wsadziłeś?

Co?

Suttree zsunął podkoszulek z ust. Pytałem, jak go tam wsadziłeś.

Stara mi pomogła. On wcale nie jest taki ciężki.

Suttree z chorobliwym obrzydzeniem chwycił trupa za ukryte pod prześcieradłem nogi. Wyciągnęli ciało, które osunęło się na ziemię z mdlącą elastycznością. Ojciec Leonarda przypominał martwego członka Ku-Klux-Klanu. W świetle lampy widzieli na gołej ziemi dziwne, brązowe plamy przesiąkające przez pościel. Suttree odwrócił się i odszedł, żeby posiedzieć przez chwilę na brzegu.

Zawlekli zwłoki do łodzi, a Suttree stanął na pawęży i wciągnął na pokład trupa o oczach wybałuszonych pod cienką bawełną, przyciskając go do swojej nagiej piersi. Leonard z lampą podtrzymywał go od tyłu, pobrzękiwały łańcuchy.

Powiosłowali daleko w dół rzeki. Leonard mówił: Do diabła, Sut, wszędzie będzie dobrze, a Suttree wiosłował dalej. Wyglądali niczym starzy kłusownicy, polujący z lampą łowiecką, ich twarze przypominały żółte maski w nocnym mroku. Trup spoczywał bezwładnie na dnie łodzi. Lampa stojąca na rufowej ławce w cienkim wianuszku owadów, zwabionych światłem, mokry, szeroki ruch wioseł, paciorki wody spływające z dolnej części piór niczym płynne szkło i zmarszczki po uderzeniach o powierzchnię wody, sunące kręgami przez światła miasta, które leżały nieruchomo pośród ciemniejszych kształtów gwiazd i galaktyk, tkwiących w milczącej rzece.

Zawróciwszy pod mostem kolejowym, Suttree wciągnął wiosła na pokład. Leonard był zajęty oplataniem ojca łańcuchami, na które nawlekał obręcze od kół i zapinał je na tandetne kłódki. Jedna z nóg starca leżała podwinięta na dnie łodzi i Suttree zobaczył jego poplamioną flanelową piżamę.

Myślę, że starczy, Sut, powiedział Leonard.

Myślisz, że tak?

Taa. Kurde, pociągną gnoja na dno jak pierdolona rakieta.

Powiesz parę słów?

Co mam zrobić?

Powiedzieć parę słów.

Na ustach Leonarda pojawiło się coś w rodzaju nerwowego uśmieszku. Powiedzieć parę słów?

A nie powiesz? Wiesz, chodzi mi o to, że chyba nie pochowasz ojca tak bez niczego.

Ja go nie chowam.

Jak to nie, do cholery.

Po prostu go wrzucam do rzeki.

Na jedno wychodzi. To to samo, co pochówek na morzu.

No niech to szlag, Suttree.

Więc jak będzie?

Ten stary skurwysyn w życiu nie był w kościele.

Tym bardziej powinieneś coś powiedzieć.

No ale ja tam się nie znam na żadnych cholernych modlitwach ani nic. Kurde. Ty coś powiedz.

Ja znam tylko katolickie pożegnanie.

Katolickie?

Katolickie.

Leonard przyjrzał się swojemu oplecionemu łańcuchami ojcu, leżącemu z owiniętą głową na dnie łodzi. Niech to piekło pochłonie. Na pewno nie był żadnym tam katolikiem. Może ten kawałek o cieniu doliny śmierci. Znasz coś z tego?

Suttree wstał. Rzeka wokół nich była czarna i spokojna, a światła mostu leżały sztywno na wodzie w górze rzeki.

Pomóż mi z nim.

Leonard podniósł wzrok, z jednej strony łagodnie oświetlała go stojąca z boku lampa, jego nocny cień wydawał się ogromny. Pochylił

się, chwycił trupa i podnieśli go razem. Przełożyli nieboszczyka przez ławkę, jedna noga przewieszona nad burtą sięgała wody, jak gdyby starzec już się niecierpliwił. Suttree zepchnął zawiniątko nogą.

Rozległ się głuchy plusk, biała pościel rozbłysła w świetle lampy i zwłoki zniknęły. Leonard usiadł z powrotem na rufie łodzi. Uff, powiedział.

Suttree umył ręce w rzece, wytarł je o spodnie i sięgnął znów po wiosła. W drodze powrotnej Leonard próbował wciągnąć go w rozmowę na kilka różnych tematów, ale Suttree wiosłował, nie odzywając się ani jednym słowem.

17

Pijany Suttree z pijacką starannością pokonywał szerokie, kamienne schody Kościoła Niepokalanego Poczęcia. Plusy narodzin bez skazy nie były mu obce, nie, jemu nie. Róg księżyca sunął nieubłaganie w ciemności koło wieży. Jakiś starszy opój szedł chwiejnym krokiem ulicą przed kościołem, obijając się o ścianę jak mechaniczna kaczka w wesołym miasteczku. Suttree wszedł do przedsionka i przystanął przed betonową muszlą z wodą święconą. Zatrzymał się w otwartych drzwiach. Wszedł.

Ruszył długą, wyłożoną linoleum nawą, uważnie, nie zatoczył się ani razu. W powietrzu wisiał piżmowy posmak kadzidła. Spędził w tej smutnej kaplicy tysiąc godzin albo i więcej, on. Fałszywy akolita, nieskruszony marzyciel. Przed tym tabernakulum, w którym spoczywa uśpiony w swym złotym kielichu sam mądry, wielki Bóg.

Wsunął się do pierwszej ławki i usiadł. Na wysokości kolana na oparciu z przodu niewielka, mosiężna, wyposażona w sprężynę klamra do wieszania kapeluszy. Mały schowek na wydawnictwa religijne.

Długie, obite skórą klęczniki pod nogami. Gdzie nocami gromadzą się cierpiące na hemoroidy karły.

Rozejrzał się wokół. Za bramą prezbiterium wznosiły się trzy krzykliwie kolorowe ołtarze jak rzeźbione w marmurze gotyckie torty weselne. Czołganki i gargulce na wieżyczkach, lukrowanych rzędami schodzących na dół marmurowych żab. Tu ziemisty, gipsowy Chrystus.

Umęczony pod swoją koroną cierniową. Przebite dłonie i rozerwany brzuch, a pod sztywnymi żebrami zadana włócznią rana o brzegach gładkich jak usta. Cofnięte biodra luźno przewiązane, skrzyżowane stopy, przebite pojedynczym gwoździem. Po lewej jego matka. Mater alchimia w błękitnych jak niebo szatach depcze węża popękanymi, bosymi stopami. Przed nią w zagłębieniu ołtarza języczki dwóch płomieni w burgundowych lampionach. W sztuce rzeźbiarza zawsze pozostaje coś przemilczanego, coś, co ciągle czeka. Te rzeźby przeminą.

Przeminie to królestwo strachu i popiołów. I dziecko, siedzące wśród tych samych popiołów w tak wiele czarnych piątków, przerażone swoimi grzechami. Przeżarte grzechem dziecko, serce przegniłe strachem. Nasłuchujące odgłosu gwałtownie odsuwanej zasuwki w konfesjonale, czekające na swoją kolej. Przebite światło wpadało przez pokawałkowane szybki witraży w zachodniej ścianie, światło bez pyłków, kładące się ukośnie, światło barwy wina, różanego karmazynu, bielonego kobaltu, cynobru i jasnego cytrynu. Witrażowi święci spoczywali połamani w swoich taflach jasności pośród ławek, a w popołudniowej letniej ciszy rozchodziły się odległe krzyki dzieci na placu zabaw i zapach starego lakieru. Wspomnienia majowych procesji, ksiądz w czarnym birecie, wstający z rzeźbionego, dębowego klęcznika, aby poczłapać nawą ciężkim krokiem w asyście aroganckich, krostowatych wyrostków. Kadzielnica w łańcuchach kołysze się tam i z powrotem, dźwięczy, w najwyższym punkcie każdego łuku wykrztuszając z siebie szybki kłąb dymu. Ksiądz zanurza kropidło w złotym wiaderku. Macha na lewo i prawo, woda święcona skrapia wiernych. Wychodzą przez drzwi, gdzie pochylone w ukłonie stoją dwie zakonnice w brudnych habitach, pracujące w kuchni. Za nimi oddziałek małoletnich chrześcijan w białych, obcisłych surducikach. Niosą świece.

Śpiewają. Cornelius podpalił włosy Danny'ego Yike'a. Drażniący swąd.

Zakonnica przypominająca Drakulę macha rękami wokół głowy chłopca. Płat poczerniałej szczeciny u podstawy jego czaszki. Chłopcy się śmieją. Dziewczynki w białych welonach, markowych, białych trzewikach skórzanych z paseczkami. Chichoczą w róże, które trzymają w złożonych do modlitwy rękach. Małe widma oszukańczej pobożności.

U podnóża schodów mdleje blada dziewczynka. Jej róża leży zwiędła na kamieniu. Inne dziewczynki jak na komendę padają wokół niej. Leżą na chodniku niczym płaty topniejącego śniegu. Ludzie biegają wokół

zemdlonych dzieci, wachlując je złożonymi egzemplarzami Sunday Messenger.

Albo zimne poranki na Market Lunch po porannej mszy z J-Bonem. Kawa przy barze. Aromatyczna woń móżdżku i smażonych jajek. Starcy w

szarych płaszczach i popękanych butach, zgarbieni nad talerzami. Martwy karaluch pod plastikową pokrywą na ciasto.

Zakazane *żywoty* i zbliżający się koniec, zapowiedź końca w dymnej kadzielnicy, słabe skrzypienie drzwiczek tabernakulum, chleb bez smaku, wypijane w kącie do ostatniej kropli wino z ampułki i przeliczanie pieniędzy na tacy. Wyprawa w świat ludzi bogatych żywotnością, zapędzeni do kościoła wbrew swojej woli chłopcy, wlewający śmietankę do filiżanek i oglądający świt w mieście, cieszący się wytchnieniem od swoich czarno odzianych strażników w schludnych bucikach, binoklach, śmiertelna woń ciemności i na wpół spalony muślin ich ubrań. Ponurzy i niestrudzeni w swoim ortopedycznym moralizatorstwie. Nosiciele opowieści o grzechu, o śmierci bez rozgrzeszenia, o wizji piekła, lewitowaniu, opętaniu i dogmatach dotyczących potępienia semitów za przybicie Parakleta do krzyża. Po ośmiu latach kilkoro ich podopiecznych umiało trochę czytać i pisać, I to wszystko.

Suttree podniósł wzrok na sufit, gdzie patriarchalne bóstwo w długich szatach i z brodą wychylało się z pękającego gipsu. W asyście grzmotu i pulchnych dzieciątek o gołębich skrzydełkach, wyrastających im na wysokości łopatek. Opuścił głowę na pierś. Zasnął.

Ksiądz potrząsnął nim łagodnie. Suttree spojrzał w jego dobrotliwe, pachnące oblicze.

Czekałeś do spowiedzi?

Nie.

Ksiądz przyjrzał się mu. Czy ja cię znam?, zapytał.

Suttree wyciągnął rękę i oparł się o ławkę. Jakaś staruszka szła wzdłuż poręczy ołtarza ze ściereczką do kurzu. Z trudem dźwignął się na nogi. Nie, odpowiedział. Nie znasz mnie.

Ksiądz cofnął się i przyjrzał jego ubraniu oraz brudnym od ryb butom.

Zasnąłem tylko na chwilę. Odpoczywałem.

Na twarzy księdza pojawił się nieco krytyczny uśmieszek, naznaczony łagodną przyganą. Dom Boży to chyba nie jest właściwe miejsce na drzemkę, powiedział.

To nie jest dom Boży.

Słucham?

To nie jest dom Boży.

Ach tak?

Suttree machnął ręką w nieokreślonym geście, wyminął księdza i ruszył nawą przed siebie. Ksiądz przyglądał się mu. Uśmiechnął się smutno, ale mimo wszystko.

18

Szmaciarz z trudem wygrzebujący się spod mięsistego stosu pościeli, w której położył się spać niczym w grobie, z wyglądu przypominał roztopioną świecę. Usiadł zakapturzony i patrzył spode łba na nowy dzień. Wilgotny powiew zmierzwił jedwabiste, sięgające podbródka baki starca, od którego biły słabe miazmaty jak latem żar od szosy.

Kuśtykał teraz w obszarpanej bieliźnie na zwiędłych, niepewnych i drżących nogach, w jednej ręce trzymał ubranie, a drugą szperał w stosach śmieci w poszukiwaniu suchego papieru na podpałkę. Odgłosy porannego ruchu ulicznego z mostu współbrzmiały z głuchym echem jego snu w jaskini i szmaciarz wolałby, żeby jakiś większy mędrzec niż on zobaczył w ich nieskończonych, adwentowych zapowiedziach przyszłych wydarzeń widmo mechanicznej proliferacji i powszechnego nieszczęścia. Nadrzeczną ścieżką przeszło dwóch rybaków, mgliste postaci poruszające się w ciszy, jeśli nie liczyć słabego grzechotania ich wiader, podnieśli ręce w jego stronę, tam gdzie stał, rozcapierzając palce nad cienkim i nie dającym ciepła kłębem dymu, ostra woń nagiego mułu pod mostem, pełna porannej wilgoci, rzeka płynęła szaro i milcząco, a wyżej wśród łuków mostu bezmyślne, sporadyczne trzepotanie rozpoczynających dzień gołębi.

Zamruczał coś i zatarł ręce nad ogniem. Zaniósł czajnik nad rzekę, nabrał do niego wody i wrócił. Mgła spływała z rzeki języczkami i lizała wiry, a gdzieś za mrokiem na wschodzie kryła się nadzieja na światło słońca.

Rozpaczliwie przemierzał norowisko miasta, ciągnąc swój wóz z drewnem, który na pozbawionych światła miejskich korytarzach wydawał odgłos przypominający grające marsza kiszki.

Przez cały ranek przebierał wśród stanowiących swoiste memento śmieci w brzuchu żelaznego, wielkiego kosza, w którym można byłoby rozegrać partyjkę pokera. Butelki zwrotne, wyrzucone przez próżniaczych bogaczy. Za każdą można dostać dwa centy. Gazety na podpałkę. Bezużyteczne

kości. Zdechły szczur, złamana miotła, kawałek wiecznego pióra. Połeć zgangrenowanego boczku, pełnego robaków.

Szczątki skrzynki po owocach, w której jego oczy ujrzały coś, czego można użyć na rozpałkę, co jeszcze da się uratować i sprzedać.

Przejeżdżająca ciężarówka zagłuszyła kroki chłopca kuchennego z Sanitary Lunch. Starzec wyczuł, że otwór nad nim ciemnieje, i podniósł

straszne oczy na zaokrąglone usta przechylającego się kubła. Odskoczył, machając rękami, i został nakryty odwróconym do góry dnem pudłem.

Trochę sałaty i czerstwego chleba, nic gorszego. Kosz zagrzechotał i zabrzęczał. W oddali odpowiedział mu trolejbus. Starzec pojawił się w otwartej klapie kosza niczym dziwaczny przybysz zza grobu, wznoszący się ze śmieci w bezdymnej atanazji, żeby wycharczeć na świat wiązankę gorzkich przekleństw, ale kuchenny nawet się nie obejrzał.

Wędrowałżem w dół tej rzeki tamtej jesieni z wesołym miasteczkiem, nie pytaj się dlaczego. Dwa lata żem z nimi chodził.

Widziałżem, jak najlepsi uliczni kaznodzieje wczesnym latem rzucają swoje zajęcie, coby naganiać klientów i zachwalać to miasteczko, a na jesieni wrócić do kaznodziejstwa. Pojechalimy do Tallahassee na Florydzie. W Chattanooga przyszła kupa drwali znad rzeki, poszli z nami w miasto i pochlali się, musielimy zatrzymać przez nich pociąg.

Przypięli lokomotywę do szyn łańcuchami do wiązania pni.

Wyjechalimy dopiero o piątej rano. Z dwoma wagonami sprzętu z tego wesołego miasteczka. W Rome, w Georgii widzielimy, jak powiesili faceta, stał na resoraku i powiedział im wszystkim, coby poszli do diabła, że wcale tego nie zrobił. Jak wypchli spod niego wóz, to się zrobił czarny na twarzy jak czarnuch.

Suttree uśmiechnął się. Tam się nauczyłeś brzuchomówstwa?

To znaczy gdzie?

W wesołym miasteczku.

Nie.

Rozumiem, powiedział Suttree.

Widziałżem w życiu różne dziwne rzeczy. Widziałżem tego cyklona, co tędy przechodził, jak do rzeki zeszedł, to jom wysuszył, widać było muł i gołe kamienie na dnie, i ryby, jak leżały. Zabierał

domy ludziom i stawiał je z powrotem w miejscach, gdzie wcale nie zamiarowali mieszkać. Poczta zaadresowana na Knoxville spadała zaś na ulicach w Ringgold, w Georgii. Widziałżem wszystko, co chcę, i wiem wszystko, co chcę wiedzieć. Wyglądam już ino śmierci.

Uważaj, bo cię usłyszy, powiedział Suttree.

Chciałbym, odrzekł szmaciarz. Spojrzał gniewnie na drugą stronę rzeki oczami w czerwonych obwódkach, na miasto, gdzie zapadał

zmierzch. Jak gdyby w tej dzielnicy mogła czaić się śmierć.

Nikt nie chce umierać.

Gówno prawda, odparł szmaciarz. Oto człowiek, co ma życia wyżej uszu.

Zostawiłbyś tak cały swój majątek?

Szmaciarz przyjrzał się mu podejrzliwie, ale się nie uśmiechnął.

To już nie potrwa długo, odpowiedział. Dni starca to godziny.

I co potem?

Kiedy?

Jak już umrzesz.

Nico się potem nie dzieje. Jesteś martwy.

Powiedziałeś mi kiedyś, że wierzysz w Boga.

Starzec machnął ręką. Może, rzekł. Ale nie mam zaś powodu myśleć, że on wierzy we mnie. Och, chciałbym go zobaczyć choć na chwilę.

Co byś mu powiedział?

No, myślę, że po prostu coś tam bym powiedział. Powiedziałbym: Zaraz. Zaraz, zaraz, zanim się zaczniesz mnie czepiać. Zanim coś rzekniesz, chciałbym się o coś spytać. To on powie: A o co? To wtedy ja się go spytam: Po co żeś mnie tu właściwie wpakował w tę całą zasraną zabawę, co? Nic a nic żem z tego nie skapował.

Suttree uśmiechnął się. Jak myślisz, co odpowie?

Szmaciarz splunął i otarł usta. Nie widzi mi się, coby on mógł na to odpowiedzieć, powiedział. Nie widzi mi się, że w ogóle jest jaka odpowiedź.

19

Latem swojego drugiego roku w mieście Harrogate zaczął kopać tunel do podziemi, gdzie przechowywano zasoby finansowe miasta. Za dnia w ciemności ociekających wilgocią jaskiń, w kamiennym brzuchu, na którym zostało założone Knoxville, krwistej barwy troglodyta, trzymając przed sobą lampę, pochylony i mruczący do siebie w śmierdzących korytarzach, wyznaczał kierunek za pomocą kradzionego skautowskiego kompasu, kręcącego się szaleńczo w tym piekle, brzemiennym złożami i żyłami geologicznymi. Wracał po całodziennej harówce usmarowany szarą pastą, która w kontakcie ze świeżym powietrzem zasychała i łuszczyła się, pozostawiając na skórze i ubraniu Harrogate'a matowy nalot gliniastego pyłu, przypominał więc kawałek wędzonki, oczy miał podbite czarkami brudu, czerwone obwódki rozognione jak rany.

Była pełnia lata, a noce upalne. W ciemności pod wiaduktem leżało się niczym w ciepłym syropie, w monotonnym bzyczeniu komarów i owadów nocnych. Pewnego ranka na Henley Street ze zdumieniem zobaczył ciężarówkę, która zapadła się w jezdni.

Zatrzymała się na olbrzymiej, pękniętej płycie asfaltu, jakieś pięć stóp poniżej poziomu jezdni, otoczona wianuszkiem gapiów, a kierowca gramolił się z dziury, przeklinając i śmiejąc się na przemian.

Pewnikiem jak człowiek się już dostanie tam pod spód, to może sobie pójść, gdzie mu się żywnie podoba, tam pod ziemią, co nie?

Nie wiem, Gene. Jest tam sporo jaskiń. Suttree wyciągał z dna rzeki zawieszony na długiej lince pleciony kosz na drobnicę. Zakołysał

ociekającym wodą koszykiem na relingu, uchylił wieko, wyjął z niego dwa piwa i opuścił pułapkę z powrotem na dół. Otworzył butelki, podał

jedną Harrogate'owi i oparł się o ścianę swojego domku na barce.

Pieprzona ciężarówa normalnie znikła z oczu.

Widziałem.

A jakby cały cholerny dom miałby się tak nagle wziąć i zapaść?

A dwa albo trzy domy?

A cały kwartał ulic? Harrogate wymachiwał butelką. Niech to szlag, powiedział. A gdyby tak się zapadło całe jebane miasto?

Brawo, zuch chłopak, odpowiedział Suttree.

Wieczorami siadywał w świetle swoich lamp drogowych, a w gardzieli strumienia kwitło kapryfolium. Ślęczał nad przestarzałymi mapami, wytyczał drogę na papierze, zabazgranym, niezrozumiałym pismem runicznym, dziwnymi symbolami, przykucnięty, wiśniowej barwy troll albo diabelski kartograf, nanoszący w piekielnym świetle drogę dla dusz w leżących niżej ciemnościach. Kiedy Suttree przyszedł

ścieżynką przez zarośla, kot mieszczucha wstał, przeciągnął się i wyszedł z przeciwnej strony. Harrogate podniósł wzrok znad swojej roboty.

Jak idzie?, spytał Suttree.

Hej, Sut. Zachodź śmiało.

Podszedł bliżej, nie bez pewnego wahania, bo zbrodnicze plany rozrastały się tu coraz bardziej. Harrogate przeciągnął po gliniastej polepie stare krzesło i otrzepał je, żeby gość mógł usiąść. Suttree pochylił się nad rozłożonymi na skrzynce po jabłkach mapami.

Jak ci się widzi?, spytał Harrogate.

Co?

Zaś moja zdobycz. Wskazał ręką mapy.

Suttree spojrzał w dół na chudą, różową twarz, różowo-czarne zęby w czerwonym świetle. Pokręcił głową, usiadł na krześle i skrzyżował nogi.

Harrogate wziął jedną mapę ze stołu i przyglądnął się jej. Nie mam sposobu wiedzieć, jak głęboko jestem, powiedział.

Nie masz sposobu wiedzieć, jaki jesteś stuknięty.

Potrza mi pomocy.

To na pewno.

Potrza mi kogoś, kto zastuka czy coś. Gdzie mu się zdaje, że będę.

Gdzie mu się zdaje, że będziesz.

Taa.

Suttree zamknął oczy. Uszczypnął się w grzbiet nosa i powoli pokręcił głową. Harrogate raz jeszcze pochylił się nad robotą. Trzymał

w ręku plastikowy kątomierz i wystawił koniuszek języka w kąciku ust, na nowo wymyślając geometrię. Po chwili Suttree złapał się na tym, że zagląda mieszczuchowi przez ramię. Kiedy wrócił kocur, Suttree także siedział już przy skrzyneczce, kreślił kąty i wzory, a u jego boku kiwała się twarzyczka jego ucznia i zarazem wspólnika w przestępstwie.

Z kradzioną latarką w ręku penetrował wilgotne, przypominające zębodoły głębie pod miastem, dla orientacji wypatrywał szlaku od jednego kamienia do drugiego i za pomocą swojego oszalałego kompasu wyznaczał pozycję, wynikającą z kolejnych błędnych pomiarów. Szedł

starymi jaskiniami, gdzie nad jego głową przeciekała woda koloru węgla albo gęste, ściekowe wydzieliny. Dalej popękane rury, stare, gliniane odpływy i ciemna, kamienna gardziel, przebita złączką. Wszędzie kapie, w brzuchu ziemi dzieje się coś złego, a owo miarowe krwawienie jak zegar odmierza bieg przeznaczenia, którego ciągle udaje się uniknąć.

Pewnego popołudnia wszedł do dużej piwnicy, w której od podłogi do sklepienia wznosił się nieznacznie przechylony, smukły komin zimnego białego światła. Harrogate się cofnął. Wyżej słychać było łoskot, na dół sypały się drobiny piasku. Kolumienkę światła na kamiennej podłodze

splamił jakiś cień i zaraz jakby go coś stamtąd porwało. Ruszył ostrożnie naprzód. Promieniem latarki przeciął trzon świetlnej kolumny i patrzył, jak zasklepia się z powrotem. Było to tylko światło, którego chłodna lufa sterczała w pozbawionej pyłków ciemności niczym fosforyzująca, napięta w czerni głębin morskich lina.

Zważył ją w dłoni. Przez małą dziurę w sklepieniu zobaczył niebo.

Wspinał się po uskokach i półkach w ścianie, z latarką w zębach.

Zawisł na czubkach palców ze skalnego występu, wyjrzał ostrożnym okiem. Na tle bezdennego błękitu zaszeleścił deszcz sosnowych igieł.

Czmychnęła jaszczurka, jakiś ptak. Nasłuchiwał. Poza brzęczeniem owadów i wiatrem słyszał w oddali jakby gwar ulicy, ale nie był tego pewien. Wrócił do podziemi i przykucnął, bębniąc palcami o kolano, snop światła kończył się teraz na jego głowie, nie sprawiając mu bólu i nie dając natchnienia.

Wyciągnął z kieszeni zawilgotniały i wyświechtany plan miasta, na którym kredką sprzedawcy ze spożywczaka naniósł wytyczone precyzyjnie granice, skorygowane tangensy, notatki na temat odległości.

Podniósł latarkę nad głową i wbił palec w cel.

Niech mnie szlag, jeżeli wiem, gdzie jestem, powiedział do ciszy.

Jestem, odpowiedziało ciche, kamienne echo.

Złożył plan i wstał. Przyjrzał się blademu, cienkiemu próbnikowi ze świata zewnętrznego, aż wreszcie wspiął się wyżej i zasłonił otwór zwiniętą mapą.

Nie udało się mu jej odszukać po wyjściu na powierzchnię. Błąkał

się całymi dniami, aż wrócił pod ziemię i wyciągnął plan z dziury.

Przyniósł trochę nasączonych olejem szmat, zwędzonych ze śmietnika na stacji benzynowej przy Henley Street, zapalił je w podziemiach i wyszedł na ulicę. Przez cały dzień prowadził poszukiwania na obrzeżach miasta, nad

rzeką i wszędzie, gdzie tylko zobaczył albo mógł mieć nadzieję zobaczyć choć jedną sosnę. Zaczął podejrzewać jakieś przestrzenne przesunięcie w zejściach do podziemi, jakąś niewytłumaczalną różnicę między tym, co na górze, i tym, co na dole.

Zniszczył swoje mapy i zaczął wszystko od początku.

Tego roku przyszła szarańcza. Owady wyły na zielonych drzewach jak pantery, szarpiąc się i całymi setkami opadając na powierzchnię rzeki.

Popadł w apatię i osłabienie od histoplazmozy.

W bezświetlnych głębinach bał się wielkich szczurów o spiczastych zębach i nagich ogonach, włochatych, nagich, pokrytych meszkiem

albo

częściowo

wyliniałych

pająków,

węży,

przypominających sznury albo liny, ich kłów i rozdwojonych języków.

Ekonomiczność pozbawionych kończyn ciał tych zwierząt. Nietoperze wisiały w gronach jak bukiety ciemnych, kosmatych owoców, a wszędzie w speleologicznych ciemnościach niosło się echo nieustannie kapiącej wody jak monotonne kuranty. W stawkach i kałużach leżały salamandry, zimne, wyprężone i nieruchome niczym figurki z terakoty.

Zapałki, które co jakiś czas zapalał, by zbadać przepływ powietrza, paliły się acetylenowym błękitem, a on patrzył, jak płomień wpełza na koniec drewienka i gaśnie, I wtedy niemal słyszał, jak przykrywa go ciemność. Siedział z kciukiem na przełączniku latarki, nasłuchiwał, aż przerażenie zaczynało podchodzić mu do gardła, wtedy naciskał

przełącznik, znów powołując do życia paskudną bazylikę, w której siedział, zapchane nietoperzami łuki sklepienia i wysokie, amorficzne, wapienne zwoje, z których ściekała piana. Z występów i półek skalnych spływały bulgocące, szare ścieki. Ciemny wyciek spod miasta i formacje jaskiniowe, powstające w nieznanej, ponurej mazi, sączącej się cicho w ciemności.

Harrogate kroczy od kałuży do kałuży niebieskiej brei w tunelu, gdzie światło jego latarki znalazło ślad ludzkiej pracy. Kilka starych desek, zbutwiałych i poczerniałych, jakiś kubeł, kość. Obracał ją w dłoni, przyglądając się maleńkim wyżłobieniom mysich zębów, falujące, marynarskie ozdoby, brązowe, przypominające koralowce rowki w otworze szpikowym, przywodzącym na myśl gwintowanie lufy. W

środku spoczywała śliska stonoga. Upuścił kość, która zaklekotała na skale. Stonoga uciekła, pędząc niczym pociąg. Podniósł znów znalezisko, obejrzał je i zbadał na wielkość, przykładając do różnych części swojego ciała. Biję zakład, odezwał się cicho. Hi kogoś zamordowały.

Zapakował kość do tylnej kieszeni spodni i znowu ruszył naprzód z latarką w jednej i młotkiem do wyciągania gwoździ w drugiej ręce, kanał się zwęził, skręcił. Odcinek, gdzie leżały stare deski, był

zaznaczony kredą na wilgotnej czerwonej glinie dna jaskini.

Zatrzymała go drewniana ściana, na której korytarz kończył się równiutko jak ucięty. Harrogate przyjrzał się przeszkodzie w świetle latarki, a potem obejrzał mokre, kamienne sklepienie i ściany. Odłupał

młotkiem kawał pulpowatego drewna, aż udało mu się podważyć deskę.

Wziął ją w obie ręce, upuścił młotek, latarka pod jego pachą oświetlała skałę to tu, to tam. Deska ustąpiła z narastającą stopniowo elastycznością i spadła mu pod nogi. Skierował latarkę w tamtą stronę.

Za deskami znajdowała się solidna ściana z betonu. Gruzłowate ziarno i ślady piły tarczowej na murarce. Wsunął pazur młotka pod następną deskę, podważył ją i wyrwał. Przeszedł wzdłuż barykady, opukując ją młotkiem i nasłuchując. Stukot obiegał pomieszczenie i wracał.

Harrogate usiadł na kupie żużlu i zastanawiał się, co robić. Poza tym czy budowali mur z tej, czy z tamtej strony? Postukał młotkiem w pusty, gumowy nosek swojego za dużego trampka. Po chwili podniósł głowę.

Dynamit, powiedział.

Suttree od czasu do czasu odwiedzał Harrogate'a i ostatnio zastawał go pogrążonego coraz głębiej w swoich knowaniach.

Mieszczuch marszczył się nad mapami i układał plany kampanii, żeby schwytać fantomy, które go opętały.

Jak ci idzie?, spytał Suttree.

Okej.

Włamałeś się już do bankowego skarbca?

Nie. Ale chodź tu i zobacz.

Harrogate wstał od swojego stołu i cofnął się w stronę ciemniejszych łuków, do małej, betonowej klitki. Kiwnął palcem na Suttree'ego.

Co jest?

Chodź, zobacz.

Suttree podszedł i spojrzał.

Patrzaj się tu, powiedział mieszczuch.

O co chodzi?

Suttree klęknął. Wyciągnął rękę w ciemność i wyczuł drewnianą skrzynkę, w której leżały zimne, woskowe przedmioty, przypominające świece. Wyjął jeden z nich i podniósł do światła.

Gene, jesteś stuknięty.

Prawdziwy, niech mnie szlag. Buddy, chłopie, to załatwi sprawę tam, gdzie kichnięcie po zażyciu tabaki zaś nie dałoby rady.

Nie spowodujesz wybuchu. Nie masz detonatora.

Mogę użyć naboju ze strzelby.

Wątpię.

Trzymaj uszko przy ziemi.

Gene, wysadzisz sam siebie.

Zdaje się, żeś gadał, że nie dam rady spowodować wybuchu?

Suttree ze smutkiem pokręcił głową.

Upalne letnie wieczory nad rzeką, pijaństwo i opowieści o przemocy. Kroki ciemną nocą, głuche niczym postukiwanie kopyt na deskach barki, na której Suttree leżał cicho w domku, oddychając w mroku. Usłyszał, jak ktoś wypowiada jego imię.

Zapalił lampę, a kiedy ją podniósł, ujrzał za oknem złomiarza, przypominającego pijanego włamywacza. Wstał z łóżka, żeby go wpuścić, sterując nim, kiedy ten szedł, zataczając się w małym domku jak podczas dziwnej, nocnej lekcji tańca.

Złomiarz usiadł, podniósł wzrok. Spałżeś?

Nie.

Zaczął energicznie kiwać głową, którą opuszczał i podnosił na stopę albo więcej. Nie sądziłżem, że tak. Znam cię, nocny marek jesteś.

Masz co zapalić? Mnie zbrakło.

Nie mam fajek.

Złomiarz poklepał się po kieszeniach.

Nie przyszedłeś tu taki kawał drogi po papierosa, co?

Nie.

Smoky Mountain nie była otwarta?

Nie wiem. Nie maszże gdzie schowanego czego do picia, co?

Może jest jedno niezbyt chłodne piwo. Chcesz?

Będzie lepsze, niż gdyby mi kto wsadził kija w oko.

Suttree wstał, wyszedł, wyciągnął kosz na drobnicę i wyjął z niego flaszkę. Zaniósł je z powrotem do domku, wziął otwieracz, otworzył

piwo i podał je złomiarzowi. Harvey zagarnął drżącą ręką butelkę, chwycił ją, przymknął oczy i pił.

Gdzie wpadłeś w to błoto?

Spuścił wzrok. Wydawał się odziany w pumpy, bo nogi miał

umazane błotem po kolana. Ugrzązłżem w błocie, powiedział. Jest taki ćmok, że mało bym cię w ogóle nie znalazł. Mało żem bym nie wpadł

do tej jebanej. Urwał, żeby beknąć. Jebanej rzeki.

Chcesz, żebym cię odwiózł łodzią?

Harvey łyknął piwa i przyjrzał się Suttree'emu kaprawymi oczami.

Miał bardzo bladą twarz, a pomarszczone wory pod jego oczami sprawiały wrażenie przezroczystych. Idę się zobaczyć z Dubyedee'em, powiedział. Nikczemny skurwiel.

Nie musisz się z nim spotykać tak późno w nocy. Pozwól, że cię odstawię do domu.

Złomiarz pokręcił głową z irytacją. Zobaczę się z moim nikczemnym, zasranym bratem.

Jak pójdziesz przez ten most, dopadną cię gliniarze.

Nie dopadli mnie, jakżem szedł w tę stronę.

Lepiej zaczekaj do jutra.

Harvey trzymał butelkę w rękach między kolanami. Zdobędę pistolet, niech to szlag trafi, powiedział, kiwając głową.

Pistolet?

Jak cholera.

Zamierzasz zastrzelić brata?

Nie, kurwa. Powystrzelam tych jebanych złodziejów.

Co, tam u ciebie?

Jak cholera.

Do diabła, to tylko dzieciaki.

Pierdolone złodzieje. Kradną wszystko, co im wpadnie w łapy.

Czemu ich po prostu nie przegonisz?

Lepiej, jak ich powystrzelam teraz. Nim podrosną.

Pociągnął łyk piwa i otarł usta wnętrzem dłoni. Zupełnie jak dziewczyny. Dorastają, wychodzą w świat, mając trzynaście czy czternaście roków, i parę z nich zawsze zaczyna się od razu pieprzyć ze wszystkimi w mieście. To ci dopiero będą kurwy. Nie o to idzie, że są takie młode. Każda kurwa była kiedyś młoda, jak i każdy złodziej. Ale te nie czekają, coby przedawać własną dupę albo kraść, obojętne. Trza to przeciąć. Urwał. Przeciąć w zarodku.

Czemu nie kupisz psa?

Miałżem już jednego.

Co się z nim stało?

Nie wiem. Widzi mi się, że go zaś ukradli.

Lepiej się zgódź, żebym cię przewiózł na drugą stronę rzeki.

Możesz mnie podrzucić do Goose Creek, jak chcesz. Patrzył w górę i przyglądał się Suttree'emu w mętnym świetle lampy, mrużąc jedno oko.

Nie musisz tam iść.

Chuja nie muszę.

Możesz się z nim zobaczyć jutro.

Wiesz, o co się mnie zapytał?

O co?

Zapytał się mnie, dlaczego zawsze jestem dosyć trzeźwy, coby kupić wraka, ale za bardzo pijany, coby go przedać.

No i?

Co no i?

No, jaka jest odpowiedź?

Złomiarz przez chwilę mierzył Suttree'ego gniewnym wzrokiem, po czym potrząsnął pustą butelką. Nie masz jeszcze jednego, co?, zapytał.

Obawiam się, że to wszystko.

Myślisz, że stary Jones znalazłby człowiekowi co do picia o tej porze?

Myślę, że stary Jones nabije człowiekowi guza na jego kościstym łbie, jeżeli zacznie walić do jego drzwi po zgaszeniu świateł.

Ktoś kiedy w końcu zabije tego czarnucha.

Owszem.

A Jimmy Smith by nie miał?

Jimmy Smith cię zastrzeli.

Złomiarz ze smutkiem pokręcił głową, bo była to szczera prawda.

Wstał niepewnie. Uśmiechnął się. No, powiedział. Może pieprzony Dubyedee będzie miał co do picia.

Możesz zostać tutaj, jeśli chcesz.

Złomiarz machnął ręką. Dzięki ci, powiedział, ale najlepiej będzie, jak pójdę poszukać czego do picia. Widzi mi się, że mały drink zrobi mi teraz lepiej niż cokolwiek inszego, co mi przychodzi do głowy.

Suttree patrzył, jak złomiarz, zataczając się, schodzi po deskach w smudze żółtego światła. Zarzuciło go, stanął na jednej nodze, ruszył

dalej. Gdy zszedł na brzeg, podniósł rękę.

Wracaj, zawołał Suttree.

Złomiarz znów podniósł rękę i szedł dalej.

Do składu złomu brata na Blount Avenue miał całe dwie mile, toczył się w świetle latarni przez dryfujący świat nektaru kapryfolium, krzyków nocnych ptaków i dalekich psów, ujadających na swoich uwięziach.

Przeszedł przez drewniany mostek, minął ciemne kształty samochodów i stanął przed domkiem na kółkach.

Dubyedee!

Szemrzące wody Goose Creek przepływały wśród opon i fragmentów karoserii w ciemności, zalegającej głębiej na podwórzu.

Wyłaź, ty stary pierdzielu.

Potykał się o przedmioty ich wspólnej profesji. Czarna i zakrzepła krew w pogiętych wozach. Czyjś but.

Dubyedee! Wyłaź, niech to szlag!

Przestał wołać i usiadł w jakiejś ciężarówce, kiedy w przyczepie zapaliło się światło. Otworzyły się drzwi, blask padł na podwórze między rozrzuconymi tu i ówdzie kształtami i z wnętrza wyjrzał

Clifford. Czego chcesz?, zapytał.

Dubyedee'ego. Harvey mówił zza szprych kierownicy, o którą oparł głowę.

Co?, spytał Clifford.

Harvey podniósł głowę. Clifford wisiał w białej pajęczynie pękniętej przedniej szyby. Chcę Dubyedee'ego, odparł.

Nie ma go.

A gdzie jest?

Nie tu. On już tutaj nie mieszka.

To tylko stary pijany wujek Harvey, co nie?

Ty żeś to powiedział, ja w życiu.

Nie, ty w życiu. Ty załgana kupo gówna.

Zarys głowy Clifforda wykręcił się w drzwiach, jakby ten odwrócił

się, żeby splunąć. Nie ma go tu, Harvey. Idźże do domu.

Nie ma go tu, Harvey. Idźże do domu, Harvey. Gdzie on teraz mieszka?

Nie dojdziesz tam. Jest za daleko.

To moja sprawa. Gdzie on mieszka?

Może byś tak weszedł, to ci zrobię kawy.

Harvey pokręcił głową. Niezły jesteś, powiedział.

Co?

Powiedziałżem, że jesteś niezły. Clifford, stary druhu. No pewnie.

Wlać w niego trochę kawy. Clifford, jesteś podobny do swojego ojca bardziej niż trochę, wiedziałżeś o tym?

Chcesz kawy, to ci zrobię. Jak nie, idę do łóżka.

Boże wielki, Clifford, nie pozwól, cobym ci nie dał spać. Za nic bym tego nie zrobił.

Postać wyrzucona na próg domu jak na brzeg zmieniła pozycję.

Możesz spać w szopie, jak chcesz. Dam ci klucz.

Nie masz tam czego do picia, co?

Nie.

To nie masz nic, czego bym chciał.

Światło wycofało się ze ścieżki. Potem zniknęło z okienka w drzwiach. Harvey uśmiechnął się i rozparł w ciężarówce.

Clifford!

Śpiące dotąd psy zbudziły się i wyły teraz wzdłuż całego strumienia.

Clifford!

Światło znów się zapaliło z trzaskiem. Otworzyły się drzwi.

Co teraz, do jasnej cholery?

Nie spałeś, co?

Mus mi jutro wstać do pracy, Harvey. Niektórzy muszą ciągle pracować na życie.

Czy on ci płaci, Clifford? Czy ciągle zarabiasz ino na utrzymanie?

Płaci.

Takiemu dużemu chłopcu.

Jak nic nie chcesz, to wracam do łóżka.

Powiem ci, ile zarabiam, jak powiesz, ile ty.

Ty nic nie zarabiasz, zupełnie nic. Bo ty nic nie robisz, ino leżysz pijany.

Ile ty, ile ty, powiedział Harvey od rzeczy.

Nie musisz wiedzieć.

Nie musisz wiedzieć, nie musisz wiedzieć. Na pewno nie masz tam łyka czego do picia?

Powiedziałżem ci już, że jak chcesz, to ci zrobię kawy.

Pozwól, że ci rzeknę coś o twojej kawie, Clifford. Chcesz usłyszeć coś o twojej kawie?

Clifford nie chciał. Znowu zamknął drzwi i światła zgasły.

A o swoim tatusiu?, zawołał Harvey. Chcesz coś usłyszeć o tym złodziejskim skurwielu? Chcesz usłyszeć, jak ze szczętem okradł

własnego brata? Clifford?

Leżąc wczesnym rankiem w półśnie na swoim łóżku, Suttree usłyszał dochodzący gdzieś z miasta głuchy wstrząs. Otworzył oczy i wyjrzał przez okienko na blednące gwiazdy, rzadko rozsiane elektryczne klejnoty świateł mostu, zawieszonego nad rzeką. Może trzęsienie ziemi, przesuwające się w niej głęboko pokłady geologiczne, piasek sypiący się wiele mil niżej wśród ślepych uskoków w wiecznej ciemności. Wstrząs nie powtórzył się i Suttree po chwili zasnął.

Wracając upalnym popołudniem w górę rzeki, trzymał się południowego brzegu, przeszedł pod mostem, minął skład drewna oraz pakowalnię i przycumował łódź pod ścieżką, prowadzącą na podwórze złomiarza i wiodącą dalej drogę. Rano przeszła krótka letnia ulewa, a jej cuchnąca, parna woń w nadbrzeżnym lesie wzbijała się w górę niczym powietrze w szklarni. Na wąskiej ścieżce Suttree spotkał grupkę uniżonych Murzynów, którzy minęli go bokiem, strzelając oczami tam i z powrotem jak konie. Delikatne brzęczenie kubełków z przynętą i szmer trzcin. Auta na podwórku Harveya stały w słońcu, zgarbione i czarne, a w rozedrganym powietrzu biło z nich widoczne gołym okiem gorąco. Suttree szedł otoczony wonią wilczomleczy, oleju i gorącej blachy, zmierzając w stronę furtki zrobionej ź ramy łóżka.

Znalazł go bez przytomności, zwieszonego do połowy ze skotłowanego, wojskowego łóżka polowego. W małej chacie pachniało smarem, papą i brudem. Suttree ujął złomiarza pod ramię i łokieć i łagodnie, troskliwie wciągnął go na posłanie, choć trochę brzydził się dotykać odrażających łachmanów. Harvey przewrócił zbielałym okiem, zamruczał coś i opadł z powrotem na łóżko. Suttree rozejrzał się po chatce. Podłoga usiana skrzyniami biegów, ośkami, akumulatorami.

Chwiejne stosy opon. Kredens pełen kapsli na koła, przypominających dziwną, srebrną zastawę, pogiętych i poobijanych, pomalowanych albo ozdobionych prostackimi herbami znaków fabrycznych z nowego świata.

Stał w drzwiach i wyglądał na podwórze złomiarza. Wysokie malwy przy obciążonej bramie, kwitnący szczaw i begonie wzdłuż szczątków płotu. W kącie podwórza las słoneczników niczym kwietny ogrom w dziecięcym

ogrodzie. Suttree usiadł na schodkach z żużlowych pustaków. Kwiaty poruszały się na wietrze. Nie widział wody, ale w górę rzeki wśród drzew płynęła barka, przypominająca wielki pociąg towarowy, bezgłośnie przewożący swój ładunek dzięki technice nieznanej wyżej w dolinie. Na drugim brzegu kamienne narzuty z pokruszonego marmuru. Nieregularne kształty żelastwa rdzewiejącego w słońcu. Złomiarz jęknął i odwrócił się w półmroku chatki. Jedyny człowiek wśród mnóstwa pogiętych, porzuconych nad rzeką przedmiotów. Suttree odwrócił się i zobaczył, że Harvey opędza się ręką od jakiejś zjawy w ulubionym przez szaleńców geście przerażenia, jego udręka nie mniej przez to realna. Suttree wstał i wyszedł, a furtka zamknęła się za nim z łagodnym stuknięciem.

Kiedy Harrogate pociągnął za sznur detonatora domowej roboty, miał ucho zatkane palcem. Eksplozja odrzuciła go dwadzieścia stóp w głąb tunelu i wcisnęła w ścianę, pod którą usiadł w ciemności wśród grzechoczących wszędzie wokół okruchów skalnych, z szeroko otwartymi oczami, otoczył go bowiem niewiarygodny huk. Potem pęd świszczącego powietrza wessał go z powrotem do tunelu, drąc na nim ubranie i ocierając naskórek, aż wreszcie chłopak upadł na twarz w podziemnym korytarzu. Dzwoniło mu w uszach. Zanim zdążył się podnieść, fala wróciła, porwała go znów i pociągnęła w tył po ziemi w chmurze pyłu, popiołu i gruzu, pozostawiając Harrogate'a krwawiącego, półnagiego, duszącego się i szukającego po omacku czegoś, czego mógłby się chwycić. Nie wracajże, zawołał głośno w odbijającej się echem piwnicy. Normalnie mam już dość. Daleko za rozwaloną ścianą słyszał echa wybuchu, przetaczające się kolejnymi szeregami w głąb jaskini, aż po ostateczną nicość.

Leżał bardzo cicho. Był posiniaczony, pokrwawiony i ścierpnięty na całym ciele, i zaczął płakać. Dzwoniło mu w uszach, na poły ogłuchł, ale w strasznej ciemności słyszał, jak jakieś postaci wyłażą z różnych kątów i zakamarków, twarze splamione węglem kostnym, ociekające śliną paszcze. Słyszał krew krążącą w jego ciele i pracujące miechy, wypełniające się powietrzem i opadające płuca. Małe dziewczynki w sukienkach w kwiatki przechodziły przez przełazy światła, potykając się, a ich celem, jak celem każdej duszy, była ciemność. Zbliżała się do niego jakaś miękka, niemal bezgłośna masa. Ciamkała na kamieniach.

Szukała go. Podciągnął się wyżej i nasłuchiwał. Nadchodziła tunelem.

Coś zbliżało się do niego nocną porą. Ślamazarny potwór, uwolniony po nie wiedzieć ilu stuleciach kamiennego bezruchu pod miastem. Jego oddech obmył go zgniłym smrodem. Próbował się czołgać. Drapał się na oślep po kamieniach w mroku. Powolna, ruchoma ściana ścieków najpierw objęła mu nogi, przypływ przypominającego lawę płynnego gówna, mydlin i papieru toaletowego z pękniętej rury.

Gdy Suttree zobaczył w gazecie artykuł pod tytułem: Trzęsienie ziemi?, przeczytał go i wszystkiego się domyślił. Złożył gazetę, wstał, wyszedł i zbiegł po schodkach.

U Harrogate'a nikogo nie było, nawet kota. Suttree pogrzebał w zimnym popiele w palenisku, poszperał w rzeczach mieszczucha.

Po południu wybrał się tam, gdzie Harrogate'a znano, ale nikt nie wiedział, gdzie może być.

Zapadł wieczór, kiedy na Front Street natknął się na Rufusa.

Siedział na krawężniku w świetle latarni przed sklepem, jak gdyby czekał na jego otwarcie. Podniósł się, kiedy zobaczył, kto idzie. Hej, Sut, powiedział. Jakże ci leci?

Jak krew z nosa, odpowiedział Suttree. Co robisz?

A, siedzę i tyła. Odsunął czapkę kciukiem, potarł się po głowie i uśmiechnął.

Suttree przysiadł obok na wąskim, kamiennym krawężniku.

Chcesz się napić? Rufus przechylił butelkę, którą przesunął na bok, żeby światło padło na nalepkę. W milczeniu razem przyglądali się flaszce. Golnij sobie. Całkiem smaczna łycha.

Suttree wziął butelkę, odkręcił małą, gwintowaną, plastikową nakrętkę i pociągnął spory haust.

Z jego nozdrzy buchnęła para.

Agh, dobra, dobra, powiedział.

O tak, powiedział Murzyn, z powagą kręcąc głową. Zaś przemawia do człowieka.

Wielki Boże.

Rufus przejął od niego butelkę, pociągnął duży łyk i starannie odstawił flaszkę na jezdnię. Suttree przetarł oczy opuszkami palców.

Wydawało się, że opary whisky uderzyły mu do głowy. Wypaliły nawet wspomnienia letniego wieczoru i gorący, winny zapach perfum kapryfolium, od którego robiło się aż duszno. Popatrzył na Rufusa wodnistymi oczami. Widziałeś Harrogate'a?, spytał.

Harrogate'a? Rufus odwrócił się, odrzucił głowę do tyłu i zmarszczył brwi, patrząc na Suttree'ego przez ramię. Mieszczucha? Nie.

Nie zaglądał do nas. Co zaś od niego chcesz?

Myślę, że się gdzieś porządnie w coś wpierdolił.

Ma przejebane, obojętnie, gdzie jest. To nic nowego.

Słyszałeś to trzęsienie ziemi wczoraj wieczorem?

A jak. Aże mi się szyby w oknach zatrzęśli. Zbudziło moją starą. A ty żeś słyszał?

Suttree skinął głową.

Napijże się jeszcze troszkę, Sut.

Chyba nie dam rady.

Przecie to galanta gorzałeczka.

Butelka whisky stała wciąż na jezdni.

Jakiś cholerny pies wpadł mi do beki z pomyjami, powiedział

Rufus.

Suttree skinął głową. Jego usta poruszały się, jak gdyby to sobie powtarzał.

Nie mogę do niego podejść, coby go wyciągnąć. Ciągle chce mnie użreć.

Jak się tam dostał?

Pewnikiem wpadł. Żrąc moje pomyje. Nie będę wylewać pomyj przez jakiegoś głupiego psiego dupka.

Nie.

Pamiętam w okręgu Loudon, jak żem był chłopcem i miał takiego wujka, co to ciągle pędził whisky. Jednego wieczora poszlimy do jego destylarni, a tam na ziemi stoi pięć beczek gotowego zacieru, to wspięlimy się wyżej i w każdej beczce siedział jakiś cholerny kundel.

Tkwiły w tych beczkach po szyje, były pijane i śpiewały ino jak opętane. Siedzielimy na ziemi i śmiali się, a im bardziej my się śmiali, tym głośniej one śpiewały, a im głośniej one śpiewały, tym bardziej my się śmiali.

Jak je stamtąd wyciągnęliście?

Wycięlimy gałąź zielonego orzecha, wsunęli im pod obroże, złapali z obu stron i tak żeśmy je wyciągli. Niektóre były zaś za bardzo schlane, prawie że chodzić nie mogły.

To czemu nie wyciągniemy tego z twojej beczki na pomyje w ten sam sposób?

Ten nie ma obroży.

Rozumiem. To może przewiązać go sznurem i wyciągnąć?

Moglibymy spróbować. W ogólności nienawidzę tam chodzić.

A to dlaczego?

Stara jest na mnie zła.

No, czasami musisz.

Wiem. Ale czasem normalnie tego nie cierpię.

Daj spokój. Nie możesz tu tak siedzieć przez całą noc.

Suttree wstał, Rufus się podniósł, dwoma ruchami rąk otrzepał

wiszące mu na siedzeniu spodnie, pochylił się, zachwiał, odzyskał

równowagę, chwycił butelkę i się wyprostował. Jesteś lepsza niż żadna gorzała, co nie?, zwrócił się do flaszki.

Wspinali się mozolnie po ścieżce zakręcającej wśród kudzu i zeszli z niej w ciemną alejkę. Noc była jasna, szli powoli, a zanim dotarli do domu, Murzyn zatrzymał się jeszcze raz, żeby się znowu napić i wsunąć butelkę z powrotem do kieszeni swoich przepastnych spodni. Poza zapachem kapryfolium Suttree poczuł kwaśny, przypominający wymiociny odór chlewa. Zza pnączy sączyło się światło z okna. Rufus podniósł palec, a wtedy zatrzymali się i naradzili.

Weznę lampę.

Okej.

Suttree kucnął w alejce. Usłyszał, jak otwierają się i zamykają drzwi, a po chwili dobiegł go wysoki, przeraźliwy głos, który zdawał się mówić w nieznanym mu języku. Otworzyły się drzwi i Rufus zszedł z ganku, trzymając wysoko lampę i podkręcając knot.

Minęli szopę, Rufus wyciągnął gwóźdź, zastępujący haczyk w zamku na drzwiach wędzarni, weszli do środka, po czym wyszli ze zwojem szorstkiej liny. Pomaszerowali dalej wzdłuż płotu, zbitego z kawałków desek i blachy.

Coś czmychnęło w zarośla. W ciemności chrząknęła Świnia. Rufus podniósł latarnię i Suttree ujrzał w jej świetle oczy psa.

Tamój jest.

Suttree wziął lampę i podszedł. Zmoknięty pies z kawałkiem rozmoczonego chleba na łbie, zanurzony po szyję w beczce z pomyjami.

Wspierał przednie łapy na krawędzi beczki, a kiedy Suttree podszedł, zwierzę obnażyło zęby w świetle lampy.

Nie może wyjść?, spytał Suttree.

Wygląda na to, że nie. Widziałżem, że raz czy dwa się podniósł, ale nie może się na tyle wyrwać z tej brei, coby skoczyć.

No to daj mi tę linę.

Uważaj, cobyś nie podeszedł za blisko. Zawarczy i rzuci się na cię.

Potrzymaj lampę.

Uważajże na niego.

Suttree przyniósł pustą beczkę, postawił ją do góry dnem i stanął

na niej obok beczki z psem, który się odwrócił w jego stronę. Zrobił

pętlę, zarzucił ją psu na szyję, a zęby zwierzęcia kłapnęły w powietrzu z głuchym, wilgotnym odgłosem. Kiedy pies poczuł, że sznur zaczyna mu się zaciskać na szyi, zaczął skomleć.

Suttree dwukrotnie owinął linkę w garści i wziął się za wyciąganie psa, który przewracał oczami i drapał beczkę.

Wielki Boże, ale ciężki sukinsyn.

Pies wyłonił się z beczki podduszony i ociekający pomyjami, zsunął się po jej boku i opadł na ziemię niczym ohydny, mokry kłębek.

Przyglądali się mu, Suttree na beczce, trzymając lampę. Pies wyglądał jak jakaś dziwna średniowieczna bestia, dyszał i cuchnął.

Suttree, manewrując sznurem, ściągnął go z szyi zwierzęcia, które po chwili wstało, otrząsnęło się i odeszło chwiejnym krokiem pośród kapryfolium.

Suttree zwinął linę, z wyjątkiem zapaskudzonej pętli, i ciągnął ją za sobą, obaj ruszyli ścieżką z powrotem, po czym usiedli na ganku.

Rufus zgasił lampę, oparł się o słupek i zamknął oczy. Potem otworzył

je i poklepał się po kieszeni, gdzie spoczywała butelka, a wtedy znów zamknął oczy. Nie widać jego świateł, jak jest tak zarośnięte, powiedział.

Czyich świateł?

Mieszczucha. Jak tu pozarasta, to tamój nic nie widać. Nie wiem, czy jest u siebie, czy nie.

Moim zdaniem wczoraj go nie było.

Może się schlał z Cleo i tamtymi. Ciągle dają mu whisky.

Suttree skinął głową. Po drugiej stronie doliny drżały na tle nocy światła miasta. Znasz tu jakieś jaskinie?, spytał.

Rufus otworzył oczy. Jaskinie?, spytał.

Znasz jakieś?

Będzie jedna duża po drugiej stronie rzeki. Jaskinia Cherokee.

Mnie chodzi o tę stronę.

Pod Knoxville wszędzie są jaskinie.

Wiesz, jak do nich wejść?

Nie trza ci się pętać po żadnych tam jaskiniach. Po kiego grzyba chciałbyś łazić pod ziemią?

Jak mi nie powiesz, jak wejść do tych jaskiń, to złapię tego psa i wrzucę ci go z powrotem do beczki z pomyjami.

Rufus uśmiechnął się szeroko. Wyprostował jedną nogę na ganku i sięgnął do kieszeni po flaszkę. Kurrrde, powiedział.

A może nawet dwa psy.

Ranny i oblepiony gównem Harrogate znalazł w kieszeni pudełko z zapałkami i ogarek świecy, którą zapalił. Cienki płomyk pochylał się i trzepotał. Zaczął po omacku szukać w ściekach latarki, w górze i w dole korytarza. Znalazł ją, podniósł do góry, potrząsnął i zaczął pstrykać przełącznikiem, ale nie chciała się zapalić. Klęczał, rozglądając się po otaczających go kamiennych ścianach. Gorąca stearyna ściekała mu na dłoń, po której się podrapał z roztargnieniem. Zaczął gramolić się z powrotem w górę tunelu.

Pluskał się w czarnym stawie, a tymczasem świeca się topiła.

Obejrzał swoje obrażenia. Rozebrał latarkę, złożył ją z powrotem i spróbował zapalić. Odkręcił oprawkę podtrzymującą klosz, wyjął

żarówkę i podniósł ją pod światło świecy, ale nie widział, czy druciki są całe, czy nie. Obserwował świecę. Nie kapała. Wyglądała po prostu, jakby coś wsysało ją między kamienie.

Zostawił palącą się świeczkę i podszedł na skraj kręgu światła, aż jego cień został wreszcie wchłonięty przez rozleglejszą ciemność.

Zawrócił. Przykucnął i przyglądał się, jak dygocze płomyk. Wilgotne, kamienne pomieszczenie jakby zmalało, zaczęło się zacieśniać wokół

niego. Kucnął w najmniejszym kielichu światła, osłaniając od tyłu płomień splecionymi dłońmi, jakby próbował go zagarnąć. Po kamieniach spływała gorąca, oleista maź. Knot przechylił się i złamał z cienkim sykiem, a wokół

Harrogate’a zamknął się tak całkowity mrok, że mieszczuch stał się dla siebie jakby bezgraniczny, ogromny niczym kosmos, choć jednocześnie maleńki jak najmniejsza drobinka materii na świecie.

Suttree spuścił się po linie studziennej do wyschłego, ceglanego zbiornika wodnego. Odór ziemi i mchu, stara, ciemna, krucha cegła.

Spód zapadł się i Suttree zszedł niżej przez pas rumowiska i pokruszonych cegieł do dziury w ziemi. Włączył latarkę, którą miał przy sobie, i wkroczył w ciemność.

Szedł wąskim korytarzem, na którego dnie zalegały błocko i stare, potłuczone butelki. Ściany pokryte nazwiskami i datami, wydrapanymi w miękkim, mokrym kamieniu. Korytarz zwężał się i wprowadził go w pełną przeciągów czerń, gdzie światło latarki sięgało od ściany do ściany, ogromna, żużlowa waza, poprzecinana rurami kanalizacyjnymi.

Wielkie, połączone ze sobą rury ściekowe i zimne, mokre kable. Wszedł

ostrożnie głębiej. Żadnego dźwięku, tylko odległe, odwieczne kapanie.

Nasłuchiwał jakichkolwiek słabych odgłosów z leżących nad nim ulic, ale wydawało się, że świat całkiem zniknął. Grota przypominała jaskinię morską, gładka i kręta, ukształtowana tak, żeby zatrzymać wiatr, którego w niej nie było. Odwrócił się, światło latarki sunęło po ścianach, zabłocone nacieki i wysoki, kopulasty dach, z którego zwieszały się kamienne zęby i jęzory mokrego czarnego żużlu. Przeszedł przez całą komorę, spłachcie ciemnych ścieków na dnie przypominały kałuże smoły. Po drugiej stronie okrągły tunel biegł głębiej w skałę, a Suttree pochylił się i ruszył dalej.

Przeszukiwał podziemia, aż wreszcie pomyślał, że musi już być wieczór, i kiedy wyłonił się znów u stóp zbiornika, zdziwił się, że nie minęło jeszcze nawet pół dnia. Zajrzał do zbiornika drugi raz, ale nie miał odwagi schodzić tam ponownie.

Wieczorem odwiedził siedlisko Harrogate’a pod mostem, nie znalazł jednak nic, co by świadczyło, że mieszczuch tam był. Przed świtem popłynął na połów i znowu udał się na poszukiwania.

Sprawdzał wąskie boczne korytarze i przyglądał się małym plwocinom błota na kamiennym dnie jaskini, wypatrując śladów stóp, ale wyglądało na to, że od lat nie przechodził tędy żaden wędrowiec.

Nazwiska i daty na kamieniach robiły się coraz starsze. Wymarli bezpotomnie Cymmerowie. Jakiś brak skłonności do przygody w duszach ludzi bliższych nam historycznie albo żadnej miłości do mroku.

Światło jego latarki przesuwało się po suficie, łódeczkowate kopuły, kamienne rowkowania i z rzadka wiszące iglice. Karbowane podniebienie kamiennego potwora w śpiączce, ogromny języczek, z którego skapywała rdza. Ostrza fałszywych kryształów fluorokrzemianu.

Ciemnoburgundowy hematyt poprzecinany żyłami żelaza, zastygły w kształcie kamiennych wnętrzności. Albo zielonkawe, koprolityczne stolce malachitu, małe kamienne gówienka, powleczone mosiężną zielenią.

Znalazł blade traszki o ogromnych oczach, trzymał je zimne i drżące w dłoni i patrzył, jak ich serduszka biją pod niebieskimi, widocznymi kośćmi mostków wielkości naparstka. Zwierzątka niczym dzieci obejmowały jego palec maleńkimi, szpatułkowatymi łapkami.

Pod koniec dnia zauważył plamki światła wysoko na ścianie tunelu, przykucnął, wytężył słuch i zdało mu się, że słyszy bardzo słabe i dalekie krzyki dzieciarni. Zgasił światło i siedział w ciemności. Przez pewien czas. Dziecięce głosy się oddaliły. Trzy świetlne kształty na dnie jaskini zaczęły wspinać się wyżej na przeciwległą ścianę. Po chwili wstał i przyświecając sobie latarką, ruszył z powrotem tą samą drogą, którą tu przyszedł.

Czwartego dnia znalazł ślady stóp na spłachciu szarego szlamu.

Ślady trampek, w dodatku dużych. Ślady butów Suttree'ego mieściły się w nich w całości. Nieco dalej znalazł świeże opakowanie po jakimś batoniku. Przeszedł przez dużą jaskinię, w której pod sklepieniem wisiały w szeregu nietoperze, przepychając się przez sen złożonymi skrzydłami, nieustanny, trzcinowy szmer popiskiwań jak niezliczone krzyki, które niewątpliwie słyszał w swojej wieży biskup Hatto, zanim go zjadły myszy. Suttree parł

dalej, w głąb spróchniałych podziemi miasta, przez czarne, oślizgłe jamy, w których sączyły się ohydne płyny.

Nie zdawał sobie sprawy, że pod Knoxville rozciąga się taka pustka.

Cuchnęło coraz ostrzej, narastający odór nieczystości. Znalazł

siedzącego w kucki mieszczucha tam, gdzie smród gęstniał najbardziej.

Harrogate siedział oparty o ścianę i patrzył w głąb tunelu, skąd zbliżał

się snop światła. Wyglądał jak coś, co mogłoby podskoczyć i czmychnąć do jakiejś nory. Suttree przykucnął przed nim i przyjrzał się mu.

Może byś tak przestał mi świecić w oczy, odezwał się Harrogate.

Suttree opuścił latarkę. Obaj mieli poczerniałe twarze, jak górnicy albo jazzowi minstrele, a mieszczuch odziany był już tylko w strzępy ubrania i od stóp do głów pokryty zaschniętymi nieczystościami. Cała prawda o człowieku pod ziemią. Spoglądał w dół na kałużę światła.

Myślałżem, że nie żyję. Myślałżem, że tu umrę.

Nic ci nie jest?

Byli tu jacy ludzie.

Co?

Byli tu jacy ludzie.

Przywidziało ci się.

Rozmawiałżem z nimi.

Chodźmy.

Nie chcę, coby mnie kto zobaczył w takim stanie. Suttree pokręcił

głową.

Zaś dałbym dziesięć dolarów za szklankę wody z dem, powiedział mieszczuch. Żywą gotówą.

20

Suttree widywał ją na ulicy, w godzinach brzasku, zanim wstawał

świat. Zgięta wpół starowina, krocząca ponuro, zgarbiona, w bezkształtnej sukience z worka, ufarbowanego na śmiertelną czerń, dźwigająca kawałki drewna na opał i zaprawę do utrwalenia barwnika z żółtego drewna farbiarskiego. Jej pajęcze dłonie ściskające szal z wełny padłego baranka. Chroma wielka dama, kulejąca w półmroku z sękatą laską, idzie i idzie. Przez most w ostatnich godzinach nocy, by zbierać zioła na skarpie na południowym brzegu rzeki.

W te letnie wieczory zazwyczaj widywał też Jonesa. Siedział z przyjaciółmi pod pudełkowym wentylatorem wielkości śmigła samolotowego i na wyjącym wietrze popijał wyciekające z butelek piwo, przyglądając się, jak karciarze w przepoconych koszulkach mamroczą, palą i rozdają karty. Jones nie wspominał już więcej o czarownicy. Potem pewnego wieczoru pochylił się ku Suttree'emu, który siedział przy małym marmurowym stoliku. Mówisz, że nie chce tu zajść?, spytał.

Kto.

Sapnął przez nos. Strzelił oczami w bok, ale zdawał się obserwować karciany stolik. Zaś ta stara murzyńska czarownica, powiedział.

Ach, odparł Suttree. Tak mówi.

Murzyn skinął głową.

Czemu sam do niej nie pójdziesz?

Wzruszył ramionami.

Powiedziała, że chcesz się z nią spotkać nie w swojej, a w cudzej sprawie.

Ab spojrzał na Suttree'ego i z powrotem na stół. A powiedziała zaś, w czyjej?

TWoich wrogów.

Ach, rzekł Jones.

Powędrowali wieczorem przez las grochodrzewów, w zieleni wrzeszczała szarańcza, od której bierze nazwę angielska nazwa tych drzew, przeszli pod wielkimi kwiatami z gazet i do parującej niecki.

Czarownica pracowała w ogrodzie, pochylona z motyką w ręku, postać wielkości dziecka. Czerń jej barwionej domowym sposobem sukni wyblakła od słońca na plecach i ramionach. Kiedy Murzynka ich zobaczyła, wyprostowała się i weszła do domu. Przecięli podwórko.

Minęli małe rzędy krzaków pomidorów i późnej fasoli szparagowej.

Suttree zapukał do drzwi, przed którymi stali, patrząc na małą polankę.

Po chwili znowu zastukał.

Kiedy podeszła do wejścia, miała gołą głowę i okulary na nosie.

Odsunęła się, żeby ich wpuścić, jak gdyby byli oczekiwanymi gośćmi.

Ruszyli za nią małym korytarzem w niemal całkowitej ciemności, w stronę otwartych drzwi, za którymi stały stół i zapalona lampa. Jones pochylił się, żeby wejść, Suttree za nim. Byli w kuchni. Suttree rozejrzał

się. Ściany obwieszone zdjęciami, ich szybki całe zmatowiałe od brudu.

Zgiął się wpół, żeby się dobrze przyjrzeć jakiemuś murzyńskiemu klanowi, ze trzydzieścioro albo i więcej osób, wszyscy w uroczystym szeregu, starzy patriarchowie, mężczyźni, kobiety i strzelające oczami małe dzieci, a w środku jakaś owinięta szalem postać, przypominająca zeschniętego rezusa.

Stała po drugiej stronie pokoju, światło było słabe, nie mogła zatem wiedzieć, której z wielu fotografii się przygląda, a jednak powiedziała:

Urodziła się w tysiąc siedemset osiemdziesiątym siódmym.

Kto to jest?

Moja babcia. Umarła, jak miała sto i dwa roki.

Na tym zdjęciu wygląda, jakby miała prawie tyle.

Na tym zdjęciu nie żyje.

Suttree przyjrzał się jej. Złote druciane oprawki odbijające światło, małe, okrągłe tafle szkła. Pochylił się, by znów zobaczyć zdjęcie. Na fotografii ktoś stojący za babcią podtrzymywał jej głowę, oczy staruszki były szkliste i niewidzące. Suttree nie mógł się oderwać od popękanej i polakierowanej sceny z tych legendarnych czasów. Dłonie na szyi zmarłej zdawały się ją zmuszać, żeby patrzyła na coś, czego raczej wolałaby nie widzieć, może właśnie Suttree'ego sześćdziesiąt parę lat później?

Jesteś na tym zdjęciu?, zapytał.

Nie ma mnie. To było w okręgu Fayette, w Kentucky. Trzymali ją w piwnicy, póki nie udało się im ściągnąć kogoś, coby zrobił zdjęcie. Jej dzieci siedzieli z nią w nocy tam, na dole, przy świcach.

To było jeszcze przed twoim urodzeniem?

Nie. Byłam tam. Nie wyszłażem na zdjęciu. Byłam tam, jak je robili, ale żem nie wyszła.

Gdzie stałaś?

Tamój, w tym martwym punkcie.

Schylił się, żeby zobaczyć. Daleko z prawej strony widniała poszarzała plamka, duch na fotografii pośród chorych na pelagrę przodków tej kobiety. Hitaj?, spytał.

Skinęła głową, jej małe binokle pomrugiwały w świetle lampy.

Siednijcie, powiedziała.

Suttree usiadł pod zdjęciem. Jones ciągle stał, niemal na samym środku pokoiku, i nagle zaczął sprawiać wrażenie istoty bezmyślnej, wielkiego, chwiejącego się na nogach zombi, którego kobieta musi wziąć pod łokieć i poprowadzić do stołu, chociaż Murzyn nie był tu pierwszy raz. Pozszywała go jak psa nicią dywanową, drobniuteńkie paciorki jasnej krwi perliły się na zmarszczkach czarnego ciała, mniejsze

ranki

opatrzyła kataplazmą pajęczyny i owinęła

prześcieradłem. Dwa dni później stanął pijany u drzwi, domagając się, żeby go rozpruła i zszyła luźniej, bo nie może się schylać. Oczy nabiegłe krwią, cuchnął bimbrem.

Usiadł. Zwieńczony koroną ząb płomienia zadrżał i zmienił kształt w kloszu. Biżuteria na jej szyi mrugała, blaszane amulety, kawałek bazaltu, hebanowy Baal wiszący na sznurze ze splecionych włosów.

Rozcapierzyła ręce. Pod czarną i szarą jak zmierzch skórą było widać ukształtowanie stawów jej palców, smukłe, połączone ze sobą kościane piszczałki. Powiedziała: Nie wiem, która z tych dwóch dusz jest gorzej udręczona. Pokaż rękę.

Jones położył dłoń na stole. Palce jak banany, grube i brązowe.

Usiadła powoli, odwróciła jego rękę wnętrzem do góry w swoich małych, ciemnych szponach i zamknęła oczy. Potem spojrzała na nią.

Pochyliła się niżej. Co to jest?, spytała.

Jones popatrzył. To nic. Ino odebrałżem kiedyś noża jednemu idiocie.

Nacisnęła jego pomarszczoną dłoń opuszkami palców. Odchyliła się. Suttree oglądał fotografię, wiszącą nad stołem z prawej strony.

Czarnoskóry chłopiec w mundurze, podejrzliwie wpatrujący się w obiektyw aparatu, jakby przeczuwał, że jego życie nie jest wiele warte.

Starucha zapytała: Chcesz go tu?

Młodego? Młody może zostać.

Pochyliła się naprzód, jej oczy otworzyły się, a usta wydawały ciche cmoknięcia niczym pyszczek żółwia. Dajże mi pięć dolary, powiedziała.

Jones uniósł biodro i sięgnął do kieszeni. Wyciągnął spory zwitek spiętych gumką banknotów i położył na blacie pięć dolarów. Wzięła je, złożyła, zniknęły gdzieś w fałdach jej ubrania, po czym znowu chwyciła go za rękę. Zaczęła dla niego wyliczać różne zdarzenia z przeszłości.

Legendy o przemocy, burdy z policją, krwawienie w betonowych celach, anonimowy kaszel, jęki i delirium w mroku.

Jones podniósł wzrok. Nie ciekawym tego wszystkiego, powiedział. Nie chcem ino ostawić tutaj Quinna, kiedy mnie już nie będzie.

Tego nie można kupić.

Zaś nie za pięć dolarów.

Migotliwy wyraz niecierpliwości na jej sinej twarzy. Snuła opowieść o zemście, srebrniki nie mogą kupić takich mocy.

Wydrążyła pień drzewa, ukryła w nim łajno wroga i zatkała otwór dębowym czopem. Pochyla się ku nim z makabryczną poufnością: Bebechy mu spuchli jak dmuchanemu psu. Nie mógł zaznać ulgi. Stolec podeszedł mu do gardła, aż się zaczął dusić, zrobił się czarny na gębie, flaki mu pękli i umarł straszną śmiercią, wrzeszcząc i miotając się w swoich odchodach.

Jones skinął głową. Powiedział, że to mu całkowicie odpowiada.

Suttree uśmiechnął się, zasłaniając usta grzbietem dłoni, ale potwora pogroziła im obu palcem. Wstała, podeszła do szafki nad kuchenką, ze zdumiewającą zręcznością weszła na nią z krzesła, wyciągnęła rękę i zdjęła

mały, zapleśniały skórzany woreczek. Przeniosła go na stół i rozłożyła na gołych deskach obrus z czarnego adamaszku, wygładzając zmarszczki równie czarnymi, ale bardziej pomarszczonymi dłońmi.

Usiadła z założonymi rękami, patrząc na nich i przewracając starczymi, jak gdyby mydlanymi oczami. Wzięła mieszek, przytrzymała go w dłoniach i zamknęła powieki. Jej palce rozsupłały woreczek, a kiedy rzemyki zwisały już swobodnie, chwyciła go za gardziel, jakby to, co siedziało w środku, mogło się wydostać. Zaczęła się lekko kołysać w przód i w tył, uniosła wysoko głowę, sztywno i nieruchomo, a w czarnych fałdach skóry na jej szyi coś się poruszało, jak gdyby co chwila przełykała ślinę. Nagle otworzyła oczy, rozejrzała się, niemal gwałtownym ruchem podniosła skórzany mieszek i odwróciła go do góry nogami nad stołem. Zagrzechotały wypadające z niego ropusze i ptasie kości, żółte zęby, drobne figurki z kości słoniowej, dziwne albo nieznane, i małe, czarne, zeschnięte na kamień serce. Kawałek wężowego kręgosłupa o żebrach zagiętych jak szpony. Czaszka nietoperza z wyszczerzonymi, ostrymi niczym igły zębami, kości skrzydeł jak u pterodaktyla. Maleńkie kuleczki wygładzonych kamyków rzecznych. Wszystko to spoczywało rozrzucone nieruchomo i ostatecznie na czarnym adamaszku, a ciemna celebrantka tego konstelacyjnego układu, która lada chwila miała zaprzeczyć staremu kłamstwu, że patrzący i obiekt jego spojrzenia są czymś więcej niż jednością, ta szara uciekinierka ze śmiertelnego stosu, z którą handlowali, przez chwilę przyglądała się leżącym na stole przedmiotom i odwróciła wzrok. Odwróciła wzrok, pozwoliła się zamknąć pomarszczonym odrzwiom swoich oczu. Siedzieli w milczeniu.

Jones się odezwał. Powiedział: Co zaś mówią?

O tobie nic.

To o Quinnie.

Nic. Ani o tobie, ani o Quinnie. Ino o nim.

Suttree poczuł, że włosy stają mu dęba.

Czemu nie o mnie?, spytał Jones.

Nie mogę sprawić, coby mówiły o tobie, jak nie mówią.

Zróbże to jeszcze raz.

Nie.

Jones zamrugał ciężkimi powiekami.

Trza ci było przyjść samemu, powiedziała. Wciąż miała zamknięte oczy i Suttree pomyślał, że stara mówi do Jonesa, ale kiedy je otworzyła, okazało się, że patrzy na niego.

Nie wrócił tam. Pod koniec lata minął ją pewnego wieczoru na ulicy, ale mogła to być każda murzyńska starucha, pochylona, otulona szalem i cicha, tylko szurała nogami po chodniku. Nie podniosła wzroku ani nie odezwała się, a on poczuł jej woń niesioną nocnym wiatrem, zabiedzona wiedźma, stęchły, pleśniowy odór, suchy niczym pieprz.

Minęła go, lekko skrzypiąc, suche główki kości wycierały się w stawach. Co było jeszcze dziwniejsze, tamtego roku ostatni raz zobaczył

ją na ulicy w śródmieściu, w pełnym świetle południa, i wtedy na niego spojrzała. Suttree odwrócił wzrok od żmijowych oczu, w których rozszczepiało się słońce. Dźwigała swoje rzeczy w torbie z kociej skórki, wędrując po brukowanych zaułkach i uliczkach zalatujących papą. Jej usta wykrzywiało coś do złudzenia przypominającego uśmiech.

Stare zęby niczym ziarna kukurydzy. Fetor zbezczeszczonych grobów.

Jej niewielki cień padł na niego jak ptak i poszła dalej. Stał, patrząc w ślad za nią. Przytknął pięć palców jednej ręki do drugiej i wydało się mu, że wyrasta między nimi fizycznie namacalna, szklana płytka. Potem odwrócił się i poszedł dalej. Przestań, bury kocie wiedźmy z Makbeta, na drodze są jeźdźcy z ognistymi rogami, z krucyfiksami z łoziny. Biegł

w tłumie, robiąc uniki i zmieniając kierunek. Od hurkotu jego nóg na chodniku jeden po drugim stawały wentylatory, obracające się nad drzwiami sklepów.

21

Pod koniec października wyciągnął z wody linki połowowe. Liście spadały do rzeki, a dni wietrznego deszczu i drzewnego dymu przeniosły go w przeszłość, choć wcale tak bardzo sobie tego nie życzył. Ze starego worka zrobił tobołek, zwinął koc, wziął trochę ryżu, suszonych owoców, żyłkę i wsiadł do autobusu do Gatlinburga.

Poszedł w góry. Hi jesień tymczasem minęła, niektóre drzewa były już nagie, żadne nie pozostało zielone. Spędził noc na półce skalnej nad rzeką i przez cały czas słyszał duchy pociągów wiozących drewno, płynne postukiwanie, przeciągłe odgłosy przetaczanych składów, klekot i szwargot starych, zardzewiałych wagonów na od lat nie istniejących szynach. Kilka pierwszych poranków wywołało w nim mdłości, od dawna nie oglądał świtu całkowicie trzeźwy. Siedział w zimnym, szarym brzasku i patrzył, owinięty w koc jak mumia. Wiał lekki wiatr.

Chmurki, którymi obrzucone było niebo na wschodzie, przybrały fiołkoworóżową i żółtą barwę, i słońce przebiło się w górę. Wzruszyła go jego absolutna cisza. Odwrócił się tyłem do źródła ciepła. W całym lesie opadały żółte liście, rzeka była ich pełna, krążyły posuwiście tu i tam i mrugały, złociste liście pędzące niczym monety, sypane do wody pod tamą. Nietrwała, wiecznie odnawialna waluta. W dawnych, babcinych czasach rozegrała się tu pewna balladowa historia, zawiedziona miłość i dziewczyna o kruczoczarnych warkoczach utopiła się w lodowozielonej wodzie, znaleziono ją z włosami rozpościerającymi się niczym atrament na zimnym, kamienistym dnie rzeki. Słabła coraz bardziej w swoich obietnicach, tęskna jak morski sen.

Patrzyła ku górze oczami, które woda czyniła ogromnymi, na brzuchy pstrągów i studnię ciągnącego się dalej, pomarszczonego świata.

Suttree położył się na ciepłej skale nad rzeką i patrzył, jak pstrągi dryfują i penetrują rzekę nad zimnymi, szarymi kamieniami. Założył ryż na przynętę na mały haczyk. Pstrągi zatrzymywały się, sunęły bokiem albo zawracały

wśród ulewy liści. Pstrągi źródlane o pobrużdżonych pyszczkach, pstrągi potokowe o aksamitnych płetwach. Nie chciały brać.

Porzucił najpierw drogi, potem szlaki. Strumyczki na wpół

wyschnięte późną jesienią, kiedy przestaje padać. Wspinając się z trudem w kamienistej gardzieli od stawku do stawku, zauważył czarną norkę z wygiętym w łuk grzbietem, kulejącą na skałach. Ciemne, spiczaste odchody, dymiące na płaskim łupku, pełne kości, łusek, kawałków muszli. W nocy silny, zimny wiatr wessał ognisko, przy którym siedział w oku ciemności. Rozrzedzony wiatr, rozrzedzone powietrze, którym trudno oddychać, i przeraźliwy ziąb.

Rankiem, odwracając powleczone żyłkami szronu kamienie w poszukiwaniu przynęty, znalazł węża. Senna, śliska żmija o osłoniętych tarczkami kącikach pyska. Wąż dotknięty przeznaczeniem, aby ze wszystkich kamieni w lesie spać właśnie pod tym. Suttree nie wiedział, czy go obserwuje, czy nie, mała siostra śmierć o kwarcowych, kozich oczach. Ostrożnie odłożył kamień na swoje miejsce.

Po południu przeszedł wododział i ruszył przez ciemny świerkowy las. Nad rozległą, wysoką krainą latały kruki, wrzosowe, szare, słotne zbocza leśne opadały w dal, w chmury poniżej. Rozpalił ognisko pod skalną półką i patrzył, jak tuż nad doliną nadciąga burza, poszarpane gorące druty błyskawic drżały w zmierzchu niczym wyładowania elektryczne w pracowni jakiegoś obłąkanego chemika. Padał deszcz i liście, szaleńczo i na skos, okap świata owiewała srebrzysta burza.

Znalazł kilka dzikich kasztanów i przyglądał się, jak czernieją w żarze.

Rozłupał je i ostudził. Każdy zawierał w sobie drzewo wraz z liśćmi i korzeniami. Zjadł je. Nie miał nic innego do jedzenia i pomyślał, że głód nie pozwoli mu zasnąć, ale tak się nie stało. Słyszał długi, wściekły szum wiatru w wysokim lesie, leżąc na kocu i gapiąc się w niebo.

Zimna, obojętna ciemność, ślepe gwiazdy nawleczone na sznur swoich orbit, przywiązane do nich satelity i mechaniczne zębatki planet, wszystko to wirowało w czerni kosmosu.

Rankiem w wyższych partiach gór pojawił się śnieg, pył

czarodziejskiej krainy na szczytach. Wcześniej Suttree owinął nogi workiem, teraz więc po prostu otulił kocem ramiona i ruszył granią, hermetyczna, pustelnicza postać, już wymizerowana, z tygodniowym zarostem, o zapadniętych oczach. Spowity w koc, szedł przez las, otoczony kłębami zimnej, szarej mgły, szarością niepogody, zimnem dnia i mchem koloru kamieni. Ostry wiatr w wyschniętych nozdrzach.

W dół przez blade, nagie kości brzozowego lasu, gdzie deptał po liściach, przypominających kształtem szpony, podtrzymujące małe, lodowe paprotki.

Niżej wzbijały się kruki podobne do zabawek z drutu i krepy, nieważkie w niosących je w górę podmuchach powietrza. Kołysały się, kołowały i z zatraconym, stłumionym wiatrem krakaniem odpłynęły w dal nad wysoką, rozległą pustką.

Suttree zdziwił się, że znalazł jeszcze w lesie kwitnące kwiatki.

Podjął milczące badania delikatnej tkaniny mchu. Pierścieniowe formy ognistozielonych porostów, zalegających na kamieniach niczym maciupeńkie, jadeitowe wulkany. Ufryzowany grzyb porastający stare, spróchniałe pnie, kołnierzowate, przypominające piersi narośle o konsystencji trzewi i blade korzeniówki w pulpowatych kępkach w zwietrzelinie humusu, woń ostra, gnilna, grzyby o blaszkowatych albo gąbczastych spodach kapeluszy, pod którymi odpoczywają ponoć ropuchy. Albo elfy, powiedział. W sztruksowych pludrach, koszulach z jedwabnymi połami, każda w innym kolorze. W lesie kładło się osobliwe światło. Siedział z kocem na ramionach, w kucki, na tłustej, mrocznej ziemi. Zastanawiał się, czy można jeść te grzyby, czy umarłby, gdyby je zjadł, i czy by go to cokolwiek obchodziło. Przełamał jednego w rękach, był kruchy, różowo-fiołkowo-brązowy, koloru nerki.

Zapomniał, że jest głodny.

Zszedł starą drogą, wykorzystywaną do transportu drewna, mijając pozostałości obozowiska turystycznego, I skręcił przez las w stronę kamiennego mostu za uschłymi lub bezlistnymi drzewami. Droga biegła

wyżej. Nadrzeczna ścieżka prowadziła pod niskim, kamiennym łukiem wzdłuż mulistego nasypu, gdzie obok bladych, mokrych strzępów papierowych chusteczek spoczywały poczerniałe odchody.

Kiedy budowano autostradę przez góry, wzdłuż rzeki jechał tędy konny jeździec, żwir spod kopyt pstrzył wodę, koń rysował się szczupło i płasko, a jeździec miał szeroko otwarte oczy i mocno ściskał lejce.

Dwaj chłopcy, łowiący ryby z mostu, patrzyli, jak jeździec przejeżdża pod nim ze stukotem. Przeszli na drugą stronę, żeby go zobaczyć, ale koń był już dalej w dole rzeki, strzemiona zwisały swobodnie, zwierzę wybiegło bez jeźdźca na kamienistą łachę i wpadło do rzeki w eksplozji pary. Blady pas kosmatej sierści obracał się w zimnym, zielonym rozlewisku.

Jeźdźca nie było widać. Znaleźli go wiszącego na stalowym pręcie, który wystawał ze wznoszonej właśnie kamiennej konstrukcji i przebił

mu głowę, mężczyzna kołysał się nieznacznie, z rękami po bokach, i zezował lekko, jak gdyby chciał zobaczyć, co to za przedmiot przedziurawił mu mózgownicę.

Suttree ruszył wyżej wąską doliną, coraz głębiej w góry. Przez stare, wyschłe koryta rzeczne, pełne ukształtowanych przez wodę kamieni, zalegających w lesie. Miał już długi zarost, a strzępy ubrania sypały się z niego jak liście. Na tej wysokości rosły jedynie karłowate świerki, ciemne i poskręcane, i nic się nie poruszało, nie licząc jego, wiatru oraz kruków. Świerki stały czarne i jakby bezwymiarowe w cieniu wysokich, rozszczepionych żlebów, przypominając procesję zakonnic, wstępujących w zmierzch na tle nieba.

Coraz więcej sypiał, a w czasie marszu robiło mu się słabo.

Godzinami wpatrywał się w ognisko, w dziwny, rozżarzony świat osiadających węgli, w małe pomarańczowe groty i drewno, wyglądające na rozpuszczone albo półprzezroczyste. Ktoś zaczął mu towarzyszyć.

Najpierw w snach, a potem na granicy snu i jawy. Pewnego dnia w pełnym świetle jesiennego południa ujrzał elfowe widziadło, które wyłoniło się z

lasu i szło przed nim na szlaku, podskakując nieznacznie z miną znamionującą niepokój. Suttree usiadł na mchu i odpoczywał.

Las wyglądał na zbyt zielony o tej porze roku. Minęły dwa kolejne dni, a on właściwie nie wiedział, czy mu się to nie przyśniło. Leżąc na kamiennej łasze z czubkami palców w lodowatej wodzie, widział swoją twarz nad piaszczystym dnem strumienia, zmieniające się, srogie oblicze obok jego własnego ciemnego cienia. Wyciągnął się, wydął wargi i wsysał płynącą wodę. Smak żelaza, mchu i jedwabisty ciężar na języku.

Traszka, mała, oliwkowa, jak ochlapana farbą, puściła się niczym strzała ze skały w stronę bulgotliwej zieleni głębszych miejsc. Woda zaszumiała mu w głowie niby wino. Usiadł. Zielona, wirująca ściana laurowców i wznoszące się, zesztywniałe drzewa. W nieznacznym podmuchu leśnego wiatru recytowały alfabet jakiegoś drzewnego niemowy. Z kamieni zsuwały się szpilki niemal niebieskiego światła.

Poczuł dreszcz przemożnego, mrożącego znużenia na karku i łopatkach.

Zgarbił się i skrzyżował ręce na kolanach. Spoglądał na świat niesłychanej urody. Stara celtycka krew ze strony matki odezwała się w jakimś zakamarku jego mózgu, nakazując mu rozmowę z brzozami i dębami. W lesie zapalał się ciągle chłodny, zielony ogień i Suttree słyszał kroki umarłych. Wszystko z niego spłynęło. W gruncie rzeczy nie wiedział, gdzie kończy się on sam jako osobny byt, a gdzie zaczyna się zewnętrzny świat, i nie dbał o to. Leżał na plecach na żwirze, jądro ziemi wysysało szpik jego kości, na chwilę ogarnęły go mdlące zawroty głowy i złudzenie, że spada z krawędzi planety w błękitną, wietrzną przestrzeń i pędzi przez wysoki, cienki cirrus. Jego palce zacisnęły się na mokrych kamykach, wygładzonych pastylkach łupków, małych, zimnych rombach granitowych łez. Pozwolił im przesypać się przez palce z gładkim stukotem. Wyczuwał, że ziemia kręci się pod nim na swojej nie nasmarowanej osi, a w jego brzuchu zalegała woda, równie zimna jak wtedy, gdy ją pił.

Wieczorem przeszedł przez cmentarz dla dzieci, usytuowany na występie zbocza i zapomniany, pamiętały o nim wyłącznie chwasty. Z

pobliskiego kościoła pozostały tylko kamienne fundamenty, a liście opadały nielicznie i powoli, tutaj i tutaj, odczytywał nazwiska, wystawione na słońce i deszcz nagie płyty niemal rozsypywały się ze starości, poprzechylane albo poprzewracane nagrobki, tytuły własności do niewielkiego kawałka ziemi na przekór wszelkim roszczeniom. Przez wiele dni podążała za nim burza. Odwrócił się w popielatym zmierzchu, przechodząc przez ten ogród przedwcześnie zmarłych, porośnięty zielskiem, zasianym dzięki wiatrowi. Brązowy jaśmin wśród pokrzyw.

Widział, jak małe figurynki z piasku i światła obracają się w odbitym denku butelki, marionetki wielkości pająków w jakimś mikroskopijnym balecie, w purpurowym szkle, zawieszone niezwykle delikatnie na strzępach pajęczych niteczek. Na kamieniu zaśpiewała kropla deszczu.

Głośno w głuchej ciszy niczym dzwon. Niemo udręczony i pełen sprzeciwu nad ciemniejącymi, wietrznymi polami, bez zdziwienia zauważył fiołkoworóżowych mnichów, idących w oblepionych pajęczynami kapturach i w zrobionych ze zniszczonych butów sandałach, tuptali przed siebie z nieeleganckim szuraniem małymi, brukowanymi uliczkami jakiegoś starego, kamiennego miasteczka.

Ciemne, burzowe ptaki wzbiły się w górę ze świergotem i rozprysnęły na wszystkie strony jak popiół, a myszy pędziły wiodącymi do swoich norek bruzdami niczym ogoniasty śrut.

O zmierzchu przekroczył ciemnozielony las, mroczny, porośnięty paprociami i innymi cuchnącymi, parującymi roślinami. Przeleciała sowa o łukowatych skrzydłach, bezszelestnie. Natrafił na szczątki konia, wyczyszczone żebra sterczały wśród paproci, blade i fosforyzujące na zielono, a klinowata czaszka szczerzyła w trawie zęby. W tych milczących, bezsłonecznych galeriach zaczęło się mu w końcu wydawać, że idzie przed nim ktoś obcy, a na każdej polance, na którą wchodził, odnosił wrażenie, że właśnie opuściła ją jakaś siedząca tam wcześniej postać, wstała i poszła dalej. Jakiś sobowtór, jakiś drugi Suttree unikał go w tym lesie i Suttree bał się, że jeśli ten ktoś nie wstanie i nie oddali się w porę, a zatem jeśli on, Suttree, natknie się w tym ponurym lesie na samego siebie, nie zostanie wcale uleczony i nie zazna pełni, lecz raczej zostanie skazany na bezmyślną, zaślinioną błąkaninę na trzęsących się nogach w poszukiwaniu

swojego upiornego klona od jednego do drugiego słońca, po wsze czasy, w całym tym wrogim królestwie.

Tego wieczoru nawet nie rozpalił ogniska. Kucnął niczym małpa w ciemności pod okapem łupkowego urwiska i obserwował błyskawice.

Niżej w lesie lśniły słabo pnie brzóz, a żołnierze kawalerii duchów starli się na oburzonym niebie, stare widmowe upiory, które wróciły zza grobu, uzbrojone w zardzewiałe narzędzia wojny, paralaksowo zderzając się ze sobą jak postacie wyrwane z masowego grobu, postawione na baczność, przepasane i ze straszną doniosłością rzucone w dźwięczącą noc i w dół, na odleglejsze zbocza między mrokiem a mającymi dopiero nadejść ciemnościami. W świetle błyskawic i dymie wizja wyraźniejsza niż porowata kość, ażurowy talerz albo pokryty pancerzem zgnilizny naramiennik.

Burza przesunęła się na północ. Suttree słyszał śmiech i odgłosy jak z wesołego miasteczka. Z jasnością umysłu szaleńca ujrzał

nietrwałość własnego ciała. Z ganeczków nawoływały wieczorami słabo wywianowane kokoty, w krzykliwych łachmanach wyglądały jak wystrojone lalki ze sprośnego snu. A dróżkami w deszczu i błyskawicach podążała trupa przysadzistych birbantów, niosących w klatce na drągach, wspartych na ramionach, skrzydlatego, dwunożnego smoka i inną alchemiczną zwierzynę łowną, chimery i złe duchy, nadziane na oszczepy używane do polowania na dziki, dalej podążała farmakopea piekielnych przypraw, zdobiących drewniany kozioł, niesiony przez trolle ze starszym gnomem jako chorążym, z którego gęby wydobywały się wrzaskliwe, okropne przekleństwa, za nimi zaś szedł grajek, grający na fujarce z kości siewki i niosący na biodrze szklaną flaszeczkę z jakąś dymiącą, lepką cieczą, która przelewała się wewnątrz jak rtęć. Wyżej, na sznurze, mezozaur, przypominający czworonożną, nadmuchaną helem belonę. Postrzępiona chorągiew, haftowana w wygasłe dzisiaj gwiazdy. Mieszkańcy leśnego półświatka, wystrojeni w błazeńską pstrokaciznę, obrzydliwy, siny płód, człapiący razem z nimi w buciorach z surowej skóry i w todze. Asystenci asystują.

Suttree przyglądał się przemarszowi tych psotnych rewelersów z krzywym półuśmiechem powątpiewania. Otoczyła go ciemność.

Błyskawica wróciła i usłyszał, jak trawa przyklęka na wietrze. Zagarnął

rękami liście i zesztywniałymi, niezdarnymi palcami zapalił zapałkę.

Liście zatrzeszczały na brzegach i małe, gorące iskierki, śpiewając, ruszyły z wiatrem. Spróbował raz jeszcze i poniechał tych wysiłków.

Owinął się w koc na wysokiej, zimnej ziemi i wiedział, że zmarznie, chociaż nie było mu zimno od dobrych kilku dni.

W takim stanie minął następnego ranka myśliwską ambonę do polowania na jelenie, na której siedział jakiś człowieczek w kombinezonie i z łukiem. Suttree nie zwrócił na niego większej uwagi niż na inne zwidy i chciał iść dalej, ale ten mężczyzna go zagadnął. Hej, powiedział.

Hej, odrzekł Suttree.

Myśliwy wycelował do Suttree'ego z łuku i przechylił głowę na bok. Coś ty za jeden?, spytał.

Suttree zaczął się śmiać. Zgiął się wpół ze śmiechu i pozwolił, żeby koc zsunął mu się z ramion.

Myśliwy sprawiał wrażenie zdenerwowanego jego reakcją. Cichaj, powiedział. Przestań.

Okej.

Mężczyzna splunął. Teraz to i tak zaś bez różnicy, powiedział.

Wszystko żeś przepłoszył.

Czy ty naprawdę istniejesz?, spytał Suttree.

Nie chciałżem ci robić krzywdy, powiedział łucznik, opuszczając broń. Przyjrzał się wędrowcowi. Nie żebym nie był dumny, żem jest uzbrojony, a

ty wyglądasz na wariata, co to lata na swobodzie po lesie.

Od dawna zaś tu wędrujesz?

Nie wiem.

Zgubiłżeś się?

Chyba wiem, co to za stan. Ale wątpię, czy potrafisz mi wskazać, jak z niego wyjść.

Zgubiłżeś się, jesteś stuknięty, albo jedno i drugie.

Święta prawda.

Nie doniósłbyś zaś na człeka, który kłusuje, coby zdobyć trochę jeleniego mięsa, nie?

Nie jadam przy królewskim stole, odparł Suttree.

Myśliwy splunął na bok i pokręcił głową, patrząc na Suttree'ego.

Masz nierówno pod sufitem, powiedział.

Ale przynajmniej istnieję, odpowiedział wędrowiec. Uniósł rąbek koca i wycelował go w myśliwego. Zgiń, przepadnij, powiedział.

Myśliwy cofnął się i znowu podniósł łuk.

Zgiń, przepadnij, mówię, powtórzył Suttree, potrząsając postrzępionym kocem.

Ach, ty głupi idioto, jak kto tu zara zginie, to zaś ty, ze strzałą w tej twojej chuderlawej dupie.

Suttree przetarł oczy. Czy ty naprawdę istniejesz?, spytał znowu.

Niech mnie szlag trafi, jeżeliś nie postradał piątej klepki. Skądżeś się w ogóle tu wziął, co?

Zza tej góry.

Co ty, jesteś jankesem czy jak?

Powiem ci, kim nie jestem.

Znaczy się?

Wytworem wyobraźni. Nie jestem wytworem wyobraźni.

Czym?

Wytworem wyobraźni. Pieprzonym wytworem wyobraźni.

Wybuchnął śpiewnym, dziwnym śmiechem. Myśliwy wbił wzrok w Suttree'ego.

Co ty tam masz?, spytał Suttree.

Najsampierw to krzynkę rozumu.

Czy to jest łuk?

Słyszałżem, że ludzie tak na to mówią.

Ile rogaczy z niego ustrzeliłeś?

Zabiłżem więcej zwierzyny, niżbyś dał radę udźwignąć.

Wypuść strzałę.

Po co?

Chcę zobaczyć. Wypuść strzałę.

Widzi mi się, że lepiej będę trzymał łuk naciągnięty i pod ręką.

Suttree wstał z kucków. Przed jego oczami przemykały blade plamy wątrobowe. Las pomroczniał.

Pada śnieg, powiedział.

Na jego brudnym mankiecie roztopiła się delikatna hostia. Otulił

się szczelniej kocem. Spojrzał na siebie, na strzępy worka, na wełnianą ikrę, w którą zmieniły się jego skarpety, na kiprowane, zielone spodnie, czarne od drzewnego popiołu, wypchane i obwisłe na kolanach. Miał

zarost długości cala i zmierzwione włosy pełne liści, a jego oczy, w które wpatrywał się myśliwy, były czarne, obłąkane i jakby parujące.

Jak mogę się stąd wydostać?, spytał.

A gdzie zaś idziesz?

Chcę zejść z gór.

No, jesteś jakie dziewięć mil od Cherokee.

W którą to stronę?

Prosto jak strzelił. Dwie mile i dojdziesz do drogi.

Dziękuję.

Zawsze latasz po tym lesie jak wariat?

Nie, odparł Suttree. To mój pierwszy raz.

Nie doszedł do drogi. Schodząc kamienistym żlebem przez zielone i niemal pozbawione światła korytarze, w których leżały kamienie i powalone przez wiatr drzewa, bezimienne pod opończami mchu, zobaczył, jak zarośniętą dolinką przejeżdżają dwie konne, blade ze zdeterminowania zjawy: pierwsza, druga, i zniknęły w ciemności lasu.

Potykając się, Suttree wyszedł na końską ścieżkę. Słaby zapach stajni.

Popękane, zielonkawe końskie łajno parowało na zimnie i humusowej ziemi. Szedł tą ścieżką dalej, dopóki nie zaczęła zakręcać z powrotem w

stronę gór, i wtedy znów wszedł do lasu.

Tego wieczoru już z niego nie wyszedł. Śnieg nie przestał padać, a Suttree siedział w pierzastej ciemności i słyszał, jak płatki sypią się wśród drzew z leciuteńkim szeptem. Zdrzemnął się, obudził i znowu przysnął. Zastanawiał się, czy nie zamarznie, siedząc pod balsamiczną jodłą, i patrzył, jak śnieg podchodzi mu pod palce. Aromatyczny zapach gałęzi i igieł, w których siedział, przeniósł go pamięcią do dawnych, smutnych świąt Bożego Narodzenia. Śnił smutne sny i obudził się rozgoryczony i ponury. Śnieg przestał padać, a drzewa sterczały sztywno na tle bledszego nieba. O pierwszym brzasku wstał i poszedł

dalej.

Przez cały ten dzień na wpół obłąkany wyrzutek brnął niepewnie przez śnieg ze ściśniętym i jakże mu drogim sercem. Po południu natknął się na płynący do morza potok, skręcił i zaczął iść w dół jego biegu, puszczając z ust kłęby pary. Czuł zapach wody. Szedł w śniegu tam, gdzie lodowe zęby zwieszały się z gałęzi ponad swoimi odbiciami w szarozielonych rozlewiskach niczym szczęki jakichś niebezpiecznych jurajskich mięsożerców. Było już późno, kiedy pozostawił śnieg za sobą i ruszył przez szeroką równinę, na której ziemia pod nogami wędrowca zrobiła się mokra i gąbczasta. W jego mroczniejszym sercu podziemne ja Suttree'ego garbiło się ciężko nad ampułkami z trutką na szczury, nad podręczną, rozsypującą się starą księgą czarnej magii, androleptyczne zemsty za zło tego świata ruszyły w drogę. Mamrotał do siebie na poły bezmyślnie, nienormalny podróżny do krainy cudowności.

Błąkał się po bagnistym lesie, pejzaż z trzcin i olch, gdzie wirowały szare opary. Znane kształty wśród mgieł pędziły go dalej, w tej smutnej dolinie pod bladym słońcem poczuł, że ogarnia go nieprawdopodobna trwoga, i zaczął biec. Na oślep przez orlice i wrzośce, na wydeptanym w nich szlaku pozostawiał za sobą postrzępione gwiazdki łachmanów. Wreszcie wylądował na polance i upadł na kolana, dysząc. Na wieczornym niebie zalegały dalekie, nieruchome chmury jak ikra wyniesiona w przybrzeżne przeciwprądy mórz naszej planety, a z paproci przed nim wzbił się biały bekas i rozwiał w oparach.

Zwinięta drobinka puchu zagnieździła się w tym zielonym świetle dla mojego dobra, bym nie postradał zmysłów. Nierealne, milczące ptaki bielały pomiędzy słońcem i moim chorym umysłem, niech mnie bóg prowadzi.

Obudził się przy drodze w pełnym świetle dnia. Przejechała ciężarówka. Wokół szumiało listowie. Dźwignął się z trudem. Koc leżał

w rowie. W umyśle Suttree'ego panowała zadziwiająca jasność.

Miasteczko, do którego dotarł, nazywało się Bryson City i leżało w Karolinie Północnej. Minął odrapany motel i ruszył po chodniku, owinięty w koc, rozglądając się po tandetnej, krzyczącej różnobarwności, wśród której się znalazł. W labiryncie miasteczka legenda najemników, brudne wystawy, szklana gruszka dystrybutora paliwa. Samochody zwalniały, mijając Suttree'ego. Wszedł do pierwszej kafejki, na jaką natrafił, i usiadł powoli w boksie. Ze lśniącego, czarnego, plastikowego blatu patrzyło na niego czyjeś niezłomne, brodate oblicze. Jakiś obcy Suttree pośród wydrapanych na stole imion, kolistych zacieków i plam po cudzych posiłkach.

Co podać?, spytała starsza, dystyngowana kobieta, łypiąc na niego chytrze.

Jadłospis. Nie mam jadłospisu.

Spojrzenie starszej facetki, wyostrzone przez dawne krzywdy do błysku między podejrzliwością i oburzeniem, prześlizgnęło się nad nim i sięgnęło ściany.

Jest tam.

Spojrzał. Napis kredą na tabliczce. Wiejski befsztyk, powiedział.

Tłuczone ziemniaki i fasolka. Chleb kukurydziany. I proszę mi przynieść kubek kawy.

Dostaje się trzy dodatki.

Spojrzał raz jeszcze. Poproszę o jabłka, powiedział.

Skończyła notować i podreptała w swoich białych butach na trójkątnych obcasach na zaplecze. Przez szparę w łukowatych drzwiach kuchennych zobaczył czarnoskórą rękę, szarpiącą brudne dżinsy na siedzeniu. Zegar w ciemnej, drewnianej obudowie nad drzwiami wskazywał drugą dwadzieścia. Suttree chwycił dzbanek z wodą, który kobieta zostawiła na stole, i zaczął pić. Zimny long drink z nutką chloru.

Zakręciło się mu w głowie. W sali wisiała mgiełka smażonego tłuszczu.

Wstał, wyszedł z boksu, podszedł do kontuaru, wziął gazetę i wrócił.

Spojrzał w prawy górny róg w poszukiwaniu daty, ale jej tam nie było.

Kto to słyszał o gazecie bez daty, odezwał się na głos, przewracając stronice. Tńtaj. Trzeci grudnia. To ile czasu minęło?

Wpatrywał się nic nie widzącym wzrokiem w pustą salę. Na desce nad kontuarem wisiał olbrzymi, poczerniały, wygięty w łuk pstrąg i z niczego nie zdawał sobie sprawy. Podobnie jak goła skórzana wiewiórka o wybałuszonych, szklistych oczach. Głuchy, drewniany klekot, który, jak sądził, wydobywał się z jakiejś od dawna podwiniętej części jego płata czołowego, znikające kolorowe obrazy i oddalający się orszak strachów zlały się w skurczonego Indianina, który przechodził przed oszkloną kafejką, i w monotonne tykanie zegarowego mechanizmu w drewnianej obudowie z jabłoni nad drzwiami. Suttree zajął się gazetą.

Wysypka niezrozumiałych wydarzeń. Nic z nich nie mógł pojąć.

Drzwi kuchni wychyliły się na zewnątrz i kobieta przyniosła mu kawę. Gruby, obwiedziony lamówką kubek z sepiowej zastawy. Na menisku atramentowego płynu kołysały się paciorki tłuszczu. Nalał dużo śmietanki z blaszanego dzbanuszka, wsypał cukier i zamieszał. Zapach go oszołomił, a kiedy pociągnął łyk, wydało się mu, że pije coś dziwnego. Skosztował jeszcze raz. Nad obrzeżem kubka wyrosła kelnerka. Odchylił się. Na stół opadł talerz z kukurydzianymi bułeczkami. Niewielki, podłużny półmisek z gęstym, zaprawionym mąką sosem, w którym spoczywał kawał wołowiny z odciśniętą kratką rusztu i warzywa. Suttree ledwie był w stanie podnieść widelec.

Posmarował bułeczkę masłem i ugryzł. Jego usta wypełniły miękkie, suche wióry. Próbował żuć. Powoli miesił tę masę zębami. Usiłował ją wypluć, ale nie mógł. Sięgnął ręką do ust, wygrzebywał z nich palcami gluty gęstej mazi i przyklejał z boku półmiska. Odkroił widelcem kawałek befsztyka i wsunął go między zęby. Jego oczy same się zamknęły. Nie czuł smaku. Miał wrażenie, że zamknął się mu przełyk.

Przeżuwał kawałek mięsa jak stary, bezzębny człowiek, z suchym mlaskaniem. Kelnerka chodziła po sali, napełniając solniczki, nie spuszczając Suttree'ego z oka. Zauważył, że go obserwuje znad komódki. Splunął na talerz.

Czy ze mną jest coś nie tak?, zapytał.

Odwróciła wzrok.

Co to za gówno?

Inni to jedzą, odpowiedziała.

Dźgał ziemniaki widelcem. Imago nie je, zwrócił się mrukliwie do talerza. Pierdolę. Wypuścił widelec z ręki i podniósł wzrok na kelnerkę.

Proszę to zabrać i przynieść mi zupę.

Będzie pan musiał zapłacić.

Suttree przyglądał się jej rozpalonymi od gorączki oczami.

Jak żeś pan nie chciał, nie trzeba było zamawiać, powiedziała.

Czy może mi pani, do cholery, podać zupę, jak prosiłem?

Odwróciła się i majestatycznym krokiem wyszła do kuchni.

Odsunął talerz i złożył głowę na stole.

Czyjaś ręka szarpnęła go pod łokieć. Suttree wyprostował się gwałtownie.

Co tu się dzieje?, zapytał mężczyzna w białym stroju kucharza.

Kelnerka krążyła z tyłu.

Jak to, co się dzieje?

Zbluzgałeś ją?

Nie.

To przeklęty kłamca. Właśnie że mnie zbluzgał.

Poprosiłem, żeby mi przyniosła trochę zupy.

Zbluzgał mnie, swój obiad i w ogóle wszystko.

Nie pozwalamy tu bluzgać ani wszczynać żadnych burd. Idziemy.

Odsunął się, żeby Suttree mógł wstać. Wstał. Razem ze swoim kocem. Trząsł się ze złości i rozgoryczenia.

On nie zapłacił, powiedziała kelnerka.

Suttree spojrzał na nią gniewnie.

Po prostu wyjdź, no już, powiedział mężczyzna. Nie chcę twoich pieniędzy.

Stał na ulicy. W jego głowie rozbrzmiewały odgłosy zamykanych drzwi niczym ogromne, przewracające się na korytarzu domina.

Naciągnął koc na ramiona i ruszył przed siebie. Murzyn, którego mijał, przyjrzał się mu i zawołał za nim. Suttree się odwrócił.

Zgarną cię za włóczęgostwo, powiedział Murzyn.

Suttree nie odpowiedział.

Tylko ci mówię. Rób, co chcesz.

I już go nie było. Cokolwiek beztroski, bez płaszcza na chłodzie.

Suttree przyglądał się wybladłemu z zimna słońcu koloru kości nad mroźnymi chmurami. Powlókł się dalej. Kolana wyginały się mu jak konikowi polnemu, to na boki, to w przód. Minął jakąś wystawę i cofnął

się. Na szkle widniały wypisane trzy pierwsze litery alfabetu, w sali w głębi ciągnął się długi kontuar, a za nim zastawione butelkami półki.

Wtoczył się przez drzwi, poprawiając po drodze koc. Dwaj mężczyźni za ladą patrzyli, jak wchodzi. Jeden z nich odwrócił się i znalazł sobie coś do roboty, a drugi, który opierał się na łokciach, podniósł się i przejął inicjatywę.

Nie mogę cię obsłużyć, powiedział.

Suttree miał wciąż otwarte usta. Zamknął je i otworzył raz jeszcze.

Spojrzał na butelki. Spojrzał na barmana.

Lepiej idź stąd, powiedział barman.

Gdzie jest dworzec autobusowy, spytał Suttree.

Pewnie tam, gdzieś go zostawił.

Suttree nagle zaczął płakać. Nie wiedział, że się rozpłacze, i zrobiło mu się wstyd. Barman spojrzał w bok. Suttree odwrócił się i wyszedł. Na ulicy zimny wiatr na twarzy przyniósł takie stare zimowe zmartwienia, że zapłakał jeszcze mocniej. Chodził po ubogich uliczkach w swoich łachmanach, wstrząsany konwulsyjnym szlochem, na wpół

oślepły z żalu, na który nie było nazwy ani rady.

Na dworcu autobusowym kupił bilet, wygładził zmięty banknot na kontuarze, z awersu patrzyła na niego poważna twarz oswobodziciela.

Za resztę kupił jakiś baton i usiadł samotnie na ławce w pustej poczekalni, owinięty w koc, gryzł maleńkie, mysie kęsy i czytał

oprawną w czarny skaj Księgę Mormona, którą znalazł na stojaku z broszurami. Udało się mu przełknąć ciastko, ale słowa księgi przerażająco rozpływały się na stronie i pomyślał, że w życiu nie czytał

dziwniejszej opowieści.

Wskazówki na łysym, białym cyferblacie nad kasą chodziły zrywami. Za dziesięć czwarta Suttree wstał i wyszedł z książką w dłoni, z ręką na piersi, otulony w koc niczym wędrowny świętokupiec.

Bagażowy bojaźliwie przyglądał się człapiącemu do wyjścia szaleńcowi dnia dzisiejszego.

Kierowca w lśniącym, niebieskim garniturze zmierzył Suttree'ego wzrokiem od stóp do głów.

Czy to autobus do Knoxville?, spytał Suttree.

Padła odpowiedź, że tak. Podał bilet kierowcy, a ten wyciągnął z kabury dziurkacz, skasował bilet i oddał go Suttree'emu, który wszedł

na schodki i do autobusu.

Wszystkie mijane twarze wyglądały przez okna, ale kiedy przechodził, odwracały się i wodziły za nim wzrokiem. Stadko starszych kobiet. Młody mężczyzna w wyprasowanym diagonalu. Doszedłszy na tył, Suttree odwrócił się gwałtownie i wszystkie twarze przylgnęły z powrotem do okien. Położył się na tylnym siedzeniu.

Kiedy się obudził, pędzili przez góry, a on chwiał się w przód i w tył na siedzeniu razem z autobusem. Usiadł. Koc spadł na podłogę, podniósł go więc i się owinął. W kabinie czuć było stęchły dym papierosowy, a szyby ociekały wilgocią. Dalej z przodu kilka małych punktówek oświetlało otwarte czasopisma. Za przednią szybą dwa czerwone tylne światła jakiegoś pojazdu odsunęły się, pojawiły ponownie i znowu przesunęły przed autobusem. Suttree zasnął na siedząco, kołysząc się w fotelu.

Kiedy dotarli do Knoxville, było po dziewiątej. Z trudem wysiadł

na uginających się nogach i wszedł po schodach na dworzec. Przyjrzał

się sobie w męskiej toalecie. Z lustra popatrywał na niego nieogolony, czarnobrody duch o oczach przypominających stare przewody kominowe. Ściągnął koc z ramion, zwinął go i wcisnął pod pachę.

Kurtkę miał całą w strzępach. Dotknął wystających kości policzkowych.

Zaczesał włosy do tyłu rękami. Kiedy spojrzał w dół na swoje buty, płytki podłogowe wydawały się falować niczym łuski jakiejś zimnej, olbrzymiej ryby. Zza uchylonych drzwi kabiny obserwowało go czyjeś oko.

Wyszedł na chwiejnych nogach. Ruszył bezszelestnie pod pustymi arkadami i wydawało się, że jego wędrówka ku światłom ulicy ciągnie się przez wiele długich mil.

W nocy w łóżku, wysoko w starym drewnianym domu na Grand nasłuchiwał przetaczanych lokomotyw na stacji rozrządowej, długiej, żelaznej kolizji złączek, biegnącej w ciemności pod ścianami magazynu, aż wreszcie rozświetlona latarniami noc rozbrzmiała echem ich stukotów niczym wielka kuźnia, w której o wschodzie słońca wykuwano broń na turniej olbrzymów, a w świetle przejeżdżających lokomotyw cienie drzew i słupy trakcyjne pędziły za zamkniętym oknem na tle łuszczących się ścian, w ciemność. Spał i spał. W domu przez cały dzień było pusto. Przyjdzie w południe i zrobi mu zupę i kanapkę, aż poczuje się jak dziecko w jakiejś zimowej chorobie. Powtórki snów, które śnił w górach, przychodziły i odchodziły, a drugiej nocy obudził się z niespokojnego snu i leżał samotny na świecie. Jakaś ciemna ręka wyciągnęła mu ducha z piersi i teraz w jej pustce krążył zimny wiatr.

Usiadł. Nawet społeczność umarłych rozpadła się w proch, kształty toczące się po skorupie ziemskiej przez bezimienny eter nie przypominały ludzi bardziej niż szczątki jakichkolwiek żyjących niegdyś istot. Suttree wyczuł wciskające się przez ściany przerażenie.

Porwało go coś, czego nigdy wcześniej nie zaznał, nagłe zrozumienie matematycznej pewności śmierci. Położył rękę na piersi i poczuł, jak wali mu serce. Kto każe mu to robić? Czyż człowiek spełniony nie może zostać

autorem swojej śmierci aktem woli? Zamknąć komory serca tak jak powieki?

Wstał, podszedł do okna i wyjrzał. Domy górowały nad stacją rozrządową ze swoistą skazaną na zagładę surowością, zamknięte w smutnym fryzie na tle szarego nieba połowy zimy. Ze wszystkich kominów unosił się kłębiasty, postrzępiony jęzor węglowego dymu. Za torami leżały magazyny rynku, a dalej bezkształtne labirynty nor McAnally wraz z ich pariasami i nieskończonym ubóstwem.

Obudził się w bledszej szarzyźnie południa, by spostrzec ślepego Richarda, idącego ku niemu po omacku od drzwi.

Bud?, powiedział niewidomy, stając na deskach pokoju o gołych ścianach jak błazen z objazdowego teatrzyku uzdrowicieli i rozglądając się w martwym powietrzu z przylepionym do ust szerokim uśmiechem.

Cześć, Richard.

Ślepiec usiadł na łóżku, zapalił papierosa i bawił się popiołem, muskając go czubkiem małego palca. No, odezwał się. Słyszałżem, żeś chory.

Nic mi nie jest.

Co żeś miał?

Suttree ułożył się wygodniej w uwalanej sadzą pościeli. Nie wiem, powiedział. Coś tam.

Pani Long dobrze się tobą zajęła?

O tak. To dobra kobieta.

Najlepsza, jaką ziemia nosiła. Spytaj się, kogo chcesz. Nie musisz mi zaś wierzyć na słowo.

Jak ci leci?

Chciałbym, coby w McAnally było pełno takich ludzi jak ona. Ja?

Nie bardzo mam się czym chwalić.

No.

Ślepiec jakby się rozglądał. Ciemne oczodoły, zaczopowane niebieskawym klajstrem, przypominającym spermę. Splótł swoje pożółkłe palce w geście niepokoju i pochylił się ku Suttree'emu. Nie masz gdzie trochę gorzałki, co?, spytał.

Nie, nie mam.

Nie sądziłżem, że masz.

Suttree przyglądał się mu. Od jak dawna jesteś ślepy, Richard?

Co?

Pytałem, od kiedy jesteś ślepy. Od urodzenia?

Ślepiec wyszczerzył zęby w bojaźliwym uśmiechu i podrapał się po brodzie. Och, odpowiedział. Nie. Nie pamiętam. Zapomniałżem.

Skąd masz to lajpo?

Dotknął bladawej, żółtej opuchlizny nad okiem. To robota Reda, odpowiedział.

Red ci to zrobił?

Taa. Przychodzi, wiesz. Przychodzi do domu. Wszystkie drzwi zostawia uchylone. Spieszyłżem się, inaczej nigdy zaś bym na nie nie wpadł. Znam go.

Jak tam w Huddle?

Mniej więcej tak samo, jak przede twoją chorobą.

Siedzieli w milczeniu na łóżku. Za wykuszowym oknem rozciągało się śmiercionośne, ołowiane niebo. Pomarszczone od upstrzonej plamkami

szyby. Zaczął padać drobny szary deszczyk.

No, powiedział Richard. Lepiej już pójdę.

Nie spiesz się.

Muszę wracać do domu.

Przyjdź jeszcze.

Wracaj do zdrowia, odparł ślepiec. Rób, co ci każe pani Long.

Będę jej słuchał.

Zszedł po schodach, trzymając się ściany. Suttree usłyszał

zamykające się drzwi. Kilka smutnych ptaków, siedzących na drutach, patrzyło, jak pada deszcz. Jeden miał krzywą łapkę. Z przegniłego kawałka rynny ściekała szara woda. Suttree leżał, a woda stopniowo bladła i padało, aż w końcu stała się całkowicie przejrzysta, a krople, zbierające się na jakby polakierowanych liściach starej magnolii na podwórku, wyglądały na jasne i czyste.

22

Późno w sobotę i przez całą niedzielę przychodzili pijacy, przysiadali na łóżku, rozmawiali z Suttree'em i przemycali mu whisky.

Nikt nie pytał, czy tym, na co jest chory, można się zarazić. Pani Long w przypominających kacze łapy butach weszła na podest i przenikliwym głosem zaczęła marudzić, zamroczone moczymordy trzymały się najeżonej tralkami balustrady w pół schodów, a pustawymi pokojami na piętrze butwiejącego domu zatrząsł ordynarny śmiech.

Zszedł na obiad, dobre, proste jedzenie, podawane wśród ruin połatanych i pozbijanych gwoździami mebli, przez długie lata niszczonych w napadach pijackiej złości. Jeszcze tydzień i wrócił na ulicę.

Pierwszego dnia w centrum zważył się na darmowej wadze przed Woodruff's. Spojrzał na twarz w szybce.

Poszedł do Miller's Annex i zawołał J-Bone'a.

Już na nogach, co? Wyrzucili cię z domu?

Nie. Wymknąłem się, kiedy twoja mama wróciła do pracy.

Jak się czujesz?

W porządku. Całkiem dobrze.

Gdzie potem będziesz?

Nie wiem. Idę do Comer's.

Myślisz, że czujesz się na tyle dobrze, żeby wypić piwo?

Może wyzdrowieję.

J-Bone uśmiechnął się szeroko. Kochany Suttree, powiedział. Jak zdrowy, to fajowy.

O której kończysz? O wpół do szóstej?

Taa.

To do zobaczenia o wpół do szóstej.

Okej, Bud.

Kiedy wszedł w drzwi Comer's, Dick mrugnął do niego i podniósł

rękę. Hej, Buddy, powiedział. Mam dla ciebie list.

Suttree oparł się o ladę.

Trochę żeś schudł, co?

Trochę.

Gdzie żeś bywał?

Siedziałem trochę w Północnej Karolinie.

Dick obracał list w ręku, spojrzał na niego i podał go Suttree'emu.

Leży tu ze dwa tygodnie, powiedział.

Suttree postukał listem o kontuar. Dzięki, Dick, odpowiedział.

Usiadł wśród kibiców pod ścianą, założył nogę na nogę, jak robią to starzy ludzie, i otworzył kopertę. Była opatrzona stemplem Knoxville, a znajdował się w niej list od jego matki i czek od wuja Bena, który niedawno umarł. Suttree spojrzał na czek. Opiewał na trzysta dolarów.

Postukał nim o dłoń, wstał, podszedł do baniaka z wodą, żeby się napić, I wrócił. List zwinął w trąbkę i wrzucił do spluwaczki.

Gdzieżeś bywał, Buddy, chłopie?, zawołał Harry the Horse.

Cześć, Harry, odparł Suttree.

Bezkształtny Harry stał w koszuli i fartuchu przy kasie. Bill Tilson zrobił kilka powolnych fint jak dżudoka i kantem dłoni dotknął ucha Harry'ego. Ach, powiedział Harry. To było w dechę.

W dechę, zawołał obłąkańczo Tilson, przechodząc między stolikami.

Suttree podniósł wzrok znad czeku na stojak pod ścianą i kije bilardowe, na stare fotografie graczy. Spokojna postać w wariatkowie klekotu bil, nawoływań i telefonów, na taśmie telegraficznej rozwijały się wiadomości sportowe. Pierdolę, powiedział Suttree. Wstał i podszedł

do frontowej lady.

Możesz mi zrealizować czek?

Jasne, Bud. Dick położył czek na brzegu kasy i przy akompaniamencie dzwonka otworzył szufladkę. Odczytał sumę na czeku. Poszczęściło ci się, powiedział. Jakie chcesz banknoty?

Dwie setki i reszta w dwudziestkach.

Schowawszy złożone pieniądze do kieszeni na piersi, Suttree zszedł po schodach z powrotem na ulicę.

Poszedł do Miller's, kupił bieliznę i skarpetki, wyszedł przez Annex i ruszył na drugą stronę placu targowego. Stary Lippner trzymający się pod boki w swojej rzeźni. Przy drzwiach spał na stojąco ślejiy Walter ze swoją gitarą akustyczną i Suttree dotknął jego rękawa.

Powieki niewidomego otworzyły się i podniosły. Suttree wcisnął mu zwinięty banknot w dłoń.

Jesteś jedynym człowiekiem, jakiego znam, który potrafi spać na stojąco.

Objawił się garnitur wielkich zębów i silna, czarnoskóra dłoń ścisnęła go za rękę. Cześć, panie rybaku. Ee tam, mylisz się. Czarni nauczyli tego muły.

Myślisz, że i ja mógłbym się tego nauczyć?

Może, jakby ci nigdzie nie pozwalali siednąć.

Suttree uśmiechnął się. Do zobaczenia.

Ślepiec schował banknot do kieszeni. Mam nadzieję, że wyłowisz wszystkie ryby z całej rzeki, powiedział.

Suttree przeszedł na drugą stronę ulicy, do Watsońs. Tam w suterenie znalazł swój rozmiar na wieszaku z odzieżą sportową, wybrał

pastelową marynarkę z wielbłądziej wełny i przymierzył ją. Słabe smużki brudu wzdłuż szwów na ramionach, tam gdzie marynarkę podtrzymywał wieszak. Suttree przejrzał się w lustrze. Wyjął z kieszeni grzebień i przeczesał włosy.

Znalazł czarne moherowe spodnie, które miały niewielkie, trójkątne rozdarcie przy tylnej kieszeni. Pod marynarką nie było go widać. Spodnie i marynarka kosztowały w sumie trzynaście dolarów i dziewięćdziesiąt centów, zapłacił, poszedł na górę i kupił żółtą gabardynową koszulę z ręcznie wszytym kołnierzykiem i kieszeniami.

Za szybą witryny nad Market Street stał stary krawiec i wyglądał

na ulicę przez pokryte literami szkło, na wystawie rozwinięte zakurzone tkaniny mierzone na łokcie i sztuki zapewniały wygodne miejsce na spoczynek martwym muchom i karaluchom. Suttree wszedł po ciemnych, przegniłych drewnianych schodach i z rozmachem wkroczył

do środka, niosąc paczkę.

Całkiem ładne spodnie, odezwał się starzec, mierząc ich długość w kroku sfatygowanym żółtym centymetrem. Złapał spodnie w pasie i pociągnął. Objął Suttree'ego ramionami w biodrach i połączył oba końce miarki na wysokości jego pępka. Krawiec ledwo sięgał

Suttree’emu do ramienia.

Trzeba będzie je też zebrać trochę na siedzeniu.

Myślę, że będą dobre, panie Brannam. Straciłem trochę na wadze.

Starzec pociągnął za siedzenie nowych spodni Suttree’ego i zrobił

wątpiącą minę. Będziesz w nich nosił swoje drugie śniadanie?, spytał.

Suttree uśmiechnął się. To naprawdę mój rozmiar, odpowiedział.

Niedługo znowu przytyję.

A ile?

Jakieś dwadzieścia funtów.

Krawiec ponownie pociągnął za spodnie w pasie i pokręcił głową.

Są w porządku. Zróbmy tylko mankiety.

Jak nie utyjesz, to przynieś je drugi raz, dobra?

Dobrze. Hi z tyłu jest jeszcze takie małe rozdarcie.

Widzę, odpowiedział krawiec, zaznaczając kredą miejsce rozdarcia.

Suttree czekał na drewnianym, składanym krześle, podczas gdy spodnie zostały uzupełnione o mankiety, zapłacił staremu, podziękował

mu i zszedł na ulicę.

W Thom McAn kupił parę butów w kolorze krwi, zapinanych z boku na ekspresy. Z paczkami w rękach wszedł na górę do Comer’s, rozebrał się na zapleczu, umył i włożył nowe ubranie. Stare zawinął w papier i zostawił je przy ladzie Studowi. Stud wziął paczkę, obejrzał się za nim i gwizdnął, a Jake ujął Suttree’ego za ramię, odwrócił go ku sobie, powąchał jego policzek i usiłował go pocałować.

Spadaj, ośle, powiedział Suttree.

Podszedł Ulysses, żeby mu się przyjrzeć z typowym dla niego uśmiechem milczącego cynika. No, powiedział. Wyglądasz całkiem zamożnie, Bud. Ścisnął rękaw jego nowej marynarki między kciukiem a palcem wskazującym. Uś, powiedział. Gites cymes.

Suttree przeszedł na drugą stronę Gay Street do Farraguta i na dół, do fryzjera. Minął idącego na górę Tarzana Quinna noszącego na twarzy ślady niedawnego pobicia i wymachującego pałką policyjną, którą trzymał w swoim wielkim łapsku.

Leciwy Murzyn odebrał marynarkę od Suttree'ego, który usiadł na fotelu.

Tak, psze pana, powiedział fryzjer, otulając go szeleszczącym fartuchem.

Golenie, strzyżenie, glansowanie butów... Robicie manicure?

Nie, odparł fryzjer. Nie mamy manikiurzystki.

Dobrze. Golenie, strzyżenie, glansowanie. I niech pan nie szczędzi pachnidła.

Fryzjer przyniósł parujący ręcznik, owinął nim twarz Suttree'ego i przechylił go w tył wraz z oparciem fotela.

Suttree leżał w dzikiej euforii, skrzyżowawszy w kostkach nogi w nowych butach, swobodnie opierając je na niklowanej kratce podnóżka.

W rozmarzeniu słuchał skrzypienia brzytwy o skórzany pas do ostrzenia.

Mało brakowało, żeby zasnął w fotelu, kiedy fryzjer naciągał mu skórę na twarzy, a brzytwa skrawała płaty gorącej, lawendowej piany.

Suttree'ego przenikał spokój. Fryzjer podniósł oparcie wyżej i zaczął go strzyc nożyczkami. Murzyn przysiadł u jego stóp z drewnianym pudłem, pełnym różnych past, i zajął się butami. Drugi fryzjer czytał gazetę. Nikt nic nie mówił. Ciemne loki Suttree'ego opadały bezgłośnie na kafelki.

Delikatny fryzjer. Odpłynął.

Fryzjer posypał mu szyję i kark z tyłu talkiem, ściągnął z rozmachem fartuch i cofnął się. Suttree otworzył oczy. Podniósł

najpierw jedną, potem drugą nogę i popatrzył na swoje buty. Zszedł z fotela i przejrzał się w lustrze.

Stary Murzyn podał Suttree'emu marynarkę, kiedy ten płacił, po czym pomógł mu ją włożyć i specjalną miotełką oczyścił ramiona klienta. Suttree upuścił na jego dłoń półdolarówkę, wtedy starzec jakby się ukłonił i powiedział dziękuję panu, a fryzjer rzucił: zapraszamy ponownie.

Na ulicy poczuł chłodniejszy wiatr na wygolonym karku. Na rogu stał Bobbyjohn z Bucketem, Hogheadem i dwoma chłopakami, których nie znał. Rzucili się na niego z wielką radością. Bobbyjohn zaproponował mu dwa dolary za marynarkę, wymachując banknotami.

Gdzie masz laskę?, spytał Hoghead. Nie możesz chodzić taki elegancki i nie mieć laski, coby się opędzać od bab.

Kochany Suttree musiał gdzie nałapać całą kupę ryb.

Zjadł z J-Bonem obiad w Regas. Bobby uśmiechnęła się, kiedy przyniosła im jadłospis.

Na co stawiasz, Bud?

Chyba postawię na duży filet wołowy.

Ja pewnie na kotlet cielęcy.

Do diabła, weź stek.

Kotlet jest smaczny, Bud.

Weź największy stek, jakiego mają, kurwa.

Steki wjechały na żelaznych półmiskach, skwiercząc we własnym sosie, a z nimi parujące, pieczone ziemniaki z dziurkami, w których rozpuszczało się masło, do tego śmietana ze szczypiorkiem, gorące bułeczki i kawa. Suttree wrzucił sobie kawałek befsztyku do ust, rozparł

się na krześle i przymknął oczy, jedząc.

Dobre, co nie, Bud?

J-Bone zamoczył bułeczkę na swoim półmisku, podniósł ją, ociekającą ciemnym sosem, i wpakował do gęby. Bożęciu, powiedział.

Dokąd dzisiaj idziemy?

Wszystko mi jedno. Co powiesz na Carnival Club?

Dzisiaj czwartek?

No pewnie, powiedział J-Bone. Będzie się tam roiło od ślicznych młodych piczek.

Jestem na tak, odpowiedział Suttree.

Obudził się w Woodlawn wśród menhirów umarłych. Podniósł się na łokciu i spojrzał na uporządkowany krajobraz wypolerowanych nagrobków, bladą zimową trawę i czarne drzewa. Strzepnął paprochy z rękawa. Z jego nowych butów sączyła się na białą skarpetkę plama koloru wołowej krwi. Dźwignął się z trudem na nogi, otrzepując ubranie. Spodnie na kolanach miał oblepione wielkimi płatami zaschniętego błota, był przemoczony i zmarznięty. Nagle wcisnął obie pięści do kieszeni. Przewrócił oczami, z trudem dokonując rekonstrukcji mglistych wydarzeń minionej nocy. Niewyraźne wspomnienia.

Rozczulony szaleniec potykający się pośród nagrobków w poszukiwaniu dawno zmarłego przyjaciela, który gdzieś tu spoczywa. Z kieszonki na zegarek wyciągnął niewielki, mokry papierek. Był to jeden ze studolarowych banknotów, który udało mu się jakoś uratować. Suttree

ruszył po pokrytej pajęczyną szronu trawie cmentarza w stronę ogrodzenia i drogi.

Słońce nie stało na tyle wysoko, żeby nie mógł się według niego kierować, poszedł więc, jak mu się wydawało, w stronę miasta. W

błękitnym smrodzie dieslowskich spalin przejechał jakiś autobus, pełno twarzy w oknach. Zaczesał włosy do góry i wykrzywił usta, patrząc na podróżnych. Pożegnał ich obraźliwym gestem, który wykonał w powietrzu wychudzoną ręką.

Pół mili dalej był przydrożny sklep. Suttree podszedł do szafki z napojami, wyciągnął pomarańczową butelkę, otworzył ją i zaczął pić.

Sklepikarka przyglądała się mu spod pomarszczonych powiek.

Nie jestem zbiegłym kretynem, powiedział.

Co?

Pytałem, czy ma pani aspirynę.

Odwróciła się i wzięła małe, blaszane pudełko aspiryny z półki za ladą. Suttree otworzył je, wysypał zawartość na rękę, wrzucił ją sobie do ust niczym orzeszki ziemne i spłukał haustem napoju.

Ile się należy?

Piętnaście centów, odparła. Stare, nerwowe oczy.

Do spodni przylepiła się mu cmentarna trawa. Wyciągnął z kieszeni studolarowy banknot i rozprostował go na ladzie. Spojrzała na niego, a potem na Suttree'ego. Powiedziała: Nie mogę tego rozmienić.

Nie mam nic innego.

No ale ja nie będę miała wydać.

No, to będę pani wisiał piętnaście centów.

Wziął banknot i schował go z powrotem do kieszeni.

Musisz pan zapłacić, odpowiedziała. Ja pana nie znam.

Wypiszę pani czek.

Po prostu stała bez ruchu.

Macie kasę czekową?

Nie mam zaś żadnych czeków.

A papierową torebkę?

Znaczy co?

Tytkę.

A jaką dużą żeś pan chciał? Kobieta szperała pod ladą.

Obojętne, odrzekł Suttree.

Wyprostowała się z torebką w ręku. Ta jest największa, jaką mam.

Może być. Ma pani coś do pisania?

Miała.

Suttree wypisał ogromny rewers, złożył podpis i odwrócił torebkę do góry nogami, żeby sklepowa mogła wszystko przeczytać.

Wyciągnęła z fartucha małe okulary bez oprawek i się pochyliła. Suttree odłożył pióro i wyszedł.

Trzymał się z dala od głównych dróg, wędrując wąziutkimi ścieżkami przez obozowiska włóczęgów wzdłuż torów kolejowych.

Kolejowy strażnik przyglądał się mu z wykuszowego okna wagonu mieszkalnego, w podniesionej ręce trzymał nadgryzioną kanapkę i powoli

poruszał szczękami. Suttree wszedł do miasta koło dworca kolei L&N i ruszył brukowaną ulicą pod hurtownią House Hasson i przez betonowy mostek o poręczach z zimnych i zapiaszczonych rur kanalizacyjnych. Daleko w dole, u stóp czworokątnych podpór wiaduktu kręciły się małe wiry. Wzdłuż betonowej ściany, porośniętej jasnozielonym futrem. Suttree wspinał się ku rozwodnionemu słońcu.

Przeszedł pod wiaduktem na Western Avenue i skierował się na Grand. Migotliwym truchtem biegł przed nim na krzywych nogach jakiś pies. Suttree zdjął marynarkę, potrząsnął nią i włożył z powrotem. Na tych starych ulicach w większości porządek joński. Popękane ze starości kolumny, gipsowe kapitele tak zapaćkane farbą, że aż bezkształtne.

Martwe podwórko, usiane odłamkami cegieł i poczerniałymi szczapami drewna. Chodniki z wyblakłego marmuru albo z ułożonych w jodełkę kostek brukowych. Pod numerem 1504 na każdej kostce napis Knoxville Brick Company, firma od dawna już nie istniejąca. Suttree przeszedł pod szarym drzewem magnolii, wbiegł po schodkach na ganek wysokiego, szarego domu i wszedł do środka.

Wieczorem wychylił się z ośmiokątnego wykuszu okiennego i wyjrzał na stacje przetokowe i magazyny niczym dziecko z ambony w ciemności pustego kościoła. Słyszał śpiew z leżącej dalej misji przy Grand Avenue, gdzie kolędowali rewelersi, być może jakimś perwersyjnym i tajemnym bóstwom za oknami, w których tkwiła dykta zamiast szyb.

Następnego wieczoru pojechał autobusem na Magnolia Avenue i stanął przed starym, ceglanym budynkiem szkoły, do której kiedyś chodził, spaczone szkło z czarnymi gwiazdkami pęknięć w powybijanych kamieniami szybach, wiatr siekący ze zgrzytliwym, przerywanym gwizdem i chrzęst zielska na ciemnym podwórku. Wszedł

do środka tylnymi drzwiami, tam gdzie kiedyś mieściła się stołówka.

Deski podłogowe skrzypiały mu pod nogami, na boki czmychały jakieś drobne zwierzątka. Położył rękę na słupku balustrady i wszedł po schodach na górę.

Przez stare klasy, stukot zakurzonych ławek. Na tablicach nabazgrane wulgaryzmy. Opuszczona szkoła dla rozpustników. Suttree siedział przez jakiś czas w swojej dawnej ławce, nim zauważył postać stojącą w drzwiach.

Ta stara sypialnia w starym domu, w którym nauczył się czegoś w rodzaju chrześcijańskich czarów, miała dwoje drzwi, Suttree wstał więc i wyszedł przez drugie z nich. Zszedł po frontowych schodach, zbliżył

się do kominka, podniósł jego żelazną maskę, klęcząc na jednym kolanie, sięgnął w głąb gardzieli przewodu kominowego i wyciągnął

stamtąd niewielką, uśmiechniętą maskotkę, mającą przynosić szczęście, wyrzeźbioną w jakimś miękkim drewnie i pokolorowaną dziecięcą kredką.

Kiedy mijał schody, na pierwszym podeście niczym posąg tkwił

ksiądz. Katatoniczny szaman, który nie odezwał się ani słowem. Suttree wrócił tą samą drogą, którą przyszedł, zmierzając przez trawnik ku ulicznym światłom. Kiedy się obejrzał, dostrzegł w wykuszowym oknie postać, przyglądającą mu się niczym papierowy duchowny na ambonie albo prorok zatopiony w szkle.

23

Wiosną jego trzeciego roku na rzece przyszły wielkie deszcze.

Padało przez całą drugą połowę marca aż do początku kwietnia, dlatego zarzucił tylko jedną linkę we wzbierającej wodzie, po której pływał

codziennie z zimnym obrzydzeniem, a drobny, szary deszcz moczył go mila za milą. W domku było zimno i wilgotno, ponurymi popołudniami podtrzymywał więc ogień w piecyku i siedział przy stole pod oknem przy zapalonej lampie, wyglądając na obrzmiałą rzekę, która spływała ze spustoszonych wyżyn, prześlizgując się obok z mlaszczącym pomrukiem i bulgotem.

Woda niosła śmieci i spławiane nią odpadki, butelki z wyblakłego od słońca szkła, w których eksplodowały kwietne korony o fiołkoworóżowych i złocistych deseniach, bursztynowe ze starości skórki z pomarańczy. Martwa locha, różowa i wzdęta, słoje, skrzynie i kawałki drewna, wygładzone przez wodę na homologiczne podobieństwo stwardniałych wnętrzności, i puste beczki po oleju, zamknięte w przypominających misy okach mazi, gdzie niespokojnie pomrugują widma.

Pewnego dnia martwe dziecko. Wzdęte, papkowate, zgniłe oczy w bulwiastej głowie i strzępki ciała, ciągnące się w wodzie niczym paski bibuły.

Wiosłując w deszczu pośród takich osobliwości, właściwie nie czuł się niczym więcej jak tylko jeszcze jedną rzeczą, wyciągniętą z ziemi i spłukiwaną dalej, wydrenowaną z miasta, którego zimnej, ziarnistej postaci za ścianą deszczu nie mógł już oczyścić żaden deszcz.

Suttree wśród odpadków jak pyłek na dnie zlewki, gdy przyjdzie lato, okaże się jedynie drobinką materii, oszołomioną i wysychającą w konserwującym mule, w terra damnata martwej alchemii miasta. Nawet ryby, które wyciągał tej wiosny z powodziowych wód, wyglądały na odurzone.

Mocno naparł na wiosła, żeby wrócić pod prąd. Minął mostowe podstopnice, gdzie małe, brzydkie zmarszczki wzburzonej wody załamywały się na betonie, a czoło mostu w kształcie łodzi otaczała sztywna, wirująca piana. Wzdłuż gliniastego zakola, gdzie rzeka szarpała i ciągnęła swoje skórzaste, brązowe wody.

W wyżłobionych kanalikach, gdzie rzeka cofała się albo wirowała, zalegały powierzchniowe rozbryzgi szumowin koloru kawy, twaróg, okrywający rozmaite uwięzione w nim i obracające się przedmioty, kawałki drewna, butelki, pływaki i białe brzuchy śniętych ryb, wszystko to kręciło się powoli w rzecznej kipieli, a rzeka rozwijała się, niepowstrzymana, ze stłumionym bulgotem, niosąc do morza swój ładunek iłu, ruchomego majątku i umarłych.

Pewnego ranka, kiedy stał na swoim tarasie w półmroku wczesnego świtu i przyglądał się rzece, zauważył przepływającą pustą łódź. Potem z żółtej mgły wyłonił się majaczący w oddali łaciaty domek, skonstruowany ze starych desek, papy i blaszanych reklam tabaki, połączonych chaotycznie bez ładu i składu na wraku barki, pozbawionej stępki i obracającej się niczym pijany niedźwiedź, sunęła w dół rzeki, gdzie grzmotnęła o molo, przechyliła się, zatrzymała i dalej zaczęła dryfować boczkiem, jakby po omacku, odsłaniając drugą ścianę chatki, wzdłuż której niczym zadziwione gipsowe kariatydy lizanego przez rzekę fryzu zwieszały się cztery kobiety i dwaj mężczyźni, bladzi, zesztywniali i bezśmiertni, zawirowali pod mostem, oddalając się powoli, i zniknęli we mgle.

Suttree bez zdziwienia obserwował tranzyt owej mglistej zjawy.

Dwa dni później, kiedy popłynął w dół rzeki, zobaczył tę samą barkę pod wierzbami na południowym brzegu koło żwirowni. Na sznurze do bielizny wisiało pranie, a poniżej miejsca, gdzie cumowała barka, kołysała się na linie niewielka łódź. Do ściany przybito na płask parę szopich skór, wypłowiałych na jasny, kremowy kolor. Ktoś mógłby pomyśleć, że są na sprzedaż, ale były zeschnięte, prawie bezwłose i sprawiały wrażenie zapomnianych.

Powiosłował obok, a z okna obserwowało go kilka szerokich twarzy. Gdy wracał po południu, na dachu domku stało krzesło, spał na nim jakiś

mężczyzna. Pranie zdjęto, a z wygiętej w kształt litery L rury od pieca, wystawionej na zewnątrz, wydobywał się dym. Łódź zniknęła.

Suttree zauważył ją, kiedy przepływał pod mostem. Wiosłował w niej jakiś szczupły, młody chłopak. Suttree puścił jedno wiosło i podniósł rękę na powitanie. Chłopak skinął mu głową, jedno oko sine, zamknięte opuchlizną, i popłynął dalej.

Rankiem Suttree wcześnie wybrał się na rzekę i kiedy mijał domek na barce, zauważył młodą dziewczynę, która wyszła na niewielką werandę, odwróciła się i przykucnęła, podkasując spódnicę zgiętymi w łokciach rękami. Zza mgły oczom Suttree'ego ukazała się koścista, spiczasta pupa. Dziewczyna hałaśliwie wysikała się do rzeki, wstała i wróciła do środka.

Przed południem wracał ze złowionymi rybami. Zbliżył się do brzegu i opłynął barkę. Z góry przyglądała się mu jakaś kobieta, najwyraźniej ciężarny kocmołuch o kamiennej twarzy, wspierający się brzuchem o brzeg balii i mierzący go wzrokiem zza pozlepianych w strąki włosów.

Witam, powiedział.

Skinęła głową.

Widziałem przedwczoraj rano, jak żeście tu spłynęli. Mieszkam po drugiej stronie rzeki. Wsunął wiosło pod pachę i wskazał kierunek.

Aha, odpowiedziała.

Suttree uśmiechnął się. Powiedział: Pomyślałem sobie, że skoro jesteśmy jakby sąsiadami, powinienem się zatrzymać i tak czy inaczej powiedzieć dzień dobry.

Sięgnęła do balii i wyciągnęła coś z dna. Mój śpi, odparła.

Znaczy małżonek?

No tak.

Zanurzył wiosła, żeby go nie zniósł prąd. Masz sporą rodzinę, co?

Zajrzała do balii. Z martwej studni niebieskich mydlin na pewno spogląda na nią jej własna twarz, rozkołysana i pełzająca w najrozmaitszych kształtach. Mamy czwórkę, powiedziała. Trzy dziewczyny. Urwała, wcisnęła nos w ramię i sapnęła. I chłopaka.

Zdaje się, że wczoraj go widziałem.

To nie ty żeś mu podbił oko, co?

Nie, proszę pani.

Bo ktoś mu podbił oko, odpowiedziała. Zmiękczonym od mydła wałkiem wcisnęła głębiej szarobure łachy, które dusiły się w garze.

Wyciągnęła coś z niego, wykręciła i położyła na ławce.

Skąd jesteście?

Mieszkalimy wyżej, koło Mascot.

Rozumiem, powiedział.

Spojrzała na niego z góry i wróciła do prania. Po chwili odezwała się: Wygląda na to, że masz jakie ryby.

Tak, proszę pani. Lubicie zębacze?

Jadamy je czasem.

Jeżeli chcecie jednego na kolację, mam ich tutaj sporo.

Zajrzała na dno łodzi. Co musiałbyś za to dostać?, *zapytała.*

Zaczął gmerać wśród ryb. Po prostu dam pani jedną, powiedział.

No. Zaś wolałabym ci normalnie zapłacić.

Proszę. Wstał i podał kobiecie śliskiego, czterofuntowego zębacza.

Wzięła go fachowo za skrzela i obejrzała. Ile się należy?, zapytała.

Nic.

No, pozwólże mi zapłacić.

Nic tam za niego nie chcę.

No, powiedziała.

Mam tu zaraz niedaleko linkę połowową.

No.

I dużo ryb.

No, to lepiej ją zaniosę tutaj.

Suttree usiadł i pociągnął wiosłami, patrząc, jak kobieta wchodzi z zębaczem do domku. Wyszła z powrotem, zanim zdążył odpłynąć dalej niż kilka jardów w górę rzeki. Myślał, że wraca do prania, ale zawołała do niego nad wodą. Hej.

Tak, proszę pani.

Już się obudził, jak byś się chciał z nim widzieć.

No, nie chcę zawracać mu głowy.

Kazał ci podziękować za zębacza.

Nie ma za co. Powiedz, że zajrzę za dzień albo dwa.

No, odparła. Wpadnij, jak będziesz mógł.

Następnego dnia na barce nikogo nie było, ale dwa dni później mężczyzna znowu siedział na swoim krześle i czytał gazetę. Suttree pozdrowił go, podpływając do barki, a nieznajomy złożył gazetę i spojrzał na niego z góry zza przymrużonych powiek.

Hej, powiedział.

Jak leci?

Da się wytrzymać. To ty żeś nam dał przedwczoraj tego zębacza?

Po prostu miałem więcej, niż mi było trzeba.

No to chciałżem ci zaś podziękować. Moja stara usmażyła go, zjedlimy rybę na kolację i bardzo nam smakowała.

To dobrze, odrzekł Suttree.

Mężczyzna odwrócił głowę i przemówił do rury wentylacyjnej, wznoszącej się na dachu. Hej, stara, powiedział.

Odpowiedziało mu stłumione warknięcie.

Masz jaką gotową kawę?

Zaczął się odwracać do Suttree'ego, a na jego twarzy pojawiła się i zgasła nieznaczna irytacja. Pochylił się, żeby znów przemówić do rury.

To zaparz, powiedział. Potem spojrzał w dół, gdzie Suttree siedział w łodzi. Wejdźże na górę i napij się z nami kawy, powiedział.

Nie chcę robić kłopotu.

Żaden kłopot. Ma trochę kawy pod ręką. Po prostu przywiąż łódź

tutaj. Uważaj na linki wędkarskie. Zarzuciłem parę. Przybij tam niżej i już. TUtaj, rzućże linę.

Zszedł z dachu i przemierzał pokład, mówiąc i wymachując złożoną gazetą. Suttree przybił do barki i rzucił cumę.

Proszę, zachodź, powiedział mężczyzna, kiedy Suttree wdrapał się na pokład. Gospodarz odsunął zasłonę ze splecionego szpagatu i kordialnie wprowadził gościa do środka.

Gdy Suttree wszedł, trzy dziewczyny rzuciły się pod przeciwległą ścianę pokoju, pobekując niczym kozy, po czym opadły sztucznie uśmiechniętą gromadką na stojące tam łóżko. Suttree skinął głową kobiecie, która cicho powiedziała witaj i wskazała krzesło. Rozejrzał się.

Pod ścianą stały łóżka, a na środku stół, przykryty spłowiałą ceratą, na której spoczywały różne białe naczynia, zdobione resztkami śniadania.

Siednij, powiedział mężczyzna. Weźże krzesło. Jejku, poczekaj tylko, aż usłyszysz, co to nam się zdarzyło.

Suttree był to sobie w stanie wyobrazić. Zerknął w stronę łóżka, zobaczył błysk młodych ud i nieświeże majtki. Wszystkie trzy dziewczyny przeglądały jakieś czasopismo i ukradkiem popatrywały zza niego na gościa. Usiadł w jednym z niskich, wiklinowych krzeseł, przechylił się na nim do tyłu w stronę pryczy i uśmiechnął do mężczyzny.

Znasz Dorena Lockharta?

Nie.

No, to taki jeden, co żem go w niedzielę po południu ograł w remika na czterdzieści dolarów. Tam wyżej gadają, że to kawał

hazardzisty. Wiedziałem, że jest świetny. Wsypałżem mu równo.

Próbował skołować trochę pieniędzy, coby wrócić do gry, ale zanim mu się to udało, ja i Gene Edmonds wygraliśmy całą forsę i już nas nie było.

Bo stary Gene grał z nami. Gdzie ta kawa, kobieto?

Nie mogę jej zaś parzyć szybciej, niż się parzy.

W każdym bądź razie wypilimy trochę whisky i tak dalej, i poszłem do łóżka. O której żem się położył?

Odczekał chwilę i ciągnął dalej.

Koło dziesiątej. Oczywiście zawsze żem dobrze sypiał.

Rozległ się dziewczęcy śmiech, po czym zgasł.

A jakem się obudził, zaczynało świtać i mijalimy Island Home.

Wyglądłem przez okno, patrzę, że drzewa suną mimo, i powiedziałem: Panie Boże, przecie my dryfujemy. I tak też było, sąsiedzie. Wstałem i wyszłem na zewnątrz i jakoś wtenczas na wyspie wystartował samolot, a ja żem spojrzał w dół rzeki i zobaczył, że Knoxville coraz bliżej, i jużem wiedział, gdzie jesteśmy. To zaś ten skurwysyn zakradł się po nocy i przeciął nam cumy.

Mężczyzna pochylił się naprzód z rękami na kolanach i spojrzał na Suttree'ego, mocno mrużąc oczy, jak gdyby chciał się przekonać, po czyjej gość jest stronie. I co ty na to?, spytał.

No, odrzekł Suttree.

Kobieta postawiła przed nim kubek kawy. Pijesz z mlekiem i cukrem?

Nie, proszę pani, taka będzie dobra.

Daj mu parę ciastek.

Macie jakiś sposób, żeby wrócić?, spytał Suttree.

A skąd, niech to cholera. Hol kosztuje, o ile w ogóle znajdzie się kogo, kto nas odholuje. Co myślisz o skurwielu, co robi coś takiego?

Suttree przyjrzał mu się znad brzegu kubka. Opuścił go i objął

obiema dłońmi. No, odparł. Pewnie powiedziałbym, że co najmniej nie umie przegrywać.

Bo i nie umie, masz rację jak cholera, odrzekł mężczyzna, rozpierając się na krześle.

Co zamierzasz zrobić?

Boże, nie wiem. Myślałżem, coby tu sobie poszukać jakiej roboty.

Nie wiesz, gdzie można by co znaleźć, co?

Nie wiem. Ale może coś znajdziesz. Jak pójdziesz tutaj, na Blount Avenue, jest tam przędzalnia wełny i fabryka nawozów. A zaraz tutaj żwirownia. Mógłbyś się popytać.

No, to bardzom ci wdzięczny. Mus mi tylko urządzić się na nowo w górze rzeki, coby z przyjściem lata zacząć małżowanie.

Kobieta postawiła na stole talerz kruchych ciasteczek.

Co zacząć?, spytał Suttree.

Mężczyzna spojrzał na niego. Obejrzał się na kobietę i w stronę dziewczyn na łóżku. Potem nachylił się z powrotem do Suttree'ego.

Małżowanie, powiedział.

Małżowanie?

Taa.

Suttree popatrzył na niego. Co to znaczy?, zapytał.

Mężczyzna znów rozsiadł się wygodnie i skrzyżował nogi na krześle. Połów małży, powiedział. Jak rzeka opada w połowie i pod koniec lata, wychodzim na łachy French Broad i rozbijamy tam sobie małżowy obóz. Mam wszystko. Łódź i w ogóle.

Co z nimi robicie?

Przedajemy muszle. Baby je czyszczą, a ja i chłopak łowimy.

A co się z nich robi?

Z tych muszli?

Tak.

Różne rzeczy. Głównie to guziki. Widzi mi się, że niektórzy je mielą na karmę dla kur.

Ile są warte?

Można dostać i ze czterdzieści dolców za tonę.

Czterdzieści dolarów za tonę?

Tak jest.

To chyba nie za wiele.

Mężczyzna uśmiechnął się. Te maluchy są cięższe, niż myślisz.

Poza tym można z nich wyciągnąć jeszcze więcej forsy.

Kobieta nalała mu kawy do pełna. Mężczyzna wydawał się tego nie zauważyć, siedział i czekał, aż żona cofnie łokieć i przestanie mu przeszkadzać. Kiedy to zrobiła, pochylił się naprzód. Małże to więcej niż ino muszle, kolego. Rozejrzał się chytrze wokół. Więcej.

Suttree został na obiedzie. Do tego czasu stary zdążył opowiedzieć mu o perłach, a nawet kilka pokazał. Z jakiejś tajemnej kieszeni wyciągnął mały mieszek, uszyty z worka mosznowego lisa szarego, i rozłożył perły na ceracie. Suttree obrócił jedną w ręku i podniósł ją pod światło.

Jakbymy mieli jeszcze jednego pomocnika, można by poławiać na dwie łodzie.

Da się coś na tym zarobić?

Stary odwrócił się z wesołą pogardą. Zarobić? Kurde, chłopie. No przecie...

Suttree wpatrywał się w perły. Chatkę wypełniała aromatyczna woń gotowanych potraw. Talerze postukiwały, a kobieta i najstarsza dziewczyna szeptały coś do siebie przy kuchence.

Jakbyś się chciał podzielić, gdybyś zaś był zainteresowany?, spytał

stary.

Suttree podniósł wzrok. Rozejrzał się po domku. Chodzi ci o udział w zyskach?, zapytał.

Nas jest sześć. Wszyscy robimy.

Pozwól jej nakryć do stołu, Reese, powiedziała kobieta.

Reese uniósł łokcie. Nie spuszczał oka z Suttree'ego. Wziąłbyś jedną piątą? I zaś nic z tego nie wydasz na utrzymanie.

Suttree zgarnął perły w garść, zwinął dłoń w trąbkę i wsypał je z powrotem do mieszka. Jego głos zabrzmiał jak z oddali. Mogę się zgodzić na jedną czwartą, powiedział.

Młoda, miękka pierś musnęła go w kark. Dziewczyna pochyliła się i zaczęła zdejmować z tacy starą, srebrną zbieraninę, jaką stanowiła ich zastawa.

Mężczyzna wziął mieszek, zważył go w dłoni i przyjrzał się Suttree'emu. To ciężka robota, powiedział.

Suttree skinął głową.

Stary uśmiechnął się szeroko. Dobrze się potem śpi.

Suttree zaczął zadawać jakieś pytanie, ale mężczyzna nagle uderzył ręką w stół. Wspólniku, powiedział. Zgoda.

Kiedy usiedli do obiadu, zrobiło się ciasno, Suttree rozejrzał się i nie mógł powstrzymać uśmiechu. Gdy zajmowali miejsca, wszedł

chłopak z opuchniętym okiem i bardzo ciekawie przyjrzał się Suttree'emu. Dwie młodsze dziewczyny nie wiedziały, gdzie mają podziać oczy. Ośmieliło to najstarszą, która wyprostowała się, odrzuciła włosy i podała Suttree'emu półmisek z sucharami. Była niezwykle dobrze zbudowana, o ciemnych oczach i włosach. Pan domu wstał, by zająć lepszą pozycję do zmagań z pieczenią wieprzową. Chłopak ładował sobie na talerz wielką

porcję fasoli. Suttree posmarował jednego suchara, który wyglądał, jakby mógł utrzymać się na wodzie, i patrzył, jak spod noża zsuwają się blade płaty wieprzowiny, mężczyzna obracał

pieczeń i w końcu chwycił ją w ręce, biały guz kości wysunął się ze swej oprawy z cmoknięciem i niczym wielka perła rozerwał dymiące mięso.

Stary nałożył widelcem tłuste kawałki pieczeni na te talerze, których mógł dosięgnąć, i poprosił kobietę, siedzącą u szczytu stołu, żeby mu podała jego talerz. Suttree polał wieprzowinę i suchary gęstym sosem i sięgnął po pieprz. Na stół wjechały fasolka i pękate, słodkie ziemniaki, a dookoła nalewano kawę. Suttree chwycił widelec w garść niczym prawdziwy wieśniak i zaczął pałaszować.

Nie krępuj się, zawołał starzec. Jedz zaś do syta.

Suttree skinął głową i pomachał widelcem.

Harrogate zauważył ich w niedzielę rano na Blount Avenue. Nosili stroje skrojone z jednej sztuki płótna, a stojąc w sześcioro szeregiem w kościelnej ławce, przypominali kolorowy pas tapety, w której wycięto charakterystyczne połączone za ręce laleczki, jakie często wycinają wariaci. Ludzie nie mogli oderwać od nich wzroku. Po skończonym nabożeństwie pastor nie zajął swojego stanowiska przy drzwiach, nie było więc nikogo, kto uścisnąłby ręce tych nowych, cudacznych parafian. Przed kościołem zebrało się paru chłopców, żeby ich wyśmiać, lecz okazali się nieprzygotowani na wyjście tej grupki, apatyczni. Tamci wyłonili się gęsiego, według wzrostu, najpierw najwyższy ojciec, sekstet izotropów w perkalowych strojach, przez rozsłonecznione drzwi i dalej na ulicę, rodzice uśmiechnięci, przez tłum i niżej drogą ku rzece, wciąż jedno za drugim i ze śmiertelnie poważnymi minami, pozostawiając za sobą oniemiałych i zdumionych wiernych.

Popłynął z wizytą. Wyłonił się zza domku na barce w swojej pospawanej łódce i śpiewnie zawołał do kobiety, siedzącej na ganku i łuskającej fasolę.

Witam!, zawołał.

Skoczyła niczym zraniona mysz i wstała, opierając się o reling z drugiej strony trapu, miała zamknięte oczy, a zapadła pierś zafalowała jej pod złachmanioną koszulą. Wydawał się tego nie widzieć, siedział z nieprzeniknionym uśmiechem pośrodku swojej łodzi dla samobójców, ozdobionej na dziobie napisem DROF i z ociekającym wodą wiosłem na kolanach. Naprawdę pikny dzionek, co nie?, spytał.

Wielki Boże, odparła. A jużem myślała, że mnie capła policja.

Nigdy więcej tak mi się nie podkradaj, słyszysz?

Tak, psze pani, odparł, jego twarz niczym kwiat w ciepłym słońcu.

Spojrzała na niego z góry. Siedział i tylko się uśmiechał. Zajęła miejsce na pudle, na którym siedziała, i wróciła do łuskania fasoli.

Mieszkam tam, po drugiej stronie rzeki, powiedział. Widziałżem was w kościele przy niedzieli.

Skinęła głową.

Tom pomyślał, że zajrzę się przywitać.

Spojrzała na niego zapadniętymi oczami.

No więc, powiedział, bawiąc się wiosłem. Więc witam.

Witam, powiedziała.

Gdzie dzisiaj reszta rodziny?

Poszli do miasta.

I zostawili panią samiuteńką, co?

Nie odpowiedziała.

Rozejrzał się i popatrzył na słońce. Powiedziałbym, że wygląda na to, że znowu będzie ciepło.

Być może go nie usłyszała.

A pani?, zapytał.

Spojrzała na niego z góry. Zarumieniona, cienkie włoski lepiły się jej do spoconej twarzy. Pewnikiem tak, odparła.

To najgorsza sprawa w tej tutaj łodzi. Rozpala się jak facet o dwóch fiu... Jak nie wiadomo co. A siedzi na wodzie, to niby powinna się chłodzić.

Tak, odpowiedziała.

Kiedyś mało żem z nią nie utonął.

Aha.

W ogóle nie chce pływać.

Zanurzył wiosło, by nie dać się znieść prądowi.

Jak pani myśli, kiedy wrócą?

Nie wiem.

Czy chłopiec chodzi do szkoły?

Czasami. Teraz to nie.

Ja normalnie nienawidzę szkoły. Co to za skóry?

Szopie. W każdym razie byli.

Harrogate pochylił się, splunął do rzeki i znów się wyprostował. A ile lat ma wasze chłopaczysko?

Spojrzała na niego. Spojrzała na wehikuł, w którym siedział.

Powiedziała: Nie dość, coby mógł pływać w czymś takim.

Co, w tym? Kurczę. Tego nie da się zatopić dynamitem.

Wyrzuciła z papieru za burtę fasolowe łuski. Harrogate przyglądał

się, jak odpływają.

Suttree to mój dobry znajomy. Znacie go, nie?

Nie.

Jadł z wami parę dni temu. Łowi na linki. Gadał, co was zna.

Skinęła głową, przechyliła fasolę w rondlu, wstała i otrzepała fałdy spódnicy.

To mój znajomy, powiedział Harrogate.

Schyliła się, wzięła rondel z obraną fasolą i odrzuciła włosy z twarzy.

Pływał w niej, powiedział Harrogate. W tej tu łódce. Znaczy się Suttree.

Szli po torach, mieszczuch obok Suttree'ego, dawał wielkie kroczyska na co drugi podkład, ręce miał wbite w boczne kieszenie i ściskał przez nie swoje chude pośladki. Patrzył w ziemię i kręcił głową.

Co im powiedzieć?

Co im powiedzieć?

Taa. Powiedzieć.

Do diabła, powiedz, co chcesz. To nieważne, one i tak nie słuchają.

Ale coś trza powiedzieć. Co się tam mówi?

Spróbuj bezpośredniego podejścia.

Co to takiego?

No, jak taki jeden mój znajomy. Podszedł do dziewczyny i powiedział: wiesz, coś bardzo chce mi się dzisiaj małej cipki.

Nie pierdzielisz? A co ona na to?

Powiedziała mnie też. Bo mam taką wielką jak twoja czapka.

O kurde, Sut. Daj spokój, co tam się mówi? Chłopie, jakie ona ma balony.

Owszem, ma. Nie wydaje ci się, że jest dla ciebie za stara?

Ma tyle lat co ja.

No.

Jak je namówić, coby się rozebrały. Na boga, to chciałbym wiedzieć.

Sam je rozbierasz.

Powaga? No, a co ona robi, jak ty to robisz? Rozumiesz, do diabła, wygląda w tym czasie przez okno albo co? W ogóle tego nie kumam, Sut. Cała ta sprawa wyprowadza mnie z nerw.

Zeszli z głównej drogi i ruszyli ścieżką, Suttree z szerokim uśmiechem. Powiedz jej, jakie ma balony, odezwał się.

Kurde, rzekł Harrogate. Mogłaby mnie wtedy tak huknąć, coby mi łeb urwało.

Przyszła połowa lata, zanim wrócili na rzekę. Opuścili swoją dziwacznie wyglądającą barkę w Knoxville i pojechali autobusem, dźwigając zwiniętą pościel i dobytek. Suttree pożegnał ich obietnicami, których od dawna żałował.

Tydzień później dostał hol do rozwidlenia rzeki i powiosłował w górę Rrench Broad. Po dziewięciu godzinach przy wiosłach przybił do brzegu, wylazł z kocem na brzeg i zasnął jak zabity. Miał powody wspominać starego Bildada, który wyżej na Clinch zalewał swoją łódź i sypiał w wodzie, chroniąc się w ten sposób przed owadami.

Obudziwszy się o mglistym świcie, poczuł się wyobcowany i splugawiony, obozował w dziczy, w brudnej łódeczce razem ze swoim zmęczeniem. Jak gdyby naznaczyło go miasto. Żeby żaden niesamowity demon nie zdradził mu ani jednej tajemnicy w tym lesie. Zjadł dwie z tych kanapek, które sobie zapakował, i wypił napój winogronowy, siedząc na brzegu i przyglądając się dzikiej kaczce, dryfującej po rzece niczym malowana bryła wabika, podwojona mitrą na cynowo-ołowianej gładziźnie.

Powiosłował w górę rzeki, aż dotarł do pomostu pod Boyd's Creek. Miał obrzękłe, szponiaste dłonie i ochotę ujrzeć swoją łódź na dnie. Poszedł do sklepu, wypił dwa zimne napoje i wziął trzeci, żeby go dłużej sączyć. Wracając na oślepiająco jasne słońce, zobaczył

termometr, wiszący przed sklepem na blaszanej reklamie syropu przeciwkaszlowego. Czerwona kreska za szkłem biegła z dołu do samej góry i próbowała sięgnąć jeszcze wyżej. Spojrzał na nią pełnymi nieszczęścia, przekrwionymi oczami, odwrócił głowę i splunął

winogronową plwociną na gotujący się świat. Nie drgnęła nawet mucha.

Było wczesne popołudnie, kiedy się na nich natknął. Minął

przypominający belę siana, śmierdzący wał muszli na południowym brzegu i brnął z trudem pod coraz bystrzejszy prąd, ciągnął łódź przez płycizny za przerzucony przez ramię sznur, szarpiąc się i opędzając od przybrzeżnych orlic, woda bardzo zimna i przezroczysta. Obozowali jak Cyganie pod łupkami urwiska, a wśród drzew wzbijał się dym. Łódź

przy brzegu wyposażona była w dziwny takielunek z elementów pionowych i poprzeczek oraz w belkę, na której wisiały linki i haczyki.

Chłopak siedział w kucki na pniaku i obserwował Suttree'ego. Kobiety gotowały pranie w wielkiej cynkowanej balii, a stary spał pod drzewem.

Kiedy kobieta zobaczyła Suttree'ego, przywiązującego łódź, zawołała Reese, Reese. Dwa suche, matowe ptasie odgłosy, które stary słyszał

przez całe życie. Nie ruszył się.

Suttree wyszedł na brzeg. Witam, powiedział.

Wszyscy skinęli głowami w odpowiedzi. Spowijały ich kłęby pary i wyglądali na osłabionych, jakby mieli zaraz zemdleć. Długie, białe, kozie wymiona niemłodej kobiety zwisały daleko nad balią, a obwisłe ciało na ramionach zakołysało się, gdy wykręcała dżinsy. Dziewczyna posłała mu coś w rodzaju defetystycznego uśmiechu.

Tatko, zawołała.

Reese pod drzewem niechętnie otworzył oko. Jest i mój wspólnik, odezwał się śpiewnie.

Hej, powiedział Suttree.

Chodź, siednij. Jejku, naprawdę mamy ich tu pełno. Patrzaj się tutaj.

Suttree spojrzał. Czarny jak żużel stos rozłupanych skorupiaków ciągnął się wzdłuż brzegu, wydzielając zielonkawe opary i lekko drżąc od much.

Itu.

Poławiacz małży podniósł mały woreczek z lisiej moszny i wysypał z niego na rękę pojedynczą perłę.

Suttree podniósł ją i obejrzał. Wyglądała nieco gruzłowato.

Ile jest warta?, spytał.

Trudno powiedzieć. Chodzą po różnych cenach. Wziął perłę, potoczył ją po swojej otwartej dłoni i wrzucił z powrotem do woreczka.

Nie da się powiedzieć, co jest warta.

Ile znalazłeś?

No. To zaś jedyna, co jest naprawdę dobra. Znalazłżem parę innych.

Suttree ponuro przyglądał się tamie muszli.

Ale teraz weźniemy się za nie naprawdę, mamy dwie łodzie i w ogóle.

Suttree odwrócił się i spojrzał na starego. Ten przykucnął i siedział

na piętach, bo o tyle się podniósł na jego powitanie. Uśmiechał się.

Optymistycznie. Uczepiona skóry jego głowy jasna, wzdęta wesz wisiała jak rozkołysana narośl.

Mus nam wyposażyć twoją łódź. Jużem znalazł parę tyczek i innych rzeczy.

Masz młotek i gwoździe?

Mam gwoździe, co to wychodzą łatwo z tych tam desek, jak je palę. Skombinujemy więcej. Pełno jest starych desek z gwoździami.

Suttree zacierał swoje nabrzmiałe dłonie. Jak chcesz powbijać te gwoździe, zapytał.

Normalnie, kamieniem.

Suttree spojrzał na rzekę. Wejdź sobie po prostu do łodzi, możesz się zaś wyciągnąć i pospać, a jak nie będzie żadnych niespodzianek, za jakiś czas obudzisz się w Knoxville, jakbyś nigdy stamtąd nie wyjeżdżał.

Chyba damy sobie radę, odezwał się Suttree.

No jasne, do cholery, odparł starzec.

Suttree odszedł do łodzi, żeby wziąć swoje koce i ekwipunek.

Zabrał dwie puszki piwa, które schował pod tylną ławką, uwiązał je na sznurku i opuścił za burtę.

Pod ścianą urwiska rodzina wzniosła prymitywną przybudówkę.

Stara blacha dachowa, różne deski i przydrożny znak ze sklejki, głoszący Uwaga! Roboty drogOwe. Wszystko wyglądało tak, jakby zostało wyrzucone na brzeg przez wysoką wodę. Pod nawisem skarpy leżały

cienkie, domowej roboty wsypy, kołdry i wojskowe pledy. Suttree nie sądził, by prędko miało padać, wyszedł więc ze swoimi rzeczami poza teren obozu, na niewielki pagórek, skąd roztaczał się widok na rzekę, gdzie rosły małe sosny i wiał odpędzający owady wiatr.

Przygotował sobie płaskie legowisko na ziemi, wymościł je igłami sosnowymi, rozłożył koc i usiadł. Położył się i wyciągnął. Rzeka zagadywała go zrzędliwym szmerem z wapiennych płycizn poniżej obozu. Na tle lekko zachmurzonego letniego firmamentu ciągle kłaniały się drzewa.

Reese obudził Suttree'ego, kopiąc go w nogę. Hej, powiedział.

Suttree przekręcił się na bok i osłonił oczy.

Co zaś robisz?

Spałem.

Stary przykucnął i przyglądał się rzece między drzewami.

Moglibymy oporządzić twoją łódź po południu, powiedział.

Suttree wstał z trudem. Zrobiło się mu gorąco, był spocony i wyczerpany.

Chcesz tu spać?

Jak nie będzie padać.

Możesz spać z nami w obozie.

Chrapię, odparł Suttree.

Stary wstał. Chrapiesz?, powiedział. Niech to piekło pochłonie, synu, toś ty nigdy nie słyszał chrapania. Wystawię moją starą do zawodów w chrapaniu przeciwko trzem mężczyznom albo jednemu łosiowi.

Suttree wyszedł na brzeg.

Obejrzał włók na łodzi starego i poszedł do lasu rozejrzeć się za odpowiednimi młodymi drzewkami, by zrobić z nich podpórki. Do prostowania gwoździ zapędził chłopaka, który wyklepywał je kamieniem. Resse gdzieś się zawieruszył.

Siedział na rufie swojej łodzi i przycinał paliki z wyciętych drzewek, obierał rozgałęzienia i zestrugiwał drzewce od spodu na płask, żeby można je było przybić gwoździami do burt. Białe, woskowe strużyny zwijały się gładko pod nożem, a Suttree przyglądał się, jak wirują i spływają z nurtem. Czubkiem noża wywiercił od spodu otworki, żeby drewno nie popękało od gwoździ. Stary wrócił brzegiem, przysiadł

na piętach, kiwając głową nad robotą Suttree'ego i zagadując go zachęcająco. Był zdania, że ludziom zawsze brakuje otuchy.

Wieczorem wyposażyli łódź w rozklekotaną, barbarzyńską imitację włóka poławiaczy małży. Suttree wniósł drzewce na pokład, wsunął je w rozgałęzienia podpórek, a Reese patrzył na słońce.

Chcesz zrobić dzisiaj rundkę?

Raczej nie.

Ty i chłopak moglibyście wypłynąć na krótki połów i zobaczyć, jak się sprawuje łódź.

Suttree wstał i zszedł na brzeg. Moglibyśmy także nie wypłynąć, odpowiedział.

No. To możemy zacząć z samego rana.

Suttree nie odpowiedział. Ruszył w stronę obozu, gdzie znad kolacyjnego paleniska unosił się dym.

Witam, powiedziała dziewczyna z afektowną śmiałością.

Hej, odrzekł Suttree. Miała pobielone mąką ręce do łokci, pochylona nad stolnicą, wyrabiała ciasto na suchary.

Dwie młodsze dziewczynki stały za nią, a kobieta przy ogniu.

Jedna z dziewczyn wysunęła głowę i powiedziała coś, a starsza uderzyła ją otwartą dłonią i obie uciekły, chichocząc przeraźliwie.

Och, wy wszyscy... Mamo, każ jej przestać.

Przestańcie wszystkie, powiedziała kobieta. Rozpaliła ogień i rozłożyła na kamieniach arkusz blachy. Spod jej krawędzi wysuwały się płomienie. Na blasze stanęły czajnik i żelazny garnek, pod których ciężarem wygięła się niebezpiecznie.

Jest jakaś kawa?, spytał Suttree.

Jest jakaś kawa, mamo?

Wiecie, że nie.

Znaczy się, nie ma kawy, powiedziała dziewczyna.

O której jemy?

Za jaką godzinę. Już niedługo.

Suttree podrapał się po podbródku i rozejrzał. W przybudówce zobaczył stary materac, skrzynię, na której stała lampa naftowa, i różne rupiecie, zgromadzone pod ciemną kamienną ścianą z tyłu. Zszedł z powrotem nad rzekę, wyciągnął się na chłodnej skale w cieniu i spojrzał

w dół na wodę. Na pomarszczonym mułowym dnie pod przybrzeżnym wirem sunął mały żółw, niepewnie przebierając krzywymi łapami.

Drobne kawałki drewna i gałązki spoczywały oblepione iłem jak porośnięte sierścią, a koleń leżał bezczynnie z rozszerzającymi się skrzelami niczym kolorowy grzyb. Odbicie twarzy Suttree’ego zmarszczyło się i zapadło w sobie. Obok przeszedł pająk wodny na nóżkach przypominających wyposażone w stawy końskie włosie, a rzeka wydzielała chłodną, metaliczną woń. Splunął na swoje rozedrgane oblicze, usiadł, zdjął buty i skarpetki i opuścił nogi do wody.

Jedli na czymś, co przypominało drzwi wygódki. Sfatygowany, drewniany kozioł na podpórkach. Bał się o niego oprzeć. Siedzieli na deskach i pustakach, najmniejsza dziewczynka ledwo sięgała brodą ponad blat. Suttree'emu kręciło się w głowie z głodu.

Na drzwi wjechały żelazny garnek, czajnik i patelnia z sucharami.

Czajnik zawierał jakieś szorstkie, włochate warzywa, których Suttree nigdy wcześniej nie widział. W garnku biała fasola. Zamieszał ją, ale nie znalazł ani kawałka boczku. Spojrzał na chłopaka naprzeciwko i zaczął

jeść szybciej.

Po kolacji siedzieli wokół ogniska, a dziewczyny zmywały naczynia. Stary przyniósł z przybudówki Biblię, oprawną w miękką, zatłuszczoną skórę, i otworzył ją na kolanach. Kiedy naczynia zostały już pozmywane, dziewczęta zebrały się wokół, a stary zaczął czytać na głos. Suttree poszedł nad rzekę i przyniósł dwie puszki piwa. Otworzył

je przy stole, zaniósł do paleniska i podał jedno staremu. Gdy Reese zobaczył piwo, jego oczy rozjaśniły się w blasku płomieni. Boże, bądź

nam miłościw, patrzajcie tylko, powiedział.

Suttree zrobił ruch ręką, w której trzymał puszkę, i się napił. Piwo było zimne, goryczkowate i bardzo smaczne. Starzec przechylił swoją puszkę, żeby się napić.

Nie waż mi się czytać pisma i pić, powiedziała kobieta.

Co?

Słyszałżeś. Nie waż mi się czytać pisma i pić.

A niech to piekło pochłonie, odpowiedział Reese.

Ani przeklinać. Odłóż to albo najpierw skończ piwo.

Rozejrzał się, chcąc sprawdzić, czy ktoś weźmie jego stronę.

Suttree odszedł na bok, na swój pagórek nad rzeką.

Położyli się spać jak psy, zwinięci w kłębek na legowiskach na ziemi, aż wreszcie wyglądali niczym rozrzucone tu i ówdzie ciemne, bezkształtne kopczyki pod urwiskiem. Ogień wygasł. Suttree zrzucił

buty i spodnie i leżał na kocu. Rzeka przez całą noc gadała na płyciznach. W bezimiennej oddali zaczęły ujadać psy, jednak na tyle odległe, że ich stłumione przez rzekę szczekanie docierało do jego uszu zbłąkane, jak we śnie.

Rankiem byli na nogach i zaczęli śniadać niemal z pierwszym brzaskiem. Cienkie naleśniki z mąki kukurydzianej z syropem cukrowym. Nadal nie było kawy.

Stary zabrał dziewczynę i poszedł w górę rzeki, pozostawiając Suttree'ego i chłopaka samym sobie. Suttree wybrał wodę z łodzi, schował puszkę z powrotem pod ławkę i spojrzał w dół rzeki. Po chwili z lasu wyłonił się chłopak, zapinając spodnie, zszedł na brzeg i wsiadł

na łódź.

Gotów?, zapytał.

Suttree spojrzał na niego. Siedział na dziobie, trzymając ręce na kolanach.

Może byś rzucił cumy.

Co mam zrobić?

Może byś nas odwiązał.

Wysiadł, zdjął linę z pniaka, wrzucił ją na łódź, ukląkł na dziobie i zepchnął ich na wodę. Suttree zanurzył wiosła w rzece.

Łódź parła z prądem przez palisady oparów. Z trzcin poderwała się z klekotem mała czapla. Chłopak wymierzył do niej z wyimaginowanej strzelby. Pif-paf, powiedział.

Widziałem, jak z tej rzeki podrywały się kaczki, zauważył Suttree.

Jejku, założę się, że jakbym miał strzelbę, zaś wszystkie bym pozabijał.

Wpatrywał się w dół rzeki, odruchowo skubiąc jedną z żółtych krost, które zaatakowały jego podbródek. Po chwili powiedział: Za co żeś siedział w domu pracy?

Suttree wsparł się na wiosłach i obejrzał. Płynęli z szybszym nurtem, na środku rzeki widniały zarośnięte wysepki. Przyłapali nas z paroma chłopakami na włamaniu do drugstore'u.

Po co żeście się włamali?

Oni chcieli zdobyć jakieś prochy. Pigułki. Znaleźli trochę papierosów i różne inne rzeczy. Ja byłem na ulicy w samochodzie.

Pewnikiem miałeś zapalony motor, stałeś na lipku i w ogóle.

Byłem pijany.

Chłopak popatrzył na niego, ale Suttree odwrócił się, żeby wbić wzrok w wodę. Po drugiej stronie rzeki traktor orał czarne, nizinne ugory, a nad spulchnioną ziemią od krańca do krańca ciągnęła się serpentyna mgły, przypominająca kształtem rzekę niczym rzeka widmo.

Słońce się nie spieszyło. W szarozielonym świetle pełni lata dojrzała kukurydza poruszyła się z pierwszym powiewem wiatru, a okolica wyglądała na smutną i niegościnną.

Studiowałżeś?, spytał chłopak.

Dlaczego pytasz?

Po prostu z ciekawości. Gene mówi, że jesteś bardzo mądry.

Kto, Harrogate?

Taa.

No. Niektórzy ludzie są mądrzejsi od innych.

Znaczy się, że Gene nie jest bardzo mądry?

Nie. Jest mądry, i to niewąsko. Trzeba być mądrym, żeby wiedzieć, kto jest mądry, a kto nie.

Nigdy żem nie pomyślał, że normalnie jesteś supermądry.

No widzisz, odparł Suttree.

Mina chłopaka świadczyła o tym, że nie zrozumiał. Nasz Gene kiedyś tu przychodził węszyć za Wandą, powiedział. Mama go przepędziła. Masz dziewczynę?

Nie. Kiedyś miałem, ale wziąłem ją i nie wiem, gdzie podziałem.

Chłopak przez chwilę patrzył na niego tępo, a potem klepnął się w kolano i parsknął rubasznym śmiechem. Kurczę, powiedział. Galanty żart.

Jak daleko płyniemy?

Zrobimy najpierw Gallops, a potem popłyniemy dalej na Wild Buli Shoals.

Gallops?

To następna płycizna. Niedaleko. Mówisz, żeś nigdy wcześniej nie małżował?

Nie.

Nic trudnego. O, piżymak, tam.

Suttree odwrócił się. Przez świt brnął mały, ciemny kształt, czarny nosek w klinie rzecznej wody.

Jak tylko obrosną gęstszym futrem, wrócę się tu z sidłami.

Suttree skinął głową, bez wysiłku pociągając wiosłami, dulki skrzypiały, a liny włóka za głową chłopaka kołysały się jak zasłona z paciorków. Wzeszło słońce. Przewierciło się między drzewami w zielonozłocistym świetle, a długi i wąski cień Suttree'ego kładł się na rzece pośród cieni sznurów włóka niczym wiosłująca marionetka.

Skierował łódź bliżej brzegu. Zgięty wpół chłopak patrzył w rzekę.

W czystej, płytkiej wodzie czukuczany o pyszczkach z białymi obwódkami ciągnęły się przy skałach jak miękkie, trzepoczące proporczyki.

Chłopiec wyciągnął z bocznej kieszeni pustą latarkę w gumowej osłonie, zanurzył szkiełko i popatrzył przez wybebeszoną obudowę na rybi świat poniżej.

Widzisz jakieś małże?, spytał Suttree.

Jeszcześmy do nich nie dopłynęli, powiedział chłopak. Wielki Boże, ale zębacz.

Jak tu głęboko?

A tamój żółwik błotny.

Suttree wsparł się na wiosłach. Może pozwolisz mi popatrzeć.

Chłopak podniósł głowę.

Powiedziałem, żebyś może pozwolił mi popatrzeć.

No. Pewnie.

Suttree wciągnął wiosła na pokład, wziął od chłopaka wziernik i wychylił się z nim za burtę. Wysoka, spowita w bąbelki stroma skała przepłynęła chwiejnie obok. Nakrapiane żyły wapienia wirowały w głębinach szarego jadeitu, gdzie ciemne ławice ryb falowały, migotały i dryfowały z powrotem nad zimnym, łupkowym dnem rzeki. Z

plecionego kabla wśród skał ciągnęły się w rzecznym nurcie, jak szmaty, strzępy zielonego śluzu.

Nie widzę żadnych małży, powiedział.

Chłopak spojrzał w dół rzeki. Patrzaj dalej, powiedział. Małże zaraz będą.

Suttree znów się pochylił. Na dnie leżało drzewo, głęboko w rozlewisku, mroczny pień z kołyszącymi się włóknami mchu i czatujący niżej ciężki czarny okoń. Piaszczyste dno się obniżało. Przepływały tłuste czukuczany. Pod szkiełkiem wzbiła się i rozproszyła chmura pęcherzyków, a zimna zielona gładź obmywała jaśniejsze skały, zaokrąglone kamienie rzeczne i delikatnie rzeźbione na brzegach półki łupków. Niżej ciągnął się pas czarnych skorupiaków.

Mamy trochę małży.

Usłyszał plusk opuszczanego za burtę włóka. Łódź zakołysała się i wyrównała trym, chłopiec stał, a Suttree zanurzał twarz w rzece.

Podniósł głowę, strząsnął wodę ze szkiełka i schylił się, by znowu zajrzeć do rzeki. Długie, zielono-brązowe wodorosty huśtały się z prądem i przez płynącą wodę niewyraźnie widział pokłady małży, ich smukła, ciemna kolonia drżała pośród skał, blade szczeliny skorupiaków oddychały, zamykały się, składały powoli jak wachlarze, bryłki mięsa z zaworkami w swoich wieżach z panewkowej masy perłowej. Cień łodzi przesunął się nad nimi jak pomroka nocy i małże się zamknęły.

Dużo ich?

Trochę.

Dno zapadło w nieprzezroczysty, zielony mrok. Łódź obracała się z wolna.

Suttree wyprostował się, wziął wiosła i ustawił łódź.

T\i się robi głębiej, powiedział chłopak.

Taa.

Po prostu popłyniemy dalej.

Okej.

Może byś mi oddał moją patrzałkę?

Okej.

Przepłynęli jeszcze ćwierć mili, chłopak obserwował dno, Suttree przy wiosłach. Skręcili w długą, przypominającą sznur płytką odnogę i kołysząc się, zjechali nią niczym rynną w szybki nurt. Chłopak podniósł

głowę, z kosmyka włosów na czole kapała mu woda. Teraz je dorwiemy, zawołał.

Suttree za pomocą wioseł wyrównał trym.

Kiedy wyniosło ich w powolniejszy prąd w najniższym punkcie wyprawy wśród różnych niesionych na powierzchni przedmiotów i spokojnej piany, chłopak stanął na pawęży, wciągnął na pokład ociekający wodą włók, do którego grabków przywarło ponad dwadzieścia czarnych małży, i zawiesił go na podpórkach. Huśtały się, kręciły i postukiwały o siebie, a chłopak wyciągnął olbrzymią mosiężną chochlę i zaczął je nią odrywać. Parę minut później leżały na dnie łodzi niczym kamienie, a chłopak znów wysunął włók za burtę. Odwrócił się do Suttree'ego, który wiosłował pod prąd, żeby łódź stała w miejscu.

Chłopak był czerwony na twarzy i brakowało mu tchu. Tak to robimy, wyrzęził.

Czy to dobry zbiór jak na jeden połów?

Nie będzie więcej jak średni. Widziałżem nieraz, jak grabki są poobłepiane małżami na kamień. Ja i tatko włóczyliśmy takie masy, żeśmy nie mogli ich dźwignąć.

A po co włók z drugiej strony?

Łowi się na zmianę. Wiesza się tego pełnego i drugi zarzuca.

No to czemuś nie zarzucił drugiego?

Chłopak znowu obserwował dno. Machnął ręką na znak, że nie ma o czym mówić. Chciałżem ci po prostu pokazać, jak się je zdejmuje.

Suttree odepchnął łódź od lejkowatego wiru w rzece i ruszyli dalej, kołysząc się na płyciznach, słońce stało już wysoko, robiło się cieplej.

Ręce miał zaciśnięte na wiosłach jak szpony.

Wyniosło ich w leniwy nurt, w miejscu, gdzie łacha żwiru sięgała niemal środka rzeki, chłopak podniósł włók po raz drugi i zawiesił go na widełkach, ociekający wodą i postukujący małżami. Spojrzeli po sobie z Suttree'em.

Te są naprawdę galante, powiedział chłopak.

Suttree skinął głową. Było parę wielkich jak twoja dłoń.

Zawróćmy i zróbmy tę ławicę jeszcze raz.

Suttree z powątpiewaniem spojrzał w górę rzeki.

Lepsze od tych zaś się nieczęsto znajduje.

Obrócił łódź, zaparł się nogami i wbił wiosła w rzekę. Popłynęli wzdłuż lewego brzegu. Kiedy dotarli do ujścia odnogi, unieruchomił

łódź i znów obrócił ją w poprzek, a chłopak wysunął pusty włók za burtę.

Jakem raz rzucał włóka, to zahaczyłem pazurem grabek o ucho i mało żem nie wyleciał razem z nim.

Jak daleko dzisiaj mamy spłynąć?, spytał Suttree.

Znaczy się do wieczora?

Tak.

Spłyniemy do Wild Buli. Jak mówili tatko.

A kto, do cholery, będzie wiosłował z powrotem?

Chłopak spojrzał na niego, mrużąc oczy przed słońcem, chochla nieruchoma nad małżem, którego trzymał w dłoni, muszle na dnie łodzi wysychające w słońcu na szary, łupkowy kolor. Chyba żeś nie opadł

jeszcze ze sił, co?, spytał.

Wiosłuję na tej przeklętej łodzi od dwóch dni. Wydaje ci się, że nie jestem zmęczony?

No kurde, zamienię się z tobą, jak będziemy wracać. To wcale nie tak daleko.

Do mielizn dotarli wczesnym popołudniem. Chłopak wciągnął

ostatni połów małży, pozrywał je z grabek, spadały mokre na stos, postukując o siebie, a Suttree stanął na wiośle, żeby obrócić łódź w stronę brzegu. Ledwie drgnęła, tak głęboko była zanurzona pod ciężarem ładunku.

Mieli tylko jedną łopatę o starym, ręcznie robionym, długim na stopę trzpieniu, ale bez drzewca. Suttree kazał chłopcu wyszuflować małże z łodzi na brzeg, a sam ruszył w las, aż wreszcie znalazł dające dobry cień drzewo, położył się pod nim na wznak i wkrótce zasnął.

Obudziły go jakieś krzyki znad rzeki. Przyszło mu do głowy, że nie wie, jak ma na imię chłopak, który z kolei nie znał jego nazwiska.

Wstał i wrócił na dół przez las.

Hej, wołał chłopak.

Dobra, dobra.

Niech to piekło pochłonie, gdzieżeś się podział. Nie będę sam ich wszystkich szuflował.

Suttree przejął od niego łopatę i wszedł na pokład.

Jużem myślał, żeś normalnie uciekł, powiedział chłopak.

Nazywam się Suttree.

Tak, wiem o tym.

A ty?

Willard.

Willard. Okej, Willard.

Co okej?

Suttree podniósł pełną łopatę małży i spojrzał na niego. W słońcu było gorąco. Chłopak miał nieświeże ogrodniczki, wyglądał blado, żałośnie i chyba był nieco złośliwy. Po prostu okej, Willard, odpowiedział.

Przypłynęli do obozu o zmierzchu, siedząc obok siebie na ławeczce, każdy z wiosłem w ręku. Suttree wyszedł z liną na brzeg, chwiejąc się na nogach, przywiązał łódź, podszedł do ogniska, usiadł i zaczął się w nie wpatrywać. Reese wyszedł z przybudówki w samej bieliźnie. To wy tam?, spytał.

Tak.

Gdzieście byli?

Suttree nie odpowiedział. Chłopak wyszedł na brzeg i się rozglądał. Gdzieżeście byli?, spytał go mężczyzna.

Gdzie one się wszystkie podziały?, spytał chłopak.

A wzięły i poszły w gości. Gdzieżeście byli?

Jest coś do jedzenia?, spytał Suttree.

Trochę białej fasoli i chleb kukurydziany na patelni.

A jaka cebula?, zapytał chłopak.

Nie, ni ma, odparł Reese. Podszedł do Suttree'ego, który siedział z wyciągniętymi nogami na desce, służącej za stół. A chociaż dobrze wam poszło?

Jego zapytaj, odpowiedział Suttree.

To jakże wam poszło?

Poszło nam dobrze. Ni ma mleka?

Ni ma.

Kurde, powiedział chłopak.

Co?

Powiedziałem kurczę.

No myślę.

A wyście sporo nałapali?

Prawie tyła, co mogła udźwignąć łódź. Jakże wam poszło?

Dobrze.

Suttree wziął już talerz i wyjadał łyżką fasolę z garnka. Kawa jest?, spytał.

Ni ma.

Zapatrzył się posępnie w ogień. Ni ma, powtórzył.

Leżał zawinięty w koce na swoim pagórku, kiedy wróciły. Szły przez las nad rzeką, wymachiwały lampą i śpiewały psalmy. Leżał, nasłuchując zbliżających się minstreli i patrząc, jak księżyc wysuwa się nad drzewa. Był głodny i bolały go ramiona. Powieki miał jak na sprężynkach, nie mógł ich zmusić, by się nie zamykały. Po chwili wstał.

Jedna z dziewczyn poszła w kierunku rzeki i zawołał do niej. Hej.

Jest u was coś do jedzenia?

Na chwilę zapadła cisza. Ognisko zostało na nowo rozpalone, a płomienie pod skałami w górze wyglądały obiecująco. Nie, ni ma, odparła.

Rankiem wstali wcześnie o jakiejś mglistej godzinie, by przywdziać swoje szalone, perkalowe szaty kościelne. Nie obudzili go.

Wyjrzał spod koca. Wśród desek oświetlonej lampą szopy dostrzegł

krótkie błyski białego ciała, ptasie trzepotanie. Dziewczęta wyłoniły się w identycznych sukienkach, a z lasu sztywno wyszedł chłopak, wyglądał

odpychająco, ponuro i dziwnie, jak młodociany zboczeniec. Ruszyli w górę rzeki przez las, a Suttree usiadł na kocu, żeby lepiej widzieć to przedstawienie.

Nie było ich przez cały dzień. Wyszedł spod koca, przetrząsnął

kuchnię i zagraconą przybudówkę, ale nie znalazł nic innego do jedzenia oprócz mąki kukurydzianej i garści białej fasoli, którą zostawili, żeby się moczyła. Rozpalił ogień, wstawił fasolę i poszedł nad rzekę popatrzeć na łodzie. Przykucnął i zaczął rzucać kamyczkami w topiki, ślizgające się po pomarszczonej rzece.

Po dwunastej usiadł w chłodzie pod skarpą. Od południa nadciągały letnie, burzowe chmury. Oparł się plecami o skalną ścianę.

Poszarpane łupki i żwir tkwiły w mule niczym kamienne narzędzia.

Ślady myszy albo wiewiórek ziemnych, kilka suchych, wydrążonych łupin od orzechów. Ciemny, kamienny krążek. Wyciągnął rękę i podniósł go. W jego dłoni rzeźbiony naszyjnik. Wydłubał glinę z awersu i zobaczył dwóch rozjuszonych bogów, stojących plecami do siebie, mieli wymalowane oczy i zdobione piórami hełmy, podniesione w tańcu nogi zdobione obrączkami w kostkach. Obaj dzierżyli w górze berła o ptasich łbach.

Suttree splunął na krążek, wytarł go o dżinsy na biodrze i przyjrzał

się mu raz jeszcze. Niesamowity znak zaginionego ludu. Przez zimną chwilę w deszczowym powietrzu płynął duch starszej kultury. Suttree gałązką oczyścił wszystkie kreski i rowki, a potem śliną i połą koszuli wypolerował kamień, trzymał go, chłodny obiektyw, w zagłębieniu języka, i później wysuszył starannie. Szary, obcy kamień, jakiego nigdy nie widział.

Zdjął pasek, odciął z niego scyzorykiem długi, cienki pas skóry, przewlókł go przez dziurkę w naszyjniku, zawiązał rzemień i zawiesił

medalion na szyi. Chłodny i gładki, spoczywał na jego piersi, artefakt świtu, na którego żelaznym pejzażu kładł się zmierzch.

Siedział na pniu, rzeźbiąc gwizdek z wierzbowego drewna, kiedy rodzina wróciła z nabożeństwa. Patrzył, jak idą przez las, sześcioro, gęsiego. Kiedy przeszli obok w drodze do obozu, wstał, złożył nóż i poszedł za nimi.

Oto i on, powiedział śpiewnie Reese.

Taa, powiedział Suttree.

Widzielimy, żeś spał, jakeśmy wychodzili rano. Nie chcielimy ci przeszkadzać.

Kobiety poszły do szopy się przebrać, a Reese w garniturze zajął

miejsce pod swoim drzewem. Suttree przyklęknął przed starym na jednym kolanie i przyszpilił go wygłodniałym, przeciągłym spojrzeniem.

Posłuchaj, powiedział. Nie chciałbym nikomu sprawiać kłopotu, ale kiedy tu się, do cholery, jada?

Zaś cieszę się, że o to pytasz, powiedział Reese. Ktoś musi iść do sklepu i żem się zastanawiał, czy może nie zabrałbyś chłopca i się tam nie przeleciał.

Przecież właśnie stamtąd wracacie.

A owszem. I niech mnie licho porwie, jak żem tam nie poszedł, tylko że się pokazało, że nie mam przy sobie pieniędzy. Przemyślałżem to szybko w drodze do kościoła. Chciałżem...

W porządku, powiedział Suttree. Wyciągnął rękę. Daj mi jakieś pieniądze.

Reese rozluźnił się trochę i odchylił od drzewa. Mówił cicho.

Chciałem z tobą o tym pogadać.

Suttree przez chwilę wpatrywał się w niego, po czym wstał, patrząc gdzieś w dal, na jakiś weselszy pejzaż, poza zasięgiem ich wszystkich. Słuchaj, mówił Reese. Pociągnął Suttree'ego za nogawkę spodni. Suttree cofnął się o krok.

Posłuchaj. Rozchodzi się o to, że mielimy duże koszta na urządzenie obozu i wszystkie przygotowania, wiesz. Klincujemy tu już dwa tygodnie i mamy same wydatki, to musi nam trochę brakować, a ty już wspólnik, normalny wspólnik, wiesz, tom pomyślał, że może moglibymy dzielić koszta, aż sprzedamy połów i się z tobą rozliczę.

Wiesz.

A co byście zrobili, do cholery, gdybym nie przypłynął tutaj wtedy, kiedy przypłynąłem?

Ach, ktoś by się pojawił. Jak zawsze. Słuchaj...

Suttree wywrócił kieszenie i zbierał wszystkie pieniądze, które mu zostały. Parę dolarów i trochę drobnych. Rzucił je Reese'owi na ziemię.

Jak myślisz, jak długo możemy sie za to wyżywić?, spytał.

Można coś kupić. Spojrzał na leżące u jego stóp zmięte banknoty.

Dźgnął je palcem, jak zdechłe zwierzątko. Ni ma tego za wiele, co?

Nie, odparł Suttree. Za wiele ni ma, niech to cholera weźmie.

To wszystko, co masz?, Reese spojrzał na Suttree'ego spod przymrużonych powiek.

Wszystko.

Reese podrapał się po głowie. No, powiedział. Słuchaj...

Słucham.

Może byś wzion chłopaka, poszedł tam i kupił nam chleba i mielonki. Jest jeszcze trochę mąki kukurydzianej i fasoli. Spytaj się starej, czego jej naprawdę strasznie pbtrza. Kup kwartę mleka, jak się da. Wiesz.

Suttree oddalił się na poszukiwanie chłopaka.

Dopiero co żem stamtąd przyszedł.

No to podnieś dupę, bo właśnie tam wracasz.

Nie trza zara bluźnić, odrzekł chłopak. Niedziela jest i w ogóle.

Poszli ścieżką przez las. Kobieta spisała mu listę, gęste bazgroły na kawałku papierowego worka. Zgniótł ją w ręku i wyrzucił w krzaki.

Przeszedłszy pół mili przez las, weszli na starą drogę, częściowo pozarastaną już trawą i młodymi drzewkami. Ruszyli po jej pochylonych płytach przez skrzywiony i niewyraźny w parnym upale wiejski krajobraz. Minęli ruiny starego motelu, połamany, łuszczący się z farby szyld, skupisko maleńkich domków, niszczejących cicho w sośniaku.

Kiedy wyszli na szosę, Suttree zobaczył na szczycie wzniesienia, na rozdrożu, niewielką osadę. Kilka koni i zdobiony stiukami przydrożny sklep spożywczy z dystrybutorem paliwa.

Przeszedł przez żwirowe przedpole i wkroczył do sklepu. Miłe znajome zapachy. Wziął pintę mleka czekoladowego z lodówki i wypił.

Postawisz nam po coli?, spytał chłopak.

Weź jedną.

Weźmy też po ciastku i zaś nic nie powiemy.

Suttree spojrzał na niego. Gmerał wśród butelek w szafce z napojami. Ta RC cola tutaj zaś jest zimna?, zawołał. Suttree podszedł do stoiska mięsnego.

Co dla ciebie?, zapytał sklepikarz, wyłaniając się zza szafki i zdejmując fartuch z gwoździa.

Pokrój mi dwa funty tej mortadeli, powiedział Suttree.

Sklepikarz odwiesił fartuch.

Tylko cienko, dodał Suttree.

Wziął trochę sera, chleba, beczułkę płatków owsianych, dwie kwarty mleka i nieco cebuli. Kiedy sprzedawca podliczył te zakupy, zostało czterdzieści centów. Suttree spojrzał na szeregi torebek z kawą nad głową sklepikarza, który odwrócił się, by patrzeć na nie wraz z nim.

Jaką masz najtańszą kawę?

No, zaraz się zobaczy. Najtańsza to będzie Slim Jim.

Slim Jim?

Slim Jim.

Ile kosztuje?

Trzydzieści dziewięć centów.

To wezmę.

Kupiec zdjął torebkę kawy z półki i postawił na ladzie. Była zakurzona, więc dmuchnął na nią i dał jej małego klapsa, zanim wsunął

ją do torby z zakupami.

Dobrze, powiedział Suttree. Ściągnął torbę z kontuaru, podał ją chłopakowi i wyszli.

Kiedy wrócili, był wieczór. Suttree zszedł na brzeg i siedział w ciemności nad rzeką aż do kolacji, światło ognia, na którym ją gotowano, urządzało za nim na wysokiej ścianie urwiska przedstawienie cieni prymitywnych form życia.

Rzucał do rzeki małe, okrągłe kamienie, jakby ją karmił.

Jedli kanapki ze smażoną mortadelą i białą fasolę z miseczek.

Suttree podszedł do ognia z kubkiem w ręku i wyciągnął go przed siebie.

Stara podniosła pokrywkę i powąchała napar. Suttree patrzył na nią.

Plecione cumy włosów, oplatających jej cienką, szarą czaszkę.

Podkasała jedną ręką fartuch, by chwycić przez niego dzbanek, przechylić go i nalać gorącej czarnej kawy. Suttree wrócił na skrzynkę, na której siedział, zamieszał kawę, wsunął łyżeczkę za mankiet na przechowanie, podniósł kubek i popił.

Siedział zupełnie nieruchomo, potem odwrócił się i wypluł napój.

Dobry Boże, powiedział.

Co jest?, spytał Reese.

Co się stało z tą kawą?

Ja żem jej nic nie pił.

Suttree przesunął nosem nad brzegiem kubka, wylał jego zawartość na ziemię i jadł dalej.

Reese otarł usta o kolano i wstał. Wrócił z kubkiem kawy i stanął

nad Suttree’em, dmuchając na napar, po czym pociągnął łyk.

Co to za gówno?, spytał.

Niech mnie szlag trafi, nie wiem. Slim Jim, tak się nazywa.

Reese pociągnął jeszcze jeden łyk, a potem przechylił kubek. Nie wiem, co to takiego, powiedział. Ale zaś nie kawa.

Dziewczyna siedziała po drugiej stronie ogniska. Odrzuciła swoje czarne włosy. Co żeś zrobiła z tą kawą, mamo?, zawołała.

Reese wrócił do ogniska. Podniosły opakowanie, żeby przeczytać etykietę. Reese wylał swoją kawę. Wywiązała się sprzeczka.

Suttree, co to za gówno?

Nie wiem. Kupiłem to jako kawę.

Zaś nawet nie pachnie jak kawa.

Pewnikiem ją wysypali i napchali do worka starych liści albo coś, powiedziała kobieta, kiwając głową i rozglądając się wokół.

Przynieś mi kubek tej kawy, Willard, zawołała dziewczyna.

Reese strzelał oczami dookoła. To może być trucizna, powiedział.

Włóż do niej skorupki od jajek, mamo, zawołała dziewczyna. One ją oczyszczą.

Skąd mama weźmie skorupki, ty głupia dupo? Ni ma żadnych jajek.

Kobieta wyciągnęła rękę i trzepnęła chłopaka w czubek głowy.

Auć, powiedział.

Uważaj, jak mówisz do siostry.

Coś obudziło Suttree'ego nad ranem. Coś poruszało się w ciemności. Wziął latarkę i przesuwał snop jej światła wzdłuż drzew, aż wreszcie jasność rozpłynęła się niczym duch na ciemnych polach w dole rzeki. Przesunął latarkę w stronę lasu i z powrotem. Obserwowało go sześcioro par oczu, rozpalonych i zabłąkanych. Podniósł latarkę nad głowę, żeby spróbować zobaczyć stworzenia, do których należały, ale było widać tylko oczy, nic więcej. Powieki zamykały się i otwierały albo oczy znikały i pojawiały się z powrotem, gdy nieznane istoty odwracały głowy. Były różnej wielkości, zaczął więc szukać w pamięci zwierząt, które występują w tak różnych rozmiarach. Potem jedna para oczu wzniosła się pionowo na wysokość pięciu stóp, a druga powoli osunęła na ziemię. Dziwne karły o amaurotycznych gałkach ocznych w ciemności, głęboko w mroku, jakby na huśtawce damskiego siodła. Inne stworzenia zaczęły się podnosić i osuwać niżej.

Krowy. Zgodził się sam ze sobą: to krowy. Zgasił latarkę i się położył. Teraz czuł ich woń na chłodnym wietrze, wiejącym w górę rzeki, słodki aromat trawy i mleka. Wilgotne powietrze było obciążone najróżniejszymi woniami.

W oczach psa widać, że rozpoznaje zapachy, kiedy węszy pod wiatr, a Suttree czuł wodę z rzeki, rosę w trawie i mokre łupki urwiska.

Niebo było zachmurzone i brakowało gwiazd, które mogłyby go nękać tajemnicami czasu i przestrzeni. Zamknął oczy.

Rankiem zabrali kobiety w dół rzeki, żeby łuskać małże, dziewczyny chichotały, a stara nerwowo ściskała krawędzie burt łodzi i przyglądała się mijanemu brzegowi spod kaptura. Wieczorem po kolacji poszedł nad rzekę z kostką mydła i usiadł nago w wodzie za żwirową łachą. Wyprał ubranie, wykąpał się, rozwiesił pranie na drzewie, wziął

ręcznik, wytarł się i siedział wśród swoich koców. Po chwili przez las na palcach przyszedł Reese, wołając go cicho.

T\itaj, odpowiedział Suttree.

Reese przykucnął przed nim. Obejrzał się przez ramię w stronę obozu.

Co jest?, spytał Suttree.

Musimy iść do miasta.

Okej.

Myślę sobie, że powinnimy po prostu pójść tam rano i załatwić sprawę.

Suttree skinął głową.

O mało żem nie pozwolił, coby matka i Wanda poszły, ale w interesach nie można polegać na kobitach. Co myślisz?

W to mi graj, jak cholera.

Reese spojrzał w stronę ogniska i z powrotem. Mnie też, zasyczał.

Jak się nie schlam w trupa, jestem chińską baletnicą. Byłżeś kiedy w Newport?

Ostatnio nie.

Boże, kręcą się tam najbardziej postrzelone i najfajniejsze facetki na świecie. Jest na co popatrzeć.

Naprawdę?

Żebyś wiedział, cholewcia. Stary znów zerknął w stronę obozu i nachylił się do ucha Suttree'ego. Pojedziem tam, Sut, dorwiemy ze dwie i zmoczymy ogóra. Puścił do niego oko i przyłożył palec do ust.

Pojechali dwa dni później wczesnym rankiem. Padało przez całą noc, a samochody nadjeżdżały długą, czarną drogą jak motorówki, mijały ich i malały w całunach spalin. Po chwili zatrzymał się jakiś starzec w fordzie A i zabrał ich do Dandridge. Starzec się nie odzywał.

Wszyscy trzej siedzieli z przodu, zgarbieni niczym marionetki, patrząc, jak nad przesuwającym się za oknem wiejskim krajobrazem wstaje letni poranek.

Z Dandridge do Newport złapali ciężarówkę. Na platformie stał na lawecie umocowany łańcuchami traktor, który ciągle przesuwał się na boki, podróżni opierali się więc o burty z desek, a wiatr rozwiewał im włosy, bo mieli stracha, że mocowania pękną. Dotarli do Newport około południa, po czym mrużąc oczy, rozczochrani, zeszli na rozpaloną ulicę.

Jubiler siedział w drucianej klatce przy wejściu do sklepu, a w oku miał coś, co przypominało słoiczek na tabakę. Obaj stanęli pod oknem i czekali. Tak, powiedział jubiler. Nie podniósł wzroku.

Reese położył perłę na kontuarze.

Jubiler podniósł głowę, pociągnął nosem, wyjął z oka lupę i włożył

na nos binokle. Wyciągnął rękę i podniósł perłę. Przesuwał ją między kciukiem a palcem wskazującym i odłożył. Zdjął okulary, włożył lupę z powrotem do oka i znów pochylił się nad swoją robotą. Nie nada się mi, powiedział.

Reese posłał Suttree'emu niespokojne oczko. Wydobył z małej portmonetki następny klejnocik i położył go koło pierwszego. Większy i bardziej okrągły. Hej, powiedział.

Jubiler odłożył dłutko, którym naprawiał coś w pokrywie szkatuły.

Popatrzył na dwie leżące przed nim perły i na Reese'a. Nie nada się mi.

Tymczasem Reese wyłowił swoją najlepszą perłę i wyciągnął ją przed siebie w brudnej dłoni. Ta pewnikiem też się panu nie nada, powiedział triumfalnie.

Jubiler wyjął szkiełko i włożył znów binokle. Nie sięgnął po perłę.

Wydawało się, że chce po prostu lepiej się przyjrzeć tym dwóm.

No, dalej, powiedział Reese, uśmiechając się szeroko i gestykulując ręką, w której trzymał perłę.

Chłopaki, te rzeczy są nic nie warte, odezwał się jubiler.

To perły, rzekł Suttree.

Perły z Tennessee.

Muszą być coś warte, do cholery.

No cóż, przykro mi to powiedzieć, ale nie są warte pięciu centów.

Och, możecie znaleźć kogoś, co by je wziął. Na pamiątkę albo coś.

Znałem ludzi, co płacili trzy albo cztery dolary za taką ładną perłę, jak chcieli ją oprawić w szpilce do krawata czy coś, ale nawet gdybyście mieli ich całe pudełko od butów, nie dałbym wam za nie dziesięciu centów.

Reese ciągle trzymał perłę w ręku. Zwrócił się do Suttree'ego.

Jemu się pewnie wydaje, żeśmy nigdy wcześniej nie handlowali.

Jubiler zdjął okulary i znów się sposobił, żeby spojrzeć przez lupę.

Wyglądamy może na wieśniaków, aleśmy nie są głupi, powiedział

do niego Reese.

Chodźmy, Reese.

Ładniejszej perły niż ta nigdy żeś pan nie widział.

Jubiler z monoklem w oku znów pochylił się nad swoją robotą.

Suttree wziął starego pod ramię i poprowadził do drzwi i na zewnątrz. Reese przyglądał się swojej największej perle w poszukiwaniu jakiejś ukrytej skazy. Na ulicy Suttree odwrócił go, chwytając za ramię.

Co tu się wyprawia, do cholery? Myślałem, że mówiłeś, że ta duża perła jest warta dziesięć dolarów?

Kurde, Sut, nie zwracajże na niego uwagi, on nic się na tym nie zna.

Suttree wskazał wystawę. To jubiler, do cholery. Nie widzisz szyldu? Co to ma znaczyć, do cholery, że on się nie zna?

Właśnie sam się przechytrzył, oto co zrobił. Chciałby, cobyśmy mu oddali te cholerne perły za darmo. Handlowałem już z tymi cwanymi skurwielami, Sut. Wiem, jak to jest.

Pokaż mi te perły.

Reese podał mu je. Suttree przyjrzał się im w ostrym świetle popołudnia. Wyglądały jak perły. Trochę szare, trochę zdeformowane.

Do cholery, muszą być coś warte, powiedział.

Reese wziął od niego perły. Oczywiście, że są coś warte, powiedział. Do jasnej cholery, myślisz, że na niczym się nie znam?

Ile ich w życiu sprzedałeś?

Mniejsza o to. Trochę.

Ile?

No, w zeszłym roku sprzedałżem jedną za cztery dolary.

Komu?

Po prostu komuś.

Suttree stał z oczami wbitymi w ziemię i kręcił głową. Po chwili podniósł wzrok. No to spróbujmy gdzie indziej, powiedział.

Obeszli trzech jubilerów i dwa lombardy i znaleźli się znów na ulicy. Cienie przechylały się na chodniku, dzień stał się chłodniejszy.

Co teraz?, powiedział Suttree.

Daj mi chwilę pomyśleć, powiedział Reese.

Tylko tego nam trzeba.

Nie próbowaliśmy w klubie bilardowym.

W klubie bilardowym?

Taa.

Suttree odwrócił się i ruszył naprzód ulicą. Reese dogonił go i szedł przy jego boku, snując plany i wyjaśnienia.

Suttree odwrócił głowę. Ile masz pieniędzy?

Reese przystanął.

No już. Ile?

Ależ Sut, wiesz, że nic nie mam.

Nawet dziesięciu centów?

A skąd.

No to ja mam piętnaście i wchodzę tu na kawę i pączki. Możesz usiąść i patrzeć, jak chcesz. A potem lepiej wracajmy na tę cholerną drogę, zanim się ściemni, i spróbujmy złapać jakiegoś stopa, żeby stąd wyjechać.

Niech to szlag, Sut, nie możemy wracać z pustymi rękami.

Ale Suttree wszedł już na jezdnię. Reese patrzył, jak przechodzi na drugą stronę ulicy, do kafejki.

Wchodząc, Suttree wziął gazetę ze stojaka przy kasie i usiadł przy kontuarze. Jakiś grubas spytał go, co zamawia.

Kawę.

Zapisał na bloczku.

Macie pączki?

Zwykłe albo czekoladowe.

Czekoladowe.

Zapisał i to. Suttree wyciągnął szyję, żeby zobaczyć cenę.

Grubas ruszył wzdłuż lady, a Suttree otworzył gazetę.

Wypił trzy filiżanki kawy i przeczytał gazetę od deski do deski. W

końcu złożył gazetę, podszedł do lady, zapłacił rachunek, odłożył gazetę i wyszedł. Stał na ulicy, dłubiąc w zębach i rozglądając się na lewo i prawo. Czekał tak prawie godzinę. Zamykano już sklepy. Przyglądał się zapadającemu słońcu. A to skurwysyn, powiedział.

Przechodził koło małej kafejki, kiedy na widok jakiejś postaci w środku coś go tknęło i przystanął. Zawrócił i zajrzał przez szybę do środka. W boksie na małej sali jadalnej siedział Reese. Smarował

masłem duże kawałki chleba kukurydzianego. Przed nim stał półmisek, na którym leżał polany sosem befsztyk z tłuczonymi ziemniakami i fasolką. Kelnerka człapała w przejściu w kierunku Reese'a, niosąc wysoki kubek kawy. Reese podniósł wzrok, żeby jej powiedzieć coś miłego. Jego oczy powędrowały od kelnerki ku nachmurzonej twarzy za oknem, a wtedy jakby podskoczył na siedzeniu, po czym uśmiechnął się szeroko i pomachał.

Suttree gwałtownie pchnął drzwi i ruszył przejściem w głąb sali.

Hej, Sut. Gdzieś ty się podziewał, do cholery? Wszędzie żem cię szukał.

No, na pewno. Skąd wziąłeś pieniądze? Myślałem, że nie masz złamanego grosza.

Siednij, siednij. Skarbie?, Reese podniósł rękę. Wskazał głowę Suttree'ego. Przynieś mu, co chce. Jejku, cieszę się, że cię znalazłem.

Proszę, powiedz jej, czego chcesz.

Nic nie chcę, do jasnej cholery. Posłuchaj.

Nie trza od razu przeklinać, odezwała się kelnerka.

Suttree nie zwrócił na nią uwagi. Nachylił się do Reese'a, który pakował do ust nadziany na widelec kawałek befsztyka. Doprowadzasz mnie do szału, powiedział Suttree.

Skarbie, przynieś mu kawę.

Nie chcę żadnej kurwy, do kawy nędzy. Słuchaj, Reese...

Reese pochylił głowę, mrugnął do Suttree'ego niczym gejowski klaun i kiwnął głową. Sprzedałżem je, szepnął. Patrzaj się.

Na co?

TU, niżej. Patrzaj.

Suttree musiał się odchylić i popatrzeć pod stół, gdzie ten uśmiechnięty

szeroko

głupiec,

Reese,

trzymał

w

ręce

dwudziestodolarówkę, ściśniętą tak, że wystawał tylko jej róg.

Po jaką cholerę tak ją tam ukrywasz? Jest fałszywa?

Ćśś. Cholera, synu, nie, jest jak szczere złoto.

Komu dałeś po łbie?

Kochany przyjacielu, weźmiemy to na remika i wiedziemy stąd z prawdziwymi pieniędzmi.

Lepiej ruszmy dupy na dworzec autobusowy, oto co powinniśmy raczej zrobić.

Skarbie, przynieś mu kawę.

Powiedział, że nie chce.

Suttree rozparł się w boksie.

Trochę przynieś, powiedział Reese, wymachując kawałkiem chleba kukurydzianego. Wypije.

Stali na ulicy pod małymi latarniami. Nad miastem zapadła śmiertelna cisza.

Szkoda, że jest lato, bo moglibymy pójść na walki kogutów, rzekł

Reese. Cmoknął i rozejrzał się po ulicy. Musimy złapać jaką cholerną taryfę. Poklepał się po swoim niewielkim brzuszku, beknął i rozglądał

się spod przymrużonych powiek.

Daj mi pięć centów, to pójdę i zadzwonię.

Reese od niechcenia wręczył mu monetę. Suttree przybrał minę znamionującą oschłą cierpliwość. Wszedł do kafejki i wezwał taksówkę przez telefon.

Kiedy przyjechała, Reese otworzył frontowe drzwi, wskoczył do środka i zaczął coś głośno szeptać szoferowi. Suttree wgramolił się na siedzenie z tyłu i zamknął drzwi.

Pozwólcie, panowla, że zawiozę was do Green Room, mówił

szofer. Można tam dostać wszystko, czego dusza zapragnie.

Co ty na to, Sut?

Suttree spojrzał na tył głowy Reese'a, a potem po prostu wyjrzał

przez okno.

Oczywizda, możecie jechać, gdzie tylko chcecie, powiedział

szofer.

Cholewcia, jasne, że tak, powiedział Reese. Jak się ma forsę, coby za nią jechać. Odwrócił się i obdarzył Suttree'ego obleśnym uśmiechem.

Jaką whisky chcecie, chłopcy? Z akcyzą czy naprawdę dobry bimber?

Naprawdę dobry, na pewno?

Z akcyzą, rzucił z tyłu Suttree.

Jechali wąskimi bocznymi uliczkami w małomiasteczkowej ciemności, w porze kolacji, mijając zasłonięte, oświetlone okna, za którymi siedziały całe rodziny. Suttree opuścił szybę i wdychał

powietrze pełne woni kwitnących kwiatów.

Szofer podwiózł ich żwirowanym podjazdem na tyły starego domu. Z nagiej nocy nad nimi zwieszała się pojedyncza rozpalona żarówka. Kierowca wysiadł, jakiś człowiek wyszedł z drzwi, po czym obaj przeszli przez podwórko, za garaż. Kiedy wrócili, szofer trzymał

pintową butelkę whisky na wysokości uda.

Wsiadł i wręczył whisky Reese'owi, który podniósł ją pod światło, a odkręcając zakrętkę, przyjrzał się etykiecie jak prawdziwy znawca.

Kiedy jechali z powrotem po podjeździe, Reese odrzucił głowę do tyłu, a dno butelki sterczało pionowo w górę.

Napijże się, wyrzęził, szturchając Suttree'ego flaszką nad fotelem.

Suttree napił się i oddał mu whisky.

Reese podniósł butelkę, przypatrzył się jej i wcisnął ją szoferowi pod brodę. Napijże się, kochany przyjacielu, powiedział.

Kierowca odparł, że nie pije w pracy.

Wyjechali z miasta wąskimi uliczkami i znaleźli szosę, Reese i Suttree przekazywali sobie nawzajem butelkę, przy czym Reese opowiadał kierowcy o swoim życiu, choć ani jedno słowo tej opowieści nawet nie pachniało prawdą.

Gadacie, żeście nigdy nie byli w Green Roomie?, spytał szofer.

Nie bylimy tu od dawna, odparł Reese.

Mają tam takie kochane dziewczynki, co to zrobią wszystko.

Possać wacka to dla nich jak splunąć.

Reese energicznie szturchał łokciem ciemność taksówki. Słyszysz, Sut?, powiedział.

Kilka mil jechali autostradą, po czym skręcili w boczną drogę, która kiedyś odgrywała jej rolę. Na szczycie wzgórza stał przysadzisty dom z pustaków o neonowej instalacji wokół dachu. Okna były pomalowane na czarno, jedno połamane, ale naprawione drewnianymi klockami, które przykręcono do framug śrubami o skośnych łebkach. Na podjeździe stał żelazny maszt, na którego krzyżaku wisiała reklama piwa, a na żwirze parkowało mniej więcej pół setki aut. Szofer zapalił

światło w kabinie i spojrzał na Reese'a.

Wiele ci wisim, kochany przyjacielu?

Dajcie piątkę. To będzie już za whisky i za wszystko.

Reese zapłacił i wysiedli na żwir. Taksówka zawróciła w chmurze pyłu i pryskających kamyków, po czym wjechała na autostradę. Reese wcisnął koszulę za pasek, poprawił spodnie i chwycił za klamkę, żeby wejść, ale drzwi były zamknięte.

Zadzwoń, powiedział Suttree.

Nacisnął przycisk i drzwi niemal natychmiast się otworzyły, wyjrzał z nich jakiś mężczyzna, popatrzył na nich, cofnął się i weszli.

Betonowa podłoga, bar w kształcie podkowy, obity pikowaną, czarną tapicerką, krzykliwie kolorowa szafa grająca z muzyką country.

Kilka młodych kurew o tarninowych oczach w estradowym makijażu i niewiarygodnych strojach, sukniach balowych, kostiumach kąpielowych i w atłasowych piżamach. Polegiwały przy barze, siedziały w boksach pod ścianą, tańczyły z klaunami w strojach farmerów, drewniane klaunowe tańce w migających światłach szafy grającej. Przez szparę w drzwiach na zaplecze Suttree zobaczył jeszcze gęstszy dym i zielone sukno stołów do gry.

Wielki Boże, niech to szlag, powiedział z szacunkiem Reese.

Patrzaj no tylko.

Suttree patrzył. Bywał w podobnych przybytkach, ale nie w takim jak ten. Odnosiło się wrażenie, że oto chce się tu objawić zupełnie nowy styl. Podeszli do baru i natychmiast obsiadły ich kurwy. Czarnowłosa dziewczyna w szyfonowej sukni z trenem, ciągnącym się za nią po podłodze i zmiatającym pety, chwyciła Suttree'ego pod łokieć. Witaj, przystojniaku, powiedziała. Może postawisz mi drinka? Suttree spojrzał

w dół, w ogromne, umalowane oczy, z których spływała czarna maź.

Para idealnie krągłych cycków wypychająca suknię z przodu. Będziesz musiała pogadać z tym gościem tutaj, odpowiedział. To ostatni z wielkich

hulaków.

Dziewczyna natychmiast puściła Suttree'ego i złapała Reese'a za ramię, mimo że wisiały już na nim dwie dziewczyny. Witaj, przystojniaku, powiedziała. Może postawisz mi drinka?

Postawię drynki wam wszystkim, jak tylko skończę przy stole do remika, zawołał Reese.

Barman stał w gotowości, a Suttree podniósł rękę i zwrócił jego uwagę. Podniósł podbródek na znak, że chce wiedzieć, czego Sut sobie życzy.

Burbona i ginger ale, powiedział Suttree.

Skądżeście są, kochanie?, zapytała blondynka, która wyłoniła się z kłębów dymu.

Suttree spojrzał na nią. Ze Ślepcowa, odpowiedział.

Dowcipny z ciebie skurwysyn.

Przyglądał się Reese'owi przy stoliku karcianym, aż mu się znudziło i wrócił do baru. Tłum kurew jednak zgęstniał, kupił więc następnego drinka i poszedł z powrotem na salę gier. Reese chyba trochę wygrał i Suttree klepnął go w ramię, żeby dał mu parę ćwierćdolarówek i dziesięciocentówek do jednorękich bandytów. Rozdający podniósł się, spojrzał na niego spod przymrużonych powiek i kazał mu odejść od stołu, skoro nie gra. Reese podał mu przez ramię dwa dolary, a Suttree wziął pieniądze, przeszedł do sali obok i rozmienił banknoty u jakiejś pani przy stoliku karcianym koło drzwi. Pod ścianami stało osiem albo dziesięć jednorękich bandytów i kilku młodych mężczyzn w ciemnych gabardynowych koszulach i o prawie całkiem ogolonych głowach, dawali pieniądze kurwom, a kurwy grały za nie w automatach. Suttree wygrał jakieś siedem dolarów, wrócił do baru i kupił kolejnego drinka.

Zaczynał czuć się trochę pijany. Postawił drinka czarnowłosej dziewczynie, która wzięła go za ramię, i usiedli razem w boksie pod przeciwległą ścianą,

i dziewczyna natychmiast zamówiła jeszcze dwa drinki u kelnerki w kostiumie kąpielowym i czarnych kabaretkach.

Położyła Suttree'emu dłoń na nodze, złapała go za szyję i polizała ją od dołu do góry. Potem wsunęła mu język do ucha i zapytała, czy nie chce wyjść za dom.

Reese, chwiejąc się, przyszedł przez dym i gwar z umalowaną dziwką wyglądającą jak dziecko, wiszącą mu na ramieniu. Brakowało jej jednego kła i uśmiechała się, trzymając w ustach papierosa, by zamaskować szczerbę.

Patrzaj no, Sut.

Witam.

Czy nie jest ładniutka?

Suttree uśmiechnął się.

Reese trzymał ją za rękę. Pochylił się do Suttree'ego. Posłuchaj, nie zakablowałbyś człowieka, co?, zapytał.

Może i nie. Gdzie whisky?

Tlitaj. Niech to piekło pochłonie, napijże się. Wyciągnął flaszkę z ogrodniczków i podał mu.

Ty też uprawiasz tytuń?, spytała dziewczyna.

Pewnie, odparł Suttree.

Reese robił dziwne miny i gwałtownie wysuwał bark w stronę Suttree'ego. Suttree zakręcił butelkę i wyślizgnął się z boksu. Muszę chwilę pogadać z moim wspólnikiem, zwrócił się do dziewczyny.

Naradzali się kilka stóp od stołu. To powiedz, co złego się stało, odezwał się Suttree.

Dupa, nic złego. Patrzaj się tu.

Reese zwiniętą dłonią osłaniał otwór kieszeni, w której niczym oswojona myszka tkwił rulon banknotów. Stary przyjacielu, normalnie żem ich tam załatwił, powiedział.

Dziwka na jego ramieniu nachyliła się do ucha Suttree'ego.

Powinieneś się spiknąć z Doreen, tam, szepnęła, wskazując głową pulchną blondynkę przy barze. Jest naprawdę słodka.

Musimy kupić drugą flaszkę whisky, powiedział Reese. Zarówno dziewczyna, jak i Reese zaczęli mówić chrapliwym, teatralnym szeptem i Suttree musiał się pochylić, żeby ich w ogóle słyszeć, bo z szafy grającej wyły gitary elektryczne. Wtedy stary chwycił go za głowę, przyciągnął bliżej i powiedział mu chrapliwie do ucha: Idź ją przyprowadź, Sut. Przelecim je, ani chybi.

Kiedy się obudził, w domku letniskowym zapaliło się światło, a w drzwiach stał jakiś mężczyzna z dziewczyną. Ta cholerna Doreen zawsze zostawia swoich cholernych klientów w domkach, powiedziała.

Suttree stęknął i spróbował wsunąć głowę pod poduszkę.

Hej, odezwała się dziewczyna. Nie możesz tu zostać.

Trzymał głowę na krawędzi cienkiego materaca. Spojrzał na podłogę. Była pokryta różowym linoleum w zielone i żółte kwiaty. Stały na nim szklanka i półpintowa butelka z resztką alkoholu na dnie.

Wyciągnął rękę, wziął butelkę i przygarnął ją do swojej nagiej piersi.

Hej, powiedziała dziewczyna.

Dobrze, odrzekł Suttree. Tylko wezmę ubranie.

Odszedł przez zarośla w ciemność. Na autostradzie rozbrzmiewał

ginący w oddali świst kół ciężarówek. Wpadł do rowu, wyszedł z niego i ruszył dalej.

Kiedy się obudził, było jasno, a on leżał na polu. Podniósł się i rozejrzał nad turzycą. Piaszczystą dróżką szły dwie dziewczynki z psem.

Za nimi bombardowany słońcem pejzaż lawirował w dal w rozedrganym, bezkształtnym piekle. Niska, szara stodoła, ogrodzenie. W

trojeści stał wóz. Tam jest miasto. Suttree dźwignął się na nogi i stał, chwiejąc się, bardzo bolały go oczy i głowa, jakby pod naporem ciśnienia morskich głębin. Zataczając się, ruszył przez pole w stronę knajpy.

Znalazł Reese'a śpiącego we wraku samochodu za domkami.

Suttree potrząsnął starym łagodnie, budząc go i sprowadzając na świat, z którym nie chciał mieć nic wspólnego. Reese stawiał opór. Odsunął się i nakrył głowę ramieniem na brudnym, podartym fotelu. Suttree nie mógł

się powstrzymać od szerokiego uśmiechu, mimo silnego bólu głowy.

Jazda, powiedział. Chodźmy.

Stary jęknął.

Co?, spytał Suttree.

Ty idź, a ja przyjdę później, powiedz im.

Okej. Wygodnie ci?

Jest mi dobrze.

Chcesz łyka zimnej lemoniady, zanim pójdę?

Otworzyło się jedno oko. Stęchła, wybebeszona buda samochodu cuchnęła pleśnią, potem i tanią whisky. Przez wybitą tylną szybę wlatywały osy, które znikały w szparze lampki pod sufitem.

Co?, powiedział Reese.

Pytałem, czy nie chciałbyś łyka zimnej lemoniady.

Stary próbował spojrzeć w jego stronę, nie poruszając głową, ale zrezygnował. Kurde, powiedział. Nie masz żadnej lemoniady.

Suttree odwrócił go za ramię. No chodź, powiedział. Zabieraj stąd swój tyłek i chodźmy.

Pokazała się napuchnięta twarz. Ach, Boże. Zostaw mnie, niech tu umrę.

Chodźmy, Reese.

Gdzie jesteśmy?

Chodźmy.

Podniósł się z trudem i rozejrzał wokół.

Jak się czujesz, mój kochany wspólniku?, spytał Suttree.

Reese spojrzał w uśmiechniętą szeroko twarz Suttree'ego. Zasłonił

oczy rękami. Gdzieżeś ty bywał?, spytał.

Chodź.

Reese pokręcił głową. Kurczę, niezłe z nas ziółka, co nie?

Nie masz przypadkiem zachomikowanego czego do picia, co?

Kurde.

To proszę.

Reese opuścił ręce. Suttree podał mu prawie pustą butelkę. A niech to szlag, Sut, powiedział. Wyciągnął obie dłonie, odkręcił flaszkę i wypił.

Zostaw mi kropelkę, powiedział Suttree.

Reese zamknął oczy, zmarszczył się, zadrżał i przełknął. Wypuścił

powietrze i podniósł butelkę. Niech to szlag, powiedział. Nie przypominam sobie, coby wczoraj było aż tak strasznie.

Suttree wziął od niego butelkę, przechylał ją, dopóki w kąciku nie zebrała się resztka whisky, a potem napił się i wyrzucił pustą flaszkę w krzaki przez otwarte okno. No, powiedział. Myślisz, że teraz dasz radę?

Spróbujemy.

Reese wygramolił się boleśnie z pozbawionego drzwi auta i stał, mrużąc oczy w upale, niezbyt zadowolony z tego, co zobaczył. Jak myślisz, gdzie oni tu sprzedają piwo w niedzielę?

Pewnie tutaj, odparł Suttree, wskazując głową knajpę.

Szli z wywieszonymi językami jak psy, słaniając się na nogach wśród domków letniskowych, przez zapylone, żwirowe nieużytki i śmieci. Suttree zapukał do tylnych drzwi przybytku. Czekali.

Zapukaj jeszcze raz, Sut.

Zapukał.

W bocznej ścianie szczęknęła zasuwa i na zewnątrz wyjrzał jakiś mężczyzna. Co dla was, chłopcy?, spytał.

Macie jakieś zimne piwo?

Wszystkie piwa są zimne. Jakie chcecie?

Jakie chcemy?, spytał Suttree.

Jakiekolwiek, do cholery, powiedział Reese.

Macie millera?

Ile chcecie, sześciopak?

Suttree spojrzał na Reese'a, który patrzył na niego dobrotliwie.

Suttree spytał: Masz jakieś pieniądze?

Nie. A ty nie masz?

Suttree obmacał się dokładnie. Ani grosza, kurwa.

Bimbrownik przeniósł wzrok z jednego z nich na drugiego.

Gdzie ta perła?, spytał Suttree.

Stary podniósł nogę i postawił ją z powrotem na ziemi. Oparł się o ścianę budynku, podniósł nogę i sięgnął do skarpety. Wyciągnął swój pugilares.

Jak to możliwe, że wciąż to jeszcze masz, powiedział Suttree. Nie załapałeś się wczoraj na żadną murzyńską cipkę?

Załapałem się, cholewcia, a jakże. Alem ani razu nie zdjął butów.

Rozpiął pugilares, wysypał z niego perłę i podniósł ją. Patrzaj się tu, powiedział.

Co to ma być?, zapytał bimbrownik.

Perła. Dalej, przyjrzyj się jej.

Zjeżdżajcie stąd, skurwysyny, odpowiedział bimbrownik i zatrzasnął okienko.

Przez chwilę patrzyli po sobie, a potem Suttree kucnął na piasku wśród rozpłaszczonych puszek.

Kurde, powiedział Reese.

Suttree ścisnął dłońmi kolana i pokręcił głową. Fajowi z nas handlarze, powiedział.

Kurczę, nie cierpię takich sukinsynów jak ten, co to na niczym się nie znają.

Spadajmy stąd, do cholery. Do domu daleka droga.

Kiedy wchodzili przez most nad Pigeon River do Newport, minął

ich radiowóz policji okręgowej. Stary zauważył, że nadjeżdżają.

Pomachaj im, jakby cię znali, powiedział.

Chuja, odrzekł Suttree.

Radiowóz przejechał, a Reese machał i machał. Radiowóz zawrócił na skraju mostu, podjechał do nich i stanął obok. Gruby zastępca szeryfa zmierzył ich wzrokiem. Jak ci się wydaje, do kogo ty machasz, kolego?

Suttree jęknął.

Reese się uśmiechnął. Myślałem, że was znam, powiedział.

Doprawdy? Może chciałbyś pojechać na posterunek i poznać nas trochę bliżej.

On nie miał nic złego na myśli, panie władzo.

Zastępca szeryfa przyjrzał się Suttree'emu od stóp do głów, czerpiąc z tych oględzin niewiele satysfakcji. Ja o tym zadecyduję, odparł. Dokąd się wybieracie?

Obaj uznali, że prawo pozwoli im najwyżej na jeszcze jedną nieprawidłową odpowiedź. Popatrzyli po sobie. Suttree słyszał rzekę poniżej. Ujrzał, jak skacze do wody z rozkrzyżowanymi rękami, straceńczo, zagubiony. Zakrywa go szara, kotłująca się woda. Słyszał

silnik radiowozu o wysoko umieszczonym wałku rozrządu, głośno warczący na jałowym biegu. Do domu, odpowiedział.

Kierowca powiedział coś do zastępcy szeryfa, który przyjrzał się im raz jeszcze. No, odrzekł. To lepiej idźcie.

Tak, psze pana, odparł Suttree.

Bardzośmy wdzięczni, wasza władzo, powiedział stary.

Policjanci odjechali, na końcu mostu zawrócili i ruszyli w przeciwną stronę. Kierowca zerknął na nich w przelocie, ale obaj spoglądali w ziemię.

Sukinsyny, powiedział Suttree. Przez chwilę myślałem, że już po nas.

Wiem, jak sobie dać radę w takich sytuacjach, odparł Reese.

Mówiłem ci, żebyś nie machał, do cholery. I co, u diabła, miało znaczyć to wasza władzo?

Nie wiem. Kurde, łeb mnie boli.

Wlókł się przed siebie, trzymając obie ręce na czubku głowy.

Suttree spojrzał na niego z obrzydzeniem. Lepiej stąd spieprzajmy, powiedział.

Lepiej nie idźmy przez miasto.

Nie martw się, powiedział Suttree. Nie pójdziemy.

Skręcili nad rzekę, a Suttree wyznaczył położenie według słońca i wytyczył przełajową trasę, która miała ich wyprowadzić na autostradę za miastem. Poszli, błąkając się ponuro po piaszczystych ścieżkach i przez pola. Przeszli przez nędzną dzielnicę, ciągnącą się wzdłuż brzegu dopływu rzeki, nad strumieniem wszędzie trawa i rośliny uprawne, a potem osiedle biedadomków zniknęło, zastąpiła je kraina surowej gliny, usłanej śmieciami, kury i utytłane psy. Trupio bladzi i ciemnoocy ludzie przyglądali się im w milczeniu, ukradkiem, niewyraźnie rysując się w swoich progach. Żyli w takim ubóstwie, że na ich ziemi nie rosły nawet chwasty. Reese kiwał im głową i zagadywał na powitanie, ale oni tylko patrzyli przed siebie.

Minęli pastwisko, na którym metalicznie granatowe w słońcu wilgowrony przewracały zeschłe krowie placki w poszukiwaniu ukrytych pod nimi robaków, i ruszyli dalej na tyłach złomowiska, a słońce prażyło zarówno ich, jak i kryty papą dach szopy z częściami samochodowymi, a także niezliczone błotniki i maski z rozbitych aut, suszące się i obłażące z lakieru pośród wyziewów rozgrzanego zielska.

W końcu zgubili drogę na wielkim polu lucerny. Z trzech stron otaczał ich las, a z czwartej przyszli.

Którędy teraz?, spytał Reese.

Suttree przykucnął i złapał się za głowę. Niech jakiś skurwysyn mi powie, co ja tu robię, bardzo proszę, dobrze?

Zaś muszę zejść z tego słońca, bo zaraz mi łeb pęknie, powiedział

Reese. Spuścił wzrok. Suttree osunął się naprzód, na kolana. Wyglądali jak rozbitkowie. Nie kładźże się, powiedział Reese. Inaczej już więcej nie wstaniesz.

Suttree podniósł na niego wzrok. Ty sprowadziłbyś na złą drogę nawet samego papieża, powiedział.

On pewno nawet nie pije. Jak miarkujesz, którędy dalej?

Suttree dźwignął się z trudem na nogi, rozejrzał i ruszył znów naprzód.

Weszli do gęstego lasu i zaczęli się piąć pod górę. Na ziemi tu i ówdzie leżały kawałki wapienia i pojawiły się poniki, w które można było wpaść.

Jesteś uczulony na sumaka, Sut?

Nie. A ty?

Nie. Dzięki Bogu. Tego tutaj to chyba kto hoduje.

Szli dalej. Coraz częściej odpoczywali, wspinając się granią w górę. Przysiadali po prostu w krzakach jak małpy, przyglądali się sobie

nawzajem, właściwie niczego się nie spodziewając, i ciężko dyszeli.

Gdy weszli na szczyt, spojrzeli w dół i między drzewami, jakieś dwie mile dalej, zobaczyli pas czarnej autostrady.

Bez łyka wody chyba nie dam rady, powiedział Suttree.

Nie pij żadnej wody, Sut. Bo znowu się upijesz.

Suttree obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

Kiedy dotarli do drogi, słaniali się na nogach i wyglądali niczym obłąkańcy. Jak okiem sięgnąć ani po lewej, ani po prawej stronie nie było widać nawet żadnego billboardu. Suttree usiadł na skraju szosy, rozłożył nogi i zaczął dłubać palcem wśród żwiru i słomek.

Jedzie auto, Sut.

Spróbuj je zatrzymać.

No to wstańże. Nie zatrzyma się, jak zobaczy, że zaś kto siedzi.

Wpatrywali się w oczy kierowcy. Przewracał oczami niczym płochliwy koń, a samochód raptownie zjechał na środek drogi, jakby szofer chciał w ten sposób uniknąć ataku owych przydrożnych drapieżców, którzy być może żywili się mięsem zmotoryzowanych użytkowników drogi w jakichś odludnych miejscach.

Godzinę później wciąż tkwili w tym samym punkcie. Minęły ich trzy auta osobowe i jedna ciężarówka. Popatrzyli po sobie i każdy na siebie. Stary zaczął przeczesywać włosy rękami.

Lepiej chodźmy piechotą, powiedział Suttree.

Jak ci się widzi, dalekośmy są od domu?

Nie wiem. Dwadzieścia mil. Może trzydzieści. Oczy Suttree'ego sprawiały wrażenie wypalonych, a jego wargi powlekła zastygająca w skorupkę maź.

Jak ci się widzi, która będzie godzina?

Suttree spojrzał w niebo. Drżało nieznacznie niczym kadź z rozpalonym kobaltem. Po dwunastej. Może druga. Chodźmy za ten zakręt. Może jest tam jakiś sklep albo coś.

Stary osłonił oczy i spojrzał w dół na gorącą i parującą szosę, która rozpływała się w odległej mgle. Dalszy krajobraz wydawał się przeobrażać i wirować, Reese mrugał więc powiekami i wykonywał

dłońmi nieznaczne ruchy, jak gdyby chciał przywrócić przedmiotom ich właściwe kształty. Widzi mi się, że możemy spróbować, odpowiedział.

Ruszyli ze spuszczonym wzrokiem, powłócząc nogami. Jeżeli przez dłuższy czas nie patrzeć przed siebie, można się zdziwić, jak daleko się zaszło. Suttree liczył zakrętki od butelek w zapiaszczonym, przydrożnym żwirze. Potem zaczął je dzielić na leżące normalnie i do góry nogami. Nim doszli do zakrętu, krzyknął, żeby stanęli.

Reese zdawał się bliski łez, kiedy na niego spojrzał. Już my są prawie na zakręcie, Sut, powiedział.

Wiem. Chcę tylko odsapnąć chwilę, żeby nie zemdleć, jak zobaczymy następny odcinek drogi i nic tam nie będzie.

Jak ci się widzi, ile czasu człek może się tak pocić bez niczego do picia i nie uschnąć?

Suttree nie odpowiedział. Obejrzał się na drogę, płynąca płaszczyzna nawierzchni tworzyła na zamazanym od gorąca, czarnym asfalcie miraże stojącej wody. Zbliżała się ciężarówka. Widmowa ciężarówka, rosnąca w palącym skwarze kawałek po kawałku i płaszczyzna po płaszczyźnie, stary, czarny wóz, który wyjechał ze zwierciadła z gabinetu luster w wesołym miasteczku, powoli zlał się w całość, kiedy pokonał już połowę drogi, i stanął przy Reesie i Suttree'em.

Kurdebalans, zawołał Reese, zbliżając się chwiejnie do samochodu.

Suttree pomyślał, że jeśli wyciągnie rękę w stronę ciężarówki, ta znów się rozpuści w rozgotowanych płatach jego mózgownicy, skąd się wyłoniła. Ale stary wsiadał, plotąc coś bezmyślnie do kierowcy. Suttree poszedł za jego przykładem. Zatrzasnął za nimi drzwi, które zaraz znów się otworzyły.

Szarpnij je trochę do góry, powiedział kierowca.

Szarpnął je trochę do góry, drzwi zamknęły się i odjechali. Choć wyglądali i cuchnęli okropnie, ten święty człowiek wydawał się tego nie zauważać.

Daleko jedziesz?, spytał Suttree.

Do Sevierville. A wy, że tak powiem?

Był młodym chłopakiem o niemal białych włosach, a na jego podbródku i policzkach kładło się światło. Pojedziemy z tobą, jeśli nie masz zaś nic naprzeciwko.

Jesteście bardziej niż mile widziani.

Uff, powiedział Reese. Mało brakło, coby my już padli.

Za zakrętem był sklep. Przechylony, pomarańczowy dystrybutor paliwa. Suttree o mało nie zaskrzeczał, żeby stanęli na chwilę, a Reese patrzył na przesuwający się za oknem budynek coraz smutniejszym wzrokiem.

Skąd jesteście, że tak powiem?, spytał chłopak.

Spod Knoxville. A ty stąd?

Ee tam, odparł chłopak. Ja spod Sevierville. Przyjrzał się im obu.

Przyjechałżem tu wczoraj, coby sobie krzynkę zabradziażyć, powiedział.

Patrzyli w milczeniu na drogę. Reese spojrzał na chłopaka. Miał na sobie czyste ogrodniczki, pochylał się nad kierownicą i żuł tytoń. Byłżeś kiedy w tym tam Green Roomie?, spytał Reese.

Chłopak chytrze zerknął na niego z boku. Kurde, powiedział. Czy to nie najokropniejsza nora na świecie?

Nie byłeś tam wczoraj wieczorem, co?

Przyjechaliśmy dopiero dzisiaj koło trzeciej nad ranem.

Reese znów na niego spojrzał. Pokręcił głową. No, powiedział.

Ciesz się, żeś nie trafił tam wcześniej. Pierwsza zmiana to najprawdziwsze piekło. Co nie, Sut?

Kiedy dowlekli się do obozu nad rzeką, cztery kobiety i chłopak czekali na nich z ponurymi, zaciętymi minami.

Jejku, ale z was ziółka, powiedziała stara. Gdzie te zakupy, coście je mieli przywieźć?

Wszystko ci wytłumaczę, powiedział Reese.

Gdzie one? Hej? Jejku, ale z was ziółka.

Reese zwrócił się do Suttree'ego. Mówiłem ci, że tak powie. Co żem ci powiedział?

Kobieta stała, wziąwszy się rękami pod boki, włosy miała w strąkach, na twarzy maskę rozgoryczenia, wyglądała przerażająco i Suttree się odwrócił. Reese próbował go zatrzymać, żeby potwierdził

jego różne kłamstwa, ale on poszedł do przybudówki, wziął swoje posłanie i poczłapał z nim w kierunku rzeki. Słyszał narastającą za jego plecami kłótnię. Suttree ci powie. Spytaj się jego, jak mnie zaś nie wierzysz.

Położył się na swoim posłaniu. Robiło się ciemno, długi, późny zmierzch pełni lata w lesie. Chciał zejść nad rzekę, żeby się wykąpać, ale zbyt źle się czuł. Odwrócił się i spojrzał na ten niewielki skrawek ziemi, który otaczał zgiętym w łokciu ramieniem. Moje życie jest upiorne, powiedział do trawy.

Obudziła go dziewczyna, tarmosząc za ramię. Usłyszał, jak ktoś woła jego imię, i usiadł, zastanawiając się, o co chodzi. Z ciemności w dole rzeki wychodził chłopak z ładunkiem bladego, bezkształtnego drewna, które rzeka wyrzuciła na brzeg, przypominającego oczyszczone kości z kurhanu jakiegoś świętego. Kobieta przy ognisku zgięła się wpół, pochyliła i porozstawiała poczerniałe garnki, a stary przykucnął, skręcił jednego ze swoich sflaczałych, wilgotnych papierosów, zręcznie zapalił go węgielkiem i przypatrywał się swojemu dziełu. Wszystko to w atmosferze mrocznego ceremoniału. Suttree podszedł z dziewczyną do ogniska. Jedna z jej młodszych sióstr przyszła znad rzeki z dzbankiem do kawy, z którego kapała woda, i postawiła go na kamieniach.

Obrzuciła Suttree'ego powłóczystym spojrzeniem z ukosa i ustawiła dzbanek z wystudiowaną, domową swobodą, która w tych partyzanckich warunkach kazała się Suttree'emu uśmiechnąć.

Jedli prawie w milczeniu, lekkie mlaskanie, ukradkowe spojrzenia w świetle lampy. Posiłek składał się z białej fasoli, chleba kukurydzianego i gotowanej kawy z cykorii. Było w nich wszystkich jakieś wyciszenie, wykraczające poza zwykłą małomówność. Jak gdyby narzucono im odgórnie dyscyplinę. Od czasu do czasu kobieta nagradzała kulistą ciemność spojrzeniem pełnym ponurego niepokoju, jak zbieg. Kiedy Suttree skończył, podziękował kobiecie, wstał od stołu, ona skinęła głową, a on odszedł nad rzekę.

Obudził się raz w nocy na dźwięk jakichś głosów, cicha skarga, jakby niesione wiatrem skomlenie psów, chociaż jemu, gdy tak leżał, obserwując powolną procesję świateł niczym świece akolitów na autostradzie daleko za rzeką, odgłosy wydawały się raczej słabą wrzawą jakiegoś rozbawionego towarzystwa, przeniesionego tu ze snu, albo głosami dzieci, które pomarły, idąc drogą w ciemności z lampami w rękach, i płakały, odchodząc z tego świata.

Chłopiec pierwszy doznał oparzeń od sumaka. Najpierw między palcami, potem na ramionach i na twarzy. Nacierał się błotem, wszystkim, co wpadło mu w ręce. Widziałem psy w takim stanie, powiedział stary. Nic im nie pomagało.

Oko tak mu opuchło, że się zamkło, powiedziała kobieta rano przy śniadaniu. Chłopak podszedł do ogniska niczym lunatyk. Ramiona miał

nabrzmiałe jak żmije po posiłku. Przechylał nieco głowę na bok, by patrzeć zdrowym okiem. Skóra górnych partii jego ramion pękała, a z maleńkich szczelinek sączyła się przezroczysta, żółta ropa.

Stary pokręcił głową z obrzydzeniem. Nigdy żem nie widział

człowieka, coby aż tak napuchł od sumaka. Jakże miarkujecie, co mu jest?

Tylko trzymajcie go z daleka ode mnie, powiedział Suttree.

Myślałem, że nie jesteś uczulony na sumaka, Sut.

On chyba znalazł jakiś nowy gatunek.

Uuj, powiedziała Wanda. Strasznie wyglądasz.

Podszedł do niej, wymachując sztywno ramionami w diabelskiej pantomimie, a ona uciekła z krzykiem.

No, powiedział stary. Nie zachorujesz od tego, że wsiądziesz z nim do jednej łodzi.

Nie wsiadam do żadnej łodzi, powiedział chłopak.

Nie, tak?

Nie mogę zaś zginać rąk.

Reese trzymał nóż i łyżkę niczym świece, czekając na jedzenie.

Chłopak stał odrętwiały u szczytu stołu. Że co?, spytał Reese.

Nie mogę zginać rąk, powiedział wyniośle chłopak.

Stary odłożył cicho swoje sztućce. No to kurdemoł, powiedział.

Spojrzał na Suttree’ego. Widzi mi się, że dzisiaj musisz popłynąć z Wandą.

Mam lepszy pomysł, powiedział Suttree.

Jaki?

Ty popłyń z Wandą.

No, pomyślałżem, że ja popłynę na połów w dół rzeki sam. I że pozwolę ci popłynąć w górę rzeki z Wandą, bo ona zaś zna tamte okolice.

Kobieta zamaszyście postawiła na blacie kubeł owsianki, a stary chwycił chochlę i nałożył sobie jedzenie do miski. Suttree spojrzał

ponad stołem na chłopca. Wciąż stał z ramionami po bokach. Wanda siedziała naprzeciwko Suttree’ego. Nie podniosła wzroku. Wydawało się, że odmawia modlitwę przed jedzeniem. Suttree wziął chochlę i nabrał nią owsianki. Reese dmuchał na swoją, trzymając miskę obiema rękami i przypatrując się Suttree’emu znad jej brzegu. Podaj mi mleko, powiedział Suttree.

Siedziała na rufie, przodem do niego, zaciskając nogi, a on wiosłował, ręce miała złożone na kolanach, linki włóka kołysały się za jej plecami, zwisając z podpórek. Suttree przyglądał się nowej okolicy i pytał o różne rzeczy na brzegu albo z której strony opłynąć wyspę.

Odpowiadała na migi, jej młode piersi kołysały się pod lekką tkaniną sukienki, kręciła się po łodzi, ogarnięta dziecinnym entuzjazmem, długi błysk białych ud pojawiał się i znikał. Bose stopy na zamulonych deskach dna łodzi trzymała skrzyżowane.

Powiedziała: Zawołaj, jak się zmęczysz, to cię zmienię.

Nie ma sprawy.

Ciągle wiosłuję dla tatki. Potrafię dobrze wiosłować.

Okej.

Lubisz robić z Willardem?

Jest w porządku.

Ja nie. Robiłam z nim trochę zeszłego lata. To cwaniak z miodem w uszach.

Pewnie musisz się z nim wprawiać w wiosłowaniu.

Kurczę. On nic nie robi. Wiesz, że chciał mnie namówić, cobyśmy chowali perły, jakie znajdziemy, czyszcząc muszle, a potem cobyśmy się wymkli, przedali je i zatrzymali pieniądze dla siebie?

Suttree wyszczerzył zęby w uśmiechu. No, powiedział. Domyślam się, że poczciwemu Willardowi szczęście w znajdowaniu pereł pewnie za bardzo nie sprzyja. Powiedziałbym, że każdy znajdzie z pięć na jego jedną.

Kurczę, założę się, że zatrzymuje sobie te dobre, co je znajduje, i gdziesik je chowa. Patrzaj się tam, na tego okropnego węża.

Wąż wodny wił się w górę rzeki koło przybrzeżnych trzcin, jego gładki, śliski pysk spoczywał płasko na wodzie.

Normalnie nie cierpię tych stworzeń, powiedziała.

Nie zrobią ci krzywdy.

Kurczę. A jak ugryzie?

One nie gryzą. Poza tym nie są jadowite.

Przypatrywała się gadowi, przygryzając czubek kciuka.

Podpłyńmy tam po prostu i złapmy go, to ci pokażę, powiedział

Suttree, skręcając ostro lewym wiosłem.

Pisnęła i podskoczyła, chwytając się wioseł. Suttree zajrzał jej za dekolt aż do brzucha, gładziutka skóra, okrągłe i stwardniałe brodawki.

Buddy!, zawołała, upojona, bez tchu, roześmiana. Prawie mu usiadła na kolanach. Trzymaj się z dala od tego stworzenia.

Łódź zakołysała się. Dziewczyna złapała równowagę, kładąc mu rękę na ramieniu, dotknęła okrężnicy i usiadła, nieśmiały uśmiech.

Spojrzeli w stronę brzegu w poszukiwaniu węża, ale już go nie było.

Słońce grzało Suttree'ego w plecy. Pozwoli! jednemu wiosłu ciągnąć się po wodzie, zmoczył rękę w rzece i przyłożył sobie do karku.

Wystraszyłaś węża, powiedział.

To ty mnie wystraszyłeś.

Może zobaczymy jeszcze jednego.

Trzymaj się z dala od tych stworzeń. A jak wlezie na łódź?

To pewnie ty z niej wyleziesz. Suttree wyjrzał nagle za burtę. A, tu jest, powiedział. I\iż koło łodzi.

Pisnęła i wstała, składając przed sobą ręce, które dotykały się nadgarstkami, trzymała dłonie na wysokości ust.

Suttree potrząsnął i szarpnął wiosłem. Wpełza po wiośle, powiedział.

Buddeee!, zawyła, stając na ławeczce na pawęży. Wpatrzyła się w rzekę. Gdzie?, spytała.

Suttree puścił wiosło i śmiał się jak głupi.

Przestań, powiedziała. Słyszysz? Buddy?

Tak?

Obiecaj mi. Słyszysz? Nie róbże tego więcej.

Okej, odparł. Lepiej usiądź, bo wypadniesz za burtę.

Zeszła i usiadła, trzymając się okrężnicy z obu stron, jakby szykowała się na wzburzoną wodę. Suttree wcisnął stopy w spony w burtach łodzi i wypłynął na środek rzeki.

Drugie śniadanie zjedli na trawiastym pagórku nad brzegiem.

Chłodny wiatr, niosący woń mokrego mchu znad wody. Reese dostał

kredyt w sklepie, jedli więc kanapki z mortadelą i majonezem na białym chlebie i owsiane ciasteczka. Siedziała, podwinąwszy bose stopy pod siebie, wyciągała jedzenie z papierowej torby na zakupy i wykładała je.

Kiedy skończyli, Suttree położył się w trawie z rękami pod głową.

Obserwował chmury. Zamknął oczy.

Chwyciła za wiosła w drodze powrotnej, a Suttree zajął się włókiem. Pomagała mu wciągać obciążone małżami linki, pachnąca mydłem i potem, ocierała się o niego, miękka i naga pod sukienką, muszle ociekały wodą, kołysały się na linkach i klekotały niczym kastaniety.

Przeciągali załadowaną łódź przez płycizny, idąc obok niej po żwirowym dnie rzeki. Suttree podniósł łódkę za pierścień na dziobie, woda spłynęła na rufę, a on wsparł dziób łodzi na skale. Pochylali się nad łodzią z obu stron, ich głowy niemal się stykały, i wybierali wodę puszkami, służącymi jako czerpaki.

Dryfowali z prądem w dół rzeki o malowniczym zmierzchu, rzeka gadała wzburzoną wodą, a nietoperze latały tam i z powrotem nad ciemniejącym nurtem. Kołysali się, sunąc w dół po czarnych przełomach i gładziach wodnych, mijali żwirowe łachy oraz małe wysepki skał i kępek trawy.

Kiedy dotarli do obozu, nikogo tam nie było. Suttree wziął siekierę i poszedł po drewno, a dziewczyna rozpaliła wygasłe ognisko.

Przyszedł, ciągnąc parę uschłych pniaków, i zastał ją siedzącą przed ogniem na rozłożonym brezencie. Szybko podniosła wzrok i się uśmiechnęła.

Suttree włożył jeden z pieńków w płomienie. Wzbiły się gorące iskry, które poszybowały z wiatrem w ciemność. Gdzie są wszyscy?, zapytał.

Widzi mi się, że w kościele.

Myślisz, że Willard poszedł z nimi?

Mama każe mu chodzić. Zapędza go do roboty, jak się próbuje wymigać.

Suttree usiadł koło niej na brezencie.

W mroku słyszeli płynącą rzekę. Słyszał też oddech siedzącej obok dziewczyny, jej piersi wznosiły się i opadały, oczy patrzyły w ogień.

Suttree ukląkł, wyciągnął ręce nad ogniskiem i wepchnął pieniek głębiej, na lepsze miejsce. Odwrócił się do niej. Otaczała ramionami swoje zgięte w kolanach, wsparte na ziemi nogi. Pełne uda połyskiwały w blasku ogniska, klinek jakby różowego jedwabiu, który się marszczył w jej szparce. Pochylił się ku dziewczynie, ujął jej twarz w dłonie i pocałował, oddech dziecka, woń surowego mleka. Otworzyła usta.

Położył rękę na jej piersi, powieki Wandy zatrzepotały i osunęła się na niego bezwładnie. Kiedy wsunął dłoń pod jej sukienkę, nogi dziewczyny otworzyły się jak pozbawione kości.

Będą z tego same kłopoty, powiedział.

Nic mnie to nie obchodzi.

Jej sukienka zadarta aż po pas. Niewiarygodnie dużo nagiego ciała w świetle ognia. Była ciepła, mokra i miękko owłosiona. Wydawała się prawie nieprzytomna. Jemu kręciło się w głowie. Sprośna rozkosz, zaprawiona odrobiną żalu, kiedy ściągał jej majtki. Walczył jedną ręką z guzikami. Uda miała pokryte grubą warstwą śluzu. Objęła go za szyję.

Wygięła plecy i ostro wessała powietrze.

Snuła opowieść o tłumionym pożądaniu. Skłonił ją, żeby mu opowiedziała wszystko. Nigdy z żadnym mężczyzną. Kiedy podniósł się spomiędzy jej

ud, ognisko wypaliło się niemal całkowicie, do węgli.

Usiadła, wygładziła sukienkę i odgarnęła włosy do tyłu. Wstała, zabrała swoją leżącą na ziemi bieliznę i poszła do przybudówki. Suttree zobaczył, jak idzie z miednicą nad rzekę, a kiedy wróciła, była wykąpana i zmieniła sukienkę. Gdy rozdmuchał na nowo ogień, podeszła, usiadła obok niego i wzięła go za rękę.

Przyszła do niego jeszcze raz tej nocy, nad rzekę, gdzie sypiał, obudziły go kobiece dłonie na jego ciele i ciepły oddech. Chciała spać u jego boku, ale ją odprawił. Wróciła ponownie nad ranem i Suttree stawił

czoło dniu na uginających się nogach. Zobaczył, jak wraca znad rzeki z wiadrem wody, uśmiechnięta. Podszedł do ogniska, przy którym zastał

Reese'a, siedzącego z rękami na kolanach.

Upalne noce wypełniły się letnimi grzmotami. Dalekie, cienkie, gorące błyskawice, nocne niebo szalało i powracało do zdrowia. Suttree przeniósł się na żwirową łachę na rzece i tam rozłożył swój koc pod mgiełką światła gwiazd, leżał nagi na wznak na wirującej ziemi. Rzeka gadała i mlaskała u jego boku. Długo leżał, nie śpiąc, gdy gasły ostatnie mętne kształty w węglach ogniska, po czym wchodził nago do chłodnej, aksamitnej wody, zanurzał się w niej jak wydra, wynurzał i parskał, kamienie gładkie niczym kulki do gry pod zaciśniętymi palcami jego stóp, a przed oczami płynęła ciemna woda. Leżał na wznak na płyciźnie i w takie noce widział, jak gwiazdy ruszają nagle, gorące niczym strzelba, po czym gasną w drodze przez nieboskłon. Ogrom wszechświata napełniał go dziwnym, słodkim smutkiem.

Zawsze go znajdowała. Schodziła blada i naga spomiędzy drzew do wody niczym sen, nawiedzający więźniów odsiadujących długie wyroki albo marynarzy na morzu. Albo dotykała jego policzka, gdy Suttree spał, i wymawiała jego imię. Podnosiła ręce jak dziecko, by zdjął

z niej nocną koszulę, żeby mogła się położyć u jego boku, chłodna i naga.

Siedziała na dziobie łodzi, płynącej w górę rzeki. Czubkami nieco zimnych palców wodziła po jego karku, a on odwrócił się i spojrzał na nią spod przymrużonych powiek. Słońce roiło się na wodzie. Jak będziesz tak dalej robić, to cię przelecę, powiedział. Przyklękła i wsunęła aksamitny język między jego wargi. Pachniała mydłem i dymem drzewnym. Miała słony smak.

Skierował łódź w stronę brzegu i rozłożył nagą dziewczynę w trawie, jej poważna i lekko uśmiechnięta twarz otoczona czarnymi włosami, idealnie równe zęby, skóra bez najmniejszej skazy, bez choćby jednego pieprzyka. Brodawki w kształcie tulipanów, pełne, a pępek był

tylko szczeliną w jej płaskim brzuszku. Gładkie uda, dziecięca bezwstydność, drobne dłonie wpijające się w jego pośladki. Jej skomlenie przywodziło na myśl małego psiaka.

Pływali w rzece i zasnęli na słońcu. Obudzili się upalnym przedpołudniem i śmiali z pośpiechu, z jakim pracowali. Reese zszedł w ciemności na dół, żeby pomóc im zacumować wyładowaną łódź, przesunął promień latarki po stosach skorupiaków, po czym wszyscy troje ruszyli wyżej między drzewa, do ognia.

Usiadła naprzeciwko Suttree'ego, patrzyła na niego, przyniosła mu kawę, a kiedy zabierała jego pusty talerz, wcisnęła mu w ucho swą miękką, młodą pierś.

Widzi mi się, że ta dziewczyna jest lepszą kucharką od matki, powiedział Reese. A ty jak myślisz?

Suttree przestał jeść, spojrzał na Reese'a z ukosa i znów zaczął

poruszać szczękami.

Kochana mała, moja ulubienica, powiedział Reese. Normalnie wykonuje męską robotę.

Suttree wypluł w ciemność nierozpuszczalną grudkę chrząstki.

Kobiety z trudem dźwigały balię z wodą do mycia w górę zbocza, Wanda się śmiała, woda przelewała się po bokach naczynia.

Chcesz więcej kawy, Sut? Krzyknij do niej i każ jej przynieść dzbanek.

Z drugiej strony ogniska obserwowały go jej rozpalone oczy, a wszystko, co robiła, robiła niemal bez tchu. Odszedł nad rzekę z latarką, ruszył ścieżką, migając światłem w martwej, przybrzeżnej wodzie, gdzie na dnie leżały pijawki, stare butelki, pokryte sierścią mułu, katatoniczne alozy o bladych jak księżyc oczach. Zgasił światło, siedział w spokojnej ciemności i słuchał chlupotu fal na skalistej mieliźnie, łagodny szept w trzcinach, gdzie płynęła rzeka. Od ogniska odeszła jakaś postać, kucnęła w trawie, podniosła się i wróciła. Wierzby na drugim brzegu kształtowały nocą widok na odległe góry, ciemniejące na tle bledszego nieba. Półksiężyc rozżarzony w czarnym, galaktycznym klinowym rowku koła, niebiosa zamknięte, wirujące. Samotna gwiazda na północy blada i niezmienna, latarnia starego wędrowca płonęła niczym rozpalony gwóźdź, mocujący Małą Niedźwiedzicę na obracającym się firmamencie. Zamknął oczy, otworzył je i spojrzał jeszcze raz. Uderzyła go wierność ziemi, którą zamieszkiwał, i nagle poczuł do niej miłość.

Rankiem chłopak pomógł im rozładować małże, markotna, podejrzliwa twarz, potencjalny szpieg. Kobieta i młodsze dziewczynki przyszły nadrzeczną ścieżką z przyborami do wyłuskiwania skorupiaków, kobieta jak zwykle z oficjalną miną, dziewczęta tuż za nią, krok w krok. Przy kolacji wieczorem Reese powiedział, że myśli, że Willard czuje się już na tyle dobrze, aby pracować, a chłopak obrzucił

Suttree'ego gniewnym spojrzeniem przez stół.

Dwa poranki później patrzył na Willarda siedzącego na rufie łodzi.

Chłopak miał na sobie znaleziony gdzieś ciemnoniebieski kapelusz, zrobiony ze sztucznego filcu i chyba z papieru. Suttree wiosłował z odwróconą głową, obserwując brzeg. Przez cały dzień prawie się nie odzywali. Kiedy wyładowali małże w dole rzeki, zbliżał się wieczór.

Tatko ma tu zarzuconą przynętę w rozpadlinie, powiedział

chłopak. Kazał nam wyciągnąć swoje włóki.

Suttree wsparł się na szufli. Ty je wyciągnij, powiedział.

Willard wygramolił się na brzeg i pogwizdując, zniknął na ścieżce nad rzeką. Nie było go prawie godzinę, a kiedy wrócił, ciągnął za sobą sporego wiosłonosa, relikt dewońskich mórz, bezłuskie, skórzaste stworzenie o pysku przypominającym kaczy dziób i oczkach kryjących eony nocy. Suttree pokręcił głową. Jakiś pokrewny duch łączył tę bestię i jej łowcę. Patrzaj się tu, zawołał chłopak. Suttree siedział w łodzi z głową w dłoniach. Zanim pokonali pół drogi do obozu, ogarnęła ich ciemność.

Spędzili ostatnią godzinę, wiosłując w górę rzeki, chłopak na dziobie sondował kijem dno, pokonywali płycizny, na których wiosła tarły o żwirowe dno, skały sunęły pod łodzią z powolnym, głuchym chrzęstem i walczyli z gałęziami, wdzierającymi się w mroku na pokład.

Zeszła do niego o niewiadomej godzinie przed świtem i położyła się obok. Położyła mu głowę na piersi.

Musimy z tym skończyć, powiedział.

Dlaczego.

Przyłapią nas.

Nic mnie to nie obchodzi.

Zajdziesz w ciążę.

Nie odpowiedziała. Po chwili odezwała się: Moglibyśmy uważać.

My na nic nie uważamy.

To co poczniemy?

Suttree leżał, wpatrując się przez drzewa w nocne niebo.

Nie chcesz, żebym więcej przychodziła?

Nie odpowiedział.

Buddy?

Nie, odrzekł. Jego głos brzmiał dziwnie i obco.

Leżała tak przez dłuższy czas. Nie odzywali się. Potem wstała i wróciła na wzgórze.

Myślał, że następnej nocy mimo wszystko wróci, ale nie przyszła.

Raz się obudził i usłyszał szelest, nocny wiatr, psa w ciemności. Jedna z dziewcząt zeszła nad rzekę i wróciła. Wstał, ruszył ścieżką, wszedł do wody i kucnął, patrząc nad ciemnym nurtem na jeszcze ciemniejsze zarysy drzew na drugim brzegu i wątłe płycizny mgieł.

W trzecim tygodniu sierpnia zaczęło padać. Suttree i chłopak znajdowali się na rzece, kiedy przyszedł deszcz, a że był bardzo zimny, owinęli przed nim szyje i skierowali się ku brzegowi. Do rzeki spadały nie krople, lecz całe glicerynowe grudy wody, wzbijające wielkie koła, przypominały pęcherze moczowe, które pękały z nieustannym, sykliwym trzaskiem. Kapelusz chłopaka zsuwał się mu powoli i mrocznie na twarz niczym kwiat w kałamarzu, aż wreszcie Willard wyglądał spod niego jak spod przemoczonego kaptura, przygarbiony, jego oczy latały na wszystkie strony z głęboką podejrzliwością. Suttree przy wiosłach uśmiechnął się szeroko. Chłopak odpowiedział

półuśmiechem. Jego głowa stawała się jasnoniebieska od farbki kapelusza. Nigdy żem nie widział większego deszczu, a ty?, zapytał.

Co?

Powiedziałem, że nigdy żem nie widział wiekszego deszczu, a ty?

Nie.

Dobili do brzegu bokiem, Suttree wciągnął wiosła na łódź, wziął

linę do ręki i wyskoczył na brzeg. Runął głową naprzód i ześlizgnął się z powrotem do rzeki, zagarniając zagiętymi szponiasto palcami pełne dłonie błocka. Kiedy się wyprostował, stał w wodzie po pierś. Pierwsze, co zobaczył, to chłopaka obejmującego się rękami jak kretyn. Suttree poczłapał do łodzi i przewiesił się łokciami przez burtę. Z czego się, kurwa, śmiejesz, powiedział.

Uff, sapnął chłopak. Wyglądałżeś jak taka wielka jaszczurka, co się wślizguje do rzeki.

Ty głupi gówniarzu. Może byś tak wziął to wiosło i zepchnął nas na brzeg.

Chłopak wstał chwiejnie, ciągle kręcąc głową, i sięgnął po wiosło.

Zniosło ich pod wierzby, a Suttree jednym łokciem trzymał się łodzi i ciągnął ją do siebie. Lało tak mocno, że uderzenia kropli sprawiały ból.

Suttree przywiązał łódź, wczołgał się między wierzby i wyżej, na brzeg.

Niedaleko, jeszcze wyżej, stał gęsty zagajnik cedrów, skierował się więc w jego stronę. Szedł na czworakach pod drzewami, płosząc ptaszki, które wylatywały na deszcz. W zagajniku dzień był jeszcze ciemniejszy, ale gęsty, brązowy kompost pod nogami prawie suchy, zdjął więc buty, wylał z nich wodę, wyciągnął zwinięte w noskach skarpety i wyżął je.

Ściągnął koszulę, wykręcił i włożył z powrotem. Usłyszał, że ktoś nad rzeką woła jego imię. Wśród cedrów perliła się spływająca woda, która kapała wokół niego. Rozgarnął gałęzie i zobaczył chłopaka, idącego nadrzeczną ścieżką w zsuniętym na uszy kapeluszu, twarz miał w niebieskie cętki i wymachiwał ramionami jak idiota zabłąkany tutaj ze szpitala chorób zakaźnych.

Padało przez trzy dni, a oni siedzieli wzdłuż wąskiego pasa suchej ziemi pod urwiskiem i grali w karty, cerowali i łatali ubrania, Reese najpierw wystrugał piszczałkę z rzecznej trzciny, potem węża o oczkach z maleńkich pereł i wreszcie lipowego niedźwiedzia dla najmłodszej dziewczynki, którego poczernił pastą do butów.

Czwartego dnia trochę się przejaśniło, próbowali więc spuścić łodzie na warczące, żółte wody powodziowe, ale z przyjemnością dali sobie z tym spokój. Tego wieczoru zaczęło znowu padać i nie chciało przestać. Przez dwa tygodnie leżeli w obozie i przyglądali się, jak rzeka pęcznieje i puchnie, aż wreszcie zahuczała przeraźliwie wśród drzew pod urwiskiem i zalała pola na drugim brzegu, daleko jak okiem sięgnąć.

Pierwszego z tych dni Reese wyznaczył wachtę na łodzi, żeby mogli wypłynąć, gdyby na rzece pojawiło się coś wartościowego, ale wkrótce wody stały się zbyt zdradzieckie, by podejmować ryzyko.

Zgromadzili dziwaczną kolekcję rozmaitych dóbr, które stary posortował i podzielił między nich, kierując się nieodgadnionymi zasadami sprawiedliwości. Całymi godzinami siedział w kucki i patrzył

na płynącą rzekę, ze smutkiem wskazując różne cenne przedmioty, pędzące obok nich z prędkością pociągu. Wracał ociekający wodą, siadał przy ogniu i kręcił głową.

Spędzili trzy dni, szuflując małże w górze rzeki, gdzie woda wysysała skraj stosu skorupiaków i zabierała muszle. Kiedy powędrowali w dół rzeki, żeby sprawdzić, jak tam się rzeczy mają, zauważyli, że woda podmyła część brzegu, a ze sterty muszli ubył

potężny kęs w kształcie rogalika.

W nocy przyglądała się mu oczami pełnymi pytań. Deszcz uczynił

z nich wszystkich tak bliską i trwałą wspólnotę, że hierarchia rodzinna wydawała się zmieniać. W tych ostatnich dniach ujawnił się w niej bowiem słabo wykształcony matriarchat i Suttree doszedł do wniosku, że tak zawsze było. Siedzieli pod skalną półką, osłonięci od wiatru, płomienie niewielkiego ogniska lizały ciemność, a wszędzie dookoła w lesie bez ustanku padało, wyglądali więc niczym stado ludzi z epoki kamienia łupanego, wyrzuconych na brzeg z jakiegoś atawistycznego snu.

W biurze starego motelu przy szosie Suttree znalazł stertę pleśniejących książek i czytał je jedna po drugiej, jak leciało. Leżał

okryty kocem na kolanach, oparty o skałę. Przeczytał *Tom Swift and His Motorcycle, The Black Brotherhood* i *Mildred at Home.* W sumie około dwunastu powieści, a kiedy skończył, zaczął je czytać od nowa.

Dziewczyna przeczytała *Mildred at Home* i opowiadanie o pielęgniarkach. Powiedziała, że chciałaby być pielęgniarką. Popatrzył na nią. Uśmiechnęła się lekko.

Gdy wszyscy posnęli już na swoich miejscach, wstała, wyszła z przybudówki owinięta kocem i zeszła z urwiska w stronę lasu. Suttree przyglądał się jej. Kiedy zniknęła, podniósł się i rozejrzał. Potem odrzucił koc i poszedł za nią.

Dogonił ją tuż za pierwszymi drzewami. Nie mogła się od niego oderwać. Trochę padało i oboje przemokli. Była naga pod kocem, który opadł u jej stóp ciemną kałużą. Suttree ukląkł na nim, z piersi dziewczyny kapała deszczówka, ściekająca cienkimi strużkami po jej bladym brzuchu. Z uchem przy łonie tego dziecka słyszał syk meteorytów, lecących przez ślepe gwiezdne głębie. Jęknęła i wspięła się na palce, przytrzymując jego głowę rękami.

Kochankowie leżeli spleceni w ociekającym wodą lesie i słuchali padającego deszczu, serce przy sercu. Jej mokre włosy spoczywały na twarzy Suttree'ego jak czarne wodorosty. Wypowiedziała jego imię.

Poruszył się, jakby chciał wstać, ale trzymała go.

Przeziębisz się, powiedział.

Nic mnie to nie obchodzi.

W ich ostatnim tygodniu na rzece do obozu trafiło dwóch łowców oposów. Zanim wyszli na górę, Suttree i poławiacze małż usłyszeli psy, krążące z tyłu na grani, i myśliwych szczujących je w ciemności. Dwie powłóczące nogami sylwetki wyłoniły się z nocy niczym niepomyślne wieści, niosły zapaloną lampę na długim kabłąku i posklejaną taśmą strzelbę. Przykucnęli obok siebie na ziemi niczym myszołowy i rozdzielali uśmiechy. Suttree przyjrzał się im. Spojrzał najpierw na jednego, potem na drugiego. Byli do

siebie podobni aż po szczerby pomiędzy splamionymi, brązowymi zębami. Zmarszczki wokół oczu, fałdy na suchych, ptasich szyjach. Usiedli w kucki, kiwali głowami, uśmiechali się i spluwali do ogniska, mówiąc powitać, powitać.

Siednijcie się ogrzać, powiedział Reese. Hej, stara. Trza nam tutaj parę kubków kawy.

Powitać, powitać, powiedzieli łowcy oposów.

Słyszelimy jaki czas temu wasze psy. Nie osaczyły zwierza?

Ee tam. On, znaczy się Fernon, ma taką młodą sukę, co to goni za polatuchami. Skopał ją już tak, że z jednego boku się całkiem płaska zrobiła, ale ona nie chce przestać.

Jak tylko zobaczę jaką polatuchę, co wyjdzie na strzał, uwiążę ją suce na szyi i będzie ją nosić, póki wiewiórka nie zgnije i nie odpadnie.

To złamie każdego psa. Wy też tu połujeta z psami?

Ee tam. Obozujemy po prostu i zbieramy małże. Niech mnie cholewcia, jeżelim widział kiedy w życiu dwóch takich podobnych do siebie facetów jak wy.

Łowcy oposów popatrzyli po sobie i parsknęli rubasznym śmiechem. Wysunęli jednocześnie jakby związane drutem podbródki i splunęli do ognia. Jesteśmy bliźniakami, powiedział jeden z nich.

Takem sobie właśnie myślał.

Ludziska zwykle nie umią nas odróżnić.

Kinrczę, można ludziom płatać różne figle, jak się jest tak podobnym jak Vernon i ja.

Reese wziął od kobiety kubki, postawił je na płaskim kamieniu przy ogniu i sięgnął po stary, niebieski emaliowany dzbanek do kawy.

Spoglądał to na jednego, to na drugiego myśliwego. Zaś macie tak samo na imię, tak?, spytał.

Łowcy oposów znów się rubasznie zaśmiali, a ten ze strzelbą szturchnął drugiego łokciem pod żebro. A skąd, powiedział. Ja jestem Vernon, a ten tutaj to Fernon.

Reese wyszczerzył zęby w uśmiechu. Suttree opierał się plecami o urwisko i obserwował ich. Byli chudzi, długokościści, kolanami sięgali niemal uszu, kiedy siedzieli, a otwarte dłonie trzymali na ziemi grzbietami do dołu jak małpy.

Ludziska często myślą, że mamy tak samo na imię, powiedział ten z lampą. No, boć nasze imiona takie są podobne. Ale ta kawa przyjemnie pachnie.

To po prostu pijta, ile chceta, odezwał się Reese, ostrożnie nalewając kawę.

Wcisnęli swoje chude oblicza w kubki i popatrywali znad nich dookoła. Reese był pełen podziwu, ciągle przenosił wzrok z jednego bliźniaka na drugiego, kręcił głową i rozglądał się po członkach swojej rodziny, żeby zobaczyć, co myślą.

Po prawdzie to sami nie wiemy, który z nas jest który, nie ma bata, powiedział ten ze strzelbą. Matula nie potrafiła nas odróżnić. Normalnie zgadywali. Dopóki nie mielimy po cztery czy pięć roków, bo wtedy już moglimy się wołać sami. Ale nie wiadomo, ile razów wcześniej moglimy się zamienić na imiona.

Dali nam takie ładne bransoletki z imionami, ale od razu żeśmy je pozrywali. Nie znoszę takich rzeczy i Vernon też. Normalnie nienawidzę zegarków na rękę.

Raz jakżem miał ośm roków, to spadłem z drzewa i złamałem rękę, a Vernon był u dziadunia. Nie pozwolili mi do niego iść, bo żem coś tam nabroił. Spadłem z czarnego orzecha na podwyrku za domem i leżałem, wrzeszcząc, aż matula przyszła i mnie zabrała. No to wybiegła na drogę, zatrzymała samochód, położyli mnie do niego i powieźli do doktora

Harrisona, i weszlimy po schodach na górę do jego gabinetu, i siedział tam Vernon, bo i on złamał rękę.

Ten ze strzelbą wyszczerzył zęby w uśmiechu. Obaj żeśmy spadli z dwóch czarnych orzechów dokładnie w tej samej chwili, ośm mil od siebie. Ja żem złamał prawą, a Fernon lewą rękę, i on jest szmaja, a ja żem praworęczny.

No, no, powiedział Reese.

Nie musisz się nas pytać. Pisało o tym w gazetach. Możesz sobie sam pójść i to znaleźć.

Długo żeśmy nosili ze sobą ten artykuł.

Jeden potrafi zgadnąć, o czym myśli drugi, powiedział mężczyzna ze strzelbą. Skinął na brata. Znaczy się on i ja.

Reese popatrzył na niego, a potem na tego z lampą.

On pomyśli słowo, a ja potrafię powiedzieć jakie. Albo ja myślę, on mówi, wszystko jedno.

To niemożliwe, powiedział Reese.

Łowcy oposów popatrzyli po sobie i uśmiechnęli się szeroko.

O co się założysz?

No, nie chcę się o nic zakładać. Ale chciałbym to zobaczyć.

Znowu spojrzeli na siebie. Odwracali dziwnie głowy ku sobie jak mechaniczne lalki. Idźże tam, Fernon, a ja zaś się odwrócę.

Ten ze strzelbą odwrócił się gibkim ruchem jak wokół osi.

Zobaczył opartego o skałę Suttree’ego, puścił do niego oko, zasłonił

sobie uszy rękami i pochylił głowę. Drugi wstał, podszedł do Reese’a, kucnął koło niego i pochylił się nad jego uchem. Powiedz mi zaś słowo,

powiedział.

Jakie?

Po prostu słowo. Jakie bądź. Cicho. Szepnij mi je do ucha.

Reese nachylił się, osłonił dłonią ucho łowcy oposów, a potem znów usiadł wyprostowany. Łowca oposów bezgłośnie powtórzył słowo, wznosząc oczy ku niebu. Znad rzeki dobiegło słabe wycie psów, a nad zalanymi polami odpowiedziało im ujadanie psa podwórzowego.

Mężczyzna ze strzelbą podniósł głowę i opuścił ręce, którymi zasłaniał uszy. Chłopak podszedł do ognia i przysiadł koło Reese'a, a starsza kobieta i dziewczęta przyglądały się myśliwemu ze strzelbą.

Wiesz już, Fernon?, zawołał jego brat.

A jak, odparł Fernon.

Myśliwy otworzył oczy. Siedział w kucki w bezruchu. Jego zgięty cień, przekłuty strzelbą jak rożnem, padał na wapienne łupki. Fernon popatrzył na Suttree'ego. Brat, powiedział.

Suttree wstał. Myśliwy obrócił się raptownie i stanął twarzą w twarz ze swoim nieuzbrojonym odbiciem po drugiej stronie ogniska, ze swoim złowrogim izomerem z krwi i kości. Zahukali obaj niczym mandryle i wskazali Reese'a wyciągniętymi z przeciwnych stron rękami.

Reese cofnął się, przykładając rękę do szyi. Suttree wziął swoje posłanie, zszedł poniżej urwiska za krąg ognia i ruszył nad rzekę przez las.

Rankiem wyszedł w deszczu na szosę i spojrzał na długi, czarny, prosty odcinek drogi. W nocy mocno wiało i mokry asfalt wyglądał jak emaliowany liśćmi. Mógł po prostu odejść stąd tą drogą.

Stara kobieta i dziewczęta wróciły około czwartej z jajkami i innymi produktami z farmy w górze rzeki, gdzie chodziły na handel.

Stara rozglądała się frasobliwie przy robocie, ugniatając ciasto na suchary, wkładając je do żelaznego holenderskiego pieca i starannie układając węgle na pokrywie. Zapadł już zmierzch, gdy przyszli Reese i chłopak. Kolację zjedli w milczeniu. Drobniutki, delikatny deszczyk, który padał przez cały ranek, ustał, Suttree zabrał więc swoje posłanie nad rzekę i położył się ze splecionymi na piersiach rękami. Wpatrywał

się w bezgwiezdną ciemność. Kształty drzew rysujące się niewyraźnie w świetle błyskawicy. Odległe uderzenie grzmotu. Odgłosy rzeki. Każdy zmienny powiew wiatru zdmuchiwał z drzew wodę, która rozpryskiwała się lekko na liściach i twarzy Suttree'ego. Miał już dosyć deszczu. Ogień przygasł, Suttree odprężył się, zaczął zapadać w sen. Chwilę później wszystko zmieniło się na zawsze.

Zerwał się na nogi. Łupkowa ściana nad obozowiskiem zawaliła się w ciemności, runęły całe poszarpane występy skalne, wielkie kamienne płyty pękały wzdłuż szpar z suchym trzaskiem i waliły się na ziemię z hukiem, głuche dudnienie niosło się echem za rzekę i z powrotem, a potem słychać było już tylko osypujące się małe kamienie, cienkie, grzechoczące w mroku tafle ilastych łupków. Suttree wciągnął

spodnie i ruszył biegiem między drzewami. Usłyszał wołanie matki. O

Boże, krzyczała. Słuchał tego nawoływania z bólem serca. Chciała, żeby Bóg jej odpowiedział.

Reese!, zawołał Suttree. Nie było światła. Wpadł na grupkę leżących na ziemi postaci. Szloch w ciemności. Padał na nich deszcz.

Suttree nie zwracał na to uwagi. W srogim rozlewisku błyskawicy obraz barokowej piety, kobieta mamrocze coś, klęczy na deszczu, zaciska dłonie na obdartych ze skóry kończynach i strzępach ciał pośród skalnych płyt. Odciągała ją jedna z młodszych dziewcząt. Wcześniej przybiegł chłopak z latarką.

Nie rób tego, powiedział Suttree.

Boże wszechmogący, powiedział chłopak.

Suttree chwycił go za rękę. Przestań na nią świecić, do cholery.

Mamo. Mamo.

O Boże, powiedział Reese.

Suttree odwrócił się i zobaczył, jak stary kuśtyka ku nim, trzymając się za kolano. Ukląkł przy kobiecie. Gdzie to światło, powiedział. Wiem, żem widział światło.

Suttree klęczał przy Reesie. Tajemnicza błyskawica oświetliła pokrytą welonem deszczu zastygłą siną twarz na ziemi. Chwycił bladą rękę, żeby zbadać puls. Była bezwładna, odwróciła się w jego dłoni w niewłaściwą stronę i nie wyczuwał w niej pulsu. Reese drapał skały, a kobieta jęczała i waliła w nie ręką, jakby były jakimiś bezrozumnymi stworzeniami, które da się odpędzić. Suttree wziął latarkę od chłopaka i poświecił wokół. Spustoszenie, zmiażdżone stare szyldy i deski. Garnek, pogięta lampa.

Na drugim końcu osuwiska siedziała w milczeniu na deszczu zakrwawiona najmłodsza dziewczynka i przyglądała się im. Suttree wyciągnął rękę, chwycił leżący na samej górze łupek, podniósł go, a potem wsunął na miejsce.

Pracowali w milczeniu, a kiedy odrzucili wszystkie kamienie, staremu udało się jakoś dźwignąć pokiereszowane ciało dziewczyny i zaczął się z nim oddalać chwiejnym krokiem. Przekrzywiona latarka leżała na ziemi, jej promień bił skośnie w górę, w stronę ostatecznej nocy, a drobny deszcz zacinał z boku. Wydawało się, że Reese idzie z dziewczyną w kierunku rzeki, ale stracił równowagę na sypkim piasku i upadł razem z nią, i klęczał nad nią w deszczu, złożył zaciśnięte pięści na piersiach i wołał w zalegającą nad nimi wszystkimi ciemność. O

Boże, już więcej nie mogę. Proszę, zdejmij ze mnie ten ciężar, bo zaś nie mogę go unieść.

Wypłynął w dół rzeki w mroku, wiosła na pokładzie, obracał się z wolna, niesiony prądem, podskakując na płyciznach. Topole migały niczym szeregi szkieletów. Z nadejściem świtu dryfował przez spokojne ziemie uprawne

nad wysoką i zamuloną rzeką. Płynął dalej, mijając pasące się krowy, które rwały trawę głośniej, niż dzwoniły ich dzwonki.

Podniosły łby, zdziwione jego widokiem. Pola poprzecinane były łachami mułu, a na krzakach wzdłuż linii brzegowej wszędzie zalegały kawałki drewna i strzępy papieru. Przepłynął pod betonowym mostem i chłopcy, łowiący na nim ryby, wołali do niego, ale nie podniósł wzroku.

Siedział na łodzi, trzymając na kolanach odwrócone wierzchem do dołu ręce, pokryte ciemną, zakrzepłą krwią. Jego oczy widziały okolicę, przez którą płynął, ale nie rejestrowały obrazu. Nie zamierzał wracać drogą, którą przybył w te strony, ani opowiedzieć komukolwiek o tym, co tutaj widział.

24

Całymi dniami leżał w łóżku, nikt go nie odwiedzał. Beczki w jednym rogu zostały zgniecione i jego domek na barce się przechylił, Suttree musiał więc z jednej strony podłożyć cegły pod nogi łóżka. Nie zarzucał już linek połowowych. Okna były w większości powybijane, ale nie wychodził, żeby je naprawić. Rzeka wypełniła się liśćmi. Długie jesienne dni. Babie lato. Pewnego wieczoru zawędrował na wzgórze w poszukiwaniu Harrogate'a, nie znalazł go jednak. W cuchnącej stęchlizną twierdzy pod łukami wiaduktu nie było śladu po różnych meblach mieszczucha, leżał tam natomiast dawno już zdechły pies, którego żółte żebra sterczały pod pleśniejącym dywanikiem skóry niczym zęby.

Przeszedł przez żelazny most nad rzeką, zszedł ze stromego brzegu po drugiej stronie i wyszedł na tory. Suche zielsko wśród podkładów, martwe płatki trojeści, sumaka i mimozy. Starą lokomotywę pochłonął

już do połowy powój kudzu, a na krytych papą dachach wagonów wygrzewały się ogromne jaszczurki.

Przeszedł obok wysokich, żelaznych kół z pajęczynami szprych, zatarte czopy i tłoki, grube, zwinięte sprężyny, tender i butwiejący wagon socjalny, łuszczyła się z niego farba, w oknach brakowało szyb, aż dotarł do wagonu brekowego.

Nikogo nie było. Wszedł na schody i pchnął drzwi. W środku pełno śmieci, przewrócony kopniakiem żelazny piecyk leżał na podłodze, a zardzewiała miejscami rura spoczywała w kupce popiołu i węgli. Na stole w dziwnym, małym, wykuszowym oknie pieczęć żółtej stearyny i dwie wypalone zapałki. Materac leżał zsunięty do połowy z pryczy i trudno było poznać, że starzec kiedyś tu mieszkał. Suttree rozkopał śmieci, puszki, papiery i szmaty i wyszedł. Ruszył wzdłuż starych torów w dół rzeki, aż dotarł do mostu, gdzie zawołał szmaciarza.

Kto tam?

Suttree.

Wejdź do środka.

Wyjdź na zewnątrz.

Stary wyjrzał ze swojej olbrzymiej krypty. Wyszedł z ociąganiem.

Usiedli na ziemi i szmaciarz spojrzał na niego gasnącymi oczami.

Niechlujny baron, nie zarabia na życie cłami ani mytem. Gdzieżeś bywał?, spytał.

Wyniosłem się na jakiś czas na French Broad. Co się stało z Daddym Watsonem?

Nie wiem. Ja żem go nie widział.

No, nie mieszka już tu na górze. Nic nie wiesz, co się z nim dzieje?

Szmaciarz pokręcił głową. Dzisiaj tu, jutro tam, odpowiedział.

Nieokreślonym gestem wskazał ziemię, jak gdyby to ona mogła być odpowiedzialna za zniknięcie starego.

Nie żyje?

Nie wiem. Myślę, że przyszły i go złapały.

Kto przyszedł i go złapał?

Nie wiem.

Cholera, powiedział Suttree.

Może być i cholera, odparł szmaciarz. Ja jego stróżem nie jestem.

Czy to była policja?

To mógł być każdy. Widzi mi się, że będę następny. Ty też nie jesteś bezpieczny.

Co do tego to zgoda.

Co z twoim domkiem na barce?

Miałem przeciek.

Widziałżem, jak co dzień się zanurzał. Ino żem czekał, aż normalnie zatonie.

Miał jakąś rodzinę?

Kto.

Daddy.

Nie wiem. Kto by się do niego przyznał, nawet jak miał? Może i ja mam kogo, aleć nie uświadczysz, jak latają tam i z powrotem i wrzeszczą, że są moimi krewniakami.

Nie.

I twoi też pewnie nie.

Suttree uśmiechnął się.

Nie mamże racji?

Masz.

Szmaciarz skinął głową.

Ty zawsze masz rację.

Zdarzało mi się zaś mylić.

A co z Harveyem. Żyje jeszcze?

I kijem go nie zatłuczesz.

Harvey też ma rację.

Zapijaczony skurwysyn.

Nie jesteś jedynym człowiekiem, który ma rację.

Szmaciarz ostrożnie podniósł głowę.

Wszyscy mamy rację, powiedział Suttree.

Wszyscy mamy przejebane, odparł szmaciarz.

Pewnej niespokojnej nocy poszedł przez ciemność sadów jabłoni w dół rzeki, gdy rozpętała się burza, i błyskawica oświetliła go wraz z jego pustym workiem. Wszędzie wokół drzewa stawały dęba niczym konie, a spadające owoce dudniły twardo o ziemię, przypominając nieregularny stukot kopyt.

Suttree stał wśród krzyczących przeraźliwie liści i przyzywał

głośno błyskawicę. Dookoła trzeszczało i huczało, a on wskazał na pociemniałe serce w swojej piersi i wołał o światło. Jak gdyby żywioły tej ziemi były dziełem sztuki. Albo spal te kości na popiół. Jeśli potrafisz, jeśli potrafisz. Poczerniały łachman na deszczu.

Siedział oparty plecami o drzewo i patrzył, jak burza przesuwa się dalej, nad miasto. Czy jestem potworem, czy żyją we mnie potwory?

Zaczął wałęsać się bez celu po mieście. Jadał w Comer's gorące dania, rostbef albo wieprzowinę z warzywami, sosem i smażonym chlebem kukurydzianym, a Stud każdego dnia dopisywał do rachunku nową pozycję i ani razu nie poprosił choćby o dziesięć centów.

Pewnego dnia na ulicy zagadnął jakiegoś obszarpanego dżentelmena, który mijał go z zaaferowaną miną. Ulice pełne słońca wczesnej zimy. Suttree uśmiechnął się na widok mężczyzny i udał, że uchyla czapki. Dzień dobry, doktorze Neal, powiedział.

Stary, obdarty adwokat stanął jak wryty i zmierzył Suttree'ego wzrokiem spod łukowatych brwi. Był głównym doradcą Scopesa, [John T.

Scopes - licealny nauczyciel biologii, oskarżony w 1925 roku w słynnej wówczas sprawie sądowej o złamanie tzw.

Ustawy Butlera, obowiązującej w stanie Tennessee, zakazującej nauczania teorii ewolucji. Wspomniany w tym samym zdaniu Clarence Darrow (1857-1938), agnostyk, był sławnym adwokatem, broniącym Scopesa, a Henry L.

Mencken (1880-1956) to pochodzący z Baltimore wybitny dziennikarz, krytyk literacki i eseista (przyp. tłum.).]

przyjacielem Darrowa i Menckena i dożywotnim orędownikiem skazanych na porażkę podsądnych oraz straconych spraw, samotny, w stu sądach bez przyjaciół. Pociągnął się za swój bezkształtny nos i pokiwał palcem. Suttree, powiedział.

Cornelius. Znasz mojego ojca.

Od wielu lat, z niejakim szacunkiem. Znałem też ojca jego ojca.

Jak się miewa?

Dobrze. Rzadko go widuję.

Oczywiście. A czym się teraz zajmujesz?

Jestem rybakiem.

I z tego żyjesz, czy tak?

Tak, psze pana.

A to ciekawe. Doprawdy. Powiedziałbym, że chłopak z twoją głową na karku mógłby ją zaprząc do czegoś, co byłoby opłacalne.

Moja głowa dobrze sobie radzi, odpowiedział Suttree. Okręcał się nieznacznie, żeby złapać wiatr od cuchnącej postaci, przed którą właśnie

stał. Przyglądał się deseniom sosów i resztek jedzenia na koszuli i krawacie starego prawnika, jego sizalowemu paskowi od spodni. Który pewnego dnia pękł, gdy adwokat stał z tacą w rękach w kolejce w kafeterii S&W, nogi uwięzły mu w starych, opadłych do kostek portkach, a jego chude, starcze golenie okazały się równie brudnobiałe i pomarszczone jak wygnieciona koszula.

Mnie osobiście zawsze ciągnęło do natury, powiedział doktor Neal. Jak chyba każdego, kto prowadzi osiadły tryb życia. Często żałowałem, że nie poszedłem na morze. Mam brata w marynarce, mieszka na Filipinach. Podrapał się po nieogolonym policzku i spojrzał

na Suttree'ego. Trwaj przy swoim, powiedział. Uprawiaj zawód, który sobie wybrałeś, a nie będziesz niczego żałował na starość.

Suttree zastanawiał się, czego żałuje stary adwokat, ale nie spytał o to.

Skręcił na stację rozrządową. Miał ochotę zobaczyć dworzec z kominkami i cytatami z Burnsa na półkach, wspominając, jak jego dziadek schodził na peron wśród lor w kłębach pary i widząc oczami wyobraźni uśmiechniętego murzyńskiego bagażowego w czerwonej czapce. Policzki starca świeżo ogolone, a drobne czerwone żyłki przypominały paski na banknotach. Jego czapka. Tanie cygaro. Ale na miejscu okazało się, że dworzec jest nieczynny, i to od dawna. W

pięknych poczekalniach stały stosy pudeł i kartonów, wielkie kontenery w przechowalni. Kilka opuszczonych wagonów i jeden pulmanowski na bocznicy oraz stare, wyblakłe ogłoszenia, z których na tablicy pozostały już jedynie słowa. Dalej na stacji chłodnie, wagony-platformy, wagony dennozsypne, romantyczne napisy wzomikowe, załamujące się na zachodzących na siebie deskach ścian wagonów bydlęcych, Lackawanna, Dolina Lehigh, Baltimore i Ohio, Droga Wodzów. Skręcił

po torach w kierunku McAnally.

Gdzie pewnego dnia wdał się w rozmowę z jakimś starym człowiekiem, siedzącym w bujanym fotelu. Stary patrzył na Grand Avenue ze swojego rozpadającego się ganku, grzejąc się na słońcu i trzymając pieska na

kolanach. Gdyby nie to, że starzec był chudy, a pies utuczony, można by powiedzieć, że są do siebie bardzo podobni. Pies był płowobrązowy, koloru gówna, i sprawiał takie wrażenie, jakby ktoś go nadmuchał pompką samochodową. Wybałuszył oczy i obnażył zęby.

Starzec przytrzymał psa i zakołysał się. Twierdził, że zwierzę uratowało go przed śmiertelną astmą. Suttree z powątpiewaniem przypatrywał się jakby nadmuchanemu psu.

Nie zamieniłbym go na rentę wojenną, powiedział starzec.

Pies spojrzał z ukosa i warknął na Suttree'ego.

Jak umrę, to go uśpią. Mają nas razem pochować. To już zaś załatwione.

No tak.

Chcę, coby był dokładnie taki, jaki jest. Starzec podniósł psa.

A jeśli on zdechnie pierwszy?

Co?

Pytam, co będzie, jak pies umrze pierwszy.

Starzec spojrzał na niego przezornie.

Chodzi mi o to, czy jeśli pies zdechnie pierwszy, to ty zostaniesz uśpiony.

Nie no, do cholery, to szaleństwo.

To chyba mógłbyś go po prostu zamrozić. Przechować go w takim stanie, aż nadejdzie czas.

Starzec przytulił dziwacznego zwierzaka. Oczywiście, że mógłbym, powiedział.

Ślepiec trzymał się blisko Suttree'ego, drobiąc nogami, jak to ślepiec, i rysując w powietrzu obrazy, mające potwierdzać jego słowa.

Schodzili stromymi uliczkami, po czym ruszyli wydeptaną ścieżką przez zimowe pola. Stary wyczuwał drogę przez cienkie podeszwy butów z koźlej skóry, stąpając niczym czapla pośród obrzuconych żwirem podkładów i schodząc z małego nasypu.

W domku Jonesa pokiwał głową i uśmiechnął się w łagodnym, archaicznym świetle lampy i dymie. Scena z jakiejś starej, nadbrzeżnej mordowni, gdzie w mroku mordercy strzelają oczami na boki, jak gdyby odwołując się od swojego zdemoralizowania. Richard z wyciągniętymi rękami kiwał się sztywno w tym obcym otoczeniu. Doli zamknęła za nimi drzwi, spojrzała na ślepca i odeszła, szurając nogami. Suttree podprowadził go do krzesła, podszedł do chłodziarki, podniósł wieko, wyłowił z wody dwie butelki, otworzył je i wrócił do stołu. Błysnęły oczy graczy, ktoś skinął ponuro głową. Oceanfrog rozdał ostatnią kartę, zacisnął talię w dłoni, położył ją na stole, spojrzał w stronę Suttree'ego i mrugnął. W żółtej kałuży światła, bijącego z lampy ponad ich głowami, banknoty spadały jak liście.

Kiedy butelki zastukały o splamiony kamień, Richard podniósł

głowę, uśmiechnął się, wyciągnął rękę i zaskakująco celnie sięgnął po piwo. Suttree usadowił się wygodnie na składanym, drewnianym krześle, którego lakier wypuczał się małymi, czarnymi pęcherzami z tyłu oparcia.

Krzesło to uratowano przed laty ze spalonego, nadbrzeżnego namiotu, w którym odbywały się spotkania dla odrodzonych chrześcijan.

Słońce kładło się z tyłu na wodzie, a cienkie klingi roztańczonego blasku sięgały przeciwległej ściany, siekając dym i osadzając pokerowy stolik za wątłymi, świetlistymi kratami. Richard poczuł, jak domek przechyla się na rzece, i powiedział o tym. Wietrzył, ruszając nosem niczym królik. Smokehouse wymówił jego imię, idąc na zaplecze z pękiem pustych butelek w rękach, a Richard uśmiechnął się, podniósł

flaszkę i pociągnął łyk.

Richard, sprawdź, czy uda ci się odczytać nazwiska pod stołem.

Richard zwrócił oczy na Suttree'ego, albo prawie na niego.

Nazwiska?, spytał.

Pod stołem. Suttree stuknął kłykciem w blat.

Richard przesunął żółtą ręką pod marmurową płytą, między drewnianymi podkładkami, dwa na cztery cale, na których się wspierała.

To płyta nagrobna, powiedział.

Co tam jest napisane?

Richard uśmiechnął się nerwowo, nastawiając uszy na świat jak nasłuchujący lis, jasnoniebieskie mięczaki w jego oczodołach zmieniły pozycję pod bezużytecznymi powiekami. Wsunął otwartą dłoń pod stół, a drugą ręką wyciągnął papierosa z kieszeni koszuli. Osiemnaście czterdzieści osiem, powiedział. Dziewiętnaście zero siedem.

Dwóch graczy podniosło wzrok, osłaniając oczy, by spojrzeć na ślepca, który jednak nic sobie z tego nie robił. Williams, powiedział.

Nie jest napisane, jak miał na imię?

Nie, Sut, nie pisze.

To wszystko, co tam jest?

Richard obmacał spód blatu. Wszystko, powiedział. Zapalił

papierosa i bezgłośnie wydmuchnął dwie strugi dymu przez nos.

Chodźmy do drugiego stolika.

Wstali, podeszli niezdarnie do innego stołu i znów usiedli. Suttree prowadził ślepca za łokieć między krzesłami.

Kto zaś oni są?, spytał Richard.

To tylko nagrobki. Pochodzą z takiej jednej wyspy w dole rzeki, którą potem zalano.

Richard pokręcił głową. Na tym nic nie pisze.

Musi tam coś być.

Ślepiec ponownie obmacał płytę, pokręcił głową. Zatarty, powiedział. Prawie że gładki. Zmarszczył twarz.

Co się stało?

Cholerna guma do żucia, cholewcia.

Spróbujmy jeszcze jedną.

Nie powinniśmy tego robić. Pić na płytach nagrobnych.

Dlaczego?

Nie wiem.

Miałbyś coś przeciwko temu?

Miałbym, jakby to był kto z mojej rodziny.

A gdybyś to był ty?

Ja żem jeszcze nie umarł.

Ale gdybyś umarł. A ja i Callahan pilibyśmy na twojej płycie.

Nagrobnej.

Nie wiem. Byłbym martwy. Napiłbym się na nagrobku Billy'ego Raya.

Ja też, powiedział Suttree.

Z miejsca bym się na nim napił.

Suttree uśmiechnął się szeroko.

Oczywista, jakby człowiek umarł, to może by myślał inaczej.

Wiesz, jak umierasz i w ogóle, to chyba robisz się mocno religijny.

Wznieślibyśmy toast za ciebie. Żebyś się dobrze bawił.

Richard uśmiechnął się słabo. No, powiedział. Lubię się dobrze bawić, tak samo jak każdy.

Wezmę nam jeszcze po piwie.

Ale Richard gmerał po kieszeniach i powstrzymał Suttree'ego ręką. Pozwól, że ja je fundnę, Bud, powiedział. Ile tu biorą za piwo?

Trzydzieści pięć.

Richard zmarszczył brwi. Jones jest drogi, co nie? Pewnikiem przez ten hazard.

Nie ma pozwolenia.

Na hazard?

Na nic. Na życie.

Nie spotykam go na mieście, nigdy nie mówi dzień dobry, powiedział Richard. Bielszy od tego nie będzie.

Odliczył drobne na dłoń Suttree'ego, który podszedł do chłodziarki, wziął dwa piwa i wrócił do innego stolika. Ujął ślepca za rękę i zaprowadził go na nowe miejsce. Doli z ciężkimi ramionami skrzyżowanymi na piersiach, śpiąca na swoim bezkształtnym krześle, uniosła powiekę. Jeden z pokerzystów odchylił się, sięgnął do drzwiczek pieca, otworzył je i zajrzał do środka, a Doli wstała ciężko i powlokła się do wiadra z węglem. Kiedy wróciła, skończywszy dokładać do pieca, przetarła stoły, na których odczytywali napisy, i przyjrzała się z ciekawością ślepcowi i Suttree'emu. Richard miał zamknięte oczy, a wzdłuż jego cienkiego nosa wzbijał się papierosowy dym. Coś przepłynęło po rzece i domek podniósł się, po czym osiadł na falach.

Nagle Richard położył ręce na stole na płask. Po chwili podniósł je z powrotem, jakby blat go oparzył. Wziął butelkę piwa w obie dłonie i trzymał ją tak. Więcej zaś nie czytam, powiedział.

Co się stało?, spytał Suttree.

Ślepiec zaciągnął się i pokręcił głową. Cienkie, szare fałdy na jego szyi zadrżały.

Co się stało, powtórzył Suttree.

Na ścianie nad stołem wisiał kinkiet z lampą, a siedzący pod nią Richard był dobrze oświetlony. Suttree popatrzył w jego martwe oczy, lecz żadnym sposobem nie mógł w nich nic zobaczyć. Co się stało?, zapytał raz jeszcze.

Wiedziałżeś, co tu jest, nie?

Nie. Nie wiem.

Nie zrobiłżeś tego po złości?

Przysięgam, że nie wiem, co tu jest napisane. Suttree sam przesunął ręką pod stołem, ale nie był w stanie odszyfrować napisu na płycie.

Zachowasz to dla siebie?, spytał Richard.

Tak. Co tam jest?

Ostanie to między nami?

Tak.

Tu pisze William Callahan.

Obudził się wcześnie z zimna, usiadł na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, opatulony w koc, i wyglądał przez okienko. Słońce roztliło mgiełkę, przemieniając ją w łososiowe tło, na którym stały kruche drzewa, podobne do spalonej koronki. Wyglądające jak zwęglone, wróble figlowały i

świergotały na relingu. Suttree rozsunął zasłony z workowego płótna, żeby mieć lepszy widok na rzekę, i ptaki odleciały.

Wciąż siedział na miejscu, kiedy ktoś wszedł na pokład i zapukał do drzwi. Pochylił się i sięgnął po swoją koszulę, leżącą na podłodze.

Pukanie powtórzyło się, ktoś zawołał go cicho, jakby niedomagał.

Gdy Suttree podszedł do drzwi, stał w nich Reese. Miał w rękach nową czapkę i uśmiechał się słabo.

Wejdź, powiedział Suttree.

Mam ino chwilkę. Przyszedłem dać ci twoją działkę.

Wejdź.

Stał w małym pokoiku, trzymając czapkę, przesunąwszy jedną nogę na zewnątrz, żeby utrzymać równowagę na pochyłej podłodze.

Suttree znalazł buty pod łóżkiem, włożył je na bose stopy, odwrócił się i usiadł na kanapie. Siadaj, Reese, powiedział. Siadaj.

Reese usiadł przy stoliku, wyciągnął notes z kieszeni ogrodniczków na piersiach i otworzył go. Wyjął plik banknotów przewiązanych brudnym sznurkiem, położył pieniądze na stole, zamknął

notes i schował go z powrotem.

Co to?, spytał Suttree.

Twoja działka. Sprzedalimy połów dopiero w przeszłym tygodniu.

Była z tym kupa kłopotów.

Nie chcę, powiedział Suttree. Schowaj to z powrotem do kieszeni.

Reese zacisnął usta i pokręcił głową. To twoje, powiedział.

No to pozwól mi cię tym obdarować.

Nie.

Suttree spojrzał na pieniądze i pokręcił głową. Gdzie teraz mieszkacie?, spytał.

Z powrotem w okręgu Jefferson. Willard uciekł z domu.

Co u ciebie?

W porządku. Naprawdę nigdy żem nie rozumiał tego chłopaka.

Nie udawało mi się z nim pogadać, ale czasem brał i robił różne straszne rzeczy, na które nie ma zaś na tym świecie ani trochę miejsca.

Suttree przeczesał ręką włosy. Na siedząco stary wydawał się drobny i jeszcze bardziej leciwy.

Nie miałem do ciebie urazy, żeś odjechał. Mielimy takiego pecha, że widzi mi się, coby było lepiej, jakbyś w ogóle nie zaczął z nami pracować. Znałeś kiedy kogo, komu tak strasznie brakowałoby szczęścia?

Suttree odparł, że tak. Powiedział, że wszystko będzie dobrze.

Stary pokręcił głową z powątpiewaniem, przesuwając w palcach wstążkę swojej czapki. Cieszę się, że gorzej już być nie może, powiedział.

Ale ludzkie nieszczęście nie zna żadnych granic i zawsze może być gorzej, tylko że Suttree już tego nie powiedział.

Po południu poszedł do miasta. Kupił gruby, wojskowy sweter w Bower's, zapłacił Studowi dwadzieścia dolarów rachunku za wszystkie zaległe posiłki i poszedł do Regasa, gdzie zjadł na obiad befsztyk. Gdy wrócił do domu, miał jeszcze czterdzieści dolarów. Kiedy otwierał

drzwi, wydało się mu, że słyszy, jak ktoś woła jego imię, głos niewiadomego pochodzenia, przypominający krzyki, które odzywają się w ludzkich snach. Wszedł, zamknął drzwi, zapalił lampę i usiadł na łóżku.

Kiedy zdejmował buty, usłyszał znów ten sam głos. Wątły i daleki, gdzieś w nocy. Siedział z butem w jednym ręku, nasłuchując.

Włożył but z powrotem i wyszedł. Ślepy Richard wołał go z mostu.

O co chodzi?, krzyknął rybak.

Ślepiec na moście podniósł chudą rękę w świetle latarni niczym błagalnik, sięgający kielicha jasnych łask Bożych. Rozległo się słabiutkie wołanie.

Suttree nie słyszał słów Richarda, ale zwinął dłoń w trąbkę przy ustach. Nie, odkrzyknął.

Z rozpiętego nad nocą stalowego przęsła spłynęło jego imię.

Idź do domu, Richard. Jest późno.

Ślepiec zawołał raz jeszcze, ale nie był w stanie znaleźć drogi nad rzekę, a Suttree odwrócił się plecami do niego i jego krzyków, wszedł

do swojego domku i zamknął drzwi.

25

Billy Ray Callahan pracował przez pewien czas jako kafelkarz, ale został wyrzucony za pijaństwo. Brygadzista zatrzymał go wracającego z przerwy na lunch i spojrzał mu prosto w oczy.

Nie można pić w robocie i pracować przez cały dzień jak należy.

Chcesz pić, to teraz będziesz miał czas.

Brygadzista nazywał się Hicks. Callahan uśmiechnął się do niego szeroko. Ależ Hicks, powiedział. Ja na twoim miejscu nie dałbym się nikomu przyłapać, jakbym nie cuchnął whisky.

Hicks zrobił podejrzliwą minę. Co chcesz przez to powiedzieć?, zapytał.

No, że wolałbym, żeby ludzie myśleli, że jestem pijany, a nie taki cholernie głupi jak ty.

W poszukiwaniu pracy pojechał do Atlanty, ale nic nie znalazł.

Pobił się z dwoma chłopakami ze Steubenville, w Ohio, w zaułku za dworcem autobusowym, zostawił jednego z nich nieprzytomnego we wnęce piwnicznego okna, poszedł do męskiej toalety, opłukał

spuchniętą pięść zimną wodą, przeszedł przez cały dworzec na właściwe stanowisko i wsiadł do autobusu powrotnego do Knoxville.

Pracował, gdzie tylko mógł, trasując wieczorami swój izobar przemocy po ulicach i knajpach. Suttree widział, jak pobił chłopaka z Vestal, wysokiego George'a Holmesa, który chętnie strzelał do ludzi.

Mieszkańcy McAnally i Vestal stali niebezpiecznie blisko siebie pod ścianą B&J i Suttree zauważył, jak ich ręce zaciskają się na pistoletach w kieszeniach i pistoletach już z nich wyciągniętych. Callahan uderzył

Holmesa dwa razy i Holmes upadł. Poprzestałby na tym, ale tłum chciał

więcej.

Dokop mu, Red. Skop mu dupę.

Wymierzył Holmesowi parę kopniaków, chłopak jednak tylko złożył się wpół na chodniku. Kiedy zza rogu wyjechał pod górę policyjny radiowóz, Callahan puścił się biegiem po Commerce i wczołgał na parkingu pod samochód Juniora Longa. Radiowóz zjechał

ze wzgórza z Holmesem na tylnym siedzeniu, chłopak płakał i przeklinał, a tłum zaczął się już rozchodzić. Niedługo przedtem Holmes zastrzelił pewnego dentystę w Vestal, a niedługo potem śmiertelnie postrzelił człowieka, z którym grał w karty u Aba Franklina, i trafił do więzienia. Wyszedł po latach, wrócił do Franklina i sam został u niego zastrzelony, przy tym samym stoliku.

Ostatnią robotą Callahana było kierowanie bimbrownią, należącą do gościa nazwiskiem Cotton, przy Ailor Avenue. Suttree spotkał

Billy'ego Raya w Comer's, wyglądał na przygaszonego.

Widziałżem cię przedwczoraj, to żeś mnie nie poznał, powiedział.

Gówno prawda, odparł Suttree. Wcale cię nie widziałem. Niby gdzie?

Callahan objął go ramieniem i poklepał po brzuchu. Ach, ci jebacy letnią porą, powiedział. Możesz na nich siednąć, a prawie nic nie pisną.

Kupili whisky w składzie drewna w McAnally i wytoczyli się autem bez świateł na drugim końcu zaułka, przekazując sobie butelkę w brązowej papierowej torebce. Podjechali na Gay Street, gdzie zamykano Comer's i dziwki stały na schodach, Callahan wychylił się przez okno, żeby na nie zahuczeć, mijali ludzi wracających z ostatniego seansu i wyglądających na prawie rozstrojonych tym, co widzieli w kinie albo teraz, i objechali kafejki i restauracje, gdzie pomywacze sprzątali na zapleczach przy marnym świetle.

W West Inn Callahan wyrzucił za drzwi jakieś zamiejscowe towarzystwo. A tam, skąd jesteście, nie mają piwiarni? I uważajcie, coby was przy wyjściu drzwi nie rąbły w dupę. Lekko pijany Suttree stał

w toalecie i czytał legendy na płaczącej ścianie. Dowiedział się, że sika sobie na buty. Nieprawda. Ktoś chciał się zamienić: dwa ślepe kraby za jednego bez zębów. Spojrzał w górę na lepiącą się od brudu żarówkę.

Zapiął rozporek, pchnął drzwi z dykty i wyszedł.

Skończyło się na Clinton Highway w Moonlite Diner. Billy Ray uśmiechał się i przechadzał między stolikami, a muzycy grali country.

Trzymał ręce w kieszeniach, kiedy naprzeciwko niego stanął barman.

Drobny,

okrutny, milczący. Powiedział: Red, kradłżeś tym dziewczynom piniądze z torebek.

Callahan zakołysał się na piętach z typowym dla siebie chuligańskim uśmiechem i spojrzał z góry na swojego asasyna.

Kieszenie miał pełne ukradzionych drobnych, o których była mowa, wypił też drinki tych dziewczyn. Jesteś cholernym kłamcą, powiedział

dobrodusznie. W działaniu łączy się człowiek wewnętrzny i zewnętrzny, czyli taki, jakim widzą go inni. Gdy dostał kulę, trzymał ręce w kieszeniach. Jego ostatnie słowo okazało się kłamstwem. Przerwał je wystrzał z pistoletu w twarz, a cisza, która potem zapadła, była ogromna. Koło zdemolowanego nosa Billy Ray miał przebarwiony otworek. Po twarzy zaczęła mu ściekać cienka strużka krwi. Zespół

skończył grać i ludzie wracający do stolików przystawali i spoglądali w stronę baru, gdzie nad potarganą głową Billy'ego Raya unosił się blady kłąb dymu. Zobaczyli, jak chwieje się i pada.

Dziwne są te małe, drugorzędne losy, które splatają się, żeby przywieść człowieka do czegoś takiego. Tysiące bójek, przestawionych szczęk, kijów,

potłuczonych butelek i pojawiających się znikąd małych noży. Może dla niego wszystko odbyło się w ciszy, a jeśli nie, to jak brzmiałby strzał napędzający kulę, która już utkwiła w jego mózgu?

Drobne zagadki czasu, przestrzeni i śmierci.

Leżał na plecach, na zgiętej w kolanie nodze. Krwawił z uszu, nosa i dziury w twarzy, oddychał głęboko i miarowo, wpatrywał się w sufit.

Morderca schował broń z powrotem do kieszeni i tylko patrzył, jakby był zwykłym gapiem. Kilka osób ruszyło już w stronę drzwi, a kiedy przyszedł Suttree, Gary kucnął i spojrzał na Billy'ego Raya, jak gdyby nie wiedział, co ma myśleć o tym, że tak tu sobie leży.

O mój Boże, powiedział Suttree. Powieki Callahana zamknęły się powoli. Całą twarz miał siną i zamknął oczy, żeby nie było w nich widać nadchodzącej śmierci jak oblicza zbliżającego się do okna. Suttree przecisnął się przez tłum i podbiegł do telefonu, wiszącego na ścianie z tyłu.

Zasłonili go prześcieradłem, ale Suttree ściągnął mu je z twarzy.

Zasłoń go, powiedział sanitariusz.

Jeszcze nie umarł.

Posłali Suttree'emu spojrzenie jak wzruszenie ramion, wnieśli nosze na tył ambulansu, Suttree wsiadł, usiadł na ławeczce z boku i drzwi się za nim zamknęły.

Wycie w Knoxville, czerwone światło, omiatające pobliskie ściany tam, gdzie ulice się zwężały, okna, twarze w samochodach. Billy Ray raz odwrócił głowę i wygiął szyję. Podkładka pod nim poczerniała od krwi. Dzisiejszego wieczoru w całym mieście umierają ludzie. Syreny na ulicach jak wrzask ptaków-szakali.

Przewieźli go na oddział nagłych wypadków i do małej białej sali.

Z sufitu zwieszała się stalowa lampa, pod nią Ntał stalowy stół, a pod jedną ze ścian stalowe szafki. Sanitariusze przenieśli rannego na stół i wywieźli nosze. Pielęgniarka przyjrzała się Callahanowi, jego pierś wznosiła się i opadała. Ktoś zakrył mu dziurę w głowie kawałkiem gazy, a krew wokół jego uszu poczerniała i zakrzepła. Wielkie, rozczochrane chłopisko leżało, wyciągnąwszy ciężkie ręce wzdłuż ciała. Pielęgniarka pokręciła głową i zamknęła drzwi.

Potem przyszedł jakiś sanitariusz, popatrzył na niego i wyszedł.

Wrócił z lekarzem. Lekarz niósł pod pachą notatnik, wszedł na salę, ściągnął gazę z twarzy Callahana i spojrzał na ziejącą w niej dziurę.

Podniósł mu powieki, zajrzał w oczy, podniósł potarganą głowę leżącego i opuścił ją z powrotem. Sanitariusz przyglądał się lekarzowi.

Ten wydął wargi i niedbale machnął ręką. Zbadał puls Billy'ego Raya, popatrzył na zegarek i podniósł brwi. Powiedział coś do sanitariusza i znowu wyszedł, sanitariusz za nim, zamknął drzwi.

Suttree i starszy brat Callahana, Charlie, wstali z krzeseł.

Nie możemy nic dla niego zrobić, powiedział lekarz.

On jeszcze nie umarł, zauważył Suttree.

Nie, odpowiedział lekarz. Jeszcze nie.

Ostatnim gościem był starszy murzyński pielęgniarz, łagodny mężczyzna, który obmywał chorych i umarłych. Odciągnął gazę, odkręcił butlę z alkoholem i wlał go powoli przez dziurę do mózgu Billy’ego Raya.

Żył jeszcze pięć godzin i umarł niedługo przed świtem, bez opieki.

Nawet nie zdjęli mu butów. Charlie poszedł do domu, a Suttree i matka Billy’ego siedzieli w małej poczekalni. Kiedy wyszedł lekarz i powiedział im, że ranny nie żyje, matka Callahana zaczęła cichutko płakać. Siedziała z drżącym podbródkiem i powoli kręciła głową na boki nad swoim martwym

wojownikiem. Suttree dotknął jej ramienia, ale ona odprawiła go machnięciem ręki, nie podnosząc wzroku.

Wyszedł ze szpitala i ruszył przez mokry trawnik w stronę drogi.

Światła miasta gasły bardzo powoli, billboardy, latarnie uliczne.

Przeszedł przez rzekę po wysokim, żelaznym moście, minął w ciemności sady, w górze rzeki bladły światła i niebo, a noc i jej władza słabły, odsłaniając nagie drzewa czarne jak żelazo i papierowe miasto, wznoszące się o świcie. Zapanował wielki bezruch. Szedł martwymi, szarymi ulicami. Gazeciarz na rogu otwierał swoją paczkę gazet.

Przeszli zamiatacze ulic, a w czarnej wodzie w rynsztoku kładły się światła latami niczym okrągłe formy do ciasta pośród ciemniejszego krwawienia neonów.

Oparł się o barierkę wiaduktu. Splunął z obojętnością na tory na dole. Na sny ukryte w ich nieskończonych, stalowych mackach.

Robotnicy wlekli się do roboty na stacji rozrządowej. Wędrowny handlarz pchał swój mały wózek panaceów przez most, zgarbiony między dyszlami, w słabym brzasku. Suttree zszedł wąską ścieżką zaraz za mostem. Przeszedł pod domem wariata, który o tej godzinie nie był

jeszcze na nogach. Suttree pochylił się, wygrzebał połówkę cegły i wyrżnął nią o wypaczone deski wysoko pod okapem. Do szyby przylgnęła oszalała, ciastowata jak kit twarz, a w niej oszalałe, łypiące oko. Suttree odwrócił się i poszedł dalej ścieżką w stronę rzeki.

26

Spędzał czas w uboższych dzielnicach miasta, szukając jakiegoś miejsca z centralnym ogrzewaniem, gdzie mógłby niedrogo przezimować. Zrobiło się chłodno i bezsłonecznie, a na ulicach hulał

okrutny wiatr. W końcu znalazł pokój w głębinach McAnally. Kobieta o ziemistej cerze przyjrzała mu się kwaśno zza drzwi z siatką przeciwowadzią.

Przyszedłem zapytać o pokój, powiedział.

Spośród posklejanych chusteczek higienicznych w kieszeni fartucha wybrała klucz, odsunęła zasuwkę opatrzonych siatką drzwi i podała mu go.

To będzie z tyłu, powiedziała.

Ile kosztuje?

Pięć dolarów na tydzień.

Podziękował i obszedł dom wyłożonym kostką chodnikiem, minął

paskudne, szare, gęste od liści krzaki i zszedł po schodkach na piaszczystą ścieżkę. Drzwi były otwarte, wszedł i stanął w ciemnej, cuchnącej stęchlizną piwnicy. Piec z odwróconą do góry rurą jak tłusta, rdzawa meduza, martwy, żelazny uśmiech w kratce w drzwiczkach.

Podszedł do pomalowanych na niebiesko drzwi po drugiej stronie i uchylił je. Mała izdebka o betonowej podłodze, żelazne łóżko. Zajrzał z powrotem do kotłowni. W głębszym półmroku ukazały się jakieś schody, podszedł więc do nich i wspiął się ku drzwiom na górze. Od dawna zabite deskami. Z upstrzonego muchami kabla zwisała wypalona żarówka. Odwrócił się w ciemności podestu i wrócił. Postrzępiony, gnijący chodnik na schodach pokrywały wykwity jasnobłękitnej pleśni.

W kącie piwnicy stała cynkowana balia do prania. Pokręcił

kurkami. Wypluły do zlewu brązową ciecz, zalegającą na dnie. Wrócił

do pokoju. W niszach wysoko, na jednej ścianie były dwa okienka, na szybach naniesiony rozbryzgami deszczu piasek i pajęczyny. Suttree wyjrzał na kolczaste podwozie żywopłotu, jakaś trawa o białych łodyżkach, może dzika cebula. W niszach suche liście i śmieci.

Sfatygowany, drewniany wóz strażacki.

Usiadł na łóżku i rozejrzał się, ale nie za bardzo było na co patrzeć, a po chwili wyszedł znów na zewnątrz i okrążył dom, wracając do drzwi frontowych.

Stała okryta welonem za drzwiami z siatką przeciw owadom, wyciągając rękę po klucz.

Wezmę ten pokój, powiedział.

Będziesz tu mieszkał sam?

Tak, psze pani.

Poproszę pięć dolarów.

Wyciągnął już pieniądze. Pomarszczoną dłoń przecięła zwiędła zieleń.

To wszystko, co jest? To znaczy, nie ma pani jakiegoś dodatkowego dywanika albo czegoś w tym rodzaju, co?

Sprawdzę. Włożyła banknot do kieszeni fartucha i rozpłynęła się w głębi korytarza pozbawionego oświetlenia.

Przyniósł swoje koce i przybory do parzenia kawy. Długo leżał w ciemności w pokoiku, nasłuchując hałasów, a przez całą noc budziły go przejeżdżające ulicą samochody. O szarym świcie poczuł się obco i wcale nie nieszczęśliwie, i leżał, patrząc w górę na rury w obręczach pod sufitem, owinięte jutą albo płótnem, ściekał z nich kapok albo jakaś inna biała

substancja, przypominająca gips. To, co go obudziło, to szczęk żelaza z dalszego pomieszczenia, a kiedy podszedł do drzwi i wyjrzał, zobaczył małego, czarnego garbusa o olbrzymich, pomarańczowych zębach, połyskujących w blasku ognia pod drzwiczkami do pieca.

Hej, powiedział Suttree.

Kiedy Murzyn go zobaczył, odwrócił się i zaczął kłaniać, uśmiechać, szurać nogami i stroić miny, aż Suttree pomyślał, że ma do czynienia ze zbłąkanym idiotą.

Jesteś palaczem?

Tapszepana, tapszepana, tapszepana, odpowiedział Murzyn, zdejmując dorożkarską czapkę o lakierowanych, czarnych otworkach w plecionce.

Kurde, powiedział Suttree.

Tapszepana.

Która godzina? Jak się nazywasz?

Palacz wyciągał olbrzymi zegarek z kieszeni spodni. Dziesiąta, Nelson, powiedział, podsuwając cyferblat Suttree'emu, gdyby ten miał

jakieś wątpliwości.

Okej, Nelson, dzięki.

Tapszepana, tapszepana, odpowiedział Nelson.

Suttree jednym pchnięciem zamknął drzwi. Podniósł rękę do wentylatora nad głową. Słaby powiew. Rozpalił swój kocher i zaniósł

czajnik do zlewu. Nelson ładował szuflami węgiel przez drzwiczki do pieca, w którym wirował siarkowy dym. Odwrócił się z wyszczerzonymi w małpim grymasie zębami i zamkniętymi oczami, a Suttree skinął mu głową i odkręcił kurek. Kran kichnął, pryskając do zlewu grudkami żelaznych

łusek, ale w końcu woda stała się czystsza i przybrała ilasty, ciemnobrązowy kolor, dość podobny do rzecznego, a Suttree napełnił

czajnik i postukując butami, włożonymi na bose stopy, poczłapał po zapiaszczonym betonie z powrotem do swojego pokoju.

Jedynym meblem, oprócz łóżka, był tu stolik z szufladą o uchwytach w kształcie szpulek. Pomalowany na niebiesko, w szufladzie leżały jakieś zeszłoroczne gazety z takiego czy innego dnia, pokryte już plamkami i pożółkłe. Czmychnęło kilka rybików. Suttree postawił swój mały palnik na stole, usiadł na łóżku i czytał koronkowy strzęp gazety, gdy gotowała się woda. Było na tyle ciemno, że przydałoby się jakieś światło, ale pod sufitem brakowało żarówki. Usłyszał, jak palacz z trzaskiem zamyka drzwiczki i wychodzi, nalał sobie kawy, dodał mleka z puszki i zamieszał, popił, podmuchał na nią i czytał nad brzegiem kubka o zdziczeniu i przemocy. Tak było dawniej, tak jest i tak będzie zawsze. Był ubrany i o jedenastej wyszedł, czując się mieszkańcem miasta pełną gębą, co go skłoniło, żeby się uśmiechnąć sam do siebie, jak mógłby to uczynić Harrogate. Wokół którego tego rześkiego listopadowego poranka błądziły myśli Suttree'ego.

Wynosił proszek czyszczący, mydło i szczotki z męskich toalet w restauracjach. Miotłę i ścierkę znalazł na ganku na tyłach domu. Weź też wiadro. Zamiatał i szorował, a po południu poszedł do miasta i kupił tani muślin na zasłony i ścienną lampkę w groszowym sklepie.

Wieczorem przetransportował wszystko z domku na barce, wniósł

swoje pudła na pokład autobusu na Euclid Avenue i wcisnął je nogą na wolne miejsce za fotelem kierowcy, szukając po kieszeniach dziesięciocentówki. Potem poszedł, jedna postać wśród wielu, przez chłód i rozproszone światło latarni, dobrze sobie znanymi ulicami, na Ailor Avenue do sklepu spożywczego Live and Let Live, gdzie nabył

jajka, kiełbasę i chleb na poźnowieczorne śniadanie.

Każdy, kto widywał go przez całe to przedzimie, obchodzącego co smutniejsze przedmieścia, mógłby się słusznie zastanawiać, czym on się

zajmuje, ten uchodźca na zwolnieniu warunkowym od rzeki i jej ryb.

Nawiedzający ulice w kurtce marynarskiej ze śmietnika. Wśród starców w ciasnych jadłodajniach, gdzie dyskutuje się o kaprysach życia, gdzie świat nie będzie nigdy taki, jaki był. Na Market Street zniknęły kwiaty, dzwony biły zimno i samotnie, a starzy straganiarze kiwali głowami i zgadzali się, że w dzisiejszych czasach radość zniknęła nie wiadomo gdzie. Sygnatura samotności duszy na ich twarzach. Suttree wyczuwał

majaczący nad nimi los, brzęczenie drutów telegraficznych, żadna wiadomość nie jest dobra.

Spotykał na ulicach starych przyjaciół, niektórzy dopiero co wyszli z więzienia, inni zajęli się jakimś rzemiosłem. Earl Solomon uczył się na konserwatora bojlerów, tak mówił. Przeglądają jego książki i instrukcje obsługi na zimnym wietrze, a Earl wydaje się niepewny, uśmiecha się ze smutkiem na to wszystko.

Siadywał w pierwszej ławce w Comer's i przez okno przyglądał

się samochodom i przechodniom na ulicy poniżej, pary sunące do kasy kina pewnego deszczowego wieczoru, światła wielkiego namiotu zlewały się ze sobą, płonąc na mokrej ulicy.

Przyszedł do niego list, znaczek skasowany wściekłą, ukośną kreską zeschłego kleju. Przeczytał kilka ostatnich linijek od tyłu, podnosząc list do okna pod światło, zgniótł go i wyrzucił do śmieci.

Pewnego dnia na Market zauważył tłum, w którym największy Boży pomyleniec, jakiego kiedykolwiek widział świat, wyłonił się niczym iskra elektryczna z węglowej mgły. Był mniej więcej jednej trzeciej wzrostu normalnego człowieka, mocno zbudowany i cały czerwony, to znaczy ten kaznodzieja. Miał kręcone, rude włosy z tyłu swojej łysiejącej i wyglądającej na ugotowaną głowy, jasnoróżową cerę, usianą olbrzymimi piegami koloru krwi i głosił słowo boże w taki sposób, że nawet najstarsi pierdziele na tej ulicy, od dawna chłostanej biczem oszalałego ewangelicyzmu, nie dawali mu wiary. Handlarze pozostawili swoje wózki i furgony bez opieki. Sprzedawca ołówków, siedzący w kucki w swoim

kącie, przedarł się przez tłum na czworakach, warcząc. Rumiany pastor dopiero zaczął. Zerwał z siebie płaszcz i podwinął rękawy.

W ten sposób zaś nie zdobędzie, powiedział. Nie. Szerokim gestem wskazał Market Street i halę targową. Nie.

W ten sposób zaś normalnie nie zdobędzie. To nie tu trza szukać, przyjaciele.

Po Union przejechała polewaczka i rynsztokiem spłynął wirujący strumień, czarny, pełen odpadków. Kaznodzieja wygarnął podskakującą na powierzchni rzepę i podniósł ją. On daje, powiedział. Przyklęknął, niepomny na nic, unosząc rzepę w geście ofiarowania, a woda, wsysana do kanału ściekowego, gotowała się wokół jego ud. Umył rzepę jak szop-pracz i odgryzł potężny kęs. TU trza szukać, powiedział, plując kawałkami przeżutego warzywa. Na kolanach na ulicach. Hi trza szukać.

Obok niego ukląkł jakiś równie pomylony starzec. Kaznodzieja podał mu rzepę. Pan rozdawał chleb i ryby, zawył. Dlatego nie pytajta się, co ja uczynię.

Rzepa przechodziła z rąk do rąk w poszukiwaniu komunikantów.

Starzec wszedł na czworakach do zalanego ściekami rynsztoka i domagał się chrztu. Ale kaznodzieja wstał, splatając ręce w obłędnej mudrze ponad swoją połyskliwą głową, i rozpoczął taniec egzorcysty.

Na rynku, wrzasnął. Ale nie to kupowanie i sprzedawanie. Zaczął

wirować z rozpostartymi ramionami, a jego małe stopy drobiły w czymś w rodzaju obrotowej parodii ukrzyżowania. Wywrócił oczy do tyłu, jego usta poruszały się gorączkowo. Przyspieszył. Starzec powstał, ociekając wodą, i spróbował naśladować tego nowego, rudego proroka, lecz zachwiał się i upadł, a kaznodzieja zaczął wirować z taką prędkością, że gapie się cofnęli, a niektórzy ledwo powstrzymywali same składające się do oklasków ręce.

Suttree poszedł dalej. Czasem jakiś niemy, bezkształtny bezdomny zatrzymywał go napuchłą ręką, wyciągniętą z przepastnego rękawa

wojskowego płaszcza. Zapisane urzetem barwierskim blednące serce, na którym widnieje na wpół zasnute brudem imię. Suttree spojrzał w te wyniszczone oczy, palące się w tunelach nieszczęścia. Dolna szczęka obwisła ciężkimi koralami wola, przypominającymi wielki worek mosznowy. Kilka wymamrotanych żebraczych słów. Aby pogrążyć twe serce w jeszcze większym żalu.

Wieczorami, wracając do domu, szedł przez wzgórze na Vine Avenue i mijał szkołę, do której chodził w dzieciństwie, ze względu na swoje archiwa goryczy przypominała mu kostnicę, mijał kościół z jego latarniowymi kulami z mlecznego szkła, przywodzącymi na myśl kule wiszące nad wejściem do lombardu, każda wyłożona delikatną serwetką sadzy, i dalej stare mieszkania w domach z cegieł, gdzie w górnych rogach okien czyjaś biała ręka może przetrzeć szybę, a w ramie pokaże się szklista, umalowana twarz, jakaś zasuszona, żałosna dziwka, wejdziesz na górę, masz odwagę? On nigdy. Może raz. Przechodząc wiaduktem nad Western Avenue, zatrzymywał się i przechylał przez betonową barierkę, tam gdzie między podkładami leżały wypolerowane kamienie rzeczne, i przyglądał się rozłożystym torom na stacji rozrządowej i smołowanym dachom wagonów, samotna postać na tle szarej, skośnej palisady granic miasta, gdzie kominy wzbijały się w brudne, zimowe niebo niczym gotyckie organy kościelne, a czarne, bezmelodyjne sztandary sadzy stały na wietrze.

Którejś nocy natknął się na stojący w płomieniach dom i usiadł w bezpiecznej odległości, żeby popatrzeć. Ludzie biegnący do frontowych drzwi jak mrówki uciekające z płonącego pniaka. Niosą swoje rzeczy.

Ktoś szarpie się ze starcem w szlafmycy, który chyba uparł się spalić *żywcem,* zatacza się i bezzębnymi ustami rzuca przekleństwa na ludzi, znanych mu od tak dawna.

Na ulicy pozapalały się światła. Sąsiedzi we flanelowych szlafrokach wyszli popatrzeć. Okno na górze najpierw się zapadło, potem wypuczyło i pękło. Po deskach ścian, które pokrywały się pęcherzami i łuszczyły od gorąca, wspinały się słupy ognia. W

pomarańczowym dymie trzaskały gorące, niebieskie błyskawice.

Jak to się stało?

Suttree spojrzał w dół. Jakiś człowieczek nachylał się ku niemu z tym pytaniem.

Nie wiem, odparł Suttree. Tak jak wszystko.

Wstał i poszedł dalej.

Policyjny patrol musi go zapytać o nazwisko, dokąd idzie. Suttree grzeczny i elokwentny, w duchu trzymający złość na wodzy. Idzie dalej.

Zaułkami, gdzie kopulują koty, dalej szeregi koszy na śmieci i ciemne, niskie drzwi. Tafla światła z pyłkami kurzu.

Stał w kuchni wśród zbiegów i niesprawiedliwie osądzonych przestępców. Przysadzista kobieta wydzielała piwa z chłodziarki i wydawała resztę z kieszeni fartucha, w której odciskał się ciężki kształt małego, automatycznego pistoletu. Kiedy wchodził, przyjrzała się mu wynędzniała kurwa, żylasta pinda o migdałowych oczach, sztucznej szczęce i z miednicą zarysowaną ostro pod cienką sukienką. W kącie stał Wallace Humphrey z przymkniętymi oczami i zwieszonymi po bokach rękami. W staroświeckim garniturze wyglądał jak jeden z tych westernowych bandytów, którzy na fotografiach wiszą w drzwiach stodół albo siedzą oparci o witryny sklepowe podziurawieni jak sito.

Daj mi redtopa, powiedział Suttree.

Podała mu butelkę i wyciągnęła mokrą, czerwoną rękę. Suttree wsunął jej półdolarówkę, dostał resztę i przeszedł obok kurwy do salonu.

Cześć, skarbie, powiedziała.

Cześć, odrzekł Suttree.

W kłębach dymu zobaczył wśród pijących swoich przyjaciół i ruszył w tamtą stronę.

Jest i kochany Suttree, zawołał Hoghead.

Witaj w Buffalo Room, powiedział Bucket.

Gdzie nasz J-Bone, Sut?

Ciągle siedzi w Cleveland.

Kiedy wraca?

Nie wiem. Dostałem od niego list, pisał, że pracuje jako składacz.

Że codziennie rano sadza dupę w kącie i przez osiem godzin przygląda się temu, co się dzieje wokół.

Richard Harper wrócił z Chicago, on i Junior. Harper chciał ich tam gdzie zaczepić, a Junior powiedział, że to ich o mało nie zaczepiły i nie powiesiły na haku.

Junior gadał, że Wietrzne Miasto nie było przygotowane na najazd Harpera. Że i bez niego mają tam dość wiatrów.

Napijże się, Sut.

Bucket wyciągnął pintową butelkę zza pleców i podał ją Suttree'emu, który zdjął zakrętkę i zaczął pić.

Był tu ten stary wariat, wujek Bobbyjohna, Bud, i ciągle gadał, jak to za prohibicji szmuglował whisky. Opowiadał, jak raz przyjechali wczesnym rankiem do Knoxville z ładunkiem, jeszcze przed świtaniem.

Stary Tip mówił, że spał na przednim siedzeniu i że w jakimś samochodzie huknął gaźnik, a on się zerwał i zastrzelił jedną facetkę, co czekała na autobus. Gadał, że widział jej nogi, jak wystawały z żywopłotu.

Suttree uśmiechnął się szeroko i łyknął piwa. Ludzie pokładali się w dymie niczym duchy, a w pokoju panował budzący grozę szacunek, jaki odczuwa się w miejscu, gdzie została popełniona jakaś wielka zbrodnia. Siedział, dopóki nie opróżniono ostatniego kielicha. Nad ranem oparty o framugę przyglądał się grubej dziwce, parzącej się z kimś na łóżku, noszącym czarne ślady butów niejednego wędrowca.

Popłynął z ostatnimi klientami przez zaułek w kierunku ulicy. Chichoty, kocia muzyka, wulgarne okrzyki. Plastikowe torebki kurew wycinały jaskrawe łuki w mlecznoniebieskim świetle latarni. Tafelki białego lodu pękały w dziurach chodnika. Mała, czarna niczym węgiel sowa zaświergotała z latarni, a kiedy Suttree spojrzał na nią, zobaczył, jak muska pióra na tle nieba. Znowu zawołała, tym razem cicho. Suttree przysiadł na starym, kamiennym krawężniku tyłem do latarni, milczący mieszkaniec rozśpiewanego lasu. Gazeciarze ciągnęli w mroku wózki, starzy, powtórnie zdziczali ojcowie, brodzący w fali niegdysiejszych świtów, by spuścić swoje smołowane łodzie na jakąś ciemną i lepką płyciznę.

Pusta puszka po piwie potoczyła się po ulicy z blaszanym brzękiem, gnana wiatrem o brzasku. Zimny wiatr w nozdrzach.

Obserwował szarzenie na wschodzie, brudną jutrzenkę. Legendarne wzgórza miasta wznosiły się we mgle.

W niedzielę rano zwlókł się po ciemnych schodach w ubraniu, w którym spał. Po drugiej stronie ulicy, w łagodnym deszczu, stała posępna i ciemna hala targowa. Zgarbiony przed hotelem w złowróżbnej ciszy cmoknął, przesuwając językiem po brudnych zębach. Stare markizy dawały schronienie pustym platformom i taczkom. Słychać było ciche postukiwanie fleków jakiejś gnuśnej dziwki, oddalające się ulicami. Klasztorny pejzaż elewacji budynków, równych jak niebo.

Postukujące obcasy śpiewają żądlącym głosem. Suttree spojrzał w górę.

Z barokowego frontonu hotelu łuszczyła się groszkowozielona farba.

Zaczął bić zegar na kościelnej wieży. Gołębie kołują i trzepoczą skrzydłami wśród kurantów. W zatłoczonych pokojach smutni, roztrzęsieni alkoholicy budzą się na spotkanie problemów ze zdobyciem czegoś do picia w niedzielny poranek.

Wydawało się, że tego roku przez całą zimę padał deszcz. Rzadkie śniegi szybko zamieniały się w szare błoto, ale krótki, biały spokój wśród świątecznych dekoracji i łagodnie oświetlonych wystaw sklepowych przywodził na myśl dziecięce marzenia o tej porze roku, a delikatny,

sypiący się śnieg wywoływał w mieście bliski milczeniu bezruch. Milczało kilku zbłąkanych gości, którzy weszli do Huddle, otrzepując ramiona i wyczesując z włosów błogosławieństwo tej zimowej nocy. Suttree przy oknie wyglądał przez zmrożoną szybę.

Śnieg padał wiśniową czerwienią w łagodnym, neonowym blasku reklamy piwa, jakby powoli kapała krew. Urzędników i ciekawskich dzisiaj tutaj nie ma. Ślepy Richard siedzi ze swoją żoną. Pijany złomiarz porusza bezgłośnie ustami i ma wykrzywioną szyję jak wisielec. W

kącie samotnie płacze młody homoseksualista. Suttree wśród innych, smutne dzieci losu, których domem jest świat, wszyscy zebrali się na chwilę tutaj, żeby opóźnić trochę odejście tam.

Spędzał dużo czasu w bibliotece, czytając czasopisma. Czytelnię na piętrze odwiedzała spora grupa zboczeńców o szalonych oczach, rozglądali się ukradkiem, kutasy zwisały im ze spodni pod stolikami, obserwowali szkolnych uczniów. Pewnego wieczoru, kiedy wyszedł z kawiarni May's, kierując się w stronę B&J, minął dwie kobiety, żeglujące w przeciwną stronę. Odwrócił się i wszedł za nimi do środka.

Mówiły z jankeskim akcentem w jakiś taki afektowany sposób, że pomyślał, żeby ich posłuchać, zajął więc boks za nimi i zamówił piwo.

Zanim pociągnął łyk, jedna z nich odwróciła się i zmierzyła go od stóp do głów bezczelnym, taksującym spojrzeniem. Co można robić w tym mieście?, spytała.

Suttree przewiesił ramię przez oparcie i popatrzył na dziewczyny.

Niewiele, odpowiedział. To skąd jesteście?

Z Chicago.

A od dawna tutaj?

Stosunkowo niedawno, od paru miesięcy, z przerwami.

To prawda, że stosunkowo, skarbie, powiedziała starsza. Druga uśmiechnęła się do Suttree'ego. Jesteśmy dziwkami i oszustkami, powiedziała. Ale ciebie nie ocyganimy.

Spodobała się Suttree'emu.

No, powiedział. Zazwyczaj coś się dzieje w Indian Rock.

Chciałbyś tam z nami pojechać?

Potarł podbródek. Zwieszający się spod sufitu zegar obrócił się na pozłacanym łańcuchu. 11. 20.

Ja się nazywam Joyce, a to jest Margie, odezwała się ta sympatyczna.

Cześć, Joyce. Cześć, Margie.

To co ty na to?

Okej, odparł. Chyba tak.

Pojechali taksówką, na tylnym siedzeniu we troje, on w środku.

Byli trochę podpici.

Dziewczyna wyciągnęła garść pieniędzy, żeby zapłacić za przejazd, ale on odsunął jej rękę i sam uregulował rachunek.

Taksówkarz psyknął na niego, żeby się pochylił i posłuchał.

Te miłe dziewczynki to dziwki.

Suttree poklepał go po ramieniu.

Kiedy z nią tańczył, wciskała mu udo między nogi, a jej oddech owiewał mu szyję. Mocny ucisk jej kości łonowej. Bardzo ładnie pachniała. Starsza wciąż się wcinała między nich i Suttree wiedział, że będzie musiał z nią zatańczyć. Nie widział nikogo znajomego, z wyjątkiem Roopa, perkusisty,

który ciągle mrugał do niego porozumiewawczo jak wielki, brzydki chochlik.

Nie powiedziałeś mi, jak się nazywasz, rzuciła.

Bud.

Bud.

No.

Okej, Bud.

Pili wcześniej whisky i Suttree niezbyt dobrze czuł się na parkiecie, ale ona wydawała się nie zwracać na to uwagi. Skubnęła go zmarszczonymi wargami w tętnicę. Podobasz mi się, Bud, powiedziała.

Skąd wiesz.

Wiem.

Czujesz to w kościach?

Niezupełnie tam.

Jak długo tu zostaniesz?

Nie wiem. Przez jakiś czas. Nie mogę wrócić do Chicago.

Dlaczego nie.

Małe oskarżonko.

Ach.

Kursuję tu i tam. Przyjeżdżam do Knoxville i wyjeżdżam.

T\i i tam, z przerwami i stosunkowo.

Ugryzła go w szyję.

Chcesz jeszcze drinka?

Z rozkoszą. Ja zapłacę.

Ja już zapłaciłem.

Odprowadził ją do stolika i przywołał kelnerkę.

Dziewczyna, co tu siedziała, kazała wam powiedzieć, że musiała już iść, powiedziała kelnerka.

Popatrzyli po sobie. Suttree zamówił lód i drinki, a kelnerka odeszła, pisząc coś w notesie i poruszając ustami.

Nic jej nie powiedziałaś, co?, spytał Suttree.

Nie. Wiesz, że nie.

Patrzyli na siebie nad swoimi na wpół opróżnionymi szklankami.

Zaczęli chichotać.

Kiedy samochód stanął u wylotu zaułka, położyła mu rękę na nodze, niespokojnie jak nastolatka.

Gra muzyka, powiedział.

Co tu jest?

Ja tu mieszkam.

Nie ma światła.

Gra muzyka.

Czemu nie pojedziemy do mnie do hotelu?

Suttree już wysiadł. Wyciągnął jedną rękę, żeby pomóc dziewczynie, a drugą położył na zimnym, stalowym dachu taksówki.

Podniósł wzrok na pogrążony w półmroku, nocny świat cieni ponad McAnally, mroczny, nocny pejzaż drutów elektrycznych i dymników.

Sięgnął w dół i wziął ją za rękę. Posłuchaj, powiedział. Nie jestem Kubą Rozpruwaczem. Po prostu tutaj mieszkam. Skromnie, ale jest czysto i mam coś do picia, parę piw, to wiem na pewno, i resztkę whisky na dnie, tak mi się wydaje. Chodź.

Wysunęła się ostrożnie z taksówki, a Suttree trzymał ją za rękę, płacąc kierowcy. Zatrzasnął drzwi, samochód odjechał, a on prowadził

dziewczynę żużlową ścieżką, wyciągnął z kieszeni klucz i wskazał jej drogę.

Otworzył drzwi i zapalił światło. Weszła do piwnicy. W szparze paszczy pieca widać było ogień, a pod sufitem wiły się wściekle rury, których cieni sięgała kołysząca się łagodnie na kablu żarówka. Silna woń stęchlizny. Dziewczyna odwróciła się i popatrzyła na niego. Chyba jestem stuknięta, powiedziała. Czy ktoś mi może powiedzieć, co ja tutaj robię?

Podszedł do drzwi swojego pokoju.

A to co, składzik na węgiel?

Zapalił światło w pokoiku i wprowadził ją do środka. W progu wsparła się ręką na jego ramieniu. No, powiedziała.

Wejdź dalej.

Zamknął drzwi.

Usiedli na łóżku i się pocałowali. Obchodzili się ze sobą nieporadnie. Mmm, powiedziała. Pochyliła się, polizała go w ucho i szepnęła. To, czego nie zrobisz jak należy, będziesz musiał zrobić jeszcze raz.

Zimowe słońce sparowane niczym cios przez górną część ściany spadało na nich z wysokiego okna. Leżał na wąskiej pryczy, rozbudzony, z ręką zwieszoną na podłogę. Odwrócił się, żeby popatrzeć na dziewczynę. Ściągnąć tę kołdrę z jej twarzy. Jest wstrętna? Straszna?

Stara?

Leżała z rozluźnionymi we śnie ustami i nie można było powiedzieć, że nie jest śliczna. Wtulił twarz w jej pełne piersi i znowu zasnął.

Kiedy się obudził, siedziała na brzegu łóżka w jednej z jego koszul i uśmiechała się do niego z góry, burza jesionowo jasnych włosów opadała jej na twarz. Trzymała w rękach kubek kawy dla niego.

Cześć, powiedział.

Dzień dobry, kochanku. Jesteś gotów na przyjęcie płynów?

Mhh.

Tak, wiem. Tylko się trochę podnieś. Wzruszyła poduszkę drugą ręką i podsunęła mu kubek do ust.

Która godzina?

Południe.

Musisz iść?

Tak. Odgarnęła mu włosy.

Popijał kawę.

Zwędziłam ci koszulę, powiedziała.

Nie zostawisz w niej tych pagórków, co?

Nie, odparła, biorąc od niego kubek. Pochyliła się nad Suttree'em.

Niczego tu nie pobrudzę ani nie naznaczę oprócz ciebie. Pocałowała go.

Miętowy smak jej ust. Przesunęła dłoń w dół jego brzucha. O rety, powiedziała.

A co byś chciała?, odpowiedział szeroko uśmiechnięty Suttree.

Kiedy znów się obudził, była ubrana, siedziała przy stole i czesała się. Patrzył na nią. Schowała grzebień do torebki, zatrzasnęła ją, odwróciła się i podeszła do łóżka.

Muszę iść, kochanie.

No.

Ta balia do prania służy tu do kąpieli?

Tak. Właśnie tak.

Stałam w niej rozebrana i myłam sobie cipę, kiedy wszedł jeden bambus. Staruch. Mało nie zemdlał.

Cudownie, powiedział Suttree. Co powiedział?

No, był w takiej głupiej czapce, zdjął ją, zaczął się kłaniać i cofać do drzwi, i mówił: Szepraszampanią, szepraszampanią.

Tak mu dopomóż Bóg. Zdziwaczeje jeszcze bardziej.

Odgarnęła mu włosy do tyłu. Kiedy cię zobaczę?

Nie wiem.

Co robisz dzisiaj wieczorem?

Nic. Prosisz mnie o randkę?

A masz coś przeciwko temu?

Nie.

Czy będę mogła się z tobą spotkać wieczorem?

W grę wchodzi tylko jakaś tania knajpa.

Ja mam pieniądze. Kochanie, nie. Naprawdę muszę już iść.

Kochanie.

Wyszła późnym popołudniem. Suttree leżał w łóżku jak zubożały potentat. Czuł się bardzo dobrze.

Mizerne słońce pełni zimy wisiało od zawietrznej, nisko i ukośnie, pod chmurami o rybich kształtach. Pękate słońce z rozpalonym podgardlem wyglądało niczym rybi łeb w sączącym się z wolna lawendowym zmierzchu. Dalej tą wąską uliczką, gdzie chiński neon błyska zielenią. Dziewczyna czeka w jednym z wysokich boksów niczym w szafie. Sympatyczna Azjatka podchodzi powiedzieć dobry wieczór. Suttree zauważył uśmiech dziewczyny z przeciwległego kąta sali.

Nie. Z tą młodą damą, tam.

Kelnerka uśmiechnęła się.

Cześć, kochanie.

Cześć.

Wślizgnął się na miejsce naprzeciwko, ale ona wzięła go za rękę.

Chodź tu, usiądź przy mnie.

Wstał. Ty chodź tutaj, powiedział. Żebyśmy się nie trącali łokciami.

Jesteś szmaja.

Tak.

Otarła się o niego, przechodząc na drugą stronę. Fajnie, powiedziała.

Była w obcisłej jasnożółtej sukience z dzianiny i wyglądała świetnie. Usiedli, popatrzyli po sobie, po czym dziewczyna pochyliła się i pocałowała go.

Od dawna tu siedzisz?, spytał.

Nie wiem. Od pół godziny.

Nie wiedziałem, że aż tak się spóźniłem.

Nic mnie to nie obchodzi. Nie mam nic przeciwko czekaniu na ciebie, jeśli tylko przyjdziesz.

Zmokłaś?

Nie. Wzięłam taksówkę. Ciągle pada?

Nie. Co zjemy?

Chcesz, żebym ja coś zaproponowała? Uśmiechała się do niego i ujęła go obiema rękami za łokieć.

Nie, odparł.

Siedzieli obok siebie w boksie, przeglądając jadłospis wielkości gazety.

Krewetki motyle są dobre.

To może ty nam coś zamów.

Okej. Może talerz rozmaitości.

Brzmi nieźle. Jest w tym wieprzowina słodko-kwaśna?

Tak. I weźmy sajgonki.

Z ostrą musztardą.

Lubisz ostrą musztardę?

Tak. A ty?

Uwielbiam. Mają tu taką, która ci do szczętu wyżre zatoki.

Super.

W restauracji nikogo więcej nie było. Za oknem zrobiło się ciemno, wzięła go pod ramię, popijali herbatę i czekali, aż przyniosą im jedzenie.

Poszli do kina. Uśmiechnął się na wspomnienia, które wywołał w nim film. Siedział zesztywniały i wystraszony koło jakiejś dziewczynki, próbując zebrać się na odwagę i wziąć ją za rękę.

Szeptali sobie do ucha seksualne plotki o aktorach, prześcigając się w wymyślaniu najbardziej niesłychanych perwersji. Wypili kawę w kawiarni Farragut, spacerowali po ulicach w drobnym deszczyku wśród przyćmionych świateł i oglądali wystawy, zakutani w płaszcze, przytuleni do siebie, zapach jej markowych perfum i włosów. I dziewczyna, która przez cały wieczór nie przestawała się uśmiechać jak szczęśliwa kotka, poprowadziła go po Gay Street do swojego hotelu, drzwi z mlecznym szkłem, recepcja, stare, białe kafelki i polerowany mosiądz. Leniwym krokiem podeszła do kontuaru, wzięła swój klucz, wróciła, ujęła Suttree'ego pod ramię i poszli razem do windy w towarzystwie mikrego boya hotelowego o jasnobrązowej karnacji, który wcześniej czytał gazetę przy stoliku w recepcji.

Leciwe drzwi z mosiężną kratownicą zamknęły się z trzaskiem i zaczęli się wznosić. Głuchy pomruk mechanizmów, liny ślizgające się w stromej, ceglanej studni.

Trafia ci się czasem jakaś biała dupa, James?

James pokręcił głową na znak, że nie.

Trzymała Suttree'ego pod ramię. Wysiedli na piątym piętrze i ruszyli długim korytarzem, czarny, gumowy chodnik. Mijali identyczne drzwi z

przybitymi metalowymi cyframi, niektórych brakowało, inne wisiały krzywo. Wsunęła klucz do zamka, otworzyła go i wyciągnęła rękę, pokazując, żeby wszedł.

Ty pierwsza, powiedział.

Wszedł za nią, a ona zamknęła drzwi, zdjęła płaszcz, powiesiła go na drzwiach, odwróciła się do Suttree'ego i zaczęła rozpinać jego marynarską kurtkę. W schludnym pokoju panował porządek, na toaletce i komódce ciągnął się szereg kosmetyków, a suszarka do włosów, wałki i kosztownie wyglądające ubrania wisiały na ścianach. Na łóżku siedziała ogromna, wypchana małpa o długich ramionach i pomarańczowej sierści.

To jest Og, powiedziała.

Kto dał mu takie imię, ty?

Moja przyjaciółka. Od niej go dostałam.

Od Margie?

Nie. Od takiej jednej z Chicago. Chryste, on waży z tonę.

Ja go wezmę.

Dam radę. Nie przemokłeś, co? Masz mokre włosy.

Nie szkodzi.

Przyniosła ręcznik i zmierzwiła mu nim włosy. Wyglądasz jak mały chłopczyk, powiedziała. Tb taj. Usiądź. Zobaczę, czy w radiu leci jakaś muzyka.

Suttree rozpiął buty, ściągnął je bez użycia rąk, wsunął się tyłem na łóżko, skrzyżował nogi, podniósł ramię małpy i pozwolił mu opaść.

Lubisz hillbilly?

Może być cokolwiek.

Ja kiedyś nie cierpiałam tej muzyki.

Znajdź coś innego.

Zabrzmiało pukanie do drzwi i poszła otworzyć. W progu stał

windziarz z blaszanym kubełkiem lodu i pintą whisky w papierowej torbie.

Kochanie, chcesz colę czy coś, zapytała. Nie przyszło mi do głowy, żeby cię zapytać.

Nic mi nie potrzeba.

Zapłaciła flegmatycznemu, albinosowatemu Jamesowi, wcisnęła mu resztę i zatrzasnęła drzwi łokciem. Postawiła kubełek i torebkę z whisky na stoliku nocnym, wzięła dwie szklanki z półki nad umywalką, przyniosła je i napełniła lodem. Usiadła na brzegu łóżka i zaczęła rozpieczętowywać butelkę, aż Suttree wziął ją od niej i zerwał nakrętkę zębami. Nalał, siedzieli na łóżku naprzeciwko siebie, pili i patrzyli na siebie z uśmiechem.

Zastanawiam się, czy znów jestem już głodna, czy może to coś innego, powiedziała.

Podobno taki jest właśnie problem z chińskimi dziewczynami.

Jaki?

Mija godzina i znowu mają chcicę.

Uśmiechnęła się i upiła łyk ze swojej szklanki. Siedziało jej tam zdecydowanie za dużo, szeroki pas uda wciśnięty w mgiełkę pończochy i pas do pończoch, pod którym marszczyło się jej blade ciało, i pełne piersi, i czarna niczym sadza obwódka na powiece, barwna szczoteczka opiłków żelaza w kolorze błękitu pruskiego, która powstała, kiedy trzepotanie lazurowych ciem zbudziło ją z jakiegoś nieziemskiego snu.

Suttree stopniowo dał się ponieść jej czystej, niesłychanej zmysłowości.

Szklanki stuknęły o siebie na stoliku. Jej gorący, korzenny język wypełnił mu usta, a ręce dotykały go wszędzie, była jak najwspanialsza czarownica seksu.

Obudził się później, w nocy, sam w łóżku. Siedziała przy toaletce, pogrążona w alchemicznych rytuałach z użyciem różnych kremów i płynów, i szczotkowała włosy. W ciemnym oknie, częściowo przesłoniętym starymi firankami, rozkwitało i gasło wodniste światło, a odgłosy deszczu i mokrej ulicy kazały mu rozkosznie przeciągnąć się w pościeli. Obserwowała go w lustrze. Puściła do niego oko. Cześć, kochanku, powiedziała.

Cześć, maleńka. Która godzina?

Pochyliła się, by spojrzeć na zegarek. Za piętnaście pierwsza, odparła. Dobrze sobie pospałeś?

Mmm.

Chcesz się czegoś napić?

Tak. Sam sobie wezmę.

Nie.

Wstała i podeszła do łóżka. Miała na sobie jasnoniebieską podomkę, która delikatnie za nią powiewała. Podeszła, schyliła się, pocałowała go, pogładził jej piersi, a wtedy ona podsunęła mu obie poduszki pod plecy, nalała drinka i przysiadła na chwilę na łóżku.

Co to za awantura odbyła się tu przed chwilą?

Przylazł ten cholerny Ralph, żeby wziąć opłatę za pokój. Nie do wiary. Powiedział, że powinieneś być w pokoju schadzek.

Wyprowadziłaś go z błędu?

Uśmiechnęła się. Powiedziałam mu, że nie jesteś żadnym klientem, do cholery. Chyba nazwałam go czarnuchem i lachociągiem.

I jak to przyjął?

Nic nie odpowiedział. A swoją drogą ten jebany James to też ma długi jęzor.

Czy to Margie tu była?

Taa. Jest zazdrosna.

Co, o ciebie czy o mnie?

Głuptasie. Zdaje mi się, że jej stary ją zbluzgał. Zazdrosna jest o mnie, jasne, ale ta babka ma prawie pięćdziesiątkę, na litość boską.

Nie rozumiem, z czego ona żyje.

Zarabia sto dolarów za noc.

Ona?

Pewnie. Musi tylko obsłużyć pięćdziesięciu klientów. Straszne, co nie?

Co cię tu przywiało?

Pieniądze, a co by innego. Ale tak czy inaczej nie mogę na razie wrócić do Chicago.

Powiedziałaś, że ktoś wniósł przeciwko tobie oskarżenie do sądu.

O co?

O to, że sprzedaję swoją cipę.

Jej chochlikowy uśmiech. Obserwuje go. Popił whisky. Gdzie Og?, spytał.

Och, jest tam, na podłodze. Coś mi się zdaje, że ma też złamany nos. Otuliła nagą pierś Suttree'ego i wróciła do swoich rzeczy na toaletce. Skończył drinka i niemal odpłynął w sen, półsiedząc na uginającym się łóżku, gdy ona zgasiła światło i położyła się obok, jej ciepłe, miękkie,

pachnące ciało, przylegające do jego ciała, i jej tchnienie w jego uchu, szepczące sprośne czułości.

Nad ranem zbudziło go miarowe stukanie w rurach grzewczych, leżał w obcym pokoju, w oknie migotanie milczącego czerwonego neonu z nazwą hotelu. Cisza na ulicach. Leżała rozwalona jak dziecko, jedna ręka nieznacznie zaciśnięta pod pogrążoną we śnie buzią.

Rano ciągle padało albo zaczęło znów padać. Sam w pokoju, zwinięty na miękkim łóżku o wystających sprężynach, nasłuchiwał

odgłosów ulicy pod oknem, stłumionego poślizgu opon na mokrej nawierzchni. Spogląda na sufit, zwisają płatki tapety, stara, ozdobna lampa gazowa z mosiężnymi cherubinami. Podniósł się. Za oknem zacinający szary deszcz. W rurach z gorącą wodą trwały jakieś straszliwe roboty odlewnicze, a mały zawór grzybkowy na kaloryferze syczał niczym czajnik. Suttree przeszedł po zimnym, pofałdowanym linoleum na podkurczonych stopach, stanął nago przy oknie i obserwował poniedziałkowy ruch na ulicach w dole. Inaczej tu patrzą na życie. Stare butelki po whisky z wyblakłymi nalepkami leżą na mokrej smole dachów. Szklany świetlik, zasłonięty drucianą siatką. Zimny, zimowy deszcz pada nad całym miastem.

Ubrał się i ruszył korytarzem do łazienki. Drzwi z napisem DLA PANÓW, wymalowanym szablonem. Wysokie, wąskie pomieszczenie, przypominające halę wykładaną kafelkami podobnymi do kostki domina. Żółta wanna na szpotawych nogach, umywalka i muszla klozetowa. Sikał długo i głośno, popatrując przez okno zza wzorzystej szyby na zimowy dzień.

Kiedy wrócił, pokój był ciągle pusty. Wziął ręcznik i kostkę mydła, udał się korytarzem z powrotem do łazienki i wziął gorącą kąpiel. Po powrocie do pokoju próbował się ogolić eklektyczną brzytwą dziewczyny. Przejrzał jej rzeczy, uważając, żeby odkładać wszystko na swoje miejsce. Eklektyczna opowieść o błyskotkach, piękne obok byle jakich. Skorzystał z jej pasty do zębów, które umył palcem.

Weszła uśmiechnięta, dźwigała jakieś pakunki, pachniała perfumami i deszczem. Zdjęła plastikową chustkę, potrząsnęła głową i podeszła do

niego, rozpinając przeciwdeszczowy płaszcz z paskiem.

Wyglądała jak filmowa kurwa. Pocałowała go i powiedziała dzień dobry.

Nie jadłeś? Przyniosłam ci kawę i gazetę.

Która godzina?

Około jedenastej. Może pójdziemy do Regas i zjemy lunch.

Okej.

Umieram z głodu, a ty?

Zaraz zemdleję. O której się wymknęłaś dzisiaj rano?

Nie wiem. O dziewiątej. Proszę. Ostrożnie, gorąca.

Dzięki.

Zdjęła płaszcz, otrzepała go, położyła na łóżku i podeszła do toaletki, żeby poprawić makijaż. Nosiła się jak dama i poruszała sprawnie na szpilkach, w tweedowej garsonce. Suttree usiadł na łóżku, popijał kawę i przeglądał gazetę. Obserwowała go w lustrze. Mrugnęła do niego sympatycznie i seksownie.

Zjechali windą w towarzystwie młodego Murzyna, który unikał ich wzroku, a Joyce dawała jakieś obsceniczne znaki z tyłu nad jego drobną, kształtną głową. Przeszli przez recepcję pod rękę niczym małżeństwo w podróży poślubnej, dziewczyna wesoło zagadnęła rozpartego w nonszalanckiej pozie portiera, podniosła kołnierz, przeszli na drugą stronę mokrej ulicy i dali nurka do Regas.

Nazajutrz wyrzucono ich z hotelu. Suttree nie był w tym czasie ani razu w swoim pokoju w McAnally, kupili mu więc nowe ubranie, a Joyce wybrała dla niego kosmetyczny przybornik do golenia ze świńskiej skóry, wyposażony w najróżniejsze przedmioty, których przeznaczenia właściwie nie znał, w jakieś proszki, wody kolońskie, balsamy i małe, chromowane przybory do pielęgnacji paznokci.

Spakowali wszystkie swoje rzeczy, zeszli na dół, wsiedli do taksówki i pojechali na drugi koniec Gay Street, gdzie Joyce, gestykulując, rozmawiała z murzyńskim szefem boyów hotelowych, a Suttree siedział

na tylnym siedzeniu taksówki, niemal przysypany sukienkami i pudłami.

Macha do ciebie, żebyś wszedł, powiedział kierowca.

Suttree wysiadł i wszedł do recepcji małego, obskurnego hoteliku, obok którego przechodził ze sto albo i więcej razy. Trupio blady właściciel znał go z Huddle po przeciwnej stronie ulicy. Suttree skinął

mu głową i podszedł do szefa boyów.

Bud, to jest Jesse, powiedziała.

Dzień dobry, Jesse.

Głowa Jessego poruszyła się nieznacznie.

Słuchaj, kochanie, chcesz tu zostać?

Co masz na myśli?

Żebyś się wyprowadził z tej piwnicy i zamieszkał tutaj. Wiesz, Jesse to mój stary znajomy. Zna mnie i wie, że nie jestem zainteresowana obsługiwaniem klientów po pięć dolarów za numerek, jak te podupadłe kurwy, którymi tu kieruje. Ma pokój na najwyższym piętrze, który możemy dostać, jeśli chcesz. Ja chyba pojadę jutro do Athens.

Do Athens?

Taa. Gadałam z facetem stamtąd dzisiaj rano. Powiedział, że mogę przyjechać na co najmniej dwa tygodnie. Kochanie, mogłabym wrócić z tysiącem baksów, gdybym miała kogoś, kto by się nimi zaopiekował w moim imieniu.

Suttree, który nie był całkowicie pewien, o co jej chodzi, odpowiedział, że on się tym zajmie.

Była niezwykle rzeczowa. Dała mu pięć dolarów, a on wyszedł, po czym wraz z taksówkarzem przyniósł ich rzeczy, porozkładał je na krzesłach i biurku, a ubrania porozwieszał na poręczy schodów.

Kierowca zaczął niezdarnie szukać reszty, ale dziewczyna odprawiła go ruchem ręki, po czym poszła na górę wraz z Suttree'em, dźwigając w ramionach różne wspaniałości.

To istna nora, powiedziała, rzężąc mu w plecy na trzecim półpiętrze. Ale nie czepiają się tu człowieka.

Suttree mruknął coś w stos perfumowanych ubrań. Mijali ziejące w ścianach klatki schodowej dziury wielkości pięści i miejsca, gdzie w balustradzie powyrywano tralki, które zastąpiono surowymi deskami.

Dalej wąskim, słabo oświetlonym korytarzem do drzwi, o które się oparła, podając mu klucz.

Pokój przypominał ten, z którego się wyprowadzili, choć był nieco mniejszy i nieco bardziej zapuszczony. Rzucili wszystko na łóżko i zeszli po resztę rzeczy. Rozwiesili w kącie sznur do suszenia bielizny, mocując go z jednego końca na zawiasie drzwi, a z drugiego na klamrze podtrzymującej pręt do firanek. Suttree wyjrzał na ulicę.

Obudziła go zimnym, ciemnym rankiem wśród dzwonienia rur i piskliwych wrzasków pijanych kurew, idących korytarzem, i skomlała ze strachu. Gładził ją po nagich plecach, a ona w ciemności wydyszała swój sen. Byliśmy w samochodzie i ciebie wyciągnęli, zabierali cię gdzieś, to było straszne.

Nie masz jakichś przyjaciół, o których powinienem wiedzieć, co?

Pogładziła go po twarzy. To był tylko sen, kochanie.

Rankiem wsadził ją do autobusu i pocałował na schodkach, gdzie stał kierowca z biletami i dziurkaczem, w zimnym powietrzu unosiły się kłęby dieslowskich spalin, Suttree uśmiechał się do siebie na myśl o tej imitacji sprawdzianu małżeńskiego albo próby dla kochanków, których rozdziela

los, i czy się jeszcze kiedyś spotkają? Szła w przejściu ze swoim sakwojażem, usiadła przy oknie i zaczęła robić przez szybę szerokie, kuszące gesty niczym kurwa niemowa albo jak turysta w porcie tak egzotycznym, że chrześcijanie nie ważą się w nim odzywać.

Aż wreszcie posłał jej całusa, przygarbił się, chcąc dać do zrozumienia, że jest mu zimno, i wszedł po schodach na górę.

Teraz codziennie budzi się w południe w szarym świetle, wpadającym do środka zza popielatych szmat koronek w oknie, i do wtóru muzyki country, sączącej się zza zagrzybionych ścian w kwiaty.

Ścian przybranych tu i ówdzie rozgniecionymi karaluchami w niewielkich koronach oleistych plam, niektóre okolone odciskami podeszew. Nieliczni lokatorzy przytulają się w pokojach do grzejników, chłoszczą je kijami od szczotek albo warząchwiami. Grzejniki syczą ponuro. Okna liże chłód. Suttree w szlafroku i kapciach, które mu kupiła, przemyka korytarzem jak duch pośród ruin, niosąc swoją kosmetyczkę ze świńskiej skóry, od czasu do czasu kiwając głową na widok przypadkowych chłopaków ze wsi albo starych odludków o wystraszonych oczach, którzy po skończonej randce wychodzą z mijanych przez niego pokojów. Do łazienki na końcu korytarza, z której nikt prócz niego nie korzystał, pożółkła miednica o przypominających pająki pęknięciach, splamiona farbą wanna, czworokątne szybki w oknie, a za nim parapet, na którym przycupnięte gołębie chronią się przed wiatrem, strosząc piórka. Wysypany żwirem dach, gdzie leży rozpadająca się gumowa piłka. Miasto jak kolaż posępnych sześcianów pod niebem koloru mokrej stali w zimowe południe.

W dół po zdezelowanych schodach, do recepcji, gdzie zwykle brał

poranną gazetę ze stojaka, skinieniem głowy pozdrawiał recepcjonistę z dziennej zmiany i z postawionym kołnierzem wychodził na rześką ulicę.

Wiatr chłodził ogolone policzki Suttree'ego, gdy szedł do kawiarni Tennessee, gdzie za trzydzieści centów można było dostać kopę naleśników i tyle kawy, ile dusza zapragnie.

J-Bone był wciąż w Cleveland. Inni mieszkańcy McAnally ruszyli na północ, do pracy w fabrykach. Starzy przyjaciele rozjechali się, może nikt nie wróci albo tylko kilku z nich, i to odmienionych. Nielegalni meksykańscy imigranci z Tennessee wędrują na północ w poobijanych i kopcących autach w poszukiwaniu pracy. Z Detroit i Chicago dochodziły pogłoski. O posadach płatnych dwa dwadzieścia na godzinę.

Neonowy takielunek włącza się wcześnie, cherlawe ozdoby upiększające ponure popołudnie. Obserwował ulicę z hotelowego okna, a przez wyglądające jak zbombardowane ceglane mury na wpół

zburzonego hotelu Cumberland po drugiej stronie ulicy widział deszcz, padający na ciemne, zbite z byle czego chaty murzyńskich osiedli wzdłuż First Creek. Odgłos fabrycznych gwizdków długim, martwym popołudniem wydawał mu się niewypowiedzianie smutny. Suttree, człowiek siedzący przy oknie, nieszczera twarz za toczoną kataraktą szybą, upstrzoną cieniami pyłków kurzu albo sadzy, puste oczy.

Obserwował to niewyraźne, graniastosłupowe miasto, zżerane przez ciemność aż po bladą, elektryczną nadbudowę, drogi, wiadukty i mosty wyrwane na całej długości z półmroku przez niespodziane latarnie i reflektory aut, jadących przez niezgłębioną ścianę deszczu i nocy.

Wrócić późno z Huddle albo z jakiejś jeszcze podlejszej knajpy podpitym i leżeć w stanie zawieszenia w łóżku, w tym domu bezpańskich rozkoszy, gdzie przez pół nocy przez ściany pokojów z dykty słychać otwierające się i zamykające drzwi, gdzie krótkotrwałe ruje kończą się nagłą erupcją w bezradosnej ciemności, a jedyne odgłosy pożądania to czasami krzyki splecionych z sobą lesbijek, przed świtem, po skończonej pracy.

W środku tygodnia Dick dał mu kopertę ze stemplem z Athens, listem miłosnym od Joyce i dwoma gołymi studolarowymi banknotami w środku. Wyciągnął zza kasy kawałek kija od szczotki, na którym wisiał przywiązany klucz, poszedł do toalety, wziął pieniądze i obejrzał

je, egzotyczne banknoty z wyraźnymi, czarno-zielonymi nominałami.

Złożył papierki i wsunął do kieszeni. We wtorek przysłała trzy następne.

Rozkładał te pięć banknotów na łóżku, a on i wypchana małpa patrzyli na nie, właściwie w ogóle nie rozumiejąc, co znaczą.

Pewnego niedzielnego poranka przyjechała w ciemności taksówką, którą wynajęła w Athens, miała na sobie dwie flanelowe piżamy i płaszcz, a w ręku plastikowy sakwojaż pełen pieniędzy. Była lekko pijana. Jednym pchnięciem otworzyła drzwi, stanęła w progu w klasycznej dziwkarskiej pozie na tle pomarańczowego korytarza, wyglądającego jak spalony, i powiedziała: Hej, wielkoludzie. Suttree przewrócił się na bok na łóżku, żeby zobaczyć, co się dzieje, a ona spytała: Może miałbyś ochotę, żeby cię ktoś zerżnął?

Nie dzisiaj, kochanie. Boję się, że Joyce wróci.

Ruszyła przez pokój, zrzucając z ramion płaszcz. Ty skurwysynu, powiedziała ze śmiechem.

Uważaj, bo złamiesz mi fujarę.

Kiedy z tobą skończę, sam będziesz jak fujara.

Proszę się opanować, młoda damo.

Cześć, kochanie.

Cześć.

Przez cały ranek rozmawiali. Opowiedziała mu wszystko.

Pochodziła z Kentucky, co go zdziwiło. Pociągały ją dziewczyny, co go nie zdziwiło. Podobnie jak nie zdziwiły go kolejne miasta, tanie hoteliki, kilka aresztowań, paru sadystycznych alfonsów, klientów i gliniarzy, więzienia i murzyńscy boye hotelowi, a za oknem świt otwierał miasto w blednących narośla szarości.

Wyszli na śniadanie, zanim dzień zaczął się na dobre, poszli na róg we mgle, w dymie węglowym i oparach palonej kawy, żeby złapać taksówkę, Suttree wyszorowany, pachnący, przyjemnie zmęczony i głodny, a ona trzymała go za rękę.

Co ja mam zrobić z tymi wszystkimi pieniędzmi?, zapytał.

No. Możesz mi postawić śniadanie.

Pytam poważnie. Odnoszę wrażenie, że obserwują mnie wszyscy złodzieje z miasta.

Ile masz?

Te pięć banknotów, które mi przysłałaś.

Nie chodziło mi o to, żebyś nic z nich nie wydał.

Miałem trochę pieniędzy.

No to włóż je do banku. Mam jeszcze trzysta i trochę. Pomyślałam, nie wiem... Żeby wynająć mieszkanie. Co ty na to?

Decyzja należy do ciebie.

Wcale nie.

No.

Wzięli taksówkę do Gatlinburga i zatrzymali się na stacji serwisowej, żeby założono im łańcuchy na koła. Suttree wziął dwa papierowe kubeczki lodu i wsypał go do szklanek, które wzięła ze sobą dziewczyna, nalał whisky, po czym oboje rozsiedli się wygodnie z kocem na kolanach i pojechali w zimowe góry.

Milczący taksówkarz wiózł ich przez biały, milczący las, mijając jaskinie w przydrożnych urwiskach, wszystkie najeżone lodowymi zębami, a jedynym odgłosem były mozolne obroty skowanych kół na suchym śniegu na drodze. Suttree poczuł się przytulnie ze swoją dziwką i gorzałą, Joyce patrzyła na ten cudowny świat oczami dziecka. Kurwa, jak tu pięknie, powiedziała.

Stanęli po sople, mające schłodzić im whisky. Suttree przelazł

przez niski, kamienny mur i wpadł w głęboki śnieg. Na zboczu stały w swoich białych całunach czarne kolczaste jodły, a delikatna mgiełka śniegu zawiewała z szelestem jak piasek. Wysikał w śniegu paćkowaty, żółty kwiatek, stojąc z drinkiem w ręku i patrząc na dziką, białą, górską krainę, starą jak świat i wyglądającą na pewno chociaż trochę tak jak milion lat temu. Właśnie miał powiedzieć, że na tych zmrożonych wysokościach nie ma żywych istot, kiedy przefrunęły dwa małe szare ptaki. Wyleciały z kępy przygiętego śniegiem wrzosu, przemknęły wzdłuż zbocza skośnym lotem jak odpustowe ptaszki na drucikach i zniknęły w lesie.

Ruszył drogą, ubity śnieg chrzęścił mu pod butami. Pod przewieszką

skutej

lodem

skały,

gdzie

strome

palisady

nieprzezroczystego kryształu odgradzały wyżej czarny las i gdzie słyszał, jak wiatr cmoka i jęczy w koronach drzew. Wyciągnął rękę, żeby skubać sopelki ze skał, aż wreszcie napełnił nimi swoją szklankę.

Gdy wrócił do taksówki, otuliła go kocem i roztarta mu ręce. Jesteś zimny jak lód, powiedziała.

W Newfound Gap zobaczyli narciarzy, grupkę wesołków, najeżonych kijkami i nartami wśród zaparkowanych samochodów.

Zatrzymali się, żeby na nich popatrzeć, szaleńcy w goglach, pędzący na złamanie karku w chmurach śnieżnego pyłu, spadającego w jodłowym lesie. Ścisnęła go za ramię, stali ze szklankami w rękach, a para ich oddechów kłębiła się na zimnie.

Wracali o wczesnym, niebieskim zmierzchu jak duchy, zjeżdżali z góry, a za szybą przesuwały się kadry śnieżnego lasu. Kochali się pod kocami na tylnym siedzeniu jak uczniaki, a ona później usiadła, szepnęła coś do ucha milczącemu kierowcy i wymogła na nim, żeby nie mówił

nikomu, co zrobili, a on przyrzekł, że nie powie.

Rankiem zabrała go na zakupy. Suttree przymierzał szare tweedowe ubranie.

Uwielbiam to, powiedziała.

Co, zakupy?

Kupować męskie rzeczy. To seksowne.

Wybierali koszule, krawaty i spinki. Oglądali buty w szklanej gablocie. Zamajaczył nad nimi ugrzeczniony sprzedawca.

W środę w południe pojawił się w Comer's w butach ze skóry aligatora i płaszczu z wielbłądziej wełny. Gabardynowe spodnie bez paska, z małymi zamkami z boków, w koszuli bez guzików koloru wina, ze sprytnie wszytą kieszonką.

Jebany Suttree obrabował Squiz Green's, powiedział Jake.

Stud wyszczerzył się w uśmiechu i wytarł błat przed sobą. Co podać, Sut?

Chyba wezmę befsztyk z sosem.

Ulysses oparł się o kontuar i zmierzył Suttree'ego uważnym spojrzeniem. Wziął klapę płaszcza w dwa palce i rozchylił go, żeby odczytać metkę, mądrze kiwając głową, z wykałaczką w ustach.

Rybacki interes stoi trochę lepiej, co?, powiedział.

Powiedzmy, że po prostu interes, odezwał się Sexton, postukując o udo drewnianym trójkątem, patrząc w głąb korytarza i pozując pod swoim wiszącym na ścianie zdjęciem, na którym był w stroju lotnika.

Daj mi mleko czekoladowe, powiedział Suttree.

Wyjechała na dziesięć dni do Asheville. Miał teraz w pokoju radio i dywanik obok łóżka na podłodze, żeby mógł na nim stawać.

Popołudniami przeglądał w gazecie ogłoszenia o mieszkaniach do wynajęcia, kręcił się po zimnych, nagich korytarzach z niejakim lękiem, słuchając gadaniny siwiejącego właściciela w kapciach i z kółkiem do kluczy, który był jak jakiś nowoczesny strażnik więzienny, powtarzający w kółko bla, bla, bla, bla, bla. Kiedy wróciła, zastała jeszcze Suttree'ego w hotelu.

Pokazał jej książeczkę oszczędnościową. Wystawiona na jej nazwisko, tysiąc sto dolarów na koncie. Oddała mu ją, uśmiechnęła się i prztyknęła go w nos.

Przyglądał się Joyce, kiedy siedziała przed lustrem, suszyła i układała włosy, sam pogrążony w jakby płodowym letargu na zapadającym się materacu, patrzył, jak nakłada wielkie porcje kremu ze słoiczka na ramiona i piersi, chociaż wzrok w lustrze miała zwrócony na niego, leżał, popijając drinka. Wysmarowała sobie twarz czymś, co przypominało kalfataż, smołę do uszczelniania statków, która zastygła w alabastrową maskę klauna, krusząc się lekko w kącikach jej ust, i kiedy się uśmiechała, ze szparek sypał się biały proszek. Z tym teatralnym kosmetykiem na twarzy podeszła do łóżka, usiadła na nim w pozycji lotosu w samych majtkach i zaczęła szorować pięty pumeksem, jej pełne udo, noga zgięta w kolanie, Joyce pochylona, w skupieniu.

Wykąpał się, włożył nowe ubranie, buty i starannie złożony, jedwabny krawat, a jego pokalana gołębica zeszła po brudnych schodach i wsiadła do stojącej przy krawężniku taksówki, żeby ich zabrać na obiad. Potem poszli do American Legion, gdzie wygrała w kości ponad sto dolarów i wsunęła pieniądze za pończochę, puszczając do niego filuterne, kurewskie oczko, a goście wytrzeszczyli oczy na widok tak niesłychanego kawałka nagiego ciała. Upiła się trochę, zaczęli tańczyć i powiedziała mu, że chce się z nim kochać tu, na miejscu, na podłodze, szepcząc mu do ucha i ocierając się cipą o jego udo, aż wreszcie musiał

zabrać ją do domu.

Rankiem przyniosła mu gazety, ciągle w koszuli nocnej pod płaszczem przeciwdeszczowym, dzban zimnego soku pomarańczowego i fiolkę aspiryny. Siedzieli razem w łóżku, czytali gazety i przeglądali ogłoszenia z ołówkiem w ręku. Przeprowadzili się tego popołudnia.

Wyciągnęli rzeczy z taksówki i weszli po zimnych, wysokich schodach do mieszkania na drugim piętrze, Suttree buszował po kuchni, zaglądał do pustej lodówki, szafek. Usiadł w przestronnym pokoju wychodzącym na Laurel Avenue i wpatrywał się w dal, zadumany, uchodźcza dusza zastanawiająca się nad różnicą pomiędzy sobą a Suttree'em krążącym po tych dziwnych pomieszczeniach.

Taksówkarz stał, dłubiąc palcem w mosiężnej zapince skórzanego pugilaresu, zawieszonego na pasku od spodni. Suttree podniósł wzrok.

T\itaj kończymy?

Mam nadzieję.

No.

Ile się należy?

Dwa czterdzieści.

Suttree dał mu trzy dolary i odesłał go na dół. Dziewczyna rozwieszała ubrania w szafie. Stanął w drzwiach i obserwował ją.

Jest szafa, wyobraź sobie, powiedziała.

Wyobrażam.

Wziął lód z lodówki, nalał dwa drinki i zaniósł je do sypialni.

Czy jest już piąta?, spytała.

Oczywiście, odpowiedział, postukując szklanką o szklankę.

Weszła do łazienki, a on stanął w oknie i wyjrzał na zewnątrz, z drinkiem w dłoni. Widział jakiegoś starca myjącego się nad umywalką, blade ramiona, pod podkoszulkiem zwieszał się brzuszek. Suttree bez słów przepił do mężczyzny, podniósł szklankę w obojętnym, niemal cynicznym geście i po chwili odczuł coś przypominającego wstyd.

Mniej więcej w środku lutego zrobiło się przeraźliwie zimno.

Wyjechała do Chicago i nie miał od niej wieści przez dziesięć dni, pomyślał już, że wróciła do swojej przyjaciółki. Zamarzły rury wodociągowe. Spędzał wiele czasu w łóżku, ze zwieszoną nad jego brzegiem głową, wpatrując się w szlaczek stykających się głowami i ogonami skorpionów na wytartym dywanie. Błękit i szary róż, zmatowiały od brudu, ezoteryczny deseń, pośrodku niewyraźny.

Przywoływał na myśl chemiczny sen albo zasuszoną rękę jakiegoś wschodniego mistrza.

Pewnego ranka w Ellis and Ernest usiadł przy długim, marmurowym blacie, smutno odcinając się od otaczającej go młodzieży studenckiej, zamówił kawę i z rozmachem otworzył gazetę. Było w niej zdjęcie Hogheada. Nie żył. Hoghead nie żył, w gazecie.

Suttree odłożył ją i wyjrzał na Cumberland Avenue w zimne, ponure popołudnie. Po chwili przeczytał artykuł. Nazywał się James Henry. Na starym, szkolnym zdjęciu wyglądał dziecinnie i figlarnie, kompozycja czarnych, białych i szarych plamek. Jak to do niego pasuje.

Został zastrzelony z pistoletu kaliber trzydzieści dwa milimetry i na zawsze pozostał dwudziestojednolatkiem.

Tej nocy padał śnieg. Płatki delikatnie niesione przez wiatr w zimnym niebieskim świetle latarni. Blade boa śniegu spoczywały na czarnych gałęziach drzew przy Forest Avenue, a śnieg na ulicy tworzył

jakby gałęzie i gałązki, ziały w nim ciemne szczeliny, które nie wypełniały się do końca śniegiem. Brnął z mozołem do domu w lekkiej mgiełce

alkoholu. Bił jakiś słaby, daleki dzwon, i Suttree przystanął, żeby go posłuchać. Coś przeleciało. Bezimienny ptak. Suttree zwrócił

twarz ku nocy. Płatki śniegu wypadły zygzakiem z czerni za latarniami, by osiąść mu na rzęsach. Śnieg pokrywał Knoxville, sypał się na McAnally, zasłaniał szczeliny w dachach, drapował okna i zmrażał stosy węgla na wyboistych podwórkach. Pokrył krew, brud i lepką breję w rynsztokach i rysował się białą kratką na kratownicach kanałów.

Wyżłobił chłodne altanki w poczerniałym kapryfolium, przesłonił

kontenery w obozowiskach włóczęgów i wyrobił olbrzymie, ciastowate kręgi leżących tam wokół opon. Gdzie ciurka zapchany wnętrznościami strumień. Na którego powierzchnię płatki opadają łagodnie i znikają.

Suttree stawna kołnierz. Na stacji pracuje lokomotywa manewrowa, a białe światło jej reflektora przewierca się wzdłuż szeregów szarych jak żelazo magazynów w sinym, fosforyzującym tunelu, przez który śnieg pada niewinnie, niespalony.

Sfatygowane buty Indianina skrzypiały na suchym śniegu jak kreda. Na ramionach miał brudny brezent, skradziony z jakiejś lokomotywy na placu budowy, i był ziemisty na twarzy z zimna. Śnieg, który strzepnął z butów, spadł niczym dwa kawałki gipsu na podłogę w korytarzu, odciski obcasów i dziur w podeszwach nienaruszone. Zbielałe prążki soli obramowywały cholewki jak pełznący mróz. Podrzucił

brezent na ramionach i wkroczył na ciemne schody, przypominał cień nietoperza na ścianie w kwiaty, stłumione skrzypnięcie i krzyk deski, ciche szczękanie zębów. Przy drzwiach chuchnął w palce, zapukał, schylił się i nadstawił uszu. Zapukał jeszcze raz.

Suttree?, powiedział.

Głos jednak miał nieśmiały, a śpiący w środku spał głęboko, więc Indianin po chwili zszedł po schodach i oddalił się w zimową noc.

Wiosna tego roku przyszła wcześnie. Były słoneczne poranki posiedzeń w małej kuchni, picie kawy i czytanie gazet. Na podwórku kwitły kwiaty, żółte żonkile, przebijające się chwiejnie przez popioły i szlam. Joyce została aresztowana w Nowym Orleanie na początku maja i musiał jej telegraficznie przesłać pięćset dolarów. Wróciła roztyta i niepoprawna. Poprosiła, żeby ją kopnął w dupę, jeżeli zacznie kiedyś pracować w mieście większym niż Knoxville, a on, chociaż nie lubił

składać żadnych obietnic, wyraził zgodę.

Budził się w świetle różnych pór dnia i nocy, aby się przekonać, że jej nie ma, że właśnie wychodzi albo przed chwilą wróciła. Rozwalała się w upał, rozwierając swoje ciężkie uda, a na jej czole perlił się pot jak rosa snów w gorączce. W przegubach jasne ślady starych blizn po brzytwie. Blizny na wydatnym brzuszku i pasek skóry z kędzierzawymi czarnymi włosami murzyńskiego dziecka. Zważył w dłoni jej delikatnie zakończoną różanym pączkiem pierś i przesunęła się leniwie, z jedną nogą uwięzioną w skręconym jak krępulec prześcieradle.

Leżąc na plecach, patrzył, jak cienie dnia w pokoju wydłużają się, żaluzje zasłonięte, stłumione odgłosy ulicznego zamieszania w dole cichły powoli. Wstawał z łóżka, siadał przy oknie jak zbieg i przez tafle brudnych szyb obserwował ciemniejący wieczór i kolorowe światła, zapalające się niczym czarodziejskie różdżki. Golił się, ubierał i schodził

po gazetę, na spacer po ulicach. By wrócić i położyć się na łóżku, bo ten pokój był chłodniejszy. Bezmyślna lektura gazety i radio, a w nim idiotyczne zapowiedzi. Można było odnieść wrażenie, że Joyce nie rozstaje się z irygatorem, którego rurka podrygiwała sprośnie, a pojemnik trzepotał niczym wielki pęcherz moczowy. Jej ablucjom nie było końca. W jasnych, blaszanych wałkach na głowie przywodziła na myśl obiekt jakichś dziwacznych eksperymentów na ludzkim mózgu. I coraz bardziej tyła. Zapytała: A jakbyś ty mieszkał w burdelu? Też byś więcej jadł.

Wychodził na spacery, nie było go całymi godzinami, wracał do oczu jak spodki, pełnych łez albo sypiących iskry wściekłości.

Potem przyszły dni pijaństwa, małego dramatu, tanich łez, wzajemnego obwiniania się i czegoś w rodzaju testamentów odnowionej miłości.

W restauracjach drugiej kategorii, w niezbyt wielkim mieście i w tawernach piwnych, ciemnych i cuchnących piżmem jak piwnice browaru. Gdzie inni pilnowali swojego nosa, a nic mniej spektakularnego niż ciężkie uszkodzenie ciała nigdy nie wywoływało nawet podniesienia brwi.

Przyjrzał się swojej twarzy w lustrze, rozluźniając szczęki, w oczach pustka. Jak będzie wyglądał po śmierci? Bo bywały dni, kiedy ten człowiek tak bardzo pragnął jakiegoś końca tego wszystkiego, że gotów był zostać członkiem społeczności umarłych, społeczności wszystkich, którzy kiedyś znajdowali się wśród żywych, na oczach więzy nocy.

Znów wchodzi na te schody o przymocowanych pinezkami, wytartych bieżnikach, ciemne, lakierowane płyty boazeryjne, pokryte cieniutkimi żyłkami, jak stare malowidła, tapeta w kwiaty, światło na suficie trzydzieści stóp wyżej niczym jakaś ciemna mgławica, oglądana z otchłani. Niewytłumaczalny obraz w złoconej ramie, dwa przypominające kapelusze ptaki, wyobrażone za pomocą prawdziwych, dziwnie ufarbowanych piór, wiecznie opierające się zasadom taksonomii. Dalej korytarzem do drzwi bez tabliczki z nazwiskiem, za którymi mieszkał.

Mijał ten samochód prawie codziennie, idąc do miasta i w drodze powrotnej. Stał w pierwszym szeregu na parkingu Bena Clarka, wyglądał okrutnie, barbarzyńsko i przypominał kota przykucniętego pośród rodzinnych sedanów. W takie ciepłe dni zdejmowali dach, a jeśli człowiek oparł się o drewniany próg, mógł przewiesić głowę nad kabiną i upajać się oszałamiającym zapachem wonnej skóry, podziwiać zestaw czarnych zegarów w desce rozdzielczej niczym w samolocie i piękny, czerwony dywanik, dopasowany kolorem do skórzanych foteli, polerowany, najdroższy orzech oraz srebrny łeb jaguara, warczącego na środku kierownicy.

Pozwól, że cię nareszcie dzisiaj z nim zapoznam, powiedział

uśmiechnięty sprzedawca.

Suttree wyprostował się, cofnął i przebiegł wzrokiem po eleganckim, kremowym lakierze z boku wozu. Który to rocznik?, spytał.

Dziewięćset pięćdziesiąty. Tylko dwadzieścia dwa tysiące na liczniku. Zapas nie był używany ani razu.

Suttree poczuł, że powoli ulega znieczuleniu. Srebrzysta plecionka kół zalśniła w dobrym, wiosennym słońcu.

Popatrz tu, rzekł sprzedawca, podnosząc klapę bagażnika.

W środku nietknięte koło zapasowe, jak powiedział. I małe narzędzia w specjalnej skrzynce.

Potem podniósł maskę, obeszli auto, przyglądając się wypolerowanym, aluminiowym deklom i bajeranckim kopułkom amortyzatorów.

Zapal go, powiedział sprzedawca, przytrzymując otwarte drzwiczki.

Suttree głęboko w skórzanym kokpicie przekręcił klucz, zagrała pompa paliwowa. Wrzucił na luz i pociągnął rozrusznik. Odgłos przypominał motorówkę.

Podniósł wzrok. Ile za niego chcesz?

Ten samochodzik pójdzie za dwa patyki, powiedział sprzedawca, opierając się konfidencjonalnie o drzwi.

Suttree przygazował kilka razy i wyłączył silnik. Sprzedawca wstał. Przejedź się nim, jak chcesz, powiedział. Ale Suttree wysiadał.

Zamknął drzwi, odwrócił się i znowu zajrzał do wozu.

Dach w idealnym stanie, mówił sprzedawca, odpinając płócienną płachtę.

W porządku. Nie trzeba. Przyprowadzę moją starą, żeby mu się przyjrzała.

Nie postoi tu długo, przyjacielu.

Może i masz rację, odpowiedział Suttree.

Z Huntsville przywiozła sześćset dolarów. Wsadził ją do taksówki i pojechali do centrum. Chcę ci coś pokazać, powiedział.

Obeszła auto, przyjrzała się mu i popatrzyła na Suttree'ego. No, powiedziała. Jest piękny.

Mamy dość pieniędzy, żeby go kupić.

Gówno prawda.

Mówię poważnie.

Spojrzała na niego, na samochód i znów na niego. No, powiedziała. To kupmy tego jebańca.

Odszukał sprzedawcę, podczas gdy ona wciąż oglądała wóz.

Mężczyzna był w przypominającym drewnianą skrzynię biurze, w którym wilgotne powietrze miesił wiatraczek. Sprzedawca przeglądał

papiery i rozmawiał przez telefon. Kiwnął Suttree'emu głową i podniósł

palec. Suttree oparł się w drzwiach.

No tak, powiedział sprzedawca, odkładając słuchawkę. Okej.

Jesteś przygotowany, żeby odjechać sobie dzisiaj tym autkiem?

Suttree rozsiadł się wygodnie na krześle. Posłuchaj, powiedział.

Mam trochę ponad tysiąc osiemset dolarów. Dobijemy targu?

Ile ponad?

Może jakieś tysiąc osiemset pięćdziesiąt.

Osiemset pięćdziesiąt.

Tak.

Chcesz ten samochód?

Tak.

Mój przyjacielu, no to autko jest twoje.

Pojechali do Asheville w Karolinie Północnej i spędzili cztery dni w Grove Park Inn, w chłodnym pokoju, wysoko na starej kupie kanciastych skał, i co dzień w południe jadali lunch na słonecznym, wykafelkowanym tarasie, wychodzącym na pole golfowe i widoczne na horyzoncie góry, powleczone wyraźną niebieską mgiełką. Spacerowali po hotelowych włościach, początkujący oszuści, podszywający się pod kogoś innego, albo siedzieli nad basenem, a ona mówiła innym gościom hotelowym nieprawdopodobne kłamstwa. Chłodnymi wieczorami jeździli roadsterem po górach i wracali napić się w sali klubowej, gdzie mała orkiestra grała muzykę z innej epoki, a starsze pary tańczyły w milczeniu na pogrążonym w półmroku parkiecie.

Lato minęło monotonnie, dni zlewały się z sobą. W mieszkaniu było gorąco i brakowało wentylacji. Suttree leżał w wilgotnej pościeli, w fałdach mokrej skóry gromadziły mu się krople zimnego potu i w końcu padł ofiarą potężnej apatii. Joyce przechodziła nago przez pokój, niosąc szklanki z mrożoną herbatą, i siedzieli w zakratowanym, mdło ciepłym półmroku za zamkniętymi żaluzjami, pili i przykładali zimne szklanki do twarzy. Leżała ociekająca strużkami potu, blada, z miną rozmarzonej kotki i bezwstydnie odchyloną jedną nogą, ciemne, kręcone, splątane włoski na podbrzuszu, w których spoczywały kapki wilgoci. Położyła mu na karku chłodną dłoń. Na ulicy, na dole ktoś uruchomił samochód i odjechał. W oddali radio. Leżeli niczym obalone posągi. Suttree trzymał

kostkę lodu na języku, aż mu zdrętwiał z zimna, a potem polizał

brodawkę jej piersi.

Ty skurwysynu, powiedziała, uśmiechając się do niego z góry.

W niedzielę pojechali do Concord, spacerowali nad jeziorem, łupki ułożone nad brązową wodą jak łuski. Natknęli się na rybaka, który pokazał im swój niewielki połów małych okoni. Na wodzie unosiły się bezkształtne płatki plwociny koloru ambry. Rozmawiali o rybach i pogodzie, a stary przyjrzał się wycieczkowiczom, wyciągnął chytrze flaszkę whisky i poczęstował ich. Suttree przetarł rękawem brzeg szyjki i wypił. Rybak spojrzał na dziewczynę i nieznacznym gestem wskazał

flaszkę, ale Joyce uśmiechnęła się na znak, że nie chce. Skinął poważnie głową, splunął i schował flaszkę pod płaszczem.

Lubię się napić, powiedział. Ale nie jestem żadnym tam pijusem.

Suttree skinął głową.

Za to miałżem żonę, co to by wyssała dno butelki. Patrzajcie się tu.

Pokazał im wymięte zdjęcie, przedstawiające komódkę w tandetnie urządzonym pokoju, na której stało pięć pustych, sporych butelek.

Zawsze mam je przy sobie, powiedział. Jak mnie bierze żal, coby wróciła, wyciągam je i patrzę. Jeszcze się zdziwicie, za czym można się nauczyć tęsknić.

Odwrócił się do swoich linek i nie odezwał się więcej ani słowem.

Spławiki kołysały się wesoło w półcieniach. Nad jeziorem przelatywał

rybołów. Życzyli starcowi szczęścia.

Pokazał Joyce żyły krzemienia, wystającego spod mułu, znalazł

wyłupany z tego czarnego kamienia grot od strzały i podał jej. Białe mewy na mulistej łasze. Nieme drewniane pnie na krzywych nogach, gdzie woda zmyła ziemię z ich ciemno żłobionych korzeni, ociosywane przez wodę, spęczniałe od ohydnych guzów. Ich długie, groteskowe cienie kładły się na ilasty akwen zatoki, a na plaży każdy kamień i kamyczek spoczywał w swoim języczku cienia, brzeg wyglądał więc jak usiany rozbryzgami atramentu.

Nigdy czegoś takiego nie widziałam, powiedziała, obracając grot w dłoni.

Są wszędzie. Łatwo je znaleźć w zimie, kiedy woda opada.

W resztkach światła dziennego wyszli na piaszczystą łachę, nogi zapadały się im w suchym ile. Spośród zbielałych jak kości, wyrzuconych na brzeg kawałków drewna i innych przedmiotów Suttree wyszperał wielką, niebieską muszlę, cienką ze starości jak papier. Niosła ją ostrożnie, a w środku schowała grot i pokryty dziwnymi żyłkami kamyk, który znalazła już sama, odwzajemniający jej spojrzenie niczym oko. Mewy wzbijały się pojedynczo, parami, uniosły się wszystkie, runęły w górę i kołowały nad ich głowami, słońce odbijało się białym światłem od wygiętych skrzydeł, a pióra trzepotały na wietrze, który unosił ptaki. Poleciały wzdłuż jeziora, zachowując równowagę na opuszczonych skrzydłach, szyje wyciągnięte.

Suttree ukląkł na piasku i puścił kaczkę na wodzie. Łukowaty szlak kręgów. Na drugim brzegu zalegał głęboki cień. Łachy iłu jakby delikatnie pozszywane śladami łapek szczurów wodnych. Uklękła koło niego i ugryzła go w ucho. Jej miękka pierś opiera się o jego ramię.

Więc skąd taka samotność?

Stali na wzgórzu Simm's, patrząc w dół na światła miasta.

Tymczasem po niebie mknęły obłoki gwiazd, a trawa wyginała się wszędzie wokół nich w ciemności. Światło skąpej latarni ostrzegawczej pomrugiwało nad czarnymi, uśpionymi górami. W oddali lampki wesołego miasteczka i diabelski młyn, obracający się jak maleńki mechanizm zegarowy. Suttree zastanawiał się, czy w dzieciństwie była choć raz na jarmarku, urzeczona konstelacjami świateł, katarynkową muzyką karuzeli i chrapliwymi okrzykami naganiaczy. Kto widział w całym tym tandetnym świecie to, co dzięki spływającej nań łasce widzi dziecko, nie widział potu, zepsutych zębów i bezimiennych plam w trocinach, much, leniwej delirki ani obojętnego spojrzenia samotnych ludzi, wędrujących wśród krzykliwie kolorowych przybytków w poszukiwaniu czegoś, czego nie umieliby nazwać.

O północy wystrzeliły sztuczne ognie. Wybuchy szklanych kwiatów. Powolny bieg kolorów po niebie niczym plam rozmywających się w morzu, rozżarzone polipy, wygaszane w głębinach. Kiedy było po wszystkim, zapytał, czy chce już wracać. Wyczuwał, jak jej żebra unoszą się pod swetrem, gdy oddycha, i pomyślał, że jest jej zimno.

Odwróciła się i wtuliła w niego, a on ją objął. Płakała, nie wiedział

dlaczego. Miasto w dole wydawało się zamarznięte w niebieskiej pustce.

Bezsensowne wzory niczym ślady mikroskopijnych stworzonek na szklanej płytce. Po chwili powiedziała tak i wzięła go za rękę, i ruszyli z powrotem do Knoxville.

Zanim nastały chłody, to wszystko się skończyło. Nie wyjeżdżała z miasta przez dwa miesiące, trzy. Wśród kwot w książeczce oszczędnościowej zaczął się ruch w przeciwną stronę, w dół. Zaczęła mówić coś o szukaniu pracy. Piła. Kłócili się.

Pewnego niedzielnego poranka u Floyda Foksa, w melinie na odludnym odcinku Redbud Drive, dostała czegoś w rodzaju ataku szału.

Wrzeszczała na niego nieco bełkotliwie i robiła dziwne gesty, niektóre groźne, inne absurdalne. Usiłował ją wciągnąć do samochodu. Padał

deszcz, ślizgali się więc i wykonywali mylące manewry na gładkiej czerwonej glinie, a pijacy z McAnally czy Vestal siedzieli na skrzyniach albo zardzewiałych metalowych krzesłach i patrzyli.

Nie wiedziałżem, że w Redbud Room są tańce, zawołał jakiś dowcipniś z tłumu.

Wepchnął ją do samochodu, nogi oblepione błotem. Skręcili gwałtownie z podjazdu przez głębokie wstęgi rozmokłej ziemi na zabłoconą asfaltową drogę. Siedziała milcząca i ponura, na jej ustach od czasu do czasu pojawiał się niesamowity uśmiech.

Jechali Island Home Pike w stronę miasta, kiedy chwyciła dźwignię zmiany biegów i spróbowała na siłę wrzucić wsteczny. Silnik zawył, przekładnie tarły o siebie z przeraźliwym zgrzytem, nie mogąc się zazębić. Suttree chwycił ją za rękę i przytrzymał, a ona podniosła nogę i zaczęła kopać pokrętła radioodbiornika.

Ty walnięta suko, powiedział.

Ale ona w odpowiedzi osunęła się na fotelu, żeby się mocniej zaprzeć, i kopnęła obiema nogami w okno. Przednia szyba od strony pasażera zrobiła się biała i nieprzejrzysta. Kopnęła ją jeszcze raz, szyba wypadła na maskę i zsunęła się z niej na ulicę.

Zjechał do krawężnika. Krzyczała coś do niego bez sensu.

Ty szurnięta cipo, powiedział.

Spojrzała na niego niemal trzeźwo. To tylko samochód, powiedziała. Można go naprawić.

Po drugiej stronie ulicy obserwujące ich stare twarze. Suttree wpatrywał się w wycieraczkę zwieszającą się wewnątrz samochodu, nad deską rozdzielczą. Pogięte kikuty gałek radiowych. Spojrzał na nią.

Jesteś jak zadra w dupie, powiedział.

Podniosła nogę, duże, rozdrażnione dziecko, i przekrzywiła kopniakiem lusterko wsteczne.

Chwycił ją za nogę w kostce. Przestań, powiedział.

Zanosiła się pijackim płaczem. iy skurwysynu, odparła. Nie możesz powiedzieć: Wszystko w porządku, skarbie, albo powiedzieć, albo powiedzieć... Ty na pewno jesteś, kurwa, chodzącym ideałem, a zresztą niech cię szlag trafi.

Bezszelestnie podjechał do nich radiowóz. Wyszło z niego dwóch funkcjonariuszy, jeden z lewej, drugi z prawej strony.

Co to za awantury, powiedział do siebie Suttree, kiedy się zbliżali, modląc się w duchu, żeby otworzyła się pod nimi ziemia i pochłonęła wszystko.

Policjanci spojrzeli z góry na Suttree'ego i jego dziwkę.

Co to za awantury?

Suttree bezradnie machnął ręką. Wściekła się i wykopała szybę, powiedział.

Jeden z funkcjonariuszy opierał się o dach, Suttree widział odcisk jego łokcia w brezencie kilka cali nad swoją głową. Drugi policjant stał

z założonymi rękami. Nie odzywali się. Suttree też nie. Wszyscy zdawali się czekać jeszcze na kogoś.

Wreszcie policjant, który opierał się o dach, zapytał: Masz dokumenty wozu?

Suttree pochylił się i otworzył drewnianą pokrywę schowka.

Przerzucił papiery i podał policjantowi dowód rejestracyjny. Policjant powiedział: Proszę prawo jazdy.

Suttree wyjął portfel i zademonstrował mały kartonik.

Funkcjonariusz sprawdził dokumenty, oddał mu je i się wyprostował. Ta szyba leży tam z tyłu?

Sutree wytknął głowę przez okno. Tak, psze pana, odpowiedział.

To zabierz ją stamtąd. A potem lepiej sam zniknij z tej ulicy.

Tak, psze pana. Tak zrobię.

Popatrzyli raz jeszcze na samochód, pokręcili głowami, wsiedli do radiowozu i odjechali. Suttree ruszył w górę ulicy, przyniósł obwisłą, potłuczoną szybę z rynsztoka, w którym leżała, włożył ją do bagażnika, wsiadł, uruchomił silnik i ruszył. Wyjeżdżali z Cumberland, kiedy Joyce zaczęła drzeć pieniądze. Słyszał, jak rozrywa ich pełną garść i zdążył

zobaczyć zielone konfetti, które wirowało w strumieniu powietrza pędzącego wokół auta.

Cholera, powiedział. Skręcił kierownicą i płynnie zjechał na stację benzynową. Tam w nudzie niedzielnego poranka starcy patrzyli zza szyb, aż coś się wydarzy. I oto podjechał osobliwy automobil na jałowym biegu, a przez okno wylatywały strzępy zielonych, trzepocząc na ulicy, całe garście, kto wie, o jakich nominałach.

Siedziała, drąc banknoty, płakała i mówiła, że te pieniądze nigdy nikomu nie przyniosą nic dobrego. Starcze twarze przyciśnięte do szkła, płaskie, bezkrwiste nosy. Dwóch małych chłopców pędziło z drugiej strony ulicy na złamanie karku. Suttree wysiadł i zbierał kawałki dziesięcioi dwudziestodolarówek z chodnika. Ona też wysiadła i stała z włosami w nieładzie, chwiejąc się nieznacznie, uśmiechając. Chłopcy przeszukiwali rynsztok i obserwowali go niczym koty. Suttree obszedł

auto, wyciągnął kluczyki ze stacyjki i zaczął zamykać drzwi, ale po chwili zreflektował się, wsunął kluczyki z powrotem i pieszo ruszył po tłuczniowej nawierzchni na chodnik. Joyce wykrzykiwała pod jego adresem jakieś na wpół pijackie przekleństwa, z których rozumiał tylko swoje imię. Miał wrażenie, że wszystko to już kiedyś słyszał, i szedł

dalej.

Był jeszcze wczesny poranek, gdy schodził stromą ścieżką pod ruinami starego muru. Jakby jakieś starożytne, zarośnięte miasto. Na uschłym polu łachmany, które szarpał wiatr, wisiały na krzyżu zwieńczonym kapeluszem. Niżej wybrzeże splamionych mułem skał, stare płyty chodnikowe i kawałki betonu, z którego wyrastały zardzewiałe, żelazne pręty. W tutejszych zaroślach widywał nawet wiekowe, kamienne płyty obsypane muszlami. Zszedł po betonowych schodach o pogiętej, żelaznej poręczy i minął stare, ceglane zbiorniki na wodę, pełne gruzu. Przeszedł obok skalistej podpory leciwego mostu na rzece, ostatni walący się dom, brązowe kawałki kamiennego krawężnika, biegnącego kiedyś wzdłuż głównej ulicy, stare kamienie i kostki brukowe, i łączone na czopy, poczerniałe belki o obrobionych siekierami płaszczyznach, cały ten detrytus zsunął się w to miejsce z miastowego wzgórza.

Minął dom wariata, nie zaprzątając sobie nim głowy, a starzec widać stracił trochę czujność, bo Suttree był już prawie na ulicy, zanim usłyszał jego krzyk.

Ach, więc wrócił, niech Bóg oszczędzi jego poczerniałą duszę, kolejny bohater wraca od kurew do domu. Przychodzi ochłodzić pięty w rzece razem z innymi szumowinami. Niedziela nic dla niego nie znaczy.

Niewierny. Wróciłżeś łowić ryby, co? Sam Bóg nie patrzy się za uważnie na to, co leży na dnie tej rzeki. To dobre miejsce dla ciebie. No przecie. Wie, że to niedziela, bo jest pijańszy niż zwykle. Trza będzie czego więcej, niż przeprowadzać starych ślepców przez ulicę, cobyś się mógł uratować od piekła, co to je będziesz niedługo zamieszkiwał.

Suttree zmierzał na ulicę, zatykając sobie uszy palcami.

Howard Clevinger podniósł brew na jego widok w sklepie.

Myślałem, żeś wyjechał z miasta, powiedział.

Wróciłem.

Na ramię Suttree'ego z szeptem tafty opadła szczupła, pachnąca ręka, spinka zrobiona z lampy od roweru. Afrykańska maska w krzykliwej błazenadzie i zęby jak z wysadzanej złotem kości słoniowej.

Hej, kochanie, gdzieżeś był tak długo?

Cześć, John. Tu i tam.

Sam żem wyjeżdżał.

Gdzie byłeś?

W Lexington. Widziałżem Jamesa Herndona. Sweet Evening Breeze. Jest normalnie piękna jak na swój wiek.

Kto jest starszy?

Od kogo?

Ty czy ona. On. To.

Cichaj. Ta rura ma sześćdziesiątkę.

A ile ty masz lat, John?

Trippin Through The Dew puścił to pytanie mimo uszu.

Powiedział: Wiesz, co zaś dadzą w gazetach, jak umrze? Wielkie nagłówki.

Co takiego?

Pewnikiem mają je już normalnie gotowe. Słodka Wieczorna Bryza już nie wieje.

Suttree uśmiechnął się szeroko. Odmieniec stał zgięty wpół i trzymał się za brzuch, miał skrzywioną twarz. Rżał niczym klacz.

A co napiszą o tobie, John?

Kuuurde. Ja żeż tam nie umrę.

Może i nie, odpowiedział Suttree.

Domek na tratwie został częściowo zalany w jednym rogu, okna były wybite, a frontowe drzwi w ogóle zniknęły. Wszedł na scenę starych wspomnień i nowych zniszczeń. Podarte karty do gry i potłuczone, półpintowe butelki po whisky na podłodze, kuchenka po brzegi wypchana śmieciami, sięgającymi jej gardzieli. Przeszedł na drugą stronę po pochyłej podłodze i ustawił na nogach spiżarkę, leżącą drzwiczkami do dołu wśród rozbitego szkła i szmat.

Z nadejściem popołudnia mieszkanie miał zamiecione, a materac wietrzył się na dachu, usiadł więc na werandzie, w słońcu, z diamentem do cięcia szkła, przyciął stare szyby, które zwędził kiedyś z pustego magazynu, i oszklił nimi puste okna swojego domku. W następnych dniach zasmołował

szpary w dachu, przydźwigał na plecach drzwi z wyburzonego domu za First Creek, podpiłował je, żeby pasowały, i wstawił.

W końcu pewnego ciepłego, październikowego poranka, stojąc na łódce, odepchnął się od stromej ściany kadłuba pogłębiarki i sięgnął po toporek strażacki, który mu z niej podali. Beczki napełniły się wodą, kiedy wybił w nich dziury, zarzęziły, zasyczały i powoli zniknęły w rzece. Umocował nowe i krzyknął coś w stronę sterowni. Zaskrzypiał

dźwig, po czym dom się wyprostował. Suttree odpiął liny, kiedy tylko trochę poluzowały, i od razu szarpnęło je w górę, na pokład.

Ile jestem wam winien?, zawołał, oddając toporek.

Marynarz wystawił kciuk, wskazując sterownię, skąd z wysokiego okna obserwował ich kapitan.

Ile jestem wam winien?

Kapitan splunął. Nie wiem, odrzekł. A ile to dla ciebie warte?

Nie wiem. Nie chcę pana wkurzyć.

Powiedziałbyś, że pięć dolarów?

Powiedziałbym, że to uczciwa cena.

Wręczył pieniądze marynarzowi. Pogłębiarka zaczęła się cofać.

Wielkie bąble mętnej wody zakipiały i pękły. Suttree podniósł rękę, a stary pilot zadzwonił małym dzwoneczkiem. Wiechcie słomy na wodzie uniosły się i opadły, ze szczurzych nor na brzegu dobiegały cmoknięcia i trzaski i pogłębiarka odpłynęła, marynarz przechylił się przez reling, paląc papierosa i patrząc w stronę brzegu.

Suttree kupił trzy pięćsetjardowe szpule nylonowej żyłki do łowienia za pomocą takli i przez dwa dni dzielił je na mniejsze odcinki ze spławikami, ciężarkami i haczykami. Trzeciego dnia zarzucił je i tej nocy, po zjedzeniu kolacji i przy zapalonej lampie, usiadł na krześle w swoim domku,

słuchając rzeki, na kolanach otwarta gazeta, i wtedy naszedł go niespokojny spokój, jakieś dziwne zadowolenie. Małe, ziemiste ćmy orbitowały wokół stojącego przed nim, gorącego, szklanego stożka. Odstawił talerz z tandetnymi sztućcami i splótł dłonie na stole. Jakiś żuk obijał się o roletę i spadał coraz niżej, na pokład, buczał, wzbijał się w górę i tłukł znów o roletę.

Pogodna noc nad południowym Knoxville. Światła mostu kołysały się w rzece wśród małych, ciemno brukowanych izomerów odległych gwiazdozbiorów. Odchylając się na krześle, formułował pytania, które mogłaby mu zadać drżąca owodnia światła lampy na suficie: A gdyby był ktoś, kto by słuchał, a miałbyś dzisiaj umrzeć?

Słuchałby mojej śmierci.

Żadnych słów na pożegnanie przed śmiercią?

Słowa pożegnania to jedynie słowa.

Mnie możesz powiedzieć, paradygmatowi twojej złowrogiej genezy, stworzonemu przez płomień w szklanym kloszu.

Powiedziałbym, że nie byłem nieszczęśliwy.

Nic nie masz.

A może ostatni będą pierwszymi.

Wierzysz w to?

Nie.

A w co wierzysz?

Wierzę, że ostatni cierpią tak samo jak pierwsi. Pari passu.

Jednakowo?

W ciemności śmierci wszystkie dusze stają się jednością, nie są więc samotne.

Za co byś pokutował?

Za nic.

Za nic?

Za jedną rzecz. Mówiłem o moim życiu z goryczą i powiedziałem, że wystąpię przeciwko oszczerstwu niepamięci i potwornej nieobecności jego oblicza i będę trwał niczym kamień w absolutnej pustce, w której każdy mógłby odczytać moje imię. Z tej przechwałki odszczekuję wszystko.

Odbita w czarnym szkle kamea twarzy Suttree'ego obserwowała go przez oświetlone lampą ramię. Nachylił się i zdmuchnął płomień, swojego sobowtóra, obraz nad głową. Szpula rzeki rozwijała się ciemna i milcząca. Na moście bzyczała ciężarówka.

Przez cały ten sezon, mozoląc się na rzece, miał prawo wspominać dawne dni z deszczem stukającym o szybę, ciepłym łóżkiem pełnym ciała Joyce i to, jak jej oczy odpływały w górę niczym tureckim żebrakom, tylko w szparkach powiek lśniły niebieskawe białka, a ona wystawiała język, chwytała się za kolana, krzyczała i opadała z powrotem. Leżała w mokrej pościeli niczym samobójczyni. Dopóki nie mogła roztrzepotać się na nowo do życia, by sączyć mu do ucha słodkie kłamstwa albo liczyć kręgi na jego plecach bardzo chłodnymi palcami.

W mozole orgazmu – tak mówiła, tak mówiła – oblewało ją ciepłe, zielone morze, przez które przepływa szereg małych słońc, nieco przygaszonych jego mrokiem, jak światła rampy sceny obrotowej, elektryczna karuzela, wirująca w zielonym eterze. Kolor zazdrości jest kolorem jej rozkoszy, a jaki jest kolor rozpaczy? Czy czarny, jak powiadają? A gniewu zawsze czerwony? Kolor tego smutnego odcienia nudy, zwany niebieskim, jest niebieski, ale nie tak, jak niebo albo morze, to niebieski gorzki, zabarwiony skruchą, odbarwiony przy brzegach. Kolor południa ślepca jest biały, a nocy też? Czy czuje go przez skórę, jak ryba? Czy odczuwa błękity, które są weselne i pogodne, czy żółcienie, słoneczne albo urynalne, czy je

pamięta? Neutralne kolory jak przelatujące dźwięki marzeń. Kolorem tego życia jest woda.

Rankiem wybrał się w dół rzeki wyciągnąć swój połów. Chłodny poranek ze stale wznoszącą się mgłą. Na drugim brzegu kwiczenie świń na pochylniach w rzeźni jak krzyki trędowatych za bramami miasta.

Siedział na rufie łódki i powoli wiosłował pod most. Kiedy pod nim przepływał, podniósł głowę, na widok wysokiej czarnej nawy z jego ust dobiegło wycie, a gołębie w lukach rozłożyły się jak wachlarz i pofurkotały w stronę słońca.

27

Sezon na śmierć i epidemię przemocy. Clarence Raby został

śmiertelnie postrzelony przez policję na trawniku przed budynkiem sądu, a Lonas Ray Caughorn przeleżał trzy dni i trzy noce na pokrytym papą, piaskiem i gniazdami lelczyków dachu więzienia okręgowego, aż wreszcie grupa pościgowa uznała, że uciekł z miasta. Jakie miał sny o pani Katherine? Suttree widział ją pewnego dnia w Huddle z Wormem Hazelwoodem. Nie musiała już jeździć po kraju i okradać ludzi. I widział wiadomości w gazetach. Ciało młodej dziewczyny pogrzebane pod śmieciami nad First Creek. Sprout Young, zwany Rattlesnake Daddy, został oskarżony o morderstwo.

Suttree natykał się na ulicy na ludzi, którzy woleliby raczej nie wychodzić z domu. Rodzina starszych Murzynów siedząca w ciemności pośród swoich mebli w całkowitym milczeniu. Okutani w stare kołdry z powodu zimna, papieros starca wznosił się i opadał powolnymi, czerwonymi łukami. Kiedy Suttree przechodził tamtędy rano, wszyscy poszli po pomoc z wyjątkiem staruszki, która siedziała na krześle na chodniku między stosami brudnych sprzętów domowych. Przyglądała się przechodniom na ulicy, ale nikt nie odwzajemniał jej spojrzeń. Na leciwej, pożółkłej lodówce wylądował szpak, i starucha dźwignęła się z trudem, żeby go przegonić.

Złomiarz leżał między śpiącymi pijakami w obozowisku, lecz nie poruszył się, kiedy złodziej, który wyskoczył z ciemności z wagonu towarowego, ruszył między nich. Hominid jakby zbudowany z dymu, który wysysał kieszenie niczym łakocie, atakując drobne pieniądze i na wpół opróżnione paczki papierosów. Przez ciemne, altankowe ścieżki w kapryfolium, gdzie leżały gazety, przypominające przykucnięte duchy, i lumpy tak pijane, że muchy obsrywały im uszy jajeczkami. Tu przystaje, żeby zabrać im buty. Wychodzi z obozowiska i znika w ciemności wagonu, a pociąg znów szarpie i rusza, jak gdyby na niego czekał. Przez tory przebiegł pies, zatrzymał się, żeby obwąchać nogi starca, i pobiegł

dalej.

O świcie zaś jakaś głuptaska budzi się po zbiorowym gwałcie na tylnym siedzeniu porzuconego samochodu nad rzeką. Kręci się, początek słodkiego dnia. Cuchnie skisłym piwem i zaschłą spermą, ma zaropiałe oczy, zużyte kondomy dyndają idiotycznie z pokręteł na desce rozdzielczej. Jej ubranie leży zdeptane na podłodze. Są na nim ślady ubłoconych butów i psiego gówna, a jej cipa przypomina pęk glutów i włosów, wyciągniętych z kratki odpływowej. Podnosząc się, widzi dwóch czarnoskórych chłopaków, którzy siedzą w kucki na zderzakach samochodowych niczym gibbony, skradzione z architrawów jakiejś katedry ze Starego Świata. Dziewczyna składa ręce na piersiach, a oni zeskakują na ziemię i pohukując, czmychają przez zarośla. W oddali szosą pędzą samochody. Schyla się, jęcząc, żeby podnieść ubranie.

Pewnego wieczoru w Huddle Suttree spotkał Leonarda, który właśnie wyszedł z domu pracy przymusowej. Dostał robotę na zmywaku, miał rzeżączkę odbytu i był pokryty krostami. Pokuśtykał do stolika Suttree'ego i usiadł niespokojnie. Opowiadał, że widział

spływające z ust prokuratora kłamstwa. Mgliste, lecz substancjalne, zbiegały mu z języka niczym myszy, rozglądały się przez chwilę, a potem rozpierzchały. Prokurator pochylał się nad Leonardem, kiwał

długim palcem, i czy to nieprawda, że chciałeś zataić śmierć swojego ojca, coby bezprawnie wyłudzić forsę od państwa? Szalony wzrok, prawnik przysuwał swoją spoconą twarz bardzo blisko do mniejszego oblicza Leonarda i unieruchamiał go jakby pozbawionymi powiek oczami i triumfalnym spojrzeniem, aż Leonard, nieco podnosząc się z krzesła, chwycił jego zimną głowę w obie ręce, przyciągnął go do siebie i rozchylił jego wąskie usta soczystym pocałunkiem.

Wziął i wypłynął, Sut. Wyciągł ze sobą wszystkie te łańcuchy.

Ojcowie tak mają, odpowiedział Suttree.

Wszędzie żem cię szukał.

Suttree nie pytał, po co.

Katamita przysunął bliżej krzesło i pochylił się konfidencjonalnie.

Muszę się ciebie o coś zapytać, Sut.

Okej.

Jak coś kupujesz i nie zapłacisz, to mogą ci to odebrać?

Jasne. Oczywiście, że tak.

Ale wiesz, bez względu, co to jest?

No. Nie wiem. Pewnie są takie rzeczy, które niełatwo odzyskać.

Co to jest?

No, przychodził do nas do domu taki jeden facet...

Okej.

No. Wiesz, jak znaleźli starego i mielimy te wszystkie kłopoty z prawem.

Okej.

No, to stara poszła i kupiła takie miejsce w Woodlawn, coby nie pochowali go tutaj, na jak on się tam nazywa, i wzięła cały pakiet, ten facet przyjechał do domu i ubił z nią interes, opchnął jej kawałek ziemi i jeszcze jeden obok, dla niej, a w pakiecie była opieka, taka całobo, całobo...

Całodobowa.

Całobowa opieka, i namówił ją, coby podpisała wszystko i nie musiała płacić zadatku ani nic przez jakie pierwsze sześćdziesiąt dni, a teraz zalega za trzy miesiące i jest im winna sześćdziesiąt dwa pięćdziesiąt...

Leonard.

Tak.

Chcesz mi powiedzieć, że zabiorą wam plac pod grób ojca?

A mogą, Sut?

Nie wiem.

No, znałem raz jednego faceta, to przyszły i zabrały mu zęby, co to nigdy za nich nie zapłacił.

Dowiem się o to dla ciebie. Naprawdę powiedzieli, że odbiorą wam plac?

Powiedzieli mi, Sut, że jak nie zapłaci do dziesiątego, to ten facet przyjdzie.

Suttree popatrzył na jego szczerą, zaczerwienioną twarz. Pokręcił

ze zdumieniem głową.

Nastali czasy gorsze niż zaraza. W naszym domu, znaczy się, nastali.

Co u Harrogate'a?, spytał Suttree.

Leonard uśmiechnął się szeroko. Nie wiem. Widziałżem go na mieście, będzie z miesiąc temu, to wisiała mu na ramieniu jakaś poczciwa dziewucha ze wsi, wyższa od niego coś o głowę. Krzykłem się go spytać, czy czasem miewa jakie dymanko, ale udawał, że mnie nie zna.

Może to była jego siostra.

Może. Trochę się do niego kleiła.

Suttree zamknął oczy, jak gdyby usiłował sobie kogoś wyobrazić.

Kiedy je otworzył, Leonard patrzył na niego. Rozejrzał się, jakby nie wiedział, skąd się tu w ogóle wziął.

A oto i Harrogate. Stał w drzwiach domku Suttree'ego z cygarem w zębach. Zamalował swój czarny ząb, który teraz był kredowo biały, i zapuścił cienki

wąsik. Miał na głowie o numer za duży sztruksowy kapelusz, czarną gabardynową koszulę i takież spodnie. Jego buty były czarne i z ostrymi noskami, skarpetki żółte. Suttree w szortach opierał

się o framugę i przyglądał Harrogate'owi z czymś, co mieszczuch wziął

za niemy podziw.

Jak leci, Sut. Jak się masz, w mordę jeża?

Miałem się dobrze. Wejdź, śmiało.

Harrogate dwoma palcami uniósł kapelusz za główkę, zsunął go sobie na piersi i wszedł, pochylając się nieco, chociaż nadproże framugi wisiało dwie stopy nad jego głową. Położył kapelusz na stole, podciągnął spodnie, wsunął za nie koszulę szczupłymi, drobnymi dłońmi, ćmił cygaro, uśmiechał się szeroko i rozglądał. Wielki Boże, powiedział Suttree.

Widziałżem się z Rufusem, gadał, żeś wrócił.

Suttree zamknął drzwi. Siadaj, powiedział.

Szukałżem cię w Comer's. Gadali, że trzepiesz kapuchę.

Taa. Ale rynek się popsuł. Siadaj, siadaj.

Harrogate odsunął kapelusz na bok, żeby mieć miejsce na łokieć, i usiadł. Znowu łowisz?, spytał.

Suttree rozparł się na łóżku. Znowu łowię, odparł.

Myślałżem, że to rzucisz.

Ja też.

Zaszedłem tu raz czy dwa. Twój domek prawie zatonął.

Czym się zajmujesz, Gene?

Hmm?

Pytałem, czym się zajmujesz.

Harrogate wyszczerzył zęby w uśmiechu. Robię parę tras, odpowiedział. Obrócił cygaro w zębach i posłał Suttree'emu spojrzenie sprytnego wariata. Robię parę tras.

Suttree czekał. Opowieść powinna zostać przedstawiona szczegółowo. Chodzi o to, że mieszczuch obchodzi automaty telefoniczne. Ma przy sobie małe, tanie gąbki, przebite kawałkiem zawiązanego w pętlę drutu. Obchodzi telefony ze specjalnym haczykiem, przyklejonym taśmą do palca wskazującego, przesuwa zapadki mechanizmu zwrotu monet, wypada kilka pięciocentówek, a wtedy gąbka zostaje wycofana.

Nie rozumiem, chyba nie można na tym dużo zarobić, powiedział

Suttree.

Harrogate uśmiechnął się chytrze.

Ile masz tych telefonów?

Wyjął cygaro z ust. Dwieście i ośmdziesiąt sześć, odparł.

Co?

W sobotę trafił mi się dwudziestosześciodolarowy dzień. Ledwo żem mógł chodzić przez te jebane pięciocentówki w kieszeniach.

Wielki Boże, powiedział Suttree. Obrabiasz połowę automatów w Knoxville.

Harrogate się uśmiechnął. Coby je obejść, potrza całego dnia.

Codziennie dodaję parę nowych. Im dalej od centrumu, tym więcej twardego chodnika między automatami. Normalnie schodziłżem już dwie pary nowiutkich butów od Thoma McAna.

Suttree pokręcił głową.

Harrogate strzepnął popiół z cygara na dłoń i podniósł wzrok.

Słuchaj, powiedział. Jak ci kiedy automat połknie pieniądze, to ino daj mi znać. Ja ci je zwrócę. Słyszysz?

Okej, powiedział Suttree.

Albo jakiemu twojemu znajomkowi. To od razu mi powiedz.

W porządku.

Jesteś jedynym skurwysynem na świecie, co bym mu o tym powiedział. Bo wiesz, każdy mógłby obchodzić moją trasę, jakby się kapnął. Zaś nie mam się jak bronić.

Nie.

Chodzą mi po głowie jeszcze inne interesy. Jakbyś chciał, mam jeden dla ciebie, Sut. Zawsze żeś był dla mnie przyzwoity. Mogę zabrać kumpla w drodze na szczyt, a co tam.

Gene.

Taa.

Jesteś w drodze do więzienia, nie na żaden szczyt.

Kurde, odparł Harrogate. Jak będę miał drugi taki dzień jak ta sobota, to kupię całe to cholerne więzienie.

Tam nie jest jak w domu pracy. Więźniowie pracują w kopalniach.

Harrogate uśmiechnął się i pokręcił głową. Suttree go obserwował.

Uśmiechnął się jeszcze smutniej niż zazwyczaj.

Widziałem wczoraj Leonarda. Powiedział, że widział cię w mieście z jakąś dziewczyną, wiszącą ci na ramieniu.

Kurde, odpowiedział spokojnie Harrogate. Jak człowiek ma przy sobie trochę pieniędzy, to się normalnie i kijem nie opędzi od cipek.

28

Suttree zapukał do drzwi noclegowni. Korytarzem przywlókł się stróż, otworzył drzwi i wyjrzał. Zamknął jedno oko, pokręcił głową.

Żadnego szmaciarza tu nie ma. Suttree podziękował mu i zszedł z powrotem na ulicę.

Ciągle padał zimny, szary deszcz, kiedy spokojnie schodził wąską ścieżką po południowej stronie mostu i ruszył po kamieniach do kwatery szmaciarza. Kiedy okrążył podpory i wkroczył w półmrok pod mostem, z drugiej strony wystrzeliło trzech chłopców, wdrapali się na skały i zniknęli w lesie nad rzeką. Suttree wszedł do ciemnej krypty pod łukami. Glinianym drenem do kamiennego kanału spływała woda. Z

pękniętej rury na bliższej ścianie też kapała i pryskała wszędzie z ciemnej wysokości.

Halo, zawołał Suttree. W pustce odezwało się echo. Osłonił oczy, żeby lepiej widzieć. Hej, zawołał. W chłodnym, wilgotnym wnętrzu dojrzał zarys łóżka starca.

Stanął w nogach materaca szmaciarza i spojrzał na niego z góry.

Stary leżał z zamkniętymi oczami, zaciśniętymi ustami i rękami opuszczonymi po bokach. Wyglądał, jakby się zmusił, żeby umrzeć.

Suttree rozejrzał się po wzgórkach zapleśniałych szmat, stosach drewna na opał, półkach pełnych butelek, słoików i skarbów, złożonych z bezimiennych śmieci, popsutych sprzętów kuchennych albo lamp, tysiące podzielonych domów, wysłużone ruchomości ludzi samotnych jak on.

Przesunął się w górę łóżka. Starzec miał buty na nogach, Suttree widział ich kształt pod kołdrą. Przysunął sobie krzesło, usiadł i patrzył

na szmaciarza. Przejechał ręką po twarzy i pochylił się do przodu, zaciskając palce.

No, powiedział. I co teraz myślisz? Boże, jesteś żałosny.

Wiedziałeś o tym? Żałosny?

Rozejrzał się.

Ci chłopcy szperali w twoich rzeczach. Pewnie zapomniałeś o paliwie. Nigdy o to nie dbałeś. Naprawdę pamiętałeś o mnie? Ja nie mogłem sobie przypomnieć imienia swojego pluszowego misia. Miał

sztruksowe łapy. Moja matka często go zaszywała. Dawała kanapki i jabłka. Do drzwi pukali Cyganie. Baliśmy się ich. Misie mojej siostry nazywały się Mischa i Bruin. Imienia mojego misia nie pamiętam.

Próbowałem sobie przypomnieć, ale nie mogę.

Starzec leżał w swoim mosiężnym łożu, ciemny, niewyraźny.

Suttree odchylił się na krześle i potarł oczy grzbietem dłoni. Dzień przeszedł w zmierzch, deszcz osłabł. Gołębie trzepotały w górze, stroszyły piórka i gruchały. Odbywający to krótkie czuwanie przy zmarłym powiedział, że odgadł coś, co dzieje się za kulisami, że zobaczył liny, worki z piaskiem i żabki przewodów od reflektorów. Za wymalowanym tłem, przedstawiającym świat, usłyszał stłumione szuranie i kaszel.

Pytałeś? Czy on gra w kości? Co robisz w łóżku w butach?

Przeczesał ręką włosy, pochylił się naprzód i spojrzał na starca.

Nie masz prawa reprezentować ludzi w ten sposób, powiedział. Jeden człowiek to cała ludzkość. Nie masz prawa do swojej niedoli.

Przetarł oczy grzbietem dłoni.

Nie ma nikogo, kogo można by zapytać, co? Nie ma... Patrzył w dół na szmaciarza, podniósł jego rękę, pozwolił jej opaść z powrotem, wstał i

mijając wymalowaną skałę starca, wyszedł na deszcz.

29

Rozkręciła drewniany grzybek krawiecki i wyciągnęła ze środka kawałek brunatnej kości. Czarna dłoń zamknęła się na niej jak spalony pająk, a Murzynka odwróciła się powoli do Suttree'ego, który siedział

przy stole. Widmo przedmiotów śpiewa w ich własnych popiołach. Kto ma uszy, by go słuchać? Pozwoliła się zamknąć swoim przypominającym połówki orzecha powiekom. Dwie grube, czarne świece topiły się i skwierczały, stearyna zastygała jak szary tłuszcz na spodeczkach. Jej maleńkie dłonie o żółtych paznokciach przypominały zmumifikowane ręce, które widział kiedyś skrzyżowane na piersi martwego niewolnika, leżącego na nadgryzionym przez korniki wózku na zapleczu sklepu z używanymi meblami. Stała przed nią poczerniała ze starości szkatułka z twardej niczym deska skóry, otworzyła ją i zaczęła wyciągać swoje utensylia. Jak ksiądz z namaszczeniowym zestawem do śmierci. Płomyki świec zadrżały w cieniu jej ruchów i przez chwilę wirowały na ścianie.

Merceline Essary, co to gadali, że nigdy nie będzie już chodzić po tej ziemi, doktory tak gadały, to ona dzięki mnie zaczęła chodzić w trzy dni. Umarła w końcu zeszłego października i zaś chodziła do ostatniego dnia.

Ja mogę chodzić, powiedział Suttree.

Możesz, odparła. Ale nie widzisz, dokąd idziesz.

A ty?

Wiedzieć, co będzie, to jakby sprawić, coby tak się stało.

Suttree uśmiechnął się. Gdzieś w głębi domu zaklekotał

mechanizm zegarowy.

Wyjęła żelazny garnuszek ze skórzanej szkatuły i postawiła go na stole w małym stojaczku. Wyciągnęła niewielki palnik spirytusowy, napełniła go z

butelki, zapaliła i podstawiła pod słoiczek. Rozwinęła i rozłożyła czarne sukno, rozstawiła na nim swoje rzeczy i sprawiała wrażenie, jakby się im dziwiła. Krwawy agat z wyborowaną dziurą, spękany i żółty ząb, być może kieł dzika, blaszane puzderko, zbyt małe, żeby zawierać coś, czego mógłby użyć chrześcijanin. Dotykała kolejno wszystkich tych przedmiotów. Spojrzała na Suttree'ego. Siedział

swobodnie na krześle, z rękami wciśniętymi między uda. Rozluźniony kręgosłup, czuł, jak ogarnia go spokój. Przyglądał się ułożonym blisko siebie drobiazgom i zastanawiał nad ich znaczeniem dla ukrytych systemów, czekał, aż kobieta sięgnie po swój woreczek kości, żeby zobaczyć, jaki mogą kryć dla niego układ, rorschachowy tekst, wzór na dywanie. Postać wydobyta z dna jaskini, gdzie spoczywały stare skamieniałości, anachronicznie połączone, taksonomiczne absurdy i wrogowie porządku. Ale ona wyjęła starą buteleczkę z dmuchanego szkła, zawierającą oleistą maść, i zajęła się przyrządzaniem magicznej mikstury, nakładając łyżeczką jakiś ponury proszek z blaszanego puzderka do garnuszka, gdzie olej zaczynał dymić i pryskać, wydzielając smród, przypominający odór smażonego łajna.

Suttree wydawał się nieporuszony. Rozwarła dłoń z kawałkiem kości, który włożyła sobie pod język, i maleńką ręką dotknęła kolejno oczu Suttree'ego. Poczuł słabe mrowienie na karku, stracił ostrość widzenia. Odchylił się ospale i patrzył na tańczące na suficie płomyki.

Stara przygotowywała swoje proszki. Na tacce rozgniotła łyżką na śmierć jaszczurkę cętkowaną jak ocelot, lepką i kleistą. Biaława pasta.

W czasie pracy pomrukiwała cichym głosem jakiś tren. Powiedziała: Żaden zwyczajny ogień nie spali jaszczura. Wyciągnęła dymiącą masę z garnuszka, zamieszała łyżką, zdmuchnęła mały niebieski płomyk i odstawiła garnuszek z powrotem na stojak. Jej dłonie zdawały się niewrażliwe na gorąco. Jej ruchy szybkie i pewne. Napluła na sproszkowaną końską narośl, leżącą na szkiełku od zegarka, zamieszała wszystko palcem na jakąś straszną pastę i pochyliła się, by mu namaścić powieki. Potem znów sięgnęła po garnuszek, nabrała trochę masy na łyżeczkę i podsunęła Suttree'emu.

Roztwórz usta, powiedziała.

To jest gorące.

Ramię, na którym się opierał, wydawało się mu jak pianka morska.

Aneroidalne kości, puste jak ptasie. Żeby przepowiedzieć pogodę w twoim sercu.

Patrzaj się tutaj, na mnie, powiedziała.

Zimne gałki oczne, powleczone krwawą pajęczyną. Kaszaki pod ciemnymi, ciężkimi powiekami.

Roztwórz usta.

Otworzył. Wepchnęła mu łyżeczkę w gardło i zsunęła jej zawartość do przełyku. Maź bez smaku, pełna twardego piasku.

Przełknął ją. Usiadła i patrzyła. Kiwała głową. Naszły go mdłości.

Patrzył na jej oczy i usta, ale słowa wydawały się mu bez związku.

Mówiła o jakimś kocurze, całym czarnym. Znajdź kość, która nie będzie się palić. Suttree prawie zapomniał o paście na powiekach i wyciągnął

rękę, żeby sprawdzić, dlaczego są sklejone, ale powstrzymała go.

Zadrżał w uścisku dreszczy. Pył ze skorpiona, sproszkowana żaba w mleku lochy. Będziesz srał przez ucho igielne na trzydzieści kroków. Z

tyłu jego głowy staczały się fragmenty snu. Dźwignął się i spojrzał na staruchę. Przyglądała się mu, jakby był zawartością któregoś z jej słojów.

Co?, spytał.

Nie odpowiedziała, a w jej wyblakłych oczach nie było żadnych informacji.

Co mam robić?

Ty nic. Dostaniesz odpowiedź.

Od ciebie?

Nie.

Ogarnęła go fala nudności. Zamierzał coś o tym powiedzieć, ale mdłości ustąpiły. Potem wróciły raz jeszcze. Rozdygotana dolegliwość, która wcisnęła mu brzuch w przeponę.

Źle się czuję, powiedział.

Nie waż się rzygać.

Chyba będę.

Ujęła jego nadgarstek swoją pajęczą ręką i spojrzała mu w oczy.

Nie waż się rzygać, powiedziała.

Muszę się położyć.

Bez słowa odsunęła krzesło, podniosła się i wzięła go pod ramię.

Wstał jak pijany. Strasznie chciało mu się wymiotować.

Poprowadziła go przez pokój do małego łóżka. Wyglądał niczym jakiś średniowieczny bohater, wiedziony przez małego, czarnego gnoma. Wzięła lampę, zapaliła ją, nałożyła klosz z powrotem i odwróciła się, żeby go obserwować. Na półce nad kominkiem w małej, mosiężnej amforze stała ciemna róża z krepy, zamontowany na podstawce wilgowron o matowych, szklanych oczach i różne bibeloty, jakieś pudełeczko, poduszeczka na szpilki i igły. W świetle lampy powierzchnia lustra, w którym te przedmioty leżały podwojone, miała kolor reńskiego wina i była pokryta fiołkoworóżowymi i metalicznie niebieskimi smużkami, a także płatkami łuszczących się widm.

Odstąpiła od kominka, przeszła przez pokój i wyszła. W kącie stał

wieszak na ubrania, obwieszony zielonymi i żółtymi ptaszkami z celuloidu, które po zamknięciu drzwi zaczęły się obracać na wietrze, a ciemne kwiaty w starym wiadrze na wodę zakołysały się niczym papierowe kobry. Suttree wpatrywał się w ogień za żelaznymi zębami paleniska. Długo jej nie było. Kiedy wróciła, zatrzymała się, żeby na niego popatrzeć. Leżał jak przedtem. Nudności minęły i czuł się coraz bardziej zdystansowany do całego świata. Zapytał: Mam iść do domu?

Zaś nie ma znaczenia, gdzie pójdziesz.

Spróbował się podnieść z łóżka, ale kiedy już prawie usiadł, zwątpił, czy powinien chodzić. Wydawało się, że nie ma po co. Położył

się z powrotem. Po chwili podniósł nogi na łóżko i się położył. Ruch płomieni w kominku rozkwitł na ścianie jak puls odległej błyskawicy.

Nagle wydało mu się, że ogień jest bardzo daleko, a on znajduje się w innym pomieszczeniu. Gdzie indziej. Popatrzył na czarnoskórą staruchę.

Miała zamknięte oczy, ale gdy na nią spojrzał, otworzyła je. Szeptała coś cichutko do siebie, jakby się modliła, ale to nie była modlitwa.

Czegoś ty mi dała?

Nie odpowiedziała. Odwróciła się profilem, czarna, androgyniczna sylwetka.

Czuł się pusty w środku i wydawało mu się, że chłodny wiatr przewiewa go na wylot, jak na ulicy. Drzwi zamknęły się na wszystko, czym był dawniej. Popatrz na mnie, powiedział.

Cichaj, chłopcze. Nie muszę na ciebie patrzeć.

Nagle zdał sobie sprawę, że to scena z przeszłości, i spoglądał na tę blednącą rzeczywistość niczym obserwator z innego pokoju. Potem sam obserwował obserwatora. Wiedział, że w pokoju pali się światło i że wciśniętymi pod uda rękami dotyka żelaznej ramy łóżka, ale nie potrafił

zdecydować, gdzie jest. A potem znalazł się w innym miejscu.

Zaczął się poruszać. Wirował po ogromnym, brązowym okręgu i kierował się po spirali na zewnątrz, a co kilka minut mijał punkt, w którym już wcześniej był. Ogień w palenisku wirował obok, podobnie jak dwa kielichy światła dwóch czarnych świec na stole w kącie oraz wyschła, pomarszczona twarz starej wiedźmy. I jeszcze raz.

Poczuł na sobie ręce, suche szpony, zdejmujące z niego ubranie.

Serce zaczopował mu spotniały strach. Nie wiedział, czy jego oczy widzą, czy może nie. Zostały jakby pozbawione powiek i widziały to samo bez względu na to, czy były otwarte, czy zamknięte. Jego ręka, wyciągnięta, żeby go ocalić, wydawała się tonąć w jakimś kleju, leżał

niby ćma w pajęczynie. Ze staruchy sypał się kurz, przewracała wilgotnymi oczami w czerwonym blasku z kominka. Z jej rzuconych na podłogę łachmanów wyłoniła się zasuszona, czarna, bezwłosa postać, czarne, pomarszczone skórki piersi zwisające niczym puste woreczki, cienkie, ostre pale żeber, pod którymi wisiało jeszcze ciemniejsze serce, przylegający do kości pergamin, golenie jak wrzeciona i guzowate stawy. Czarna drżączka, odźwierna w bramie piekieł. Na całym świecie nie było równie chutliwej kobiety. Zakołysały się nad nim jej długie, płaskie brodawki. Czarna, krepowa skóra na szyi, dotknęły go zadżumione usta. W świetle zamigotała szara blizna po szwie.

Usiłowanie zabójstwa, stara ledwie uszła z życiem. Metalowe postaci zwieszające się z jej szyi na plecionych, końskich włosach, ropuszy kamień, wlokły się po jego piersi. Usłyszał, jak na podwórku krzyczy jakiś ptak. To nie gawrony na tych obsydianowych, zimowych drzewach, ale dziwniejsze ptactwo, blade, chude, salamandrowate ptaki, które poruszają się w nocy, niespalone przez błękitny tygiel księżyca.

Suttree wyciągnął szyję, żeby odetchnąć. Trupi odór ciała starej kobiety, skwaśniała suchość. Z boku jej rozerwanych, brudnych majtek wyglądały zasuszone, wąsate wargi sromowe. Jej uda rozchyliły się z odgłosem rwanych ścięgien, suche kości, ciągnące się w stawach.

Pomarszczona cipa starej wypuczyła się i rozchyliła jak rozwarte usta.

Szamotał się bezwładnie w uścisku upiornego, czarnego sukkuba, krzyknął przeraźliwie, suchy, niemy okrzyk. W bladym blasku ognia na suficie pająki gramoliły się w kierunku szpar w kątach pokoju, coś wyssało jego kręgosłup i Suttree upadł na podłogę, grzechocząc niczym papierowy chiński wąż.

Ogień w pokoju przygasł, świece wypaliły się na swoich spodeczkach, zostawiając kałuże stearyny. Suttree zupełnie wyraźnie widział paradę, którą oglądał pomiędzy nogami tłumu niczym coś, co przemykało w lesie, wozy z kolorową bibułą, zespół muzyczny z bębnem i rogiem, połyskliwa popelina winnej barwy, złote warkocze i majordomus w poplamionym czako, wymachujący batutą, błaznujący i pierdzący jak koń browarny. Widział, co było kiedyś, jak karawana oflagowanych samochodów wiła się w deszczu pewnego ciemnego dnia i jak Clayton w sztruksowych spodenkach i czapce lotniczej maszerował

ze swoimi siostrami w wysokim pokoju, gdzie panelowe drzwi były zamknięte, a pielęgniarka w białym stroju zarządziła musztrę i odmierzała czas, postukując laseczką, i pamiętał chłodne, metaliczne w smaku, rzeźbione, mosiężne winogrona stojaka na parasole i wiedział, że w tym domu ktoś umiera.

Zobaczył kałużę oliwy na stalowym bębnie, którego lina zwinęła się przy akompaniamencie dudnienia maszynerii. Zobaczył krew pod swoimi powiekami, letniego popołudnia leżał na polu i patrzył na młodych chłopców w stawie, blade pośladki, małe, nieowłosione, skurczone z zimna fiutki, i widział na podwórku idiotę w skórzanej uprzęży, przymocowanej łańcuchem do sznura do bielizny, idiota pochylał się, kołysał i ślinił, wpatrywał w zaułek oczami, zasilającymi wyjątkowo prymitywny mózg, a jednak wydawał się posiadać jakieś informacje o tym pozbawionym odpowiednich form świecie, jego oczy przypominały ślepia ośmiornicy, których małpia głębia wydawała się kryć jakąś straszliwą inteligencję. Wzdłuż żywopłotu bełkotanie i wycie, głos ochrypłej żaby, być może znak bezpośredniej znajomości rzeczy, nieukształtowanej przez konstrukcje umysłu, owładniętego obsesją formy.

Widział białe łabędzie, lecące nad domem, który znał z dzieciństwa, ogromne kształty, mozolące się nad kominami jak fruwające we śnie

zwierzęta gospodarcze, lewitujące z wdziękiem zjawy ćwiartowały zimowy wiatr swoimi długimi szyjami, wyciągniętymi w stronę morza, zagarniając rzadkie, gorzkie powietrze. I mechaniczny patefon, i gorzki smak popękanego lakieru, i małe, matowe kafelki w wiktoriańskiej łazience, i żeliwna podstawa wanny, jej nóżki, zapach pasty do zębów, ekskrementów, i senne, bursztynowe wodorosty, które unosiły się i opadały na falach zimnego, szarego morza.

I widział, co było kiedyś, jak lilie pochylały się w lustrze w korytarzu, drzwi się zamknęły, płomienie świec zadrżały i zapłonęły znów prosto, a on czuł zapach kwiatów i jakąś stęchliznę, i czuł, jak ostra podszewka jego pluszowych spodenek kłuje go w nogi od spodu niczym drucik, siedział na krześle, unosząc łokcie aż na wysokość uszu, żeby oprzeć ręce na ciemnych, dębowych oparciach. Widział na boisku szkolnym przeraźliwie krzyczącego małego chłopca ze złamaną ręką i dzieci, które obserwowały go jak zwierzątka.

Widział skorupiaki oblepiające pale drewnianego mostu i słoną rzekę, płynącą w obie strony. Boje z dzwoneczkami na rafie, gdzie odpływ odsłaniał na płyciźnie szkielet starego szkunera i gdzie rozbrzmiewały odgłosy niebezpiecznego, marmurkowego morza, gotującej się pienistej kipieli i kamyków, długo grzechoczących w pianie. Widział w ogrodzie słój z mysimi kośćmi, płótno opatrunkowe i stare ciężarki do podnoszonych skrzydeł okiennych, ułożone w stos pod ścianą szopy niczym sztabki złota, i przypominającą gniazdo piastę koła bez szprych, poszarzałą, dębową, zagadkową. Widział martwego pudla na ulicy, wyglądał jak zabawka z czerwoną obróżką i flanelowym języczkiem.

Widział, co było, widział, jak jego siostry schodzą po schodach w swoich markowych pantoflach, i jechał samochodem z ustami przyciśniętymi do listwy tylnej szyby, zimna blacha miała słony smak, poczuł jej drżenie na wargach i przypomniał sobie woń różanego olejku i stearyny, i chłód gładkich faset szklanej klamki na języku.

Widział stare butelki i słoje, które stały w szeregu na desce, leżącej na cegłach, na polu turzycy, w środku błoto i posiekane zielsko, i okrągłe, białe kamyki, w których spoczywały wykluwające się bazyliszki, i tajemne ścieżki w trawie, i małą polankę, a na niej strzaskane cegły, starą, oblepioną

wapnem skrzynię na zaprawę murarską, suche, białe psie odchody. Widział martwy embrion na mokrej drodze, był przezroczysty, jego kości przeświecały spod skóry, leżał blady, niebieski i nagi, a oczy miał szkliste jak żarówki.

I widział, co było kiedyś, jak stara kobieta, która siedziała na poplamionej i popękanej fotografii niczym wściekły ptak, leżała zimna, wystawiona na widok publiczny, biały atłas, pofałdowany albo pikowany, i wyschłe szpony, wysunięte z czarnej tkaniny sukni pogrzebowej wyglądały niczym kościste łapy jakiegoś straszydła zaciśnięte na jej szyi. Czarne, lakierowane mary stały na koźle w pełnym przeciągów korytarzu i widział, jak deszcz skapuje z rond kapeluszy grabarzy.

Węgle w kominku przygasły, pulsując już tylko słabiutko, a Suttree leżał, wpatrując się w sufit w niemal całkowitej ciemności.

Nasłuchiwał jakiegoś domowego odgłosu, ale panowała cisza. Słyszał

muzykę organową, wyciskaną gdzieś z trudem ze starej, czarnej płyty na gramofonie, i powolne szuranie stóp na wyfroterowanej podłodze, i widział, jak wpadający przez otwarte drzwi wiatr podnosi ozdobny bieżnik w korytarzu, i znalazł się w ramionach ojca, który podniósł go, żeby zobaczył, jak cicho leżą umarli. Nagle Suttree usiadł. W małej alkowie wśród kwiatów zobaczył śpiącą lalkę, biały czepek, koronki, światło świec. Natknęli się na nie w swoich wędrówkach przez ogromną salę pogrzebową. A mała dziewczynka wyjęła ją z kołyski, podniosła i ukołysała w ramionach, i Clayton powiedział: Lepiej odłóż to z powrotem. Poniosła ją przez kolejne sale, mrucząc kołysankę, długa, koronkowa sukienka pogrzebowa ciągnęła się z tyłu po podłodze, a Suttree za nią, i jakaś kobieta zobaczyła, jak idą, i cicho wezwała Boga, po czym wybiegła z pokoju i ktoś zawołał: przynieś to tutaj. Puścili się biegiem przez salę, dziewczynka upadła, lalka potoczyła się po podłodze i wyszedł jakiś mężczyzna, i zabrał ją, a dziewczynka płakała i powiedziała, że lalka leżała tam taka sama, a chłopiec bardzo się bał.

Suttree wstał z łóżka i chwiejnie opuścił pokój. Ruszył w ciemności korytarzem, otworzył zamknięte na zasuwę drzwi na końcu i wyszedł na zewnątrz. Łuska księżyca wisiała krzywo na niebie, a świat sprawiał

wrażenie zimnego i smutnego. Widział martwe łodygi szczawiu na podwórku, a dalej las nagich, zapowietrzonych akacji, papierki i gazety wśród gałęzi niczym ptaki, zdeformowane, blade i niespokojne na wietrze. Błąkał się wśród drzew, jak gdyby chciał przeczytać stare, wyblakłe wiadomości z nadzianych na kolce gazet, prymitywne oszustwa, morderstwa na ulicach. Miał opuchnięty język, czaszka ściskała mu mózg jak imadło. Widział przemieszczające się po lesie, fosforyzujące zielonkawym światłem postaci. Pomyślał, że może usłyszy śpiew, i długo stał w ciemności, nasłuchując, ale nie było żadnego dźwięku, nie zaszczekał nawet pies. Szedł przez nierealny świat, ścieżkami w pociemniałym mieście, na wschodzie sunęło szare światło, mijało ciemne ściany z cegieł i okna o nieprzezroczystych szybach zasnutych sadzą, strzeżone przez stalowe kraty. Błąkał się w nocnym mroku nad rzeką, w zimnej wilgoci martwych zarośli, światła na drugim brzegu wyznaczały porządek, którego nigdy wcześniej nie widział.

Leżał w swoim łóżku, pogrążony w półśnie. Wiedział, co się stanie, wiedział, że Little Robert, skrzypek, zabije Tarzana Quinna. Po rzece przepłynęła barka. Leżał ze złączonymi stopami i rękami wzdłuż ciała jak martwy król na ołtarzu. Kołysał się z falami, unosząc się na wodzie niczym pierwszy żywy organizm w stygnących morzach Ziemi, bezkształtna plama plazmy, uwięziona w bąbelku skroplonej pary wodnej i cały świat, który dopiero miał powstać.

30

W domu wariatów ściany cuchną brudem i śmiertelnymi chorobami, którymi przesiąkły przez ostatnie sto lat. Plamy z zardzewiałych rur wodociągowych, nieczystości porozrzucane przez rozwścieczonych imbecyli. Wszystkie te wonie snują się nieustannie, silniejsze od zapachu bakteriobójczych płynów czyszczących.

Zimny, kruchy dzień. Otwiera się żelazna brama, a drzewa, przypominające nagie, czarne skamieniałości, wznoszą się spośród martwych liści na trawniku. Wędrówka długim podjazdem, ciemne, ceglane budynki na wzgórzu, majaczące strasznie na tle zimowego nieba.

Stara, pokryta szramami, marmurowa posadzka w zimnym białym korytarzu. Pokój, w którym obłąkani siedzą przy swojej robocie.

Suttree'emu wydawali się postaciami ze snu, czymś z przeszłości, starzy, zaślinieni, bezdomni ludzie, pochyleni wśród swoich koszyków, obrazków, które malowali palcami, albo nad szyciem. Nigdy nie był

wśród psychicznie chorych i ze zdumieniem stwierdził, że jest w nich jakiś dziwny autorytet ludzi, którzy mieli kontakt ze śmiercią i wrócili, byli niczym ocaleni z katastrofy w świecie, z którym wcześniej czy później każdy musi się liczyć.

Na środku pokoju siedziała przy biurku pielęgniarka. Czytała poranną gazetę, a w niej wiadomości jeszcze bardziej wariackie od tych wariatów.

McKellar, powiedział Suttree.

Zdjęła okulary, przetarła oczy i odsunęła gazetę. Otworzyła rejestr i uniosła nad nim ołówek. Pańskie nazwisko, powiedziała.

Suttree. Cornelius Suttree.

Jest pan... Kim?

Proszę?

Pielęgniarka spojrzała na niego. Kim, odparła. Siostrzeńcem?

Tak. Siostrzeńcem.

Więc był już pan tu kiedyś.

Wiele lat temu.

Włożyła znów okulary, odłożyła ołówek i odwróciła się na krześle.

To ta, która siedzi z drugą panią pod ścianą naprzeciwko. Te dwie, co siedzą same.

Dziękuję.

Kiedy szedł korytarzem, obserwowały go czyjeś oczy. Jakiś samotny spacerowicz w dziwnej, robionej na drutach czapeczce przystanął i ostrzegawczo uniósł palec. Suttree skinął głową, zgadzając się z nim, bo także uważał, że trzeba zachować ostrożność. Stare kobiety siedziały jak żebraczki, na podłodze, w szlafrokach z grubego sukna.

Ukląkł przed nimi, a one przyglądały się mu łagodnym wzrokiem.

Pomyślał, że chyba zna skądś tę kobietę, ale starość i obłąkanie odebrały jej wszelkie dawne podobieństwo, nie był więc tego pewien. Ciocia Alice?, spytał.

Starsza kobieta się poruszyła. Zrobiła lekki gest, unosząc rąbek swojej szaty, i popatrzyła na niego, nie zmieniając wyrazu twarzy. Tak, odpowiedziała.

Jestem Buddy.

Och tak. Co u ciebie?

Znasz mnie?

Ty jesteś Buddy?

Tak.

Syn Grace.

Suttree uśmiechnął się, syn Grace, syn łaski. Nie przypuszczałem, że będziesz wiedziała, kim jestem.

Wyciągnęła rękę i wzięła go za nadgarstek. Jej dłoń chłodna i jędrna. Nakrył ją swoją. Wbiła w niego oczy i nie chciała patrzeć nigdzie indziej. Były czyste, zimnoszare, a w nich dzikość, lecz żadnej złośliwości. Spojrzał w dół na ich ręce. Jej dłoń nieznacznie się trzęsła.

Siedząca obok niej stara kobieta wyciągnęła rękę, położyła ją na ich dłoniach i uroczyście zaczęła kiwać głową. Wszyscy troje siedzieli na podłodze niczym składający przysięgę spiskowcy.

Jak się masz, ciociu Alice?

W pełnym przeciągów pokoju dziennym rozległo się głuche skrzeczenie. Odchrząknął. Odwrócił głowę, żeby się przekonać, że zwrócił na siebie uwagę. Obserwował ich jakiś starzec na wózku inwalidzkim, kulący się pod ścianą. Monotonnie nucił pod nosem jakąś cichą, doksologiczną pieśń.

Dobrze, odparła staruszka.

Dobrze cię tu traktują?

Och, nie można narzekać.

Czy mama cię odwiedza?

Ależ ona zmarła w dwudziestym siódmym.

A Grace przyjeżdża? Albo Helen?

Och, cóż. Pokręciła głową i uśmiechnęła się. Nie. Nie przyjeżdżają za często.

A Martha?

Nie. Czasem przyjeżdża John. Raz zabrał mnie na przejażdżkę.

Swoim samochodem.

Siedząca z nimi staruszka pokiwała głową. Zabrał, powiedziała.

Zabrał ją jej John. Przyjechał samochodem i ją zabrał.

Ciotka nachyliła się konfidencjonalnie do Suttree'ego. Trochę pił.

Ale wolę, żeby ktoś przyjeżdżał pijany, niż żeby nikt nie przyjeżdżał, nawet jeśli nie pije.

Suttree się uśmiechnął. Mówili przyciszonymi głosami, jak w kościele. W pokoju panowała wielka cisza. Słyszał wysilone oddechy, chrobot łoziny wśród plecących kosze. Gdzieś w korytarzu stukot obłąka wiadra. Rozejrzał się po starym pokoju, blade światło środka zimy, przenoszące wysokie okna skosem na ścianę i przypominające szkielet listewki podtynkowej naprzeciwko.

Nigdy nie sądziłam, że dożyję swoich dni w takim miejscu, powiedziała. Gdyby Allen żył, nigdy by do czegoś takiego nie dopuścił.

Zawsze był dla mnie bardzo dobry. Traktował mnie prawie jak swoją córeczkę. Byłam jeszcze mała, kiedy umarł tatko.

Jak on się nazywał? TWój ojciec. Nigdy nie wiedziałem, jak miał

na imię.

Jeffrey. Mój brat Jeffrey nazywał się Jeffrey Junior. Tatko był już stary, kiedy się urodziłam. Wiem, że był za stary, żeby służyć na wojnie między stanami. Był... Był szalony. Bardzo. W każdym bądź razie tak ludzie o nim mówili. Został postrzelony w jakiejś burdzie. Na długo zanim się ożenił. Mało co nie umarł. No, to zawsze się nad tym zastanawiałam, że jakby umarł, to nikogo z nas w ogóle by nigdy nie było na świecie, a ja nie mogłabym... No, to śmieszne, żeby o tym myśleć. Może po prostu

bylibyśmy kimś innym. Ale ludzie mówili, że popadł w jakieś tarapaty, jeszcze wcześniej, nie wiem. Pewnikiem tak było i pewnikiem Jeffrey się w niego wrodził. Nie znałam go. Byłam jeszcze dzieckiem, kiedy... Kiedy umarł.

Powiesili go w okręgu Rockcastle, w Kentucky osiemnastego lipca tysiąc osiemset osiemdziesiątego czwartego roku.

Nie odpowiedziała. Odezwała się: Allen zawsze mówił, że Robert był do niego podobny. Ale przecie Robert nie wrócił z wojny. Boże, nie miał nawet osiemnastu lat, biedne dziecko. Allen nigdy się z tym nie pogodził. Ponoć umarł na raka, i to jest możliwe, ale odkąd Roberta przywieźli do domu, nie zaznał już ani jednego dobrego dnia. Wiesz, było nas zaś dziewięcioro. Ja i Elizabeth przeżyłyśmy wszystkich chłopców, a teraz ona odeszła, a ja siedzę w wariatkowie. Czasami nie wiem, po co człowiek żyje. Spojrzała na Suttree'ego. Poruszyła oczami i uśmiechnęła się.

Tatko miał sklep, wiesz, i mieliśmy konia, co się nazywał Kapitan i ciągnął wóz, woził produkty spożywcze, był moim ulubieńcem.

Chodził za mną, po prostu chodził za mną jak pies. Mieszkaliśmy wtenczas w Sweetwater. To były ciężkie czasy i musieliśmy przedać sklep, a tatko musiał przedać Kapitana. I zabrali mnie do niani, bo jeden pan miał po niego przyjechać, rozumiesz. Byłam jeszcze malutka. Wiele lat później, już jako młoda dziewczyna, pewnej soboty zobaczyłam w Knoxville konia, co to stał przed sklepem z paszą i ziarnem, zaprzężony do wozu, i to był Kapitan. Podbiegłam do niego, zarzuciłam mu ręce na szyję i pocałowałam go, i pewnikiem wszyscy myśleli, że jestem stuknięta, bo ja, prawie dorosła dziewczyna, stałam na ulicy, tuliłam starego konia i ryczałam wniebogłosy.

Mocno przycisnęła otwartą dłoń do policzka. Podniosła wzrok na Suttree'ego, uśmiechnęła się, popatrzyła na kobietę siedzącą u jej boku, która teraz płakała, i wymierzyła jej potężnego kuksańca łokciem. Boże, bądź miłościw, powiedziała. Jesteś najdurniejszą istotą w tym domu.

Kobieta pokręciła głową i pociągnęła nosem, a ciotka Suttree'ego uśmiechnęła się do niego. Chcę, żebyś sobie popatrzył na tę starą wariatkę, powiedziała. Ona nawet nie wie, dlaczego ryczy.

Właśnie że wiem, odparła kobieta.

Nie było to pierwsze słowo, jakie wypowiedziała, ale pierwsze, jakie Suttree usłyszał. Pocierała ręką czoło tak mocno, jakby chciała zedrzeć z niego skórę. Miała delikatny wąsik, a jej naelektryzowane siwe włosy stały dęba. Ciocia Alice spojrzała na nią z góry z łagodnym rozbawieniem. Znowu pogładziła się po policzkach i zwróciła do Suttree'ego. Miała wesołe oczy i zrobiła tupeciarską minę. Przystojniak z ciebie, powiedziała. Moim zdaniem jesteś podobny do EC. Nie masz samochodu, co?

Suttree odpowiedział, że nie. Czuł, że jest wciągany w rozmowę, na którą nie miał ani siły, ani chęci. Obie staruszki przyglądały się mu.

Łzy zniknęły. Ich oczy wydawały się pełne oczekiwania, a on nie miał

im czego dać. Przyszedł coś zabrać. Odsunął się od kobiet, a one pochyliły się ku niemu, po omacku wyciągając w pustkę swoje stare, żylaste dłonie. Wstał. Rozejrzał się po otaczającej go ruinie. Jaki to perwersyjny instynkt każe ludziom trzymać wariatów razem? Tak wielu.

Był jedyną osobą w pokoju, która stała, i teraz przyglądali się mu wszyscy, wzrokiem bez wyrazu, podejrzliwym albo znamionującym rodzącą się nienawiść. Albo odartym z wszelkiej szczerości. W pokoju atmosfera potencjalnej insurekcji, wystarczy jeden znak, żeby ci nieszczęśnicy rzucili się z pazurami na swoich opiekunów. Popatrzył na siedzące u jego stóp staruszki. Trzymały ręce przy ustach w identycznym geście. Muszę już iść, powiedział. Nie mogę zostać.

Oderwał wzrok od ich oczu i potoczył się przez pokój. Jakiś starzec w pasiastej, kolejarskiej czapce trzymał w rękach olbrzymi zegarek i śledził Suttree'ego wzrokiem, jakby mu mierzył czas. Ich oczy spotkały się w pokoju dziennym, a z twarzy Suttree'ego odpłynęła krew, kiedy zobaczył starego, i mało brakowało, a wypowiedziałby jego imię, ale nie zrobił tego i zaraz wyszedł.

31

Chodził od jednego aparatu telefonicznego banku Park National do drugiego, pogwizdując pod nosem, kiedy opadła mu na ramię czyjaś ciężka dłoń. Zatrzymał się i spojrzał w dół, zauważając stopę w eleganckim czarnym bucie. Podskoczył i z całej siły nadepnął ją obcasem, blokując nogę w kolanie. Zatrzeszczały drobne kości pod skórą. Ręka się cofnęła. Harrogate nawet nie widział twarzy tego mężczyzny. Przebiegł na drugą stronę Gay Street, na której panował

popołudniowy ruch, skakał po maskach i bagażnikach pracujących na luzie samochodów, białe twarze za szybami, odgłosy giętej blachy.

Suttree szukał go pod wiaduktem, wśród zwietrzałych skał i gruzu.

Gene?, zawołał. Nie było ognia, żadnego śladu palonego ogniska.

Wysoko nad jego głową dudniły samochody. Hej, Gene.

Harrogate wygramolił się z betonowej klitki i kucnął na ziemi.

Wyglądał jak obszarpaniec i dygotał z zimna. Zgolił wąsy.

Suttree kucnął obok niego. No, powiedział. To jakie masz plany?

Mieszczuch się zgarbił. Sprawiał wrażenie osłabionego i załamanego porażką.

Nie możesz tu zostać, zamarzniesz.

Pokręcił powoli głową z boku na bok, wpatrując się w gołą ziemię.

Nie wiem, odpowiedział. Siedziałżem tu cały dzień. Myślałem, że do tej pory policja już mnie złapie.

Suttree przesunął palcem po piasku. Złapie. To nie jest dobre miejsce na kryjówkę.

Wiem o tym. Jakżeś mnie znalazł?

Nie wiedziałem, gdzie miałbym cię szukać poza tym mostem.

Rufus mi powiedział, że tu byłeś.

Taa. Na żadnym czarnuchu nigdy nie można polegać. Nie wiedziałżem, dokąd iść. Wszystko to skurwysyny. A tyle razy piłżem z nimi whisky. Normalnie udawali, że mnie nie znają.

Suttree uśmiechnął się. Trudne jest życie zbiega, powiedział. Co się stało z twoim wąsem?

Harrogate potarł górną wargę. Zgoliłem, powiedział. Może mnie bez niego nie poznają. Nie wiem. Kurde.

No to co będziesz robić?

Nie wiem. Wstydziłżem się przyjść do ciebie.

Może powinieneś na jakiś czas się stąd wynieść.

Dokąd?

Dokądkolwiek. Wyjedź z miasta.

Harrogate obrzucił go niewyraźnym spojrzeniem. Z miasta?, zapytał.

Jeżeli tu zostaniesz, wezmą cię za dupę.

Do diabła, Sut. Nigdy żem nie wyjeżdżał. Nie wiedziałbym, dokąd iść. Nie wiedziałbym, jak zacząć.

Po prostu wsiądź w autobus i wyjedź. Co za różnica dokąd?

Wiązałeś tu koniec z końcem przez trzy lata, więc do diabła dasz sobie radę gdzie indziej.

Gdzie indziej to nie mam przyjaciół.

Ibtaj też ich nie masz.

Harrogate pokręcił głową. Kurde, powiedział. Autobus? Nigdy w życiu nie siedziałżem w żadnym autobusie, do cholery.

Wystarczy kupić bilet i wsiąść.

No, no, jasne, jasne. Wsiadłbym do nie tego cholernego autobusu, co trzeba, albo coś w tym guście.

Nie ma żadnego nie tego autobusu. Nie w twojej sytuacji.

No, a jak, do cholery, wiedziałbym, gdzie wysiąść? I gdzie bym wylądował, jakbym wysiadł?

Ktoś by ci powiedział, gdzie jesteś.

Spojrzał w ziemię. Ee tam, odrzekł. Nigdy by mi się nie udało.

Zgubiłbym się i nigdy już nie wróciłbym do domu. Pokręcił głową. Nie wiem, Sut. Zdaje się, że za co się nie wezmę... Wszystko jedno, co to jest. Że czego się zaś nie dotknę, wszystko spieprzę.

Masz jakieś pieniądze?

Ani złamanego grosza.

To co zrobiłeś z tą całą swoją forsą?

Wydałżem, oczywiście.

Mógłbyś pojechać pociągiem.

W pociągu się nie płaci?

Można wślizgnąć się niepostrzeżenie. Wsiąść do pustego wagonu na torowisku. Mogę ci dać parę dolarów.

Pociąg, powiedział Harrogate, kierując wzrok w stronę strumienia.

Mógłbyś pojechać na zimę na południe. Gdzieś, gdzie nie jest tak kurewsko zimno. Do cholery, Gene. Musisz coś zrobić. Nie możesz tutaj tak po prostu siedzieć.

Mieszczuch zadrżał nieznacznie i podciągnął nogi, ale nie odpowiedział.

Kto cię nakrył?

Chuj wie.

Detektyw? Po cywilnemu?

Nie wiem, Sut. Nic żem nie widział, ino jego nogi. Pewnikiem to taka policja telefoniczna. Podobnież jak te skurwysyny wpadną na twój trop, masz całkiem przejebane. Nie spoczną, aż cię nie zgarną.

Policja telefoniczna?

Harrogate ostrożnie podniósł głowę. Dokładnie, kurwa jego mać.

Dla tych skurwieli to sprawa osobista. Spojrzał w ziemię. Wiedziałżem o tym, powiedział. Wiedziałżem, ale i tak żem wziął i robił swoje.

Nad strumieniem zapadała ciemność, a w uschniętych zaroślach buszował wiatr. Wśród chałup na wzgórzu zaczął szczekać pies.

Siedzieli cicho pod wiaduktem w narastającym zimnie. Po chwili Harrogate odezwał się: Nikogo bym tam nie znał. Mogę się zaś założyć.

Gdzie?

W domu pracy.

Jak tam trafiłeś ostatnio, to też nikogo nie znałeś.

Taa.

Poza tym jeszcze tam nie jesteś.

Ja i stary Bodine dobrze żeśmy się bawili, urządzając wyścigi skorpionów po kuchni. To było, jak ty żeś już wyszedł.

Skorpionów?

To chyba byli jaszczurki.

Jaszczurki?

Taa. Dozorca nam je łapał. Obstawialiśmy zakłady. Kurde. Miałem jedną taką, co się nazywała Legs Diamond, to ta suka stawała na tylnych łapkach i przebierała nimi jak wściekła, a co tylko poczuła grunt pod nogami, zasuwała normalnie jak kot z pęcherzem. W ogóle nie dotykała ziemi przednimi łapkami.

Mieszczuch pokręcił głową, zatopiony w czułości owych wspomnień niczym ekscentryczny starzec, siedzący pod mostem w smutnym, zimowym zmierzchu. Wspominał słońce na wyfroterowanej podłodze, porozkładane kije od szczotek i ślady kredy. Leżeli jak dzieci na chłodnej posadzce ze swoimi delikatnymi gadami, czuli w rękach bicie ich serduszek. Trzymali je za małe, pulsujące brzuszki i wypuszczali na sygnał. Jaszczurki stawały na tylnych łapach, ślizgały się na gładkiej, wypastowanej posadzce, cudaczne, małe gady. Harrogate macza tylne pazury swojej jaszczurki w syropie, a ona pędzi przez szachownicę światła ku bezdźwięcznemu zwycięstwu.

Potem w kuchni robił poczciwy, szalony Leithal King. Widzi mi się, że był największym pojebańcem w całym domu. Kurde. Był taki głupi, że już nie mogłem dłużej z nim wygrywać. Urządzałżem z nim te wyścigi jaszczurków i pozwalałżem mu wybrać, jaką chce, trzymalimy ich w czajniku sześć albo i więcej. Miałem w łapie trochę proszku chili i jak wybrałem jaszczurkę, to żem jej go wcierał trochę w dupę.

Zaiwaniała, jakby ją palili żywym ogniem. A kochany Leithal brał taką jaszczurkę i nie wiedział, jak ją trzymać ani nic, często urywał im ogony.

Raz wzion taką dziwkę, co to stanęła na tylnych łapach i zaraz obaliła się do tyłu, ino przebierała łapami w powietrzu.

Siedzieli w czerni. Po drugiej stronie wykopu kolejowego zapalały się światła, rozkwitając wśród nagich pnączy jak zimowe świetliki.

Chodź, powiedział Suttree. Możesz zostać u mnie, dopóki nie zdecydujesz, co zrobić.

Nie chcę zaś robić nikomu kłopotu.

Do diabła z kłopotami. Chodźmy.

Harrogate wstał z wahaniem.

Co się stało z twoim kotem?, spytał Suttree.

Nie wiem, kurde. Wygląda na to, że jak się człowiekowi zaczyna w życiu pierdolić, wszyscy od niego uciekają. Nawet cholerny kot.

Suttree nigdy nie zamykał drzwi na klucz, mieszczuch mógł więc przychodzić i wychodzić z domu w swoich ciemnych sprawach, kiedy tylko chciał. Włóczył się po ugorach jak szakal – w ciemności, w twierdzy starych ścian magazynu i ciszy wybebeszonych budynków. Był

zakochany w nocy i tych cichych peryferiach miasta, zbyt ponurych, żeby je zamieszkiwać. Wędrował uliczkami ceglanych domów, czarnych od kominowej sadzy. Przez wyjętą z zawiasów bramę do ogrodu półmroku.

O świcie, kiedy zimne ciężarówki kaszlą i turkoczą na kocich łbach, a czarnoskórzy mężczyźni w postrzępionych i nadgryzionych przez mole płaszczach, służących niegdyś ojczyźnie, stoją wokół ognisk w pustych koszach na śmieci, spluwają, dyskutują i kiwają głowami, wchodził między nich jakiś bledszy bezdomny, który bez słowa wyciągał swoje drobne ręce w kierunku płomieni.

Czasem wieczorami siadywał przy semaforze, gdzie tory ciągną się z chirurgiczną precyzją w leniwym blasku pierwszej kwadry Księżyca. Skręcają gdzieś do jakiejś lepszej krainy, w której nieznajomi przysiadają

się bez żenady, nieproszeni. Spośród obcych kształtów w kapryfolium przyglądał się, jak sapiąc i klekocząc, pomiędzy wysokimi brzegami nasypu przejeżdża pociąg, pozostawiając za sobą w dymie i wirujących liściach taką straszliwą samotność, że kiedy mieszczuch wychodził z ukrycia, aby obserwować jego odjazd, przyklękał z płaczem na podkładach kolejowych między zderzającymi się cicho jak szept liśćmi, czując gorące, słone rozżalenie w gardle, ręce zwieszone wzdłuż ciała, brudna, nieszczęśliwa twarz, i przypatrywał się czerwonemu jak stodoła ostatniemu wagonowi, kołyszącemu się łagodnie na boki i znikającemu za zakrętem.

Został schwytany podczas swej pierwszej kradzieży. Białe światła, skrzyżowane niczym miecze na wojnie, przecięły sklepik spożywczy, a drobny, udręczony mężczyzna kulił się w sobie i mrugał powiekami, jak gdyby go palono żywym ogniem. Wyskoczył głową naprzód przez szybę wystawową i zwymiotował pod nogi policjanta, który stał z gotowym do strzału rewolwerem. Przyłożył mu go do głowy i mówił: Mam nadzieję, że rzucisz się do ucieczki. Chciałbym, żebyś spróbował

uciec.

Skuty kajdankami jechał w zimowym pejzażu do Nashville. To prawda, że świat jest szeroki. Na zewnątrz otwarte pola kukurydzy wirują jak kołowrotek. Między martwymi łodygami ciemna ziemia.

Tory na węźle chwieją się jakby w płynnej kolizji i znowu rozchodzą w milczeniu długimi krechami w kształcie litery V. Przyglądał się temu z czołem przyciśniętym do zimnej szyby, patrzył.

Jechali dalej przez długie popołudnie i zmierzch, stary wagon kołysał się i stukotał, a deszcz, który z północy niósł wiatr, wcinał się smugami podłużnych łez w brud na szybie. Nagie pola, niknące w oddali, opuszczone, i małe stada nienazwanych ptaków, migocące nad ziemią i na tle ciemniejącego nieba niczym koralowce wytłoczone w arkuszu czarnego żelaza, kształty zimowych drzew na tle zimowego nieba.

Minęli dom mieszkalny, jakaś kobieta wyszła wylać wodę z miski na podwórko, po czym wytarła rękę w fartuch. Przycisnął twarz do szyby, patrząc, jak nieznajoma cicho oddala się w zmierzch. Pociąg zagwizdał,

podjeżdżając do krzyżówki, i minęli sklepik, przycupnięty wśród koksu i pyłu na końcu podwórka, a potem szereg pustych wagonów, martwe okna tykające miarowo za szybą i szatkujące widoczny dalej krajobraz, długi jęk lokomotywy zawisł nad okolicą niczym przeklęta istota, której odmawia się wszelkiego zbawienia.

Harrogate poluzował stalową bransoletkę na nadgarstku, oparł głowę na szorstkim zagłówku fotela i zasnął.

Obudził się w nocy, kiedy pociąg zwolnił. Stęchła woń dymu i zapach starej, butwiejącej, drewnianej konstrukcji wagonu. Mężczyzna, do którego był przykuty, spał z otwartymi ustami. Harrogate wyjrzał

przez okno. Długi rząd oświetlonych kurników na wzgórzu przesunął się niczym przejeżdżający pociąg, kolejne rzędy żółtych okien, cofające się w noc i ruszające w ciemność. Przejechali przez małe miasteczko w górach, nocna kafejka, puste stołki, martwy zegar na ścianie. Kiedy znowu znaleźli się poza miastem, okna zamieniły się w czarne lustra i mieszczuch mógł w nich zobaczyć swoją wynędzniałą twarz, spoglądającą na niego z zimnej szyby, pędzącą pośród drutów elektrycznych i pełnych goryczy drzew, i zamknął oczy.

32

Ospałe miasto, zimne i bolesne w deszczu, krwawiące światła na ulicach. Biegnąc alejką odchodzącą od Commerce, zobaczył kogoś skulonego wśród śmieci i przyklęknął, żeby zobaczyć, co mu jest. Twarz się odwróciła, oczy zamknęły. Posmarowana oliwą czarna maska na tle ceglanego muru.

Suttree wziął go za rękę. Ab, powiedział.

Możesz mnie zabrać do domu? Głos z otchłani, głuchy, matowy, pozbawiony choćby cienia próżności. Suttree dźwignął jedno z potężnych ramion Aba, zarzucił je sobie na barki i zaparł się na nogach, żeby wstać. Na czoło wystąpił mu pot. Ab, powiedział. Chodź.

Otworzył oczy i rozejrzał się. Szukają mnie?, zapytał.

Nie wiem. Chodź.

Murzyn wstał niepewnie i chwiał się na nogach, a Suttree podtrzymywał go jedną ręką. Ich długie, wąskie cienie, które rzucali w świetle latarni na końcu uliczki, wpadały w ciemność. Kiedy wytoczyli się z zaułka, przejechał wóz patrolowy. Ab zwisł bezsilnie, zatoczył się do tyłu i wyrżnął o ścianę budynku.

Niech to szlag trafi, Ab. Wyprostuj się, Ab.

Radiowóz stanął i cofał się powoli. Rozbłysnął reflektor, przecinał

mrok i przygwoździł ich do muru.

Idźże, Młody.

Nie.

Ja zaś nie pójdę.

Zaraz poczujesz się lepiej.

Nie pójdę z nimi. Idźże.

Nie, do cholery, Ab. Ja z nimi porozmawiam.

Ale Murzyn zaczął się już podnosić z siłą i wyczarowanym z absolutnej nicości wdziękiem i Suttree powiedział: Ab, a Ab odparł: Idźże.

No dobra, rzekł policjant. Co to ma znaczyć?

Odprowadzam go do domu, odpowiedział Suttree. Nic mu nie jest.

Doprawdy? Nie wygląda mi za dobrze. Co z nim robisz? To twój tatuś?

Pierdol się, powiedział Ab.

Co?

Teraz było ich dwóch. Suttree słyszał monotonne perkotanie rury wydechowej radiowozu na pustej ulicy.

Co?, powtórzył policjant.

Murzyn odwrócił się do Suttree'ego. Idźże wreszcie, powiedział.

Idźże, póki możesz.

Panie władzo, on się źle czuje, powiedział Suttree.

Poczuje się jeszcze gorzej, odparł gliniarz. Wskazał pałką radiowóz. Wsadź tu jego dupsko.

Gówno, co to, to nie, odrzekł drugi. Wezwę sukę. To ten wielki skurwysyn...

Jones wyrwał się chwiejnie i skręcił za róg, biegnąc na złamanie karku. Obaj gliniarze minęli pędem Suttree'ego i zniknęli w pogoni za Murzynem. Jednostajny stukot ich obcasów zgasł w zaułku serią coraz cichszych

odgłosów i słychać było tylko gburowate burczenie radiowozu, stojącego przy krawężniku. Suttree podszedł do auta, wślizgnął się na fotel za kierownicę i zamknął drzwi. Przez chwilę siedział, a potem wrzucił bieg i ruszył.

Pojechał na Gay Street, skręcił na południe i na most.

Zatrzeszczało radio i jakiś głos powiedział: Wóz siedem. Skręcił w lewo za mostem, minął opuszczony tor wrotkarski, próchniejącą, drewnianą arenę, przechyloną na bok niczym stary silos. Pojechał Island Home Pike w kierunku rzeki. Radio syczało i trzeszczało. Wzywam wszystkie wozy w rejonie B. Rejon B. Zgłoś się.

Mamy informacje o zakłóceniu spokoju na rogu Commerce i Market.

Suttree jechał dalej oświetloną latarniami ulicą. Żadnych aut ani przechodniów. Z lewej strony zapaliły się światła w Rose's i na terenie fabryki opakowań. Głos w radiu powiedział: Wóz dziewięć, wóz dziewięć. Suttree skręcił w dawną drogę na prom, jechał powoli, samochód kołysał się i podskakiwał, wyjechał na pole, w światła reflektorów wpadły dwa króliki, które zastygły niczym gipsowe figurki ogrodowe. Dalej, tam gdzie kończyła się trawa, widać było martwy grzbiet nieznacznie zakręcającej tu rzeki. Wyżej słabo oświetlona sylweta miasta. Światła przestawały spełniać swoje zadanie gdzieś w mglistym rozmazie nad wodą. Zatrzymał samochód, wrzucił bieg na luz i wysiadł na mokrą trawę. Pociągnął dźwignię pod deską rozdzielczą, obszedł radiowóz i podniósł maskę. Wrócił do samochodu, usiadł w fotelu i wyciągnął z buta sznurowadło. Wyjrzał na rzekę i miasto. Jeden z królików zaczął powoli kicać w lekkiej, bijącej od ziemi mgiełce w stronę ciemności drzew.

Radio zatrzeszczało. Wagner? Co tam się wyprawia?

Suttree wysiadł, obszedł znów samochód, rzucił okiem na silnik i pociągnął łącznik przepustnicy. Silnik zawył, a Suttree przywiązał

sznurowadło do łącznika i przewodu paliwowego tam, gdzie ten łączył

się z pompą. Rurę wydechową lizały wydobywające się z niej żywe płomienie. Wsiadł do auta, wdepnął sprzęgło w podłogę i ostro, ze zgrzytem zębatki, wrzucił drugi bieg. Oba króliki zniknęły. Zsunął się z fotela i stał z jedną nogą na ziemi, a drugą na wciśniętym sprzęgle.

Potem odskoczył i zatrzasnął drzwi.

Przez chwilę auto się nie poruszało. Opony zachrzęściły w trawie, a w ciemności dymiące grudki ziemi strzelały niczym z karabinu. Potem radiowóz lekko obrócił się na bok, opadł z powrotem, przyjmując pozycję wyjściową, i ruszył przez pole w deszczu błota i trawy. Jechał

cicho i szybko, światła biły na wprost, przechylały się. Auto pomknęło przez pole, przedarło się przez wierzby nad rzeką i wpadło do niej, wzbijając dwa wielkie, przypominające skrzydła rozbryzgi, jak się wydawało, zupełnie białe, wysokie na dwadzieścia stóp. Kiedy wszystko się uspokoiło, radiowóz znajdował się daleko na wodzie. Światła reflektorów zaczęły wirować w dole rzeki. Potem zgasły. Przez moment widział na powierzchni ciemny garb samochodu, który z wolna przechylił się na bok i zniknął. Przykucnął w wilgotnej trawie i rozejrzał

się. Nad wodą nie było słychać żadnego dźwięku. Chwilę później Suttree wstał i poszedł do domu.

Osaczony Jones stał na szeroko rozstawionych nogach, oparty plecami o ceglany mur, i ciężko dyszał, a policjanci zbliżali się do niego.

Krwawe, nieme przedstawienie bez ani jednego słowa. Pierwszy policjant zamierzył się na Aba pałką, którą Jones odtrącił otwartą dłonią z głuchym, mięsistym plaśnięciem. Policjant zamachnął się znowu i tym razem dłoń Murzyna zamknęła się na pałce. Ponieważ policjant owinął

jej skórzany pasek wokół nadgarstka, Jones pociągnął gliniarza w bok i walnął nim o mur. Potem jednym szarpnięciem podniósł leżącego na kolana i zaczął dusić, gdy rzucił się na niego drugi funkcjonariusz i zmusił Aba, żeby ten puścił pierwszego. Jones zaczął ich kopać i pierwszy policjant chwiejnie wycofał się na środek uliczki, gdzie z jękiem opadł na kolana. Na ulicach narastało wycie syren. Drugi funkcjonariusz, który nie odniósł

obrażeń, także się cofnął, wystraszony, ale Jones pochwycił go niczym olbrzymi, czarnoskóry dewiant. Policjant próbował sięgnąć po rewolwer. W tym momencie w oślepiającym pyle świateł reflektorów uliczką nadjechał już wóz patrolowy. Policjant, którego trzymał w uścisku Jones, zrezygnował z wyciągnięcia broni palnej i walił w górującą nad nim, krótko ostrzyżoną głowę służbową pałką, a jego dłoń i ramię były śliskie od krwi.

Uliczką nadbiegali ludzie. Jones odwrócił się i zaczął uciekać jak pijany, w światłach reflektorów wydawał się ogromny niczym monstrum z filmu o potworach. W wąskim zaułku rewolwery trzaskały jak moździerze, a kule uderzały o ściany, gwizdały i rykoszetowały. Ale zanim policjanci zdołali dobrze wymierzyć, pod Jonesem ugięły się kolana i upadł, wymachując ramionami, pośród koszy na śmieci u wylotu alejki.

Funkcjonariusz, który otworzył tylne drzwi suki, zdążył tylko zamknąć oczy. Nie miał czasu, żeby sparować cios albo zrobić unik.

Jones kopnął go w gardło i mężczyzna bez krzyku osunął się na chodnik.

Pozostali policjanci przywitali Aba gumowymi i drewnianymi pałkami.

Miał wielkie, oszalałe oczy, a kurtkę przesiąkniętą krwią jak gąbka i rzucił się na nich niczym dzikus oswobodzony z kajdanów.

Zakrwawionego i nieprzytomnego powlekli korytarzem do puszki, a nogi Aba ciągnęły się po podłodze. Szarpiący go policjanci byli zakrwawieni i pokaleczeni i przy każdym kroku przeklinali. Wciągnęli go do pustej, żelaznej klatki i rzucili twarzą w dół na beton. Ze świetlicy przyszedł Tarzan Quinn z kubkiem kawy w ręku. Klawisz zamykał

drzwi na korytarz, wielkie kółko z kluczami miał przytroczone do pasa.

Klient, powiedział Tarzan.

Klawisz się odwrócił. Taa, odpowiedział.

Daj mi znać, jak ten skurwysyn się ocknie.

Masz to jak w banku, Tarzan.

Tarzan skinął głową i upił łyk kawy. Zacisnął prawą dłoń w pięść i otworzył ją, a potem potarł ręką o nogawkę spodni z boku na udzie.

Długo szła do drzwi, ale kiedy zobaczyła, że to on, otworzyła i pokazała gestem, żeby wszedł. Trzymała w ręku lampę, miała na . sobie stary, kordonkowy szlafrok, a na głowie coś w rodzaju czepka, nieco przypominającego opatrunek ortopedyczny. Zmęczonym krokiem podeszła do krzesła, usiadła i wsparła głowę na dłoni.

Zamknął drzwi i oparł się o nie, obserwując ją. Po chwili podniosła głowę i przetarła oko i usta. Patrzyła na płomyk lampy.

Chyba nie umarł, co?, zapytała.

Nie. Myślałem, że może uciekł, ale widocznie jest w więzieniu.

No.

Co zamierzasz zrobić?

Zaś nic się nie da zrobić. Nie ma tam sensu iść aże do rana.

Chyba nie.

Pokręciła głową. Tak nie można, powiedziała. Tak zaś po prostu nie można.

Masz jakieś pieniądze?

Trochę. Nie wiem. Wszystko dostają ci, co wpłacają kaucję. Mus mi poszukać i sprawdzić.

Mam ze trzydzieści dolarów, jeżeli potrzebujesz.

To nie starczy nawet na początek.

O co go oskarżą?

O wszystko. Dwa roki temu nazad chcieli go skarżyć o siłowanie zabójstwa. Kosztowało mnie to tysiąc i cztery setki dolarów.

Nie mogę tam z tobą pójść.

Tobie nie mus tam chodzić.

Mogą mnie szukać.

Nie pozwólże, coby się do ciebie dobrały. Bo nigdy już nie odpuszczą.

Przez otwór wentylacyjny w drzwiczkach pieca widać było matowy blask rozżarzonych węgli, ale w pokoju panowało zimno.

Najwyraźniej odgadła, o czym Suttree myśli. Podejdźże tu, do pieca, i ogrzej się, powiedziała. Chcesz piwo?

Nie. Muszę iść. Muszę pomyśleć, co robić.

Pokręciła głową i podniosła wzrok. Czarna, połyskliwa twarz, półksiężyce fałd pomarszczonego ciała i jedno jedyne zasnute bielmem, mrugające oko.

Ma pińdziesiąt i sześć roków, powiedziała. Wiesz o tym?

Wiedziałem, że coś koło tego.

Nie może zaś tak dalij. Zabiją go. Nic nie da sobie pedzieć.

Suttree wbił wzrok w podłogę.

No, powiedziała. Dziękuję, żeś zaglądnął.

Chcesz, żebym spróbował złapać Oceanfroga?

Nie. Sama go najdę.

Wstała z krzesła i położyła obie ręce na stole. Potem znowu usiadła. Suttree otworzył drzwi i wyszedł.

Szedł po zimnych białych kafelkach posadzki w recepcji i oparł się o ladę. Nikogo nie było. Otoczył dłonią mały dzwoneczek. Mosiądz pod niklem. Po chwili Jesse wyszedł z zaplecza i skinął Suttree'emu głową z wyrazem

skrywanej pogardy, z jaką przyglądał się wszystkim żywym organizmom w kolorze innym niż noc.

Zara wyjdzie.

Wyszedł recepcjonista, przeszedł przez bramkę i stanął naprzeciw Suttree'ego.

Macie jakiś pokój?, spytał Suttree.

Recepcjonista wyciągnął rękę, wyjął kartę meldunkową, przesunął

ją po marmurowej ladzie i położył na niej pióro.

Suttree wpisał swoje nazwisko i podsunął mu kartę z powrotem.

Recepcjonista nie spojrzał na nią. Jest pan sam?, zapytał.

Sam.

Na jak długo?

Nie wiem. Ze dwa tygodnie.

Recepcjonista położył klucz na przywieszce z płyty pilśniowej.

Dwanaście baksów, powiedział.

Za tydzień?

Tak jest.

Za dwójkę płaciłem tylko czternaście. Kiedy byłem tu ostatnim razem.

Pokój kosztuje dwanaście baksów.

Suttree odliczył pieniądze, wziął klucz, przeszedł przez całą recepcję i wspiął się po schodach w półmrok. Znalazł swój pokój i chciał

wsunąć klucz w drzwi, ale okazały się uchylone. Otworzył je szerzej.

Zmiażdżona klamka, pogięta blacha wisiała na śrubach. Całe drzwi były pęknięte i zadygotały chorobliwie, kiedy je zamykał. Zszedł z powrotem po schodach i brzęknął dzwonkiem.

Recepcjonista dał mu inny pokój i Suttree wrócił na górę. Okna wychodziły na uliczkę na tyłach hotelu. W ścianach ziały ogromne dziury, zasłonięte dyktą i taśmą maskującą. Małe, żelazne łóżko.

Dębowa, politurowana komódka na wysokich nóżkach na kółkach.

Leżał na miękkim materacu jak w hamaku i wpatrywał się w sufit. Po chwili wstał, wyłączył światło, ściągnął buty i znowu się położył. Niżej po ulicy jeździły samochody. W oknach wychodzących na wschód kładło się już słabe, szare światło nadchodzącego dnia. Zasnął.

Kiedy się obudził, było późne popołudnie. Poczłapał korytarzem do łazienki. Wydawało się, że wokół nikt nie mieszka. Zszedł na dół, kupił gazetę w recepcji, przeszedł na drugą stronę ulicy i wstąpił do drugstore'u, gdzie usiadł w tylnym boksie, wypił kawę i zjadł pączki.

Przeszukał gazetę w poszukiwaniu wiadomości o wydarzeniach ostatniej nocy, ale nie znalazł na ten temat ani słowa.

Gdy się ściemniło, poszedł na koniec ulicy i nad rzekę. U Doli nie paliło się światło i nikt mu nie otworzył, kiedy zapukał do drzwi. Kot Aba zlazł z dachu i zaczął się ocierać o nogę Suttree'ego, który nie miał

nic, czym mógłby go poczęstować.

Na rzece panowały ciemności, słychać było tylko skapującą z wioseł wodę i ciche zgrzytanie dulek. Utonął w nadbrzeżnych zaroślach z latarką w ręku i wreszcie znalazł palik, do którego przywiązana była jego linka połowowa, przewlókł ją przez hak w pawęży, po czym znów ujął wiosła, ustawił latarkę na ławeczce i z czarnej wody zaczęła się wysuwać bardzo biała linka. Zdejmował przynętę z haczyków, a gdy dopłynął na drugi brzeg,

odciął linkę. Wystrzeliła ku rzece z piskliwym cmoknięciem i zniknęła mu z oczu. Potem powiosłował niżej, wyciągnął

drugą linkę połowową i ją także przeciął. Gdy wrócił w górę rzeki z rybami na dnie łodzi, było po północy. Zapalił lampę, usiadł na pokładzie swojej barki i oczyścił połów, przerywając od czasu do czasu pracę, żeby ogrzać splamione dłonie nad kloszem. Owinął ryby w gazetę, włożył je do pudła, zszedł na dół, wciągnął łódź na brzeg i przewrócił ją do góry dnem. Potem wszedł do domu, zabrał swoje ubranie i tych parę drobiazgów, których był właścicielem, zdmuchnął

lampę i ruszył przez pola do miasta, niosąc to wszystko przed sobą na pudle z rybami.

Zaglądał do Aba co wieczór, ale nikogo nie było w domu. Za dnia Suttree nie pokazywał się na ulicach. W gazetach nie pisali o Abie ani słowa. Rozpytywał o Doli u Howarda Clevingera, ale nikt nie wiedział, gdzie ona jest. Kiedy się odwrócił, żeby odejść, zobaczył

przechodzącego ulicą Oceanfroga.

Hej, kochanie, powiedział Oceanfrog.

Co słychać, odparł Suttree. Gdzie Ab?

Człowiek leży w szpitalu.

Źle z nim?

Nie wiem. Nie byłżem u niego.

A gdzie Doli?

Przy nim. Frazer postawił kołnierz i odwrócił wzrok, patrząc w głąb ulicy. Potem znowu spojrzał na Suttree'egó. Pojedzieszże tam?, zapytał.

Nie wiem.

Postawili gliniarza przy drzwiach.

Ach, odrzekł Suttree.

Oceanfrog spojrzał na niego spod przymrużonych powiek i uśmiechnął się. Znowu szarpnął kołnierzyk i zrobił krok do tyłu, szykując się do odejścia. Pomyślałem, że zaś powinieneś o tym wiedzieć, powiedział.

Byli u mnie na barce?

A byli, byli, kochanie. Trzymaj się.

Oceanfrog ruszył ulicą swoim żwawym krokiem. Suttree spojrzał

w stronę rzeki i w prostym, atawistycznym odruchu zaczął węszyć, powietrze jednak podobnie jak krajobraz pozostawało chłodne i nieruchome.

Wieczorami chadzał na drugi koniec mostu, przechylał się przez barierkę i obserwował rzekę i nędzę życia na dole. Słyszał muzykę dobiegającą z piętra starego, drewnianego domu, w którym Carroll King prowadził nocny klub, przy fortepianie upojony ginem Paul Jones i stare, kiczowate piosenki. Czarnoskóra dziewczyna imieniem Priscilla, która za dnia pracowała w pralni.

Kilka wieczorów później zobaczył słabiuteńkie światło na rzece, padające z tyłu domu Jonesa, i zszedł tam wąską ścieżką w ciemności.

Przez chwilę myślał, że Doli nie podejdzie do drzwi. Był już gotów odejść, kiedy się otworzyły.

Jej włosy przypominały tłuste, czarne kołtuny, jak gdyby obsiadły ją pijawki, a oko miała jasne i rozpalone. Obróciło się, żeby go zobaczyć. Skrzyżowała ręce, kładąc dłonie na barkach, a jej oddech zamieniał się w parę w chłodnym powietrzu.

Co z nim?, spytał Suttree. Jest tutaj?

Pokręciła głową.

Nie wyszedł ze szpitala?

Tak. Wyszedł. Bóg zaś go zabrał. Zaczęła płakać, była w podomce i kapciach, nadal miała skrzyżowane ręce. Łzy, które spływały po jej dziobatym policzku, wyglądały jak atramentowe. Drugie oko Doli pozostawało zamknięte, ale powieka, okrywająca pusty oczodół, nie funkcjonowała już należycie, zapadała się w nim i z trudem otwierała, a przypominająca ranę dziura zdawała się przyglądać Suttree'emu z jakimś upiornym spokojem, jak narząd przeznaczony do innego typu widzenia, niczym szyszynkowe oko pierwszych gadów, obserwujące go poprzez czas, poprzez koniugacje przestrzeni i materii, sięgające owego nieruchomego centrum, w którym żywi i umarli są jednością.

33

Tej wiosny nie wrócił na rzekę. W cieniach budynków wciąż krył

się szary chłód, przydymione i nieszczęsne słońce dąsało się gdzieś nad miastem, a na rzadko porośniętych, gliniastych nieużytkach, marniejących na peryferiach miasta, pierwsze kwiaty eksplodowały jak pijane pośród żużlu i odłamków szkła i zaczynały powoli rozkwitać.

Robiło się coraz cieplej i powróciły wilgowrony, hordy metalicznie niebieskich ptaków, obciążających rozwrzeszczane drzewa. Niewielkie truchła, które zakonserwowało zimno, miękły, gnijąc, wytarta kocia skórka, wyschła i napięta, przylegająca do pozbawionych mięsa żeber, zwrócony ku górze oczodół pełen deszczówki i szeroki, bezpyski uśmiech na każdą pogodę, bielejące zęby.

Wychodził coraz rzadziej, kończyły się mu pieniądze. Dni stały się długie, a on całymi godzinami leżał na łóżku. Przyszedł recepcjonista, zapukał do drzwi i poszedł. Któregoś dnia Suttree dostał nakaz eksmisji.

Potem źle się poczuł. Najpierw dostał krwotoku z nosa i nie mógł

go zatamować. Na podłodze leżały porozrzucane strzępy papieru toaletowego splamione wodnistą krwią. Recepcjonista znów przyszedł i zapukał. Cień jego butów w świetle na progu. I poszedł. Świat zaczął się robić dziwaczny. Ziarniste wody gruntowe śpiewały w jego myślach.

Leżał na łóżku i patrzył na nagie pnącza pęknięć na suficie. Powiew unosił stare, koronkowe szmaty firanek w oknie. Krzyki dzieci w południe na boisku szkoły Bell House. Suttree leżał nago, w gorączce.

Nawet oczy miał rozpalone. Przespał część popołudnia, zbudził się ze snu, przesyconego zapachem dawno zapomnianego koca, na którego atłasowej krajce wyobrażone były niebieskie kaczuszki. Łóżko ugięło się pod ciężarem ciała jego ojca, jak się czujesz, synu, nie za bardzo.

Pod spadzistym dachem, pod okapem.

Otworzył oczy. Pokój sprawiał wrażenie zdeformowanego. Suttree patrzył, jak spod grubej warstwy tynku wylęgają tajemnice. Ręką tynkarza zawładnęło coś niewidzialnego. Postaci strojące miny w wapiennym, księżycowym pejzażu. Od dawna martwe świadectwo obecności starego murarza. Znów zamknął oczy. Ogromna, pulsująca opuszka kciuka krążyła nad jego spuchniętymi powiekami. Przytrzymał

się jedną ręką ściany jak pijak.

Dzień zgasł w różanym i popielatym świetle. Błękitny zmierzch w pokoju stawał się coraz chłodniejszy.

Leżał w ciemności.

Po długiej chwili podszedł chwiejnie do ściany i włączył światło.

W ostrym świetle żarówki znalazł po omacku ręcznik, owinął się nim w pasie i wytoczył na korytarz, do łazienki. Ukląkł na zimnych białych kafelkach i zwymiotował krwią do muszli. Wróciwszy do pokoju, usiadł

na łóżku i zapatrzył się w swoje palce u stóp.

No, powiedział. Jesteś chory.

Krótko po północy znalazł go Thomas E. Warren, sprzedawca butów. Myślał, że Suttree jest pijany. Przyklęknął, potrząsnął go za ramię. Hej, Bud, powiedział.

Suttree leżał nago na podłodze łazienki, gdzie przyszedł się ochłodzić. Warren dźwignął go na nogi, a Suttree odpowiedział nic nie rozumiejącym spojrzeniem, nie spodziewając się nikogo ze świata żywych. Upiorne towarzystwo wycofywało się spod przeciwległej ścianki jego gotującej się, dymiącej głowy. Wyzwolił się z uścisku żywego Thomasa, podszedł niepewnym krokiem do muszli klozetowej i usiadł na niej.

Dobrze się czujesz, człowieku?

Tak, odparł Suttree.

Został sam w ciasnej łazience. Z czarnej rury nad jego uchem sączyła się woda. Głowa zwisła mu bezwładnie, trzymał się za brzuch.

Oddał rzadki, krwawy stolec.

Nad umywalką opłukał głowę zimną wodą. Aaach, zwrócił się do otworu odpływowego.

Wiem, że pan tam jest, odezwał się zza drzwi recepcjonista.

Suttree otworzył oczy. Leżał na łóżku, był dzień. Pukanie do drzwi ustało. Kroki na korytarzu. Spojrzał w stronę okna. Czy ulicami przechodzą defilady? Co to za hałas? Kim jest ten drugi? Nie jestem tym drugim.

Usiadł. Pokój zawirował. Suttree opadł na plecy i krótko zaśmiał

się w nieświeżą pościel.

Przez cały dzień leżał w mdłym, rozgorączkowanym świecie, w pokoju nie było nic, tylko słońce i on, łączył dochodzące do niego dźwięki w takie kompozycje, w jakie mógł, walenie młotka dekarza, długi, przypominający pierdzenie odgłos hydraulicznych hamulców ciężarówek na ulicy, trzaskanie drzwi, nawoływania dzieci. Pusta ściana, na której tle mógł konstruować swoje pantomimy. Zjawiła się jakaś mniej jadowita obsada ponuraków, by zająć jego umysł, i wczesnym przedpołudniem miał nadzieję, że dojdzie do siebie. Ale dźwięki, które słyszał, zaczęły się zlewać ze sobą i przyspieszać, a on już dłużej nie wiedział, czy śni, czy się obudził.

Długim popołudniem padł ofiarą dziwnych, cielesnych zachcianek.

Jakaś meduza kiwała na niego zza wirującego fajerwerku tafty. Ohydna tancerka o ziemistym, pomarszczonym brzuchu, ręce zasłaniające srom, porośnięty zielonymi jak mech włosami, zielonkawa peruka łonowa, z której uśmiechały się wilgotne, fiołkoworóżowe płatki, odsłaniając ukryte szeregi drobnych gumowych ząbków, przypominających szczęki konch.

Suttree jęknął przez sen. Leżał pogrążony w seksualnym koszmarze, ogromny, pryszczaty zad powoli zniżał się nad jego głową, w środku zwiędłe, brązowe, pokryte skorupą ropy świńskie oko, otoczone napuchniętymi, nabrzmiałymi fałdami. Wytrysnął biały kleik.

Suttree przycisnął twarz do chłodnej ściany. A kim jest ten Pan Kościotrup, wznoszący się w wieńcu jasnego, niebieskozielonego gazu?

Nadchodzi, kołysząc się, drewnianym krokiem, niczym wabik na torze wyścigowym, i mija go z lekkim uśmiechem i ukłonem. Światła przesuwają się po jego kościach, wyglądających na wilgotne, z oczodołów wystają chwytne łapki małych gryzoni, a w jasnych, niebieskawych zębach widać wtłoczone poczerniałe, srebrzyste plomby.

W stukocie i brzęku kółek i bloków Ojciec Kościotrup wychyla się przez drzwi saloonu, poczciwy, lakierowany szkielet z wesołego miasteczka.

Suttree uśmiechnął się przez sen do tych dziecinnych fantazji. W

kącikach jego ust pękła szara. łupinka. Oczy nagle się otworzyły. Usiadł

i sięgnął po ręcznik. Upadł mu na podłogę, wyszedł więc z pokoju i nago ruszył korytarzem do łazienki.

Grudki zakrzepłej krwi splamiły wodę w muszli klozetowej.

Różowe, kasztanowate, koloru burgunda.

Wyciągnął się na płytkach. Bił z nich słaby odór moczu. Ptasie cienie na pomalowanych na biało szybach okiennych. Do umywalki kapała woda. Widziałem tę kobietę w jakimś dawniejszym śnie, w dawniejszych czasach, poruszała się w piżmowej aureoli, oddech stęchłych róż, jej ospałe ręce kołysały się jak blade ptaki, jej twarz jak kreda, różowe usta, niemal niebieskie włosy upięte szylkretowymi spinkami, wychodzi ze swojej komnaty w mojej niezagojonej pamięci odziana w dym.

Hej, Bud. Hej.

Oto mój kochany J-Bone, nikt inny.

Co ty wyprawiasz, kurwa?

Chorula bidula, James.

Coś ty ze sobą zrobił, do cholery? Możesz wstać?

Jestem w dupę pijany, James.

Widzę. Co się stało?

Drogi przyjacielu, pora się wymeldować.

J-Bone poklepał go po ramieniu. Zaczekaj chwilę. Zaraz wracam.

Suttree otworzył oczy. Za minutę napiję się wody. Oblizał wargi.

J-Bone wrócił z grubym taksiarzem. Ujęli Suttree'ego pod ręce i zaczęli wciągać mu koszulę na grzbiet.

Ja bym mu raczej pozwolił to odespać, powiedział taksówkarz.

Nie mogę go tak tu zostawić na podłodze.

Suttree opuścił rękę, uderzając kłykciami o płytki.

Nie porzyga się, co?

Potrzymaj go pan przez chwilę, to zapnę guziki. Musi tylko pójść na detoks.

Proszę przestać, panie władzo. Sam pójdę.

Lepiej, żeby nie rzygał. Słyszysz pan?

Widziałem go w gorszym stanie. Niech go pan teraz położy z powrotem.

Ma jakieś buty?

Znajdę. Pomóż mi go pan podnieść.

Co to jest?

Co?

Cholera, on krwawi z dupy.

Może ma hemoroidy.

Gówno nie hemoroidy. Popatrz pan.

Pod bladymi, nagimi pośladkami Suttree'ego rozlewała się purpurowa plama. Leżał w zapiętej koszuli i podciągniętych po kolana spodniach. Taksówkarz wycofał się do drzwi. J-Bone wyglądał jak klęczący morderca. Taksiarz odwrócił się i uciekł korytarzem.

No to spadaj, skurwysynu, zawołał J-Bone.

Skurwysynu, odezwał się Suttree z podłogi.

J-Bone wyciągnął go bokiem z kałuży krwi i zaczął się mocować z jego spodniami, próbując mu je wciągnąć. Przyniósł buty Suttree'ego i włożył je choremu. Chwycił go pod pachy, wyciągnął z łazienki, powlókł korytarzem, wszedł na łóżko w jego pokoju i wciągnął na nie przyjaciela.

Wody, Jim. Łyczek dobrej wody.

J-Bone wrócił dziesięć minut później z innym taksówkarzem.

Może chodzić?

Nie. Pomóż mi pan z nim.

Niech mnie cholera weźmie, jeżeli nie jest najebany jak stodoła.

Tak z nim czasem bywa.

Czubki butów Suttree'ego pozostawiały ledwo widoczny ślad w sparciałym chodniku na korytarzu. Buty spadły mu z nóg na schodach jak zabawki. Patrzył, jak ostre słońce wspina się coraz wyżej. Uderzył o coś głową.

Pojedziesz pan z nim, co nie?

Tak. Pojadę z tyłu. Jedź pan.

Nigdy w życiu nie widziałem tak pijanego człowieka, powiedział

kierowca.

Czyj to dom?, spytał Suttree.

Spokojnie, Bud.

Ależ nic mi nie jest.

Szarpali się z nim. Czułem się dobrze, powiedział.

Przenikliwa woń sody kaustycznej i leków. Stał w białej sali.

Pochylił się konfidencjonalnie nad czyimś uchem. Już się dobrze czuję, skłamał. Ktoś ukradł śruby z zawiasów jego kolan. Oparł się ciężko o stalowy stół. Regulamin na ściennej tabliczce. Na środku sali sprężyste prześcieradło stołu operacyjnego. Sanitariusz otworzył drzwi i popatrzył

na niego.

Chcieć się tu położyć, to ulec złudzeniu, że królowie mogą oddawać cześć boską, powiedział Suttree.

Sanitariusz zamknął drzwi.

Zamknęły się kolejne drzwi, zamknęły się drzwi, drzwi zamknęły się łagodnie w jego głowie. Jasna, rozkwitła róża, wapienna zieleń.

Wychodził długim tunelem w asyście słabnących głosów i jakby ziarnistego buczenia, szedł coraz szybciej, mijając szare obrazy, które z trzaskiem rozpadały się na nieregularne kawałki, przypominające fragmenty układanki. Korytarzem, który ciągle się przed nim otwierał, a potem rozpuszczał w żelaznej ciemności. Podczas gdy umarli przejeżdżali obok na platformach, pełnych uschłych i wyblakłych wieńców z karteczkami, z których deszcz zmył wypisane atramentem nazwiska. Callahan i Hoghead patrzyli i uśmiechali się szyderczo, odsłaniając swoje dziwaczne zęby, a

dziury w ich głowach były zaczopowane małymi zatyczkami, Bobby Davis na kamiennej płycie, z piersią krostowatą niczym ofiara ospy, Jimmy Smith ze skręconym karkiem, stateczna i spokojna ciotka Beatrice w szaroczarnym powozie, leżała w szklanej skrzyni, jej białe jak świece ręce zaciśnięte na róży.

Przymknęła przypudrowaną powiekę, puściła teatralne oczko i zniknęła.

Suttree powiedział: Opuszczam ten świat, długi, milczący, przeraźliwy krzyk na torach wiodących na ciemne, piekielne zbocze półkuli, będącej preludium śmierci. W asyście zbudowanych z kolorowych gazów, ociężałych i ruchliwych postaci, powoli odrywających się od siebie, bladzi, zieloni, wiśniowi i butelkowo niebiescy głupcy o butylowych szczękach, galopujący cicho i krzyczący łuuup i retyyy, wdzierający się triumfalnie w wyłom, marszcząc swoje bezkostne, komiksowe oblicza, w powiewających, workowatych portkach, posuwający się ciężkim krokiem przez wieczność na skraj wszystkiego.

Daleko w głębi pustki wisiała ćwiartka księżyca koloru żółci złamanej brązem. Wędrowały po nim postaci tej samej barwy. Nie dbał

już o to, że umiera. W nicość wciągała go olbrzymia cipa o chwytnych wargach w kolorze wątroby, pulsujących z wolna niczym jakiś lewantyński skorupiak. W zimny wymiar bez czasu i przestrzeni, gdzie wszystko jest ruchem.

Pielęgniarka zmierzyła Suttree'emu temperaturę.

Dziękuję, siostro. Tak, tak dobrze.

Wy, panowie, przejdźcie z drugiej strony, tu. Tak. Proszę odejść od drzwi. Dziękuję.

Suttree otworzył oczy. Wokół jego łóżka stali i przyglądali się mu poważni młodzi ludzie w fartuchach lekarskich. Ze śmiechem opadł na poduszkę i znowu go nie było. W głąb cykloidy w koszu motocyklowym, opływowa jazda przez oko zatrutego kalejdoskopu, Suttree przecina kurs słoneczny i obraca się wokół własnej osi, wznosi się po ścianie z prędkościami, od

których odpływa mu krew z twarzy, a potem pędzi w powiewach gorącego eteru, aż dzwoni mu w uszach.

Asystenci pojawiali się jeden po drugim, twarze i postaci, przetoczyła się wiedźma z brązowym płomieniem zamiast włosów i znów zaczęła się zbliżać, cykliczna procesja, przez którą przemykały szydercze, gazowe mozaiki, i jeszcze raz, nieco zmutowane, zmieniające się powoli, aż wreszcie wyfazowane w abstrakcje koloru i formy, rozrywają się w elastycznej paralaksie niczym kolorowe duchy na odbitce i rozchodzą na zawsze. Potem powstawały nowe formy, wszystkie wirujące i zdążające przed siebie, prawdziwa karuzela wariatów. Suttree obserwował te zjawiska ze swojego galaktycznego odpływu ściekowego z umiarkowanym zainteresowaniem. W polu jego widzenia pojawił się ogromny biały lekarz i odszedł, kurcząc się gwałtownie jak na węższym końcu lunety. Suttree zdał sobie sprawę, że ma otwarte oczy. Oglądał

tych łysych, dwunożnych mutantów z niewiarygodnych wysokości, szamotali się w dole ze smutnym rozbawieniem na surowej, sinej krawędzi świadomości. Jego predylekcje astronomiczne przesunęły go poza podczerwień i zastanawiał się nad geografią owych miejsc i jak ten świat miesza się ze światem poza światem? Zamknęły się jakieś drzwi.

Wirował w strumieniu powietrza, kołował, zaczerpnął tchu i znowu go nie było.

Czarnoskóry, jednooki potwór podniósł go, wyciągnął spod niego miskę krwi z jego jelit i wyniósł ją, przykrytą lnianą ściereczką.

Wjechał wózek szpitalny na gumowych kółkach, odór siarki i spirytusu. W pośladku Suttree'ego zagłębiła się igła. Położył się z powrotem na plecach. Myślał, że na dziedzińcu za oknem widzi gałęzie drzew. Pełno małych postaci, czekających na on. Pomarszczone, włochate karły o kocich oczach nosiły małe, szkarłatnociemnobrązowe suspensoria. Kto mógłby opisać te istoty? Jakiś starzec leżał na łóżku obok, siwy mężczyzna, z trudem wciągający powietrze obwisłymi, ziemistymi, nagimi ustami. Jak ja, jak ja. Czyżby ułożyli mojego trupa na zimnej, kamiennej płycie i ostrzą nożyki, żeby mnie poćwiartować?

Rzężący, gumowaci debile o rozkołysanych brzuszyskach schodzili jeden po drugim ciężkim krokiem ze zbocza w przemieszczającej się mgiełce. Wszyscy poszli dalej.

Kiedy zaczęli okładać Suttree'ego lodem, ogarnął go straszny smutek, naznaczony skruchą. Usłyszał, jak ktoś podaje aktualną godzinę, ale nie zrozumiał słów. Odpłynął w morfinowy sen.

Mokrą ulicą przed siebie, świeży wiatr z plwocinami deszczu.

Surowy, piżmowy zapach chodników. Miał jakieś kłopoty. Sklep z zegarami. Zegar na czterech nóżkach w szklanym kloszu, wahający się potrójny haczyk z przynętą ze złotych, obracających się powoli kulek.

Nieruchomieją. Wskazówki też. Spojrzał na swoją twarz w szybie. Na ścianie w sklepie stają też inne zegary. Ja? Sklep jest zamknięty. Myśl, żeby zapytać. A jednak nie spyta. Zegary trzeba nakręcać, do tego potrzebni są ludzie. Trzeba komuś powiedzieć.

Oskarżony, proszę wstać.

Usłyszał pan zarzuty.

Tak.

Tak, psze pana. Przyszłem koło ósmej, jak zwykle. Zobaczyłżem tego gościa, jak się patrzy przez okno, i nicem se z tego nie robił. No to weszłem i się spojrzałem na zegar, i zobaczyłem, że coś jest nie w porządku, podeszłem go nastawić i zobaczyłem, że nie chodzi.

Nakręcony był, ale chodzić nie chciał. Zaczęłem się później rozglądać i pokazały się różne dziwne rzeczy.

A czy mógłby pan je nam zwięźle przybliżyć.

Tak, psze pana. No, uprzejmie proszę, nie chciałbym...

Może pan mówić swobodnie. Oskarżony jest solidnie skuty. Czy oskarżony jest skuty? Tak, jest skuty.

Tak, psze pana. No to zaczęłem się rozglądać i od razu żem zmiarkował, że żaden zegar w sklepie nie pokazuje dobrej godziny. A potem żem zobaczył, że TWeetiepie nie żyje.

Zobaczył pan, że Tweetiepie nie żyje. Został zabity.

Tak, psze pana.

Zapiszcie do protokołu, że Tweetiepie poniósł śmierć.

Z ręki nieznanej osoby albo osób.

To on zrobił, ten ptaszek, co tam siedzi w kajdankach.

Proszę zidentyfikować te szczątki.

O Bożęciu, nie, nie dam rady, taka zdejmuje mnie rozpacz.

To pański ptak, proszę pana?

Ten sam.

Zapisać do protokołu, że to jest ten ptak.

Oczywiście, że ten, zawołał wychudzony, blady, delikatny Suttree, leżący na tacy z lodem, dziwny, chłodzony czworonóg.

Panie Suttree, w którym roku zmarł pański stryjeczny dziadek?

W tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym.

Czy zgon nastąpił z przyczyn naturalnych?

Nie, wysoki sądzie.

A jakie okoliczności towarzyszyły śmierci pańskiego dziadka?

Brał udział w pewnej ceremonii publicznej, gdy nagle otworzyła się zapadnia.

Mamy informację, że został powieszony za morderstwo.

Tak, psze pana.

Czy wiadomo panu, jaka grozi kara za likantropię?

Suttree w lodzie jęknął. To nie ja, zawołał.

Ktoś się prześlizgnął giętki niczym węgorz z sądu na leśną ścieżkę, na wolne powietrze, nad stawy głęboko w lesie, gdzie nie świeciło słońce, gdzie rosły czarne trzciny i rodziły się ślepe ryby. Aż zatrzymał

go handlarz żółwi, niosący worek z tymi zwierzętami i strzelbę. Ubranie z juty, nieogolony, na nogach ciężkie, dziurawe na noskach buciory, a był ziąb.

Słuchajże, panie nieznajomy, zawołał. Dostaniesz żółwia na zupę.

Panie nieznajomy, pozwól mi przejść, albowiem jestem zmęczony.

Pięćdziesiąt centów i wybierzesz sobie najlepszego, taniej nie kupisz.

Odchodzę stąd precz, nie mam ani grosza.

Chyba nie mogło cię tu przywieść nic innego.

To nie jest ścieżka, którą ja sobie wybrałem.

Ani ja.

Trochę swobody i spokoju, nadchodzi noc.

Handlarz żółwi wyciągnął przed siebie worek. Piknę żółwie, tłuste.

Żółwie na gulasz.

Śniący chciał przejść, ale handlarz opuścił długą, ciemną, liliową, stalową lufę strzelby, żeby zagrodzić mu drogę. Wyjęty spod prawa celnik, cuchnący dymem palonego drewna i moczarową zgnilizną, szukający

opłaty za przejście przez las wyższej niż ta, której mógłby zażądać na takiej ciemnej ścieżce. Na jakiejkolwiek ścieżce.

To zaś specjalne żółwie. Nie idź dalej, jeśliś się im nie przyjrzał.

Na to wędrowiec wyraził zgodę. Twarz handlarza powlekła się chytrością. Przemoczony worek upadł z klekotem na ziemię. Rozchyla go.

To nie są żółwie. O Boże, to nie żółwie.

Suttree prawie usiadł na łóżku, jego opuchnięty język tłumił

krzyki. Opadł z powrotem na poduszkę. Jakieś głosy za ścianą. Z

lodowatą przenikliwością zobaczył pod drzwiami śmiertelny wózek, salowych, którzy wchodzili z paletą, by wywieźć na niej jego wychudzone ciało, a odór umarłych, którzy nie dostali rozgrzeszenia, to niewątpliwie straszny smród wzbijający się w górę, by obrazić nozdrza Boga. Nieskruszeni grzesznicy, nagle wyrwani ze swoich chorobliwych hulanek,

surowa sprawiedliwość. Suttree zobaczył Generała, przejeżdżającego na swoim wozie węglowym, blady koń w zaprzęgu.

Podniósł rękę. W jego rękawiczce brakowało palców, wóz nie wydawał

odgłosów. Znikali w mgłach, aż pozostało tylko pomarańczowe światło lampy, kołyszącej się za wozem na kabłąku.

Na Front Street latarnie oświetlały drogę regularnymi kręgami chromowoniebieskiego światła. Głęboko uśpione chałupy butwiały, w środku leżeli smagłoskórzy śpiący. Kwiaty na podwórkach na wpół

rozbudzone w świetle lamp, a neonowe konstelacje miasta wyłaniały się z nocy, pastelowa, czerwonawa poświata, w której z poszarpanych ruin hotelu Cumberland i Lyric Theatre wzbijał się pył zniszczenia.

Przed wejściem do Huddle zbierają się ludziska z głębin McAnally. Pierwszy stoi jakiś piegowaty, szczerbaty Celt bez brody. Ma troje oczu i

jest cały porośnięty pomarańczową sierścią niczym kitajska małpa. U jego boku wyrostek o małej, lisiej mordce i bulwiastej głowie.

Włosy koloru pakuł ma krótko przycięte, sterczą mu na głowie, chociaż są wiotkie, a widziany z tyłu młodzieniec przypomina olbrzymi kwiat, zwany lwią paszczą. Suttree uśmiecha się na widok takich przyjaciół.

Zamordowani obejmują go pierwsi. Callahan otacza go ciężkim ramieniem, miażdżąc mu łopatkę. Przez rozszerzone nozdrza bezkostnego nosa zwraca się do srebrzystowłosego barmana o senatorskiej aparycji.

Hej, Hatmaker. Powiedz Hogheadowi, Donaldowi, Byrdowi, Bobby'emu, Hughowi, Conradowi i im wszystkim, że nie mają już zakazu wstępu.

Oni nie żyją.

Wybuchy śmiechu pośród gapiów przed drzwiami.

No, nie zabroniłbyś wstępu truposzowi, co?

Właściciel tawerny złożył ręcznik i przetarł długi, mahoniowy bar.

Odpowiedział, że nie. Suttree przepchnął się przez tę hałastrę i wszedł.

Na zewnątrz stał samotnie tylko złomiarz.

Legalny środek płatniczy, legalny środek płatniczy, mruknął pan Hatmaker, którego nie wkurzyła krwawa, alchemiczna waluta i nie odebrała mu rozumu.

Środek płatniczy, zawołał Big Frig. Masz coś, kupczyku zderzaków?

Harvey człapie naprzód, wyciągając portmonetkę. Kilka srebrnych monet z mennicy w Denver. Ślepa wiara w głuche bóstwa. Zajmuje stołek przy barze. Bombę piwa. Zamawia.

Big FHg trąca złomiarza łokciem i pochyla się, puszczając wielkie, teatralne oczko. Ino coby nie wybuchła.

Przy barze ślepy Richard pomruguje powiekami w piwnym świetle, a przypominająca kwaśne mleko substancja w jego oczach świeci niebieskawym blaskiem, ociemniały pochyla się naprzód i bierze kufel w obie ręce. Uszami łowi głosy w swojej bezbrzeżnej pustce. Alice z pogardą rozgląda się po pokoju. Kiedy księżyc oświetli Wabash, moją rzekę, rozpoznasz swój dom w Indianie. Kurwy przy owalnym stole podnoszą szklanice. W czarnym, plastikowym blacie wyryte są imiona tysięcy złoczyńców i melancholików. Faye za paskiem do pończoch nosi szklaną strzykawkę. Wylizałabym dupę świni, żeby się nawalić, mówi.

Już to robiłaś, mówi Shirley. W jednym filmie, dodaje Rosie.

Cioty w narożnym boksie patrzą po sobie z pełnym zdumienia rozbawieniem. Szkła ich okularów pomrugują jak małe semafory. Wyżej w wybebeszonej klatce po elektrycznym wentylatorze uwięziony w padającym z ukosa, przesyconym dymem świetle siedzi w kucki złoczyńca, ślini się i kręci w lewo i w prawo.

Ja żem tego nie zrobił, oni tak tylko mówią. Jeden taki żydoktór przyszedł w nocy z nożycami krawieckimi.

Och, siedź cicho, mówi jakiś rozmarzony pedał, zerkając w górę.

Ohydni zboczeńcy, wszyscy razem i każdy z osobna. Odziane w krzykliwy jedwab lachociągi. Wędrują po świecie. Jebiną gaszący pragnienie swoich wstrętnych dziur. Och, nie będę się wzdragał, by o tym opowiedzieć. Przedstawię całe ich plemię najwyższemu Bogu wszechmogącemu, który zapisuje nasze czyny w oprawnym w skórę dzienniku. O marmurkowych wyklejkach, jak słyszałem.

Harrogate we fraku stoi beztrosko na przystrojonym i oflagowanym barze. Sam ma niewielką flagę w klapie. Przyjaciele, powiada. Pochodzę z ubogiej rodziny i sukces zawdzięczam jedynie pracy własnych rąk. I jeśli mam pozostawić odciski swoich stóp w piaskach czasu, to niech to będą ślady butów roboczych.

Ktoś pociągnął Suttree'ego za rękaw. Drobna zakonnica o jakby przypieczonej twarzy, woń spalonego, czarnego muślinu i jej martwe piersi,

podtrzymywane dzianinową kamizelką. Szarpała go małymi, ryjówkowatymi pazurkami za kościsty łokieć.

Cornelius, natychmiast stamtąd odejdź.

Panie Suttree, dowiedzieliśmy się, że w porze gaszenia ogni, słusznie wyznaczonej przez prawo, i w godzinie, kiedy noc dobiega swojego naturalnego końca, a rozpoczyna się nowy dzień, oraz wbrew normom przystojącym osobie o pańskim statusie społecznym odwiedzał

pan różne podejrzane miejsca w dzielnicy McAnally, gdzie zmarnował

pan kilka kolejnych lat w towarzystwie złodziei, bezdomnych, niegodziwców, pariasów, tchórzy, nicponi, gburów, prostaków, morderców, hazardzistów, rajfurek, kurew, sprzedajnych dziewek, zbójów, pijaków, moczymordów, opojów i arcyopojów, gamoni, kobieciarzy, renegatów, hulaków, a także innych rozmaitych przestępczych rozpustników.

Byłem pijany, zawołał Suttree. Naszła go wizja archetypowego patriarchy, otwierającego olbrzymimi kluczami bramy Hadesu.

Powodziowa fala wrzeszczących diabłów, zabójców, złodziei i owłosionych sodomitów zalewa cały świat, odchylając go nieco od osi galaktyki. Gwiazdy staczają się w pustce niczym rozgrzane do czerwoności kulki. Ci smażący się na wolnym ogniu grzesznicy w dymiących płaszczach wyjmują z tabernakulum ni mniej, ni więcej tylko sam Logos i niosą go ulicami, a kleszcz absolutnej, prebarbarzyńskiej nauki zachodniego świata przywołuje ich krzykiem do porządku i otula obszarpane, biblijne postaci całunem zapomnienia.

Za drzwiami przechodził korytarzem salowy z mopem i wiadrem.

Suttree odczekał, aż sobie pójdzie. Kroki w głąb korytarza. Głosy. A za nimi dźwięki, przypominające gderanie i mamrotanie potępieńców, stłumione szaleństwo głosów, które w żadnym wypadku nie były prawe ani sprawiedliwe. Ręce Suttree'ego zacisnęły się na ostemplowanej pościeli.

Słyszałaś, co mówił przed chwilą?

O kurka. Czegoś takiego nigdy nie słyszałam.

On wariuje.

Ty wariujesz, powiedział Suttree z otchłani.

Boże, on nie śpi?

Nie. Pomóż mi go odwrócić, musimy zmierzyć mu temperaturę.

Z kącika jego prawego oka wystrzeliła jak z procy sepiowa wiedźma, zarechotała i dała nura z powrotem. Suttree uśmiechnął się.

Nie przykrywajcie mnie, panie, jeszcze nie jest po mnie.

Owłosiony, co nie?

Och, cichajże, Wanita. Ja tam bym się wstydziła.

Cipa, powiedział Suttree z jakiegoś nowego miejsca. Moookra cipa. Rozległ się sympatyczny chichot. Pomiędzy jego nogami podniósł

się wielki członek, rozkoszny skurcz, a potem na końcu penisa rozwinęła się na drzewcu mała, kolorowa flaga, kto wie jakiego kraju?

W pokoju unosił się zapach światła słonecznego z lekką domieszką jakiegoś nieznanego składnika. Do miski kapała woda. Słyszał głuche detonacje tenisówek na chodniku za ścianą, na dziedzińcu, w zupełnie innym królestwie.

Późnym popołudniem wstał i zaczął chwiejnie chodzić po pokoju na bosych, gołych i wychudzonych nogach, szorstka, bawełniana koszula nocna sięgała mu tuż nad łydki, z jej obrębka zwisało parę nitek.

Znalazł w kącie sali umywalkę, pochylił się nad kurkami, wsunął

rozpaloną głowę pod kran i zmoczył ją. Krew pulsowała mu w skroni, niosąc złe wiadomości. Wyprostował się, ociekając zimną wodą, i boleśnie oddał do umywalki kilka kropli moczu. Rozejrzał się po sali.

Jeszcze dwa łóżka, oba puste. Stalowy wózek z emaliowanymi basenami. Podciągnął koszulę i zaczął polewać swój pomarszczony brzuch, gdy weszła pielęgniarka. Odwrócił się. Ruszyli oboje ku sobie, zataczając się z wyciągniętymi przed siebie ramionami.

Mam cię, powiedział Suttree.

Co pan robił?

Chłodziłem sobie brzuch. Czy ja panią znam?

Niech pan uważa.

Proszę posłuchać, powiedział Suttree. Nigdy nam nie obiecywano, że nasze ciało, że nasze ciało...

Cichaj pan już. Proszę iść.

Mam pani coś do powiedzenia. Wiem, że wszystkie dusze są jednością i wszystkie są samotne.

O tak, idziemy.

Zatrzymał się z kolanem wspartym na żelaznym łóżku. Spojrzał w górę, na niepewną twarz. Rozsypała się w szarościach, zakurzona maska wiedźmy. Położył się. Pościel mokra od słonej wilgoci. Przylegała do niego jak uzwojenie. Pielęgniarka zablokowała podgłówek, a on wachlował sobie brzuch rąbkiem koszuli.

Niech pan przestanie.

Nie, odparł.

Przykryła go i poszła. Leżał w półśnie, w upale, dryfując niczym olbrzymia meduza w morzach tropikalnych, a do ucha wpadały mu chwilami dziwne inwokacje, związane z nim jako pacjentem, dwieście miligramów, sporo płynu w opłucnej...

Śniły mu się domy, ich piwnice i strychy. A w końcu miasto w morzu.

Jakieś wschodnie morze, ociężałe o świcie. Na jego dalszym brzegu wznosił się spiralny kłąb dymu, któremu towarzyszyło i który wieńczyło plutonowe światło, tam gdzie otwierały się wody. Erupcje kropli gorącej lawy, wielkie, powyrywane płaty ziemi i deszcz małych kamyków, które syczały przez cały czas, opadając na głębokość kilku mil. Patrzyliśmy, a z dymiącej solanki wyrosło miasto zbudowane ze starych szkieletów, wykaszlanych z dna oceanu, blade, attyckie kości, delikatne jak muszle i prawie się rozpuszczające, kredowa rzeźnia, porośnięta koralowcami, przybierającymi kształt świątyni, kolumny, cokołu i karnesu, przez które ciągnął się fryz, przedstawiający łucznika, wojownika i dziewice o marmurowych piersiach, wszyscy pochylali się ku zachodowi i poruszali powoli kamiennymi członkami. Kiedy te postaci zaczęły stygnąć i nabierać życia, stojący pośród gapiów Suttree powiedział, że tym razem są świadkowie, bo życie nie rozwija się powoli. Powstaje w jednej potężnej mutacji i wtedy wszystko zmienia się całkowicie i na zawsze. Byliśmy dziś świadkami takiego wydarzenia, które po wsze czasy antycypuje sposób, w jaki działają prawa dziejów. I ktoś powiedział, że autorką cudu, który oglądali, była dziewczyna, która poprzedniego wieczoru myła swój obrzmiały brzuch w kamiennym basenie, w ogrodzie. I dziewica niosąca wodę w marmurowym dzbanie zeszła z żywego fryzu i ruszyła ku śniącemu, odzyskała swoje czarne oczy i jasną źrenicę, wymalowaną attyckim błękitem, posuwała się ku Suttree'emu z uśmiechem.

Wynurzył się z tych rozgorączkowanych głębin, by usłyszeć monotonny, ckliwy, łaciński śpiew przy łóżku, jaki to średniowieczny duch przybywa, żeby zawładnąć jego upadłym ciałem. Wysmarowana olejkiem opuszka kciuka, woniejącego limonką i szałwią, zawahała się nad jego drżącymi powiekami.

Miserere mei, Deus...

Namaszczone uszy, usta... omnis maligna discordia... Natarty krzyżmem, aromatycznymi olejkami, leżał bezwładnie w zimnej euforii.

Jafecie, kiedy opuściłeś dom swojego ojca, odfrunęły ptaki. Nie byłeś przygotowany na taką aurę. Mówiłeś zbyt lekceważąco o zimie w sercu twego ojca. Widzieliśmy cię na ulicach. Smutnego.

Nachyliła się nad nim trójkątna twarz księdza, pokryta lampową opalenizną. Sala była oświetlona świecami i pachniała dymem. Zamknął

oczy. Chłodny kciuk przesunął się po podeszwach jego stóp, pokrywając je balsamem. Leżał namaszczony. Jak ofiara gwałtu.

Znam rytuały pogrzebowe obowiązujące wobec osób o nieustalonej tożsamości i takich, do których nikt się nie przyznaje.

O co chodzi?, spytał ksiądz.

A niech sobie łamie nad tym głowę, pretor pederastycznego bóstwa.

Ksiądz wytarł palce okruchami chleba i wstał. W świetle świec schował swój rynsztunek do specjalnej, małej walizeczki i wyszedł, niosąc świecę, jego śladem ruszyła zakonnica, a Suttree pozostał sam w ciemności ze swoją śmiercią, i kto przyjdzie zapłakać nad grobem człowieka znanego pod innym nazwiskiem? Albo złożyć chociaż jeden kwiat.

Śnił o żyjącym na biegunach plemieniu, które jeździło na saniach zrobionych ze skóry morsów, wygiętych rogów i kości, ciągniętych przez psy, najeżonych oszczepami i dzidami harpunów, myśliwi w całunach futer, powolne karawany na tle późnego, popołudniowego, zimowego zachodu słońca, na krańcu świata, szepczący nad błękitnym śniegiem na swoich pojazdach wyładowanych stosami mięsiwa, skór i zwierzęcych wnętrzności. Drobni, splamieni krwią myśliwi, wędrujący niczym zarodniki ponad zamarzniętą, chlorową pustką z kwiatka na kwiatek jasnocynobrowej juchy zalegającej na rozległej, borealnej równinie.

W nocnym świecie jego wygłodniałego umysłu sunęły zygzakiem na dół chłodne wstęgi ryb, przesiewając słony śrut, który wzbijał się kolumnami w stronę szczelin w lodzie, wyżej. Tonął w zimnym, jadeitowym morzu, gdzie pęcherzyki powietrza unosiły się w kierunku polarnego słońca. Podwodne ławice węgla drzewnego ozdobione jakby kolorowymi wstążkami, fala oceanu kołysała się w rytm obrotów Ziemi, a on widział, jak oko słońca mętnieje i gaśnie za owiewanymi wiatrem taflami lodu. Pod powierzchnią pustyni cichszej niż powierzchnia księżyca, gdzie alabastrowe foki przemierzają słone, lodowozielone głębiny.

Kiedy się obudził, w sali rozbrzmiewały kroki. Między światłem a cienkimi powiekami Suttree'ego poruszały się jakieś postaci. Znów szedł korytarzem przez kolejne, nie kończące się pokoje, pod bezkształtnymi, bezładnymi, niczym nie przyozdobionymi ścianami, mokrymi i ciepłymi, dalej przez miękkie drzwi o wyposażonych w tchawki i ociekających wodą architrawach i przez jakieś wilgotne, niebieskawe ziemie, przypominające trzewia olbrzymiego, żywego stworzenia. Wędrówka małego człowieka. W oślepiającym świetle reflektorów przez okolice nerek wszechświata. W górze przepływają kanalikami blade fagocyty, cienie i postaci, jak żyjątka w kropli wody.

Oko z drugiej strony szkiełka należy pewnie do Boga.

Suttree zobaczył, jak wykrzywiają się twarze żywych. Zamknął

oczy. Szare, geometryczne gady leżały w jamie, kłapiąc paszczami.

Dalej stała złota pagoda z małą wahadłową błystką obracającą się na wietrze. Wiedział, że tam nie pójdzie. Całymi dniami nie spał. Nikt o tym nie wiedział. Dotknął dłoni kogoś, kto się nim opiekował, i uśmiechnął się, kiedy się cofnęła. Monstra i fantomy czmychnęły daleko za zimny, biały tynk sufitu. Tantryczny kot, który bez końca sadził

zgrabne susy w lunaparku. Zobaczy ich wszystkich później, w dniu swojej śmierci.

Pewnego ranka przyszedł ten ksiądz. Łóżko się przechyliło. A razem z nim bezwładny jak worek Suttree, którego wycieńczone członki chłodziły się w pościeli.

Chciałbyś się wyspowiadać?, spytał kapłan.

Już to zrobiłem, odparł Suttree.

Szybki uśmiech.

Chciałbym trochę wina.

Och, wina pić panu nie wolno, zabrzmiał głos pielęgniarki.

Ksiądz pochylił się, otworzył swoją skórzaną walizeczkę i wyjął

karafkę. Ledwo się wywinąłeś, powiedział.

Jak zawsze. Udało mi się.

Ksiądz wlał Suttree'emu do gardła kilka kropli wina, które spłynęło z przypominającego ptasi język dzióbka. Suttree przymknął

oczy, żeby się delektować.

Ma ksiądz więcej?

Tylko troszeczkę. Nie za wiele, jak sądzę.

To działa, powiedział Suttree.

Lepiej się czujesz?

Tak.

Widocznie Bóg nad tobą czuwał. O mało nie umarłeś.

Nie uwierzyłby ksiądz, co czuwa.

Hę?

On nie jest rzeczą. Nic, żadna rzecz nigdy nie przestaje się poruszać.

Czy tego się dowiedziałeś?

Dowiedziałem się, że jest jeden i tylko jeden Suttree.

Rozumiem, odpowiedział ksiądz.

Suttree pokręcił głową. Nie, powiedział. Nie rozumie ksiądz.

Dni były długie i samotne, nikt go nie odwiedzał.

Obserwował odlatujące i przylatujące ptaki na drzewie za oknem jak wspomnienie z jakiejś sceny z dzieciństwa, jej mgliste przeznaczenie.

Nie dawali mu jeść. Dziwna, kwaśna mikstura do picia.

Pielęgniarka, która przychodziła założyć mu kateter. Całymi godzinami leżał z kutasem zwisającym nad chłodną gardzielą poobijanej, blaszanej kaczki.

Kateterzyna, powiedział.

Mam na imię Kathy.

Nie możemy spotykać się dłużej w ten sposób.

Cichaj już. Możesz się trochę podnieść? Podnieśże się trochę.

Spróbuj się opanować. Cholera.

Nawet nie masz gorączki, więc wiem, że robisz mnie w konia.

Słyszę szum płynącej wody.

Cichaj.

Nigdy nie widziałem śliczniejszego tyłka.

A ja nigdy nie widziałam kogoś, kto myśli o seksie w czasie cewnikowania.

Wyjdziesz za mnie?

Jasne.

Pewnej nocy, kiedy leżał w łóżku, nagle poczuł się na siłach, by wstać. Pomyślał, że śniło mu się, jak to robi. Zsunął stopy z łóżka i stanął na nogach. Zataczając się, przeszedł przez całą salę, oparł się o ścianę i wrócił. I jeszcze raz. Zakręciło się mu w głowie.

Następnej nocy wyszedł na korytarz. Czuję się jak anioł, powiedział do jakiejś starszej pani z wiadrem, którą właśnie mijał.

Nikogo nie było w pobliżu. Odźwierny drzemał przy biurku. Suttree wyszedł.

W koszuli nocnej ulicą, aż doszedł do budki telefonicznej. Otworu wrzutowego nie blokowały tutaj żadne monety. Miał przypięty identyfikator z nazwiskiem Johnson, zdjął go, położył na metalowej półeczce pod telefonem, oderwał i wyprostował szpilkę zapięcia, po czym podniósł słuchawkę. Przebił ostrzem izolację przewodu, a drugi koniec szpilki wcisnął w szparę wrzutową. Po kilku nieudanych próbach uzyskał sygnał i wykręcił dwa jeden pięć zero pięć.

Światła aut zalewały mężczyznę w koszuli nocnej przykucniętego w szklanym wychodku. Osunął się na podłogę budki. Odór skisłego moczu. Telefon, którego numer wybrał, dzwonił. Suttree zastanawiał się, która może być godzina. Dzwonił przez dłuższy czas.

Halo.

J-Bone.

Bud? To ty?

Możesz po mnie przyjechać?

Kiedy zjeżdżali na dół do McAnally, Suttree złożył głowę na zapleśniałym pluszu fotela starego samochodu J-Bone'a.

Chcesz trochę whisky, Bud? Możemy coś kupić.

Nie, dzięki.

Dobrze się czujesz?

Taa. Może chciałbym się tylko napić wody.

Pan Johnson chciał nas opuścić, co nie, panie Johnson?

Tak mówią. Kto nasłał na mnie księdza?

Gadali zaś, że umierasz. Przyjechałżem w zeszłym tygodniu, ale nic żeś nie kumał. A przemyciłem nawet co do picia.

Suttree z zamkniętymi oczami poklepał J-Bone'a po ramieniu.

Kochany J-Bone, powiedział.

Moim zdaniem jesteś pieprzony skurwysyn, żeś nie wziął nam jednej takiej, odezwał się Junior.

Suttree otworzył jedno oko. Jakiej?

Jednej takiej galantej koszulki nocnej.

Szczam na ciebie.

Kochany Suttree jest jeszcze chudszy niż Boneyard, powiedział

J-Bone.

Kochanemu Suttree'emu nic nie jest, odparł Suttree.

Wydawało się, że jazda długo trwa. Po dziurawych i pełnych wyrw ulicach, przez rzadkie kałuże świateł latarni. Niebieskie, wyszczerbione, oblepione ćmami klosze, które kołysały się na wysokości framug okiennych na piętrze i ciemnych, napiętych przewodów elektrycznych.

Blade, betonowe filary odjechały w bok, nagie słupy jakiegoś czwartego porządku, zwieńczone czerwonym, stalowym fryzem. W McAnally budowano nowe drogi wśród jakby zbombardowanych ruin fasad i ścian o najdziwniejszych kształtach, zmiażdżone, żelazne schody przeciwpożarowe dyndały w powietrzu, domy przepołowione, roztrzaskane, żeby świat mógł zajrzeć im do wnętrza. Goła pachwina łuku trzymała się w jakiś sposób samej tapety i pięła w górę, żeby się skończyć w nicości i nocy niczym wieża Babel.

Wszystko wyburzają, powiedział Suttree.

Taa. Pod drogę szybkiego ruchu.

Na wysypanej żużlem trawie w słabym, liliowym świetle latarni stała smutna nieruchomość. Stare, nabrzmiałe od deszczu kanapy eksplodowały cicho, pokurczone stoły zrzucały wylinkę cienkich niby papier oklein. Z tyłu żelazne buldożery stawały dęba na tle nieba jakby pełnego koksu.

Nowe drogi przez McAnally, odezwał się J-Bone.

Suttree skinął głową, miał zamknięte oczy. Znał inną McAnally, dość solidną, by przetrwać tysiąc lat. Nie byłoby w niej żadnych nowych dróg.

Nocami leżał w żelaznym łóżku wysoko w starym domu na Grand i słyszał syreny, samotny odgłos w mieście, na pustych ulicach.

Spoczywał w swojej poczwarce półmroku, cichutko, miarka po miarce dzieląc swój ból z tymi, którzy leżeli we krwi na skraju szosy, na podłogach knajp usłanych odłamkami szkła albo skuci kajdankami w więzieniu. Powiedział, że nawet potępieńcy w piekle tworzą wspólnotę cierpienia, i pomyślał, że przez analogię podejrzewał żywych o symboliczny smutek, który można by porównać do folwarku, gdzie upadek i ruinę dawkuje się na mocy praw sprawiedliwości zbyt wysublimowanych, by można je było przewidzieć.

Okazało się, że destrukcja McAnally go interesuje. Chuda, wymizerowana postać, sunął spokojnie, oglądając sceny hurtowego wyburzania, całe kwartały ulic, szeregi domów miażdżone na pył i gruz, jeden za drugim. Pojękiwały nad tym pejzażem żółte machiny, rozstępowała się ziemia, kilka starych, duszących się od węgla drzew wyrwanych z korzeniami, stosy żużlu i piwnice z obłymi paleniskami w kształcie kotła, przycupniętymi pod przypominającą hydrę konstrukcją z zardzewiałych rur, i pełne popiołów działki, zryte i zniwelowane, i wyrzuceni z grobów umarli.

Przyglądał

się

dobrotliwie

wyglądającemu

operatorowi,

manipulującemu wajchami w kabinie dźwigu. Wisząca na długiej linie, rozkołysana kula burząca przebiła się przez ścianę, co mali chłopcy nagrodzili oklaskami. Mur z wiązanych na sposób flamandzki cegieł

wyglądających jak zeschłe babki z zakrzepłej krwi, rozpadł się w obłoku pyłu i zaprawy. Ponure, ciemne ściany pokryte strupami, bezimiennymi parchami. Światło dzienne ujrzały blade, gąbczaste narośle, w bardziej wilgotnych miejscach skupiające się w kiście, a umorusani po całodziennej robocie szperacze z siekierami rozbijali martwą zaprawę spomiędzy czarnych cegieł. Gnostyccy robotnicy, którzy chętnie zepsuliby tę nędzną grę cieni, zasłaniających wyższy świat formy. I w porze wieczornego przypływu porzucali porozcinane elewacje, sześcienne pudełka otwierały się na świat, rama żelaznego łóżka, wolno stojące schody, prowadzące donikąd. Stare gotyckie sklepienia, oblepione smołą i roniące płatki farby. Wyleniałe koty lawirowały wśród odłamków szkła, a murzyńskie psy na podwórkach za bocznicą kolejową drżały przez sen. Aż wreszcie nie pozostało nic, tylko szeregi drzwi, niektóre z numerami, wszystkie zabite gwoździmi. Dalej ciągnęły się pola gruzów, pogiętej stali, rur i starych przewodów, powyrywanych z ziemi gronami umęczonych ganglionów pośród połamanych, kamiennych płyt. Gdzie po jałowej ziemi pomykały małe, czarne hominidy, a płachty gazet wzbijały się na wietrze i uspokajały.

Kiedy pewnego ranka poszedł nad rzekę, zastał otwarte na oścież drzwi do domku na barce i kogoś śpiącego w swoim łóżku. Wkroczył w mgłę zgnilizny. Gorący, oszałamiający smród pod drgającą blachą.

Takie ciepłe przedpołudnie. Osłonił nos rękawem.

Trącił śpiącego czubkiem buta, ale śpiący spał dalej. Z łóżka wybiegły dwa szczury, przypominające wielkie, włochate żuki, i szybko, bez zatrzymywania się i bez wysiłku, wdrapały się na ścianę i zniknęły w pozbawionym szyby oknie bezszelestnie jak dym.

Wyszedł z powrotem i przysiadł na relingu. Patrzył na rzekę i przyglądał się, jak w słońcu migocą końcówki wędek. Zginające się i unoszące różdżki, stara, rybna ceremonia, którą sam dobrze znał. Pod łukami mostu latały tam i z powrotem gołębie i Suttree słyszał

grzechotliwe pojękiwanie ręcznej piły w Rose's, na drugim brzegu. W

górze rzeki, u Aba Jonesa żadnej oznaki życia, spojrzał w tamtą stronę.

Po chwili zaczerpnął tchu i wrócił do domku. Kopniakiem strącił kołdrę na podłogę. W powietrze wzbiła się chmara warczących much. Suttree cofnął się. Zapadnięty policzek i żółty, szeroki uśmiech. Ohydna, wyłysiała, gnijąca trupia głowa, bezoka, obsiadła przez muchy.

Stał pod ścianą tak długo, jak długo wstrzymywał oddech. Masa żółtych robaków obrabiała jedno ucho nieboszczyka, a kilka much bzyczało w otwartej ranie, prychając na Suttree'ego niczym koty.

Odwrócił się i wyszedł.

Przez pola ku jego pływającemu domkowi wlokła się ze stoickim spokojem jakaś kobieta. Zniknęła w błotnistej niecce po drugiej stronie torów, wychynęła z niej, przeszła przez szyny i zaczęła schodzić nagą ścieżką nad rzekę. Miała krągłe ramiona, była przygarbiona i szła z czymś w rodzaju bezmyślnego oddania, jak cyrkowy niedźwiedź.

Suttree czekał na nią, zamknąwszy drzwi za plecami.

Kiedy dotarła na brzeg, podniosła wzrok i osłoniła oczy ręką. Pan Suttree?, spytała.

Tak.

Spojrzała z powątpiewaniem na trap, a potem znów się ruszyła i weszła ciężkim krokiem na pokład. Była spocona, zdmuchnęła włosy z czoła i przetarła oczy barkami, jedno, drugie, jak gdyby przywykła do tego, że dłonie ma zajęte i trochę zapomniała, do czego się ich używa.

Widziałam pana tamój, ze sklepu, powiedziała. Ludzie gadali, że pan tu przychodzi. A już miałam dać se z panem spokój.

Kim pani jest?, spytał Suttree.

Josie Harrogate. Chciałam się z panem zobaczyć w sprawie Gene'a.

Suttree spojrzał na nią. Potężna, grubokoścista kobieta, włosy zlepione na twarzy. Bawełniana sukienka czarna od potu pod pachami.

Jest pani siostrą Gene'a?

Tak, psze pana. To mój brat przyrodni, znaczy się.

Rozumiem.

Mój tatko umarł, zanim Gene się urodził.

Suttree przygładził ręką włosy. Była pani u niego?, zapytał.

Nie. Ależem pomyślała, że może pan wie, gdzie on jest.

Nie wie pani, gdzie jest Gene?

Nie, proszę pana.

Suttree odwrócił wzrok i spojrzał w dół rzeki.

Zimą zmarło się mamie, a on pewnikiem nawet o tym nie wie.

No. Przykro mi to mówić. Gene jest w więzieniu.

Tak, psze pana. A gdzie?

W Petros.

Poruszyła ustami, bezgłośnie powtarzając nazwę miasta. Może pan powtórzyć?

W Petros. W więzieniu stanowym. Nazywa się Brushy Mountain.

Brushy Mountain. Gdzie to?

No. Na zachodzie. Wydaje mi się, że jakieś pięćdziesiąt mil stąd.

Mogłaby pani pewnie pojechać tam autobusem. Powiedzą pani na dworcu.

Za co siedzi?

Za kradzież.

Patrzyła mu prosto w oczy, żeby nie skłamał albo żeby się przekonać, czy kłamie, i zapytała: Chyba zaś nie szykują go na krzesło lektryczne, co?

Nie. Groziło mu od trzech do pięciu lat. Ale może wyjść za półtora roku.

No a ile już odsiedział?

Dwa albo trzy miesiące.

No, powiedziała. Naprawdę wielkie dzięki. Wiedziałam, żeś pan był przyjacielem Gene'a.

Gene to dobry chłopak, powiedział Suttree.

Nie odpowiedziała. Odwróciła się, żeby odejść, ale przystanęła przy relingu. To jak się to nazywało?, spytała.

Brushy Mountain?

Nie. To drugie coś pan mówił.

Petros.

Petros, powiedziała. Powtórzyła nazwę, wpatrując się w górę nic nie widzącym wzrokiem. Potem zaczęła schodzić po trapie. Widać znalazła się w nim obluzowana deska, bo siostra Harrogate'a się przewróciła. Nogi nagle jakby się pod nią zapadły i usiadła. Trap ugiął

się głęboko i wyprostował, unosząc wymachującą rękami kobiecą postać. Udało się jej pozbierać i złapać równowagę, wstała ostrożnie i poszła dalej, aż w końcu dotarła na brzeg.

Nic się pani nie stało?, zawołał Suttree.

Nie odwróciła się. Podniosła rękę, pomachała mu i ruszyła dalej, przygarbiona, stąpając ciężko przez pola i tory w stronę miasta.

Suttree poszedł nadrzeczną ścieżką przez szczaw i dziką cebulę do starej, pływającej knajpy i zapukał do zielonych drzwi ostatni smutny raz. Oparł się o poręcz i zapukał ponownie, ale nikt się nie zjawił.

Chwilę później zszedł po trapie i przez pola i tory udał się do sklepu.

Wyprowadziła się, powiedział Howard Clevinger.

Tak, odrzekł Suttree.

Miała brata w Mascot, zdaje mi się, że wyjechała zamieszkać z jego rodziną. Znalazła cię ta kobieta, co to cię szukała?

Owszem.

Widziałżem cię na barce.

Suttree wyszedł, wrócił nad rzekę, przysiadł na kamieniu i długo przyglądał się płynącej wodzie.

Zmierzch dopiero zapadał. Kilka słabo oświetlonych okien w ciemniejszej ścianie górskiego zbocza wśród kudzu i niewyraźnych pnączy. Ganek u Jimmy'ego Smitha, żółte światło i skryci w półcieniu pijacy, widoczni ponad zbitą z deszczułek balustradą. Popękany portyk, właściwie przywodzący na myśl zrównane z ziemią ruiny w McAnally, tyle że jakby wyklejony małymi, obłąkanymi twarzami wyglądających na świat klientów. Najpierw nędzne wybrzeże, potem zapchana śmieciami i odpadkami rzeka i olbrzymia pustka rozciągającego się dalej świata. Zbliżała się jakaś krzykliwie wystrojona postać, kołysząca się w biodrach, roztrzepotana łobuzica idąca w stożku światła jedynej jeszcze nie skasowanej latarni na

całej Rront Street. Trippin Through The Dew w wieczorowej, arlekinowej sukni. Obeszli się półkolem, patrząc na siebie uważnie.

No, widzę, że jeszcze tu jesteś, powiedział Suttree.

Jak zawsze, kochanie. Nie mogą beze mnie wytrzymać. Trippin Through The Dew uśmiechnął się nieśmiało ściągniętymi w ciup ustami.

A gdzie podziałeś kapelusz?

Och, kochanie, kapelusze wyszły z mody. Po prostu. Zresztą zawsze uważałem, że są obciachowe. Z wyjątkiem mojego, oczywiście.

Trippin Through The Dew splótł dłonie, wzruszył ramionami, po czym wśród małych, szarych chałup i wzdłuż cichego, skąpanego w świetle zmierzchu nadbrzeża przetoczył się przypominający radosne rżenie dziewczęcy śmiech. Trippin Through The Dew opanował się nagle i przechylił głowę na bok. Gdzieżeś bywał?, zapytałW szpitalu. Dur brzuszny.

Boże kochany, toż coś mi się zdawało, że mamie wyglądasz.

Niechże ci się przyjrzę. Odwrócił Suttree'ego do światła latarni i spojrzał mu w oczy z autentyczną troską.

Nic mi nie jest, powiedział Suttree.

Słodyczko, przecie została z ciebie tylko skóra i kości.

Schudłem ze dwadzieścia funtów. Ale już trochę przytyłem.

Powinieneś odpocząć i zadbać o siebie. Słyszysz?

Suttree wyciągnął rękę. Powiedz mi do widzenia, odparł.

Dokąd się wybierasz?

Nie wiem. Wyjeżdżam z Knoxville.

O kurka. Trippin Through The Dew klepnął wyciągniętą rękę Suttree'ego. Zaś nigdzie nie pojedziesz. Kiedy? Kiedy wyjeżdżasz?

Natychmiast. Już mnie nie ma.

Murzyn ze smutkiem wyciągnął do niego dłoń, marszcząc twarz.

Stali tak na środku uliczki, ściskając sobie ręce. Kiedy wracasz?

Chyba już nie wrócę.

Nie mów mi takich rzeczy.

No. Może kiedyś. Trzymaj się.

Napisz i daj mi znać, jak sobie radzisz, skarbie.

No.

Choćby pocztówkę.

Okej.

Trzeba ci pieniędzy?

Nie. Trochę mam.

Na pewno?

Wystarczy.

Trippin Through The Dew uścisnął mu dłoń, cofnął się i zrobił

drobny gest, przypominający obłąkańczy salut. Wszystkiego najlepszego na świecie, kochanie, powiedział.

Dzięki, John. Wzajemnie.

Suttree podniósł rękę, odwrócił się i odszedł. Uwolnił się od tego małego, wystrojonego bożka i innych Swoich amuletów i pozostawił je tam, gdzie nikt nie odnajdzie ich za jego życia, a jako talizman zabrał ze sobą bijące w jego piersi zwyczajne, ludzkie serce. Po raz ostatni idąc tą uliczką, poczuł, że wszystko z niego spływa. Aż wreszcie nie zostało już nic, czego mógłby się pozbyć. Wszystko zniknęło. Żadnego szlaku, toru.

Trop urywał się tam, na Rront Street, gdzie to, czym kiedyś był, leżało na ziemi jak papierowe cienie, jest ich tu kilka, marnieją. Potem już nic.

Parę plotek. Próżne słowo na wietrze. Stare, krążące całymi latami wiadomości, którym nie można było dawać wiary.

Poszedł na skróty ścieżką za domami, żeby uniknąć innych przypadkowych spotkań na ulicy. Stary, nieszczęśliwy Tersytes zawołałby do niego z okna na piętrze, ale ostatnio podupadał na zdrowiu. Z krzaka pod domem zwieszały się szkliste nici zaschłego witriolu i Suttree pomyślał nawet, że słyszy stłumione gderanie w pokoju na górze. Jednym okiem zerknął na wysoką ścianę z desek, w stronę komnaty, zajmowanej przez tego starego, głupkowatego trolla, ale nie odpowiedziało mu niczyje spojrzenie. Eunuch spał w swoim fotelu, poruszył się i wymamrotał coś ze złością, jak gdyby oddalające się kroki rybaka mąciły mu sny, nie obudził się jednak.

Miejska karetka skręciła gwałtownie z front Street i podskakując na wybojach, ruszyła przez tory, a potem nadrzeczną ścieżką, aż dojechała do pływającego domku. Ludzie przyglądali się jej z ganków i stali przed sklepem, patrząc na nią z ponurymi minami. Dwaj sanitariusze wnieśli do środka płócienne nosze i koc, a po kilku minutach wynieśli ciało i szybko wsunęli je na tył karetki. Cofający się samochód ugrzązł w błocie. Spod koła wystrzeliwały do rzeki strugi grudek błota. Mężczyźni wysiedli zobaczyć. Jeden popchnął auto.

Karetka zapadła się głębiej i zawisła na dyferencjale.

Po chwili przyszli trzej czarnoskórzy chłopcy w sportowych butach i wypchnęli karetkę z błota.

Kto zachorzał?, spytał jeden.

Tam był trup, odparł kierowca.

Chłopcy popatrzyli po sobie. Od dawna nie żył?

Od paru tygodni.

O kurka, powiedział jeden, marszcząc szeroki nos. Więc to tak.

Nie wiecie, kto to był, co?

Nie, phoszę pana.

Nie wiecie, kto tu mieszkał?

Nie, phoszę pana.

Chodź, Ramsey, musimy jechać.

Przecie wiem, człowieku.

Kierowca zamknął drzwi, machnął ręką i karetka odjechała.

Chłopcy patrzyli, jak rusza. Kurde, powiedział jeden. Kochany Suttree nie umarł.

Miał małą, tekturową walizkę, wyszedł z zarośli, postawił ją na skraju drogi, wyprostował się i przeczesał włosy. Przyjrzał się sobie, stanął jedną nogą na walizce i schylił się, żeby kciukiem zeskrobać ze spodni czepliwe dziady. Nowe spodnie tan chino. Nowa, rozpięta pod szyją koszula. Miał opaloną twarz i ramiona, krótko obcięte włosy, a na nogach nowe, brązowe skórzane buty, których noski oczyścił, jeden, drugi, pocierając nimi o nogawki. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie wyszedł z wojska albo z więzienia. Szosą nadjechał samochód, Suttree spróbował go zatrzymać, wystawiając kciuk, ale auto pojechało dalej.

Ruch był niewielki, spędził więc przy drodze sporo czasu. Panował

straszny upał. Przez jego nową koszulę przeświywało nagie ciało. Po drugiej stronie pracowali budowlańcy, którym się przyglądał. Koparka

pogłębiała rów, a wzdłuż brzegu jechał spychacz, z którego skośnego lemiesza zsuwały się kopce jasnej gliny. Stolarze zbijali rusztowania, a na swoją kolej czekała betoniarka, jej bęben wolno klekotał. Suttree przyglądał się, jak idzie robota w upalne popołudnie. Nawiewany dmuchającym w dół rzeki wiatrem lekki, ochrowy pył pokrył wszystkie zieleniące się przy drodze listki, a nad samotną okolicą o tej popołudniowej godzinie unosił się długi, smutny zew pociągu.

Po placu budowy krążył chłopiec z wiadrem i pochylał się kolejno nad każdym robotnikiem, któremu blaszaną chochlą nalewał wodę.

Suttree widział ręce błagalników, podnoszące się w spiekocie nad brzegiem rowu. Obdzieliwszy wszystkich, chłopiec ruszył wzdłuż wykopu i podał chochlę operatorowi koparki. Suttree zobaczył, jak ten bierze ją, odchyla głowę, pije, strząsa ostatnie krople na ziemię, po czym wychyla się i podaje chochlę nosiwodzie. On i operator skinęli sobie głowami, a chłopak odwrócił się i spojrzał w stronę drogi. Potem ruszył

w jej kierunku po gliniastej ziemi, przez bruzdy i odciski gąsienic ciężkich maszyn. Jego zapylone buty pozostawiały ślady na czarnym asfalcie, a chłopak podszedł do Suttree'ego, który stał na poboczu, gwałtownie obrócił wiadro, wyciągnął chochlę, błyszczącą i ociekającą wodą, i poczęstował go. Suttree widział, jak zimna woda skrapla się na blasze i ścieka maleńkimi strużkami i kropelkami, zamieniającymi się w parę na drodze, gdzie spadały. Widział jasnozłociste włosy, okrywające spalone słońcem ramiona nosiwody niczym świeża pszenica, i zobaczył

swoje odbicie w studniach dymiącego kobaltu, podwójnych, ciemnych i głębokich, w oczach dziecka, w jego niebieskich oczach bez dna jak morze. Wziął chochlę, napił się i oddał mu ją. Chłopak wrzucił chochlę z powrotem do wiadra. Suttree otarł usta grzbietem dłoni. Dzięki, powiedział.

Chłopiec uśmiechnął się i zrobił krok w tył. Podjechał jakiś samochód, żeby zabrać Suttree'ego, chociaż ten nie wyciągnął ręki, żeby go zatrzymać.

Jedźmy, powiedział kierowca.

Dzień dobry, odezwał się Suttree, wsiadł, zamknął drzwi, walizka między nogami. Potem ruszyli. Wokół sunęły druty elektryczne, tory kolejowe i kable telefoniczne, po których śmigały ludzkie głosy jak dusze. Za nim leżało dymiące miasto, smutne peryferie umarłych, gdzie zamurowano zwłoki jego przyjaciół i przodków. Po prawej stronie biały beton autostrady połyskiwał w słońcu, gdzie pochyła ślimacznica zakręcała i zwisała niczym ucięta w powietrzu, a jej żelazne pręty zbrojeniowe jeżyły się pośród prowadzących donikąd drogowskazów.

Kiedy się obejrzał, nosiwody nie było. Z nadrzecznej łąki niczym z podziemi wyłonił się ogromny, chudy jak szczapa pies i zaczął

obwąchiwać miejsce, gdzie stał przed chwilą Suttree.

Myśliwy kryje się gdzieś w szarym lesie nad rzeką i na polach rozkwitającego sorgo, i w ścisku zwieńczonych blankami miast. Dzieło jego widać wszędy dookoła, a jego psy nie znają zmęczenia. Widziałem je we śnie, żądne dusz żyjących na tym świecie, zaślinione i dzikie, o oszalałych z głodu ślepiach. Uciekaj przed nimi.